

Zacharyasiewicz Jan

OPOWIADANIA

DERESZ

Szkic

Była to zwykła chłopska szkapa. Miała łeb duży, brzuch, obwisły i grube nogi. Z powodu mieszanej mas. i — kasztanowatej z białą — nazywano ją dereszem.

„Deresz” służył u chłopca już lat jedenaście. Chłop nazywał się Dmytro i miał syna Jurka, który był w jednym z dereszem wieku. Deresz i Jurko jednego dnia przyszli na świat i odkąd do siebie zbliżyć się mogli, żyli w nierozzerwany przyjaźni. Ojciec Dmytro lubił także deresza, a gdy się kto zapytał, kogo lepiej lubi: Jurka czy deresza, nie mógłby na to prędko odpowiedzieć. Jurko miał tak samo, jak deresz, głowę dużą, brzuch wydęty i grube nogi. Stapał silnie, aż ziemia dudniła. Obiecywał, że wyrośnie na silnego parobka. Ojciec Dmytro cieszył się, że będzie miał z niego pomoc nielada.

Deresz obiecywał te same korzyści. Przy swojej silnej budowie był poważny i spokojny. Nie odsądzał ogona, nie wierzgał, a nawet bardzo rzadko zarżał. Jadł spokojnie, co mu dano, pił, gdy go do rzeki przyprowadzono. Nie miał żadnej chimery, żadnych zachcianek. Stworzony na niewolnika, trzeźwo patrzył w swoją przyszłość.

„Widząc, co się z matką dzieje, z wczesnym oswoił się z smutnym swoim przeznaczeniem.

W jego ślad poszedł Jurko. Widząc, jak ojciec bieduje, przyzwyczaił się także do biedy i twardego jarzma. Jak tylko ręka mogła siekierę lub sierp ująć, próbował żąć i rąbać, jak to widział u ojca. I on jadł co było na misce i pił wodę z potoku.

Wspólny los ich czekał, to też kochali się jak bracia mleczni.

A Jurko był rzeczywiście mlecznym bratem deresza, Gdy matka, deptając cały dzień w pługu, legia, Jurko ze swej miski odlewał część mleka dla deresza. Deresz za to szczypał go delikatnie zębami za koszulę, a czasami wzięt się i do głowy kędzierzawej;

czynił to jednak tak delikatnie, że tylko kilka kędziorków czasem wydarł, a na krzyk mlecznego brata dalszych pieszczot zaprzestał.

I tak obaj rośli na pociechę i pożytek ojca Dmytra. Jak tylko Jurko mógł się na grzbiecie deresza utrzymać, sadzał go ojciec na niego, ku wielkiej radości matki Eudokwii. Dereszowi sprawiało to także niemałą radość. Szedł ostrożnie, jakby miał na sobie kubał wody.

Z latami rosła ich przyjaźń. Jurko dla brata mlecznego posuwał się nawet do małych kradzieży. Przy obiedzie schował dla niego kawałek chleba, przy żniwie ukrył snopek owsa, a gdy ojciec Dmytro wymłócone zboże wiał szuflą, Jurko zbierając plewy, do rzucał do nich po garści czystego ziarna, aby deresz miał co chrupać. A deresz tak był pewny, że Jurko coś ma dla niego, że gdy go obaczył, podchodził do niego i wszystkie znane schowki przeszukał. Włożył pysk w zanadrze, obmacał i obwąchał kieszenie, a gdy nic nie znalazł, spojrzął z wyrzutem na mlecznego brata, że uim nie pamiętał. Jurko wtedy gadał do niego, obiecywał mu chleba i owsa i kończył pocałunkiem w nozdrza, za co się deresz wcale nie gniewał.

Inż w zaraniu młodości spadło nieszczęście na deresza. Był

on jeszcze źrebięciem. Biegał sobie swobodnie, wolno mu było szczypać trawę na łące, a nawet po zbożu czasem chodził. Nikt go nie bił. nikt nie zaprzęgał do wozu.

Pewnego dnia pokłócił się ojciec Dmytro z kolonistą sąsiedniej osady. Poturbował kolonistę, a nazwał go nawet „psiawiara”. Kolonista poszedł na skargę, ale nie miał świadków za sobą. Przegrawszy sprawę, chciał zemścić się na Dmytrze. W tym celu kupił jakiegoś proszku, którym chciał koniom Dmytra oczy zasypać, aby poślepy. Matka deresza pasła się właśnie w rowie, a deresz chodził za nią i trawę także szczypał. Kolonista zbliżył się do nich. Deresz prze czuł coś złego, rozwarł nozdrza i zarżał na alarm. Pocziwa matka nie zrozumiała ostrzeżenia i dobronudusznie spojrziała na kolonistę. Uczuła nagle coś gryzącego w oczach, a świat przed nią pociemniał. Deresz po raz pierwszy w życiu wierzgnął tylnymi nogami, uderzył w brzuch kolouistę, ale matki nie ocalił. Biedna od tego dnia oślepla.

W chałupie Dmytra był wielki lament, ale nikt nie wiedział co się stało. Wiedziano tylko, że matka deresza na oczy zachorowała, co przypisywano „paskudnikowi”.

Wszystkie domowe leki nic nie pomogły — kobyła oślepla. Ślepej kobyłe trzeba było dać przewodnika, a drugiego konia nie było. Po krótkim namyśle zaprzęgnął Dmytro z nią deresza. Deresz był bardzo miody, mógł jeszcze rósć, ale konieczność przykuwała go do twardej pracy.

Trudno orzec, co właściwie skłoniło deresza do tak wyjątkowej potulności. Dał się zaprzędz. dał sobie w pysk włożyć zimne żelazo i szedł w zaprzęgu, jak stary. Wyginał grzbiet, głowę spuszczał do ziemi, ale ciągnął wóz i pług twardy.

Być może, że we krwi swojej poczuł tradycję twardej pracy i dożywotniego niewolnictwa, — a może szlachetniejsze motywa, pomoc dla oślepej matki, przyczyniły się do tego. Nic nie mówił, to też i wiedzieć nie można było. Gdy Jurko nad nim zapłakał, widząc go po raz pierwszy w twardym zaprzęgu i bat nad nim, deresz spojrział na niego wypukłym okiem, jakby chciał powiedzieć: „I ciebie taki los czeka mój mleczny bracie”.

Za tę powolność do twardego losu jeszcze więcej lubiono w chacie pocziwego deresza. Po każdej robocie, po powrocie z miasta, dostawał deresz wiązki siana lub opalkę plewy. Nie tylko Jurko dbał o niego, ale nawet i matka Eudokwia, jakby przewidywała, że taka twarda praca spadnie kiedyś i na pieszczonego jej jedynaka.

Deresz, jakby to wszystko rozumiał, był dla wszystkich wdzięczny. Słuchał ojca hmytra. Jurka wioził na wozie z pewną fantazją, nie lubił tylko najemników. Ci okładali go batem, nie folgując i ślepej matce. Zwyczajnie jak najemnicy.

Z biegiem lat coraz więcej zasługiwał sobie deresz na miłość i szacunek w biednej chacie. Dla ojca Draytra* był prawdziwym

dobrodziejem, a nieraz nawet życie mu ocalił.
Zwyczajem chłopskim, jeździł ojciec Dmytro dwa razy ua tydzień do miasta na targ. Wynalazł sobie zawsze przyczynę. To trzeba było soli kupić, to ćwierć zboża sprzedać, to znowu w sądzie za świadka stanąć lub podatek płacić. Po każdej takiej wycieczce wracał Dmytro późną nocą, najczęściej pijany i śpiący, a wracał żywy i cały. Jakim sposobem to się działo, to już tylko deresz o tem wiedział. Były mosty i mostki, groble i rowy, potoki i płoty, a mimo to i wóz był cały i gospodarz żywy. Do tego dodać jeszcze trzeba natłok wracających z targu wozów, pijanych chłopów, którzy z drogi ustąpić nio chcieli. Wszystko to pokonał deivz i prawił gospodarza przed chatę uieuaruszonego.

A nie była to sprawa tak łatwa. W mieście na targu stał wóz przy wozie. Koła zaczepiamy się, dyszel wpychał się do drugiego wozu. Dmytro, uwiązawszy na dyszlu wór z sieczką, znikał na cały boży dzień. Mijały godziny, słońce paliło, lub deszcz ze śniegiem padał do nocy, a Dmytra nie było. Dersz czekał cierpliwie, tylko od czasu do czasu zerknął na drzwi Moszka, dobrze mu znane. Tam bowiem przebywał jego gazda, ztamtąd późną nocą wychodził. Czasami, gdy mu już sierść skostniała od mrozu, zarżał jeden raz i drugi w kierunku ku drzwiom Moszka. Nieraz skutkowało to, Dmytro wyszedł z szynku, ale za to otrzymał deresz szturchańca w zebro z dodatkiem przekleństwa, że „sobaka” nie daje mu się dłużej zabawiać.

Dersz przyjął szturchańca i przekleństwo i wcale się za to nie mścił. Przeciwnie, wiózł śpiącego gazdę z największą ostrożnością przez mostki i groble i wszystkie wozy najrzęczniejsz omijał.

Kaz nawet dokazał prawdziwego cudu. Most na szerokiej rzece naprawiano. W tym celu wyjęto bale z połowy szerokości, aby je nowymi zastąpić. Dla wozów została tylko wązka przestrzeń, odgraniczona od przepaści jedną, na skraju położoną belką.

Tej nocy, wracający z jarmarku chłopi pięć koni utopili, a nawet trzech gospodarzy poniosło niebezpieczne stłuczenia. Dersz śpiącego gazdę przewiózł szczęśliwie przez ten wązki pas wśród najciemniejszej nocy. Prócz tego musiał i na ślepą matkę uważać? aby z mostu nie spadła.

Ten kunszyk deresza rozszedł się po całej okolicy, a w ubogiej chacie Dmytra uważano go poprostu za zbawcę i przypisywano mu nadprzyrodzone przymioty.

Przywiązał tak wszystkich do siebie, że prawie liczono go do grona rodziny.

Dersz kończył właśnie jedenasty rok twardej swojej służby. Nazywano go już „starym”, ale tylko najemnik tak wołał na niego, świszcząc mu batem nad skórą. Przy Jurku czuł się młodym, a nawet z fantazyą ciągnął pług, gdy jego brat mleczny poganiał. Jurko był teraz już poganiaczem, z czego deresz był widocznie za dowolony. Pracował ciężko, bo już taki los mu przypadł, ale przy

najmniej nikt się nad nim nie „zdziwił”.
Ludzie uszanowali wprawdzie twardą pracę jego, ale nad
ludźmi i nad nim zawisło pod koniec tego roku służbowego wielkie,
straszne nieszczęście!

Zielone brzegi Prutu pożółkły, a potem poczerwieniały. Skwar
słoneczny zwarzył wszystko i wysuszył. Miesiące mijaly bez kropli
deszczu. Nawet rosa gdzieś się podziała, jakby ją powietrze w locie
wypijało.

I nie tylko nad Prutem zawisła zmora posuchy, ale takie same
wieści biegły od Sanu, Dniepru, Bugu i staczały się z jękiem po
stokach Bieszczad i Karpat!...

Nad całym krajem zawisł na czarnych skrzydłach straszny
demon głodu, a za nim wysuwała śmierć ponure kiry niedalekich
pogrzebów !...

Ludzie osłupieli z przestachu na widok kurczących się od
posuchy zdziebeł zboża, a gdy je skrętną ręką zbierać zaczęli,
wypadł z kamiennych dotąd chmur deszcz ulewny. Rzeki wylały,
zboże zgniło

I znowu zapaliło się słońce, ale na polach już nic nie było.
Tu i owdzie leżały kupki gnoju, z którego nieprzeznite snopki roz
wiązywano i suszono.

Ziemia nie chciała się już zazielenić. Przepalone korzenie za
marły, nie puszczały nowych latorośli.

I tak nadeszła jesień. — zbliżyła się zima.

Ojciec Dmytro robił, co mógł. Chodził do kościoła i modlił się,
chodził do karczmy i upijał się, ale to wszystko uie pomogło. Głód,
straszny głód wyszczerzał do niego zęby, gdzie tylko spojrział.
Mały stożek, którego dach słomiany dźwigał dawniej z Jurkiem
i Eudokwią do samych szczytów słupów, aby zbiory swoje z czte
rech morgów pomieścić, przykucnął teraz do ziemi, jak sierota,
gdy jej zimno.

Wszystko się tam teraz zmieniło, — kilka kup zgniłego
zboża i garść stęchłego siana. Przy stożkach podniosła się mała,
czarna mogiłka, jedyna biednych nadzieja, ale przykra woń zgnilizny
ostrzegała biedaków, aby na tej nadziei nic nie budowali. Kar
tofle gniły.

Z każdym dniem coraz straszniej było ua pustych polach,
a coraz smutniej w chatach chłopskich. Wridać tam postacie, jak
duchy, siedzące nieruchomie, czekające chwili, w której ostatnia
nędza do wrót zapuka!...

Deresz dziwił się zrazu, że um ujęto jądła. Poryżał niecier
pliwie, myśląc, że o nim i matce jego zapomniano. Wychodził do
niego Jurko, który także był głodny i gadał do niego, że nie
ma paszy!

Deresz nie rozumiał go, ale gdy go wraz z matką na pola puszczono, przekonał się, że paszy rzeczywiście nie ma! Łamał zębami osty i twarde badyle i ślepą matkę popychał do nich, nie mogąc jej powiedzieć, że nic więcej nie ma! Biedna niewidoma czekała na lepszą strawę, schylając się co chwila do ziemi, na której, prócz suchej ścierni i piasku, nic nie było! I coraz dalej pociągała za sobą deresza, w nadziei, że coś znajdzie. Pewnego dnia przyszedł Dmytro z karczmy i oświadczył w chałupie, że tak dłużej zostać nie może. Krowę z cielęciami trzeba przezimować, bo i mleko będzie i cielę dorośnie, ale z ko byłą ślepą trzeba coś zrobić. Ale co zrobić? Chyba sprzedać na skórę! O dereszu nic nie mówił. Zapewne żał mu było tego, co go z targu przywoził.

Na tem jednak nie koniec. Ich jest także troje, — trzy gęby. Eudokwia musi jeść, bo matka i zona, — on także, bo gospodarz, — ale Jurko mógłby pójść gdzie na kawałek chleba!

Eudokwia zapłakała na samą myśl, że jedynak jej miał pójść do obcych ludzi, ale Jurko nie płakał. Zbladł tylko i wyszedł do deresza, który głodny wrócił z pola i zarżał, aby go do ciepłej stajni wpuścić.

— Czego płaczesz? — zawołał Dmytro, — czy na świecie nie ma ludzi? Pójdzie w służbę. Na trzy gęby nie wystarczy!

— On taki młody! Poganiacz! — płakała Eudokwia — za czekaj, może ja umrę!

— Albo ja się powieszę — zakończył Dmytro i trzasnął drzwiami.

Na dworze stał Jurko i gadał coś do deresza. Deresz nie rozumiał go i nie słuchał, tylko trząsał łbem, zwracając się ku rzece.

Jurko także nie rozumiał deresza. Chciał go pogłaskać, ale deresz odepchnął pyskiem rękę i znowu łeb ku rzece wyciągnął.

— Otwórz stajnię! — ozwał się Dmytro.

Jurko otworzył stajenkę. Deresz ani patrzył na drzwi, tylko wciąż łeb ku rzece wyciągał. Otworzył nozdrza i głęboko odetchnął. Wypukłe jego oczy widocznie coś mówiły.

Teraz spostrzegł Dmytro rozerwane pęta na nodze deresza.

— Co to takiego? — zapytał Jurka i zaczął deresza oglądać.

Deresz był powalany na grzbiecie i bokach, jakby się tarzał.

Miał nawet łopatkę skaleczoną i nogi mokre.

— Chyba deresz sierota! — zawołał Jurko — nie ma matki. otarł rękawem oczy.

— Biegnij, biegnij! — ozwał się Dmytro, który się domyślał co zaszło.

Obaj pobiegli cwałem na brzeg rzeki. Z wysokiego ładu spojrzeli na dół, a tam, na falach, podnosił się jakiś garb ciemny. Był nieruchomy, tylko fale uderzały w niego i wracały, omijając go potem z daleka.

To ślepa matka deresza. Była z nim spętana. Nie chciała jeść ostów i łopuchy, ciągnęła go coraz dalej i mimo oporu deresza, zbliżyła się do brzegu... Usunęła się, a deresz ratował ją jak mógł. Kozkraczył się, wbił w pulchną ziemię kopyta, ale pęta rozerwały się i biedna niewidoma wpadła z wysokiego brzegu do rzeki. Deresz zsunął się za nią, jak te ślady wskazywały, brodził po wodzie i na mule, ale matki nie uratował. Zabiła się.

— Ot i jedno z nas poszło! — zawołał z płaczem Jurko — a jak ja się utopię, to będzie drugie.

— Milcz durny! — odparł Dmytro, patrząc z wyrzutem na kobyłę, która popsowała mu rachunek. Lejbuś w karczmie już mu obiecał kilka guldenów, a teraz i na łupika niema, aby skórą ściągnął.

Smutny, przybity, wrócił do chałupy. Za nim szlochając szedł Jurko. Wybuchnął głośnym płaczem, gdy deresza zobaczył. Stał on w tem samym miejscu, jakby oczekiwał jakiejś lepszej nowiny. Zdaje się, że rozumiał przyniesioną nowinę, bo smutno łeb opuścił do ziemi.

W chałupie dowiedziała się Eudokwia o tem, co zaszło. Wybuchnęła także płaczem i wyrzucała Dmytrowi, że „w złą godzinę* wymówił, aby się pozbyć ślepej kobyły. Otoż kobyła sama usunęła się.

— i ja pójdę w świat — płakał Jurko — albo utopię się! Eudokwia uderzyła w kark Jurka.

— Milcz! — zawołała — abyś nie wymówił tego w złą godzinę. Bóg karze, kto tak się odzywa.

Dmytro milczał ponuro. Wziął czapkę i wyszedł do karczmy).

W karczmie było dużo chłopów. Siedzieli na ławie, tu i owdzie stał kieliszek. Na środku izby przechadzał się żyd po dróżny w zatłuszczonym chałacie. Był to znany handlarz koni. A proceder tego hadlu był szczególny. Skupował po jarmarkach i targach tak zwane „konie na skóry". Nie zabijał ich jednak ani dusił.

Opodal jego karczmy budowano szańce. Potrzeba było ziemi, szutru i kamieni. Handlarz koński wziął na siebie część dostawy, używając do tego kupionych na skóry koni. I urządzał interes w ten sposób. Zakupione do zaduszenia konie zaprzęgał do wozów. Robił nimi kilka dni, nie dając im żadnego jadła. W nocy tylko

wypuszczał na gołą ściern. Biedne konie padały w zaprzęgu, ale bat dodawał im sił żywotnych. Sierść odpadała pod batem całemi szmatami, skóra puchła, krew sączyła się, aż wreszcie trzeciego lub czwartego dnia padał biedny skazaniec nieżywy.

Te trzy dni roboty, bez wydatku na jadło, pokryły z okładem zapłacone na targu pieniądze, a skóra została jako czysty zysk.

Dla takiego przemysłowca nastąpiło teraz prawdziwe żniwo.

Posucha, a ztąd brak paszy i głód, skazywał większą część inwentarza na wybicie. Możeby i ludziom coś się z tego dostało, ale to zostawiono już Panu Bogu.

I setki, tysiące mozolnie wychowanego inwentarza padały pod ciosem tak strasznego wyroku; każdy dzień powiększał liczbę skazańców.

Najlepiej na tem wychodził przemysłowiec. Chłop swego konia nigdy nie zabije. Wszak to towarzysz jego doli i niedoli, wszak to jedyny przyjaciel, z którym, wracając z targu, choćby nawet po pijanemu, rozprawia, na biedę swoją skarży się mu, obiecuje mu owsa, gdy lepsze czasy nastaną... a tymczasem batem do szybszej jazdy zachęca.

Nie; konia swego chłop nie zabija! Wolałby w karczmie, przy kieliszku, zabić swego sąsiada, który z nim się procesuje, wolałby wreszcie poturbować arendarza, choć to także jedyny jego przyjaciel, który i wódki da na kredyt i pieniądze na podatek lub pogrzeb pożyczczy... ale konia swego chłop nigdy nie zabija. Sprzedając go naut „na skórę”, nie mówi nigdy o tem i wierzy, że poprostu sprzedaje go, bo musi, ale sprzedaje go tylko innemu właścicielowi, u którego może mu będzie lepiej! Chłop potrzebuje takiej wiary, bo inaczej czułby się winnym zabójstwa swego towarzysza doli i niedoli i tych wszystkich drobnych przygód i wydarzeń, z których się składa życie chłopskie.

Nie; chłop konia swego nie zabija, chociaż nieraz widzi, jak dziedzic każe w oczach swoich wystrzelać psy myśliwe, które już temperamentu do polowania z powodu długiej służby nie mają.

Wszak koń chłopca to jego parobek. Kazem z nim robi i razem z nim dzieli się w zimie tem, co oba w lecie uzbierali pracą swoją.

Konia swego chłop nie zabija.

Wie o tera oddawna przemysłowiec i korzysta z cnoty chłopskiej.

— Słuchajcie ludzie! — mówi do chłopów siedzących na ławie — siana nie ma, mąki nie ma!... A co jeść będziecie, a co będą jadły wasze krowy, cielęta i owce? Krowa da mleka, cielęta dorosną na wiosnę... ale szkapa w zimie i tak nic nie zrobi!

A chcecie nią co zarobić? Sieczka więcej kosztuje, niż ten zarobek!...

Ja wam radzę, gospodarze, wyprzedajcie konie, zanim wam pozdy chają! Ze zdechłego konia skór nie chcą kupować...

Poruszenie dało się widzieć na ławie szynkowej.

— Gospodarze — mówił dalej przemysłowiec — ja nie będę

waszego konia dusił... Ja mam dostawy dla wojska, ja potrzebuję koni do roboty. Będą jadły sam owies, a na wiosnę, da Bóg do czekać, obaczycie, jak będą po błonię wierzgać. Zapłacę dobrze, choć dzisiaj konie po niczemu. W Kołomyi topią konie, bo nie chcą nawet za skórę płacić!...

Mowa przemysłowca zaczęła skutkować. Przy kieliszkach opo wiadano, że rzeczywiście stare konie topią w Prucie, że na targu w mieście po kilka szóstek konie kupowali i że nawet po tej cenie nie można było wszystkich sprzedać !...

Kieliszki krążyły coraz gęściej. Wzdychano przytem, sfluwano z utrapienia, czasami i zła spłynęła ukradkiem po wąsach. Zaczęto powoli, zrazu nieśmiało, potem gromadnie „chudobę” sprzedawać. W krótkim czasie niewielka wieś sprzedała trzydzieści dzie więć koni.

— No, Dmytrze — rzekł w końcu targu handlarz do ojca Jurka — potrzeba mi jeszcze jednego! Dociągnę do czterdziestu... sprzedajcie waszego konia. Co wam dać?...

Dmytro wychylił trzeci kieliszek.

— Mego deresza nie sprzedam! — odpowiedział z energią.

Handlarz cmoknął.

— Dlaczego nie sprzedać, kiedy ja daję pieniądze? (idy mi przyniesiecie skórę z niego, to nic nie dam. On przecież za ty dzień, za dwa zdechnie z głodu! Zaraza... skór nie wolno wy wozić.

Dmytro zażądał czwartego kieliszka. Nie wiedział jeszcze, że pije już ua rachunek „skóry deresza!

— Nie dam koniaka! — zawołał, przykładając kieliszek do ust — deresza nie sprzedam, bo on jak mój brat!

Przy czwartym kieliszku zamroczyło mu się w oczach. Słuchał handlarza z wytrzeszczonymi oczyma, ale słów jego dobrze nie rozumiał. Słyszał tylko, że arendarz dopomina się za wódkę, widział leżące przed nim „papierki” i machinalnie wziął je do ręki. Nagle oprzytomniał.

— Co to ? — zapytał handlarza.

— Dwa papierki za waszego deresza!

— Dwa papierki za deresza?... Za skórę sześć papierków!

— No, to go zabijcie! Przecież nie będziecie mieli takiego serca.... Pamiętajcie, jak on was w nocy przez ten most rozebrany przewiózł?... U ranie będzie mu jak w raj! !

Nie długo trwał już targ. Dmytro bełkotał jeszcze coś pod nosem, jakby z djabełem niewidomym rozmawiał, kurczył palce i ścisnął pięści, bił się w piersi, jakby żałował za grzechy przed spowiednikiem.... Arendarz zbliżył się do stołu, wziął jeden papierek za wódkę z tygodnia, drugi schował Dmytro do kieszeni.

Deresz był sprzedany.

Chwiejnym krokiem wypadł Dmytro z karczmy, za nim po spieszył handlarz.

Przed chałupą stał jeszcze deresz. Nie chciał wejść do stajni, choć było zimno. Czekał może na ślepą matkę. Otwierał co chwila nozdrza, chwytając powietrza od rzeki. Czy z tem powietrzem nie poczuje wracającej matki?

Poczuł coś, ale nie matkę. Wstrząsł skórę na grzbiecie, jakby uczuł na sobie nóż oprawcy... Ale to nie był oprawca — to gazda. Zarżał wesoło.

Z chałupy wyszła Eudokwia. Za nią wysunął się Jurko.

Oboje mieli oczy zapłakane i twarze od płaczu zarumienione.

— No — zawołał Dmytro, także cały czerwony — koniaka sprzedana!

Eudokwia załamała ręce. Jurko wybuchnął płaczem.

— Dersz sprzedany! — zawołali oboje — sprzedany na skórę!...

— Broń Boże! — odparł handlarz — ja nie kupiłem go na skórę, ja nie zaduszę go, będzie miał u mnie jak w raj.

— Dmytro, Dmytro! — płakała Eudokwia — coś ty zrobił!

— Batku! bałku! — szlochał Jurko — po co sprzedaliście deresza ?

— A co mu jeść dawać ? — krzyczał Dmytro — siana, owsa niema! Zdechnie i tak z głodu ! ja zdechnę z wami!

I wskazał ręką na mały stożek zboża i na gnijące w kopcu karto Me.

— To już ja się utopię! — zawołał znów płacząc Jurko, — tylko deresza nie dawajcie.

Dersz patrzył na tę scenę poważnie. Wypukłe jego oesty obracały się to na Jurka, to na Dmytra. Handlarza omijał. Czyżby wiedział, że tylko od dwóch pierwszych zależało jego życie ?

Jurko płakał i Dmytro otarł rękawem wąsy. Eudokwia za częła zawodzić, jak to chłopki zawodzą na pogrzebie. Zaczęła wyliczać mu wszystkie swoje dobrodziejstwa: jak go karmiła, gdy był mały, jak go myła i czesała, jak mu wody i siana dawała, jak bąki od niego odganiała, gdy spocony od pracy w południe odpoczywał !... A teraz odchodzi od niej, nie zawiezie jej ani na targ do miasta, ani na odpust do Matki Boskiej Cudownej!... Sama zo stanie, jak prosta chałupnica, piechotą pójdzie na targ i na praznik do przyjaciół wsi sąsiedniej!...

Dersz słuchał z powagą tych wyrzekań gospodyni. Od czasu do czasu wstrząsał grzbietem, jakby zaprzeczał jej narzekaniom. Przecież nie on opuszczał ich, ale oni sprzedali go na skórę!...

Rzewniejszyro był dla Jurka. Gdy Jurko, płacząc, za szyję go objął, on skubał zębami jego płótniankę, sądząc, że sprawia mu wielką przyjemność. Wszak jemu także było przyjemnie, gdy go Jurko dawniej po sierści skrobał!...

Handlarz stał na boku. Nie przerywał tej sceny rodzinnej.

Czekał cierpliwie chwili, w której wejdzie w posiadanie kupionego

towaru.

Wrreszcie ta chwila nadeszła. Dmytro krzyknął na Eudokwię, aby poszła do chałupy. Jurkowi dał szturchańca i pchnął go do sieni.

— Zabierajcie kouia! — rzekł do żyda i szybko wbiegł do chałupy.

W chałupie płacz wzmógł się jeszcze więcej. Jurko zanosił się, Eudokwia rzewnie wyrzekała.

Dmytro targał wąsy i obcierał rękawem.

— Dajcie pokój! — wołał, — bo z warują! Koniaka i tuk zdechłaby za tydzień, albo dwa! I ja może zdechnę, bo chleba nie ma!

— Ja się utopię! — odrzekł Jurko, — i dla was i dla matki będzie chleba!

Bój się Boga — szlochala matka, — abyś nie wymówił tego w złą godzinę.

Tymczasem handlarz pociągnął za uzdę deresza. Deresz wyciągnął szyję, spojrział w okna chałupy, ale tam nikogo nie ujrzał. Nikt nie miał odwagi patrzeć w tej chwili na niego.

mleczny brat Jurka leniwym krokiem podążył w nieznaną mu przyszłość.

Nikt w tej chwili nie wiedział o dalszych jego losach. Nie wiadano w chałupie, a nawet sam handlarz prawdopodobnie nie wiedział.

Pracowity parobek po dziesięciu latach ciężkiej roboty opuścił z oporem zagrodę chłopa, w której się urodził i ciężko pracował!...

Nikt go nawet nie zegnał!...

*

Kilka dni upłynęło. W chałupie uspokojono się na pozór. Eudokwia krzątała się koło gospodarstwa, Jurko rąbał gałęzie suche i układał pod ścianą. Nie płakał, ale też i nie śmiał się, jak dawniej. W chałupie nic go teraz do śmiechu nie zachęcało. Matka wzdychała, a ojciec cały dzień przesiadywał w karczmie, gdy nie było w domu roboty.

I cóż miał robić w chałupie? Czytać nie umiał, rozmawiać nie było o czym, a w karczmie przynajmniej było ciepło i sąsiadów kilku. Przytem była też i wódka, której zażywał, — jak inni szczęśliwsi od niego, zażywają teatru, koncertów i rautów. Upajał się więc, jak inni, a mniejsza o to czym!...

W szarej atmosferze szynkowni było nawet czasem bardzo rozkosznie. Zabłąkał się tam często woźny, niosąc w torbie wyroki na subhastę gruntów chłopskich za długi bankowe lub lichwiarskie. Straszny ten gość za kieliszek wódki pocieszał zebranych, że cesarz i sejm da im pieniędzy, żyta i paszy, jak o tem już radzą we Lwowie.

Tak samo opowiadał im także egzekutor powiatowy, który

zjechał po podatek, a zamiast pieniędzy zabierał kozuchy, pierzyny, resztki zboża i chudobę!...

Prostaczkowie oddawali resztki mienia, ciesząc się, że jutro, pojutrze zjedzie komisarz cesarski z trzosem guldenów, z furami

zboża i siana!... Nie wiedzieli, że takich jak oni nędzarzy są miliony, a tych, co dać mogą, tylko tysiące, a cesarz tylko jeden! Nie myśleli o tem, że zapomoga — to weksel, który podpisać muszą, a który w przyszłości może ich zrujnować! Nie wiedzieli także, że daremczynna, czyli jałmużna, nie wielu z nich uratować może!... To też po chwilowych marzeniach następował zwykły upadek ducha, a jeżeli tych marzeń wódka przedłużyć nie mogła, wracano do chałup z rozpaczą, albo zupełną, zwierzęcą rezygnacją na jutro!

W chałupie Dmytra było strasznie smutno. Nic nie mówiono do siebie, w milczeniu jedzono strawę. A strawa ta wypadła coraz skąpiej, a ze stajenki wychodził bolesny ryk głodnej krowy i głodnego cielęcia.

O deresz nikt ani słowem nie wspominał, choć wszyscy o nim myśleli. Jurko połykał łzy i często z tem się odzywał, że się utopi. Chciał on tym sposobem ulżyć rodzicom, bo co trzy gęby, to nie dwie!... Matka upominała go, aby „w złą godzinę” nie wymówił, ale on na to odpowiadał, że i deresz zapewne „w złą godzinę” się urodził!...

Po takich słowach następowało zazwyczaj grobowe milczenie, a mieszkańcy chałupy wyglądali wtedy jak cienie, poruszające się machinalnie....

Za kilka dni przyszedł znowu handlarz do wsi po konie. Teraz już po kilka „szóstek” dawał za nie. Opowiadał, że interes mu nie idzie dobrze, bo dowóz kamieni i szutru do szańców ustał z powodu złej pory. Ma zresztą i tuk kilkadziesiąt koni i nie wie, co z niemi zrobić.

Mimo tak niskiej oferty, zabrał ze wsi resztki inwentarza.

Chłopi oddawali swój dobytek za bezcen, bo chłop swego konia nie zabije.

Jurko dowiedział się, że deresz jeszcze żyje. Dowiedział się, że jest zamknięty w stajni, o pół mili odległej.

Całą noc śnił mu się deresz. Patrzył na niego wypukłym okiem i wyrzucał mu, że go opuścił! Potem widział Jurko, jak oprawca... ale więcej już nic nie widział. Zerwał się na równe nogi z barłogu.

— A to co? — zapytał Dmytro.

— Już dzień — odparł Jurko. Wziął, jak zwykle, siekiere i wyszedł na podwórze.

Na podwórzu jeszcze wcale dnia nie było. Księżyc pochylił się wprawdzie ku ziemi, ale okrągła twarz jego świeciła jeszcze jasno.

Jurko włożył siekierę za pas i puścił się wążką drożyną za księżycem. Zmarzły śnieg skrzypiał mu pod nogami, a on biegł w jednej płótniance coraz dalej, dalej za księżycem.

Biegł już blisko godzinę, wreszcie zamajaczył w dali jakiś pochyły, obdarty budynek. Była to szopa handlarza. Serce uderzyło żywiej Jurkowi. Tam w tej szopie jest deresz.... czy jest jeszcze? Czy go obaczy?... Dalej nic nie myślał!

Stanął już przed szopą. Księżyc z ukosa oświecał ją dziwniein światłem. Zdawało się Jurkowi, że widzi przed sobą trupiarnię, podobną do tej, która jest na cmentarzu.

Przeżegnał się i odmówił pacierz. Prosił Boga, aby choć raz jeszcze ujrzął deresza.

Zbliżył się do ściany, w której pół deski brakowało. Spojrzał przez otwór w ciemny głąb szopy.

Dreszcz przeszedł mu po ciele. Strzecha w jednej stronie była wydarta. Przez tę szczelinę wciskało się światło księżycza. W pierwszej chwili zdawało mu się, że to bryły skał nieruchome i straszne.... potem przyszły mu do pamięci bajki o zaklętym wojsku.... Tak tu wszystko martwe, okropne!

Dopiero po jakimś czasie mógł rozeznaczyć stojące w nieładzie konie. Było ich kilkadziesiąt. Stały spokojnie jakby ze spizu ulane. Łby zwieszono do ziemi, nogi szeroko rozparte. Żaden nawet ogonem nie machnął... bo i po cóż miał machać, jeżeli skóra jego była na wskroś obita, sierć odarta, a rany powleczone skorupą krwi skrzepłą?... On już nic nie czuł, nie czuł i mrozu, który mu do szpiku doszedł.... i czekał tylko z rezygnacją ostatniej go dziny !..

A była w tej szopie cała historia kilku pogranicznych po wiatów! Obok starego chłopskiego parobka, który prócz bata i pługa żadnej lepszej doli nie zaznał. stał skazaniec krwi błękitnej! Kiedyś nacierano go winem czerwonym, karmiono łakociami i owsem kanarkiem.... piękna pani dosiadała go czasem.... potem wiozł ją do ślubu z fantazją, — po ślubie na bale i wieczorki, — wreszcie dostał się do żmudnego kieratu, skąd uwolniła go subhastka ma jątku szczęśliwych niegdyś ludzi!... Na subhastkę kupił go żyd, wozził nim podróżnych do Kołomyi, poobdzierał mu boki, grzbiet

pokaleczył, połamał nogi i oczy powybił!... Jego błękitna krew nie oburza się wcale na dzisiejsze towarzystwo. — bo on nic nie widzi! Czeka tu. czyż wie, czego czeka?...

Jurko szuka oczyma swego ulubieńca, ale go znaleźć nie może. On pierwszy obaczył go — zarżał chrapliwym głosem.

Jurko o mało co nie upadł, usłyszawszy znane mu rżenie.

Niby to głos deresza.... ale jakże zmieniony! Co on przeszedł przez te kilka dni. co on przecierpiał!... Prawdopodobnie nic nie jadł przez te dni, a może woził ciężkie kamienie!

Deresz zarżał raz i drugi. Jak on dziwnie teraz wygląda!

Sierść ma zjeżoną. jakby opuchł cały. Wypukłe oczy patrzą na Jurka z wielkim żalem, z wyrzutami, że po tylu latach ciężkiej służby sprzedano go okrutnikowi!...

— Deresz! Deresz! — wołał z płaczem Jurko. wkładając rękę do szopy.

Deresz patrzył z rezygnacją na próżną rękę, a nie ruszył się.

— Po cóż ma iść do mnie — pomyślał sobie Jurko — jeżeli byłem tak głupi i nic mu nie przyniosłem !...

— Przyjdę jutro.... przyjdę dzisiaj! — wołał do deresza — i przyniosę chleba, mego chleba!

Deresz ciągle patrzył, ale nie zbliżył się.

Straszne były te spojrzenia. Była w nich skarga, był żal i boleść bezdenna!...

Jurko wyjął siekierę z za pasa i pobiegł na drugą stronę szopy. Były tam wrota, zamknięte na kłódkę. Jurko podniósł się kierę, uderzył w kłódkę raz i drugi....

— Patrzaj go! — zawołał ktoś z po za węgła — taki młody, a już złodziej.

I żelazna ręka nocnego stróża chwyciła go za kark.

— Tam jest nasz deresz ! — krzyczał Jurko. szamocąc się.

Jest, ale już sprzedany! — objaśnił stróż.

Nie pomógł płacz Jurka, ani jego lament za dereszem, nie pomogło nawet rżenie deresza, który chciał swego przyjaciela ratować i w tym celu o wrota łbem uderzał. Sprawa skończyła się u tem, że stróż zatrzymał dla siebie siekierę, jako uagrodę gorliwej służby, a młodemu delikwentowi pozwolił do domu powrócić, Jurko puścił się w drogę z tem przedsięwzięciem, że zabrawszy przeznaczone śniadanie, wróci i przyniesie je dereszowi.

Jeszcze Jurko czernił się w dali na białym śniegu, gdy do szopy zbliżył się handlarz w towarzystwie człowieka w krótkiej opończy.

Był to kolonista z sąsiedniej osady. Rozmawiali długo między sobą i targowali się. Poczem otworzył handlarz kłódkę, a kolonista zaczął konie oglądać.

Skazańce nie zwracały już na to uwagi. Żaden nie podniósł

łba, ani nogą nie ruszył. Przeczuwał może niejeden, że coś z nim się stanie, ale to było mu już obojętnem. Czy tak, czy owak, aby tylko jak najprędzej przyszła ostatnia godzina!

Deresz tylko był niespokojny. Podeszedł do ściany, w której był otwór i przez niego patrzył na wązka drogę, na której czerniła się jeszcze postać Jurka. Wszystko zresztą było mu obojętnem! Kolonista zaczął liczyć. Przechodził koło każdego i uważnie się przypatrywał. Tego i owego pominął.

— Ny — protestował handlarz — dlaczego tego nie ra chować ?

— Ten już nie ma i kwaterki krwi! — odpowiadał kolonista.

— A gdzieżby podział? On się tylko tak zaczął!

. uderzył pięścią w łeb skazańca.

Skazaniec ani się ruszył. Kolonista zaśmiał się.

— On jest już półnieboszczyk! Patrzcie, ani okiem nie ruszył.

— Nu, za co ma on okiem ruszać, kiedy on nic nie widzi!

Obaj zaśmiali się z tego konceptu. Kolonista zbliżył się do deresza.

— Ot — zawołał — ten coś wart jest. Widać że ma je szcze krew!

— A jaka krew! Bo to Dmytro karmił go chlebem!

Kolonista poklepał Deresza po grzbiecie. Deresz na to nie zważał, patrzył ciągle przez otwór na niknącą postać Jurka. Targ trwał jeszcze czas niejaki. Wreszcie przybił handlarz ręką — po „szóstce” za sztukę. Kolonista wybrał pięćdziesiąt koni. Między niemi był i deresz.

— A kiedy zaczniecie robotę ? — zapytał po chwili handlarz.

— Zacznę zaraz — odpowiedział kolonista — a spodziewam się skończyć robotę do południa. Możecie zawołać „cygana” aby swoje zrobił.

— Tylko uważajcie — rzekł handlarz do kolonisty — aby skóry nie popsuć. Na piersiach między przednimi nogami. Kolonista kiwnął głową,

„Cygana” był to oprawca okoliczny, który zazwyczaj ścigał skórę z padliny. Cy ten chłop, wiecznie pijany i obdarty, był rze czywiście cygańskiego pochodzenia, trudno napewne twierdzić. Ta ka jednak była tradycja, bo ludzie byli tego przekonania, że tylko cygan może praktykować takie niehonorowe rzemiosło.

Za pół godziny był już cygan z kolonistą przy szopie. Cygan trzymał w ięku mały aóżyk, dobrze wyostrzony, a z kieszeni wy glądała flaszka wódki. Ile zaś tego ożywczego nektaru było już w jego brzuchu, o tem wiedział tylko sąsiedni arendarz, u którego dniował i nocował.

Kolonista trzymał w zębach fajkę porcelanową z wizerunkiem wielkiego swego landsmana Bismarka.

I rozpoczęła się ugodowa „robota”.

Wyprowadzono z szopy sześć koni. Związano je sznurem tak.

że w jednym stały szeregu. Związane zapędzono batem na pole,
leżące po drugiej stronie drogi za szopą.
Tu wprowadzono je na zagon i tak obok siebie ustawiono,
że rzędem zajmowały całą szerokość zagonu.
Kolonista odłożył bat i zaczął fajkę nakładać.
Cygan tymczasem stanął przed frontem koni. Dobył nożyka
i każdemu z nich na piersiach rozciął skórę na krzyż.
Krew trysnęła z sześciu piersi.
Kolonista Wziął fajkę w zęby. a bat do ręki. Krzyknął na ko
nie i zaczął je potężnie batem okładać...
Konie ruszyły naprzód, a za nimi zostawało sześć czerw
nych pasów na białej powierzchni śniegu...
Bat kolonisty świstał przeraźliwie nad biednymi skazańcami,
szerść wydarta z boków fruwała w powietrzu, zmieszana z prze
kleństwem niemieckim... a purpurowa krew biednych męczenni
ków wypisywała na białym zagonie w tajemniczych zygzakach ja
kieś — straszne może w przyszłości — w tej chwili jednak nie
czytelne jeszcze słowa...
Wreszcie padł jeden z sześciu skazańców. Był to ów ulubie
niec niegdyś pięknej pani, która karmiła go cukrem i łakociami!
Ubył pierwszy, a jak padlinę, z której jeszcze wysączały się osta
tnie krople krwi kupionej...
Tak jest — kolonista kupił krew skazańców. Skóra i ścierwo
należały do handlarza.
Kolonista miał tylko krwią wytoczoną z oliar głodu sprawić
nieurodzajne pole swoje, złożone z wydm piaszczystych. Cłatwił to

sobie zmyślnym sposobem, skrupiając żywa jeszcze krwią nieuro
dzajne piaski. I sani skazaniec musiał tę krew swoją po zagonie
roznosić i wylewać!...
Była to wyższa kultura ziemi...
Pozostałe przy życiu konie ustawały pod ciężarem padłych
nieboszczyków. Wtedy odcinał je kolonista, a pozostałe pędził da
lej batem!
Jeden po drugim padł — aż wreszcie sześć trupów w różnych
odstępach leżało na zagonie. Należały one teraz do cygana.
Nastąpiło drugie powołanie z szopy. Z rezygnacją dał się no
wy zastęp związać w szereg i skończył jak pierwszy.
Po drugim transporcie nastąpił trzeci i czwarty. Kolonista
i cygan pracowali gorączkowo, aby jednej kropli zapłaconej krwi
nie uronić...
Wreszcie przysła kolej na deresza.
Wyprowadzono go i związano z innemi. Spojrzał na zagony
zasłane trupami, ale nie wstrząsł grzbietem. Obrócił tylko łeb w stro
nę malej drożynki, którą odchodził Jurko..
Cygan rozciął mu pierś szeroką...
Meresz patrzył chwilę spokojnie na dwie czerwone strugi,
spływające mu po nogach... potem zwrócił wypukłe oczy ku malej

drożynie i zarżał donośnie.

Na krańcu drożyny ukazał się w tej chwili Jurko. Biegł śpiesznie, niosąc w ręku jakiś węzelek...

Deresz zarżał drugi raz — ale bat kolonisty owinął się koło jego boku raz, drugi i trzeci...

Puścił się wraz z innymi po zagonie. Jurko był jeszcze daleko, bardzo daleko...

W połowie zagonu padł jeden towarzysz — dalej drugi i trzeci...

Kolonista odciął ich — a deresz szedł dalej, zostawiając za sobą czerwoną wstęgę krwi.

Wreszcie skończył się zagon! Deresz pozostał sam jeden.

Kolonista chciał go już tam zostawić, ale zawrócił sam i szedł zwolna napowrót.

— Ten ma krwi za dziesięć! — mruczał kolonista, wiążąc deresza do nowej partii.

Deresz patrzył na drożynę — a Jurko był już niedaleko.

Bat świsnął znowu nad nim, a deresz szedł znowu po własnej krwi swojej z towarzyszami niedoli.

Przetrwał wszystkich i znowu został sam jeden.

I wrócił się po raz drugi, ale na to tylko, aby Jurka obaczyć.

Jurko przybiegł z płaczem do niego. Pot lał mu się z czoła, w rękę trzymał swoje śniadanie i garść owsa!

Na widok Jurka i owsa zarżał deresz po raz ostatni i padł nieżywy.

Obok niego z jękiem padł Jurko.

Późna już noc była, a w chałupie Dmytra świeciło się jeszcze.

Migający płomyk lampki naftowej rzucał po ścianach i podłodze jakieś traszne, ruszające się cienie.

Cienie te ruszały się przy barłogu, na którym leżał młody chłopczyzna z twarzą rozognioną. Kędzierzawe jego włosy falowały na szarej poduszce za każdym poruszeniem głowy. A to głowa zwracała się często do chłopca, który z załamanymi rękoma stał nad barłogiem. Po zwieszonych wąsach kapały mu łzy.

— Tatalu, tatalu! — jęczał chory chłopiec, — czemuście sprzedali deresza?... Czemuście nie sprzedali innym obcym ludziom?

Kobieta podłożyła mu rękę pod głowę.

— Dajcie pokój, mamusia! — odrzekł chory, — bo w mojej głowie straszny ogień!

Eudokwia zanosła się od płaczu.

— Jurku! dziecino moja! — szlochał Dmytro. — ta u ciebie ty chcesz umierać! Na co ty chcesz ojca i matkę porzucić!....

— Ot, lepiej umrzeć! — bredził w gorączce Jurko, — jak utopić się lub służyć obcym ludziom?... Mojej krwi nie wytoczą, jak z biednego deresza. Ot, matuś, niatus. jakże mi ciężko żyć! Ja nie będę żył... ja pójdę do Boga i będę tam się modlił za matuś!...

Tu oczy jego. gorączkowo wysadzone, szukały matki.

— A za mnie. Jurku, nie pomodlisz się d Hoga? — zapy

tał Dmytro.

— Na coś ty powiedział w złą godzinę, że Jurko pójdzie z chaty! — z płaczem wyrzekła Eudokwia.
hinytro nic nie odpowiedział, oczy jego zasły krwią.
Tymczasem czerwona twarz Jurka zaczęła blednąć... oddech
Stawał się spokojniejszy... usiłował rękę podnieść do matki... ale ręka upadła bezwładnie ita barłóg.
Za kilka chwil krzyk rozpaczy napelnił izbę. Dmytro wybiegi z chałupy....
Jeszcze sic dobrze nierozwiduilo. a w izbie już było peluo.

KONIEC

Sąsiedzi przyszli z pociechą do Eudokwii.
Na barłogu leżał młody, blady jak kreda, chłopczyna. Kędzie rzawe włosy ruszały się jeszcze za powiewem wiatru, gdy drzwi otwierano. Podobny do malowanych aniołków, leżał spokojnie, otoczony majestatem śmierci....
Eudokwia wyrzekała, że ją opuścił, że ją zostawił sierotą....
Dmytra nie było w izbie.
Nie było go od nocy... gdzież on jest?
Sąsiedzi widzieli go dodnia, jak pukał do karczmy. Zapewne budził arendarza, aby na pogrzeb i poczęstunek ludzi pożyczyć pieniędzy....
Tak i owak mówiono o Dmytrze, gdy chłopiec sąsiada wpadł przestraszony do izby. Nie mógł słowa wymówić, tylko gestem wskazał na szopę.
Sąsiedzi wyszli — otworzyli szopę....
W szopie..., wisiał Dmytro....
Był już zimny.
Za trzy dni wyniesiono z chałupy dwie trumny.
Eudokwia szła za trumnami i wyrzekała płacząc...
Za nią postępowali sąsiedzi i krewni....
A przez małe okienka chałup patrzyły blade wynędzniałe twarze i szeptały do siebie:
— Szczęśliwa Eudokwia! Dla niej samej wystarczy teraz chleba do wiosny, a paszy dla krowy....

POSELMĘCZENNİK

Obrazek

Gorące, sierpniowe słońce przyświecało w pierwszych dniach ostatniemu sejmowi polskiemu zgromadzonemu w Grodnie, który do trumny Rzeczypospolitej miał przybić wieko żelazne., Grodno przedstawiało w owym czasie widok nadzwyczajny.

Dwie faktyczne, najwyższe władze, założyły w ciasnych murach tego miasta siedliska swoje.

Król z sejmem reprezentował niejako legalny rząd Rzeczypospolitej — a po drugiej stronie stała generalicya targowicka, która dzierżyła w swojej władzy przeważną część rządzących.

Wraz z królem przenieśli się do małego miasta wszyscy posłowie mocarstw zagranicznych, a niektórzy z nich, których ten sejm najbliżej obchodził, mieli z sobą licznych, postronnych pomocników.

Prócz tego, ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej pojeżdżali się tak zwani Konsyliarze Konfederacyi których obecność na sejmie miała zagrzewać upadających śród tak tragicznych zawikłań na duchu posłów. Rzeczypospolitej.

W takim stanie rzeczy wyglądało Grodno jak mrowisko olbrzymie, w którym roily się tłumy różnobarwnych kontuszów i fraków francuskich. Legiony cu

dzoziemców i chciwych przy tak wielkiej stypie zarobku' krajowców, przybyłych ze wszystkich kątów Polski, zalegały place i ulice.

Straszliwie wspaniała był widok tego olbrzymiego konduktu, który zwłoki dziesięciowiekowej Rzeczypospolitej miał odprowadzić do grobu!...

Rzucamy zasłonę na ten obraz tragedyi szekspirowskiej, którego lęka imać się pióro przywykłe da barw codziennych. — Jeden tylko szczegół wyjmemy z tej olbrzymiej tragedyi, jedną scenę, która nietylko rzuca dziwnie charakterystyczne światło na głównych aktorów tej tragedyi, ale nawet prawem dziedzictwa przeszła aż do naszych czasów i w organizmie nieszczęśliwego narodu sprawia nie małe spustoszenia.

Sejm grodzieński, któremu przypadła smutna rola. grabarza Rzeczypospolitej, składał się z ludzi dziwnie dobranych. Z tajnych papierów i rachunków S i e v e r s a, pełnomocnika rosyjskiego okazuje się, że dla przeprowadzenia pomyslnych dla zamiarów Rossyi wyborów, wydano olbrzymie sumy pieniędzy!

Mimo tych tak niebezpiecznych środków, nie zdołano wszędzie przeprowadzić wyborów w duchu rosyjskim lub pruskim, chociaż użyto do tego wpływu ludzi, posiadających zkad inąd estymę w kraju.

Kilkanaście jednak parszywych owiec w tem stadzie bezradnem i przygnębionem, zdołało pociągnąć za sobą wielu słabych i obojętnych, i stworzyć z nich upragnioną dla widoków zaborców większość.

Proces ten formowania się większości nie odbywał się jednak bez walki lepszych żywiołów. Zaciętą, bezprzykładną, godną homerowskich bohaterów była ta walka, walka tragiczna, która tylko tem zwyciężyła, że dalekim pokoleniom zostawiła przykład, jak się ma umierać, aby się znowu kiedyś odrodzić L.

Walka ta, wewnątrz sejmu, była przedsięwzięta jako walka stronnictw.

W parlamentarnem życiu narodów takie walki stronnictw odgrywają wielką rolę.

Otoż odrysujmy jedno takie stronnictwo.

Ciemne, starożytne komnaty przystrojono na przedzie dywanami i makatami. Wilgotne ściany zasłoniono rogoża, drzwi i okna ubrano w jaskrawe firanki.

Nizki, w szpakowatej peruce mężczyzna, chodził od kilku godzin tam i napowrót, patrząc od czasu do czasu na duży zegarek, który ulokowany był w długiej weście poniżej bioder.

Twarcz tego człowieka była nadzwyczaj ożywiona. Grały na niej jakieś gorące namiętności, jak to nawet z niespokojnego chodu można było wnosić. Oczy jego zamykały i otwierały się bardzo często, jakby tym sposobem pomagały tłoczącym się w głowie myślom.

Po niejakiem czasie zaczęli się schodzić oczekiwani goście.

Byli to po większej części posłowie sejmowi.

Gospodarz, IM pan Miączyński poseł lubelski, przyjmował ich gościnnie w swoich ciasnych komnatach. Tak zwani przyjaciele polityczni ściskali rękę wy

mownego posła i oświadczały mu stylem kwiecistym swoje afekta niezłomne.

Poseł lubelski przyjmował z pewną submissją gorący afekt swojej braci i w zamian czem mógł darzył swoich gości. Temu rękę uściśnął, tamtemu coś słodkiego powiedział, trzeciemu ramię ucałował.

Pomiędzy stronnikami posła lubelskiego znajdowali się także i tak zwani obojętni posłowie. Byli to zazwyczaj ludzie uczciwi i zacni, ale nie zbyt tęgiej głowy. Stronnictwom służyli za materyał tylko, przychylając się według fluktuacji humorów na tę lub na ową stronę. Sami najczęściej nic nie wiedzieli, można ich jednak zawsze było zakłąć na miłość ojczyzny, na wspomnienie której często płakali.

Adherenci tego lub owego stronnictwa wychodzili na tych „obojętnych”, jakby na łup jaki i nigdy z próżnymi rękami nie wracali do swoich przyjaciół.

Otoż poseł lubelski, jeden z przywódców dosyć jeszcze wtedy nielicznego stronnictwa, które trzeźwo i rozsądnie zapatrywało się na sprawy publiczne, miał właśnie zaproszeniem kilku „obojętnych” tentować pomnożenie swojego zastępu.

Do sejmu wchodziła właśnie sprawa bardzo ważna. Był to projekt ratyfikacji zaborów pruskich, o który właśnie naciskał pełnomocnik króla pruskiego. Sprawa ta przechodziła różne koleje losu. W samych początkach widoczną rzeczą było, że Rosya tym zaborom nie sprzyjała. Żal jej było uronić tak piękny kawał ziemi polskiej, którą już w marzeniach swoich za swoją uważała. Dla tego postępowanie pełnomocnika rosyjskiego w obec tej sprawy było tak

chwiejne, że niektórzy patryoci wzięli ztąd assumpt, zaproponować Rosyi wcielenie do swoich posiadłości całej Polski, bez żadnych jakichkolwiek podziałów. — Projekt taki osłaniany był pewną dyplomacją, że cała Polska pod panowaniem jednego mocarstwa prędzej ciosy czasu wytrzyma, aniżeli rozwałkowana pomiędzy trzech zaborców. Mała garstka gorących patryotów, którzy tylko Rzeczpospolitą ratować chcieli, nie oglądając się na widoki dyplomatyczne, skorzystała z tej niewyjaśnionej sytuacji pomiędzy dwoma zaborcami mocarstwami. "Mając po jednej stronie dwulicowość Rosyi, co już bardzo wiele znaczyło, rzuciła się ta gorąca garstka z całą siłą na zabory Prusaków, wzywając wszystkie potęgi nieba i ziemi na świadków gwałtu popełnionego na Rzeczypospolitej przez jej lennikakróla pruskiego.

Tak trwało czas niejaki. Wypadki nad Renem zmusiły Rosyę do przyjaźniejszego w obec Prus stanowiska, a pełnomocnik rosyjski odebrał rozkaz nie tylko zaborom pruskim nie opierać się, ale nawet wymódz na sejmie ratyfikacją tychże zaborów.

Dla niektórych polityków sejmowych był to zwrot dosyć niemiły. Stracili oni przedewszystkiem grunt polityki swojej, w obronie której szermowali. Nie można już było tak często odwoływać się do opieki Rosyi która, teraz w sposób wcale niedwuznaczny dzieliła się zdobyczą swoją z sąsiadem.

Garstka szlachetnych patryotów skorzystała z tego widocznego wyklarowania się zamiarów Rosyi, których jedni nie widzieli, drudzy widzieć nie chcieli, i stanęła

jak szczupły zastęp Leonidasa na wyłomie, aby zobojetniałych przyciągnąć do swoich szeregów.

W sejmie podniosły się głosy Szydłowskiego, Gosławskiego, Karskiego, Skarżyńskiego i innych gorących obrońców Rzeczypospolitej, a groźna, tragiczna sytuacja podniosła ich wymowę do wymowy cycerońskiej!

Głosy takie w obec wojsk pruskich i rosyjskich znamionowały nie tylko wielką odwagę cywilną, ale były nawet dowodem najszczytniejszego poświęcenia się dla sprawy ojczyzny. Majątki bowiem tych posłów leżały przeważnie w zaborach nieprzyjacielskich, a pełnomocnicy mocarstw rozbiorowych nie szczędzili pogróżek, że za nieprzychylnie głosy będą odbierać majątki, lub je wojskiem niszczyć.

Posłowie ci więc nie tylko sami narażali się na niebezpieczeństwo osobiste, ale narażali nawet mienie swoje, rodziny swoje — wszystko co tylko człowiek poświęcić może.

Stanowisko patryotów, które tyle żądało od człowieka, było zaiste stanowiskiem nader trudnem.

To też wszystkie inne stronnictwa, które mniej poświęceń żądały, miały łatwiejszy przystęp do masy sejmowej, samą sytuacją zrozpaczonej.

Mimo to garstka bezwzględnych patryotów, która nie widząc żadnego wyjścia z tak groźnego położenia, chciała przynajmniej ocalić honor narodu, chciała walczyć i poledz, aby następnym pokoleniom zostawić przykład wielkiego poświęcenia się, a dworom i mocarstwom zagranicznym dać świadectwo, że polityczna struktura narodu runęła pod ciosami nieprzyjaciela, ale

naród sam nie dostarczył do tej destrukcji ani jednej siekiery !

Takie było hasło tej małej garstki, a że to hasło było szlachetne, więc łatwo mu było pociągnąć za sobą większą część sejmowych posłów.

Obok tej garstki bezwzględnych patriotów byli inni, którym zkądinąd nawet nie można było odmówić miłości ojczyzny, którzy jednak na sprawy zapatrywali się z innego stanowiska.

Byli to ludzie chłodniejszego rachunku. Policzyli oni straty i zasoby i według tego bilansu rysowali plany najbliższej przyszłości, jakiej według ich zdania nie można było uniknąć.

Główne te dwa obozy zrodziły kilka mniejszych obozów, w których wywieszano pożyczone z tego lub owego obozu sztandary.

Taka była sytuacja, gdy poseł lubelski IMpan Miączyński zwołał do siebie kilkunastu posłów, aby prywatnie o sprawie publicznej z nimi pomówić.

Ciasne komnaty posła lubelskiego rozprzestrzeniły się dla upragnionych gości jak serce jego, które wszystkich z wielką uprzejmością witało.

Po pierwszych kielichach wina i małej przekąsce, za którą gospodarz nieustannie gości swoich przepraszał, rozpoczęły się narady i przemówienia, które głównie miały na celu kilku tak zwanych obojętnych posłów, aby ich na swoją stronę przyciągnąć.

— Mości panowie! ozwał się gospodarz z powagą na czole, klnę się na Boga żywego, jeżeli w słowach moich choć kropla interesu prywatnego leży!

Wolałbym pierwiej pierś moją o groty nieprzyjacielskie rostrzaskac, niżeli zkąd bądź mógłby mnie podobny zarzut spotkać!

— Precz z tym, któryby coś podobnego myślał, zawołał poseł Drewnowski, niech żyje nam poseł lubelski!

Głośnym okrzykiem powtórzono te słowa.

IMp. Miączyński mówił dalej: — Powiedziałem dla tego te słowa, bo wiem, że sa między nami judasze, którzy miech swój napełniają przy zgłiszczach ojczyzny, którzy nikczemną zdradą wykopują grób dla Rzeczypospolitej L.

Na te słowa wystąpił średniego wzrostu mężczyzna, z twarzą pełną i przeredzonymi na głowie włosami. Mogł liczyć około lat . Siwe, bystro patrzące oczy były głęboko osadzone pod wystającym czołem.

Posel wołyński ! Posel wołyński! zawołano chórem.

Posel wołyński IMpan Adam Podhorski spojrzal surowem wejrzeniem do koła, zrobił ręką giest danku dla swoich towarzyszy i rzekł:

— Słowa szlachetnego IMpana Miączyńskiego, posła lubelskiego powinny być złotemi literami na marmurowej tablicy wryte w sali sejmowej, aby każdy z posłów wiedział o tem, że każde słowo jego tam wymówione jest albo balsamem dla ukochanej ojczyzny, albo otwiera pod jej nogami grób przedwczesny!

Obecni wznieśli okrzyk na cześć posła wołyńskiego.

— Mości panowie ! mówił dalej gospodarz. Jest wiele rodzajów zdrad, które popełniają się w sprawach publicznych ! Za pieniądze można podłożyć zażogę pod własną stodołę, jeśli zboże już jest wymłócone, — ambicja może z zimną krwią uderzyć puginałem w samo

serce narodu — a nawet widoki wygodnego kawałka chleba mogą człowieka tak dalece zaślepić, że już nie widzi, gdzie się kończy cnota, a gdzie rozpoczyna zbrodnia — ale najgorsza ze wszystkich zbrodni jest krótko widząca ślepotą i żądza oklasków gminu, który po za oknami sali sejmowej stoi!

Milczenie ponure zapanowało w komnatach. Po chwili mówił gospodarz dalej.

— Ten rodzaj zdrady Rzeczypospolitej, mości panowie, jest najniebezpieczniejszy! — Zdrajcy mają larwy patryjotów, giesta ich teatralne wywołują u głupiego gminu oklaski, a płytko widzący skryba zapisuje ich imiona w poczet bohaterów, którzy nawet dla oddalonych pokoleń niezawodnie niemi zostaną! Przeciw takim ludziom trzeba nam walczyć, walczyć z tą nadzieją, że może większa część spektatorów bynajmniej nam wawrzynów za tę walkę nie przyzna!

— Ale walka taka jest godna prawdziwych synów ojczyzny ! zawołał poseł Józefowicz.

Poseł lubelski mówił dalej:

— Trudną jest mości panowie ta walka, bo ona nie ma w kołzanie ani słów krasomówczych, ani tego koturnu, który taką impresją sprawia na gmin szlachecki ! Tysiąc razy łatwiej jest jednym zręcznym słowem wszystkie tyse pałki rozpałić, niżeli całym długim kazaniem przyprowadzić je znowu do chłodniejszej temperatury !... Otoż takich adwersarzy mamy przed sobą!

Po niejakiu pauzie mówił poseł dalej:

_ Lud prosty w ciemnocie swojej przenosi gusła i ziołowe leki bab starych, nad nóż chirurga, który mu

raka z ciała wyrzyna — bo gusła nie bolą, a zioła nawet czasem chwilową ulgę sprawiają, chociaż nóż felczera jest w takim razie jedynym rozumnym lekarstwem ! Otoż i my mamy takiego chorego, a jest nim Rzeczpospolita. I tam rak roztoczył już połowę członków, i tam tylko nóż felczera może być skutecznym a jednak są lekarze, którzy zamiast dodać choremu odwagi do koniecznej operacji, radzą mu gusła i różne ochładzające ziółka, każą mu umierać z bohaterstwem! Mości panowie, to źli lekarze! A jednak gdybyśmy chorego zapytali, co woli, czy stracić kilka chorych członków przez nóż felczera, czy używać dalej guseł i tyzanny, to nie trudno jest odpowiedź jego odgadnąć! — Mamy więc wiele, prawie wszystko przeciw sobie, a nawet opinia publiczna na złe tory wprowadzona obrzuci nas błotem nienawiści — czyż mamy przeto zakładać ręce i nic nie robić? Czyż mamy spokojnie słuchać stróżów wołających: Jam ardet ultima domus Uscalegon!" i nie przyłożyć ręki do zagaszenia nieszczęsnego pożaru, aby choć coś z mienia naszego uratować !... Czyż mamy nierozsądnie pozwolić na całopalenie ojczyzny dla tego, że to dla kogoś piękny widok sprawia ?...

Głuche milczenie zapanowało między obecnymi.

Poseł lubelski mówił dalej : — Są w gronie posłów ludzie, którzy nie dbając na obecne położenie Rzeczypospolitej, chcą krasomowczem oratorstwem przejść do pamięci potomnych! Szczęść im Boże ! Ale głębiej swoje obowiązki czujący synowie ojczyzny, muszą obok nich podjąć się pracy prawdziwie patryjotycznej, aby pozostałość po wielkiej naszej ojczy

żnie z rozumem i rozsądkiem do 'porządku przyprowadzić ! Niech więc przy pogrzebie wielkiej sarmackiej sławy naszej zawodzą płaczkowie w niebogłosa, a my tymczasem zajmijmy się tern, co po niej jeszcze nam pozostało ! .
— Każdy prawdziwy patriota winien ci dank szanowny pośle lubelski, ozwał się Wilamowski poseł Zakroczymski, a to tem bardziej, że w tak gorącym czasie trzeba mieć niepospolitą odwagę powiedzieć: stało się! Nie mamy siły, aby rzeczy odmienić!

— Tak jest, odwagi trzeba, mówił poseł lubelski, a jak dawniej mówiono, że każdy szlachcic może zostać królem, tak i ja teraz powiadam, że między nami może nawet już jest bohater, który nie ulęknie się powiedzieć to narodowi!

Po tych słowach nastąpiło grobowe milczenie. — Jeden spojrział na drugiego, iżeli nie jest tym bohaterem, bo sam żaden być nie chciał, czy nie mógł!

Jeden tylko z posłów stał ponuro z czołem zmarszczonem i patrzył przed siebie. Na jego twarzy, poradlonej wcześniej silnemi namiętnościami malowała się jakaś myśl wielka, myśl bohaterska!...

Gospodarz mówił dalej:

— Wiadomo wam mości panowie, że Prusacy wojskiem swoim okupowali znaczną część Rzeczypospolitej i dzisiaj przez swego pełnomocnika zadają, aby sejm z królem ratyfikował ten zabór gwałtem wprzódz dokonany !

Wielkie poruszenie dało się słyszeć między posłami zwanymi „obojętnymi.”

— Zabór ten gwałtem dokonany, mówił dalej poseł lubelski, jest nader bolesnym ciosem dla ukochanej naszej ojczyzny, aby o nim bez łez w oczach mówie można!...

Mówca otarł oczy i mówił dalej:

— Ale cóż nam rozpacz pomoże? Czyż mamy siły, aby zaborcę odeprzeć? Czyż mamy żołnierza gotowego do boju, czy mamy broń i jueniądze L Bóg wysoko, a Inonarchowie i ludy od nas,daleko, bardzo daleko!... Cóż robie mamy w takiril razie? Czyż mamy naśladować tych, którzy tylko o to dbają, aby piękne ich mówki do historyi jak najprędzej przeszły?... Nie, nasz obowiązek jest cięższy, daleko cięższy! My mamy zatwierdzić, co nam przemoc odebrała, aby wszystkiego nie stracić!

Poruszenie między obojętnymi coraz większe. — Poseł mówił dalej :

— Ktokolwiek z zimną rozważą nad tem myśli, ten obaczy niezawodnie, że zatwierdzając dobrowolnie to, czego już odebrać nie możemy, mamy przynajmniej, sposobność traktować z nieprzyjacielem o lepsze warunki. A są to warunki, które bardzo daleko sięgają.. Naród może częściowo przejść pod panowanie obce, ale na to baczyć należy, aby nie podcięto mu żył, któremi krew jego do serca dochodzi i tam się odżywia! Sa na przykład stosunki handlu i przemysłu, są interesa pieniężne i majątkowe, które bardzo wiele ucierpiałyby na tem, gdyby zaborca bez względu na nie sobie postąpił! A ten postąpi tak niezawodnie, jeżeli z naszej strony napotka na upor bezpożyteczny!...

Zaleski, Puławski, Józefowicz, Drewnowski zgadzali się zupełnie ze zdaniem posła lubelskiego, gdyż.

i oni w ten sposób zapatrywali się na kwestją zaboru pruskiego.

Poseł wołyński Podhorski milczał i nic nie mówił. Czasami tylko spojrział na gospodarza, a wtedy dziwny wyraz przebiegał przez twarz jego.

Posłowie zaś obojętni podzielili się na dwa kółka. Jedni potakiwali mówcy, który w obronie materialnych interesów mówij, drudzy nie mogli jeszcze pogodzić się z tą myślą, aby sejm miał dobrowolnie podpisać akt zaboru pruskiego! Stronnictwo rosyjskie mogło jeszcze mieć jakieś złudzenia, ale Prusak, który tak bezczelnie sobie z Rzeczpospolitą postąpił, był tak od wszystkich zniechęcony, że sprawa ratyfikacji jego zaborów, była sprawą dla wielu posłów niemożliwą!

Wiedział o tem poseł lubelski, to też widząc wahanie się niektórych posłów, rzekł do nich:

— W sprawach publicznych jest pora, gdzie można być patriotą i nikomu ze swoich nie narazić się. Ale jest także czas, w którym prawdziwy patriota zostanie nazwany zdrajcą i odszczepieńcem... i będzie oplwany i obczowany.

— Przyznacie mości panowie, ozwał się poseł wołyński, że wielką zasługą w obec potomności, a rozkoszą wielką dla siebie samego jest — być takim patriotą!

— Poklask gminu jest tylko nagrodą słabych duchów! zauważył Zakroczyński, oni już za życia całą swoją nagrodę odebrali! Nagroda zaś takiego męża, o którym Impan Miączyński tak wymownie mówił, jest nagrodą przyszłości!

Gdy po kilku przemówieniach wreszcie uciszyło się zgromadzenie, rzekł poseł lubelski:

— Otoż, kiedy już pojęliście mości panowie intencje moje, to radźcie na tem, aby temu bezrządowi, jaki w sejmie panuje, koniec położyć, aby naród raz przyszedł do uspokojenia, choćby to rękę lub nogę kosztować miało!

Wielu posłów, którzy byli adherentami posła lubelskiego zgadzali się zupełnie z nim i kwiecistą elokwencyą zaczęli rozprawiać nad tem, co im poseł lubelski w kilku słowach rzucił.

Po licznych przemowach zgodzono się wreszcie, aby jeden z posłów wniósł do sejmu projekt ratyfikacji zaboru pruskiego pod obrady.

W dzisiejszym stanie rzeczy, przy tak rozgorączkowanem usposobieniu większej części izby rycerskiej był to projekt nader zuchwały.

Wielu uznało potrzebę takiego projektu, ale żaden nie miał odwagi, jak się wyrażano — być bohaterem!

Na to ozwał się Adam Podhorski poseł wołyński:

— Poseł lubelski, czcigodny nasz gospodarz, trafnie odmalował wizerunek patrioty, który nie troszcząc się o poklask gminu, poświęca się na stosie ofiarnym dla ukochanej ojczyzny!.. Powiedział dalej, że taki bohater jest między nami!... Szukam go oczyma, nad słuchuję uchem, ale nie widzę, nie słyszę go! Czyż go nie masz między nami? Czyż rzeczywiście miałoby być tak trudno zostali takim bohaterem?... Zaiste, trudno, bardzo trudno!... Taki bowiem bohater będzie od wszystkich okrzyczany zdrajcą, odstępcą! Będzie męczennikiem,

więcej niżeli męczennikiem! Bo męczennikom katowano tylko ciało, a tutaj katować będą ducha!...

Na te słowa nikt nie odpowiedział. Ponure, głuche zapanowało milczenie...

Podhorski z ironicznym uśmiechem patrzył w około. Na jego zbyt wczesnie pomarszczonej twarzy grały dziwne uczucia. Zdawało się, że w tej chwili jest Diogenesem, który z zapaloną latarką szukał wśród dnia — człowieka.

Tak jest, poseł wołyński szukał w tej chwili człowieka, ale jakim miał być ten człowiek, o tem prawdopodobnie nikt z obecnych nie wiedział.

Po chwili podniósł głos i rzekł z ironicznym uśmiechem:

— Ponieważ do tego bohaterstwa żaden nie zgłasza się bohater, toż w imię Trójcy przeniąższej biorę ja te laury, czyli tę koronę cierniową na moją głowę i zakosztuję tego jądła gorzkiego, jakim Homer nie raz karmił Achila i Hektora! Projekt ratyfikacji wniosę do sejmu, chociaż wiem, jaka odprawa mnie tam spotka! Wiem, od tej chwili, w której projekt mój złożę u laski marszałkowskiej, nazwą mnie zdrajcą i odstępcą wszyscy ci, którym cierpienia Rzeczypospolitej sprawiają dreszcze zaskórne, którym pożar domu ojczystego przedstawia zbyt wspaniały widok, aby się wzięli do gaszenia! Przy gaszeniu można się osmolić a nawet upiec, a patrząc zdala i jak Neron na widok gorejącego Rzymu — piosnki poetyckie układać, lub krasomowstwem bawić się jest tak miło, tak przyjemnie i tak mało kosztuje!... Otoż ja mościpanowie wezmę się do gaszenia tego pięknego pożaru, chociaż wiem, jakie męczeństwo czeka

mnie za to!... Jutro wniosę do sejmu projekt ratyfikacji zaboru pruskiego.

Gdy poseł wołyński mówić przestał, adherenci Miączyńskiego zbliżyli się do niego ściskając go i całując.

Kilku z posłów obojętnych podało także rękę przysłemu męczennikowi, ale reszta wysunęła się cichaczem i pogrążona w wielkim smutku rozeszła się do domów swoich.

Dnia Sierpnia zagaił biskup chełmski Skarszewski sejmowe posiedzenie i przedłożył obradującym protokół deputacyi konferującej z posłem pruskim.

Akt ten wielkiej wagi odczytano wśród głębokiego milczenia. Oświadczenia rządu pruskiego, zestawione z niedawnym oświadczeniem, że „król pruski patrzy z ukontentowaniem na pomyślność Polski, że powodzenie tejże zawsze go interesować będzie i że Polska zawsze w nim znajdzie alianta szczerego” sprawiły na posłach bardzo głębokie, boleśne wrażenie.

Ten „szczyry aliant Polski” żądał teraz bezzwłocznego zatwierdzenia zaborów swoich dokonanych gwałtownie za pomocą wojska.

Jakby anioł śmierci przeleciał przez sale sejmową, taka grobowa cisza panowała. Gdzie niegdzie zwilżyło się oko, siwą brwią nakryte; gdzie niegdzie ogorzała ręka szukała rękojeści szabli, która ongi z królem Jagiełą zapisywała traktaty na karkach krzyżackiego zakonu... ..

Nikt nawet głośniejszemu nie odetchnął, nikt nie westchnął, bo westchnienie to zapowiedź ulatującego bólu... a tu ból był jeszcze tak wielki!...

Śród tej ciszy grobowej podniósł się jeden z posłów i bystrem okiem powoli powiódł po całym skamieniałym zgromadzeniu...

Był to Adam Podhorski, poseł wołyński.

Rozpoczął mowę, w której usiłował nakłonić sejm do wzięcia pod zimną rozważkę tego, czego odmienić nie można...

Głos jego był drżący, ale podstawę miał śmiałą

i butną ...

Już przy pierwszych słowach, z których poznano do czego poseł wołyński dąży, zakrzyczano, zahuczano go, nazwano go najemnikiem pruskim, nikczemnikiem, skoro z tak zimną krwią odważa się na taką propozycją sławie narodowej... Okropna burza powstała w sali sejmowej.

Podhorski stał niejakiś czas wśród tej burzy jak maszt tonącego okrętu... stał nieruchomy jak głaz przyrosły do dna morza... patrzył z wyrazem żalu na wzburzonych towarzyszów... zbladł potem. .. usta zadrżały mu spazmatycznie... i usiadł.

Powstał Karski, poseł płocki i gorącą przemową zaklął króla i sejmujących, aby ojczyzny rozszarpywać nie dali ! — Najjaśniejszy panie, rzekł między innymi do króla, oto przychodzi moment, w którym masz spełnić, co w owej odezwie do narodu powiedziałeś: iż „gdyby mi tyle zostało ziemi, co ją kapeluszem nakryję, królować będę”... pomnij teraz królu, że ta szczupła ziemia bryła,

pełna łez i narzekania, nie dałaby ci dni twoich dokończyć !... Tam powiedziałeś jako człowiek, tu zaś pokaż się jako król i głowa narodu !... I wy Stany najjaśniejsze! Poruszcie się na łzy nieszczęśliwych współbraci, a nie ściągajcie ręki, jak tylko na ich otarcie, aby w tym składzie sejmu nie wyrzucono nam, żeśmy przykładali się do rozszarpania, do jęku i kajdan dla współbraci naszych ! Niech jak kto chce postępuje, ja jak zawsze tak i teraz wzywam na świadectwo te mury w tej świątyni i was najjaśniejsze stany i ciebie ojcie ojczyzny, iż nigdy nie byłem przyczyną do zguby współbraci i ojczyzny mojej i jak zawsze przeciw wszelkim gwałtownościom protestowałem, tak i teraz przyrzekam księgami protestować się mówiąc : gwałt i przemoc podłością zajął, gwałt i podłość z intrygą, oddają w kajdany współbraci i ojczyznę naszą!..."

Poruszenie wielkie powstało w sali, ocierano łzy z oczu ... gdy poseł Szydłowski powstał i gorącymi słowami objawił rozpacz swoją nad nikczemnością tych, którzy podpisanie zaboru doradzają!

— Widzimy już przezacne stany, mówił między innymi wśród wzruszenia, że z tej relacji deputacyjnej powstaną takie same skutki, jakie mieliśmy z Rosyją przed ratyfikacją traktatu zaborczego na nas wymuszonego. Po odbytej tej formalności wypadłaby druga, iżby ktoś z I. W. W. Sejmujących, oświadczywszy teatralnie żal swój nad zgubą ojczyzny i zwaliwszy upadek jej na zeszyły sejm rewolucyjny, podał projekt nakazujący delegacyi podpisać takież z królem pruskim traktat, jaki mu opłaciwszy podyktował jego minister. Zapobiegając takiemu podstępowi, protestuję się najso

"lenniej przeciw każdemu z I. W. W. Posłów, któryby takowy śmiał podać i prosić go będę z sobą pod łaskę!... Niech Najjaśniejsze stany ginę od przemocy, niech z woli i wyroku waszego spadnie moja głowa, albo niech padnie głowa jednego z tej większości skonfederowanej na zgubę ojczyzny!..."

Po tej mowie podał projekt deklaracji względem negocjacji z posłem pruskim.

W tej deklaracji radzi zerwać z negocjacją pruską, gdyż w słowach posła pruskiego nie tylko nie ma dobrej wiary, ale nawet pozornej uczciwości.

Wzruszona do łez większość sejmu oświadczyła się za ta deklaracją, tylko mała garstka, na której czele stali Miączyński i Zaleski była za odroczeniem.

Odrzucone taką większością rokowania z Prusami, oburzyły w najwyższym stopniu pełnomocnika pruskiego, który w kłopotcie takim zażądał pomocy pełnomocnika rosyjskiego.

Pełnomocnik rosyjski radził oszczędnemu słudze króla pruskiego większą nieco hojność w rozdawaniu pieniędzy, jako jedynie skutecznego środka. Równocześnie wystosowano dwie noty jednej barwy do sejmu, jedne imieniem Prus, drugą imieniem Rossyi, aby na opornych posłów wyrzucić należyte naciski.

W tej samej nocy, kiedy noty te pełnomocnicy państw zaborczych układali, zgromadzeni u IMpana Miączyńskiego posła lubelskiego adherenci jego, ułożyli także projekt, który nazajutrz miał w sejmie wnieść bohater, przeznaczony z góry na męczennika IMpan Adam Podhorski, poseł wołyński..

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali brzasku dnia, który miał teraz powierzone tak wielkie zadanie ! Jedni drżeli z gniewu i hańby na widok tego dnia pamiętnego, inni obliczali zimniej możliwe szanse walki parlamentarnej i możliwego zwycięstwa !. . .

Marszałek zagałę sejm dnia dzisiejszego oznajmieniem, że nadeszły dwie noty od pełnomocników: pruskiego i rosyjskiego, których przeczytanie sekretarzowi polecił.

Ambasador rosyjski Sievers gniewał się w swej nocy na sposób nieprzystojny i obrażający, którym przyjęto projekt traktatu, zabraniając wrzawę i złorzeczenie posłom inaczej rzecz pojmującym mowy. Groził dalej niebezpieczeństwem, które wisi nad Rzeczpospolitą i wzywał do zimniejszego rozsądku, który traktat zaborczy natychmiast podpisać każe, jeżeli Polska większej straty ponieść nie chce!...

W tym samym duchu napisana była nota pruska.

Minister pruski Buchholz z zadziwieniem widzi nieprzystojne zachowanie się sejmu, co dowodzi ducha rozwiązłości, i wzywa stany do natychmiastowego podpisu traktatu zaborczego, inaczej generał Mollendorf otrzyma rozkaz zajęcia ziemi Krakowskiej i innych krajów Rzeczypospolitej !...

Wyrazy wzgardliwe, jakich użył w nocy swojej pełnomocnik pruski, wywołały w sejmie niesłychaną burzę! Szydłowski, Mikorski, Gosławski, Skarżyński domagają się natarczywie głosu, aby na tak nikczemne

słowa do sejmu wystosowane godnie odpowiedzieć — podczas gdy Plichta, Kimbar, Staiński, Karski i Krasnodębski, popierani przez licznych adherentów, żądają uchwały projektu Szydłowskiego, aby rokowanie z Prusami zerwać !

Wśród tej wrzawy i tego zamieszania podnosi się nieustraszony bohater i żąda głosu.

Poseł wołyński był dzisiaj bledszy niż zwykle. Na twarzy jego było widać ślady nocy bezsennie spędzonej.

Na jego widok rozpoczyna się w sejmie piekielna wrzawa.

Podhorski zaczyna mówić... podnosi głos coraz wyżej . . . wreszcie krzyczy — ale krzyk i wrzawa całej sali nie dała mu mówić ...

Zacisnął usta, rzucił ognistym okiem do koła i z zanadru wy dobył zwinięty papier. Oddając go marszałkowi żąda przeczytania onegoż.

Był to projekt ratyfikacji zaborów pruskich.

W całym sejmie powstaje straszliwa burza.

Zarliwi posłowie: Szydłowski, Jankowski, Kimbar, Gosławski, Staiński, Skarzyński, Krasnodębski, Karski nazywają Podhorskiego po prostu zdrajcą, zarzucają mu złamanie przysięgi targowickiej utrzymania w całości dzierżaw Rzeczypospolitej złożonej i żądają sądu jako na zdrajcę!

Szydłowski drżący od wzruszenia woła między innymi:

— Wczoraj powiedziałem, iż każdego z sejmujących będę miał za nieprzyjaciela, któryby się tak na swą ojczyznę zawiązał i taki podał czerogę, jakim jest

projekt Podhorskiego!... Jestem w tej determinacji Królu miłośnicy i dzisiaj, prosząc W. K. Mci o wyznaczenie sądów sejmowych. Idę pod laskę zadając J. p. Podhorskemu zdradziectwo ojczyzny i złamanie przysięgi konfederacji targowickiej... i nie ustąpię z pod laski, aż się doczekam tej dla ojczyzny pociechy, że ziemia nasza krwią zdrajcy oblaną zostanie!

Powiedziawszy to, Szydłowski wyszedł pod laskę,

Inni posłowie zażądali, aby Podhorski również pod laskę poszedł.

Podhorski powstał, wzdurzone spojrzenie rzucił wyzywającym, mówiąc, że kiedy izba jego projektu nie słuca, toć go i sądzić nie może!

I usiadł spokojnie.

Gdy liczni posłowie cisnęli się do marszałka, aby złożony tamże projekt odczytać, zabrał głos Gosławski, poseł sandomierski :

— Cnotliwy nie unika sądu ! Z chęcią niewinność swoją poddaje pod wyroki jego... Jeżeliś cnotliwy, nie lękaj się sądu, idź pod laskę, gilzie cię kolega wzywa zarzucając ci zradę !... Jeżeli zaś unikając sądu, tym czarnym zarzutem okryty, przez tłumaczenie się winy nie zmażesz, ja sam wstydzilibym się tutaj posłować, gdybym widział ciebie* w gronie prawodawców mieszczącego się !...

Teraz adherenci Podhorskiego, Miączyński, Wilamowski, Józefowicz uznali za obowiązek swój przyjść w pomoc posłowi wołyńskiemu.

Nalegali na marszałka, aby ów projekt odczytać kazał.

Z drugiej strony burza i wrzawa, że izba znajduje się w stanie biernym, gdyż projekt jest pod zarzutem, a wnioskodawcę nazwano zdrajcą.

Stronnicy Podhorskiego bronią, adwersarze rzucają nań przekleństwa, wrzawa wzrasta co raz więcej — a wśród tego siedzi poseł wołyński na swoim miejscu jak głaz nieporuszony!

W tem król zażądał głosu i sessją salwował.

Postawa sejmu mocno dotknęła pełnomocnika pruskiego. Udał się znowu do Sieversa, aby bojaźnią i postrachem działał na umysły sejmujących.

Sievers przyrzekł to uczynić. Do marszałka Tyszkiewicza napisał list, aby tenże wydalil z sali wszystkich tam nie należących, którzy obecnością swoją posłów do patryotycznych mów zagrzewają.

Jakoż zaraz dnia następnego, gdy się sala nappełniła, stało się zadość żądaniu ambasadora. Tyszkiewicz sam chodził po sali i wypraszał konsyliarzy konfederackich i inną niesejmową publiczność.

Postępek ten marszałka wywołał wielkie wzburzenie.

Powstał Gosławski i zawołał: — Mości panie wielki litewski marszałku! Znajoma nam cnota i sentymenta obywatelskie WPana wąpścić każą, abyś ten gwałt wbrew prawni i przysiędze marszałka sejmowego, przytomność konsyliarzom i sędziom ostatniej instancyi zapewniającej, podobne jak widzimy przedsiębrał kroki — prosimy, wskaż nam tę przemocną rękę, która cię do tego zagnała; albo gdy prawo

złamane widzimy, wyjdziemy i my z izby, jeżeli konsyliarze wpuszczeni nie zostaną.

Marszałek taką przemową zawstydzony obiecuje wyjaśnić swoje postępowanie przez okazanie powodu, który go skłonił do tej czynności.

Wyprosiwszy więc wszystkich arbitrów z sali. daje głos marszałkowi sejmowemu, aby sejm zagaił — gdy nagle na progu pojawia się Podhorski.

Nieopisana burza powstała w sali. — Zdrajca! Nikczemnik! Precz! zawołano zewsząd jednogłośnie.

Podhorski śmiało postąpił kilka kroków naprzód. Na ustach jego igrał uśmiech ironiczny, w oczach błyskał ogień pogardy.

Wtem dziwny widok odsłonił się teraz patrzącym.

W około posła Wołyńskiego zwinął się ruchomy kłębek; piekielna wrzawa zmieszana z krzykiem Podhorskiego rozległa się po sali... podwoje sali rozwarły się z trzaskiem, a poseł wołyński wyleciał na kurytarz!

Na kurytarzu stali hajducy sejmowi i służba posłów.

Podhorski spojrział na ten gmin przedSIONKOWY, a ten gmin śmiał się teraz z niego i okiem wzgardy mierzył niezrozumianego patryotę!...

W pierwszym impecie zacisnął Podhorski pięście i chciał wrócić do sali, ale po chwili namysłu opuścił ręce i z głową ku ziemi spuszczoną wyszedł na ulicę, a przechodniom ciekawym witającym go uśmiechem pogardliwym zdawał się mówić : Przebaczam im, bo nie wiedzą co czynią!..

Tymczasem w sali sejmowej nastała cisza grobowa. Doraźny sąd, wykonany na jednym z posłów poruszył wszystkich smutną obawą tego co nastąpić może!... Więzy tysiącletniej budowy widocznie już pękały...

Marszałek sejmowy powiedział mowę pełną namaszczenia. Sięgnął aż do historii starożytnych narodów, które niezgodą upadały!... Potem przedłożył sejpawowi notę, a wielki marszałek litewski oddał list Sierersa pisany do niego, oświadczając, że do tego co czynił, był przymuszony.

Izba każe ten list jako ślad gwałtu przeczytać i w dyaryuszu sejmowym pomieścić.

Po czym przeczytano notę ambasadora rosyjskiego.

W tej nocy upomina znowu ambasador sejmujących, że excessa popełnione w izbie tylko na niekorzyść Rzeczypospolitej wyjść mogą i znowu groził generałem Móllendorfem, jeżeli sejm traktatu zaborów pruskich nie podpisze!

O tych zaś, którzy tego zaboru uznać nie chcą, pisze ambasador: „Ci mniemani patryoci będą odpowiadać przed całym narodem za swoje postępowanie i za okropne skutki swego uporu, w oddaleniu się od jedyne go sposobu, który im pozostaje ku upewnieniu przyszłej Ich ojczyzny egzystencyi!...

Posel Gosławski wnosi, aby ta nota udzieloną była wszystkim posłom zagranicznym tak w Grodnie przytomnym jako i w Warszawie mieszkającym.

Powstał po nim Szydłowski i zawołał między innymi:

— Trwam w przedsięwzięciu na dniu wczorajszym wy rzezonem, bo odstąpić od niego bez zdradzenia własnego przekonania nie mógłbym... a czyn takowy więcej nie jest do wykonania niepodobny, niż tysiąc razy dobrowolnej przyjęcie śmierci... A protestując przeciwko projektowi W. Podhorskiego znać go ani słyszeć nigdy nie chcę, i com dotąd wyrzekł w oczach Boga, króla, narodu i was przezacni koledzy, najuroczyściej dotrzymać przysięgam: albo go nigdy tutaj nie ujrzę!

Gosiawski po nim rzekł :

— Kiedy Rzym zbliżał się do upadku, kiedy Rzymianin spodlony wyrzekł się swej ojczyzny, a znarowiony zbytkiem, brzęk złota nad ojczyznę przekładał, wtenczas to właśnie Katyliny się zrodziły, wtenczas to dla podłości otworzone były żniwa dla zbioru bogactw !... Lecz los, co w najsmutniejszych chwilach dawał ojczyźnie wielkich mężów z pośród zepsutych Rzymian przeznaczył cnotliwego Cyncerona, by odkrywając spiski i zdrady, cnotliwy dowiódł, że wyrodny Katylina sprzysiął się na zgubę ojczyzny!... Znalazł się rodzaj Katylinów szkodliwych ojczyźnie naszej, lecz przecież nie braknie nam na Cynceronach!... Niepróżnie cnotliwy Szydłowski wyrzekł z determinacją, że z chęcią podda głowę pod sąd, lecz by zdrajcy głowa obok jego padła! Być może, że głowa tego cnotliwego padnie z karku pod miecz mściwego gwałciciela, ale nie sam tej zemsty zostanie ofiarą. Ja pierwszy będę następcą jego, chętnie składając moją głowę, bym mojej ojczyźnie szkodliwych umniejszał Katylinów! Przczytane noty mająż nas straszyć?... Niechaj gwałciciel

obszerniejsze na ziemi ojczyzny dla swojej chciwości naznacza granice... niechaj województwo moje, którego jestem reprezentantem zabiorą, ja poniosę pod wyrok moich spółbraci głowę... Zostawiłem ojca mojego okrytego siwizną, z szczupłym majątkiem, który i dla mnie miał być udziałem... chętnie i z tego uczynię ofiarę, bym sam był wolny od narzekania spółbraci, zem do ich niewoli nie należał!...

Wtem podniósł się król i przemówił do sejmujących.

Mowa jego była owiana żalem i boleścią, ale wykazywał w niej niepraktyczność tego bezowocnego żalu i boleści. Boli go, że prawdę musi powiedzieć narodowi, ale poczytuje to za swój obowiązek jako siedzący na strażnicy narodu.

Dotychczasowy opór sejmu był godny synów ojczyzny, ale dalej... cóż dalej ? Imperatorowa, od której spodziewano się za odstąpienie kawałka Rzeczypospolitej opieki, dzisiaj tej opieki dać nie może. Król pruski posunie dalej zabory, nadzieje jakiejkolwiek pomocy nikną...

— Chwalebna jest ofiara każdej indywidualnej osoby zasiadającej w tem gronie — mówił dalej król głosem wzruszonym, — że życie swoje poświęca za ojczyznę, godna uwielbienia posła mówiącego, że ojca swego okrytego

siwizną wraz z majątkiem exponuje ; może każdy za siebie i za krewnych swoich tak odpowiedzieć, ale moją jest powinnością, jako powszechnego ojca narodu, jako króla zdjąć tę powłokę, która w patryotycznym zapale ćmi oczy i powiedzieć: wnijdzie głębiej wojsko pruskie, wydrze kilkadziesiąt tysięcy rekrutów, wyciśnie milionowe kontrybucje, zniszczy

kraj i zrobi jeszcze ztąd większe pretensje do udziału Polski... Proszę więc, abyście takie przedsięwzięli środki, któreby nam ułatwiły drogę do jakiegokolwiek podpory od Rossyi, żeby przecie mniej źle przeszedł ten traktat pruski! Jeszcze król mówić nie przestał, gdy w sali okazuje się — Podhorski. Miał usta zaciśnięte, czoło zmarszczone. Śmiałym krokiem posunął naprzód. — Sądu żądamy, sądu na zdrajcę! rozległo się w całej sali. Szydłowski wstaje z miejsca i udaje się pod laskę. Podhorski pod laskę! Zdrajca pod laskę! wołają, wszyscy. Podhorski obejrzał się w koło. Wszystkie twarze roznamiętnione zwrócone przeciw niemu. Grozi mu powtórna obelga wyrzuceniem za drzwi. Nie pozostaje mu nic innego, jak uczynić zadość głosom wołającym — udał się pod laskę. Miączyński widząc adherenta swego w niebezpieczeństwie pospieszył z pomocą. Uczynił wniosek: czy Podhorski ma być sądzony? Liczył on, że większość sejmu, która tylko parciu małej garstki ulega, przy zimniejszej rozwadze uwolni Podhorskiego. Zawiodł się jednak. Wniosek jego odrzucono. Powstał teraz spór o to, w jaki sposób ma być Podhorski sądzony. Śród wielkiego krzyku i wrzawy zabiera głos król. W długiej przemowie zaleca sejmującym, aby ze względu na utratę drogiego czasu odstąpić od sądu.

Mowa króla ide wywołała pożądanego skutku. Wrzawa, zamieszanie, wołania o sąd na zdrajcę trwają ciągle. Podhorski zbliża się do króla — król daje mu radę, aby oddalił się z przed oczu sejmujących. Podhorski wychodzi z izby. Posłowie wracają na swoje miejsca. Marszałek sejmowy wnosi, aby projekt Podhorskiego odczytać. Poseł Zaleski popiera marszałka — Skarżyński i inni przerywają mu, że na to nigdy nie zezwolą. Miączyński występuje z obroną swego przyjaciela politycznego, i wnosi, aby projekt był odczytany choćby na to tylko, aby izba przekonała się, co Podhorski zawinił! Wielu posłów sprzeciwia się temu — w izbie znowu wrzawa i zamieszanie. Wreszcie z polecenia królewskiego występuje biskup Skarszewski i odzywa się do sejmujących. Mowa jego jest patryotyczna. Mówi o gwałtach Prus i Rossyi — lecz wzywa do rozsądku i nie każe zrywać negocjacji z posłem pruskim. „Nie traktując nic, mówi dalej — i piędzi ziemi nie odzyskamy. Traktując zaś można mieć nadzieję, że i braciom naszym idącym pod obce panowanie staniemy się jakakolwiek pomocą i sami uniknemy większego nieszczęścia. . . Usiłować przynajmniej należy, aby artykuły traktatu tak co do handlu jako też i co do innych

okoliczności były za nami, za bracią naszymi. Zostawiać ich i siebie na dyskrekcję króla pruskiego, byłoby okrucieństwem ! Trzeba więc traktować, żeby użyta była

potrzebna medjacja dworu rosyjskiego do traktatu handlowego i do innych artykułów osobnych i t. d. Mowa biskupa dodała otuchy partyzantom Podhorskiego. Miączyński, Zaleski, Wilamowski, Włodek, Rokosowski i Józefowicz żądali teraz głośno odczytania projektu posła wołyńskiego. Przeciw temu wyępuje Krasnodębski i w mowie pełnej ognia żąda zbrojnego oporu przeciw Prusakom. Śród ogólnego zamieszania oświadcza marszałek wielki litewski, że spór o projekt Podhorskiego nie ma podstawy, gdyż jest to tylko papier przez nikogo niepodpisany! Pyta więc, jakimby sposobem można przyjąć do obrad nad traktatem zaborów pruskich! Słowa te jeszcze bardziej rozdrażniły posłów. Mikorski, poseł wyszogrodzki woła, aby dozwolić, iżby raczej obcy żołnierz stanął w izbie i przymusił ją do niewolniczego dzieła, iżby Polak przymuszony gwałtem wyraźnym nie utracił przynajmniej sławy przez odstąpienie cnoty i stał się godnym współczucia obcych! Po straszej burzy, która teraz nastąpiła, wziął król Szydłowski za rękę i rzekł: — Właśnie mi pana potrzeba. Winszuję mu tej cnoty, tego obywatelstwa, tej sławy, którą zyskujesz i miłości, jaką masz u kolegów, i nie umiem nawet panu powiedzieć, jak go wielce kocham, poważam i cenię ; ale proszę, powiedz mi, jaki z tego wszystkiego koniec i czego żądasz V Na to odpowiedział Szydłowski między innymi: — Miłościwy Panie! Postępowanie dzisiejsze przydać się może kiedyś narodowi dla wyświecenia

gwałtu i uzacnienia charakteru jego i będzie to dowodem, żeś panował wtenczas, kiedy jeszcze cnota nie wygasła w Polakach!... Nie podobna mi jest myśleć, abyś wasza k. m. nie chciał oszczędzić garści krwi mojej; zadałem zdradziectwo; boję się, aby intryga nie czuwała na zgubę moją, aby ten bezczelny, co podać ten bezecny cyrograf poważyl się, nie zaparł podania projektu; chcę zatem, aby to świadectwo nieszczęścia ojczyzny i swojego zbrodniarstwa podpisał i jako niegodny znajdując się w tej świątyni, — wyszedł na zawsze! x Na to król kazał przywołać Podhorskiego do siebie. Na widok Podhorskiego zagrzmiała cała sala. — Groźby, obelgi, złorzeczenia następowały jak gromy po sobie. Cały sejm przedstawiał obraz przerażający... Podhorski spokojnie zbliżył się do króla. Król podał mu własny ołówek, aby projekt swój podpisał. Podhorski zawahał się. Groźby, złorzeczenia padały nań zewsząd. Król upomniął go po kilka kroć. Wreszcie zbliżył się do stolika u laski, i projekt podpisał. Powrót jego był nader smutny. Potrącano go, lżono, piwano na niego.

Odurzony krzykami i zelżony odezwał się do w. marszałka litewskiego, aby w sejmie przestrzegał porządku...
Powszechne usposobienie izby wywarło silne wrażenie na marszałku w. litewskiego.

Spojrzał pogardliwym okiem na Podhorskiego i rzekł:

— Waćpan tu znajdować się nie powinienes. A zwróciwszy się do króla mówił dalej:

— Miłościwy panie ! Od początku sejmu niniejszego urzędowanie moje pełne goryczy i niesmaku dopełniałem; teraz do tego nawet przychodzi, że i j. pan Podhorski jeszcze mnie martwić poważa się. Czyniłem co mogłem z pogwałceniem nawet mojej wewnętrznej spokojności, a on mi wymawia niezachowanie porządku i wpuszczenie arbitrów; gotów donieść mnie ambasadorowi i przyprawić o nieszczęście. Składam więc tę ciężącą mi laskę; niech ją sobie ambasador komu chce odda, ja dłużej tego urzędu znieść nie mogę!

Słowa te wypowiedział Tyszkiewicz z wielką boleścią. Cała izba żywo dotknięta była temi słowy. Położenie sejmu malowało się wydatnie w tych kilku słowach!

Kilkudziesięciu posłów powstało na raz jakby mąż jeden, wołając:

— Precz z Podhorskim ! Precz z nikczemnym zdrajcą !

Cała izba napelniła się taką wrzawą i krzykiem, że król nie mogąc jej niczem uspokoić, zawołał Podhorskiego i wezwał go, aby z izby wyszedł.

Podhorski uśmiechnął się z ironią, powiódł okiem pogardliwym po całym zgromadzeniu i spokojnym powolnym krokiem zaczął iść ku drzwiom.

Ktoby w tej chwili spokojnie na niego patrzył, nie byłby w nim widział człowieka opinią publiczną prześladowanego. Był to tryumfator rzymski, który śród

okrzyków ludu powoli sunął się na swoim rydwaniu zwyciężkim...

W samym środku sali zatrzymał się i twarz do króla zwrócił, jakby jeszcze chciał coś mówić do niego.

Wrzawa podniosła się znowu w izbie. Zaczęto znowu domagać się jego wyjścia.

Podhorski śmiało wraca się i idzie do króla.

Król surowym głosem zawołał: — Wychodź że waćpan! król każe panu wyjść!

Na te słowa wyrzeczone od tronu, przez najwyższą władzę narodu — wychodzi Podhorski.

W przedsionku wita go znowu tłum hajduków i służby pogardliwym szemraniem.

Podhorski z dumą męczennika kroczy śród rzeszy.

Tymczasem w izbie obradnej trwa dalej walka. Widomy naczelnik stronnictwa został wywołany, ale został tułów, który dalej prowadzi walkę rozpoczętą.

Miączyński, Józefowicz, Kossakowski, Drewnowski żądają czytania projektu wypędzonego posła wołyńskiego; — Kimbar, Godaczewski, Karski i inni wołają, że na to nie przystaną. A Skarzyński pyta: Jeżeli autor miejsca tu nie ma, czyż może mieć je dzieło jego?...

Poseł inflandzki Manuzi oznajmia, że godzina dziesiąta, a według ustawy po godzinie ósmej głosować nie wolno.

Zresztą, pyta się poseł, któżby bez bezczelności mógł głosować na projekt, którego autor z izby został wywołanym.

Nie mogą burzy inaczej zażegnać. — solwował król sesją.

Rola posła wołyńskiego była już skończona.

Tegoż samego dnia około północy, zgromadził poseł lubelski IMpan Miączyński znaczną część posłów w swoich komnatkach gościnnych, aby ustępującemu z widowni bohaterowi włożyć zasłużone laury na głowę.

Komnaty oświetlone były rzęsisto, służba stawiała na stole ciężkie misy z wyszukaną przekąską, a napiętrzone po kątach komnat kosze z winem czekały niecierpliwie dobroczynnej ręki, któraby jak najprędzej pozbawiła je treści ich żebra rozpychającej.

Już było sporo po północy, gdy Zaleski i Wilamowski wprowadzili na komnaty posła wołyńskiego z należytą powagą. Podhorski miał twarz bladą, oczy krwią zasze, czoło zmarszczone, na którym zastygł pot zimny.

Wyglądał jak prawdziwy bohater po długiej, znoonej walce. Ubior jego nie był w należytym porządku. Były na nim białe, wapienne plamy, były ślady czynnej obrazy, — jakiej doznał między bracią swoją.

To były dzisiaj jego trofea.

Gospodarz posadził go na pierwszym miejscu.

Oprócz uczczenia posła bohatera miał Miączyński jeszcze inne cele na widoku. Dla adherentów swoich nie potrzebował tego, ale było kilkunastu posłów tak zwanych obojętnych, których chciał przyciągnąć do swego stronnictwa.

Ozwał się więc do Podhorskiego w te słowa: — (idy lud rzymski zbrodniczą ręką swoją sięgnął po grunta i dostatki bogatszych swoich współbraci, wtedy nie było sztuką być trybunem, ale sztuką było

być dobrym senatorem L. Takiej wielkiej sztuki dokazał IMpan Podhorski, poseł wołyński, który bez względu na krzyki zaślepionej zgrai, stanął przy sztandarze rozsądku i rozumu, zostawiając innym łatwe laury krzykliwego patryotyzmu!...

Tu adherenci gospodarza pokłonili się bohaterowi.

Gospodarz mówił dalej:

— Zaiste, jeżeli kiedy, to dzisiaj nastały czasyT w których najtrudniej jest — byc Polakiem ! Jeżeli się nie mylę, to dzisiaj ten tylko może nazywać się dobrym patryotą, który zelzony i oplwany jest przez bracią !... Dla tego mościpanowie, nie wiem, azali jest kto między nami, któryby tak wielce zasłużył się utrapionej ojczyźnie naszej, jak będący tutaj między nami poseł wołyński IMpan Podhorski!

Adherenci gospodarza, powstali i oddali cześć posłowi wołyńskiemu.

Męczennik przyjął tę cześć z należytą powagą. Zabrał głos Józefowicz:

— Klnę się na Boga żywego, że tylko gorąca miłość ojczyzny raną powoduje. A kto dzisiaj ojczyznę kocha, ten nie będzie tak okrutnym, aby nie uspokoić jej boiów, choćby nawet odcięciem ręki lub nogi!... Mościpanowie ! Po cóż chorego dłużej trzymać w nadziei, że ta ręka lub noga przy nim zostanie, jeżeli konieczną jest rzeczą, że ma byc odjęta ?... Po cóż przewlekać te chwile, czy na to, aby gromadząca się tam gangrena do serca się dostała i całe ciało ogarnęła? Czyż rozumny lekarz może uważać na płacz słabych kobiet

i dzieci, nawet wtedy, gdyby słabe niewiasty nazwały go okrutnikiem a nawet mordercą?... Tak mościpanowie

rzecz się ma z naszą ukochaną Rzeczpospolitą — czyż mamy w bezużytecznym uporze trwać dłużej i zdrajcami nazywać tych, którzy głębszą miłością ojczyznę kochając, widzą okropne skutki tego naszego uporu... Gdy osieroceni apostołowie stali nad brzegiem jeziora, apostoł Jan, który ze wszystkich najbardziej mistrza swego kochał, wskazał na dalekie wody ręką i rzekł: Mistrz! Mistrz!... Wszyscy spojrzeli w tę stronę, ale nikt mistrza nie widział!... A mistrz, jak mówi podanie, w istocie objawił się ukochanemu uczniowi, chociaż go inni nie widzieli. Jan widział mistrza dla tego, że sercem mocniej go kochał!... Otoż mościpanowie tak i między nami są wybrani, którzy kochając więcej i głębiej od innych ojczyznę, widzą wiszące nad nią nieszczęścia, których inni nie widzą! A niechże powiedzą o tem tym, co nic nie widzą, to nazwą ich zdrajcami i ukamienują! Takim to zdrajcą, którego jedyną winą jest, że goręcej i rozsądniej ojczyznę kocha, jest IMpan Podhorski, poseł wołyński!...

Wielu z posłów przystąpiło do męczennika i ścisnęło dłoń jego.

Posłmęczennik powstał z powagą bohatera tragicznego i odparł:

Słowa przyjaciół moich są dla mnie balsamem na ciernistej drodze mojej. Poprzysiągłem miłość ukochanej ojczyźnie i wytrwam w niej usque ad finem! Wybrałem naprzód ciernie, bo tych zazwyczaj nikt imać się nie chce! Wiedziałem co mnie czeka i nie uląknę się tego. Czysta, gorąca miłość ojczyzny kierowała mną, gdym rozpoczął wielkie dzieło, aby bezużytecznie wzburzoną krew naszą ostudzić i do rozsądku przyprowadzić. Ale

jest to właściwością każdej większej myśli, że jeden nie doprowadzi jej do skutku. Czasami nawet pokolenia składają się na to!... Otoż zrobiwszy początek, gdy mi broń z ręki wydarto, wołam na wyłom innych, aby mnie zastąpili. Jam już zabity — skutecznie sprawie służyć nie mogę. Jednak tak jak bohater tragedii greckiej upadając pod fatum, widzi nad sobą jutrzenkę nowego brzasku, tak i ja schodząc z wału, mara tę pociechę, że opróżnione miejsce zajmie inny bohater! Nie dla próżności nazywam go tem mianem — dzisiaj . wystarcza być tylko dobrym Polakiem, a już się jest — bohaterem !

Stronnictwo ugody z Prusami przyjęło głośnym okrzykiem tę mowę swego bohateramęczennika, a ponieważ do dalszej kampanii tenże bohater już nie był przydatny, wybrano Ra jego miejsce IMpana Miączyńskiego, posła lubelskiego.

Posł lubelski skrzyżował ręce z pokorą na piersiach i ze łzami w oczach dziękował przyjaciołom swoim, że go uznali za godnego być następcą IMpana Podhorskiego, posłamęczennika

Puhary z winem zaczęły krążyć i dobrze jeszcze ucztowali członkowie stronnictwa ugodowego, gdy brzask jutrenki ozłocił mury starożytnego zamku, który smutno i ponuro wysuwał się na różowym tle nieba sierpniowego, jak złowrogi pomnik grobowy !...

Podhorski spojrział na ten obraz i zapewne marzył, że tak olbrzymi pomnik postawią jemu niegdyś przyszłe pokolenia !...

Tymczasem zwiesił znużony głowę — i zasnął.

Tak zakończył swój żywot polityczny posełmęczennik. Dowództwo stronnictwa objął po nim Miączyński poseł lubelski !

Nie naszym zamiarem jest prowadzić dalej dzieje tragedyi, która się na ostatnim sejmie Polski w Grodnie rozgrywała. Dotknęliśmy jedynie tych wybitniejszych punktów, które oświecały postać Adama Podhorskiego, posła wołyńskiego. Nie będziemy więc dalej malować owych walk rozpaczliwych przeciw wniesionemu przez niego projektowi, którego w żaden sposób nie dano odczytać w sejmie mimo usiłowań stronnictwa Miączynskiego, który litując się nad krótkim politycznym rozumem izby, był zmuszony sam ten projekt ratyfikacyi zaborów pruskich złagodzić, i wraz z nota urzędową sejmowi przedłożyć.

Sejm więc był zmuszony odczytać ten projekt, lecz nie jako projekt jednego z posłów, ale jako dodatek do urzędowej noty ambasadora, którego wojska właśnie całe miasto, zamek i sale sejmową zbrojnie zajęły !...

Ambasador był tyle wyrozumiały dla religijnego uczucia patriotów polskich, że w tym projekcie jako wynagrodzenie za uznanie zaborów pruskich położył — wydanie obrazu Matki boskiej Częstochowskiej, który Prusacy zrabowali !...

Gdy tragedia wielka dopełnioną została, gdy namiętności uspokoiły się, gdy zimny rozrachunek przebytych bojów nastąpił, mógł poseł wołyński Adam Podhorski liczyć na uznanie swego wyjątkowego patriotyzmu .

Sa bowiem chwile w życiu narodów, gdzie słowo zimniejszej rozwagi więcej znaczy, niżeli całe stopy ofiar najszlachetniejszych!

Aby takie słowo w należytych czasie wyrzec, trzeba być więcej, niżeli bohaterem !

Trzeba się zaprzeć samego siebie, trzeba dobrowolnie, jak ów Rzymianin rzucić się w otwartą przepaść rozgorzałych namiętności — trzeba umieć poświęcić się — bez okłasków!

I Poseł wołyński i całe stronnictwo ugodowe mogłoby na cześć takiego bohaterstwa zasłużyć!

Spojrzymy tylko na tego człowieka!

Sród rozgorzałej namiętności rzuca on słowo zimnego rozsądku !

I cóż się z nim dzieje?

Oto zelżony, oplwany, znieważony, wyrzucony — za kilka słów zimniejszego rozsądku!

Patrzcie jak on to wszystko znosi! To nie człowiek z krwi i kości, ale to posąg ze spiżu!... Utracił wszystko, co tylko człowiek utracić może — cześć, honor, sławę — istny męczennik! A czy się ugiął? . Nie!!!

Zaiste, historia — owa zimna niewiasta z nieubłaganym rylcem, byłaby może kiedy postawiła wysoko tę postać z żelaza ... możeby nie jeden historyk, oczy szczając tradycje grodzieńskie z fałszywych świa

tel i cieni, postawił tego człowieka za wzór cnoty obywatelskiej i całe stronnictwo ugodowe uznał za stronnictwo wielkiego politycznego rozumu — gdyby... „gdyby opatrnościowa ręka nie była uchroniła pamiętnika ambasadora Sieversa, napisanego dla informacji swego następcy, którego wyraźnie obliguje, aby po przeczytaniu ten pamiętnik w ogień rzucił!

Pamiętnik ocalał.

Abasador pisze między innymi:

... „Winienem jeszcze dodać, że z okoliczności rokowań o traktat pruski rozdzielono za przyzwoleniem mojem około . dukatów pomiędzy większą część wymienionych powyżej posłów (stronnictwo projektu ratyfikacji zaborów pruskich)... Poseł Podhorski, który wniósł do izby traktat pruski, otrzymał za to dukatów odrębnie dla siebie." — Jakże smutno rozwiła się postać bohatera!

O Adamie Podhorskim pisze jeden z posłów sejmowych:

„Człowiek ten od lat młodości rozwiązał żyjący mierny posiadał majątek. W dalszem pożyciu szulerstwo za jedyną miał sobie zabawę, a zysk najpodlejszy, tak w prywatnych jak w i w publicznych czynnościach nie odmiennych postępów jego był celem." —

O następcy jego Miączyńskim, pośle lubelskim pisze tensam autor:

„Gracz Miączyński, gdy go Szczęsny Potocki od łupiestwa wstrzymywał, wystawiając, że konfederacja nie

osobistymi zyskami, lecz ogólnem kraju dobrem powinna się zaprzętać, tak mu odpowiedział: Mospanie Marszałku, jeżeli o to idzie, aby robie uczciwie darmo, trzeba było robie w przeszłym sejmie; teraz gdy nas wacpan do tak brzydkiej wciągnąłeś roboty, nie możesz nam przeszkadzać, żebyśmy sobie za to nie wynagrodzali!" —

Biedni bohaterowie! Z taką odwagą walczyliście na wyłomie !...

Gdy ten czarny obrazek kończę, rozpoczyna się właśnie rok nowy — rocznica stoletnia pierwszych nieszczęść Rzeczypospolitej.

I jakież widok odsłania nam się po stu latach na tej ziemi?

Oto dwie dzielnice tej ziemi szukają mozolnie zagubionego watka publicznego żywota, i starają dalej snuć żywot słowem i piórem!

Lecz jakże używają tych najdzielniejszych wieku naszego narzędzi ?...

Oto walka, kłótnia, wrzawa!

Ileż to stronnictw stoi w tych dzielnicach przeciw sobie? Jakiegoż języka, jakiej broni używają względem siebie ?

Zaiste w chwilach tak wielkich i ważnych, niech każde stronnictwo położy rękę na serce, i powie o co mu właściwie chodzi ? ...

Nie mówię tego, że jakiś pamiętnik niespalony mógłby znowu wykryć coś podobnego do owych

ośmiuset dukatów, ale nie ubłagana historia wykryje, co było istotną miłością ojczyzny, a gdzie zamiast niej była ambicja, pycha, zawiść, interes, gorączka bogactw, żądza przodowania, lub prosta chciwość kawałka chleba !...
Gdzie takie pobudki tworzą, lub zasilają stronnictwa, choć by te stronnictwa Bóg wie jaki sztandar wywieszały, tam naród jest biedny, nieszczęśliwy!
Pobudki takie to więcej niż owe dukatów!

STO LAT DOBIEGA.

Wy chytrych zdraj sędzijskich słuzalce nikczemni,
Błędu, dumy, prywaty, krzykacze najemni;
Wy wszyscy, coście różne ławy przybierali,
I zgubą matki Waszej ręce powalali!
Niech ta krew na was spadnie i na wasze dzieci,
I piętnem matkobójczem na czole wyświeci,
A przekleństwo zgubionych milionów ludzi,
I tych, których potomność z ich wnuków obudzi,
Niechaj was obłąkanych po puszczech ścigają
I nory wasze wyciem srogiem napełniają.
J. P. Woronicz.

Czy kto myśli, że krew poślubioną Ojczyźnie można ukraść? — Nigdy! A. Mickiewicz.

I.

Po obszernej, wysokiej komnacie w starym zamku po praojcach odziedziczonym, pan szambelan niespokojnym przechadzał się krokiem. Niski, szczupły, ruchliwy, raz po raz niecierpliwie pudrowanego poprawiał tupetu, marszczył brwi mocno narysowane, czarne niemal, a kąciki warg dużych, obwisłych ściągały się gniewnie. Miał ubiór z francuska : frak popielaty, wiązanie na szyi batystowe z fontaziem dużym, kamizelkę złotem tkana.

Komnata była zastawiona sprzętami z ciemnego mahoni, z rzeźbami pięknymi; ciężkie kanapy i krzesła poręczowe pokrywał aksamit utrechtski zielonego koloru. Gobeliny zdobiły ściany, marmury, złoto i wielkie zwierciadła. Bogaty dywan perski mozaikową zaścierał posadzkę.

Wprost drzwi głównych, po nad kanapą szerokich rozmiarów, wisiał wielki obraz, złotogłowiem zasłonięty.

Szambelan przystąpił do okna i wyjrzał na dziedziniec, jak gdyby wyglądał kogoś.

Słońce przedzachodnie jaskrawem światłem daleko sięgające, zielone pozłociło niwy. Od zachodu zwolna czarna, gesta nadciągała chmura, a łamiąc promienie pożegnawcze gwiazdy dziennej, rumianego dodawała im błyskoty.

Szambelan odwrócił się od okna, stanął przy stoliku i jakieś przerzucał papiery.

Zadźwiękła na bruku podkowa. Wyjrzał: młodzian na wronym koniu przemknął przez dziedziniec i w ciemnej zniknął bramie. Szambelan ramionami ruszył — „Waryat!” głosem wyrzucił stłumionym, i grube, sinawe usta ściągnęły się znowu.

Rzucił się na krzesło poręczowe i chmurne czoło wsparł dłonią. W tej chwili zaturkotało. Porwał się. Przed zamkiem czworokonna stanęła kolasa.

„A!” zawołał i ku drzwiom pobiegł.

Służba otworzyła podwoje i wszedł mężczyzna lat średnich, w mundurze pułkownika rosyjskiego: wysoki, barczysty, ciemnej twarzy, z nosem zadartym a grubym.

— Witam, hrabio, witam ! zawołał gospodarz z rozjaśnionem obliczem. Przybyły francuzkim odpowiedział frazesem.

— I cóż tam? I cóż? pytał szambelan niecierpliwie.

— Rzecz skończona, jak przewidzieć było można: najjaśniejsza monarchini moja słusznie stała się panią tej tu części ziemi, która już więcej polską nie będzie.

— Podpisali podział?

— Podpisali. A wielką jest zasługa marszałka sejmu Ponińskiego, Młodziejowskiego kanclerza, biskupów Ostrowskiego, Massalskiego...

— Niech żyje najjaśniejsza imperatorowa, Katarzyna II, wszechpotężna a błogosławiona monarchini nasza! zawołał szambelan, jakoby w ekstazie. Przybiegł do obrazu, odrzucił ze złotogłowia przysłonę, i ukazała się w majestatycznej postawie Katarzyna AnhaltZerbst, wszechwładna caryca rosyjska, ręką biegłego wykonana mistrza. Zgiął poddańczo kolano a potem dodał:

— O dzięki, dzięki, że się pod to błogosławione dostajemy berło!

— Oceniono, szambelanic, i wasze pod tym względem niepoślednie zasługi. I najjaśniejsza pani nigdy nie zapomni o was. Czeka was order i dygnitarstwo.

— Czyniłem co mogłem — pokłonił się zdrajca. Działiałem, przekonywałem... a ciężka niekiedy była ta robota.

Użyłem obietnic, złota i poszczęściło się w końcu.

— Nie zapomnimy! Najjaśniejsza imperatorowa zasługi nagradzać umie.

Uścisnęli sobie ręce.

— Jadę wprost od Stackelberga, bez wytchnienia. Spieszę, lecz do was jednakże na chwilę wstąpiłem. Szambelan znowu pokłonił się nisko. Zadzwonił. Służba opleśniała wniosła butelki i błyszczące puhary. — Nie mam chwili do stracenia!

— Pozwólcie hrabio: za zdrowie najjaśniejszej pani!

— Zawsze ! zawsze !

Gospodarz złotego nalał płynu. Przykląkł znowu i wymówił:

— Ku czci monarchini naszej, władczyni Rosseyi i Polski!

Pułkownik z namaszczeniem toast ten powtórzył.

— To i wolniej teraz odetchnąć można, gdy wreszcie ta twarda kończy się sprawa — zaczął, znowu szambelan.

— A musiała przecie w ten skończyć się sposób odrzekł pułkownik, mrużąc oko jedno filuternie. — Rozum w tem Repnina, Stackelberga i żelazna energia Salderna.

— Musiała skończyć się po myśli! I pamiętne co Saldem napisał:

„Węzeł między trzema dworami jest tak zrecznie zagmatwany, że nawet sam szatan nie potrafi go rozplatać !”

— Zuchwali, waryaci, przeszkadzali zwołaniu sejmu. Chcieli tam jeszcze zrobić pospolite ruszenie i zawezwać pomocy państw europejskich. Ale nasza pani miłościwa groźną nadesłała notę, i Stackelberg połajał królika polskiego w imieniu imperatorowej : że monarchini opuści go całkiem, jeżeli zechce obcej szukać

pomocy. Wyrzekł przecie i król pruski: że, aby Polaków nauczyć rozumu, potrzeba z nimi postępować ostro.

— A Stanisław August wysłał jeszcze i Branickiego do Wersalu, by wyrozumieć zamiary tamtego i gabinetu.

— Półgłówek! Skłonili go do tego patryoci. Lecz to jedynie podrażniło więcej, chwyciliśmy się tem energiczniejszych środków, i zanim Branicki do Strassburga dojechał, już uniwersały na sejm były wydane, którego szaleńcy gwałtem dopuścić nie chcieli — pułkownik znowu oko przymrużył i fatalnie usta przekrzywił. — Bafszczenie pogrzebani także! Zuch wielki Pułaski broń złożył i pięcioletnia skończyła się burda! zaśmiał się sarkastycznie.

— I gdzież się podział Pułaszczyk? — Drapnął awanturnik.

— Wasze zdrowie, hrabio!

— Na podziękowanie!

— Ale — zagadał pułkownik — cóż to za młodzieńca na karym koniu po za bramą spotkałem ?

— To mój bratanek Jerzy, którego adoptowałem, nie mając dzieci... ostatni naszego rodu. Oddam go na służbę najjaśniejszej imperatorowej.

— Piękny kawaler! wymówił hrabia z ironią — ale rzucił na mnie jadowite spojrzenie, bestyjka.

— Co? co? szambelan spoehmurzał straszno:

— Nic to nie znaczy! zaśmiał się pułkownik złośliwie. — To syn brata waszego Szymona, który na Syberii umarł ?

— Tak syn tego nieszczęsnego obłąkańca.

— A!!... Coś tam ma niby miną rebelianta — a la Rejtan! wyrzucił moskał ze śmiechem.
— Uchowaj ! Uchowaj! — krztusił się szambelan — nie zna was, hrabio, nie wiedział...
— Wiedział jednakże!... Lecz mniejsza oto. Nie jeden to młodzieniaszek szalony roztrąci jeszcze butę swoją wraz z czaszką, dopóki rozsądek wśród was nie zawita. Strzeżcie tego na karym koniu, panie szambelanic, bo mu dziko z oczów patrzy. Dzisiaj jest już poddańczukiem najjaśniejszej imperatorowej, a my mamy hamulec... Ale mi czas w drogę, lubo że w zamku waszym przyjemno ! pułkownik trzeci kielich przechylił. — Bywajcie mi zdrowi! — Uścisnęli się.
Gospodarz sprowadził gościa. Podali sobie raz jeszcze ręce. Pułkownik wsiadł do kolasy. Zaturkotało szybko. Szambelan za powozem popatrzył, a potem zacierając dłonie, do komnaty powrócił. Stał przed obrazem Katarzyny, popatrzył, uśmiechnął się niby. Przystąpił do stołu, nalał kielich perlącego wina i przechylił go odrazu. Nagle krew na przybłądle uderzyła mu lica.
W tem na progu drzwi głównych ukazała się piękna postać młodziana. Wysoki, kształtnej wysmukłej budowy, miał na sobie czarny żupanik i od koszuli bielutki wywinięty kołnierz. Ciemny wąsik świeże a ogorzałe zdobił mu lica. Włos gęsty wysokie odsłaniał czoło. Wyraz twarzy jego i postawy całej pewna znaczyła duma i wola nieugięta.
— Stryj kazałeś mnie przywołać — dźwięcznym wymówił głosem.

— Tak — Szambelan zwrócił się ku niemu, zadzierając głowy, i brwi nasrożył. — Dla czegoś waść przeleciałeś gdyby rustykus jaki obok pułkownika, hrabiego...
— Nie znam go wcale. A nie jestem żołdakiem moskiewskim, bym pokłon takim oddawał szlifom.
— Waść przecie widziałeś, że on do mnie jedzie. Było to nieokrzesianie, gburowactwo, które na skarcenie zasługuje.
— Stryju ! zadrgnął młody — dusza moja do niewoli nie nagnie się nigdy.
Szambelanem gniew zatrzęsł, lecz zmiłogował się i dolną zagryzł wargę.
W tej chwili Jerzy spostrzegł odsłonięty obraz carycy i pobladł trupio.
— Mam z asanera na pieńku o jedną jeszcze sprawę, zaczął szambelan znowu. — Coż to tam za duby smalone głupim młokosom szlacheckim gadałeś na stypie u tego wygi starego w Polanowce ? Zakazuję głupstw podobnych surowo.
— Jakież to duby ? zapytał Jerzy ostro, z wpatrzonemi w obraz oczami.
— O jakimś ratowaniu zwierzającej Rzeczypospolitej polskiej, a przeciwko naszej najjaśniejszej monarchini i wskazał obraz.
— Naszej?... powtórzył młody głosem złamanym a dzikim.
— Tak jest, naszej! Ta ziemia dzisiaj, dzięki Bogu, nie jest już polską, a należy pod berło wielkiej monarchini północy.
— Więc się stało!! jęknął w piersi młodej boleśnie, dokonano zdrady przeklętej, sromotnej ! wyrzucił z ust

posiniałych. — O! załamał dłonie z rozpacza, a był bladym jak mara. — Trzymałeś mnie tu na uwięzi, łudzac i oślepiając! Kłamałeś, stryju!... Niechaj ta hańba i zdrada na głowy spadnie występne! Ziemię rozstąp się dla mnie!

— Waść bredzisz jak chłystek — zatrząś się Szambelan złością — bo nic nie rozumiesz! Runęło drzewo zmurszałe, podgniłe, robactwem stoczone. A w miejscu tego wyrośnie inne, świeże, jędrne, i szeroko swoje dobroczynne rozprzestrzeże konary. Rzeczpospolita zwietrzała, bezsilna, upaść musi, a na jej gruzach pod berłem Katarzyny ...
— Stryju! Przez rany Chrystusa Pana! Na cień ojca !... Och ! oszaleć przyjdzie !... — tchu młodemu nie stało, i niby myśli mieszały się jego.
— Czyliż nie rozumiesz? Złamano głupią a zuchwałą opozycję zwycięzko! Podeptano usiłowania rebebeliantów...
— Sejm...
— Podział zbawienny podpisał...
— Podpisał! ... — Jerzy uderzył się w czoło i cała jego wyprężyla się postać.
— Pułkownik wstąpił do mnie z tą wiadomością. Skończyły się wszystkie porywy szalone. Niech żyje Katarzyna II monarchini nasza ! Klękniij i powtórz to za mną!
— Nigdy i Przenigdy! Raczej trupem padnę ! porwał się młody. —Przekleństwo i wieczna sromota zdradzie! — krzyknął rozpaczliwie. — Wyrzut pali mi duszę, rozdziera serce, żeś mnie oszołomił stryju, uniedołęźniał! Fałszywemi zwodził wieściami... i trzymał

tutaj, jakby na łańcuchu haniebnie ukutych zamiarów! Inaczej, byłbym oddawna tam. gdzie mnie święta wzywała powinność!... Panie szambelanic, wyrzekam się krwi twojej i bogactw! Drogi nasze dzielą się na zawsze. Obyśmy już nie spotkali się więcej! — i wypadł z komnaty.
— Szalony! Półgłówek! Rebeliant! — szambelan rzucił się ku drzwiom, i nagle przystanął. — Ależ opamięta się!... Bo niełacno wyrzec się krwi i żebrakiem zostać — zaśmiał się dziko — powróci i będzie u stóp moich skomlał. Przeszedł się razy kilka. Spojrzał przez okno w noc ciemną. Zadzwoił. Wszedł pokojowiec.
— Gdzież jest panicz?
— Poszedł do jaśnie wielmożnej pani kasztelanowej.
— Do mojej matki... Dobrze. Odejdź.
Tymczasem czarna nadciągnęła chmura — i głucho zagrzmiało.

II.

Jerzy przebiegł długi kurytarz. Z cicha otworzył rzeźbione podwoje i wszedł do niedużego pokoju. Był pusty, lecz z przyległego dochodziły go tłumione, chóralne powtórzenia: „Módl się za nami!”
Młodzian ostrożnie z ciężkiego adamaszku odchylił zasłonę i wszedł do obszernej komnaty.
W krzesle wielkiem, poręczowem, siedziała pani sędziwa, w sukniach żałobnych: Oblicze jej bledszem wydawało się jeszcze przy czarnym kornecie na bielutkich włosach i wdowej zasłonie.

Obok klęczał zakonnik z siwą brodą. A w koło panny respektowe, dwie starsze niewiasty i wiejska dziewczeczka. Na stole w kilkuramiennym świeczniku srebrnym jarzące paliło się światło.

Jerzy przyklął na stronie. Zakonnik czytał:

Gwiazdo zaranna!

Uzdrowienie chorych!

Ucieczko grzeszników!

Pocieszycielko strapionych!

Wspomożenie wiernych !

Królowo męczenników !

Królowo polskiej korony!

„Módl się za nami!” powtarzali wszyscy w około. Powtarza! i Jerzy — a po młodem jego licu dwie łzy grube spłynęły. Sędziwa kasztelanowa złożone dłonie przyciskała do piersi i z głębi duszy wołaniu przyciszonym wtórowała głosem.

„Pod Twoją obronę...” nastąpiła modlitwa.

Uroczyście cisza przez chwilę zaległa, jak gdyby dla skupienia ducha obecnych. Poczem sędziwa pani srebrny poruszyła dzwonek.

Panny i służebne niewiasty powstały i wyszły. Pozostał się tylko młodzian i zakonnik.

— Jerzy! przywołała go babka.

— Babko moja najdroższa! młody u stóp jej klęknął. Położyła mu rękę na głowie.

— Coś straszno zaszło... nieprawdaż? zapytała głosem stłumionym — mówił mi ksiądz Prokop. Był tu pułkownik, prawa ręka Repnina i Stackelberga...

— Tak jest, babko moja.

— Zdrady dokonali Judasze!

— Polska rozéwiertowana! Chrystus na krzyżu umiera!... Grób wykopali dla Polski! — młody zalem gwałtownym wybuchnął.

— O ciężko !... Wielki Boże! — sędziwa matrona złożyła dłonie. — Twoja wola, ojcze w niebie, i klęski spuszczasz na grzeszników!... Ale ta zdrada jest dziełem szatana!... O!! O! — wydawała jęki srogiej boleści — i on... on rękę przyłożył!... Syn mój! Syn szlachetnego lilii!... O mój Boże! załamała ręce — łez nie mam, bo zdrój ich wysechł od takiego bólu!... Matka zdrajcy!... Zaprzedańca!... Najemnika wszeteczniczy ! — zakryła chustką blade oblicze.

— Babko moja, ale byłaś i matką Michała, który krew przelewał za Polskę, który za nią cierpiał i w katuszach syberyjskich skończył!

— Matką Michała!... Matką Michała i twoją, mój synku!... Nadzieja przyszła! — objęła go za szyję i przycisnęła do piersi. Potem pobjadła więcej, złożyła ręce, pochyliła czoło i z cicha szeptała: zdrada... przekupstwo... podstępny... rusztowania... nieszczęścia bez nazwy... bez kresu... ofiary!... Dżicz będzie przewodziła, znęcała się... a od zachodu wróg imię Polaka pochłonie... Sto lat niewoli... sto lat klęsk i ciężkiej pokuty jeszcze nie zmażą winy... nie przejedną!... Och krwawe lata! Krwawe wieki całe!... AJe... Boże! — rozkrzyżowała ramiona i zniosła oczy ku niebu, nadziejskim jaśniejące blaskiem. — Z krwi męczeńsko przelanej wykwitną lilije i róże... z otchłań ciemnych jasne wskresiła gwiazdy... na gruzach nowe powstaną gmachy...

synowie i córki starych praocjów staną się godni... Bóg jest miłosiernym a sprawiedliwym !... „Królowo polskiej korony, zmiłuj się nad nami!” — przycichym powtórzyła głosem; a melodyjnym zarazem, jakby nie z tego świata. Głowa jej obwisła. Złożyła dłonie i wzrokiem nieruchomym objęła wnuka.

— Babko! Matko Michała męczennika, pobłogosław mi!... Mojej pobłogosław drodze!

Uniosła czoło i pochyliła się ku klęczącemu.

— Uchodź z domu sromoty i zdrady!... położyła obiedwie dłonie na skłoniomj jego głowie: Błogosławię ci synu Michała !... Illiego!... Synu dzielnych a prawych ojców!... Błogosławię drodze twojej!... bo drogą będzie cierniową a cnoty!... Drogą Golgoty!... — zrobiła nad nim znak krzyża św. — Idźże w imię Boże ! „Królowo polskiej korony, zmiłuj się nad nami!” — obwisła bezsilnie w krześle.

Jerzy przytulił się do kolan matczynych, okrył jej ręce gorącymi pocałunkami najserdeczniejszej miłości dziecięcej i części. Poczul jakby stygmat poświęcenia na czole. Powstał. Przeżegnał się, pokłonił ojcu Prokopowi i wybiegł z komnaty. A gdy za nim zwarły się podwoje, dziecięciami wybuchnął łzami.

W tejsze samej chwili zagrał płacz żalony w piersiach osieroconej babki.

III.

Czarna, gęsta chmura cały niebokrąg zawlokła. Zkrzyżowały się błyskawice. Zagrzmiało ciężko, straszno, jak gdyby kula ziemiska miała ze swoich wypartą być posad.

Z dziedzica zamkowego czarny wygonił jeździec. Podkowy, wron ego iskry sypały, a stukot ich łączył się z odgłosem wichru. Krwawo — płomiennie rozwarła się, ciemna niebios opona. Jeździec w cieniach groźnej przepadł nocy. Komnata szabelana ponury, jakby grobowy przedstawiała obraz. Świeczniki niedostateczne rzucały światło. Sklepiiony sufit czarne zaległy smugi. Po oknach głucho dzwoniła burza.

Jaskrawy gzygzak rozświecił na chwilę carowej oblicze — niby uśmiechnięte szydyczko... szatańsko. Wicher spotęgowaną zahuczał siłą. Cały zamek zadrżał, a jedno z okien z trzaskiem na posadzkę wypadło.

Szambelan porwał się z krzesła sinoblady, z rozwartemi szeroko a straszno oczami. Zadzwoił silnie. Pokojowiec przydążył.

— Poproś tu panicza! rozkazał pan zamku. Sługa wybiegł i po niedługiej wrócił chwili.

— A co? uniósł dumną głowę szambelan..

— Pan Jerzy wyjechał.

— Dokąd ?

— Nie wiadomo.

— Jak?

— Konno.

— Czy dawno?

— Gdy tak ciężko zagrzmiało.

— Gonić! szukać! pochwylił za taśmę od dzwonka i targał co sił starczyło.

Zbiegła się przerażona służba.

— Gonić za. paniczem! Choćby w sto koni... Na strony wszystkie! Po wszystkich szlakach! Całe piekło

poruszyć! — wołał rozwścieklony.— Gonie! Chwytać! Sprowadzić go! Rzucę kieszę złota! Dostawcie mi żywego... lub trupa! Słyszycie? Żywego lub trupa!

Nagle stanął w progu błady zakonnik, wysoki, z długą siwą brodą i głuchym ale donośnym głosem wymówił:

— Panie szambelanic, matka twoja Bogu pobożnego oddała ducha. Módlcie się!

Służba na kolana upadła. Szambelan stał nieruchomy, sinoblady a tupet upudrowany dźwigał się niby na jego występnej głowie.

Poły snęło krwawo — zagrzmiało. Przez okno wyparte wpadł wichur i światła pogasił.

Ciemność w koło zaległa.

IV.

Do starej, z dawnych czasów baszty przytykał dwór nowszy, obszerny.

W baszcie był pokój ośmiokątny z dwoma oknami wązkiemi, w łęk zakończonemi. Na ścianach wisiała broń różna, rogi jelenie i sarnie. Po nad łóżkiem kilimkiem przykrytem, krucyfiks i obraz Matki Boskiej berdyczowskiej.

Była godzina poranna. Deszcze w nocy spadłe całą orzeźwiły przyrodę. Liście drzew, krzewów i trawy w słonecznym promieniu kroplistemi połyskiwały brylantami. Na gałęziach starej lipy przy baszcie, ptaszęta mokre jeszcze strzępywały skrzydełka. Okoliczny obraz sielski w cudne przebrał się barwy.

Przy oknie otwartem stał młodzian nieliczący jeszcze lat dwudziestu, wysoko wystrzelony, szczupły i giętki. Twarz nader kształtnych rysów zdobiło dwoje modrych, pięknych oczów, z niedościgłym spojrzeniem; ponad świeżemi ustami półkolem pierwszy puszczał się meszek. Płowe włosy były nieco w nieładzie, jakby z wiatrem pokumane. Miał na sobie półzupanie granatowe, a białą szyję odsłoniętą całkiem. W zadumie patrzył się na dziedziniec, na gumna, gołębnik, bocianie gniazdo na gruszy przy bramie. To modre zaiskrzyły się oczy, że aż niby płomień nich trysnął, i jasne pogodniało czoło. To znowu rzewny zamigotał wyraz młodziutkiego uczucia.

Do komnaty weszła młoda dziewczyna, istnie siostrzany obraz chłopca przy oknie; drobniejszym tylko i bielszym było jej lice. Takież same modre oczy ciemna zdobiła brewka. Grube warkocze miękkiego włosa kształtną otaczały główkę. Miała na sobie skromną białą sukienkę w rzucik niebieski, lecz wyglądała strojno, tak wdzięczną jej była postać. — Na ustach rumianych uśmiech nie igrał wszelako, a modre gwiazdki łzami błyszczały.

Przysunęła się zlekka i położyła rękę na ramieniu młodego.

Zadręgnął i obejrzał się.

— Hanio moja! zawołał rozjaśnionem spojrzeniem, dzień dobry, kochana i — objął siostrę. W tem nagle zpochmurzał i zapytał: oczy twoje łez pełne! cóż tobie, siostrzyczko?

— Odjeżdżasz, Bogdanku! szepnęła i białe czoło na jego wsparła ramieniu.

— Odjeżdżam, droga, bo dłużej niepodobna mi gnuśnieć! Pragnienie i żądza czynu pali mi duszę oddawna. Niemoc chłopięcia, wycieńczenie przykuwało mnie do łóża, gdy Pułaski był z konfederatami na Litwie, złorzeczyłem doli swojej, zem pobiędz do niego nie mógł. Poźniej, ojciec chory, cierpiący nad miarę, trzymał mnie przy sobie... A nieraz zrywałem się w nocy, wybiegałem gorączką trawiony, szukając chłodu dla duszy. Błąkałem się, jak szalony po polu i jarach, gnany jakby potępieńczym głosem: „Tam zaprzędają ojczyznę, a ty gnuśne wiedziesz życie, gdy młode siły potrzebne sa Polsce! Kto kocha ojczyznę, winien biedź na jej ratunek!... Ryczałem z boiu duszy... wracałem o świcie złamany, przybity, padałem na łoże i gorącemi zalewałem się łzami.

Hanna dłonią zacisnęła oczy, a między drobnymi palcami łzy rzęsiste spadały.

— Szukałem rówieśników po okolicy. Zjednałem sobie zastęp... I wreszcie wczoraj, gdy ojciec jak zwykle dawał mi na dobra noc błogosławieństwo, wypowiedziałem mu żądzę... palącą duszę moją. Łza na jego połysnęła źrenicy, poruszył konwulsyjnie nogą drewnianą... objął mnie i do serca przycisnął. Mówiliśmy długo i wiele o sprawach kraju. O królu, o wielkich wrogach zewnętrznych, a i największych wśród braci rodzonej, wśród synów Polski, z których jedni grzeszą obojętnością i niedołęztwem, drudzy obłudem i przekonaniem wsteczmem... a inni sprzedajnością, występkiem, zdradą, zbrodnią bez nazwy... O... Bogdan załamane dłonie do czoła przycisnął.

— Stańło zatem mówił po chwili bolesnego milczenia — że dziś jeszcze wyjadę. Wiara i wolność!

— Ale dokąd pojedziesz?

— Ha!... Do Warszawy! Skąpo tylko pewniejsze dochodzą nas wieści, zatem na własne oczy z bliska o wszystkim przekonać się trzeba.

— I do kogóż udać się chcesz?

— Alboż ja wiem wr tej chwili?... Szukać ojców ojczyzny !... Czuję wrzące pragnienie boju : pójść na śmierć, by tylko przysłużyć się Polsce i świętą spełnić powinność!... gnuśnieć dłużej niepodobna, gdy ojciec z łaski Bożej już jest rzeźwiejszym. Tam prowadzą frymarkę ohydną: jedni z Prusami, inni z dyplomacya carycy! Rozkład jest okrutny a nagły. Zatem kto żywy, w kim polska krew płynie, w kim serce bije jeszcze, niechaj za broń chwyta ...

— Ależ tak na oślepie, Bogdanie!

— Och nie na oślepie! Znajdziemy ojców kraju i ofiarujemy krew swoją i życie. Jest Klemens Branicki, Mokronowski, Puławski, i wielu jeszcze innych!

— Jakże krwawo — bolesnem będzie rozstanie nasze!

— Pożegnaj was z tęsknem uczuciem — wymówił Bogdan rzewniej — ojca, ciebie, starych przyjaciół

I tych wszystkich, wśród których wzrosłem. Tę moją komnatkę miłą, obrazy, przed którymi modliłem się codzień.

Kościół, dokąd prowadziła mnie matka ... Łany nasze zielone... wszystkie kwiaty młodego życia! Ale dusza porywa, Polska woła... i oszalałbym tutaj!

Hanna cicho płakała.

— Ale Hanio moja — młody posmutniał bardzo — muszę z tobą pomówić, a strasznie mi ciężko, siostrzyczko ! złożył dłonie, oczy łąz nabiegły chłopcę, a głos stał się miękkim, jak żalony ton lutni. — Hanio ! siostrzo moja! Jerzy nie dla ciebie! domówił głucho, stłumionym głosem.

— Przeczuwam... — odszepnęła dziewczę, blade jak tarniny kwiatek.

— Syn adoptowany szambelana, zdrajcy, potępieńca, szatana Polski w służbie carycy, twoim nie może być mężem !

— Bodziu ! Jerzy szlachetny, prawy syn kraju, gorąco Rzeczpospolitą miłuje !

— Toćże i jam go pokochał jak brata ! Ale niechaj porzuci stryja, odstępcę zradnego i jego złociste komnaty ! Niechaj się wyrzeczy krwi potępionej i całkiem stanie się naszym ! Wtedy, o wtedy i ojciec nasz, swoje otworzy mu ramiona. Lecz on tego nie uczyni.

— Tłómaczy go przywiązanie do babki — wymówiła Hanna głosem dosłyszonym za ledwo.

— Babka jego ! Kasztelanowa niewiasta szlachetna, matrona polska. Ale cóż ona w obec zdrajcy — syna znaczy?

Jerzy winien zrobić rozbrat z wszelką czułością rodzinną... bo ta go zawiedzie w przepaść potępienia i ohydy ... Hanio !

Moja Hanio ! — Bogdan przykląkł i ujął jej ręce—Hanio moja, wyprzedź ze swojego serca Jerzego I On stryja nie porzuci... i sam... och, domówić nie mogę, bo go kocham zawsze, bo i ty kochasz go biedna! Lecz potrzeba serce zakrwawić — a będzie to dla Polski ofiarą! Hanio, ty nie chciałabyś nigdy dwulicowego mieć męża, barwy dwuznacznej ..

— Nigdy! Nigdy! dziewczyna modlitewnie złożyła dłonie — nigdy, braciszku! W czym mi, panie Boże, dopomóż, i matko najświętsza !

— To i ze spokojniejszą odjadę duszą ! zawołał Bogdan z czołem promiennym i przycisnął siostrę do piersi, najszlachetniejszym wrzące uczuciem.

— Bądź spokojnym zupełnie — wymówiła z cicha, takiego nigdy nie popełnię grzechu. Raczej zamrze to serce.

Brat i siostra chwilę jeszcze rozmawiali z sobą. A potem wyrzekł Bogdan:

— Teraz pobiegnę i zwołam mój zastęp. Pod wieczór zbierzemy się przed kościołem. Spólnie gorącą z mówimy modlitwę. Proboszcz pobłogosławi. A potem dalej w imię Boże i Rzeczypospolitej!

Do widzenia, siostrzyczko! Do zobaczenia, Bogdanku !

V.

W godzinę potem siedziała Hanna z robotą przy oknie w pokoju, gdzie zwykle zbierała się rodzina i domownicy. Była bledszą jak zwykle a powieki miała zrumienione.

Pan chorąży, jej ojciec, rozłożył się w krzesle poręczowym i jakąś przerzucał książkę. Był to piękny starzec o białych włosach i długim białutkim wąsie. Nogę drewnianą wsparł na ławeczce, a syknął niekiedy z cicha, gdy ją nieostrożnie poruszył. Szczudła stały obok.

Wiek młody i mężki sterzał na usługach kraju i wielokrotnie krew zań przelewał. Po Bogu kochał najwyżej Ojczyznę, a potem dzieci swoje. Honor był dlań godłem świętem i gwiazdą przewodnią. Chętnie każdemu udzielił gościny i przytułku. Dla służby i chłopów ojcem był raczej.

Przy drugim oknie wiązał nową siatkę na ryby pan porucznik, rówieśnik chorążego, towarzysz broni, przyjaciel i stały jego domownik. Starzec dziś już zgrzybiały, nie lat liczbą, ale wycieńczony ranami i różnym trudem bojowym. Los straszny walecznego Sawy, którego kochał jak brata, a wielbił jak bohatera i gorliwego syna Ojczyzny, zbyt srogo na umyśle jego wywarł wrażenie. Gdyby dzielny ten konfederat był skonał na pobojuwisku, zmówiłby zań paciorek i łzę otarł z powieki. Ale z urwaną nogą, kulą armatnią, zdradzony przez felczera — Żyda z Działdowa — i wydany w ręce Moskali... gdzie umarł męczeńsko — obraz ten okropny stępił mu zmysły do reszty i duszę przybił na zawsze.

Cisza zaległa w komnacie, bo każda z trzech osób znać własnymi była zajęta myślami.

W tem zwolna drzwi otworzono i wszedł trzeci starzec w sutannie czarnej. Trzymał list w drżącym ręku. Wyraz twarzy chudej, pomarszczonej, jawił pomieszanie i boleść.

— Proboszczu kochany, dzień dobry! wymówił chorąży, wyciągając ku niemu rękę — ale, Chryste! cóż się stało? Czytam na licu twojem nieszczęście...

— Nieszczęście! Wielkie nieszczęście! odrzekł starzec, drżąc cały.

Hanna porwała się od okna, do żywego przerażona. Porucznik sieć z ręki wypuścił. Jeden tylko pan domu zwykły spokój powagi zachował, lubo że usta jego ściągnęły się cierpieniem.

— No i cóż nas spotkało? zapytał.

— Polska rozćwiertowana ! jęknął starzec — kapłan.

— Więc szatańskie stało się dzieło!... Zdrada plon odniosła! rotmistrz w dłoniach twarz ukrył.

— Sejm podpisał frymarkę?

— Podpisał: pod laską marszałkowską zdrajcy Ponińskiego, przeklętej na zawsze pamięci!... Polska rozćwiertowana !...

— Boże! chorąży ręce załamał.

Hanna na kolana upadła, zalewając się łzami. Porucznik siedział osłupiały, jak gdyby skamieniał.

— Mam oto list! mówił kapłan dalej— sprzedajność dokonała zdrady na hańbę i sroaotę wieku! Wraży sąsiedzi, czyhający oddawna na zagrabienie kraju, podstępem i niemem przekupstwem zagarniają część trzecią nieszczęśliwej Polski, a ponad resztą zawiśnie żelazne berło Katarzyny!... Pod Częstochową strzały konfederatów umilkły. Kazimierz Pułaski, najwaleczniejszy syn kraju, szlachetny i prawy broń złożyć musiał!

— O po cóż mi tego było doczekać! zawołał chorąży z rozpaczliwym żalem — po cóż raczej kości moje gdzie tam na tatarskim nie bieleją szlaku!... Czyliż wszystko było daremne ? Krew i ofiary! Wszelkie wysilenia Sołtyka, by nie dopuście sejmu, i patryjotów innych obrócone w niwecz f — drewniana noga

rotmistrza konwulsyjnie drgała, a twarz jego trupia powlekła bledość.

— Stackelberg Sołtyka waryatem ogłosił, a Lentulus, komisarz pruski, nawet i książkę napisał o tem.

— Przekleństwo ! Wieczne przekleństwo na występne głowy! rotmistrz porwał się i znowu na siedzenie upadł, złamany i siny.

— Zasiadło tylko Ili posłów, zatem ani połowa zwykłego kompletu.

— A może Panie zastępów! lepiejby było, gdyby, skoro zebraniu sejmku żadne starania nie zdołały przeszkodzić, ażeby prawi w komplecie na nim byli i nie dopuścili zaprzedańcom przewagi.

— Bóg to wie jedyny! — Otoż co mi piszą — kapłan list rozłożył i czytał:

„W lutym sejm zwołany został. Katarzyna nasłała wojska, by nad nim czuwali. Stackelberg utworzył konfederacją w opozycji barskiej, przekupstwem dotąd nie praktykowanym. Ponińskiego mianował tejże konfederacji marszałkiem, a Radziwiłła litewskim. Godło jej było: „Za wiarę, godność królewską i wolność!” ...

— Szalbierstwo! rzucił się rotmistrz — matactwo!

— „Podpisali ją u niego . kwietnia posłowie państw ościennych, biskupi Poznania, Kujaw i Wilna, wojewoda kaliski i Teodor Wessel, skarbnik. — . rozpoczęły się konferencje. . już wielu podpisało podział Polski. . było wielkie nabożeństwo u ś. Jana, biskup kujawski celebrował...”

— Błuznierstwo przez rany Chrystusa Pana! Obraza Boga! :

— „Zebrali się sejm. Stackelberg mianował Ponińskiego marszałkiem...”

— Z podłych najpodlejszego!

— „Tadeusz Rejtan usiłował zdradcy wydrzeć laskę. Rozkrzyżował się w progu, żeby posłowie nie wyszli. Ale wszystko było claremnem. Wydarli mu gwałtem klucz od Izby sejmowej i zagrożono banicyą i konfiskatą. Posłów, którzy z Izby wyjść nie chcieli, wyrzucono przemocą. Król sam nadbiegł in persona i skandal mitygował. A pełnomocnicy trzech mocarstw grozili mu, że jeżeli nie ulegnie, to , Moskali zbombarduje Warszawę. Posłowie litewscy, przez trzy dni i trzy noce z Izby nie ustąpili. — Akt sromotny go podpisany został. A wymienić potrzeba, że biskup smoleński od tego uchylił się czynu. — go przystąpił i król do konfederacji, zmuszony straszliwemi Stackelberga groźbami, który odtąd stał się władcą Polski, i Fryderyk II trzymał w pogotowiu , wojska.. .”

— Wielki, o wielki Boże, a gdzież sprawiedliwość twoja! rotmistrz złożone wyciągnął dłonie.

„Winienem dodać, że mowy króla w ciągu obrad tchnęły miłością dla kraju...”

— To i na coż się przydały?

— „Wreszcie go maja sejm przychylił się na stronę Ponińskiego... ohydna zbrodnia spełnioną została !...”

Chwila gorzkiego, bolesnego potrwała milczenia. Żal i zgroza tamowały słowa. Potem kapłan czytał dalej:

— Biskup łucki raz wtóry wystąpił w obronie religii katolickiej i protestował przeciwko jej pogwałceniu. Nazajutrz weszło do niego jedenastu żołnierzy pruskich, by go do więzienia zaprowadzić, lecz ujechał do dyecezyi swojej. — Papież Klemens XIV stara się wszelkimi siłami ocalić Polskę...”

— Chryste Jezu! Pan Jerzy! Istna mara! zawołał porucznik, jakby nagle ockniony, z wpatrzonymi w okno oczami. Hanna porwała się drżącą i błada.

Przed dworem Jerzy z konia spienionego zeskoczył — raczej do widma podobny : w sukniach przemokłych, bezładnie wiszących na nim — sinobladej twarzy — znękany widocznie.

— Jerzy! Może od zdrajcy szambelana przybywa! zawołał chorąży, poruszając szcudłem. — Precz z nim! widzieć go nie chcę !

— Ojcze! Ojcze! cicho błagała Hanna, składając dłonie.

W tej chwili nagle drzwi otworzono i Jerzy rzucił się do stóp chorążego, wyciągając złożone ku niemu dłonie!

— Ulituj się, ojcze, i przyjmij sierotę ! błagał z głębi duszy. — Piekło na zawsze rozdzieliło mnie ze stryjem !

Wyrzekłem się krwi jego przekłetej. Wyrzekłbym się nazwiska, gdyby ono nie było nazwiskiem mojego ojca, prawego syna ojczyzny ! — objął kolana starca, całował stopę jego i szcudło.

Chorąży ostrym spotkał go wzrokiem, ale zaraz zmięła mu źrenica — poruszył się wąs mleczny, drewniana noga zadrgnęła — roztworzył ramiona i sierotę Michałamęczennika do polskiego przygarnął serca.

Chwila uroczysta potrwała. Hanna łzami zalana, przyciskając do ust Matki boskiej obrazek gorącą odmawiała modlitwę. Kapłan złożył dłonie. Porucznik oczy rozwarł szeroko.

— Powstań chłopcze, siadaj! pociągnął chorąży Jerzego na siedzenie obok. — Suknie twoje przemokłe, zmarnowanyś, pewno jechałeś noc całą?

— Porzuciłem zamek wieczorem wśród burzy. Zjechał tam wczoraj zausznik Stackelberga ze straszną nowiną... i zerwałem ostatnie węzły pokrewieństwa ze zdrajcą kraju — Jerzy zadrżał boleśnie. — Babka udzieliła mi swojego błogosławieństwa...

— Święta niewiasta!... O mój Jerzy, ale cóż teraz stanie się z nami ?

— W chwilach ciężkich a groźnych, w doli strasnej, nieszczęsnej, siły wszystkich skupić się winny. A Polska ma jeszcze dość mocy, by z tej szatańskiej podźwignąć się matni.

— O mój chłopcze! starzec głową pokręcił i dłonią przycisnął czoło.

— Nie upadajmy na duchu! Nie poddajmy się potędze piekieł! Łączmy się, bracia krwi jednej, synowie jednej macierzy, a Bóg nam dopomoże!

— Łączmy się ! zawołał rotmistrz ożywiony nagle — bo gdzie takie biją serca, tam jeszcze żyje Ojczyzna, gdyby i zdradni wrogowie zbrodniczo na szmaty poszarpać ją mieli. Ojczyzna żyje, wolność i wiara! —

dodał z ogniem młodzieńczym. — Dola sroga, nieszczęsna, to kamień probierczy. Gdy nieszczęście siły jednoczy i w zgodne zlewa ją braterstwo, Bóg pobłogosławi z wysoka. Łączmy się zatem! Nie rozerwany splatajmy węzeł!... Synu mój! Chłopcze! Sieroto po zacnym Michale! Wnuku szlachetnego lilii i świętej matrony! Łączmy się, synu mój przybrany! Hanno ! Młoda dziewczyna przystąpiła do ojca. Ujął jej rękę.

— Hanno, Jerzy, serca połączyły się wasze !... Córko moja, to twój przyszły małżonek! Starzec spoił ich dłonie, młodzi na kolana upadli, — Chłopcze, wysłużysz ją sobie walką za Polskę !

— Ojcze ! Ojcze mój! Hanno! wołał młody ze łzawą źrenicą.

— Zbrodnia wykopała grób Rzeczypospolitej. Ale Ojczyzny ukochanej jeszcze nie pogrzebali! Straszny to ołtarz a krwawy, ale przy tym grobie rozwartym wasz związek poświęcam. Łączmy się! Tyżeś to wyrzekł, mój synu: że w chwilach przejść ciężkich wierni i kochający łączyć się winni, by spólnymi działać siłami. Niechaj żyje Rzeczpospolita! Niech żyje Polska! Wolność i wiara!

— Niechaj żyje Rzeczpospolita! powtórzyli wszyscy w około. — Niechaj żyje Polska! Wolność i wiara!

— Amen! dodał kapłan z westchnieniem pobożnym.

— Jerzy przeleciał mil dziesięć wśród burzy i nawałnicy, zatem Hania...

Popchnięto drzwi silnie, i Bogdan wpadł do komnaty : błądy, jak widmo, z oczami krwią nabiegłymi — z włosom rozchwianym.

Wszyscy poruszyli się przerażeni.

— Więc to jest prawda?! zawołał głosem ochryłym, złamanym — prawda! prawda... że Polskę rozerwali na ćwierci?! Szatani zdrajcy!

— Prawda, straszna prawda, mój synu! jęknął stary ojciec.

Jerzy załamane dłonie do czoła przycisnął.

— Polska rozćwiartowana! Bogdan skuloną pięścią uderzył się w głowę — zagrabiona, niewolnica!... Zniknie w otchłani, wtrącona piekiel przemocą i zdradą!... pobladł więcej jeszcze, posiniał, i drżał konwulsyjnie. Zwyciężyła zdrada!... Ohydna potęga górę wzięła!... Wyrodni zapredali lud wierny... O Boże, gdzie jesteś? Boże! i taką ścierpiałeś zbrodnię!... Dozwoliłeś lud sobie wierny zagarnąć, zbezczeszczyć! ... Boże, czy sprawiedliwym jesteś?... Boże, czy jesteś?! zaśmiał się nagle straszno, przerażająco, niby włosy na jego powstały głowie i obląkanym w około potoczył wrzokiem. — Polska rozćwiartowana, Polska wierna swojemu Bogu i ludom... Bóg sprawiedliwy takiej niedopuszczyłby zbrodni! wyrzucił z przepelnionej rozpaczą piersi — Polska na łup rzucona. .. Wolność i wiara! zaśmiał się znowu, straszniej jeszcze, okropnie.

Wszyscy na śmiech ten zdrętwieli. Hanna poskoczyła ku niemu.

— Bóg nas doświadcza tylko! złożone ku niemu wyciągnęła dłonie. Bóg jest wielkim i sprawiedliwym! Bóg miłościwym jest ojcem!

— Ha rozwarł oczy szeroko, straszno — Boga niemasz !. .. Tylko szatani!

— Bodziu! chciała objąć go za szyję.

— Precz! odepchnął biedną — Katarzyna! wszetecznicą ... Precz ! targnął za włosy. — Precz! ryknął przeraźliwie i zadrżał, jakby dreszczem febry przeszyty. Wolność! zgrzytnął zębami — Wiara! Sprawiedliwość! zaśmiał się chichotem straszliwym. — Wolność! rzucił się ku drzwiom i wybiegł.

Jerzy poskoczył za nim, proboszcz i nieruchomy dotąd porucznik.

Z poza okna posłyszano jeszcze odgłos okropnego śmiechu.

Chorąży porwał się, chciał pobiedz także, podjął szczudła. Hanna w pół go objęła.

— Oszalał!... Oszalał z rozpacz! Oszalał! — powtarzał nieszcześliwy ojciec.

— Mój ojcie! Ojczusku! błagała córka pobladła. Rozległ się nagle huk niedaleki wystrzału. Ojciec na wpół omdlały na siedzenie upadł.

— Mój chłopiec! Mój syn! — porwał się bezsilny. Mój Bogdan! Moje dziecko ! jęknął w bóleści najsroźszej. Usiłował powstać i upadł z niemocy.

Hanna do widma podobna, kolana jego objęła.

— Mój chłopiec !... Mój kochanek ! jęczał w objęciu córki.

Zwolna wszedł kapłan do komnaty, poważny i błady.

— Mój chłopiec!... Mój jedynak !... Oddajcie mi syna mojego ! rzucał się nieszczęśliwy starzec.

— Biedny ojcie, poddaj się woli Bożej! wymówił proboszcz głosem drżącym.

— Mój Bogdan!... Syn mój jedyny! Pociecha moja! starzec płaczem ryknął.

Wbiegł Jerzy, istny obraz przerażenia i rzucił się do stóp jego.

Porucznik osłupiałyr raczej mumija, ukazał się we drzwiach otwartych.

— Bogdan!... Bodzio! ... Chłopię moje! jęknął starzec z zalem rozdzierającym. — Oddajcie !... Oddajcie!... Boże, dziecię moje! ...

Kapłan z krzyżem w rękę stanął przed nim.

— Bóg dał, Bóg wziął! wymówił uroczyście. Już nie masz syna ! Szaleństwo rozpaczy w grób go wtrąciło !... Serce gorejące miłością Ojczyzny, wielkiego jej nieszczęścia, zbrodni dokonanej i hańby przeniesić nie zdołało! Boże zmiłuj się nad nim ! Boże odpuść!... Krew jego niechaj spadnie na głowy występnych ! Boże, zmiłuj się nad nami!

PRAWO BEZPRAWIA.

— Płace, ale po raz ostatni!—rzekł pan Marek do żony, chowając w zanadrze sporo obszarpany pugilares—a teraz z nami kwita i basta!

Gdy pan Marek te pamiętne słowa wymawiał, miał na sobie szaraczkową kapotkę, buty juchtowe i wąż siwy równo podstrzyżony. Stał przy oknie i łokciem ręki opierał się o gotowalnię, przy której siedziała kobieta już nie młoda, z wyszukana jednak fantazyą ubrana.

Gdy pani Anastazyta te słowa usłyszała, upuściła z ręki grzebień szylkretowy, na znak wielkiego swego zadziwienia. I zadziwienie jej było bardzo słuszne. Dwadzieścia sześć lat i trzy miesiące upłynęło, gdy z panem Markiem śluby dozgonne zawarta. Zaraz w pierwszych latach wzięła rządy domu w swoje ręce, a w męża wmówiła, że jest wielkim niezdara. Po krótkiej lecz nieszczęśliwej walce uwierzył sam Marek w wyrok żony i zastosował się do swego nowego położenia. Oddał żonie wszystko, gdzie potrzeba było rozumu, sprytu, znajomości świata, ludzi i zwyczajów wykwinniejszych, a dla siebie zostawił rzepak, pszenicę, jęczmień, owies i wykę, nie licząc w to trzody i parobków. Przy takim podziale pracy upłynęło lat spokojnie i przykładowo. Sąsiadki, osobliwie w chwilach namiętniejszych stawiały mężom swoim za przykład pana Marka jako wzorowego małżonka.

I w tem znaczeniu był pan Marek rzeczywiście wzorowym małżonkiem. Nietylko że pani Anastazyta figurowała w całym sąsiedztwie jako jedyna, odpowiedzialna firma domu, ale były nawet wypadki, że obcopowiatowi goście mylili się, biorąc szacownego ze wszech względów pana Marka za bezliberyjnego lokaja pani Anastazyi.

Skutkiem takiego stanu rzeczy było, że pani Anastazyta wzięła także wyłączanie w swoje ręce wychowanie córek, których liczba doszła stopniowo do pięciu. Wychowywała je zrazu za pomocą bon i guwer

nantek, a potem uznała za stosowne urządzać w domu co tydzień małe sąsiedzkie zebrania, na których stosownie do pory roku, tańczono, grano w karty lub poziewano.

Gdy panu Markowi czasem wydatki na dom wydały się za wielkie, odpowiadała pani Anastazyta, że kto ma córki na wydaniu, ten musi tak żyć, bo inaczej nie można zięcia ułowić.

Nie mogło się to w głowie pana Marka pomieścić, aby tylko takim sposobem dla córek można mężów dostać. Zdawało mu się, że prędzej mógłby się ten i ow o córkę zapytać, gdyby wydawane na ustawiczne zabawy pieniądze, na skromny procencik u sąsiada ulokować. Ponieważ jednak pani Anastazyta wręcz mu prawa odmawiała mieszania się do podobnych rzeczy, stulił biedak uszy i milczał.

W następstwie rozumnych swoich planów postanowiła pani Anastazyta okazać dorodne córki swoje na szerszym świecie. Ciasny horyzont powiatu nie odpowiadał macierzyńskim fantazyom. Żaden lepszy kawaler nie zbliżał się do siedzących szeregiem pięciu panien na wydaniu, jakby ta tak uprzywilejowana liczba była liczbą fatalną. Nic pomogły ani baliki karnawałowe, ani zręcznie układane kuligi, ani żadnej dywersyi nie zrobił okazały powóz, z niemałym zmartwieniem pana Marka ze stolicy sprowadzony. Słowem pani Anastazyta uznała bystrym swoim rozumem, że trzeba koniecznie zmiany sytuacji, bo tak jak jest, dalej być nie może. Wprawdzie w każdą niedzielę, jak zwykle napelniał się dwór bliższymi i dalszymi sąsiadami, ale sąsiedzi ci robili to z pewnej nawyczki, która stała się chroniczną.

Rozmawiano trochę o plotkach, kilku kawalerów z grzeczności przysiadowało się przy pannach koleją a po zjedzeniu kolacy i wypiciu kilku kieliszków wina, rozjeżdżali się wszyscy do domu, aby za tydzień to samo powtórzyć.

Taki stan rzeczy nio poruszał ani o włos dalej macierzyńskich nadziei pani Anastazyi. Postanowiła więc jednym zwrotem zmienić całą sytuację. Wybrała się z córkami do stolicy na cały karnawał.

Pan Marek skrobał się mocno w głowę, gdy się o tem dowiedział, ale rozsądna żona dowiodła mu, że inaczej być nie może. Przytoczyła mu np. kilka znajomych domów, w których tylko tym sposobem córki świetnie za mąż powychodziły. Utrzymywała nie bez racji, że każda panna z głębokiem, w dali gubiącym się tłem, wygląda zupełnie inaczej jak w domu, gdzie to tło jest tak nieznośnie blizkie, że każdy je rękami namacać może! Opowiedziała mu nawet kilka scen z przeczytanych powieści, w których zazwyczaj bohater zaczyna się kochać w pan

nie, którą gdzieś mimochodem spotkał, po raz pierwszy w życiu ją obaczył i odrazu, jak się wyraziła, zgłupiał!—A tutaj, mówiła dalej pani Anastazyą, trudno o takie zgłupienie, bo panny nasze znają wszyscy jak złe szelągi, a tych kilku kawalerów chowało się z niemi od dziecka; ztąd trudno o tak gwałtowne wrażenia, o jakich w powieściach czytamy, przy nagłym osobiście poznaniu się dwojga nieznanym sobie ludzi!

Niepotrzeba nawet było takich dowodów panu Markowi, bo wola jejmości wystarczała mu. Skulił się więc nieborak, wydobyl z kufierka zabrukany pugilares i ze łzami prawie wyjął z niego kilkanaście grubych papierków i kochanój małżonce na wyprawę do stolicy z westchnieniem wręczył.

Trzy miesiące od owej pamiętnej chwili marzył pan Marek śród kwiku trzody i łoskotu młocarni o drogich nieobecnych i codziennie wyczekiwał zażądania ojcowskiego błogosławieństwa.

Zażądania były różne i dosyć częste, ale te ograniczały się tylko do pieniędzy i niektórych wiktuałów, a żadne z nich nie mówiło nic o błogosławieństwie ojcowskiem!

I tak bez tego błogosławieństwa obeszyły się wszystkie córki wraz z panią Anastazyą i za cztery miesiące powróciły zdrowe i w pełnej liczbie do ogniska ojczystego.

Tani Anastazyą wytłumaczyła panu Markowi, że nie odrazu Kraków zbudowano i że jedną wycieczką do stolicy nie można nic wielkiego dokazać. Czas ten zaledwie wystarczył na rozpatrzenie się i poznanie różnych dróg, jakimi w takim czasie chodzie się zwykło. Wynikała ztąd potrzeba powtórzenia na drugi rok takiej samej karnawałowej wycieczki.

Pan Marek jeszcze bardziej się zafrasował niżeli pierwszym razem, bo już wiedział o cyfrze wydatków. Nic jednak nie pomogło. Pani rządziła całym domem, a pan Marek był dostarczycielem lichego kruszcu.

Powtórzyła się więc wyprawa druga do stolicy a nawet tym razem znacznie kosztowniejsza, bo nowe stosunki tego wymagały.

I znowu czekał pan Marek owej błogiej chwili, w której będzie mógł przysłemu zięciowi udzielić błogosławieństwa ojcowskiego i znowu czekał napróżno.

Pani Anastazyą z wszystkimi córkami przyjechała zdrowa i cała i zaraz na wstępie zażądała od niego pieniędzy, aby jakiś dług jak najprędzej zapłacić.

Pan Marek wyjął obdarty pugilares i znowu żądane pieniądze położył przed małżonką, ale podmówiony przez samego pachciarza Icka, zebrał się na energią i w samą wigilią Bożego Ciała wyrzekł te pamiętne w chwilach domowych słowa:

— Płacę po raz ostatni, ale odtąd kwita z nami i basta!

I nie czekając odpowiedzi, zaraz po tych słowach wyszedł.

Pani Anastazyja długi czas nie mogła z zadziwienia przyjść do siebie. Zachowanie się męża było tak niespodziewane, tak dziwnie brzmiał głos jego, a spojrzenie miał wyjątkowym sposobem tak energiczne, że uznała za stosowne na razie nic nie robić, tylko cierpliwie ten chorobliwy paroksyzm małżonka przeczekać.

Zresztą potrzeba było nad temi zagadkowymi słowami nieco się zastanowić. Coż bowiem mogły oznaczać te lapidarne wyrażenia; Odtąd kwita z nami i basta?...

Widocznie kryła się w tem jakaś myśl niedopowiedziana. Cóżby to, mogła być za myśl? Czy podczas jej nieobecności zakradł się do cichego ogniska jakiś zły duch i pana Marka na złe drogi naprowadził? Czy pan Marek sam własną pracą swojej głowy wymyślił jakiś nowy program, który odtąd chciał w życiu dworskim zaprowadzić. A może dowiedział się o niezręcznych, a nawet śmiesznych w rezultacie zabiegach w okolicy, aby pana Mieczysława do jednej z pięciu córek jakoś przyhołubić?...

Rozmyślania podobne kazały pani Anastazyi obracać sobie politykę wyczekującą, którąby nieprzyjaciela pilnie śledziła, a kwestyi wojny lub pokoju tak bardzo na ostro nie stawiała.

I śledcze oko pani Anastazyi dostrzegło zaraz w pierwszych dniach dziwnych rzeczy. Pan Marek był przez cały czas w jakimś niezwykłym humorze. Przesuwał często ręką od czoła do brody, jakby dawną skórę chciał z twarzy zedrzeć, przyczem jeżył mu się wąs siwy strasznie do góry. Oczy jego biegały teraz energicznie, a czasami zabłyśły takim ogniem, jaki zazwyczaj jest oznaką myśli niepowszednich. Nawet ruchy pana Marka zmieniły się i zdradzały człowieka pewnego siebie i zdecydowanego na wszystko.

Takie, obserwacje nakazywały jeszcze usilniej rozsądne wyczekiwanie.

Za tydzień począł się pan Marek z wielkiem upodobaniem uśmiechać do siebie, jak autor, któremu udało się wymyślić znakomite dzieło. Równocześnie zaczęły mu się resztki siwych włosów filuternie zakręcać do góry, jakby na starość chciał jeszcze próbować dowcipu...

Wszystko to widziała pani Anastazyja i niepokoiła się wielce tak niekorzystną zmianą swego małżonka; groziło to bowiem dawnemu tak błogiemu porządkowi rzeczy. Despotycznym, a w skutkach tak świetnym rządowi pani Anastazyi groziła teraz nagła przemiana, której doniosłość jeszcze teraz nie dała się obliczyć!...

Rzetelny przestrach ogarnął nieszczęśliwą monarchinię, gdy pan Marek pewnego wieczora, bezpośrednio po zrazach z kaszą zwrócił się do najstarszej córki, która miała imię Łucya i w te do niej ozwał się słowa:

— Jeżeli się nie mylę... dwadzieścia pięć wiosen już waćpannie minęło... trzebaby jakoś... ot zapomniałem ci Anastazyo powiedzieć... że za parę dni wybieram się z domu na kilka tygodni. Wezmę z sobą Łucyę.

— Jaki, przed żniwami?—zagadnęła zdziwiona pani Anastazyja umieszczając w swoich trzech słowach najcięższego wagomiaru argument, jakim były dla pana Marka żniwa.

Jak ostrzelony weteran machnął pan Marek ręką, odwracając ten pocisk od siebie.

— O żniwach myślałem— odrzekł—i wszystko jest już załatwione. Pachciarz Icek ma już cały program roboty podczas żniw, a resztę wzięli na siebie Tymko i Wawrzeniec

— Gdzież chcesz jechać?

— Ot... tak... trochę się przewietrzyć!

Pani Anastazyja spojrzała z zadziwieniem na męża, którego nigdy o takie rzeczy posądzić nie mogła.

— Może w odwiedziny do pana Kalasantego?—zaczęła ostrożnie badać.

— Trochę dalej!—krótko odpowiedział pan Marek.

— Przecież nie do państwa Władysławów?

— Dalej, jeszcze dalej!

— Do Częstochowy?

— Pojadę za granicę!

— Za granicę?

— Tak... do wód!

— Co mówisz!

— Mam kolkę w boku... Pachciarz Icek powiada, że jakaś dawna, zaniedbana choroba wyłazi mi bokiem! Pani Anastazyą skamieniała z zadziwienia. Cóżby to znaczyło? Zkąd się nagle wzięła taka energia w mężu tak potulnym? Miałżeby pachciarz Icek, którego oddawna miała za intryganta, tak stanowczo wpłynąć na niego i podmówić go do otwartego rokoszu?...

Były to pytania, na które w tej chwili nie mogła odpowiedzieć pani Anastazyą. Przewidując niebezpieczeństwo, schowała starannie wszelką broń zaczepną i z łagodnym uśmiechem zbliżyła się do pana Marka.

Pan Marek usunął się od pieszczoł żony, podejrzewając w niej konia trojańskiego.

— Dawno już o tem myślałam—rzekła z przymileniem—że wody byłyby dla ciebie bardzo potrzebne; sądziłam jednak, że inaczej tę rzecz urządzisz!

— Jak inaczej?—szorstko zapytał pan Marek.

— Że wszyscy razem pojedziemy!

— Wszyscy razem?... byłby to piękny tabor! Pięć jednakowo ubranych córek, może odstraszyć i najodważniejszego konkurenta!

Pani Anastazyą spojrziała na męża, jakby myśl jego ukrytą chciała odgadnąć. Czyż nic uważał on tego za złą taktykę, że do stolicy na karnawał zabrała wszystkie pięć cor i tamże jeszcze ubierała je w suknie jednego koloru?... Być może, że to nie było dobrze... ale dlaczegoż o tem otwarciu z nią nie mówi? Moznaby przecież taktykę zmienić, a jadąc do wód zagranicznych wziąć tylko dwie tymczasem...

Zdaje się, że pan Marek zląkł się niebezpieczeństwa, które cały plan jego pokrzyżować mogło. Wyrzucił sobie, że się zdradził jakimś nieoglądnym słówkiem i postanowił rzecz naprawić. Najeżył więc wasy jak mógł najsrożej, odsunął się od żony na dwa łokcie polskie i odparł:

— Pozwolisz mi, serce, że choć raz w życiu zrobię to co chcę. Ułożyłem sobie że na kilka tygodni trochę w świat wyjadę i Łucyą z sobą zabiorę i dotrzymam słowa, jak cię Kocham! Natryndałaś się jejmość dosyć po świecie, a ja tymczasem karmiłem trzodę i młóciłem zboże; kolej teraz na mnie: spróbuję co umiem. Łucya ma już lat

dwadzieścia pięć... a najtrudniejszy jest początek. Jak raz się zacznie, to nadzieja w Bogu, że dalej pójdzie!

Pewną już teraz było rzeczą dla pani Anastazyi, że mąż na seryo myśli o zięciach. Również i to ją upewniło, że dotychczasową jej taktykę uważa za chybną i że natomiast inaczej postąpię zamysła.

Jakkolwiek nie miło jej było, że mąż tę sprawę bierze w swe ręce i że sam z córką za granicę wyjeżdża; po bliższym jednak namyśle uznała za rzecz stosowną w tych pomysłach bynajmniej mu się nie sprzeciwić.

A powody do tak wyjątkowej uległości miała różne. Najprzód była zbyt wytrawną dyplomatką, aby nie wiedzieć, że najznacznější minister wypuszcza czasem z rąk władzę i oddaje ją zacieklej opozycji na to tylko, aby ją skompromitować i nadal nieszkodliwą uczynić.

Po swoich doświadczeniach była pani Anastazyą prawie pewną, że tak ograniczonemu człowiekowi, za jakiego miała swego małżonka, bynajmniej się nie uda wydać za mąż córkę w tak krótkim czasie. Wtedy byłaby wygrana po jej

stronie, a pan Marek musiałby na resztę życia jak robak umilknąć, pokutując wzorowo za rokosz podniesiony. słodko więc usmiechnęła się do męża pani Anastazaya, przygłaskała mu siwe filutki i rzekła: skała mu siwe filutki i rzekła: — Dobrze, mój Marciu kochany, jedź z Eanem Bogiem i Łucyą, a wracaj z Bogiem choćby bez Łucyi. Cieszy mnie to, że poczuwasz się do wspólnych obowiązków życia. Dostyc namęczyłam się w stolicy wysiadywaniem na kanapie całonocnych wieczorków; spróbuj ty trochę tych specyałów. Mieć córki na wydaniu, to ciężka chwila dla matek, niechże i ojcowie coś z tego zakosztują.

Pan Marek nie był przygotowany na takie zakończenie sprawy, którą słusznie w duszy rokoszem nazywał. Ucieszyło go jednak, że bez walki ustąpiono mu część przywilejów, że korona dobrowolnie wyrzekła się władzy despotycznej, za co zazwyczaj ludy krew swoje przelewają.

Uściskał serdecznie żonę i jak powiedział, za kilka dni wybrał się w podróż zagadkową nie tylko dla żony i dzieci, ale nawet jak się zdaje i dla samego siebie!

Trudno odgadnąć, co skłoniło pana Marka, człowieka trzeźwego i oszczędnego do kroku tak ekscentrycznego. Czy była to zbytnia mi

łość dla dzieci, którym z serca życzył, aby jaknajprędzej dopłynęły do portu zwykłego swego przeznaczenia? Czy była to obawa i niepokój, że to przeznaczenie może je ominąć i na wstyd i hańbę zostawie je w domu rodzicielskim w stanie bezzennym?...

Drugie pytanie nasuwało się, dlaczego pan Marek wziął z sobą tylko jedne z pięciu córek, aby ją nieznanemu światu okazać? Czy miałby zasłyszeć coś o Posainej jedynaczce i dowcipną myśl autora zastosować do swoich spraw domowych?...

Trudno jednak posądzać o to szanownego sąsiada. Pan Marek nie zajmował się nigdy w życiu żadną komedią, bo życie przedstawiało mu się jako dramat nader poważny. Trudno więc przypuszczać, aby w sprawach żywotnych zapożyczał od kogo konceptu. Czasami tylko przyjął coś od pachciarza Icka, gdy mu się to podobało, a zresztą we wszystkim był posłusznym samorodnym konceptom swojej małżonki.

Można tylko przypuścić, że pan Marek uważał za stosowniejsze wybrać się w świat z jedną tylko córką, nierobiąc tyra sposobem nikomu nieprzyjemnych trudności wyboru. Jakie zaś dalsze były plany podróży pana Marka, o tem trudno wyrokować. Zdaje się, że sam pan Marek nie wiedział o nich i spuścił się tylko na Ducha Świętego, który w czasie potrzeby zawezwany z pokorą i wiarą, ma oświecać rozum każdego wiernego chrześcianina.

Z taką, jak się zdaje, wiarą wyjechał pan Marek z Łucyą i trzema dużymi kuframi z bramy ojczystej i szczęśliwie dotarł ko kolei że* laznej, która zbliżyć go miała do upragnionego celu.

Na kolei żelaznej zastał pociąg zapełniony różnymi ludźmi. Obejrzał starannie wszystkie wozy, policzył podróżnych, przypatrzył się ich twarzom i torbom. Gdy te pracę ukończył, kazał konduktorowi otworzyć drzwiczki do oddziału gdzie tylko same kobiety siedziały i gdzie tytoniu palie niewolno. W tym oddziale umieścił Lucyą poleciwszy ją opiece jakiejś sędziwej matrony; sam zaś dla swobody palenia lulki wszedł do wagonu, w którym ciemno było od dymu tytoniowego

Z początku zdawało się panu Markowi, że żywcem dostał się do piekła. W głębi wagonu siedziało kilka niewyraźnych postaci z brodami i bez bród. a każde usta trzymały jakby rozpaloną głownię, z której buchał dym, podobny zupełnie do dymu, w jakim wędzą się potępieńcy, jak to widział na jednym z obrazów kościoła parafialnego.

Dosyć czasu upłynęło, zanim pan Matek mógł oczy swoje z tą dziwną atmosferą oswoić. Powoli wyskakiwały z pomiędzy kłębow dymu pojedyncze kontury różnych części ciała ludzkiego i wiązały się w zrozumiałą dla pana Marka całość.

Najprzód obaczył pan Marek przed sobą trzy pary nóg, ubranych w czarne kamasze, po za którymi poczynały się białe w różne kolorowe desenie pończochy. Tworzyły one ton i grunt obrazu. Po nich następowało cztery par kolan rozmaicie pokratkowanych, a za kolanami pojawiły się brody i wąsy, z których tryskały iskrami palące się cygara. Teraz miał już pan Marek cały obraz przed sobą. Pierwszy z kolei towarzysz miał twarz dosyć inteligentną z kresą na czole. Był to widoczny ślad od krzywej szabli. Prawdopodobnie był to człowiek wojskowy, albo oberwał tę honorową oznakę w jakim pojedynku broniąc swego honoru... Mógł liczyć lat trzydzieści kilka. Twarz miał ocienioną ciemnym zarostem.

Drugi z kolei towarzysz miał bardzo rozumne czoło ale ubiór zato bardzo zaniedbany. Oglądając go od stop do głowy dziwił się pan Marek, że rozumne to czoło właścicielowi przynosi procentu, jeżeli lepszego niema na sobie ubrania. Był to człowiek już niemłody i palił jak się zdaje najgorsze cygara.

Sąsiad rozumnego czoła a starego surduta, miał z nich wszystkich najlepsze pozory. Był miody i wykwintnie ubrany. Charakterystycznym był bajroński kołnierzyk, który groził, że co chwila odpadnie od chudej szyi.

Pan Marek antiquo more pokłonił się swoim trzem towarzyszom, gdy wszystkie ich członki dostatecznie mu się uwydatniły. Nie otrzymał jednak wzajemnego ukłonu. Jegomość z kresą spojrział na niego z chmurką na czole, jakby niekontent był z takiej konfidencji; sąsiad jego zmarszczył rozumne czoło, a trzeci schował brodę w kołnierzyk bajroński, jakby nowego przybysza nie chciał widzieć.

Pierwsze zetknięcie się z światem, od którego pan Marek tyle sobie obiecywał, było niefortunne. Chcąc wyjść z tej niemilej sytuacji nio miał pod ręką innego sposobu, jak zamknąć oczy i udawać śpiącego.

Rola ta udała się wybornie. Chrapanie pana Marka było tak naturalne, że nawet rozumne czoło" uwierzywszy w głęboki sen nowego przybysza, dało się wciągnąć do poufnej rozmowy.

Z rozmowy tej dowiedział się pan Marek wiele ciekawych rzeczy. Najprzód dowiedział się że towarzysz z kresą jest dosyć zamożnym obywatelem z Podola i do tego bezzennym. Sąsiad z rozumnym czołem był nauczycielem kilku Obywateli wiejskich, których doprowadził pracą i nauką do wysokiego stanowiska i bogatego ożenku, zostawszy sam w biednym pedagogicznym surducie... Dzisiaj towarzyszył ukończonemu młodzieńcowi za granicę, który w bajrońskim kołnierzyku miał po raz pierwszy patrzeć się na piramidy i ruletę.

Gdy już rozmowa informacyjna ostatecznie się wyczerpała, wyjął towarzysz kresawy książkę z torby i zaczął czytać.

— Co to za książka?—zapytał pedagog z rozumnym czołem, poprawiając ac swój surdut wytarty.

— Romans francuzki!—odpowiedział kresowy. Czoło pedagoga stało się jeszcze rozumniejsze.

— Romans francuzki?—zawołał podnosząc brwi a poco pan czytasz te głupstwa?

— Przecież trzeba się czasem rozerwać!

— To czytaj pan Kraszewskiego, Korzeniowskiego...

— Polskich powieści nigdy nie czytuję! Rozumne czoło pedagoga bardzo się zmarszczyło.

— Pan lekceważysz nasze skarby!—rzekł z indygnacją, zakrywając podartą podszewkę surduta.

Podołaniu patrzył na niego z uśmiechem przez czas niejaki.

— Daj mi pan pokój z temi skarbami—odparł z grymasem— powieści polskie są tak nudne jak kazania wielkopostne! Pedagog westchnął.

— Prawda—odparł—ale cóż robie! Jesteśmy zawsze w wielkim poście, bo karnawał przepędziliśmy nierozsądnie a Wielkanoc jeszcze daleko!

— Cóż to ma do powieści?

— Jaki czytelnik taka powieść, Popielcowy czytelnik potrzebuje morału, rozpamiętywania, a powieść dostarcza mu tego wszystkiego.
— Ależ ja pragnę zabawy!
— My z zabawą łączymy naukę.
— Ztąd pochodzi, że powieść nasza jest arcy nudną i tak jedna do drugiej podobną, iż trudno ją do końca przeczytać. Jest w niej zazwyczaj młody człowiek, dawniej poeta a dziś inżynier lub doktor,

który kocha się w młodej pannie i z nią w końcu się żeni. Cóż to za oklepana sytuacja!

— Miłość jest zawsze świeżym przedmiotem.
— Niechże ta miłość wystąpi w pewnych drastycznych powikłaniach, jak na przykład u pisarzy francuzkich!
— Dostyc ciekawą jest już walka miłości, jeżeli zwalczyć musi złe, podstępne i niedostępne!
— Najciekawszą jest jednak, jeżeli walczy przeciw pewnym zwyczajom i ustawą uświęconym więzom społecznym...
— Pan masz na myśli... wiarołomstwo w małżeństwie!
— Tak... jeżeli pan tę walkę tak bazy wasz... zawsze jestto najciekawsza faza uczucia!
Pedagog zmarszczył czoło. Rzekł po chwili:
— Pan chcesz, aby powieść nasza dostarczała tego narkotycznego pokarmu, jaki roznoszą romanse francuzkie. Powtarzam, jakie społeczeństwo taka powieść. Być może że w społeczeństwie francuzkiem (czemu jednak nie wierzę) niema już żadnego interesu piękna dziewicza miłość, jeżeli pisarze tylko w wiarołomstwach tej boskiej iskry szukają! U nas, dzięki Bogu, nie ma jeszcze potrzeby tego specyału a więc i powieść nasza nie produkuje go!
— Jeżeli zaś kto w takim produkcie smakuje?
— To co innego! Wolność Tomku w twoim domku... byle z tego nie robie strawy!
Ruchome czoło pedagoga spuściło się jeszcze o kilka cali niżej. Nastąpiła dłuższa pauza.
Po chwili ozwał się amator walk sercowych:
— Przyznam się panu, że od lat wielu nic już po polsku w tym rodzaju czytać nie mogę. Być może, że to wpływ literatury zagranicznej, w której moralność publiczna luźniejsze ma koło.
— Nieinaczej!—mruknął pedagog.
— Przygody miłości od jej urodzenia aż do ślubu są już tak mało ciekawe! Najwyższe naprężenie uczuć może tylko w naprężonych objawiać się sytuacjach. A gdzież stosowniejsze do tego pole, jeżeli nie tam, gdzie te uczucia spotykają się z żelaznymi pierścieniami...
— Ustawy społecznej i praw Bożych.
— Tak... chciałem powiedzieć małżeństwa. Jakaż to ciekawa walka rozpoczyna się wtedy w człowieku, jakie olbrzymie siły może wtedy człowiek do walki postawie, jak wspauiałym może być bohate

rem, gdy naturalnym biegiem wypadków zażąda adwersarz życia jego na stwierdzenie tego, co serce czuje?...

Rozumne czoło pedagoga skurczyło się jak miech kowalski.

— To jest uczucie zbrodnicze!—wyrzekł i zakrył twarz Jowiszową, chmurą dymu.

— W rzeczach uczucia nie ma zbrodni!—podjął z ożywieniem sąsiad—jest tylko walka! Przyznam się panu, że z wielkim interesem słucham komedii francuskiej, w której zazwyczaj odbywają się walki tak drastyczne; z gorączką prawie czytam romans francuski, w którym serce młodej kobiety walczy przeciw tytanicznym pokusom wrzących uczuć z zimną żelazną obrożą obowiązków żony.

— I matki kilkorga dzieci!

— Może być i to... i matki kilkorga dzieci.

— Upadam do nóg! U pana jak widzę ideałem bohatera jest jeden z owych donżuanów buduarowych, którzy pocieraku oszukują najlepszych swoich przyjaciół. Jest przyjacielem męża, całuje go i ściska, a poza nim wyciąga rękę do żony i kusi ją do złego jak szatan. Nie przeczę, jest w tem pewien urok, ale dla ludzi złych, przewrotnych, przedewszystkiem już zużytych. Jest to sztuczne wzbudzenie apetytu pieprzem i assafetydą! Upadam do nóg!

Pedagog podniósł nogę swoją jeszcze wyżej, pokiwał nią czas niejaki i prawił dalej:

— Wyobrażam sobie, jak te rzeczy buduarowe wyglądają. Mgza niema w domu, poszedł na sesję lub partyjkę. W buduarze siedzi jejmość i nudzi się. Nie jest ona pierwszej młodości, bielidło i róż należą u niej do codziennego użytku. Niedosyć na tem. Trzeba światło przyemie, aby niebardzo artystyczne linie brwi i oczu w półcieniu okazać. Prócz tego ołowiany proszek pudru trzeba ożywie. Nakrywa się lampę różową przesłoną, bierze się do reki książkę w czerwonej oprawie. Wchodzi przyjaciel... człowiek, który ją lepiej rozumie od męża, od matki i od dzieci!.. Jakże nie kochać takiego człowieka?.. Upadam do nóg!

Pedagog podniósł drugą nogę

— Mości Lucyanie—rzekł zwracając się do młodego towarzysza z bajrońskim kołnierzem—mam ci wiele rzeczy w świecie okazać, ale przedewszystkiem ostrzegam cię przed taką miłością buduarową, o której może nieraz w książkach francuskich czytałeś, bo ona jest najprzód

głupia a potem poniewiera człowieka jak ścierkę! Rozumiesz? Upadam do nóg!

Młody człowiek z bajrońskim kołnierzykiem ruszył głową w kierunku pionowym, co miało znaczyć że się z pedagogiem zupełnie zgadza.

— Gdybym się kochał rzekł po chwili—to zawsze w młodszą pannie!

— Tak, dobrze powiadasz—odrzekł pedagog—w młodej pannie i z tą młodą panną potem do ołtarza, mój kochany Luciu!

Lucio poprawił kołnierzyk niesforny, aby wyglądał poważnie jak narzeczony. Dziwny jednak wyraz przebiegł mu po twarzy.

— Tanie łaskawy—rzekł zwrócony do pedagoga—a czy to będzie dobrze? Jeżeli ja z młodą panną się ożenię, a potem mój przyjaciel....

— Co tóż mówisz?

— Przecież lepiej jest być.... tym przyjacielem niżeli mężem, który ma przyjaciela!

Pedagog spuścił nogi a podniósł rozumne czoło.

— Widzisz pan?—zawołał do sąsiada z kresą—wiesz pan na jakie myśli naprowadza lektura takich romansów francuskich? Dobrze że Lucio jest pod opieką doświadczonego człowieka, który mu nie da popaść w tak ohydny pułapkę; ale gdyby inaczej było?...

Amator nowożytniej powieści francuskiej uśmiechnął się jak człowiek, którego świat nie pojmuje, zapalił cygaro i ozwał się:

— Nie trzeba nigdy rzeczy brać z najgorszej strony. Nie mówiąc o tych rozbójnikach buduarowych, ani o tych godnych ich bohaterkach, które męża do posług publicznych wysyłają, a same przy różowym świetle lampy kochaneków potajemnie przyjmują!

— Upadam do nóg! A o czemże pan mówisz?

— Są pewne wyjątkowe sytuacje. Są kobiety, które padają ofiarą stosunków społecznych, czy to z całą bohaterską świadomością czy bez niej; te kobiety po pierwszym upojeniu, poświęcenia się lub nagłej zmiany przychodzą do praw

swoich i widzą, że te prawa są im wzbronione!... Serce budzi się, pragnie miłości, a tu zamiast człowieka spotyka się zimny głaz ozłoczonego cielca lub próchniejący kadłub pochyłonego do grobu starca....
— Tereferę. Upadam do nóg! A cóż to, czy panna ślepa, czy idiotka? Czy ona nie wie za kogo idzie?

— Są wyjątkowe położenia...

— Tylko dla głupich cielątek! Upadam do nóg! A jeżeli która powiada, że jest ofiarą miłego grosza, to ta jest gorszą od cielęcia, bo jest przewrotną!

— Pan jesteś zwykłym moralistą, a nie psychologiem. Wierzą mi pan, że przy każdej nawet pospolitej zbrodni jest pewna walka szlachetnych w człowieku zasobów....

— Upadam do nóg! I cóż ztąd?

— Otóż ta walka, przy tak naprężonych strunach jest bardzo ciekawa! Ztąd też pochodzi, że obrazy takich walk, jakie nam daje literatura francuzka, tak magicznie na uas działają, i tyle mają miłośników! Nie jestem człowiekiem róowem światłem buduarów popsutym, ale przyznam się panu, że gdybym był tak nieszczęśliwy i w jakiej męźatce się zakochał, to wyobrażam sobie, że szczęście moje miałoby dla mnie daleko więcej uroku, już z tej prostej przyczyny, że walczyć trzeba! Czemże jest miłość bez walki? Gdybym był ubogim, to mógłbym się przynajmniej w bogatej pannie zakochać. A tak, przy niezgorszym majątku jestem mniejwięcej dla każdej prawie panny dobrą partyą, jak to z uśmiechów i zapraszań mamy, babci i cioci widzę, nie mówiąc już nic o pannach, które na wioski podolskie bardzo czule serce mają!...

— Upadam do nóg! Z taką niewiarą w ludzi wolałbym się zaraz utopie!... Zresztą znamy się na takich szpakach! Luciu! Pamiętaj, abyś nigdy dla ekstraktów nie porzucił żywych kwiatów! Rozumiesz?

— Rozumiem, łaskawy panie—odparł Lucio i uśmiechnął się do swoich cichych marzeń.

W tej chwili zatrzymał się pociąg. Pan Marek przebudził się z pewnym komfortem.

Podróźni przerwali rozmowę, bo czwarty obcy świadek nie był im na rękę.

Przebudzenie się pana Marka było tak naturalne, że nikt nie mógł go podejrzewać o podstęp! Pan Marek chrapnął najprzód głośniejsz niż zwykle, potem wyciągnął jedną rękę, którą aż do bajrońskiego kołnierzyka dostała; wyciągnął potem drugą która w drodze o rozumne czoło pedagoga zawadziła, a wreszcie kopnął nogą trzeciego towarzysza w sposób tak naturalny, że tenże aż krzyknął.

— Przepraszam—zawołał: poziewując—Lucyo, Lucyo! straszne rzeczy mi się śniły!

Rzekłszy to otworzył oczy i zadziwiony spojrział wkoło siebie.

— Przepraszani panów—rzekł po raz drugi—myślałem że ze mną jest....

Zapewne żona lub córka?—uzupełnił pedagog.

— Tak... tak... coś podobnego—zakłopotany odparł pan Marek.

— I przypadkiem wymówiłeś pan imię, na które mógłby się odezwać mój młody sąsiad!

Młody człowiek i angielski kołnierzyk pochyłili się przedzaczem obliczem pana Marka.

Pan Marek nie chciał się wdawać w dalszą rozmowę: wstał z siedzenia i zbliżył się do szyby.

Przychodziły teraz do niego różne oferty. Chłopiec z dzbankiem glinianym zawołał:

— Wody, świeżej wody! Pan Marek ruszył głową.

— Francuzkie śliwki, figi i rodzynki! — krzyknął mu żydek w sam nos.

— Kawy, piwa, herbaty!—wołał chłopiec z białym fartuchem.

— Piękne, świeże róże!—śpiewała miłym głosem mała dziewczynka.

Pan Marek skinął na nią.

— Co chcesz, dziewczynko, za ten bukiet?—zapytał.

— Dwie dziesiątki—odpowiedziała.

— Masz trzy, i idź tam do trzeciego wagonu, w którym same panie siedzą i zapytaj się, która jest z nich Łucya. Dasz jej bukiet... Albo zaczekaj, pójdę sam!

Pan Marek otworzył drzwi i wysunął się z wagonu.

Zrazu nie sprawiło to na podróżnych żadnego wrażenia. Pedagoga można było posądzić, że się do snu układa wygodnie, sąsiad jego chciał na seryo teraz zająć się czytaniem, a młody Lucio wahał się, co ma z sobą zrobić. W sam czas przypomniał sobie, że stary towarzysz napół we śnie wymówił imię, które było podobne do jego imienia i że dla tego prawdopodobnie imienia kupił bukiet z róż, który własnoręcznie poszedł doręczyć.

Bukiet z róż nie mógł być dla kogo innego przeznaczony jak dla kobiety; Lucio wyjrzał więc oknem, aby Łucyą obaczyć.

— Patrz pan—zawołał do pedagoga jaka to ładna osoba chodzi po peronie z naszym starym towarzyszem! Nazywa się Łucya, tak jak ja!

Pedagog poczuł się do obowiązku wyjrzeć na peron. Uczynił to także i trzeci sąsiad, chociaż z większą od innych apatya.

— A! prawda!—odkrząknął pedagog.

— Zapewne córka—dorzucił Lucio.

— Nic a nic niepodobna!

— Prędzej żona!—zauważył sąsiad z kresą.

— Byłby przecie powiedział, gdy z nim mówiłem!—wtrącił poczciwy pedagog.

— Szczwany lis!—mruknął starszy towarzysz—boi się....

— Walki serca z obowiązkami!—dokończył pedagog i prędko usiadł, bo w tej chwili ruszył pociąg w dalszą drogę.

Pan Marek nie wrócił.

Gdy pociąg ruszył, jakoś dziwnem wydawało się wszystkim, że miejsce, na którym pan Marek tak smacznie chrapał, było teraz próżne. Przyzwyczaili się już do jego łysiny, do jego szorstkich krótko uciętych wąsów, do kapotki szaraczkowej, a przedewszystkiem do tego regularnego chrapania, jakim przez całą godzinę tak wzorowo popisывał się nieznamy towarzysz. Czegoś im widocznie brakowało. Wyrzucali nawet sobie w duchu, że z nim rozmowy nie zawiązali, z której mogliby się byli dowiedzieć, kto on jest i czy owa Łucya z bukietem róż jest jego córką czy żoną.

Już nawet gotowali się z zapytaniami zręcznemi, a tymczasem ulotnił się szlachcic jak upiór w balladzie. Przy zwykłych przygodach podróży było to zawsze coś niezwykłego. Widocznie nieznajomy towarzysz nie chciał dłużej z nimi pozostać. Czy się czego obawiał? Czy dosłyszał co z rozmowy o romansach francuzkich? Czy lękał się, aby jeden z towarzyszy nie chciał w dziejach jego domowych zostać bohaterem?

W braku innego zajęcia były to zawsze pewne zagadki. Okazało się potem, że zagadki te równocześnie wszystkich zajmowały.

Po jakimś czasie, prawie równocześnie odezwali się wszyscy razem:

— A gdzie się podział nasz zagadkowy towarzysz?

— Jużto pan Wiktor najlepiej objaśni nam to, z romansów francuzkich!—dodał, po ogólnym zapytaniu pedagog. Sąsiad z kresą na czole, którego teraz towarzysz panem Wiktorem nazwał, uśmiechnął się jak prawdziwy weteran w takim zawodzie.

— Gdzie się podział—odpowiedział po chwili—tego nie wiem, ale zapewne miał pewne powody uchylcie się od naszego towarzystwa.

Prawo bezprawia.

— Powody?—zapytał pedagog—jakież miałby powody? Czy może to, że imię córki jego zeszło się przypadkiem z imieniem mego młodszego towarzysza?

Lucyan poprawił bajroński kołnierzyk.

— Właśnie o tem myślałem—ozwał się—a dziwny ten przypadek mocno mnie obchodzi!

— Przypadek, nic więcej, ale szkoda że tak znikł od nas jak kamfora!

— Podejrzewam go, że ma młodą żonę!

— Więc sądzisz pan, że ta młoda kobieta nie jest córką, ale żoną?...

— Tak mi się zdaje, a to może nam wytłumaczyć pewne skrupuły starego męża, który nie chciał zabrać z nami bliższej znajomości!...

Lucio poprawił kołnierzyk.

— Rozumie się!—ozwał się najniższym jak tylko mógł głosem, aby swój dojrzały wiek okazać.

— Co wam po głowie chodzi!—zawołał pedagog z mądrym czołem—zaraz chcecie tematu do francuzkiej powieści! Oto tymczasem prawdopodobnie poczciwy hreczkosiej, który wiezie córkę do cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie!

— Być może, ale być także może, że jest inaczej!

— Niezawodnie inaczej!

— Założyłbym się, że to żona!

— Upadam do nóg!

— Widać, że zazdrosny!

— Jak każdy stary mąż!

— Taka zazdrość nic nie pomoże, młoda żona zawsze w pole wywiedzie!

— Upadam do nóg! Co też mówicie! Biednemu szlachcicowi ani się śniło o tem wszystkim, o co go obwiniacie!

Zupełnie na córkę wygląda!

— Szkoda, że nam z oczu znikli, moglibyśmy ich obserwować i zgadywać!

— Upadam do nóg! Czy masz pan jakiś sposób poznawania czy żona czy córka?

— Niezawodny. Do młodej kobiety dosyć jest kilka słów przemówie, aby się przekonać, że gdzieś tam za plecyma, ma starego męża, choć go niewidzieć!

— Upadam do nóg! Szkoda że pański talent nie może się objawie z braku przedmiotu!

— Przyznam się, że sam żałuję!

Pan Wiktor który te słowa wymówił, wyglądał teraz rzeczywiście jak człowiek, który coś utracił. Aby jednak nie miała myśl od siebie odpędzić, wziął napowrót francuzką książkę do ręki, aby w niej znaleźć to, co w rzeczywistości przed chwilą utracił.

I zdaje się, że powoli zapomniał już o tem. Rozdział, który właśnie zaczął czytać był bardzo ciekawy. Francuzki autor z całą znajomością sztuki opisywał scenę nader dramatyczną, w której stary mąż zastaje nagle w buduarze swojej żony jakiegoś nieproszonego gościa, (iość ten, na słowo autora, był zupełnie niewinny. Wprowadziła go tam jakaś fatalna pomyłka. Zazdrośny jednak Otello bierze go za rywala i obchodzi się z nim nawet nie poludzku.... czem rozdrażniona małżonka staje w obronie niewinnego, zasłaniając go własną piersią. Urażona niecną podejrzliwością cnota kobiety, odwraca się słusznie od dawnego swego towarzysza, i powoli, chociaż nie bez walki wpada w objęcia młodego człowieka, wynagradzając mu tym sposobem niezasłużone poturbowanie.

Kiedy więc francuzki autor naganną popędliwość mężczyzny ukarał, a urażoną w pryncypalnych uczuciach kobietę nowym, choć przedtem wcale nieznanym kochankiem uszczęśliwił, z czego pan Wiktor był mocno uradowany; zatrzymał się nagle pociąg, a poza szybą wagonu ukazała się uśmiechnięta twarz konduktora, zapraszającego podróżnych na mały posiłek.

Wiadomość tę przyjęli wszyscy z widoczną radością. Pan Wiktor odłożył prędko książkę w nadziei, że w rzeczywistości będzie mógł teraz coś podobnego obaczyć, czem przed chwilą karmił swoje wyobraźnię; Lucio miał może tę samą nadzieję, ale w obec pedagoga nie przyznał się do niej. Najotwarciej postąpił sobie poczciwy pedagog.

— No, moi panowie, wysiadać—zawołał z widocznem zadowoleniem—kieliszeczek kminkówki niezawadzi a przytem można będzie ułowie zagadkowego człowieka z młodą kobietą, o której nie wiemy czy jest żoną czy córką!

— Tak tak—wołał Lucio—wysiadać, prędko wysiadać! Ciekawy jestem bardzo....

— Twoja ciekawość—przerwał poważny pedagog—kończy się tam, gdzie się zaczyna ciekawość pana Wiktora! Upadam do nóg! Czy to prawda?

— Być może że prawda—odparł z uśmiechem pan Wiktor zbliżając się do drzwiczek.

— Naturalnie!—dorzucił młody człowiek z bajrońskim kołnierzykiem i z pewnym niepokojem spojrzął na rozumne czoło pedagoga.

Za chwilę byli już wszyscy w restauracyi. W obszernej sali snuło się mnóstwo gości. Z gorączkowym pośpiechem cisnęli się wszyscy do bufetu, aby jaką przekąskę ułowie. Krzyk i hałas napełnił powietrze.

Trzem podróżnym nie dobrze zrazu powodziło się w tym natłoku. Na czele, jako najstarszy szedł pedagog. Już dla swego poważnego stanowiska uznał za stosowne być grzecznym i dla starszych wyrozumiałym. Przepuszczał więc przed sobą kobiety i starców i byłby z zacnym swoim agronomem aż do dzwonka przy progu pozostał, gdyby Lucio nie był dostrzegł niebezpieczeństwa i na wodza szlachetnej trójki sam się nie narzucił. Zaraz zmieniła się postać rzeczy. Dzięki ostrym łokciom młodego przewodnika, który na prawo i na lewo szturchańców nie żałował, stanęli wszyscyy trzej przed upragnionym stołem, na którym czekały na nich różne przysmaki. A podczas gdy pedagog z całym skupieniem ducha kieliszek kminkówki wychylał, a pan Wiktor zielonemu likierowi się przyglądał, wodził Lucio spragnionemi oczami po całej natłoczonej sali, czy gdzie zagadkowej pary nie spotka.

Niestety, nigdzie jej nie było. Luciovi przyszli do pomocy towarzysze. Najprzód wypukłe oko pedagoga wyszło na wierzch z swojej jamy i zatoczyło się młynkiem dokoła. Pary tak zagadkowej nigdzie nie widać! Potem przeszedł pan

Wiktor swemi binoklami po czuprynach i łysinach całego tłumu, ale charakterystycznej łysinki pana Marka nigdzie nie dostrzegł.

Już dzwonek dał poraz pierwszy smutne hasło do wsiadania, gdy Lucio nagle krzyknął i pedagoga za wytarty surdut pociągnął.

— Są! są!—wołał rozjaśniony—są... tam pod piecem!

Podczas kiedy pedagog nad tem się zastanawiał, w której stronie według danych linii architektonicznych mógł się ów szczęśliwy piec znajdować, patrzył już pan Wiktor na niego z całym skupieniem ducha.

I Lucio powiedział: prawdę. Kolo pieca siedział pan Marek z rozgorączkowaną, łysiną, z niesłychanym bowiem pośpiechem przelewał całą treść dosyć dużej butelki do swojej wewnętrznej istoty; prócz tego leżało jeszcze przednim na talerzu coś gorącego, z czego ulatywała w gęstych kłębach biała para pod sufit.

Przy nim siedziała młoda kobieta, ale siedziała tak niefortunnie, że twarzy jej nie było widać. Patrzyła na piec, który zaledwie kilka cali był od niej oddalony. Zdaje się że stary szlachcic naumyślnie ją tak posadził, aby nikt jej z twarzy nie widział, a ona także nikogo nie ujrzała.

I w samej rzeczy był wszelki pozór do takiego tłumaczenia. Pan Marek wyglądał na zazdrosnego starego męża, który prócz zazdrości i dobrego apetytu nie ma w spróchniałem sercu swoim żadnego innego uczucia dla nieszczęśliwej młodej kobiety. Postawił przed sobą misę i gąsiorek, zajada i pije aż mu się uszy trzęsą, a biedna, młoda kobieta siedzi przy nim niema i milcząca, i zamiast dymiącego się mięsiwa, przyklada do ust bukiet róż woniejących, jakby tylko tą wonią karmie się chciała!

Dla uważnych spektatorów był to obraz wiele mówiący. Młoda kobieta skarżyła się swoim milczeniem i wstrzemięźliwością. Prawdopodobnie ból serdeczny odebrał jej apetyt i tylko ulotna woń kwiatów może posilić to chore, rozgorączkowane serce...

Być może, że który z trzech spektatorów tak sobie myślał, być może że myśli podobne byłby przed drugim objawil, gdyby w tej chwili nie był się dzwonek poraz drugi odezwał. Wszyscy rzucili się znowu do pociągu i znowu młody przewodnik dopomógł starszym, którzy jego fortelów używać nie umieli lub nie chcieli.

— Mógłbym się założyć, że to jest małżeństwo!—ozwał się pan Wiktor z niezwykłym ożywieniem na twarzy—mam na to wprawne oko!

— I jabym tak sądził—dodał Lucio i urwał nagle, bo rozumne czoło pedagoga nachmurzyło się niepospolicie.

— Co ty masz sądzie o mężatkach?—zawołałtobie zaledwie na młodziutką pannę spojrzeć wolno!

Lucio poczerwieniał.

— Ja też nie mówię, że to mężatka—odparł po chwili—chciałem powiedzieć, że panna!

— Tak... co innego! Upadam do nóg!

— Ależ nic innego jak mężatka!—ozwał się znowu pan Wiktor —poznałem ją przez skórę: mam pod tym względem pewną wprawę.

— Jak widać, do teorii dołączasz pan praktykę! Pan Wiktor uśmiechnął się.

— W życiu spotykają nas różne przygody—odrzekł—a z przygód tych tworzą się doświadczenia.
— Upadam do nóg!
— Wiele kobiet widziałem w życiu i umiem doskonale poznawać, która w obec świata pozuje, choćby przy mężu i innych świadkach, na nieszczęśliwą!
— Upadam do nóg! Zkądże pan wiesz, że owa młoda kobieta jest nieszczęśliwą?
— Żona każdego starego męża uważa się za nieszczęśliwą!
— Przecież gdy idzie za niego, to musi w nim widzieć pewne gwarancje szczęścia? Upadam do nóg!
— Często jasno widzi nieszczęście, ale zbieg dziwnych, wyjątkowych okoliczności zmusza ją do niemiłego związku, za co potem gorzko pokutuje!
— Cielątko! Upadam do nóg! Któż może kiedy kobietę zmuszać do tego, aby się... sprzedała?
— Pan nie umiesz ocenić zbyt subtelnych motywów...
— Głupstwo, upadam do nóg, głupstwo! Droga życia, cnoty i prawdy jest prosta, jak strzeżli. Subtelności wymyślili adwokaci, którzy źle sprawy bronią!
— Trzeba mieć zmysł na to!
— I jakże pan swoim zmysłem możesz poznać, że siedząca obok męża kobieta jest nieszczęśliwą?
— Francuzki romans daje nam na to wiele sposobów. Kobieta nieszczęśliwa w domu, nie ta się z tem nieszczęściem przed światem. Dostatek jest na nią spojrzeć, aby to poznać. Wyraz twarzy, spojrzenia, ruchy, dźwięk głosu, ubiór, wszystko to razem mówi głośno: patrzcie, jaka ja młoda i ładna, a... nieszczęśliwa! Wtedy na widok takiej kobiety uczuwa się w sercu coś, czego wysłowić nie można... nazwałbym to odwagą rycerza średniowiecznego, który nagle ujrzy przed sobą zamek trzymający w swoich lochach biedną, bez nadziei wyswobodzenia więdnącą ofiarę...
— Upadam do nóg!

— Jestto najczęściej chwila, w której rodzi się owa wyjątkowa miłość, dająca dzisiejszym utworom francuzkim tyle ciekawego materiału!
— A która prosto, upadam do nóg, jest nemezą za lekkomyślność i złą rachubę przy zawieraniu dzisiejszych małżeństw, przy których się tylko na pieniądze i dostatki poluje!
— Nie wchodzę w motywa, mówię o faktach. Są kobiety nieszczęśliwe, po ślubie. Miłość takich kobiet objawia się w sposób wyjątkowy i dlatego jest wyjątkową, nadającą się do dramatów i romansów!
— Upadam do nóg! Sądzi pan, że i ten jegomość stary z świecą łąsiną miał przy piecu tam w sali jadalnej obok zrazów z kaszą i węgryna, także dramat przyboczny?
— Zdaje mi się, że tak jest!
— Upadam do nóg!
— Nie długo patrzyłem na nich, a jednak mógłbym się założyć, że ta kobieta młoda jest żoną...
— I jest nieszczęśliwą!
— W takich warunkach można przypuszczać, że tak jest. Zresztą cała jej postać świadczyła o tem. On jadł i pił za dziesięciu, ona siedziała nieruchoma jak posąg z kamienia, do ust nic nie wzięła, tylko przytykała do twarzy bukiet róż, prawdziwy symbol owej upragnionej a tak nieszczęśliwie uszczkniętej poezyi życia, która już więdnie i usycha!... Nic nie mówiła, na nikogo nie spojrzała, siedziała odwrócona od świata, od ludzi, a przed nią był tylko piec, ów smutny symbol zimy i wszelkiego zamarcia!... Mąż ją tak posadził, zgadzała się z swoim losem, z ust jej nie wyszła żadna skarga, ale cała jej postać była jedną wielką skargą zabitej ofiary!...
— Upadam do nóg! Masz pan bardzo bujną wyobraźnię! Pochodzi to zapewne z tych francuzkich ksiązek, które pan czytujesz!
— Nie przeczę, że zmysły nasze rozwijają się w takim kierunku!
— Upadam do nóg! Niech czarci wezmą taki kierunek!... Luciu! Gdy zechcesz kochać, to nigdy nie szukaj takiej wyjątkowej miłości, o której przed chwilą mówił pan Wiktor. To nie miłość, ale jasne nieszczęście i wierutne lichy! Rozumiesz Luciu?

— Rozumiem!

— Upadam do nóg!

Na tem zakończyła się tym razem rozmowa między podróżnymi o mniemanej żonie pana Marka, i wypływającej z takich warunków wyjątkowej miłości.

Po tej rozmowie nastąpiło jeszcze kilka przystanków. Podróżni wsiadali i wysiadali. Nasi znajomi zachowywali się przytem w sposób rozmaity. Amator francuzkiej literatury z całym jej sensacyjnym przyborem czekał niecierpliwie otwarcia drzwiczek i wypadał pierwszy z wagonu, aby jak się wyrażał, zaczerpnąć świeżego powietrza. Tymczasem było widocznem, że mu tak bardzo o to powietrze nie chodziło. Z gorączką wodził oczyma po tłumie, czy gdzie nie ujrzy owego charakterystycznego piórka przy kapeluszu.

Zaraz za nim wypadał także z wagonu młody Lucio, aby... się trochę ochłodzić, jak mówił pedagogowi. Można go także śmiało posądzać, że mu nie chodziło o ochłodzenie. Często zetknęli się obaj w tłumie z panem Wiktorem. Wtedy nie był panem siebie, bo zamało miał jeszcze wprawy do udawania czegoś innego.

— Jest! jest!—wołał do pana Wiktora, szarpiąc go za rękaw, —jest tam! tam! patrz pan na lewo!

Wytrawny amator francuzkich romansów uśmiechał się do niego od niechcienia, machnął ręką na znak lekceważenia i odpowiedział:

— Wcale nie o nią mi chodzi! Szukam kogoś z moich znajomych, z którym miałem się zjechać...

Mimo tak jasnej odpowiedzi nie spuszczał jednak z oka owego piórka rozstrzępionego, z którym się ustawicznie pieścił wietrzyk swawolny....

— Dałbym za to szyję!—mówił w duchu do siebie—że to żona, a nie córka. Tak pizecznie czule i nadskakująco nie rozmawia ojciec z córką!

I rzeczywiście nietylko pan Wiktor, ale każdy inny wcale nieuprzedzony spektator, nie mógłby sądzić inaczej. Pan Marek odgry

wał rolę czulego, trochę zazdrosnego, starego męża. Otaczał Łucyą najwyszukiawsze opieką. Zakupywał całe stopy różnych bakalii i niemi literalnie zasypywał młodą kobietę. Wyrzucał pieniądze pełną garścią, aby tylko oczy swojej towarzyski przywiązać do siebie, aby u kogo innego po nad jego wzorową łysiną nie padły! Podawał rękę, mówił ustawicznie do niej, obracał ją twarzą do muru lub do wołów jadących pociągiem, aby tylko nie spojrziała na młodszego od niego.

Sekretne te intencje pana Marka były tak widoczne, tak wszystkim podróżnym wpadły w oczy, że wkrótce zaczęto o nim mówić, jako o bardzo zazdrosnym mężu biednej, młodej żony! Pan Wiktor mógł teraz tryumfować z swoich domysłów, jeżeli mu tylko o proste psychologiczne spostrzeżenia chodziło. Mógł nawet pochwalnie się przed pedagogiem ze swoich zdolności spostrzegawczych, zdaje się jednak, że mu nie szło ani o jedno ani o drugie. Przeciwnie, przestał nagle mówić o całej tej sprawie, jakby ją dawno w niepamięć puścił. A nawet udawał, że nie wie o co chodzi, gdy niepowściągliwy Lucio czasami głośno krzyknął, ujrzawszy pana Marka przy boku Łucyi. Zdradzało go tylko poważne zamyślenie. Pan Wiktor był widocznie mocno zamyślony. Grube zmarszczki na czole okazywały jasno, że tam coś gotuje się niezwyklego. Czasami uśmiechał się do siebie jak wódz, któremu dobry plan w myślach się wykuwa, jak autor, któremu wiąże się dobrze rozdział z rozdziałem.

Jeden tylko pedagog zapomniał sumiennie o tem, o czem przed godziną z taką werwą rozmawiał. Potrąciło to go tylko do ulubionych jego myśli o rozkrzewiającym się pozytywizmie. Kilka zdań towarzyszy sprowadziło go na ten tor, na którym pracować uważał za swój święty obowiązek. Osobliwie powierzony jego opiece Lucio zarywał mu coś trochę na pozytywistę, osobliwie gdy o młodej żonie starego męża powiedział. Pedagog postanowił zawrócić go z tej drogi i właśnie teraz szukał w łysej głowie swojej dostatecznych dla takiego przedsięwzięcia argumentów. Szukając zaś tych argumentów w dziejach i filozofii, zapomniał o realnym powodzie, z rozstrzępionym piórkiem przy kapeluszu, który potrzebę tych argumentów wywołał.

W ten sposób upływał naszym znajomym czas podróży, gdy nagle w spokojnych dotąd ich myślach i marzeniach zbliżyło się coś na kształt jakiejś katastrofy!

Pociąg zdążył do stacyi, z kąd się droga we dwu kierunkach rozchodziła.

Jedna szła na prawo, druga na lewo! Wszyscy trzej nasi znajomi jechali na prawo. Niektórym z nich chodziło o to, gdzie też ta zagadkowa para pojedzie.

Pierwszy wysiadł pan Wiktor. Zaraz przy progu spotkał się z panem Markiem. Na jego widok zakłopotał się widocznie pan Marek. Szerokimi ramieniem swoim zasłonił Łucyą a głowę na każdy wypadek obrócił do strasznego nieprzyjaciela.

Mimo wszelkiej wytrawności nabytej z literatury francuzkiej, uśmiechnął się Wiktor i zagadnął:

— Pan dobrodziej zapewne zostaje tutaj?

Takie zapytanie wydało mu się bardzo właściwe. Nie zdradzało ono bynajmniej jego chęci a dawało możność dowiedzenia się czegoś. Kosa jednak trafiła na kamień.

— Hm, hm—odchrząknął pan Marek—sam jeszcze nie wiem, zależy to od okoliczności i telegramu, który tu na nas ma czekać. Adieu, panie!

Najprzód słowa „na nas” były wymówione z pewnym akcentem, który nie mógł nic innego wyrażać jak tylko „na mnie i na moją żonę!” Tak wydawało się Wiktorowi. Potem zbyt lakoniczne pożegnanie: „Adieu panie,” oznaczało widoczną obawę, aby pomiędzy młodą żonę a starego męża nie puścić wilka, który rozmową swoją w wagonie zdradził się z swemi predylekcjami do wyjątkowych a normalnych romansów.

Tak myślał sobie w duchu Wiktor i z ukosa pojrzał na towarzyszkę pana Marka.

Czy to było skutkiem rozdrażnionej wyobraźni, czy jakie korzystne światło opromieniło w tej chwili wcale niebrzydka twarzyczkę Łucyi, towarzyska pana Marka wydała się Wiktorowi tak piękną i tyle jakiegoś wyrazu tajemniczego miała w tej chwili w dużych swoich, smutno patrzących oczach, że i specjalny amator nieszczęśliwych ofiar matrymonialnych, poczuł żywe uderzenie w piersi i prawie z westchnieniem pożegnał ostatni cypel kapotki pana Marka, który w tej chwili wszedł do ciemnej sieni.

Wiktor stał, a w jego gorącej wyobraźni zarysował się nagle obraz męczenniczki XIX wieku!

Pozbawiona praw towarzyskich i społecznych uczuć, musi biedna dziewczica czekać skromnie zmiłowania bożego dopóty, dopóki jaki wyżyty sybaryta nie raczy na nią rzucie pożądlivem okiem!

Tak sobie podobne małżeństwa wyobrażał Wiktor i stosownie do tego widział w nich materyał najciekawszych dramatów i wyjątkowych sytuacji.

Czuł w sobie nieprzewycięzoną ochotę do takich dramatów, bo one jedynie obiecywały mu tyle sensacyjnych rozkoszy, w które obfitują dzisiejsze utwory francuzkie, a których wielkim wielbicielem był od dawna.

Niedziw, że widząc przed sobą zawiązujący się podobny dramat, uczuł w duszy coś nakształt wzruszenia, które było bardzo przyjemne!

Zwykła miłość dziewczicy może się tylko ślubem zakończyć, a któż nie wie, czem tak wyjątkowe uczucie, które mógł powziąć dla tej młodej, nieszczęśliwej kobiety, może się zakończyć? Dokąd ono może go zaprowadzić i co się z niego wywiąże? Jaka stworzy się z tego sytuacja i jaka rola jemu w tej sytuacji przypadnie? Jaką ukaże się kobieta, a co stanie się z starym mężem, który taką zbrodnię popełnił?...

Takie i tym podobne myśli przeszły przez głowę Wiktora, gdy szary cypel kaputki napowrót z sieni się wynurzył.

Wiktor pośpieszył do tego cypla,

— Cóż telegram?—zapytał niebacznie.

— Telegram.... telegram—odpowiedział rubasznie pan Marek — ciekawy jestem, co mój telegram ma kogo obchodzić.

Ot domowe sprawy, mój panie, i nic więcej!

Wiktor spostrzegł swój błąd.

— Przepraszam—ozwał się—bo tu właśnie jakiś urzędnik chodził z telegramem.

— Przepraszam, bo trzeba jeszcze bilet kupić....

— Czy mogę pana wyręczyć? Czy na prawo?

— Bóg raczy wiedzieć co u pana prawo, a co lewo.... żegnam

pana!

I znowu w drugiej sieni zniknęła szara kapotka pana Marka.

Zdawało się Wiktorowi, że gdy pan Marek towarzyszkę swoje za rękę szarpnął, aby z nią odejść, Łucya spojrzała na niego jednym z tych spojrzeń kobiecych, jakich się w życiu łatwo nie zapomina!

W oczach tych był smutek i jakaś niema skarga. Łagodny, melancholijny uśmiech otoczył jej usta napół otwarte, jakby powiedzieć chciała:

— Jestem nieszczęśliwa, jestem żelaznym łańcuchem przykuta do mego tyrana! Nawet spojrzeć dłużej na ciebie nie mogę: patrz, oto szarpnął mnie!

Wiktor pobiegł do sieni. Wnosił, że pan Marek poszedł po bilety. Od tych biletów zależało bardzo wiele. Mogli tutaj rozjechać się, aby się już nigdy w życiu nie spotkać. Nadzieja ciekawego dramatu była niepowrotnie stracona!

Pan Marek rzeczywiście stał przy kassie, Lucya stała przed baryerą i końcem parasolki kreśliła na podłodze jakieś tajemnicze hieroglify.

Spostrzegła Wiktora i zarumieniła się. Tymczasem miał pan Marek bilety w rękę. Przeszywającym wzrokiem spojrzął na niegodziwca.

— Chodź, Lucyo—zawołał szorstko—bo jak widzę służymy tutaj ludziom za widowisko.

Poczem obrócił się do posługacza:

— Mój przyjacielu—rzekł głośno—zabierz moje materklasy na pociąg do Wiednia!

— Do Wiednia!—powtórzył sobie w duchu Wiktor—to już dobrze, pojedziemy razem!

I zadowolony, wesoły spojrzął z uśmiechem szczęścia na pytające oczy Lucyi, która wr tej chwili szła ze swoim towarzyszem z wszelkimi cechami ofiary.

Ten uśmiech i to zadowolenie miały jej odpowiedzieć: Nie lękaj się nieszczęśliwa kobieto, ja jadę z tobą! Jeżeli cierpieć, to będziemy razem cierpieć!

Zdaje się że Lucya zrozumiała ten uśmiech, bo nawzajem się uśmiechnęła i przy tym uśmiechu nie wiedzieć jakim sposobem z kupionych przez pana Marka kwiatów zgubiła najpiękniejszą mszystą różę!

Wiktor pochwyił tę różę, schował do pugilaresu i czempredzej siadł do wagonu, bo dzwonek ozwał się już po raz trzeci.

Równocześnie z nim wsiadł i młody Lucio. Był on cały zgrzany. Oddychał całą pierśią, jakby jeszcze nie mógł przyjść do siebie.

— Uf! jak się zmęczyłem! O mało, że nie zapóźniłem się! Przeklęty ten stróż kolejny!

Pedagog uznał za stosowne porzucie na chwilę pracę swoje przeciw pozytywizmowi.

— Jesteś strasznie lekkomyślnym chłopakiem!—rzekł z całą powagą do swego elewa—któż w podróży na wszystkich stacyach wysiaduje z wagonu!

— Cóż ja temu winien, że ten stróż kolejny....

— Cóż znowu masz ze stróżem do czynienia?

— Pytałem go, gdzie tam naszemu towarzyszowi z tą młodą kobietą.... rzeczy zanosił?

— Co tobie do rzeczy i młodej kobiety tego zacnego staruszka?

— Co mi tam do tego! Stróż jednak kłamał.

— Kłamał? Co, czego miał kłamać?

— Albo ja wiem czego?

Na tem urwał Lucio, ale pedagog przypomniał sobie, że nie do wiedział się jeszcze od swego elewa, za co właściwie okłamał go stróż kolejowy.

— Czegożeś chciał od niego?—zapytał po pauzie.

— Czego chciałem?—zmieszany Lucio powtórzył półgłosem—ja właściwie niczego nie chciałem.

I spuścił oczy i zaczął sobie skręcać papierosik. Wiktor słuchał z uśmiechem tej rozmowy, ale nie wiele z niej rozumiał. Przed nim stała młoda nieszczęśliwa kobieta z roztrzepanym piórkiem na kapeluszu. Patrzała w jego oczy i pozwalała patrzeć w swoje czarne, przepaściste jak noc lipcowa na mowiu!... Widział ją dobrze przed sobą, a nawet mógł się dotknąć jej szaty powiewnej... jechała ona bowiem z nim razem... tym samym co i on pociągiem.... a droga do Wiednia była długa i daleka! Jeszcze nieraz zjedą się razem, jeszcze nieraz spojrzy na niego owem tak wyjątkowym spojrzeniem, w którym jest więcej słów niżeli w polskiej trzytomowej powieści!...

Tak marzył sobie Wiktor, gdy pedagog Sokratesową metodą usiłował wydobyć z swego elewa, dla czego stróż kolejowy go okłamał i co właściwie miał z nim do czynienia!

— Lucio!—mówił do niego.

— Czego pan chcesz?—odpowiedział Lucio.

— Mówiłeś mi coś o strózu!

— O strózu?... Jużem prawie zapomniał!

— Jeżeli ci stróż jaką krzywdę wyrządził, to dobrze że zapomniałeś, bo człowiek powinien wszystkie krzywdy prędko zapominać!

Lucio milczał.

— Wyływa ztąd, że cię stróż skrzywdził—mówił dalej nieubłagany pedagog.
— Tak... skłamał tylko!—wycedził Lucio.
— Więc skłamał: cóż skłamał?
— Et, nie warto mówie o tera!
— Chcę przecież wiedzieć!
— Ot... powiedział mi że kufry tego... naszego towarzysza z tą młodą kobiótą...
Wiktor ocknął się nagle z swoich marzeń.
— Kufry tego towarzysza—mówił pedagog.
— No... że te kufry niesie do pociągu naszego, a tymczasem...
— Tymczasem—wpadł szybko Wiktor.
— Tymczasem—powtórzył pedagog.
— Tymczasem... zaniósł je na pociąg berliński!
— Pociąg berliński!—krzyknął Wiktor i powstał nagle, jakby cały tabor chciał zatrzymać.
— Pociąg berliński... to być nie może!—wołał z całych sił—przecież sam słyszałem jak mówił do stróża!
Lucio rozśmiał się.
— I ja słyszałem—odparł—ale niedowierzałem.,, zapytałem stróża, ale i jemu niedowierzałem!
— I cóż? I cóż?
— Poszedłem za stróżem i widziałem, że kufry oddał na pociąg berliński!
— Cóż to znaczy?
— Pytałem się potem stróża, a stróż okazał mi dwie złotówki i rzekł z uśmiechem, że ten pan nie chciał, aby wiadano gdzie pojedzie.
Najwyższe zdumienie malowało się na twarzy Wiktora. Wstyd mu było, że młody Lucio więcej miał sprytu i doświadczenia od niego, że nie wierzył wymówionym z pewną ostentacją słowom, które miały tylko zmylić trop zaniepokojonej zwierzyny!... ,
Uderzył się ręką w czoło i spojrział na młodego człowieka z pewną podejrzliwością.
Lucio nie widział tego spojrzenia. Z niekłamanym spokojem kręcił dalej papierosik.
— Pojechali na Berlin!—mówił do siebie z goryczą—a ja myślałem, że jedziemy razem, że jesteśmy tak blisko siebie!

I wyśnione dawniej obrazy wróciły jeszcze jaskrawiej przed jego oczy. Widział ją jeszcze piękniejszą teraz, gdy już ją może na zawsze utracił. Jakie wymowne było ostatnie jej wejrzenie, a on tego wejrzenia nie zrozumiał! Nie był nawet tyle domyślnym jak Lucio, nie poszedł za nimi, gdy wsiadali! O! przecież to wejrzenie wyraźnie mówiło mu: nie oddalaj się o demnie, nasze losy zwiążą się razem!

Wiktor był w wielkiem wzburzeniu. Tak doskonale znał najnowszą francuzką literaturę, takim zapalonym był jej wielbicielem, a tutaj pierwszy lepszy małżonek niezrozumianej kobiety, wywiódł go bardzo prostą drogą w pole,

zażartowawszy z niego! Nie mógł sobie darować tego. Nie pomyślał że w takim razie zaczepiona strona może się czemś bronić; a środek tej obrony był tutaj taki prosty! Zwierzyna uszła mu, a on niebaczny zmylił trop za nią! W miarę o tem jak myślał, coraz piękniejszą wydawała mu się młoda kobieta. Coraz więcej obiecywał sobie z tej awantury miłosnej, która sama w drogę mu weszła. A jakie ciekawe wy więzy wały się teraz dla niego sytuacje! Ile dramatycznych efektów spelzło na niczem przez jego niezdarność! Młody elew więcej pokazał od niego znajomości rzeczy?...

Takie wyrzuty czuł teraz w duszy Wiktor. Trudna na to była rada. Pociągnął biegł całą parą, a każda chwila oddalała go o mile od kobiety, przy której nie umiał zostać! Gdzież ją teraz obaczę? Błysnęła ona jak meteor i zgasła, aby już nigdy nie zapłonąć!...

Wiktor zgrzytał zębami i targał romans francuzki, który w tej chwili trzymał w ręku, aby się od niemiłej rozmowy uwolnić.

Młody Lucio napozór był spokojny. Zapalił sobie papierosik i przypatrywał się błękitnym kółkom, które z wielką zręcznością wydmuchiwał aż do poważnej łysiny zacnego pedagoga. Pedagog nie zważał na te kołka, bo właśnie już był powrócił do swoich argumentów, jakich miał kiedyś użyć przeciw Darwinowi.

Po wypaleniu papierosa spojrział Lucio na zegarek. Potem zdjął torbę z półki i zaczął z niej wybierać różne drobne rzeczy, które po kieszeniach swoich rozpychał. Robił to wszystko z wielkim spokojem, jakby już dawno o niegodziwym stróżu zapomniał, który tak bezczelnie go okłamał! Żaden z towarzyszy nie zwrócił na to uwagi. Tymczasem zbliżono się do stacyi.

— Czy chcesz znowu wysiadać?—zapytał Lucia pedagog.

— Tak... dla świeżego powietrza. W wagonie bardzo duszno. Za chwilę wrócę.

— Abyś się nie zapóźnił!

— Nie zapóźnię się.

Lucio wyskoczył, pedagog wrócił do swego nieprzyjaciela Darwina, a Wiktor ze złości zaczął czytać nadzwyczaj ciekawy rozdział powiastki, w którym kochanek bardzo zręcznie męża oszukuje.

Ozwał się dzwonek poraz pierwszy. Ozwał się poraz drugi, pedagog wyjrzał oknem. Lucia jeszcze nie było.

Zadzwoniono poraz trzeci. Pedagog zaczął krzyżeć: Luciu! Luciu! ale Lucia nigdzie nie było.

Na krzyk nadszedł konduktor. Pedagog wystawił przez okno łysinę, która czerwona była od wzruszenia i stylem krótkim, lapidarnym, objaśnił rzecz całą. Konduktor trąbił, służba wołała, patrzano na wszystkie cztery części świata, ale Lucia nie było.

Pedagogowi oczy wylazły na wierzch: pociąg ruszył bez Lucia.

— To młokos jakiś!—krzyknął pedagog cały drżący—dałbym kark za to, że drapnął za tą młodą...

— Za tą młodą mężatką?—krzyknął jeszcze głośniejsz Wiktor i romans francuzki rzucił na ziemię.

— Et, taka ona mężatka, jak ja dziadunio—odfuknął pedagog.

— Co pan mówisz! Ona nie mężatka!—zawołał z ironią doświadczonego człowieka Wiktor, ale urwał nagle, bo nie chciał myśli swoich jasno wypowiedzieć.

— Ale wcale nawet na mężatkę nie zakrawa! Zresztą jeżeli Lucio za nią drapnął, to przecież nie drapnąłby za mężatką, tylko za panną!

Wiktor odetchnął.

— Sądzi pan—wtrącił po chwili—że pan Lucyan nie byłby się dla mężatki awanturował!

— Nigdy w świecie! Chyba że korzystał z pańskiej prelekcji o francuzkich romansach.

Wiktor rozgniół książkę w rękach.

—Aleja znam Lucka—mówił pedagog—on nigdy nie byłby skłonny do takich hazardów. To chłopiec mego chowu.

Wprawdzie Francuz coś tam trochę popsuł, aleja przeorałem glebę po swojemu. Jeżeli rzeczywiście za nią drapnął, to jest tego pzzekonania, że drapnął za panną, która mu się podobała. Ale powinien był powiedzieć mi o tem. Ma lat dwadzieścia pięć. Matka mówiła mi, abym jego

skłonnościom serca bardzo w drodze nie stawał, byle tylko rzecz była uczciwa. Niepotrzebnie więc uciekł odemnie! Wiktor targał ciągle książkę. Gryzł usta i niecierpliwie rzucał się na siedzeniu. Co chwila patrzył na zegarek. Słowa pedagoga przypadły mu do smaku, ale jakiś wewnętrzny niepokój pożerał go!

Ona tak wymownie na niego patrząc przy ostatku spojrzała! Nie zrozumiał tego spojrzenia, a kto wió, czy to spojrzenie nie miało być początkiem dziejów dwóch serc, dwóch dusz? On tego nie zrozumiał, a świeżo otwarta róża stulała swe wonne listki, których zamiast ciepła słonecznego dotknęły się kamienne usta mrozu!...

Wiktor coraz niecierpliwiej patrzył na zegarek. Wreszcie zatrzymał się pociąg. Wiktor wysiadł. Za chwilę wrócił z jakimś papierem w rękę, który był podobny do telegramu.

— Otrzymałem telegram!—rzekł do pedagoga.

— Telegram? Czy od Lucia?—zapytał tenże.

— Nie... od krewnych. Muszę tutaj wysiąść.

— Wysiąść! Upadam do nóg!

— Tak!

Nie było więcej czasu do rozmowy. Posługacz wyjął torbę a konduktor zatrzasnął drzwi.

Gdy pociąg dalej ruszał, widać było w jednym z okien wagonu łysą poważną głowę, która z wielkim zmartwieniem na piękny boży świat patrzyła...

Była to zacna głowa pedagoga, któremu zdawało się w tej chwili, że mimo wszelkich jego argumentów, wziął nad nim górę bezecny Darwin!

Gdy to na linii wiedeńskiej się odbywało, jechał pan Marek linią berlińską w towarzystwie swojej najstarszej córki. Uśmiechał się do siebie i często wąsy podkręcał. Zdawało się, że był z czegoś zadowolony. Czasami wyglądał oknem i patrzył na drogę wstecz, jakby za sobą obawiał się jakiej pogoni. Pogoni jednak nie było i nawet być nie mogło, a pan Marek wracał na swoje siedzenie z jakimś zagadkowym przy wąsach uśmiechem.

Łucya patrzyła z pewnym niepokojem na ojca. Zachowanie się jego było tak dziwne, tak wyjątkowe.

Łucya miała ciemne włosy, ciemne oczy i cere jasną. Rysy twarzy nie były klasyczne, ale miały pewien urok, którego bliżej nie można było określić. W jej spojrzeniach i ruchach był jakiś smutek, jakiś żal za czymś, czego trudno było odgadnąć. Zdaje się że pochodził on z drobnych napozor doświadczeń życia, które jednak wielką grają rolę w dziejach kobiety.

Łucya była najstarszą z pięciu córek. Utrudnione warunki egzystencji dzisiejszej, nie dodawały jej wielkiej nadziei zamążpójścia. Wprawdzie był mająteczek, ale ten majątek miał teraz siedm głów do podziału. Ztąd w najlepszym razie nie można było zaraz z tego majątku wyjąć tej siódmej części i dać ją jednej z siedmiu głów. Potrzeba było czekać, a konkurent dzisiejszy nie bierze takiego czekania za posag.

Pozostała tylko jedna droga do szczęścia, droga czystej, idealnej miłości. Łucya mogła się komuś podobać, ktoś mógł się w niej zakochać i z czystego uczucia zaprowadzić ją na stopień ołtarza!

Wprawdzie były potrzebne do tych marzeń idealnych, jeszcze inne więcej realne warunki. Potrzeba było aby ten idealny konkurent

miał majątek lub jaki inny grunt pod nogami. Gdzież jednak tego wszystkiego znaleźć? Jeżeli konkurent ma majątek, czyż wtedy zwróci się ku niej. Czy jest tak wyjątkowo ładna, czy umie się tak wyjątkowo podobać?

Przy takich myślach patrzyła Łucya często do zwierciadła, a zwierciadło nie bardzo ją cieszyło. Widziała tam wprawdzie twarz zdrową i nie zbyt szpetną, ale nie widziała owych rysów wyjątkowych, które kobiecie dają koronę królowej, i z wszystkich mężczyzn robią niewolników!

Taką nie była Łucya i wiele nie podchlebiała sobie w tym względzie. Szukała więc innej piękności, która nie mniej uderza i do siebie przyciąga. Zaczęła się uczyć. Prócz tego trzeba było dla oszczędności być nauczycielką młodszych swoich siostrzyczek. To zatrudnienie wycisnęło na jej twarz pewne znamię inteligencji, która jej rysom nadawała pewnego wyższego uroku. Z tym urokiem była nawet często piękną.

Do tego wszystkiego z biegiem lat przyczyniło się jeszcze wiele innych drobnych napozór szczegółów. W stolicy ujrzała się otoczoną młodzieżą karnawałową. Wielu z tej młodzieży okazywało jej jasno jakieś niezwykle uczucie. Mówiono do niej z westchnieniem, używano słów przezroczywych, spojrzeń wiele obiecujących. Trwało to jednak nie długo. Gdy się dowiedziano o stanie majątku, o pięciu siostrzyczkach, z których każda miała ochotę wyjść za mąż, jeden po drugim z wzdychających rycerzy ulotnił się, a często nawet nie poznawał jej na ulicy.

Do serca Łucyi sączyła się teraz kropla po kropli onej gorzkiej goryczy życia, która na ustach wyciska uśmiech bolesnej ironii. Uśmiech ten smutny, jak każdy uśmiech bólu i rozczarowania dodawał jej nowego uroku, a czasem nawet w chwili jakiegoś głębszego wrażenia mogła być z tym uśmiechem zachwycającą!

Tak więc była Łucya rzeczywiście piękną, chociaż ta piękność była jej własną zasługą i owocem przebytych cierpień cichych i rozczarowań. !

Podróż dzisiejsza z ojcem wydała jej się zrazu bardzo jasną i zrozumiałą. Zrozumiała zmartwienie ojca, że dotąd jeszcze nie jest mężatką. Do tego czasu potrzeba było już innym siostrzyczkom ustąpić pierwszeństwa, ale cóż ona biedna winna temu, że dotąd nikomu podobać się nie mogła? Nikt nie zapragnął jej za towarzyszkę życia!

Ojciec nic jej nie powiedział wybierając się w podróż, ale ona dorozumiała się, że ta podróż tajemnicza jest ostatnim wysileniem rodziców, aby dla starzejącej się panny gdzieś męża wyszukać!

Biedna, zalała się łzami skrycie, ale przygotowała węzełek, aby z ojcem puścić się na tę wyprawę!

W takimto była usposobieniu biedna Łucya, gdy Wiktor po raz pierwszy na nią spojrział. Nic więc dziwnego, że na jej twarzy nie widział owej swobody dziewczęcej, która cały świat do boju wyzywa, ale widział ową cichą, bolesną rezygnację, która tak efektownie charakteryzuje biedną, nieszczęśliwą mężatkę!...

Być może że i Łucya zauważyła te wyjątkowe spojrzenie, które coś do niej mówiło... być może że i ona w tej chwili coś sobie zamarzyła o tem spojrzeniu... i że to marzenie odbiło się na jej twarzy bladej...

Jedną rzeczą była dla niej zagadką. Ojciec zmienił w podróży całe swoje względem niej zachowanie się: był nadzwyczaj uprzedzający, zarzucał ją cukrami i kwiatami i ustawicznie z nią rozmawiał.

Po niejakiemu namyśle zrobiło się jej bardzo smutno. Zdawało się jej, że jest w tej chwili podobną do ukochanej owieczki, którą chłop pieści, karmi i poi, aby na blizkim jarmarczku lepiej ją sprzedać!

Dodało to goryczy jej twarzy, a odbierając te nie zasłużone pieszczoty z rąk ojca, nie mogła się powstrzymać od pewnego nieprzyjemnego uczucia, jakie jej sprawiała myśl powyższa. A właśnie to mogło w oczach Wiktora posłużyć za jeden dowód więcej, że się w swoich przypuszczeniach nie myli, że ona jest mężatką!

— Czy daleko jeszcze pojedziemy?—zapytała ojca Łucya na tzej stacyi linii berlińskiej — Niedaleko, moje dziecię—odparł tenże z uśmiechem, i znowu wyjrzał oknem, jakby kogoś oczekiwał.

— Wszak tu nigdzie niema większego miasta!

— Miasta nie potrzebuję. Lekarz zalecił mi zimną wodę i świeże górskie powietrze!

— Zimna woda, świeże górskie powietrze! Tego przecież nie brak nam i w domu!

— Tak... to prawda! W domu... w domu niema tak swobodnego czystego powietrza.

Łucya przypomniała sobie częste domowe burze...

— Tak, dziecię moje—mówił dalej pan Marek z filuternym uśmiechem—mnie trzeba tylko ustronia i ciszy.

— Ustronia i ciszy!—powtórzyła Łucya—nie mogę tych słów dobrze zrozumieć.

Cóż znaczą ustronie i cisza, w zamiarach ojca?

— Przedewszystkiem spokoju!—mówił dalej pan Marek jak skończony dyplomata—dlatego chciałbym z tobą kilka słów pomówić!

— Słucham cię ojcze?

— Tu niedaleko, na Szlązku będzie zakład leczniczy, w którym niejakiś czas zabawimy. Nie są to zwykłe wody, do których się ludzie zjeżdżają aby się bawie, ale jest to proste ustronie, gdzie człowiek może mieć talerz mleka, kawałek chleba, zimną wodę i płat szafirowego nieba nad sobą! Zabaw, ludzi tam nie wiele!

Łucya spojrzała na ojca.

— Otóż uprzedzam cię, że jakkolwiek tam nie spodziewam się nikogo z ludzi zastać, z którym żyćby nam wypadało, abyś z nikim się nie zaprzyjaźniała, coby mi mój zalecony przez lekarza spokój zakłócić mogło. Jestem chory, bardzo chory! Uf!

I stęknął poczciwy pan Marek a stęknął tak naturalnie, że nawet każdy lekarz byłby jego chorobie uwierzył. Łucya patrzyła smutno przed siebie.

— Pamiętaj o tem—mówił dalej ojciec—bo inaczej sprawiłabyś mi wielką przykrość!

— Dobrze, mój ojcze!

— Najlepiej będzie do nikogo nic nie mówić, i zachować względem wszystkich jak największe incognito!

— Dobrze!

— Wiesz co?—mówił dalej z uśmiechem pan Marek—może nawet takie życie na dobre nam wyjdzie!

Łucya spojrzała na ojca. Pan Marek uśmiechał się pod wąsem i mrugał oczyma do swoich myśli.

— Czytałem raz w kalendarzu—mówił dalej—że pewna jejmość mocno wszystkich zaintrygowała tem, że trzymała się na uboczu i przez długi czas była nikomu nieznaną!

— Jakież był w tem cel?

— Cel?... Cel?... no, żadnego celu w tem nie było, ale zawsze.... wygląda to trochę po pańsku! Pocóż zaraz wszystkim mówić, jak się człowiek nazywa, co robi i jaki ma majątek? Gdy jaki monarcha chce

sobie wygodnie odpocząć, to zazwyczaj podróżuje incognito! Należy to do dobrego tonu, jak raz twoja matka mówiła. Dlaczegoż nie mamy tego dobrego tonu spróbować? Lucya uśmiechnęła się. Trudno wiedzieć, że w tych dziwnych słowach ojca czego się domyśliła, czy też tylko z posłuszeństwa przyrzekła, że ojcu będzie posłuszną. Rozmowa dalsza urwała się, bo właśnie wymówił konduktor nazwę zakładu, do którego dążył pan Marek.

Zakład leczniczy, w którym teraz mógł pan Marek czas niejaki zamieszkać, był napozor małym folwarczkiem położonym między lasami i górami nad wodą. W pośrodku stał jeden większy budynek z białą facyatką i zegarem na tej facyatce. Miał na około kryte krużganki, po których w czasie niepogody mogliby przechadzać się goście miastowi. Mnóstwo małych domków było rozsypanych wkoło tego budynku, a niektóre z nich były miniaturowych rozmiarów, że wyglądały jak zabawki dziecinne.

Okolice była bardzo romantyczna. Niewielkie góry lasem porośłe otaczały zakład z trzech stron, a po czwartej stronie rozlegała się obszerna równina z kręto wijącym się potokiem.

Prawdziwych chorych nie było tu wcale. Zjeżdżali się tutaj po większej części mieszkańcy miast pobliskich, aby w wiejskim zaciszu trochę wytchnąć od pracy i kurzu miejskiego. I takim mieszkańcom dostarczało właśnie to zacisze tego wszystkiego, czego oni pragnęli.

Najprzód życie było dosyć tanie, była zimna woda, świeży nabiał, czysty chleb żytni, zdrowe powietrze i cisza niczem nie przerywana. Nie było żadnych muzykantów, nie było rautów i wieczorków tańczących, a nawet artyści nie zaglądali tutaj z swymi koncertami, będąc w przejeździe do jakich miast europejskich! Zgoła żaden natrętny hałas nie przeszkadzał mieszkańcom błogiej ciszy, po którą tutaj przybyli. Dla rozerwania umysłu była biblioteka i dzienniki. Takim był ów zakład leczniczy, do którego teraz zdążył pan Marek. Obejrzał go ze wszystkich stron i najął sobie osobny domek otoczony ogrodem i ostrokołem.

W tym domku jakby w fortecy jakiej zamknął się zaraz z początku. Przyjął starą służącą, którą w dzień słotne obiady przynosiła

Do nikogo z ciekawszych gości ani słowa nie przemówił. To samo zalecił Łucyi. Łatwy miała obowiązek milczenia Lucya, bo pokusy zbyt wielkiej nie było wcale. Pomiędzy gośćmi uderzało kilka rodzin żydowskich z Wrocławia, które zajęte były wzajemną admiracją swoich składów i handlów. Był chudy, stary Anglik, który państwo swoje zaprezentował nader godnie z wszelkimi akcesoryami wyszukanego dziwactwa. Codziennie wychodził z długą wędką na ryby i po całych godzinach siedział nieruchomy, jak słup milowy nad brzegiem potoku; gdy zaś deszcz padał, to kupował wtedy żywe ryby, wrzucał do przygotowanej na ten cel balii z wodą, która stała zawsze w jego pokoju i do niej, siedząc na sofie, zarzucał swoją wędkę niezmordowaną! Prócz tego opowiadano o nim, że podczas całego swego pobytu, do nikogo jeszcze marnego słówka nie przemówił.

Do innej wcale kategorii należała rodzina niemieckiego barona, który tu lata przepędzał dla oszczędności. Rodzina cała składająca się z obojga rodziców i pięciu córek, już sporo dorosłych, żyła tutaj bardzo skromnie i oszczędnie. Na rano pili wszyscy mleko i zjadali przytem trzy bułki. Na drugie śniadanie był Szyller i Gothe. Czytano stosownie do mniejszego lub większego apetytu, to liryczne poezye, to cięższego kalibru dramata jak: Faust i Wrallenstein. Obiadek skromny składał się z mięsa i zupy. Po obiedzie znowu Szyller i Gothe, a gdy była niepogoda, Hejne. Po poetach następowała cienka kawa z miśkiem a po tym posiłku przechadzano się po parku i karmiono się pięknymi widokami natury.

Było jeszcze kilku emerytów cywilnych i wojskowych, którzy kwaśnego mleka dużo zjadali i jeszcze więcej przy tem o polityce rozprawiali.

W dnie świąteczne zjeżdżali się nieco liczniej rzemieślnicy z pobliskich miast, którzy do późnej nocy grali w billard i w kręgle, konsumując przy tych wiejskich rozrywkach dużo piwa.

Takie towarzystwo mieli teraz pan Marek i Łucya wkoło siebie. Nie obiecywało ono wiele przyjemności, ale zato mógł pan Marek być spokojnym o swój spokój tak upragniony! Łucya była także na ten spokój skazaną i zaraz w pierwszym dniu zaopatrzyła się w jedyną kobiecą broń przeciw nudom. Kupiła sobie w miejscowym sklepiku pięć łokci kanwy i dziesięć funtów włóczki, chcąc do klasztoru na „Jasnej Górze" zrobić dywan albo antipedium do ołtarza.

I napozór zdawało się, że oboje osiągli to, czego pragnęli. Pan Marek siedział jak sułtan rozparty w ganku swego domku i z przywiezionej z sobą antypki puszczał sine kłęby dymu aż do sąsiedniego państwa niemieckiego. Na jego twarzy była pogoda a nawet od czasu do czasu przebijał się uśmiech człowieka, który jest z siebie wielce zadowolony. Taki sam spokój panował na twarzy Łucyi. Miała przed sobą kanwę i małą igielkę przesuwiała tam i napowrót z kolorową nicią tak zgrabnie i szybko, jakby o niczem innem nie myślała. Pod drobnymi rączkami tworzyły się kwiaty, listki i arabeski, a wszystkie były tak delikatnie wykończone, jakby całą swoje uwagę im poświęcała. I ona sród tej jednostajnej roboty uśmiechała się czasem do siebie, ale uśmiech ten był smutny i melancholijny, jak uśmiech dziewicy zbliżającej się do kresu, od którego zaczyna się smutna wszystkich rozkoszy rezygnacya!...

Czasami tylko następowało większe w małym domku ożywienie. Była to godzina, w której od stacyi kolei przywoził pocztylion miejscowy listy i gości. Wtedy zazwyczaj ciemne oko Łucyi zamigotało jaśniej i od kolorowych motków podniosło się do okienka, przez które było widać urząd pocztowy. Eucya patrzyła z pewną ciekawością na otwierające się drzwi karetki pocztowej, śledziła pilnie wszystkie ruchy przybywających podróżnych a potem smutno i z rezygnacyą wracała napowrót do roboty pokaźnej.

To samo działo się z panem Markiem. Gdy wóz pocztowy zaturkotał, pan Marek wstrzymywał wtedy dym w gębie i wypukłe swoje oczy wysyłał skwapliwie przed urząd pocztowy. Tam przypatrywał się przybyłym podróżnym i on szukał między nimi kogoś znajomego, a gdy to nie nastąpiło, cofał swoje oczy, wypuszczał dym z gęby i wracał znowu do normalnego puszczenia w państwo niemieckie misternych sinych kólek.

Trwało to kilka dni. Czwartego dnia jak zwykle przyjechał wóz pocztowy i oprócz różnych pakunków przywiózł jakiegoś młodego podróżnego.

Młody podróżny zaraz na wstępie wdał się w żywą rozmowę z pisarzem pocztowym. Pisarz przykładął kilka razy palec do czoła, jakby ztamtąd chciał jakąś lepszą wydobyć odpowiedź, ale pozostało to jak można było wnosie bez skutku.

Wykręcił się kilka razy wkoło jakby czyjejs pomocy szukał, a gdy tej nie znalazł, wskazał ręką na główny dom zakładu i do podróżnego tyłem się obrócił. Zapewne

zwątpił podróżny, aby z tej strony otrzymał jakie potrzebne mu wyjaśnienie, obrócił się także i do domu zakładowego powoli podążył.

Podróżnego tego dojrzał najprzód pan Marek. Zapewne poznał go, bo uśmiechnął się pod wąsem; na twarzy jednak nie było żadnej większej radości.

Widziała go także i Lucya, a widziała go bardzo dobrze, bo przed chwilą jakby przeczuwała, wytarła szybę wiotką bibułką. Na czystej szybie zarysował się wydatnie profil naszego gościa, którego Lucya powitała takim jak ojciec samym uśmiechem bez żadnych innych dodatków. Nie powróciła jednak tak zaraz do roboty. Wsparła się ręką na stole i patrzyła z poza kwiatów, co dalej pocznie nowy podróżny.

Tymczasem gość zakładowy zażądał od pisarza, który stał na ganku jakiegoś wyjaśnienia. Pisarz obracał się do niego to jednym to drugim uchem, potem poszedł do kanceliaryi i wyniósł mu jakiś duży papier.

Była to lista zakładowych gości. Podróżny niedługo czytał. Oddał listę pisarzowi i rozkazał kufry swoje powynosić z domu pocztowego.

Jeszcze tego samego dnia nad wieczorem, gdy pan Marek właśnie do piątej po obiedzie zabierał się fajki, zbliżył się do ganku gość przybyły.

— Mam zaszczyt przypomnieć się pańskiej znajomości—rzekł do pana Marka uchylając kapelusza.

Pan Marek zapalił fajkę a gdy się przekonał, że już dobrze się pali, spojrzął na gościa i odparł:

— Przepraszam, ale wcale sobie nie przypominam! Zarumienił się gość przybyły.

— Być może—odpowiedział—być może, że pan mnie nie spostrzegłeś w wagonie, do którego siadłeś pan zaraz na początku podróży swojej.

Pan Marek wydmuchnął chmurę dymu.

— Jeżeli sobie dobrze przypominam, to spałem wtedy; nie mogłem więc pana widzieć!

— Ale ja sobie bardzo dobrze przypominam!... Zdawało mi się że tutaj za granicą, gdzie Polaków wcale niema, zbliżenie się moje do pana dobrodzieja jest bardzo łatwe do usprawiedliwienia...

— Hm! hm... Każda rzecz da się usprawiedliwić, tem bardziej pańskie zbliżenie się, które przecież nie ma nic w sobie nagannego.

I wzrokiem przeszywającym spojrzął pan Marek na swego gościa. Gość zakłopotał się jeszcze więcej.

— Uchowaj Boże!—pospieszył z odpowiedzią—nigdy nic nagannego w moim życiu dotąd nie było, czego miałbym się wypierać! Dla tego sądzę że i pan dobrodziej...

— Przecież o nic pana nie obwiniam—przerwał pan Marek— a jeżeli to panu sprawia jaką przyjemność posiedzieć ze mną chwilkę na ganku i fajeczkę wypalić, to i owszem, bardzo pana proszę!

Pan Marek zawołał na starą służącą.

— Przepraszam, ja fajki nic palę—remonstrował młody człowiek, który przestraszył się takiej gościnności.

— Nie palisz pan?—zapytał z flegmą pan Marek—ale prawda, pan jesteś jeszcze zbyt młody!

— Tak... to jest... mam już lat dwadzieścia pięć, jak pan widzisz; jestem nawet pełnoletni! Ale ja palę tylko cygara i papierosy!

— Cygara i papierosy! Żałuję bardzo że tych specyałów nie mam w moim domu!

— Nic nie szkodzi, noszę je zawsze przy sobie. Jeżeli pan dobrodziej pozwoli...

— I owszem, proszę. Jesteśmy prawie pod gołym niebem!

— Muszę się wprzód przedstawić panu dobrodziejowi... jestem Lucyan.

— Bardzo mi miło, nazwisko rodzinne jest mi znane!

Po takim wstępie usiadł Lucyan na ganku i zapalił sobie papierosik. Pan Marek uśmiechał się ciągle pod wąsem.

— Jeżeli się nie mylę—zaczął po jakimś czasie—pan jechałeś w towarzystwie starszego człowieka z dużą łysą głową i wysokiem, myślącym czole.

Lucyan zmieszał się.

— Tak... to prawda... jest to mój towarzysz podróży, z którym miałem zrobić większą w świat wycieczkę!

— f cóż się stało żeś pan sam tu nagle zboczył? Lucyan od kaszlnął.

— Widzisz pan dobrodziej... to właśnie przypadek zrządził, że tutaj jestem. Wsiadłem na fałszywy pociąg i tu przyjechałem.

— Z kuframi?

— Tak... kufry także zrobiły pomyłkę. Ale napiszę do mego towarzysza, aby tutaj przyjechał i kilka tygodni ze inną zabawił. Piękna okolica, zdrowe powietrze!

— Hm, hm—mrucał pan Marek i z ukosa patrzył na gościa, który mu jakoś wcale nie był po myśli.

Lucyan długo siedział jeszcze na ganku, kręcił się na wszystkie strony, czy gdzie Łucyi nie zobaczy, ale Łucya nie pokazała się. Naprowadzał kilka razy rozmowę na tak smutne między obcymi osamotnienie gospodarza, ale pan Marek tak zęcznie wykręcał się od odpowiedzi w tym względzie, że Lucyan nic się nie domyślał.

Tak minęło kilka dni. Lucyan chodził codziennie do zagadkowego człowieka na ganek, siedział tam kilka godzin, wypalał tuzin swoich papierosów, ale ani na krok nie postąpił dalej. Z pobliskiego pagórka widywał Łucya w ogródku. Chodziła pomiędzy kwiaty smutna i zadumana, czasami siadała w altance z książką w rękę. Prócz tego nic a nic bliżej się nie dowiedział. Nie pozostało mu więc nic innego, jak zastosować się do wszystkich gości zakładowych, których najmilszą było rozrywką czekać na przyjazd pocztowego wozu.

Na trzeci dzień stał Lucyan przy samym pisarzu pocztowym, gdy karetką z trąbką czarną zajechała przed pocztę.

Otworzyły się drzwiczki a z karetki wyskoczył na ziemię pan Wiktor.

Lucio był w niemałym kłopotcie, gdy ujrzał nagle przed sobą towarzysza podróży. Jeszcze więcej wydawał się zakłopotanym sam Wiktor. Kilka chwil patrzeli w milczeniu na siebie.

— A! pan tutaj!—ozwał się pierwszy Wiktor.

— A! tutaj! A pan? —zagadnął Lucyan.

— Ja... ja... jak pan widzisz, także tutaj.

— Tak... widzę!

Wiktor strzelił gniewnym okiem na wyrostka, który lepszy miał węch od niego i prędzej trafił do celu.

— Coż pan tu porabiasz?—zapytał po chwili.

— Widzisz pan... nieszczęście; pomyliłem się co do pociągu., i tutaj przyjechałem. Czy i pan?...

— Ja?—odpowiedział z powagą Wiktor—ja nigdy nie mam zwyczaju myśleć się w podróży! Chciałem tutaj trochę odpocząć. Zresztą oczekuję tu znajomych...

Lucyan spojrzął na mówiącego.

— A nawet... nawet spotkasz tu pan kogoś z naszych wspólnych znajomych.

— Z naszych wspólnych znajomych?..

— Ten pan stary z tą młodą... Wiktor machnął ręką od niechcenia.

— Co też panu zawsze w głowie! Zapomniałem już dawno

O nich!... Cóż oni tu robią? Gdzie mieszkają? Czy długo tutaj zabawią?

Lucy an spojrzał z uwagą na doświadczonego człowieka, uśmiechnął się i odrzekł:

— Ot w tym domku z białym gankiem! Pan Marek nazywa się pan Marek siedzi właśnie na ganku i pali fajkę. Ale towarzysza jego jest niewidzialna. Chowa ją jak klejnot przed okiem ludzkim!

Rozsiadł się z zadowoleniem Wiktor i pogładził białą ręką po czarnej brodzie.

— Później o tem pomówimy—odparł—a teraz potrzeba się gdzie dobrze ulokować. Chodźmy!

I w zgodzie jak najlepszej weszli obaj do zakładu.

A w tymże samym czasie panowało niemałe wzruszenie na ganku małego domku. Pan Marek wydmuchiwał tak gęste kłęby dymu

i z takim ferworem atakował granicę państwa niemieckiego, w którym właśnie odczytywano Fausta Góthego, że trudno było odgadnąć czy to dzieje się w przystępie złości czy dobrego humoru. Nawet Łucya, którą nowego gościa przez starannie wytartą szybę dobrze widziała, nie mogła wcale odgadnąć czy ojciec tak się gniewa czy raduje. Wysłała kilka razy swoje ciemne oczy z zapytaniem na twarz ojca, ale pan Marek wyglądał w tej chwili jak Jowisz, z którego twarzy nie można odczytać, czy ma w ręku gotowy piorun czy deszcz dobroczynny.

Łucya nie badała bliżej przyczyny, ale serce kobiece ozwało się jakimś cichym, zaledwie zrozumiałym głosem, jak harfa Eolska, gdy lekki podmuch wiatru przemknie po jej strunach złotych...

Cóżby to mogło być?—zapytała siebie—czy byłby to prosty przypadek, czy..

Twarz jej zarumieniła się.

Na kilku stacyach — mówiła dalej do siebie—zwróciłam jego uwagę na siebie... cóżby to znaczyło że tutaj... za mną... przyjechał? Pu chwili dodała zaraz:

Może to prosty przypadek i nic więcej, a ja robie zawsze z tego coś... Przecież w stolicy podczas karnawału tyle razy złudziłam się prostymi pozorami... pocóż i tutaj rozmarzać zaraz serce!..

spuściła głowę na piersi.

Wszedł w tej chwili do niej pan Marek.

— Łucyo—ozwał się cały zakryty w chmurę dymu—mam ci coś powiedzieć.

— Słucham cię, ojczu!—smutno odpowiedziała Łucya.

Pan Marek jeszcze gęściej otoczył się dymem. Twarzy jego wcale nie było widać.

— W życiu—zaczął po chwili—bardzo wiele zależy na tem, jak się ludziom po raz pierwszy przedstawiamy. Otóż uprzedzam cię, że wkrótce obaczysz albo nawet poznasz człowieka, którego uwagę zwróciłaś na siebie.

Łucya spojrzała na ojca jaśniejszym okiem.

— Ten człowiek—ciągnął dalej pan Marek—jest wykształcony, ma ładną fortunę; ale ostrzegam cię, jest wielkie niedobrego.

— Niedobrego?—powtórzyła Łucya z zadziwieniem.

— Tak, wielkie niedobrego: bałamut i nic więcej.

Łucya spuściła oczy. Na jej twarzy malowała się jakaś myśl przyjemna.

— Trzeba więc z nim być bardzo ostrożną a najlepiej wcale z nim znajomości nie zabierać: znajomość taka zaszkodzi opinii panny.

— Dlaczego, ojczu, tak srogo sądzisz?—ozwała się po chwili namysłu Łucya—przecież bywają przykłady, że najgorsi ludzie poprawiają się pod wpływem...

— Tereferę! Już ja tam w to bardzo nie wierze! Z kiepskiego materiału nio zrobisz złota!

Łucya uśmiechnęła się do swoich myśli. Ojciec patrzył na nią z uwagą.

— Nie radzę ci nawet próbować!—rzekł po chwili—bo widzę że masz ochotę poteniui!

Łucya zmieniła wyraz twarzy.

— Mylisz się, ojczu—odrzekła—będę ci posłuszną, bo wiem, że dobra mego pragniesz.

Pan Marek milczał chwilę. Na jego twarzy malowało się widoczne zadowolenie. Kłęby dymu były coraz rzadsze i potoczystsze. Wreszcie ustały. Nachylił usta do czoła córki, pocałował i rzekł:

Cieszę się z twego rozsądku, moje dziecko. , że ten twój rozsądek wytłumaczy ci moje postępowanie, czasem może trochę dziwaczne!

Łucya pocałowała ojca w reke ale ktoby jej iczy w tej chwili obaczył, byłby w nich widział wyraz szczególnego zadowolenia, jakie obecnie poruszało jej serce. szczególnego zadowolenia, jakie obecnie poruszało jej serce

Na drugi dzień siedział pan Marek jak zwykle z fajką na ganku, gdy obaj przybyli podróżni wyszli z domu zakładowego i po krótkiej rozmowie rozeszli się w dwie przeciwne strony. Młodszy poszedł ku wzgórzom, z kąd było widać ogródek pana Marka, a starszy zamierzył wprost do ganku.

Pan Marek uśmiechnął się pod wąsem i skrył się w chmurę dymu.

— Przepraszam—ozwał się Wiktor w dobrym humorze—mój nos ma pretensję do pańskiej ręki. przychodzę tu sprawę załatwie!

— Pański nos... nie przypominam sobie!—z prawdziwym zadziwieniem odparł pan Marek.

— Wsiadłeś pan w podróż do nas i zasnąłeś, a zanim mogłeś z twarzy nas poznać, przebudzając się, uderzyłeś pan ranie w nos ręką.

Pan Marek rozśmiał się.

— Ha, ha, ha! To zły omen, mój panie. Radzę z nosem być ostrożnym i nie wścibiać go, gdzie nie trzeba!

_Wiktor przełknął przymówkę.

— Jeżeli się zaś jest skazanym na to, aby w takiej dziurze siedzieć kilka tygodni, to nie można się obejść bez tego, aby do jakiego śniada nosa nie wścibie, choćby to Sąsiadowi nic bardzo było na rękę.

Pan Marek myślał chwilę, potem odrzekł:

— Mówiąc otwarcie, nie lubię ja wtedy gości, gdy jestem chory. Lekarze zalecili mi spokój jaknajwiększy; mimo to przyjemnie mi będzie, jeśli od czasu do czasu pomówimy słówko z sobą przy fajce na ganku.

Nastąpiła wzajemna wymiana nazwisk, to znowu kilka zapytań i odpowiedzi spowodowało. I tak zawiązała się dłuższa rozmowa, cho

ciaż Wiktor wyraźnie widział, że pan Marek zbywa go różnemi okólnikami i wszelkich bliższych odmawia mu wyjaśnień. Czasami nawet widać groźną chmurę na jego czole, gdy Wiktor potrącać chce domowe jego stosunki. Opór ten i nieukontentowanie, skoro stosunków tych chciał dotknąć, utwierdził Wiktora w jego pierwszych domysłach. Stary dziwak bał się widocznie o swoje młodą żonę i nietylko zamknął ją wewnątrz domu, ale nawet nie chciał o niej mówić, udając, że zapytań takich nie słyszy.

Sytuacja taka miała dla Wiktora coraz więcej interesu. Niewidzialna Łucya przedstawiała mu się w kolorach coraz więcej dramatycznych. Raz w małej pauzie, podczas której pan Marek fajkę zapalał, zdawało mu się, że słyszy westchnienie i brzęk łańcucha, jakto w więzieniu słyszeć można. Pan Marek z każdą chwilą i po każdym słowie, coraz więcej zakrawał na tyrana. Był szorstki, nieugięty, zdania swe wygłaszał krótko i węzłowato, nie znosząc najmniejszej opozycji.

Wszystko to rzucało światło jaskrawe na biedną, zamkniętą niewolnicę. Miała ona jasną aureolę męczeństwa, usta z ustawicznej tęsknoty spragnione, serce daremnie pragnieniem rozgorzałe!

Takie widmo stało w tej chwili przed oczami Wiktora, gdy przed domkiem ukazała się nagle para bardzo charakterystyczna.

Był to stary żyd polski z długą siwą brodą, obok niego szła młodziutka, zaledwie kilkanaście lat mająca żydówka.

Stary żyd często spoglądał na swoją towarzyszkę, uśmiechał się do niej i poprawiał jej chustkę na szyi.

Wiktora uderzyła ta para: wskazała na nią ręką. Pan Marek nic nie odpowiedział, tylko chmurą dymu się osłonił.

Uśmiechnął się Wiktor i rzekł:

— Ciekawy jestem, czy to córka czy żona?

— Córka czy żona?—odparł gniewnie pan Marek—ciekawy jestem co to mnie ma obchodzić, czy jest tem lub owem!

— Mówi się tylko ot tak!

Gniew pana Marka rósł widocznie.

— Nieszczercze pan mówisz—odparł—widocznie to pana interesuje! Taki to już świat dzisiaj. Gdy tylko dojrzy rys w cudzem szczęściu, już się zaraz tam wciska jak szczypawka, aby później po swojemu gospodarować! O! znam ja was, znam! Wiktor zakąsił usta, aby się nie rozśmiać.

— Tak prędko pan mnie poznałeś!—odrzekł.

— Wy myślicie, że hreczkosiej na wsi jest głupi i ciemny jak tabaka w rogu, że go bardzo łatwo w pole wyprowadzić; a ja panu powiadam, że człowiek na wsi ma więcej czasu do myślenia, a gdy już zacznie myśleć, to się coś wymyśli!...

— I cóż wymyśliłeś pan?

— Oto wymyśliłem sobie, że dzisiaj jest świat brzydki i szkaradny, że jeden dybie na drugiego i patrzy, kiedy mu najśladniej nóż wbie w szyję!

— Wszystkich masz pan za morderców!

— To zwykły tylko obraz, którego zastosowanie zostawiam panu. Przyznasz pan, że są morderstwa moralne, a stokroć straszniejsze od zwykłych!...

— Ależ nie dałem panu powodu do takiej okazji—rzekł z uśmiechem Wiktor.

— Daleko powodu nie trzeba szukać—mówił rozgorączkowany pan Marek—dosyć było słyszeć, jak pan mówiłeś o tym starym żydzie z młodą kobietą!

— Nic miałem w tem żadnego interesu! Ot mówiłem tak... a nawet moge panu powiedzieć, że to jego córka.

— Zkąd pan wiesz, że to córka?

— Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne!

— Cóżby było w tem nieprawdopodobnego, gdyby była jego żoną?

— Żoną?... byłoby to może trochę niestosownem!

— Dlaczego niestosownem?... Czy pan wiesz, czego tej młodej osobie do szczęścia potrzeba? Czy sądzisz pan, że tylko marnej brody? Przecież są kobiety, u których więcej znaczy zacność, szlachetność a czasami i niejaki dostatek, niżeli wszystkie modne fryzury miejskich próżniaków! Pozsądna kobieta wie o tem doskonale, że starszy mąż zawsze wiernie kochać ją będzie,; podczas gdy młokos za parę lat od niej ucieknie do innej!

Wiktor gryzł usta, aby się nie rozśmiać. Był pewny, że trafił na bolącą ranę pana Marka. Stary mąż widocznie szukał obrony dla siebie. Zarzuty Wiktora gniewały go coraz więcej.

— Niepotrzebnie bronisz pan starego żyda—odparł Wiktor— gdyż wiem z pewnością, że to jego córka!

— Czy już dowiadywałeś się pan o to?

— Tak... aby wiedzieć!

— Aby wiedzieć!... I cóż pan dowiedziałeś się?

— Że jest córką!

Pan Marek zaśmiał się na całe gardło.

— Jest córką! cha, cha, cha!... Jest córką!... No, to do prawdy, bardzo wiele dowiedziałeś się pan!

— Jakto?—z zadziwieniem zapytał Wiktor—czyż to nie wszystko, czego pragnąłem?

— Cóż miał biedny żyd innego powiedzieć w takim razie? Przyznać się, że to żona... aby zaraz próżniakom i bałamutom dać sposobność do ról kochanków dramatycznych?

— Sądzisz pan....

— Sądzę bardzo naturalnie, że biedny żyd nie chcąc młodą towarzyszką życia zwracać powszechnej na siebie uwagi, ogłosił ją w obec ciekawych próżniaków, za córkę!

Wiktor spojrział z uwagą na pana Marka. Ta myśl była wcale nową dla niego i nie była złą. Młoda żona przy starym mężu gromadzi zawsze wkoło siebie niezawsze bezpiecznych spektatorów, a tak, jako córka... wobec nieznanego tłumu, nie sprawia żadnej takiej sensacji!

— Sądzisz pan—rzekł Wiktor z uśmiechem—że bezpieczniej jest dla starego męża, jeżeli młodej żonie swojej każe w obec nieznanomych odgrywać rolę córki?

— Naturalnie że lepiej, niżeli ściągać oczy na siebie głupiej gawiedzi!—odparł z nieoględnym rozdrażnieniem pan Marek i otoczył się nieprzebitą chmurą dymu.

Wiktor zamyślił się. Myślał nad tem, co w skutek jakiegoś tajemnego wzburzenia wyrwało się nieoględnie z ust pana Marka. Teraz już był pewny, że w swoich domysłach się nie myli. Już samo rozdrażnienie, z jakim pan Marek wyrażał się o głupich próżniakach i młodych żonach, było dostatecznym dowodem. Niemniej charakterystyczną była obrona starego żyda, który dowcipnym wybiegiem zasłonił młodą żonę od możliwego niebezpieczeństwa....

To wszystko zatrzymał sobie Wiktor dobrze w pamięci i na ten raz pożegnał gospodarza.

Na drugi dzień chciał Wiktor rozpatrzyć się trochę w okolicy zakładu. Chciał on jak wódz oględny poznać pierwaj grunt, na którym miał stoczyć walkę. Najlepszą do tego pomocą mógł być młodszy jego towarzysz.

Wiktor nie łudził się wcale, że w innych warunkach, mógłby ten młodszy towarzysz być mu bardzo niebezpiecznym. Zakrawał widocznie na rywala. Wiele rzeczy mówiło zatem. Tajemniczy jego przyjazd do zakładu, zbyt wyraźne interesowanie się młodą towarzyszką pana Marka, i widoczny kłopot, z jakim ujrzał go wysiadającego z pocztowej karetki: wszystko to było dowodem, że względem tej młodej osoby miał jakieś serdeczne zamiary.

Doświadczony jednak Wiktor wytłumaczył sobie ten sentyment młodzieńca bardzo naturalnie. Lucyan oczywiście wziął ją za córkę pana Marka, która mu się podobała, i za którą tutaj przyjechał wykroczywszy nieco przeciw obowiązkom, jakie miał dla swego opiekuna.

W takim razie sentyment Lucjana nietylko nic mu nie przeszkadzał, ale był mu nawet na rękę. Mógł go użyć w swoich widokach, i korzystać z tak wygodnego towarzystwa. W najgorszym razie mógł mu służyć za osłonę, poza którą odbywałby się właściwy, bardzo widoczny dramat; tam bowiem, gdzie się kończy rola Lucjana, zaczyna się jego rola. Tak sobie to wszystko w głowie ułożył doświadczony Wiktor, i cieszył się nawet, że przyszedł dramat jego układa się tak dobrze.

Co sobie znowu z drugiej strony ułożył przedsiębiorczy młodzieniec, o tem Wiktor wcale nie myślał.

Zaraz rano, gdy obaj na śniadaniu się spotkali rzekł Wiktor do Lucjana:

— Chciałbym trochę obejrzeć się po zakładzie, czy nie chciałbyś pan mi towarzyszyć?

— I owszem—odparł Lucyan—właśnie wybieram się na przechadzkę, a jako świadomy już całego położenia, mogę panu służyć za przewodnika.

Nigdy sojusz dwu dyplomatów nie opierał się na mniej korzystnym gruncie dla stron obu, jak to wzajemne porozumienie się.

Zaraz po kawie wyszli z restauracji, ręka w rękę. Przed nimi była szeroka droga, która prowadziła do ładnego parku.

— Może wprost pójdziemy!—ozwał się Wiktor. Lucyan zawahał się.

— Zdaje mi się—odparł nieśmiało—że lepiej będzie jeżeli pójdziemy na lewo!

Po lewej stronie stał domek pana Marka.

— Z parku przecież możemy mieć piękniejszy widok—mówił dyplomatyczny Wiktor.

— To prawda... ale widzisz pan... trzeba najlepszy kątek zostawie pour la bonne bouche! Choemy na lewo! Widzisz pan te wzgórze przed domkiem?

— Po nad jakim domkiem?

— Po nad domkiem... w którym mieszka... pan Marek!

— A, tak! zapomniałem że to ten domek! To chodźmy! Wiktor zgodził się na propozycją towarzysza, z czego towarzysz

mocno był uradowany. Zdawało się, że ta radość pochodziła z jakiegoś utajonego źródła. Obaj kierowali się wązka ścieżką ku wyżynom na lewo.

Domek, w którym mieszkał pan Marek, zdawał się jeszcze w śnie pogrążony. Ciemne rolety zasłaniały okna, a na ganku nie było nikogo: w całym domu nie było widać żadnego ruchu.

Obaj towarzysze w milczeniu obeszlili parkan ogródka, zaciemiony gęstym głogiem, i po ważkiej, tuż za ogródkiem pnącej się do góry drożynie zaczęli powoli drapać się na najbliższe wzgórze.

Za pół godziny byli jak na wzgórzu. Piękny widok roztaczał się przed nimi. Tam w dolinie płynął jasny potok, łagodne wzgórza były ocienione lasem śpilkowym, a po nad lasem rozpiął się błękitny namiot nieba, pod którym przesuwwały białe, małe obłoki.

Widok był piękny, ale żaden z stojących na wzgórzu towarzyszy nie widział tego widoku. Obaj skierowali oczy swoje na podnóże

wzgórza, gdzie stał mały biały domek, i poza którym roztaczał się mały, krzakami akacyi i kwiatami ubarwiony ogródek.

Ogródek ten nie był pusty: po alei wysadzonej akacyami przechadzał się staruszek z łysą głową.

Z głowy pokornie do ziemi spuszczonej, i z i;ak jakby do modlitwy splecionych widać było, że odmawia pacierz poranny. Pod rozkosznym platanem w przezroczystej prawie altanie, siedziała młoda kobieta zatrudniona przyrządzeniem śniadania. Stara służąca w białym czepcu pojawiała się od czasu do czasu, przynosząc różne potrzebne do śniadania akcesorya. Domowy stróż, czarny pies, odprowadzał ją z uwagą tam i napowrót.

Widok ten miał w tej chwili więcej dla nich interesu niżeli cały, przepyszny krajobraz.

Wiktor patrzył na ten obraz z pewnem bolesnem uczuciem. Stworzył sobie nagle cały smutny szkic tego tak wyjątkowego małżeństwa. Co tylko w powieściach francuzkich i dramatach nowoczesnych w tym kierunku przeczytał, wszystko teraz zebrał razem, i w tym małym ogródku umieścił.

Widział najprzód człowieka niegodziwego, który pod koniec życia, nie mając względu na stargane siły swoje, przykuł do siebie młodą, żądną silnych wzruszeń kobietę, żelaznym, nie rozwiązalnym łańcuchem! Potem widział młodą kobietę, która dziwnym zbiegiem okoliczności zmuszoną była do tego łańcucha, albo lekkomyślnie się sprzedała! W jednym i drugim wypadku, twierdził w duchu Wiktor, ma ona nieprzedawnione prawo do buntu, ma nawet obowiązek rozerwania tego łańcucha, aby wraz z nim rozerwał się już raz ten przesąd tylowieczny, który z kobiety zrobił niewolnicę!

I mężnemu bohaterowi stanęły zaraz przed oczyma wszystkie bohaterki nowożytne, które w tym kierunku dążyć mają do wyzwolenia się z pęt narzeczonych, przez prosty układ społeczny i obrzęd religijny. I powoli jakby na scenie teatralnej, przesunęły się z twarzami proszkiem ołowianym wytynkowanemi, z oczami ciemno podmalowanemi, szukając nowego ideału, jakim ma być bezwzględne prawo do wrażeń, w długiem życiu tak często napotykanym, a dotąd nieugruntowanym przesądem wzbronionych!....

Wszystko to stanęło żywo Wiktorowi przed oczy. Oto ten mały domek z tym niewielkim ogródkiem, mieści w tej chwili nieznaną może nikomu dramat życia!... I tu jest jak wszędzie: tyran i ofiara!

Cóż go spowodowało zostać tyranem? Dlaczego ona dobrowolnie stała się ofiarą? Jaka może być wspólna ich historia? Może wchodziła między nich jaka osoba trzecia? Może tyran uniósł ją tutaj przed tą trzecią osobą i w samotności zagrzebał?....

Bądź co bądź, Wiktor miał przed sobą sytuacją bardzo ciekawą. Już dawno wzdychał za podobną sytuacją. Była ona tak dramatyczną, jak tylko w romansie francuzkim istnieć może. Tyle ukrytych barw i wrażeń, tyle zachwyceń i rozkoszy mieściło się w tym małym i napozór tak prostym obrazku, na który patrzył w tej chwili.

Z altany wyszła teraz młoda kobieta i powoli zbliżała się do starego, pacierze odmawiającego męża.

Miała na sobie długą czarnego koloru szatę. Włosy były rozpuszczone i malowniczo układały się na białych ramionach za każdym krokiem, za każdym podmuchem swawolnego wietrzyku.... Postać jej była smukła i przeginała się jak trzcina na jasnym zwierciadle wody....

Wiktor uczył w sercu bardzo miłe wzruszenie. r Coby dał w tej chwili, gdyby był pewny, że ta kobieta może mu być wzajemną.... i gdyby ta wzajemność stworzyła mu sytuacją tak wyjątkową, o której nieraz marzył przy książkach francuzkich!....

Teraz spostrzegł nagle, że tuż obok siebie ma rywala. Lucyan uzbroiwszy się w szkła paryzkie, pożerał w tej chwili cały mały widoczek, jaki się teraz w niewielkim ogródku przed nim otwierał.

Jakieś niedobre przecucie poruszyło Wiktora.

— Gdzie się pan tak patrzysz nieruchomie? — zapytał. Lucyan żadnej nie dał odpowiedzi.
— Cóż pana tak zaciekawiło? — powtórzył pytanie.
— Co mnie zaciekawiło? — odparł z wolpa Lucyan — toż pan nie widzisz?... tam na dole!
— Tam na dole?... nic nie widzę!
— Tam na dole!... w tym ogródku!
— Cóż w tym ogródku?
— Czy pan nie widzisz?... Tam.... przy akacyach!
— Przy akacyach?
— Ten jegomość stary.... i ta młoda....
— Córka jego!
Wiktor wymówił te słowa z naciskiem i z uwagą spojrział na Lucyana.

Lucyan w pierwszej chwili odjął szkła od oczu i z pewnym niedowierzaniem spojrział na towarzysza. Ale była to tylko krótka chwilka. Spojrział znowu w ogródek.

— Nie odpowiedziałeś mi pan na moje ostatnie słowa — zagadnął Wiktor po niejakej chwili.
— Jakie słowa? — zapytał od niechcienia Lucyan.
— Że pan patrzysz.... na córkę tego starego jegomości!
— Tak.... na nią patrzę.... cóż w tem dziwnego?
Wiktor uśmiechnął się. Lucyan był widocznie w błędzie, a tego błędu bardzo było potrzeba Wiktorowi. Błąd ten najprzód pozbawiał go przyszłego rywala, a dzisiaj był dla niego bardzo dogodnym.
— Jak widzę — rzekł Wiktor po małej przerwie — że panu ta wysmukła sarneczka bardzo w oko wpadła!
Podobała mi się: nie przeczę temu! — odparł z niekłamanym spokojem młodzieniec.
— Mógłbym może panu w czem usłużyć?
— Dziękuję, w takim razie lubię sam załatwiać moje interesa!
— Zdajesz się pan być doświadczoneym człowiekiem! — Trochę!
— Ale pośrednik byłby może na rękę, gdy z papa dobrodziejem trzeba coś o posagu córki pomówie.
— Wtedy będę korzystał z pańskiej ofiary!
— Przyobiecuję panu najprzód.
— Dziękuję!

Na tem skończyła się bardzo ważna dla Wiktora rozmowa z dzisiejszym rywalem. Przekonała go o braku wszelkiego z tej strony niebezpieczeństwa; gdzie bowiem kończy się sielankowa rola Lucyana, tam dopiero zaczyna się jego dramat. Po stwierdzeniu tego, czego się pierwaj domyślał, wrócił Wiktor zadowolniony z porannego rekonesansu.

Przeszedł jeden dzień i drugi, a sprawa obu towarzyszków nie postąpiła dalej. Okrążali domek z ogródkiem na około, zaglądali przez szpary parkanu, patrzeli w okna, ale nic szczególnego nie zobaczyli. Eucya była prawie niewidzialna, a pan Marek siedział jak cerber na ganku i palił nieśmiertelną swoje fajkę, w której zapachy tytoniowe zdawały się nie

wyczerpane. I na tym tylko ganku przyjmował wizyty swoich ziomków, nie wpuszczając ich nawet poza próg sieni. Wszystko zaostrzało tylko ciekawość obu bohaterów, którzy byli zmuszeni karmić się domysłami jak najdziwniejszemi. Wiktor osobliwie widział w tem wszystkiem jak najprawdziwszy dramat życiowy, jaki kiedykolwiek wyszedł z pod pióra młodego Dumasa lub Sardou! Za taką strawą duchową przepadał zawsze, a cóż dopiero, gdyby mu się udało zostać aktorem takiego dramatu?....

Trzeciego dnia zasnął Lucyan po smacznym obiadku, z czego chciał Wiktor skorzystać. Sposobność była bardzo dobra. Pana Marka jak zwykle nie było o tej porze na ganku. Być może, że także zdrzemnął sobie. Cóżby to było, gdyby teraz zajął tam z wizytą, przekroczyć niestrzeżony przez cerbera próg sieni, i zamiast pana Marka obaczyć przed sobą młodą biedną męczennicę?....

Taka myśl strzeliła nagle Wiktorowi do głowy.

Była dobra i powabna: postanowił wykonać ją natychmiast.

Zabrał się i jak mógł najciszej wymknął się z zakładu.

Dzień był bardzo gorący i wszystkich zapraszało do słodkiej drzemki. Odźwierny drzemał przy progu, owocarka drzemała w sieni, pisarz pocztowy drzemał pod godłem poczty, a nawet siedzący w fotelu zacny gospodarz zakładu kiwał z należytą powagą głową to w prawo to w lewo, jak to przez otwarte okna było widać.

Były to bardzo dobre znaki dla Wiktora. Spojrzał na domek mały, na ganku nie było nikogo: niezawodnie drzemie pan Marek.

Cicho jak kot do mleka zaczął się Wiktor skradać do domku. Serce biło mu głośno i sprawiało jakąś rozkosz niewypowiedzianą!... Taką tylko rozkosz czuł wtedy, gdy czytał romans francuzki lub z wygodnej łoża patrzył na deski teatralne.....

Jest w tem rozkosz nie lada!—mówił do siebie—niech tam co chcą mówią nasi moralizatorowie, którzy utrzymują, że takich sytuacji powinna unikać literatura nasza. Cóż może być ciekawszego nad podobną sytuacją? Dla czegoż pozbawiać naszego czytelnika tak przyjemnych wzruszeń?

Z takim monologiem zbliżał się Wiktor do ganku.... Gdyby mu tylko pan Marek nie popsuł tego, czego po nim słusznie oczekuje... gdyby nie zbudził się zawczasie i w chwili stanowczej nie zajął swego stanowiska na ławie w ganku!...

Serce biło mu coraz głośniej.... Już jest blisko ganku.... nasłuchuje, czy nie słychać kroków zbudzonego tyrana... wszędzie cisza, głucha cisza!

Stawia pierwszy krok na ganku, cicho! Idzie dalej ostrożnie. Podłoga ganku dudni niełitościwie, pan Marek może się obudzić.... Wiktor stąpa na palcach... już jest przy ganku.... wszędzie cisza!

Drzwi do sieni zamknięte.... jeżeli zamknięte na klucz, to cała sytuacją zmieni się: odejdzie od drzwi jak kot od szklanej szyby, za którą stoi mleko!....

Naciska lekko klamkę.... klamka porusza się.... i o dziwo! drzwi się odmykają!

Zapomniał zamknąć!—mówi do siebie Wiktor uradowany—tak to zawsze złym ludziom bywa. Głowę sobie suszą nad ubezpieczeniem swój zbrodni, a w stanowczej chwili zapomną o najprostszej ostrożności!

Drzwi do sieni otworzyły się. Wiktor idzie dalej! I w sieni głucha cisza. Nic innego jak tyran śpi. Oczywiście ona czuwa, jak każda ofiara!....

Powoli otwiera drzwi do pokoju.... I te nie zamknięte! Widoczna kara boża! Na starego grzesznika przyszła kreska!... Odchyła drzwi coraz więcej.... Widać wewnątrz pokoiku, który taką tajemnicę mieści w sobie....

Pokoik był zwykły. Białe firanki wiszą, w oknie, meble politurowane, welnianą materią obite.... Wszystko zwykłe, żadnej nadzwyczajności!

Przypomniały mu się w romansach opisy komnat, w których miała się rozgrywać jakaś drastyczniejsza scena... Opisy te nie były jakoś podobne do tego, co tutaj widział. Wszystko było tu spokojne, zwykłe, powszednie. Nawet brązowy zegar na orzechowej komodzie stukał spokojnie, jakby wcale nie chciał być świadkiem gorętszych wyjątkowych stosunków ludzkich! Wszystko zwyczajne!

Ależ, oto i nadzwyczajność! Wiktor odchylił drzwi szerzej i na malej sofce ujrzał siedzącą ofiarę.

Łucya wyglądała rzeczywiście w tej chwili na ofiarę. Miała na sobie długą, fałdzistą szatę, która podobna była do koszuli śmiertelnej skazańców. Włosy jak zwykle rozpuszczone spadały w ponętnych pierścieniach na białe ramiona. Siedziała nad jakąś grubą książką, z której półgłosem coś czytała, jak to zwykli czynią ludzie oddani pokucie i rozmyślaniom pobożnym. W pokoju panował szary koloryt, gdyż rolety puszczane były, jakby dla przyciemnienia cisnących się pod oczy pokutnicy obrazów światowych. Więcej nie było w pokoju nikogo.

Łucya nie spostrzegła gościa. Miała oczy na książkę spuszczone i jednym i tym samym głosem czytała dalej. Ciemne oczy miała do połowy czarną rzęsą pokryte, a na bladej twarzy błąkał się od czasu do czasu smutny, melancholijny uśmiech!...

Wiktorowi żywiej uderzyło serce. Widok tak ponętny ofiary był godzien dramatu!...

Otworzył drzwi jeszcze szerzej i rzekł półgłosem:

— Przepraszam.... bardzo przepraszam....

Czarne rzęsy podniosły się w tej chwili do góry, Łucya ujrzała gościa.

Lekki rumieniec zafarbował jej twarz bladą. Równocześnie u tej twarzy odbiło się uczucie jakiejś trwogi lub zakłopotania...

Wiktor wytłumaczył sobie bardzo łatwo ten fenomen. Uśmiechnął się jak myśliwy pewny zwierzyny.

— Przepraszam bardzo—powtórzył po chwili—chciałem się widzieć z panem Markiem.....tymczasem....

Brakło mu słów z wielkiego wzruszenia. Łucya patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, jak patrzy ofiara na swego wybawiciela.

— Czy pozwolisz mi pani ,ten próg przekroczyć?—ozwał się Wiktor znowu po krótkiej pauzie.

Łucya podniosła się teraz z sofy i jakby na obronę jedyną wzięła ze stołu dużą księgę.

Wyglądała teraz wspaniale. Słusznego wzrostu, szerokim srebrnym paskiem przepasana, wyglądała jak jedna z owych zaklętych księżniczek, które w pałacach tyranów swoich pokutują....

Ogarniała go dużym, ciemnym okiem, które w przemieszanej atmosferze dziwnym blaskiem jaśniało; otworzyła usta z jakimś smutnym, nieodgadnionej boleści uśmiechem...

Wrażenie, jakiego doznał w tej chwili rozmarzony Wiktor, było tak silne, że w pierwszej chwili chciał śmiałym krokiem zbliżyć się do biednej, cierpiącej kobiety, rzucić się do jej nóg aktem społecznym spętanych i tym sposobem zawiązać dramat, rozwiązanie którego obiecywało mu tyle rozkoszy.

Już postawił za próg nogę, gdy nowy gość Łucyi sprawił mu dreszcz tak rozkoszny, że się na chwilę zatrzymać musiał. Łucya prawdopodobnie przeczuła jego pomysły. Tak, przeczuła, bo od czegoż serce kobiece? Na tej twarzy zarysowało się teraz dziwne uczucie. Była to radość zmieszana z trwogą. Jaskrawy płomień błysnął na chwilę w jej oczach, na które natychmiast zasunęły się czarne rzęsy. Łucya spuściła w ziemię oczy. Jej usta zadrgnęły jakby od iskry elektrycznej. Stała tak chwilę. Potem podniosła oczy, utkwiała je w jakiś punkt niedojrzany i... i nieznacznie przyłożyła do ust różowy paluszek, nakazując śmiałemu bohaterowi ostrożność.

Wiktor widział to wszystko jasno. Wszystkie te ruchy były dla niego tak zrozumiałe! Tyle naczytał się o nich w romansach, tyle widział ich w tłumaczonych z francuzkiego dramatach!...

Widok tego, co teraz widział, wprawiło go prawie w zachwycenie. Z tym różowym paluszkiem na ustach, w tej pozie romantycznej wyglądała Lucya tak cudownie, tak ponętnie, że Wiktorowi o mało serce z żalości nie pękło. Poprzysiął w tej chwili, że ją kochać będzie pomimo wszystkich trudności, jakie zazwyczaj z podobnej sytuacji się wywiązują!

Już śmiałym krokiem chciał się zbliżyć do swojej przyszłej królowej, gdy nagle usłyszał jakiś głos, który był zupełnie podobny do owego głosu w wagonie, gdy pan Marek ze swego głębokiego snu się przebudził.

Wiktor zatrzymał się przy drzwiach. Z poza drzwi wyszedł teraz po raz wtóry ten sam głos, który podobny był do ziewania zbudzonego człowieka.

— Może pan teraz wejść—ozwata się Lucya i z pewnym nieodgadnionym uśmiechem spuściła oczy na ziemię zaraz poza stołem.

W tój chwili słyszał Wiktor już wyraźne ziewanie, które powtórzyło się trzy razy poza drzwiami z całą artystyczną koloraturą.

Na środek pokoju wyszedł teraz pan Marek, przeciągając się i przecierając oczy. Siedział on na fotelu, który stał przy ścianie za drzwiami i drzemał sobie.

— A... a...—ziewał pan Marek—a, witam pana! Nieznośne gorąco! Zresztą z próżniactwa nie ma człowiek co robie!... Witam pana! a... a... a!

Dla Wiktora zmieniła się sytuacja. Rozkosze serdeczne trzeba było odłożyć na później, a teraz zarobiło się przynajmniej tyle, że między bohaterem a bohaterką nastąpiło pewne zbliżenie się osobiste....

Cieszył się nawet z tego Wiktor, bo teraz musiał stary mąż mimowoli przedstawić mu swoje młodą żonę... Mogło mu to być nie na rękę, ale faktu nie można już było cofnąć. Nieprzyjaciel wszedł za linią fortyfikacji i czekał, jaki odtąd ma być między nimi modus vivendi!...

Pan Marek rzeczywiście był w nie małym kłopotcie. Widać to było na jego twarzy. Nawet przeciągał ziewanie, aby się tymczasem namyśleć nad odpowiedzią, jaką ma dać tak widocznemu nieprzyjacielowi....

Wiktor widział to wszystko i cieszył się w duchu. Był pewny, że słowa, jakie teraz wyjdą z ust pana Marka, będą miały dla niego pewną doniosłość.

Pan Marek ciągle przecierał oczy, jakby się namyślał. Wreszcie ziewnął jak mógł najgłośniej, wyciągnął prawą rękę aż po sara sufit i ozwał się:

— Tak cicho pan przyszedłeś, że nikt nie słyszał!

— Przepraszam, bardzo przepraszam! Drzwi od sieni nie były zamknięte!

— Ta Katy zawsze tak robi! Muszę jej za to dobry pater noster powiedzieć!

Czoło pana Marka marszczyło się przy tem co najwięcej. Wiktor z trwogą patrzył na Łucyę. Zrozumiała to wejrzenie Lucya a twarz jej błada zaczęła się rozjaśniać jak jutrzienka przed wschodem słońca. Widocznie dodawała mu odwagi, aby wytrwał: tak przynajmniej wytłumaczył to sobie Wiktor.

— Gdzie jest moja fajka?—ozwał się nagle pan Marek i zaczął się oglądać.

Wiktor przestraszył się: widocznie chce go pan Marek wyprowadzić na ganek i od młodej kobiety oderwać. Nadeszła mu w samą porę pomoc

— Na dworze tak gorąco—ozwała się sympatycznym głosem Łucya, tu przecież jest chłodniej i przyjemniej!

Pan Marek zawahał się. Na jego twarzy widać było walkę. Spojrzał z pod oka na gościa.

— Ha!—ozwał się po chwili—jeżeli chcesz, to zostaniemy w pokoju. Nałóż mi fajkę, Łucyo!

Z łagodnym uśmiechem odeszła Łucya do drugiego pokoju, wkrótce wróciła ztamtąd z fajką turecką.

Tyran! pomyślał sobie Wiktor —tyran i sybaryta! Każe sobie usługiwać tej kobiecie, która stworzona na królową!

Piękna niewolnica pełniła tymczasem swoje służbę z niewypowiedzianą gracyą. Różowe jej paluszki zagłębiały się do glinianej urny, z kąd wracały ze złotymi strzępkami sultańskiego tytoniu. Wiktor z rozkoszą przypatrywał się tej robocie: był to obraz w całym znaczeniu tego słowa malowniczy.

Uśmiechnął się pod wąsem pan Marek.

— Czy pan żonaty?—zapytał od niechcienia.

— Niestety, nie!—odpowiedział z westchnieniem Wiktor.

— To się pan ożeń, a będziesz miał taką robotnicę!

Wiktor uśmiechnął się smutno. Łucya spuściła w ziemię oczy a po jej twarzy przemknął wyraz smutku.

Wiktor westchnął.

— Niechże mnie pan przedstawi— rzekł po niejkiej pauzie.

Pan Marek zachmurzył znowu czoło.

— Aaaa...—jąkał się—czy..., czy pana jeszcze nie prezentowałem?... Zdaje mi się....

— Nie miałem szczęścia!

— Otoż..... mówiąc krótko i wężłowato... moja córka, mości dobrodzieju.

Pan Marek wykrztusił te słowa i otarł pot z czoła: widocznie wiele go kosztowały.

Wiktor widział to i uśmiechnął się nieznacznie. Przypomnił sobie starego żyda, o którym pan Marek twierdził, że podobnym fortelem zastawił młodą żonę swoje od natrętnych spektatorów. Pan Marek widocznie chce go teraz naśladować.

— Miło mi powitać panią—rzekł Wiktor do Łucyi—chociaż z papa dobrodziejem już się dawniej poznaliśmy!

— Mówił mi o tem... ojciec—odpowiedziała Łucya z lekkim rumieńcem.

Wiktorowi zdawało się, że przy tem słowie „ojciec” zawahała się Łucya na chwilę.

Biedna!—pomyślał sobie—jeszcze nie bardzo wprawna do nakazanej roli!

— Nie tęskno pani między obcemi?—zapytał po chwili. Wszedł między nich pan Marek i chmurą dymu rozdzielił ich od siebie.

— Jakże nie ma być tęskno!—odpowiedział za Łucyą—jeżeli w domu nietylko matkę ale i cztery siostry swoje zostawiła.

— Matkę i cztery siostry!—powtórzył machinalnie Wiktor, domyślając się w tem nowego fortelu pana Marka, który te słowa z przyciskiem wymawiał.

— Tak, panie—mówił dalej pan Marek—Łucya jest najstarszą z pięciu córek, któremi łaskawy Bóg mnie obdarzył! Wszystkie są zdrowe i chowają się dobrze!

Pan Marek wymawiał te słowa głosem podniesionym, jakby na nie chciał szczególną uwagę zwrócić.

Uśmiechnął się Wiktor. Widział w tych słowach nowy i nawet bardzo zręczny fortel. Pan Marek młodą swoją żonę zasłaniał mianem córki przed bohaterem buduarowym, ale wystawił ją na inne niebezpieczeństwo. Wiktor, który widocznie miał słabość dla młodej mężatki, mógł teraz wystąpić jako uczciwy konkurent. Nie byłoby

to wcale na rękę staremu mężowi. Z pod deszczu uciekłby pod rynnę. Otoż aby mu i tę możliwą ochotę odebrać, powiedział z naciskiem i bez pytania, że Lucya jest jedną z pięciu niezamężnych córek jego, którym mężów i majątków potrzeba! W takich warunkach dla zwykłego konkurenta nie była Lucya zbyt ponętą partyą, bo choćby i był jakiś mająteczek rodzinny, to przy takiej liczbie konsumentów schodzi prawie do zera. Prócz tego kto wie, co się z wszystkimi siostrami stać może? Może nie wyjdą za mąż, a w takim razie trzeba będzie wszystkie pięć wziąć do domu!

Taką perspektywę, jak mniemał Wiktor, stawiał mu teraz pan Marek przed oczy, w utajonym zamiarze aby go od Łucyi odstraszyć. Ale Wiktor, który czytywał francuzkie romanse i wiedział, jakimi subtelными wybiegami musi się biedny mąż bronić od żarłocznych wilków, które na każdą ładną mężatkę czyhają i jak heroicznym często musi używać środków przeciw żonie, która już od urodzenia ma nieustającą skłonność do wiarołomstwa; Wiktor, który za pomocą literatury francuzkiej tak dobrze był z tymi wszystkimi środkami obeznany, uśmiechnął się z politowaniem na takie nadzwyczajne wysiłki starego męża.

Wiadomość o pięciu córkach przyjął obojętnie, a nawet pozwolił sobie z tego powodu drobnego żartu.

— Więc pani masz cztery siostry—rzekł z pewnem znaczącem wejrzeniem, które Łucyi miało powiedzieć, że na takich słowach dobrze się rozumie.

— Tak, panie—odpowiedziała z łagodnym uśmiechem Lucya.

— Prawiebym nie wierzył!

— Nie wierzyłby pan? Dlaczego?

— Bo jesteście pani tak chowaną, jak się tylko chowają jedynaczki!

Lucya rozśmiała się i spojrzała na ojca. Pan Marek zachmurzył się.

— Moja córka nie jest jedynaczką!—zawołał — jest ich pięć! Daję panu słowo honoru!

Wiktor o mało co na głos się nie rozśmiał.

Pan Marek widocznie chciał odstraszyć możliwego konkurenta; widać nawet było na jego twarzy nie małą troskę.

Patrzył z niepokojem na Wiktora, który siłą i mocą powstrzymywał śmiech serdeczny, aby nim sytuacji sobie niepopsuć. On widział tak jasno, tak

pewny był swego; a tu niedołączny starzec używa wybiegów tak dziwnych, dla niego tak łatwych do odgadnienia! I z miną szczęśliwego bohatera usiadł sobie na krześle, które mu w tej chwili pan Marek podsunął i mówił dalej z uśmiechem:

— Więc pani nie chcesz w żaden sposób być jedynaczką, a ja prawie pewny byłem tego!

Zachmurzył się pan Marek.

— Ciekawy jestem z czego pan wnosicie?—zapytał.

— Z całego zachowania się pana—odparł Wiktor—bo muszę wyznać, że od chwili, gdyś pan nas tak niespodzianie porzucił, stałeś się pan dla nas przedmiotem niemałej ciekawości!

— Z jakiego powodu?

Wiktor rzucił Łucyi ukośne spojrzenie.

— Z powodu panny Łucyi—odrzekł—która przy panu wyglądała zupełnie jak pieszczona jedynaczka!

Lucya westchnęła. Wiktor zrozumiał to westchnienie. Spojrzył na nią z ukosa i mówił dalej:

— Nie było kwiatów, nie było bakalii, którychbyś pan dla panny Łucyi nie kupował! A ta troskliwość ustawiczna, te pieszczoty ojcowskie... a nawet... nawet ten pewien rodzaj zazdrości, że tak powiem, z jaką chciałeś pan swój klejnocik przed światem ukryć! Czy nieprawda?

Pan Marek dmuchnął chmurą dymu.

— Może w tem jest coś prawdy—odpowiedział—bo rzeczywiście Łucya jest mojem najulubieńszem dzieckiem.

Tu wyciągnął pan Marek krótkie swoje palce, zakrzywił je jak haczyki i utopił w ciemnych włosach najulubieńszego swego dziecka. Ulubione dziecko przestraszyło się trochę tego karesu, bo był jakoś niespodziewany, ale wywdzięczając się za niego, sięgnęło po te palce haczykowate i pocałowało je. Pan Marek chciał ją także pocałować, ale Łucya pochyliła głowę i pocałunek odbył tylko na czole.

Wiktor uśmiechnął się na to wszystko, bo w tem wszystkim widział tylko pewną, dosyć zręczną komedya.

— Widzisz moja Łucyo—mówił dalej pan Marek—jako nieraz ludzie nami się zajmują, gdy my o tem wcale nie wiemy! Któżby się był spodziewał, że wtedy, gdy jadłem te przydymione zrazy, patrzył pan Wiktor na nas przez swoje szkiełko paryzkie!

— Czyś pani o tem nie wiedziała?—zapytał ze znaczącem spojrzeniem Wiktor.

— Być może... że wiedziałam!—z dowcipnym uśmiechem odpowiedziała Łucya.

— Wiedziałaś!—zawołał pan Marek—i nic mi nie powiedziałaś o tem?

Wiktor ukąsił się w usta. Łucyi podziękował znaczącem spojrzeniem.

— W podróży—rzekł po chwili—tyle zazwyczaj spotyka nas wrażeń, że trudno spowiadać się ze wszystkich! A między niemi mogą być i takie, o których nikomu się nie mówi, które w sercu naszym pozostają tajemnicą... aż do pewnego czasu albo też na zawsze!

Łucya spojrzała na mówiącego. Wiktor patrzył w tej chwili na nią. Twarz jej zafarbowała się lekko, w ciemnych oczach widać było żywsze uczucie...

Łucya westchnęła nieznacznie.

— Smutne są te wrażenia—odrzekła—które już z góry są skazane na wieczną tajemnicę!

Twarz Wiktora ożywiła się jeszcze więcej.

— Miałem na myśli wrażenia—odparł—które nie od nas samych zależą!

Na słowa te położył przycisk, który tylko dla Łucyi miał być zrozumiały.

Z pewną energią podniosła Łucya głowę do góry i rzekła:

— Prawdziwe, szlachetne wrażenia nie giną nigdy, zagrzebane w samotności!

Wiktor zrozumiał dobrze te ciemne trochę słowa. Mogły one być tylko dla pana Marka ciemne, a takimi nawet być powinny. Łucya bardzo dobrze zestawiała je razem.

Wiktor na te słowa nic nie odpowiedział. Odpowiedź jego była w spojrzeniu, jakie w tej chwili wysłał do tych pięknych, tyle wyrazu teraz mających ciemnych oczu.

Pan Marek zato tem zapalczywiej palił fajkę, jakby w duchu na kogoś się gniewał.

Dalsza rozmowa zesłała do rzeczy, w których i pan Marek brał udział przyzwoity.

Od tej wizyty zarysowała się już dosyć jasno sytuacja dla Wiktora. Wiedział, że Łucya może mu być wzajemną. Wypowiedziały to dosyć jasno jej słowa i spojrzenia. Reszty można było doczytać na twarzy, domyślić się z tych zbyt częstych niewidzialnych prawie westchnień, jakimi łagodnie podnosiła się jej pierś biała.

Wiktor czuł także, że tę kobietę gorącą, wyjątkową prawie miłością ukochać może. Śród tak wyjątkowych warunków sprawiała na nim dziwne wrażenie. Każdy jej ruch, każde spojrzenie, każde na pół urwane słowo, a nawet dosłyszane zaledwie westchnienie, wszystko to przemawiało do niego jasno i zrozumiale! A mówiło mu rzeczy tak piękne, tak zachwycające, o jakich tylko w nocy lipcowej marzyć można!

Taką wyobrażał sobie najbliższą przyszłość swoje, a co dalej będzie, to było jeszcze ukryte!

Ach! ta niepewność! Jakże słodko ona upaja! O jakich pięknych rzeczach pozwala ona śnie i marzyć! A może walki będzie potrzeba? Dlaczegoż nie? Walką zdobyte szczęście jest najśodsze!... A jakże ciekawą jest sama walka!...

Tak marzył sobie Wiktor, a z każdą chwilą marzenia wsiąkał głębiej w duszę jego obraz Łucyi i powoli zrastał się tam z własnym jego życiem.... Co chwila przybywał jej jakiś wdzięk nowy, co chwila spozstrzegał tam jakiś skarb ukryty, którego przy zwykłych warunkach możeby nigdy nie był widział, bo na zwyczajną rzeczywistość było zepsute jego serce już nieczułe.

Codziennie ciągnęło go coś do tego małego domku z gankiem. Pan Marek siedział tam zawsze jakby czekał na niego. Nawet Łucya wychodziła teraz z robótką do nich. Brała udział w rozmowie. Wprawdzie nie mógł Wiktor otwarcie z nią się rozmówić, jak tego pra

gnął, ale wystarczało mu na ten raz, że od czasu do czasu mógł jej rzucić jakie słówko wiele znaczące lub spojrzenie wymowne, które z wdzięcznością zawsze przyjęte zostało. Wiktor czuł wyraźnie, że między nim a Łucyą zawiązuje się już pewne tajemne porozumienie się, że ich serca zaczynają zgodnie bie z sobą i że tylko sposobności potrzeba, aby sobie jasno to wszystko powiedzieć.

Młodszy Wiktor towarzyszył korzystał także teraz z tego nowego stosunku. Wiktor brał go z sobą, bo to było dla niego wygodnie. Młodzieniec widocznie był w błędzie, ale nie dał sobie tego wytłumaczyć, że Łucya nie jest córką pana Marka. Zdawał się w to wierzyć z uporczywością godną lepszej sprawy. Jedna rzecz tylko uderzała go. Pan Marek najczęściej z nim rozmawiał, a Wiktor przysiadawał się wtedy do Łucyi. Gniewało to trochę młodzieńca, ale rad nie rad musiał na tem poprzestać, czekając lepszego jutra.

Pan Marek z każdym dniem stawał się rozmowniejszy. Wypytywał się Wiktora o jego gospodarstwo, o system siewu i zbioru, o konie wierzchowe i fornalki. Wiktor musiał mu opowiadać, jak się gospodarstwo prowadzi w czarnej ziemi, a pan Marek nie mógł wyjść z podziwienia, że tam nigdy nie używają nawozu!

Łucya nie wiele mówiła o gospodarstwie rolnem, ale za to w gospodarstwie domowym rozwinęła talent nie mały. Znała wszystkie zioła i kwiaty, wiedziała kiedy je zbierać i jaki z nich można mieć użytek apteczny. Znała się dobrze na mlecznem gospodarstwie i umiała doskonale odróżniać rasy bydła rogatego i nierogatego. Przytem miała także wiele wiadomości z literatury, a co najwięcej go zadziwiała, to ten zdrowy i trzeźwy pogląd na świat i życie, i ta dziwna uległość wszystkim wyższym społecznym obowiązkom, jaki przy każdej sposobności objawiała Łucya.

nie były to bowiem wcale przymioty kobiety romantycznej, któraby w imię żywszego uczucia, była zdolną wszystko na kartę postawić. Dawało to Wiktorowi bardzo wiele do myślenia. To co teraz od niej słyszał, nie zgadzało się z tem, czego pragnął i spodziewał się.

Po dłuższym jednak namyśle pogodził to jakoś. Widział w tem nawet pewną zasługę z jej strony, że widocznie usiłuje być taką, jaką w danych warunkach być musi. A zresztą może to tylko mówi dla pana Marka, który ustawicznie nad nią czuwa, gdy z Wiktorem rozmawia.

Tak sobie to wszystko wytłumaczył Wiktor, a nawet znalazł w tem wiele dobrego dla siebie. Pod tym zimnym napozór popiołem domyślał się żarzących węgli, które kiedyś zajmą się dla niego gorącym płomieniem.

Przy takich marzeniach bardzo szybko upływał czas dobrowolnemu pustelnikowi w tem ustronnym zaciszu. Wrażeń zewnętrznych było bardzo mało, gromadka mieszkańców nie była wcale ciekawą: Anglik łapał jak zwykle ryby w potoku lub w balii, baronostwo czytali po raz piąty Szyllera i Gothego, żydówki stroiły się w suknie jedwabne, a karetka pocztowa przywoziła jak zwykle gazety i listy, a czasem jakiego wcale nieciekawego podróżnego. Nie było więc czśm się zając. Lucyan po kilku niefortunnych próbach rozmówienia się z Łucya, dawał widoczne ślady znudzenia, a może nawet już o nowej myślał ucieczce....

Sród takich warunków miał Wiktor bardzo dobrą sposobność budować w myślach rozmaite dramata, któreby dzieło jego dzisiejsze godnie zakończyć mogły. Bohaterka jego stroiła się w tych samotnych dumaniach w coraz piękniejsze barwy. We śnie zjawiała się przed nim w szacie powiewnej i wyciągała do niego białe ramiona, aby ją ratował, aby ją z nieznośnych więzów uwolnił i obdarzył szczęściem, o którym dotąd niema nawet wyobrażenia!...

Ciche ustronie sprzyjało bardzo snom takim, które się coraz częściej powtarzały przy cichem i skupionem życiu. Żadna światowa wrzawa nie mąciła tych rajskich obrazów, które powoli wsiąkały w duszę, jak wsiąka kropla rosy niebieskiej w otwarty kielich kwiatu!...

W końcu zdawało się Wiktorowi, że Łucya jest skończonym jego ideałem i że odtąd temu ideałowi wiernym pozostać musi, cokolwiekbądź się stanie.

Najbliższe zdarzenie utwierdziło go w tych marzeniach tak rozkosznych.

Pewnego dnia wszedł jak zwykle na ganek, ale na ganku nie zastał nikogo. Wszedł do sieni. Z sieni były otwarte drzwi do ogrodu, w którym ujrzał Łucyę przechadzającą się z panem Markiem.

Gdy się do nich zbliżył, podała mu Łucya aksamitną rączkę swoje i zdawało się Wiktorowi, że go odmiennie niżeli zwykle ścisnęła. Spojrzał jej w oczy, w oczach były ślady łez i jakiegoś głębszego wzruszenia. Ręka jej gdy go ścisnęła, drżała widocznie. Serce Wiktora uderzyło żywiej.

Tymczasem pan Marek dmuchał przed siebie dymem i coś niezrozumiałego mrucał pod wąsem.

— Może pan spocznie w altanie—ozwała się Łucya, głosem, w którym czuć jeszcze było łzy bolesne—moge pana prosie?

Wiktor spojrział na pana Marka.

— A dajże mi pokój z tem siedzeniem!—odfuknął pan Marek— już mi nogi zdrętwiały! Już te kobiety tylko wiecznieby siedziały! Niech się pan nie żeni, powiadam panu!

Uśmiechnął się Wiktor i spojrział na Łucyę. Na, twarzy Łucyi błąkał się jeszcze wyraz smutku, ale poza tym smutkiem widać już było wschodzącą pogodę.

— Niechże pan sobie wybiera—ozwała się z czarującym uśmiechem—albo stan bezzenny i przechadzkę po alei, albo altanę i rozmowę ze mną....

Łucya wymawiała te słowa z żartobliwym uśmiechem, któremu nie mógł się oprzeć Wiktor.

— Jeżeli tak—odparł szybko—to bez namysłu wybieram altanę. Pan Marek machnął ręką i rozśmiał się.

— I owszem—zawołał wesoło—krzyżyk na drogę!

Łucya położyła na ustach różowy paluszek, aby ojcu jaknajskromniej swoje nieukontentowanie okazać, a zwracając się nagle do Wiktora rzekła:

— Służę panu, jeżeli dla pana miłszą jest altana od przechadzki. I szybkim krokiem poskoczyła do ocienionej winogradem altany.

Wiktor pośpieszył za nią, a jakieś dobre przecucie mówiło mu, że teraz będzie miał sposobność rozmówienia się otwarcie z królową marzeń swoich.

Nadzieja Wiktora była słuszną, ale nie zewszystkiem się spełniła; altana była wprawdzie grubo zielonym liściem opasana, ale pan Marek nie odszedł tak daleko od niej, aby kochankowie z wszelką swobodą mogli z sobą rozmawiać. Do tego jeszcze jakby na złość kwitnęły przy altanie bardzo ładne róże, które namiętnie lubił pan Marek. Zbliżył się więc do tych róż, a obchodząc i wachając je koleją, okrążał altanę wokół, jak strażak stojący na wieży pożarnej. Wiktorowi nic nie pozostało, jak tylko prowadzić rozmowę w ten sposób, aby i pan Marek mógł z niej coś słyszeć. Właściwego jednak znaczenia mogła i powinna domyślać się Łucya.

Zaraz więc na wstępie, gdy w altanie usiedli, a Łucya jakąś robótkę do ręki wzięła, ozwał się Wiktor:

— Chociaż tylko liść wąty oddziela nas od świata, mam jednak rozkoszne w sercu uczucie, że choć raz w życiu jesteście prawie sami.

Twarz Łucyi zmieniła wyraz. Oczy jej podniosły się od robótki i badawczo spoczęły na twarzy Wiktora.

— Prawie sami!—powtórzyła, jakby się czego obawiała. Zrozumiał tę obawę Wiktor.

— Nie będę się zbyt jasno tłumaczył—odrzekł—bo wiem, że pani mnie zrozumiesz!

Łucya spojrzała przed siebie i na chwilę zamyśliła się. Potera pokręciła główką i odparła:

— Trudną naznaczasz mi pan rolę! Dzisiaj tak niełatwo ludzi zrozumieć?

Taki wstęp był bardzo dobry. Prowadził on prosto do celu, do którego dążył Wiktor; rozjaśniła się więc twarz jego, oczy jaśniej zabłyśły.

— Masz pani wszelką słusność—odrzekł—porozumienie się dzisiaj z światem i ludźmi jest nader trudne.

Stworzyliśmy sobie tyle przesądów, tyle przeszkód stawiamy sobie sarai na drodze, że jeżeli nam się mimo to wszystko otworzy jaka drożyna do szczęścia, to nie umiemy nawet chodzie po niej!

Łucya westchnęła.

— To prawda—rzekła—prawdziwe szczęście jest dzisiaj tak rzadkie!

I twarz jej zafarbowwała się słabym rumieńcem. Wiktor uczul rozkoszny dreszcz w sercu. Łucya była w tej chwili inną od tej, z którą w obecności pana Marka na ganku rozmawiał. Nie zawiodła jego oczekiwania. Odetchnął pełną piersią! Pan Marok oddalił się trochę od altany.

— Powiadasz pani, że szczęście jest rzadkie—znizonym głosem ozwał się po chwili Wiktor—na to zgadzam się zupełnie. I więcej jeszcze powiem: powiem pani, że znikło ono zupełnie z powszednich życia stosunków, i przebywa tylko w pewnych anormalnych sytuacjach...

Łucya powiodła z wolna okiem po twarzy mówiącego, zatrzymała się chwile na jego czole zarumienionym, i wróciła napowrót do robótki.

— Być może, że masz pan i tutaj słuszność!—wyszepnęła zcicha. Dreszcz rozkoszny przeszedł przez serce Wiktora.

— Jestem już w połowie mego szczęścia—mówił dalej—że pani zgadzasz się ze mną. Bóg świadkiem że nie my winni tój anormalności. Stosunki nasze powikłały się do nierozplątania. Serce usunęliśmy na ostatni plan i zdaje się nam, że ono tam już nazawsze pozostać musi, skoro pewnym wymaganiom światowym zadość uczyniliśmy! , Tymczasem dzieje się inaczej. Serce domaga się praw swoich i z ostatniego planu przechodzi na pierwszy! Wtedy następuje pewna kolizya z prawami ludzkimi, które po większej części są tak niedołączne!...

Lucya upuściła na kolana robótkę i wpatrzyła się w mówiącego. Wiktor z rosnącym zapalem mówił dalej:

— Wtedy to bardzo słusznie następuje walka serca z ludzkimi prawami, a losy tej walki są nieraz nawet bardzo tragiczne!

Lucya patrzyła ciągle.

— I po czyjej stronie jest wina tój walki—mówił dalej Wiktor —po czyjej stronie jeżeli nie po stronie tego zbyt realnego świata, któremu zdaje się, że człowiek już wszystkiego dopiął, gdy jest syty i napojony! Każdy ubiega się z gorączką za tą strawą codzienną i napojem, ubiega się za łachmanami i szmatami, które zwyczaj niezłomny mieć każe, a gdy tego wszystkiego już dostał, wtedy odkrywa się w duszy jego przepaść niczem niewypełniona, której dawniej nawet nie widział! Dlaczego zaś nie widział, w tem także nie jego wina! Wychowano go w tej ślepcie, kazano mu od dzieciństwa wierzyć w co innego, a gdy to w co dotąd wierzył już dłonią swoją uchwycił, wtedy dopiero okazuje się, że wiara jego była fałszywa!... Straszne rozczarowanie!

Lekkie przytłumione krząknięcie słyhać było za altaną. Lucya nie spuszczała oczu z Wiktora, który rozogniony rozmową wyglądał bardzo dobrze.

Po chwili westchnęła Lucya i rzekła:

— To prawda co pan mówisz! Stworzyliśmy sobie wiele rzeczy, które nam potem w życiu zawadzają! Wiktor pochwycił ją za rękę.

— Czujesz to pani!—zawołał z gorączką—czujesz pani tę zawadę... i masz pani odwagę walczyć z nią... walczyć wszystkimi siłami?...

Z uwagą spojrziała Lucya na mówiącego. Pomilczała chwilę, a potem cichem głosem odrzekła spuszczając oczy:

— Zdaje mi się, że odwagi nie zabraknie mi...

Wiktor chciał w tej chwili namiętnie ucałować tę rękę, ale krząkanie za altaną powtórzyło się głośnieję: Wiktor upuścił rękę. Nastąpiła dłuższa pauza, po chwili zaczął Wiktor:

— Przyznajesz więc pani, że serce ma nieprzedawnione prawo, gdy się z pod ciężarów światowych odrywa..

— Przyznaję zupełnie...

— Przyznajesz pani, że kobieta ma wszelkie prawo do wrażeń, które w życiu napotyka poza ogniwem wiążącego ją łańcucha społecznego...

— Nie moze pana zrozumieć

— Jeżeli naprzykład kobieta pod naciskiem światowych okoliczności zwiąże się nierozważną przysięgą w obec mężczyzny... którego potem w żaden sposób kochać nie może?...

— Do czego pan dążysz?

— Czy taka kobieta ma prawo... do innej miłości? Twarz Łucyi spowaźniała.

— Sądę—odrzekła—że kobieta, która wybiera swoje przyszłość, wie co robi... i na tem co wybrała, poprzestać musi! Przykre uczucie opanowało serce Wiktora. Lucya widocznie cofa się do swoich obowiązków, z narzuconym jej łańcuchem niewoli walczyć nio chce! Prawdopodobnie zabrakło jej odwagi na widok tak strasznej walki i prawdopodobnych jej następstw.

Rozgrzało to jeszcze więcej i tak rozgorączkowane serce Wiktora.

— Jaktó?—zawołał—i pani lękasz się walki? Na sam widok takiej walki cofasz się?

Lucya z łagodnym uśmiechem odparła:

— Przecież coś musi być w życiu świętem!

— Świętem? Świętem? Co nazywasz pani świętem? Czyż świętym jest ten akt w kościele, do którego zmuszą biedną dziewicę różnymi sposobami, aby rękę swoje oddała człowiekowi, którego kochać nie może... czy świętym jest ten głos serca budzącego się jak jutrzeńka wraz ze wschodem Bożego słońca? Czyż nie jest świętom to

pragnienie, które uczuwa kobieta w duszy na widok mężczyzny, który nagle jak długo w głębi duszy spoczywający ideał, stanął przednią w rzeczywistości! Czyż ma się go wyprzeć dla tego, że głupi świat patrzy na nią, że ją obmotał postronkami jak pająk biedną muszkę?... Czyż ma w tych postronkach powoli konać dla tego, że te postronki zdala wyglądały tak ponętne i tworzyły tylko jakby mgłę niewinną?...

Łucya uśmiechała się przy tych słowach i od czasu do czasu ruszała głową, że z takim poglądem wcale się zgodzie nie może.

— Nie podzielasz pani mego zdania?—zapytał z rosnącą gorączką Wiktor.

Ta walka Łucyi była nawet teraz ponętą dla niego.

— Chciałabym może—odpowiedziała z uśmiechem—ale... nie mogę z panem się zgodzie.

WTiktor dojrzał teraz już szczerbę w murze fortecznym. Łucya chce jeszcze walczyć, ale wyraźnie zapowiada prawdopodobny koniec tej walki...

Roziskrzyło się oko Wiktora.

— Nie możesz się pani ze mną zgodzie—podjął szybko—więc jest pewno przeszkoda!

— Przeszkoda?—odparła z wolną Łucya—nie wiem o jakiej przeszkodzie pan mówisz!

— Czy pani... czy pani... kochałaś!...

Szkarłatny rumieniec okrył twarz Łucyi. Spuściła twarz do ziemi tak, że jej Wiktor nie mógł widzieć.

— Jeżeli mam być szczerą — odszepnęła zaledwie zrozumiale i ucichła nagle...

— Bądź pani jak najszczerzą!

— To... nie!

Z gorączką chwycił Wiktor ją za rękę.

— Jakto!—zawołał—nie kochałaś pani i chcesz dobrowolnie na zawsze wyrzec się tego najpiękniejszego uczucia, jakie Bóg wlał w serce kobiety? Chcesz dla skrupułów światowych zostać ofiarą na zawsze... chcesz żywcem zamurować się w grobie... dla tej jednej przyczyny, że serce po lekkomyślnie zawartym kontrakcie nie ma już żadnego prawa?...

Oprzytomniała Łucya, a podnosząc głowę ozwała się z czarującym uśmiechem:

Zkądże pan wnosisz, że już zrzekłam się tego prawa, o którym pan mówisz?

Rozpłomieniła się twarz Wiktora. Walka kobiety zaczyna dobiegać do końca. Ścisnął ją za rękę i zawołał:

— Te słowa i ten uśmiech są dla mnie tem, czem na pustyni Sahary jest dla Araba widmo oazy zielonej! Nie jest ona tak blisko jak mu się wydaje, ale ma słuszną nadzieję, że jest niedaleko!

Wiktor chciał tutaj białą rączkę Łucyi ucałować, która mu jej wcale nie bronila, gdy nagle tuż przy drzwiach altany dało się słyszeć silne krzákanie pana Marka.

Jakoż wkrótce pojawił się na progu pan Marek z antypką w ustach, w prawej ręce trzymał dwie piękne żółte róże.

— Patrz, Łucyo, co za róże!—zawołał z dobrotliwym uśmiechem —może jedne z niej dasz gościowi.
Łucya sięgnęła po róże, ale Wiktor doznał w tej chwili jakiegoś przykrego uczucia.
Wziął wprawdzie róże z ręki Łucyi, ale na pana Marka wcale nie spojrzał.

Tego samego dnia nad wieczorem, gdy Wiktor pogrążony w jakichś poważnych myślach, odmierzonym krokiem przechadzał się przed zakładem, zbliżył się do niego Lucyan, na twarzy którego było widać jakąś niezwykłą gorączkę.
— Przyznam się panu—rzekł do Wiktora—że jest tu strasznie nudno! Czy pan długo tu jeszcze zabawisz?
— Nie wiem!—odparł Wiktor spokojnie.
— Czy krewni pana nie pisali jeszcze, kiedy przyjadą?—pytał dalej młodzieniec, a twarz jego miała przytem jakiś wyraz tajemniczy.
Wiktor nie patrzył w tej chwili na niego, a nawet na zapytanie zapomniał odpowiedzieć: jeszcze bardziej pogrążył się w myślach swoich.
— Wiesz pan co?—mówił dalej Lucyan—chodźmy na pocztę. Właśnie ma nadejść zapóźniona karetką pocztowa. Ciekawa rzecz dlaczego się spóźniła?
Wiktor machinalnie usłuchał młodszego swego towarzysza: obaj udali się przed budynek pocztowy. Niedługo tam stali w oczekiwaniu. Zaledwie Lucyan papierosik zapalił, zaturkotała na skrócie drogi karetką pocztowa. Zbliżyli się do pisarza pocztowego.
Pisarz pocztowy z całą powagą swego niepośledniego urzędu, oczekiwał przed oknem kancelaryi żółtego wehikułu, który coś strasznie na jedne nogę kulał.
— A cóżto się stało?—zapytał zakłopotanego pocztyliona. Pocztylion poskrobał się w głowę, zajrzał poza siebie i odparł:
— Ot, nieszczęście, proszę pana! Albożto człowiek wie kogo wiezie w karetkce? Dawniej to przecież było inaczej: każdy człowiek porządny musiał miece paszport, a dzisiaj i dyabeł o to nie pyta! Ka

zdy siada na pocztę, kto chce, a potem człowiek sam nie wie, kogo przywiózł lub odwiózł!
— A cóż takiego?—badał dalej pisarz pocztowy.
— A cóżby być mogło, jeżeli nie nieszczęście na gładkiej drodze! Gdyby człowiek wiedział, że wiezie porządnego człowieka nie żadnego niedowiarka... a tak...
— I cóż się stało?
— Ot, bryka wywróciła się na gładkiej drodze!
— Wywróciła się? Czy stała się jaka szkoda?
— Dzięki Bogu, żadnej szkody nie ma! Wszystko całe, koło tylko jedno trochę się rozluźowało!
— Więcej nic?

— Nic!

Kiedy właśnie pocztylion skończył swój raport, z którego okazać się miało, że pomimo nieszczęścia żadnej szkody nie było, otworzyło się okno karetki a w oknie ukazała się obwiązana twarz nieszczęśliwego podróżnego.

— Powiedziałeś że nic się nie stało—remonstrował pisarz pocztowy do pocztyliona—a przecież...

— Nic się nie stało, nic, dzięki Bogu—odparł spokojnie pocztylion odpinając postronki—wszystko w porządku: buda, dyszel, orczyki, chomonta...

— Ależ podróżny!

W tej chwili odsunął podróżny chustkę z rozbitego nosa, a Lucyan krzyknął nagle.

W oknie karetki widać było teraz zasnę twarz biednego pedagoga.

Mimo czerwonego guza na nosie i dwu sińców pod lewym okiem, twarz zasnę pedagoga była ta sama, z jaką żegnał osamotnioną stacją kolei, na której znikł mu ostatni towarzysz.

Małowało się na niej zmartwienie z pewną powagą, która jeszcze nie zwątpiła o siłach człowieka; do tego zmartwienia przyłączył się teraz wyraz wyrzutu, z jakim najprzód Lucyana a potem Wiktora powitał.

Z tem zmartwieniem na twarzy i tym wyrzutem w oczach, wyglądał zasnę pedagog bardzo wspaniale. Sam pisarz pocztowy odemknął mu drzwiczki i podał rękę, aby wygodnie nogi swoje oparł na pewnym już gruncie.

Gdy to zasnę pedagog uczynił i pisarza pocztowego za to za rękę uściskał, zwrócił się najprzód do swego elewa.

— Czyż się godziło, Lucyane, tak mnie zmartwić?ozwał się do niego z wyrzutem dwa tygodnie jeżdżę po liniach wiedeńskiej i berlińskiej, chwytam języka, przypuszczam co najgorszego... et tu Brute...

Właściwym Brutusem był tutaj Wiktor. Spuścił oczy i wyciągnął rękę na przywitanie pedagoga.

— Szczęście, że przynajmniej pan tu także byłeś!—rzekł do niego pedagog trzęsąc go za rękę—i bardzo dobrze tak się stało! Upadam do nóg!

Wiktor nie zrozumiał słów pedagoga. Spojrzał na niego z zapytaniem; ale pedagog szarpnął go za rękę i szepnął mu do ucha:

— Wiem, co was obu tu sprowadziło, ale gdzie są dwa głodne psy, tam może pieczeń leżeć bezpieczna! Upadam do nóg!

Wiktor chciał na to coś odpowiedzieć, ale pedagog nie miał teraz czasu na dłuższą rozmowę; zaczął wyjmować różne paczki i węzłki z karetki i symetrycznie grupował je na ziemi, a gdy się już z tego uformowały różne pagórki, mogące w miniaturze Taty przedstawiać skinał wtedy na stróża i wszystko bez żadnego zastrzeżenia oddał w jego opiekę. A gdy tego wszystkiego dokonał, cyana a potem Wiktora pod rękę i z należytą powagą pośród licznych spektatorów udał się do gościnnego zakładu.

Nazajutrz po południu siedział jak zwykle pan Marek na ganku i palił fajkę. Od czasu do czasu dobywał ostrożnie z kieszeni jakiś zwitek papieru, czytał go z uśmiechem i potem z uwagą napowrót chował. Po każdym odczytaniu buchał ggściej dym z fajki, co znaczyło, że pan Marek był w niezwykłej alteracji.

Trwało to czas niejaki. Nagle zwróciło coś innego całą uwagę pana Marka w inną stronę. W stronie tej była kobieta już niemłoda, która sporym krokiem szła od zakładu ku domkowi.

Pan Marek zaczął bystrym okiem badać kobietę. Jej chód i ruchy były charakterystyczne. Oglądała się co chwila wkoło siebie, jakby się czego obawiała. Zdawało się panu Markowi, że ta kobieta ma niedobre sumienie.

Gdy się zbliżyła, poznał, że to była stara pomywaczka. Nie spuszczał jej z oczu. Stara niemka stanęła na chwilę, gdy w ganku pana Marka spostrzegła. Po chwili namysłu, puściła się dalej.

Weszła na ganek. Pan Marek o nic nie pytał, tylko pilnie na nią patrzył. Niemka była widocznie niespokojną. Zapytała o Łucyę. Łucya była w pokoju, ale pan Marek odpowiedział, że jest w altanie. Niemka pośpieszyła do ogrodu. Pan Marek patrzył na nią z uwagą.

Weszła do altany. W altanie nie zastała Łucyi, tylko koszyk z robótką stał na stole. Niemka przetrząsała koszyk, wyjęła z niego różnokolorowe motki włóczki i napowrót je włożyła. Odeszła z altany spokojniejsza: na jej twarzy był uśmiech zadowolenia.

Gdy niemka do kuchni się udała i wkrótce nawet śpiewać zaczęła, wyszedł pan Marek do ogrodu i ostrożnie zbliżył się do altany.

W altanie nie było nikogo, tylko na stole stał koszyk z motkami włóczki. Pan Marek przerzucił kilka motków i o dziwo!... na dwie koszyki znalazł mały pachnący liścik.

Wyjął go szybko, schował do tej samej kieszeni, w której był ów zwitek ukryty i odszedł do swego pokoiku.

Tu zamknął starannie drzwi, wyjął liścik i zaczął go z uwagą rozwijać.

Na woniejącym papierze stały te słowa:

„Wczorajsza nasza w altanie rozmowa przekonała mnie, że moje domysły nie omyliły mnie. Na pierwszy rzut oka ujrzałem w pani ofiarę nierozsądnego związku, a serce moje uderzyło żywo na ten widok. Odtąd nie mogłem się pozbyć obrazu, który mi stał przed oczyma. Widzę cię przed sobą we dnie i w nocy, na jawie i we śnie, i zdaje mi się, że jesteś już połową mego życia!... Wiem dobrze, w jaką krainę wprowadza mnie serce moje, wiem ile cierni i kolców może tam znaleźć obok rozkoszy najłodszych, ale to wszystko nie odbiera mi odwagi; wiem bowiem, że jeden listek róży z pomiędzy tysiąca kolców ciernistych wyjęty, jest w takim razie wyższej ceny, niżeli cały bukiet uwity ręką ogrodnika za pieniądze!... Otoż wyznaję tu szczerze i otwarcie, że cię kocham, mój ty smutny aniele, że cię kocham całą duszą i że wszystko co tylko chcesz, dla ciebie poświęcę!... Nie lękam się żadnych przeszkód, nie lękam się zwykłych ludzkich trudności, nie lękam się nawet przelewu krwi, jeżeli tego konieczna będzie potrzeba! Życie moje składam u twych nóg i będę szczęśliwy, jeżeli niem rozrządzie zechcesz! Reszta do ustnej rozmowy. Niema ani chwili czasu do stracenia. Obawiam się nikczemnej intrygi. Proszę cię więc, moja droga, o schadzkę... dzisiaj o północy w altanie... będę przygotowany na wszystko!... Milczenie twoje na ten list, będzie odpowiedzią, że się zgadzasz, że do altany o wyż wspomnianej godzinie przyjdiesz! Twój W.

Tak brzmiał ów liścik woniejący, który teraz trzymał pan Marek w ręku.

— Tam do kata!—mruknął pan Marek po odczytaniu—otoż masz! Cóż teraz pocznę z tym listem? Alboż ja wiem czy co? Czy ja wiem, co w takim razie kobiety robią z takim specyalem?...

Po chwili rozśmiał się i rzekł do siebie:

— Co do umie... możebym i wiedział co zrobić! Ale tu chodzi przecież o co innego! Hm, hm, hm co tu począć? Tam do kata, trudna sprawa.

Pan Marek obracał list na wszystkie strony, wachał go, składał i rozkładał, ale żadna lepsza myśl nie mogła mu przyjść do głowy.

Zrazu chciał go oddać Lucyi, aby ona sama tą kobiecą, jak mniemał, sprawę załatwiła; potem jednak nie uważał tego za stosowne: byłby to hazard, który mógłby zwichnąć całą rzecz. Nie, tak nie można było tej kunsztownej sprawy załatwić.

A. gdyby on sam poszedł o północy do altany?

Długo zastanawiał się nad tą myślą. Miała ona dla niego wiele tentacyi... ale sprawa kobieca byłaby pogrzebaną na zawsze, chociażby nawet niemalą miał przytem osobistą przyjemność!

Cóż tu robie? Panu Markowi zaczęło się robie smutno: niezręczny krok mógł wszystko popsuć.

Czuł teraz biedny pan Marek że nie dorósł do swojej roli. Wiele zrobił dotąd, płynął dotąd z odwagą i sprytem nie małym, ale u brzegu... mógł utonąć!

Zasmucił się i szczerze zapragnął, aby zacna i mądra towarzyszka jego stanęła w tej chwili przy nim. Towarzyszka jednak była daleko, a on sam jeden musi tu sobie wystarczyć

Przekonanie to, że tutaj jest sam jeden, że towarzyszka jego życia bymaj mniej pomocną mu być nie może, i że sam koniecznie wystarczyć musi, wlało w niego otuchę a nawet zwiększyło siły jego.

Pan Marek wyprostował się jak człowiek, który o własnej sile dalej iść zamierza, chociaż drogi przed sobą nie widzi, i już jakaś myśl niezła zaczęła mu w głowie świtać, gdy nagle ktoś z lekka do drzwi zapukał.

— Kto tam!—krzyknął głosem bohatera.

— Ja, panie dobrodzieju!—ozwał się zpoza drzwi, dobrze mu znany głos zacnego pedagoga.

Dobre przecucie ogarnęło pana Marka. Otworzył drzwi narozcież, w których ukazała się teraz zacna, z dwoma sińcami pod okiem twarz pedagoga.

— Mater Dei!—krzyknął pan Marek—a cóżto waszmości się stało? Czy byłeś między opryszkami?

Pedagog stanął na środku pokoju, i z wyrazem wielkiej boleści spojrział na pana Marka. Trwało to chwilę. Podczas tego zmarszczki rozumnego jego czoła spuszczały się coraz niżej, aż na samych brwiach osiadły. Przemiana ta zewnętrznej dekoracji razem

z dwoma sińcami pod lewym okiem, oznaczała jakieś głębokie rozzalenie.

Pan Marek czekał z ciekawością na pierwsze słowo. Wreszcie ozwał się pedagog:

— Jeżeli szczerze i otwarcie mam na zapytanie pana dobrodzieja odpowiedzieć i wymienie tych opryszków, między których popadłem, to primo Iloco umieszczam między nimi szanowną personę JPana dobrodzieja cum attinentiis ignoti nominis!

Pan Marek otworzył szeroko gębę.

— Ja opryszek?—zawołał zadziwiony—ja opryszek... ja i moja...

— Tak—odparł spokojnie pedagog—pan dobrodziej i pańska...

— Chryste Boże! Ja opryszek? Czyś pan oszalał?

— Nie wiele brakowało do tego!

— Czy i to tak rozumne oko z mojej przyczyny podbite?

— Nieinaczej! Pan jesteś intelektualnym sprawcą wszystkich moich nieszczęść i umartwień, które trapiły mnie przez trzy tygodnie!

Pan Marek osłupiał. Spodziewał się właśnie w zacnym pedagogu sprzymierzeńca, a znalazł adwersarza z pretensją o poniesione szkody i stracone korzyści.

— Mój panie—rzekł po chwili z powagą—najprzód należy nam się bliżej porozumieć!

— Jestem także tego zdania—odparł pedagog.

— Nazywam się Marek i jestem obywatelem bene natus i possessionatus!
— Jestem Doroteusz Wierzba, a zawodem mego życia było oświecać i na dobrą drogę naprowadzać synów tych, którzy się nazywają bene nati i possessionati!
— Jak widzę, nie zawsze udawała się panu ta robota?
— Nie przeczę, bo moją sumienną pracę psuły często uprzedzenia, przesady i tradycyjne nałogi!
— Czy ostatnią swoje robotę zaliczasz pan do lepszych?
— Niestety, przekonałem się że i tu łudziłem się, a sprawcą złodzień moich jesteś właśnie pan dobrodziej!
— Przed chwilą użyłeś pan silniejszego wyrazu: nazwałeś mnie pan opryskiem!
— Nie cofam tego, ale śmiem uczynie małą poprawkę, że to pan pierwszy tego wyrazu użyłeś; ja tylko przyjąłem go, bo rzecz dobrze charakteryzował.

— Nie rozumiem pana!
— Autor wszego złego może się nazywać zbrodniarzem, oszustem, złodziejem, opryskiem i t. d.
— Cóżem złego wyrządził?
— Być może, że mimo wiedzy pana dobrodzieja spełnił się ten zły czyn, ale zawsze mam słuszny żal do niego, jako do sprawcy tego czynu.
— Słucham oskarżenia!
— Mój zacny elew Lucyan, który właśnie ukończył był już wszystkie nauki, a teraz pod moją opieką miał większy kawałek świata obaczyć, został nagle na widok pewnej młodej kobiety w biegu naturalnym wstrzymanym. Nietylko że ukradkiem wyłamał się zpod mojej opieki, ale nawet w tak długiej tajemnicy trzymał przedemną swój pobyt w tym zakładzie, gdzie go dopiero po długich poszukiwaniach odnaleźć mogłem. Że to poszukiwanie nie było tak wygodne, widzisz pan ślady na mojej twarzy. Pocztylion wyrócił mnie w wąwóz, dwadzieścia i trzy sążnie głęboki, jak to zaraz na miejscu sprawdziłem. A teraz powiedz mi pan, czy nie słusznie obwiniam go o te sińce pod okiem, i ten guz na nosie, który nawet może mi powrót do kraju utrudnie, gdyż w paszporcie moim nie figuruje przy opisie mojej osoby? A któż temu wszystkiemu winien? Czy nie wyglądam tak, jakbym był między istotnymi opryskami?
Pan Marek rozśmiał się na te poważne słowa zacnego pedagoga, aż szyby zabrzęczały, i uściśnął go serdecznie, i tak długo ten uścisk przedłużał, póki na twarzy pedagoga nie okazały się wyraźne oznaki lekkiego niezadowolenia.
— Panie Wierzba—zawołał z radością pan Marek—jakkolwiek mnie opryskiem nazwałeś, mimo to czuje, że będziesz odtąd moim zacnym przyjacielem. Słyszałem twój rozmowę z towarzyszami podróży, a że od tego czasu mimo sińców i zgniecionego nosa prawdopodobnie się nie zmieniłeś, liczę więc na ciebie i twoje zacne przekonania!
I pan Marek zabierał się znowu do uścisku: pedagog zeszedł mu z drogi.
— Zacne słowa pańskie—odparł—są dla mnie najprzyjemniejszym uściskiem, i na tem zupełnie poprzestaję. Chodzi mi jednak przedewszystkiem o sprawę bardzo ważną, z powodu której nie możemy

wiele czasu tracie na tak zaszczytne z innego względu uściski. Przystąpmy do rzeczy.

Pan Marek opuścił swoje żylaste ręce, które przed chwilą były zawieszane jak miecz Demoklesa nad chudymi ramionami pedagoga.

— Masz pan słuszność—rzekł po chwili, przypomniawszy sobie list i zwitek w kieszeni—masz pan słuszność, że czasu nie możemy tracie. Mam tu coś dla pana...

— Pozwól, że ja pierwszy rzecz moją przedstawię!

— Słucham.

— Mój elew Lucyan, zresztą bardzo zacny chłopiec i w nienajgorszych warunkach materialnych, zadurzył się co się zowie...

Pan Marek wyciągnął znowu żylaste ramiona.

— Nie traemy czasu!—mówił dalej pedagog uchylając się na bok—nie traemy czasu!, Zachodzi tylko ważne pytanie, czy ten afekt jego nie poszedł na błędne drogi! Z tego też powodu chciałbym otwarcie rozmówić się z panem dobrodziejem, aby młody człowiek wiedział co ma dalej począć... Prócz tego... jak się domyślam...

Tu nie mógł już zacny pedagog dokończyć: jak dwa olbrzymie tarany, spadły na jego ramiona żylaste ręce pana Marka i tak go mocno ścisnęły, że w jego piersiach nagle tchu zabrakło.

— Kochany panie Wierzbo!—huczał mu pan Marek do uchem w tej sprawie bardzo ciekawe materiały i możemy wspólnymi siłami coś z tego zrobić. Dziękuję ci za twoje życzliwość.

Teraz przypomniał sobie pan Marek, że drzwi pokoju nic są zamknięte, i że w tak ważnej konferencji może im kto przeszkodzić; wypuścił więc zacnego pedagoga z swoich uścisków i pośpieszył do drzwi, aby je zamknąć: co uczyniwszy, wrócił do zacnego gościa, i z miną zakłopotanego dyplomaty wyjął z kieszeni potrzebne do sprawy materiały.

Narada i posiedzenie było tajne.

Podczas gdy w małym domku między ojcem Łucyi a opiekunem Lucyana, przy drzwiach zamkniętych tajna odbywała się narada, chodził Wiktor po swoim małym pokoiku w głębokich pogrążony myślach.

Przyjazd pedagoga i różne ztąd wypływające następstwa, wpłynęły znacznie na dotychczasowe jego marzenia.

Zacny pedagog znowu na wstępie powiedział, że nie ma czasu do tracenia i natychmiast wziął się do swego elewa, aby między nim a sobą dawny przywrócić porządek. Mimo dosyć energicznego oporu, udało się w końcu byłemu nauczycielowi wziąć górę nad zbuntowanym uczniem i wycisnąć od niego różne zeznania.

Zeznania te nie były nowością dla Wiktora, ale dalsze zachowanie się Lucyana mogło na seryo jego marzeniom zagrozić. Młody człowiek, jak się przy badaniu okazało, zajął się nie na żarty towarzyszką pana Marka. Pedagog wziął to zajęcie na seryo i bynajmniej nie widział w tem nic zdrożnego, gdyby ten afekt do czegoś rzeczywiście dojrzał; chodziło mu tylko o to, aby godną znalazł lokacyą: w tym celu postanowił otwarcie rozmówić się z panem Markiem i potrzebnych zasięgnąć od niego wyjaśnień.

Widząc to wszystko Wiktor, uczuł nagle pewną zazdrość, z której dotąd bynajmniej nie zdawał sobie sprawy, a która od czasu do czasu nachodziła jego serce. Afekt młodzieńca, jak słusznie mniemał, mógł wprawdzie odnosić się tylko do Łucyi, jako córki pana Marka, a musiał umilknąć, gdyby Łucya była mężatką; mimo to jednak zaniepokoił się teraz, a nawet wyraźną uczuł zazdrość. Chciał sobie koniecznie wybieć z głowy, że przecież Lucyan nie jest i nie może być jego rywalem; nie mógł jednak pozbyć się tej przykrej myśli, która ustawicznie stawiała mu na drodze tego młodego człowieka. A w miarę jak rósł jego niepokój, rosło także uczucie jego dla Łucyi, którą

już ubrała się w jego oczach we wszystkie wdzięki upragnionego ideału!

Zrodziło to w nim pewną gorączkę, której nie mógł opanować; pewną obawę, o której nie wiedział z kąd wyszła i gdzie dąży, i nietajoną zazdrość, której w żaden sposób nie umiał sobiewytłumaczyć. Zdawało mu się, że jest na zwrocie życia, że zależy wszystko od tego, w którą stronę tę zwrotnicę nastawi.... Prócz tego drażnił go jakiś dziwny niepokój, który ogarnął Lucyana od czasu przyjazdu pedagoga. Po długiej i burzliwej rozmowie z pedagogiem, wyglądał Lucyan bardzo rozdrażniony i miał minę człowieka, który gotów jest na wszystko.

W takim stanie rzeczy postanowił Wiktor zrobić jakiś krok stanowczy. Popychało go do tego uczucie dziwnej trwogi. Lękał się czegoś, czego nazwać nie umiał, obawiał się każdej minuty zwłoki, jakby kto czychał na niego!

Po ostatniej rozmowie w altanie z Łucyą, był już pewny jej serca, już naprzód widział ją przy swoim boku, szukającą u niego opieki i serca.... Wywiązywały się ztąd rozmaite dramatyczne sytuacje, których był godnym bohaterem, a bohaterstwo to było dla niego w tej chwili bardzo słodkie, bo Łucya przy takim oświeceniu dojrzała już zupełnie do ideału! On ją już kochał na prawdę!

Tak cudownie wyglądała w altanie, gdy łzami zwilżone oczy na niego zwracała, lub gdy tym smutnym melancholijnym uśmiechem przyprawiała mu słowa tak proste i szczerze! Nie był to nawpół otwarty kwiat dziewiczy, ale była to już kobieta w pełni wdzięków z nieodpartym prawem do szczęścia, jakiego jej teraz wzbroniono!...

Miłość takiej kobiety chwyciła go gwałtownie za serce i targała rozkosznie jego struny. Było w tem coś bolesnego i rozkosznego zarazem, ale właśnie w połączeniu tych dwu uczuć było jakieś szczęście nadziemskie, o którym tylko w snach swoich mógł marzyć! A taką miłość obiecywała mu Łucya!

Nie mógł dłużej oprzeć się temu uczuciu, które go naprzód pchało. Postanowił śmiało postąpić naprzód, i w tym celu napisał ów list, który usłużna niemka obiecała doręczyć Łucyi.

Ody ujrzał, że list ten wraz z niemką już do małego domku zaszedł, uspokoił się na chwilę. Był to mały przystanek po dokonanej pracy. Mógł spocząć i z tego miejsca o dalszej swojej przyszłości pomyśleć.

Afekt ten dokonany nasuwał teraz jego rozognionej wyobraźni obrazy wielce zajmujące. Łucya miała już list jego w rękach. W tym liście wyrzeczono już ostatnie słowo, czy raczej pierwsze, które nową rozpoczynało fazę. Cicha, domyślna, tłumiona miłość już się skończyła, a rozpoczął się okres czynu. Tu trzeba już działać. Prawdopodobnie zażąda tego od niego Łucya. Cóż to będzie, czego ona zażąda? Może zapragnie ucieczki.... może bgdzie tentować dobrowolnej z mężem ugody.... może zresztą, jak kobieta, w takim razie nic nie zażąda, tylko całą sprawę jemu zostawi. Cóż on w takim razie uczyni? Najprzód weźmie ją pod swoje opiekę.... a jak słodką, jak rozkoszną będzie dla niego ta opieka!... Potem? — cóż potem? Któż może wiedzieć co potem nastąpić może? Może jaki epizod dramatyczny, a może tragiczny.... Któż to może odgadnąć?....

Takimi myślami skracał sobie teraz Wiktor cały czas poobiedni. Na ganek do pana Marka już nie poszedł, bo uważał za rzecz nieszlachetną udawać przyjaźń przed człowiekiem, któremu już jawną wojnę wypowiedział! Został w pokoju! przez okno tylko obserwował ruchy nieprzyjaciela.

Widział, że zaraz po wysłaniu biletu znikł pan Marek z ganku. Cóż to może być? Może list przejął? Ale nie. W takim razie byłoby w domku widać jakieś zaburzenie; tam zaś wszystko jest w porządku. Nawet przez otwarte okienko kuchni słychać znany mu dobrze głos niemki, która narodowe swoje piosenki wyśpiewuje. Żadna katastrofa nie mogła nastąpić!...

Cóż jednak robi Łucya? Prawdopodobnie czyta list jego. Zamknęła drzwi, a nawet zasunęła firanki. Jest to bardzo ważna tajemnica. Kobieta zwykle jak dziecko obawia się o taką tajemnicę. Obawia się nawet ptaszka, który żółtym dzióbkiem na wszystkie strony wykręca, jakby pismo chciał czytać!...

Łucya czyta list: twarz jej okrywa się coraz większym rumieńcem; oczy zaczynają palie się jak dwie pochodnie: pierś wznosi się i opada jak kipiąca lawa w kraterze wulkanu...

Wiktor widzi to wszystko, odczuwa sercem swoim! Jakże rozkosznie, jakże miło mu jest przy takim obrazie?... Cożto za szczęście taka miłość? Gdzież ją znajdzie w zwyczajnych warunkach życia?... Coż się dzieje z Łucyą po przeczytaniu tego listu? Oczywiście musi odbyć walkę wewnętrzną z tem wszystkim, co tam różne wzglę

dy światowe i przesady na zawsze utrwale chciały. Wszystko to musiało pierwej runąć, musiało ustąpić na bok jak stare sterane rupiecie i zrobić miejsce nowemu prądowi prawdziwego szczęścia, które każdemu człowiekowi się należy!...

Jakże piękną jest kobieta w takiej walce! Jaki urok bije wtedy od niej? Jak cudownie wygląda w tej chwili Łucya? Jakie uroczę będzie to szczęście, taką walką zdobyte!... Czyż takie szczęście można mieć w zwyczajnych warunkach życia? Takimi obrazami zabawiał się Wiktor w swoim pokoiku, gdy nagle przez szybę ujrzał zanego pedagoga, poważnym krokiem zdążającego do pana Marka.

Czego on chce? Po co on tam w tej chwili idzie? Może idzie w interesie swego pupila?... O! to się mocno rozczaruje! I owszem, im prędzej, tem lepiej!... Byle tylko w mojej sprawie co się nie popsuło!...

Tak mówił do siebie Wiktor i co chwila przecierał szybę, aby uwadze jego nic ujść nie mogło!

Pedagog bawił jakoś długo u pana Marka, a tymczasem nadszedł wieczór ciemny i wietrzny, bez gwiazd i księżycy, jakiego właśnie potrzeba było szczęśliwym kochankom.

Z nadejściem ciemności i tej szaty grobowej, która cały zakład nagle otoczyła, wzmogły się wszelkie doznawane teraz uczucia Wiktora. Wszystko to co go cieszyć lub trwożyć mogło, występowało teraz w grubych, wyrazistych konturach. Groźne obawy przybierały grozę spadających na niego brył kamiennych, rozkoszne nadzieje otwierały mu niebo, o jakim nawet we śnie nie marzył!...

Czy ona rzeczywiście go kocha? myślał sobie; czy przyjdzie na umówioną schadzke? Dlaczegożby nie przyszła?

Wszak na list nic nie odpowiedziała, a takie milczenie miało właśnie być oznaką, że przyzwala!... Niepodobna, aby listu nie otrzymała! Stary mąż byłby do tego czasu wyprawiał awanturę, cały domek trząsłby się od krzyku i wrzasku, a stara niemka nie wyciągałaby z taką koloraturą swoich ulubionych piosenek!... Zresztą, sam pedagog nie bawiłby tam tak długo w gościnie, gdyby w tym domu znana była katastrofa....

Rozumowanie takie uspakajało Wiktora, a po takim uspokojeniu następowały zaraz czarowne obrazy rozkoszy, jakimi miała go wynagrodzić tak wyjątkowa miłość!... Dlaczegoż nie ma go wynagro

dzie, jeżeli on na to zasłużył, bo poświęca się dla biednej, nieszczęśliwej kobiety, bo Łucyą kocha!...

I być może, że rzeczywiście kochał ją w tej chwili, bo serce jego na samo wspomnienie biło mu tak głośno, jakby pierś przebie chciało!...

Tymczasem ciemności na dworze zapadały coraz większe, coraz ciemniejsze chmury osiadały nad całym zakładem, a w domku pana Marka coraz słabsze migotać zaczęło światelko.

Wiktor odchylił okno i ostrożnie wyjrzał na świat, czy kogo tam nie zobaczy.

Na całej przestrzeni, którą mógł okiem ogarnąć, nie było nikogo. Spojrzał na zegarek: była jedenasta.

Jeszcze godzina! —pomyślał sobie i potarł ręką czoło.

Wtem jasny blask oślepił go nagle i zniknął. Spojrzał na niebo, było czarne jak kir grobowy. Za chwilę ozwał się huk ponury, jakby z pod ziemi.

Uśmiechnął się gorzko.

Niebo zazdrości mi dzisiaj mego szczęścia!—rzekł do siebie, i niespokojnym okiem zaczął badać czarne, wiszące nad zakładem chmury.

Niebo wyglądało w tej chwili rzeczywiście jakby zagniewane. Oblokło się w czarne, miejscami porozdzierane szaty, z pomiędzy których od czasu do czasu wymykał się jasny ogień błyskawicy: była to zapowiedź niemałej burzy.

Nie była to dobra wróżba dla kochanka. Sama obawa nadchodzącej burzy sprawiała na nim dziwne wrażenie. Tak blizki obraz szczęścia zaczął się w posępne oblekać barwy. Z każdą błyskawicą, z każdym coraz głośniejszym odzywającym się grzmiotem ciemniały te barwy, a natomiast wychylały się do niego jakieś niewyraźne, straszne potwory!...

Może nie przyjdzie do altany!—myślał sobie ogarniając rozpaczliwym okiem groźne niebiosy.

Tymczasem wzmagala się coraz więcej straszliwa muzyka niebios. Gwałtowny wiatr podniósł się nagle gdzieś z głębokich leśnych parowów i zaczął wściekle szaleć po konarach drzew; wciskał się w szpary drzwi i okien i jęczał żałośnie jak najęta na pogrzebie płaczka.

Coraz straszniej, coraz ciemniej robiło się na dworze; błyskawice padały coraz gęściej i coraz głośniejsz wtórował im grzmiot niedaleki!...

Coraz smutniej robiło się Wiktorowi, w sercu czuł coraz większą trwogę!...

Cóżto wszystko ma znaczyć? Czyż ta tak nie w porę pojawiająca się burza ma być tylko jedną trudnością więcej na drodze mego szczęścia? Czyż ma ona być próbą sił moich, mego uczucia? Maż i ona należeć do składu dramatu, który dzisiaj rozpocznie się dla mnie o północy?...

Tak mówił do siebie Wiktor, podczas gdy za oknem wiatr huczał, błyskawice się ścięły, grom padał po gromie, a stare drzewa trzeszczały, jakby były wiązką suchych gałęzi!...

Strasznie było na dworze. Deszcz lał jak z rynny, a unoszony wiatrem siekł po szybach pokoju, aż się z jękiem odzywały!...

Położenie kochanka było bardzo krytyczne. Co tu robie? Czy może ona wyjść w taką burzę na umówione miejsce? A czyż podobna nie pójść tam samemu? Kto wie, może się odważy i przyjdzie. Kobiety w takim razie mają wiele odwagi, a nawet bohaterstwa!...

Takimi myślami zajęty spojrzął na zegarek. Było trzy kwadranse na dwunastą: nie było co czasu tracie.

Wiktor zarzucił na siebie burkę, wziął na każdy wypadek rewolwer do kieszeni i cicho wymknął się z swego pokoiku.

Spojrzał najprzód na okna swoich sąsiadów: było w nich ciemno. Prawdopodobnie już spali; spojrzął na mały domek: i tam było ciemno... Powoli puścił się w drogę.

Droga do wymarzonego szczęścia nie była tym razem bardzo wygodna. Tłusta ziemia rozmokła na stopę, często trzeba było z wielką siłą nogi z grząskiego błota wyciągać; do tego trzeba było iść cicho i bez hałasu, co przy takim błocie i ciemnocie nie małym było zadaniem. Deszcz lał rzęsy a błyskawica oświecała bohatera od czasu do czasu, jakby palcem wskazała go chciała organom bezpieczeństwa publicznego.

Wszakże te trudności zwalczył szczęśliwie rozmarzony bohater, a porozumiawszy się po małej utarczce z psem kudłatym, który wejścia do domku bronił, przesadził szczęśliwie ostrokół i wreszcie stanął w upragnionej altanie.

W altanie nie zastał nikogo. Nie zraził się tem bynajmniej, gdyż jemu przystała rola oczekiwania. Postanowił czekać. Oczekiwanie w tak wyjątkowych warunkach, osoby ukochanej, było dla niego najrozkoszniejszym marzeniem. Czytając nieraz romans francuzki, w którym takie oczekiwanie stanowiło zazwyczaj osobny rozdział, przechodził wraz z bohaterem całą gamę odurzających rozkoszy! Szelest trawki, szmer liścia, przesuwanie się srebrnych księżycy promieni, wszystko to tworzyło dziwny akord muzyki, która uderzała o najgłębsze struny serca....

Dzisiejsze oczekiwanie jego nie miało tak wygodnych, romantycznych warunków. W altanie było ciemno jak w studni. Wyciągnął ręce, aby ławkę znaleźć.... ale zamiast ławki napotkał jakieś zimne jezioro wody, którą w obfitych strumieniach z liści winogrodu spływała! Cofnął rękę z niemiłym uczuciem. Zaczął nogą szukać jakiegoś twardego przedmiotu, na którym mógłby stanąć, ale i tam zawiódł się: jakaś bezdenne kałuża rozlewała się w około i w tej kałuży trzeba było stać i czekać!

Nie były to warunki wygodne i romantyczne, trzeba było od tej dżdżystej rzeczywistości schronie się do pałaców wyobraźni.

Wiktor przypomniał sobie prześliczny wiersz poety o „Oczekiwaniu.” Jakież cudowne tam obrazy! Jakże żywo bije serce kochanka pod wrażeniem tych obrazków! Z jaką tęsknotą śledzi oczyma każdą smugę bielszego światła, które przedziera się przez gęste drzew gałęzie!... Z jaką rozkoszą wsłuchuje się w każdy szmer trawki, słysząc w tym szmerze szelest sukni jedwabnej...

Nawet rozczarowania czekającego są tak rozkoszne, tak poetyczne, gdy mówi do siebie.

...Słyszę... słyszę... stuk jej chodu, W drzewach liście zaszumiały... Ach nie!.. To tylko owoc dojrzały Spadł w głębi ogrodu!

Albo to zwodnicze majaczenie;

...Widzę... widzę... biały rąbek, To pewnie jej biała szata! Ach nie!... To biały gołąbek, Śród ciemnych ulic przelata!...

Jakże rozkoszne jest takie Szyllera „oczekiwanie,” wśród którego slychać spadający w ogrodzie owoc z drzewa, widać białego gołąbka przelatującego przez ciemne aleje ogrodu!... Wiktor nie miał tego wszystkiego w tej chwili. Miał tylko deszcz rześisty i zimny nad sobą, miał jezioro biota pod nogami; a prócz plusku wody i wycia wiatru nic innego nie słyszał!

Nie tracił jednak odwagi i wśród tak niewygodnych warunków postanowił dalej czekać.

Chciał sobie ten czas tak długi skrócić różnemi myślami. Myślał o tem, co ona w tej chwili robi. Zapewne czuwa patrząc rozpaczliwym okiem na zagniewane niebiosy, kiedy się ulitują i deszcz z płomieniem miotać przestaną? Serce jej bije gwałtownie... Przykłada rękę do tego serca... wzdycha i w ciemną noc patrzy z rozpaczą, czy nie ujrzy gdzie jakiego przesuwającego się cienia!... Ale wkoło pusto i ciemno... bicie serca wzmaga się coraz więcej, myśl rozkoszna, że może on tam czeka... wśród burzy i deszczu... przyśpiesza jeszcze więcej to bicie... ogarnia ją niewysłowione pragnienie... zarzuca na siebie chustkę... wypada na ogród... nie czuje ni burzy, ni błota... lotną stopą jakby na skrzydłach różanego bożka przebiega wodą zalaną aleję i... i zbliża się do altany... już jest niedaleko... już slychać jej oddech przyśpieszony....

Tak żywo zamarzył sobie w tej chwili Wiktor, że zdawało nui się, że to nie jest marzeniem, ale najprawdziwszą rzeczywistością...

Jakoż w samej rzeczy usłyszał coś w tej chwili. Nie było ów wymarzony skrzyp trawki, ani ów czarodziejski szmer listka na drzewie, ani nawet tak rozkoszny szelest sukni jedwabnej, który w takich razach czekającego kochanka tak rozkosznie upaja...

Było to bardzo zwykłe i prozaiczne ciapkanie po błocie... Ale w dzisiejszych warunkach inaczej być nie mogło. Trawa mokra nie mogła szeleścić, jedwabnej sukni na deszcz żadna bohaterka nie bierze, a drobne nóżki zapadające w rozmokłe błoto, nic mogły wydawać onego rozkosznego szmeru, który w takim razie tak miło w ucho uderza!... Wiktor był wyrozumiały na tak odmienne warunki, w jakich zbliżał się do niego wymarzony ideał w tej chwili... Zaparł oddech w piersiach i wytrzymał ucho... ciapkanie po błocie słychać było coraz bliżej... widocznie ktoś aleą zbliża się do altany... serce bije mu głośno w piersiach... nikt inny jak ona!

Zapomniał o deszczu i błocie... wytrzymał wzrok w kierunku, z kąd było słychać owe tajemnicze ciapkanie... i zdawało mu się, że już ją widzi!

Tak... niezawodnie, to ona! Cała ubrana w bieli!... To najwłaściwszy kolor kobiecy...

I coraz wyraźniej widzi białą postać zbliżającą się do altany... przyłożył rękę do serca, aby z piersi nie wyskoczyło z wielkiej rozkoszy!...

Biała postać widocznie walczy z jakieraisi przeszkodami... Zgina się do ziemi i znowu prostuje. Obchodzi głębsze jeziora wody Jub w nie z pluskiem wpada... przytem słychać szmer jakichś słów, które z jej ust wychodzą i z szalejącym wiatrem w dziwną wiązą się raelodyą...

Wiktorowi już tchu niestaje... oddycha ciężko i głęboko... biała postać już jest blisko... już zbliża się do altany... słychać nawet jej oddech przyśpieszony...

Wiktor odetchnął głęboko i otworzył ramiona... biała postać zrobiła to samo... i długi, milczący uścisk połączył razem dwoje szczęśliwych ludzi!

Pierwsza przyszła do siebie biała postać. Odsunęła się na krok od Wiktora i zawołała:

— Któż to taki? do kogo? Wiktor poznał głos Lucyana!

— Tam do diabła!—krzyknął.—Co tu pan robisz Lucyana był w białym, gumowym płaszczu.

— Co ja tu robię? odparł gniewnie—ja to jestem w prawie zapytać pana, co tu robisz?

Złość i gniew ścisnęły Wiktora za gardło. Zatrząsł się i przez chwilę nie mógł słowa wymówić

— Co ja tu robię—krzyknął po chwili—co ja tu robię, chcesz pan wiedzieć? Zkąd masz prawo do tego?

Lucyan postawił się butnie.

_ Prawo to— odrzekł—mam od kobiety, którą kocham i która mnie kocha!

— Ona pana kocha!

_ Tak, mam na to dowody.

_ Oszalałeś młody człowieku

— Bynajmniej

— Lucyana kocha?

— Lucyana kocha! Wiktorowi krew uderzyła do głowy.

— Słuchaj młodzieńcze—rzekł chrypliwym głosem—mam oto w ręce rewolwer... proszę cię odejść, odejść prędko, bo cię nim jak psa zastrzelę!

W tej chwili poczuł Wiktor przy piersi zimne żelazo.

— Mam broń taką samą—zawołał Lucyan—i moge pana uprzedzić, jeżeli natychmiast mi się nie ustąpisz!

Dwaj rywale stali tuż przy sobie z bronią wyciągniętą. Burza łamała nad nimi drzewa, deszcz lat strumieniem, a z czarnych chmur wylatywały ogniste wężyki, po których zaraz straszliwy grom huczał przeraźliwie...

Była to scena prawdziwie romantyczna... Straszna nastąpiła pauza. Przy dwu cynglach były dwa palce, a najmniejszy ruch... i cały dramat byłby się zakończył. W tej chwili oblała ich jasna smuga światła... Zrazu myśleli obaj, że to błyskawica... ale to nie było światło piorunowe. Wychodziło ono z małej blindowanej latarki, którą w tej chwili otworzył trzeci towarzysz!

Trzeci tego dramatu towarzysz miał czarną burkę z kapiszonem. Kapiszon okrywał: mu głowę tak, że tylko parę błyszczących oczu można było widzieć...

Dwaj adwersarze cofnęli się od siebie, bo przybycie trzeciego świadka było tak nienaturalne! Nie słyszeli nawet jego kroków; zdawało się, że nagle z pod ziemi wśród deszczu i burzy wyrósł!..

Tymczasem trzeci towarzysz spokojnie postawił latarkę na stole i odsunął z twarzy przemokły kapiszon.

Obaj zapaśnicy skamienieli prawie z zadziwienia. Przybyły trzeci towarzysz nie był to nikt inny, jak tylko zacny pedagog JPan Doroteusz Wierzba.

Odsapnąwszy należycie i otarłszy z brwi wodę, która z mokrego kapiszonu strumieniem się lała, ozwał się pomiędzy błyskawicą a piorunem:

— Tam do kata! Nie spodziewałem się, że w tak skromnym ustroniu będę świadkiem tak wspaniałego dramatu! Dobrze, że w sam czas przyszedłem!

Nastąpiła dłuższa pauza. Wiktor nie mógł dobrze objąć tego, co się stało; było to tak różne od tego, czego się tutaj spodziewał. Nie przeszło mu ani na myśl, aby rzeczy taki obrót wzięły. Przypuszczał różne katastrofy, przypuszczał pojedynki, wykradzenie, ucieczkę, czuł nawet zapach trupa; ale nigdy nie przypuszczał, aby w najdramatyczniejszej chwili katastrofy zjawił się nagle nieznany dotąd rywal i arcyważny zacny pedagog z dwoma sińcami pod lewym okiem! Takiego zwrotu nigdy się nie spodziewał. Wyglądało to jakby na ironię tych wszystkich rozkosznych marzeń, których tyle wysnuł z swojej duszy na temat tak wyjątkowy!

Nagle jednak oprzytomniał. Przypominał sobie, że Lucyan rościł sobie prawo do Łucyi pod pozorem, że ona go kocha! Tak nikczemne uroszczenie należało skarcie i bezczelnemu młodzieńcowi należyte miejsce wskazać.

Już chciał groźne młodzieńcowi rzucić zapytanie, gdy zacny pedagog go uprzedził.

— Przewidywałem coś—ozwał się—ale nie przypuszczałem, że aż do tego przyjdzie! Cóżto, w ciemnej nocy, Śród deszczu i grzmotów stoicie przeciw sobie z bronią nieuczciwą! Cóż to znaczy?

— Najpierw zostawiam słowo temu oto młodzieńcowi—rzekł Wiktor i podniesiony rewolwer spuścił do ziemi. Lucyan uczynił to samo.

— Ja jestem tutaj w prawie!—mruknął gniewnie.

— Pan jesteś... w błędzie! Osoba która mi dała prawo przyjść tutaj o tej porze, jest męzatka!

Lucyan zmieszał się,

— A jeżeli jest męzatka—odparł po chwili—to jakież prawo masz pan przybywania tutaj o tej porze?

Zacisnął zęby z gniewu Wiktor i odrzekł:

— Pan jesteś jeszcze za młody, abyś mógł moje prawa zrozumieć. Są pewne wyjątkowe sytuacje w życiu ludzkim, w których rządzą takie prawa wyjątkowe?...

— Więc pan miałbyś te prawa wyjątkowe

— Tak, młody człowieku!

— A gdybym ja także otrzymał takie same prawa wyjątkowe?..

— Co pan mówisz! Pan nie możesz ich mieć

— Dlaczego?

— Bo do tego trzeba zgody trzeciej osoby!

Poczerwieniał na twarzy Lucyan i odparł:

— A jeżeli zgodę tej trzeciej osoby posiadam?

— Kłamiesz młodzieńcze!—krzyknął Wiktor.

— Nie kłamię! Mam na to dowody.

— Jeżeli nie dowiedziesz, to kula!

I sześciostrzałowy rewolwer zabłysnął znowu w świetle latarki.

— Hola!—zawołał pedagog, stając między nimi.—Sprawa jest tak powikłana, że do wyroków jeszcze bardzo daleko. Mówiliście tu o prawach do pewnej młodej kobiety; ciekawy jestem słyszeć coś o tych prawach. Najprzód powiedz mi pan, panie Wiktorze! Jesteś starszy i masz prawo pierwszy mówić!

Wiktor zamyślił się. W myślach, w marzeniach jakoś to inaczej wygląda, niżeli tak... w chłodnej rozmowie, wśród deszczu i błota... Po niejakiu pauzie zaczął:

— Przypadek zbliżył mnie do młodej kobiety, której położenie jest wyjątkowe. Z tego zbliżenia wyniknął pewien także wyjątkowy między nami stosunek sympatii wzajemnej. Ponieważ zaś jestem tego zdania, że kobieta w tak wyjątkowym położeniu ma prawo do wrażeń, jakich jej serce pragnie, i nie zrzeka się tego prawa nigdy, chociażby akt notaryalny podpisała lub na stopniach ołtarza przysięgła... stosunek więc nasz sympatyczny przeszedł z wszelkiem prawem w uczucie miłości...

— Więc pan kochasz się w tej wyjątkowej kobiecie?—dodał zacy pedagog zapytanie uzupełniające.

— Tak jest, kocham ją!—odparł z powagą Wiktor.

— A ona?

— Ona, o ile w takim razie serce, oko i słowa nie mylą, ona... także mnie kocha.

Nastąpiła dłuższa pauza, zacy pedagog użył tej pauzy, aby z brwi swoich skierować potok wody na inne więcej dogodniejsze miejsce.

— A teraz—rzekł po chwili, zwracając się do Lucyana—teraz powiedz mi zacy młodzieńcze, z kąd wzięłeś sobie prawo do tej młodej kobiety?

Lucyan zmieszał się; kręcił czas niejaki połą gumowego płaszcza, jakby wodę chciał z niego wyzyskać, a potem odrzekł:

— Myślałem że Lucya jest córką...

— Naturalnie—odparł zacy pedagog—inaczej być nie mogło!

— Otóż Lucya bardzo mi się podobała.

— Już mi o tem mówiłeś!

— Ponieważ nie miałem innego sposobu z nią, się porozumieć, bo stary zawsze był na przeszkodzie, napisałem wigg dzisiaj list do niej!

— List?

— List napisałem i kazałem go włożyć do koszyka z włóczką...

— I cóż dalej?

— Przez nieznanomego mi posłańca odebrałem odpowiedź!

— Od kogo?

— Od Łucyi!

— Nieprawda! Kłamiesz pan! To być nie może!—krzyknął Wiktor głośniejszym głosem od grzmotu, który w tej chwili rozległ się nad altaną.

Młodzieńcowi uderzyła krew do głowy!

— Jaki?—zawołał z oburzeniem—ja kłamię? Oto jest list! Czytaj pan!

I list woniejący fiołkami podał zacnemu pedagogowi, któremu w tej chwili zalał oczy obfity strumień wody, spadający z winogrodu.

Otarłszy oczy przysunął zacny pedagog latarkę do siebie i zaczął czytać;

„Panie Lucykanie! List pański, mogłabym powiedzieć przyszedł wcześniej albo zapóźno. Tak, te dwa wyrazy malują dobrze moje położenie...

„Jestem mężatką. Lekkoomyślnie zawarty ślub wtrącił mnie żywcem do grobu, z którego mogę tylko wzywać litości przechodzących.

„Czy mam prawo do tego głosu? Niektórzy zaprzeczają kobiecie tego głosu, ale w sercu naszym mieszka inny sędzia, nasz wielki obrońca, który głośno powiada: że mamy prawo!

„Tak jest, serce kobiecie ma prawo uczuć i prawo wrażeń, choćby tysiąc razy na stopniach ołtarzach przysięgała.

„Czemże bowiem jest ta nasza przysięga? Często jest lekkoomyślną, gdy jeszcze świata i siebie nie znamy, a często jest ona spokojnym krzywoprzysięstwem, bo zbieg okoliczności, bo przesady świata zmuszają nas do tego!

„Kobieta posiada więc nie przedawnione prawo uczuć i wrażeń... jako prawo jedyne szczęścia swego.

„Rzucona do grobu pragnęłam żywszego wrażenia... i przyznam się panu jak na spowiedzi, że memu pragnieniu stało się zadość.

„Zbliżył się do ranie człowiek, na widok którego serce moje rozkosznie drgnęło... człowiek, w oczach którego dostrzegłam że mu obojętną nie jestem!...

„Tym człowiekiem jest znany pański towarzysz Wiktor

„Jestem szczerą. Gdyby przy tym człowieku pana nie było, gdyby on tylko jeden był w tej chwili przy mnie, serce moje pozostałoby mu wierne na zawsze może!...

„Ale inaczej chciały nieba. Między nim a mną stanęł pan jak cień złowieszczy... i im więcej walczę z sobą w interesie pierwszego mego wrażenia, tem słabszą jestem, tem ponętniej pociąga mnie ku sobie wrażenie drugie...

„Długo się namyślałam, czy mam panu o tem powiedzieć; przypomniałam jednak sobie słowa pana Wiktora.

„Pan Wiktor powiedział mi wyraźnie, że serce kobiece ma prawo do uczuć i wrażeń, że uczucia i wrażenia tego serca są dla kobiety jedynym dogmatem!...

„Otoż czyż tych słów nie mogę teraz zastosować? Wrażenie jakie na mnie sprawił pan Wiktor było przyjemne, ale przyjemniejszego doznaję wrażenia jeżeli... myślę o panu!

„Tak więc, panie Lucykanie, jesteśmy na dobrej drodze. Mogę teraz powiedzieć, że nie zapóźno ani wcześniej! Pan Wiktor nie powinien się gniewać za to, co on sam za dogmat postawił.

„Reszta do osobistego widzenia się. Dzisiaj o godzinie dwunastej czekam pana w altanie... Ciebie tylko jednego kochająca teraz, Łucya."

Tutaj kończyło się pismo. Zacny pedagog wydłużył swoje twarz, otworzył usta i patrzył na Wiktora. Wiktor miał oczy w ziemię spuszczone i bawił się rewolwerem. Lucyan z pod oka patrzył na niego z uśmiechem szyderskim.

Niedoczekawszy się od Wiktora żadnej repliki na ten list tak jasny i stanowczy, ozwał się pedagog:

— Ponieważ jest wielkie prawdopodobieństwo, że bohaterka na umówione miejsce się nie stawi, poczęści dla błota i deszczu a poczęści dla innych ważniejszych powodów, otóż możemy o tym liście trochę z sobą pomówić. Cóż pan na ten list powiadasz, panie Wiktorze? Wiktor milczał.

— W liście tym jest logika—mówił dalej zacny pedagog—bo jeżeli jest jakie prawo, to musi być ono bezwzględne! Coż pan powiesz?

Wiktor milczał. Zacny pedagog mówił dalej:

— Pan oparłeś swój afekt na prawie serca kobiecego, któremu nie wolno uczuć i wrażeń zabraniać, chociażby przedtem było jakim aktem światowym związane. Otoż to samo serce, na tem samem prawie oparte, domaga się nowych uczuć i przyjemniejszych wrażeń od wczorajszych. Czy jest w tem logika?

Wiktor milczał.

— Jest logika—mówił dalej zacny pedagog—a w takim razie Lucyan miał wszelkie prawo do schadzki dzisiejszej w altanie z tą wyjątkową kobietą!...

Wiktor zgrzytnął zębami: Lucyan uśmiechnął się złośliwie.

— Taż sama wyjątkowa kobieta—prawił dalej zacny pedagog—miałaby również prawo żądać podobnej schadzki jutro z trzecią osobą, gdyby ta osoba wśród tego czasu sprawiła na niej przyjemniejsze od dzisiejszego wrażenie. Byłoby to także logicznie, stosownie do objawianych przez pana zasad! Cóż pan na to wszystko?

Wiktor milczał ciągle. Wiatr szumiał i huczał, a gałęzie drzew spadały z trzaskiem na ziemię.

— Jest jednak ratunek dla pana—mówił dalej z uśmiechem zacny pedagog—oto między wyjątkową kobietą a Lucyanem stało się małe nieporozumienie. On ją wziął za pannę, a ona tymczasem jest mężatką! W takim razie rywal pana znika! Nieprawdaż Lucyauie?

Lucyan zrobił jakiś ruch gorączkowy, jakby chciał terna zaprzeczyć, ale po chwili namyślił się i umilkł. Zacny pedagog patrzył na niego z uwagą. Po jego twarzy przemknęło jakieś uczucie nieprzyjemne. Odwrócił się szybko od latarki!

— Tak jest—mówił dalej—Lucyan pomylił się, więc nie masz pan rywala: wolna przed panem droga!

Lucyan milczał osłoniwszy twarz kapiszonem. Wiktor milczał także, wśród wichru i łomotu gałęzi słychać było jego oddech ciężki i chrypliwy.

Nastąpiła dłuższa pauza.

— Jeszcze jedno zachodzi tutaj pytanie—ozwał się znowu zacny pedagog—dlaczego, Lucyanie, przyszedłeś tutaj, skoro dowiedziałeś się z listu, że Lucya niejest panną ale mężatką?

Skręcił się Lucyan.

— Przyszedłem dlatego—wykrztusił po chwili—bo chciałem jej powiedzieć moją pomyłkę!

Zacny pedagog nie spojrział teraz na młodzieńca.

— Wierzę—odrzekł z powagą—że to chciałeś uczynić: inaczej być nie mogło.

I znowu nastąpiła dłuższa pauza. Zacny pedagog patrzył na jednego i drugiego, a na poważnej twarzy jego igrał jakiś uśmiech, o którym trudno było powiedzieć, czy w nim więcej było zadowolenia czy złośliwości połączonej z tryumfem...

— Nateraz—ozwał się po niejakiem czasie—skończmy nasze konferencyą, bo miejsce strasznie jest niewygodne! Jutro pomówimy więcej o tem!

Obaj adwersarze zgodzili się na to, bo i tak nie było czego w ogrodowej altanie wyczekiwać: nastąpił więc odwrót do domu.

Jakże smutno wyglądał ten odwrót z wyprawy tak romantycznej dla obu bohaterów! Zaczynał pedagog zamknął latarkę, a zaraz kilka kroków od altany zanurzył się Lucyan, prawie po kolana, w jakieś nieznane mu dotąd jezioro. Nie lepiej powodziło się Wiktorowi, zaplątał się w jakieś krzaki z kolcami, i tylko nastrój dramatyczny umysłu przeszkodził, aby na całe gardło z boju nie krzyknął. Jeden tylko pedagog szedł krokiem odmierzoną, szedł prostą linią, nie zważając czy woda czy błoto, czy agrest lub porzeczeki. Niósł z sobą dobre sumienie, że coś dobrego działo się, a to wynagradzało mu drobne powszedniego życia nieprzyjemności. A gdy się wszyscy do ostrokoła zbliżyli i zgodnie orzekli, że w tym miejscu jest na zwykłe siły ludzkie za wysoki, zaczął pedagog dać z siebie przykład szlachetny i wysoki ostrokół z należytą powagą najpierwszy przesadził.

Tak zakończyła się niebezpieczna katastrofa, o której śpiąca w tej chwili Łucya, najmniejszego nie miała przecucia. Przeciwnie miała sny piękne i szczęśliwe: widziała we śnie czarną ziemię podolską, widziała dworek biały z gankiem... i widziała jeszcze kogoś, którego nawet po chrzestnym imieniu nazywała!...

Gdy Wiktor do swojej izdebki powrócił, i zmoczoną do ostatniej nitki burkę z siebie zrzucił, zdawało mu się, że się przebudził z jakiegoś snu strasznego. Nie mógł uwierzyć, aby to co przeżył, było rzeczywistością. Obrazy, które mu w pamięci zostały, były zbyt fantastyczne, aby w nie uwierzyć. Łączyło się jeszcze z nimi jakieś uczucie tak nieprzyjemne, tak wstrętne, że nawet w tej chwili nie umiał stosownego dać mu nazwiska.

A jednak wszystko to było prawdą: zmoczona burka, zabłocona i przemokła odzież przekonywały go dostatecznie o tej prawdzie.

Tak, wszystko było prawdą!

Trzeba było teraz to wszystko uporządkować i dobrze się nad tym zastanowić, jaka w tej chwili była jego sytuacja.

Sytuacja ta nie była do pozazdroszczenia. Najprzód rozgrzał serce swoje marzeniami, które go do Łucyi przywiązały daleko silniejszymi więzami niżeli się sam spodziewał. Myślał o niej tak długo, pieścił się w duszy jej obrazem, pochłaniał jej słowa i wejrzenia, aż w końcu spostrzegł, że weszła mu do serca i tam miejsce na zawsze zajęła. Kochał już ją i zdawało mu się, że bez niej niemożliwe jest dla niego żadne inne szczęście. Szczęścia tego nie widział już nigdzie!

Czuł to wyraźnie przed godziną, gdy w tak rozkosznych nadziejach na tajemniczą wybierał się schadzki; czuł to samo i w tej chwili gdy z tej niefortunnej wycieczki tak rozczarowany powrócił!...

Sytuacja jego zmieniła się zupełnie, ale w głębi duszy odzywało się coś, co mu wielki żal sprawiało, że się tak stało a nie inaczej!

Wprawdzie kobieta, którą kochał, sprzeniewierzyła mu się; serce do którego rościł sobie prawo, odwróciło się do innego w chwili, która miała być szczytem jego szczęścia!...

Największą dla niego boleścią było, że kobieta, która się od niego w tej chwili odwróciła, odwróciła się na podstawie tego samego prawa, jakim on się do niej przybliżył! Była w tem smutna, straszna logika! Wmówił w nią, że ona ma prawo do uczuć i wrażeń poza granicą lekkomyślnych przysięg i przyrzeczeń, a ona użyła tej samej broni, aby się od niego odwrócić a do innego zbliżyć, który w tej chwili lepiej się jej od niego podobał!... Ta straszna logika była dla niego bardzo bolesną, ale była prawdziwą! Musiał ją uznać i musiał sam sobie przyznać, że na kruchej bardzo zasadzie zbudował szczęście swoje!... Szkoda, wielka szkoda, że na takim gruncie budował swoje szczęście! Jakby to inaczej wszystko wyglądało teraz, gdyby ten grunt był inny.... gdyby Łucya nie była ową wymarzoną przez niego kobietą w warunkach wyjątkowych, ale gdyby była poprostu złą i zacie kochającą dziewczyną!... Jakże jasne i pogodne byłoby wtedy jego szczęście? Czuje wyraźnie, żeby ją kochał i bez tych akcesoriów dramatycznych, o jakich dawniej marzył! Czuje, że w takich warunkach byłby szczęśliwy, szczęśliwszy niżeli przedtem, gdy myślał do niej iść przez kręte drogi, przez pojedynek, krew lub trupy!... Ale to wszystko przepadło! Łucya jest mężatką, a ta mężatka pobiła go na własnym jego polu, na którym chciał być bohaterem! Boleść i wstyd szarpały naraz jego sercem. Bolało go, że inaczej szczęścia swego nie budował, a wstyd mu było, że został pobity własną swoją bronią, którą chciał przeciw drugiemu walczyć!... Sytuacja smutna i bolesna. Nie ma innego z niej wyjścia, jak spuścić ze wstydu oczy i zniknąć z miejsca, na którym odegrało się tak smutną rolę! Takimi myślami zajęty był nieszczęśliwy bohater, gdy na czarnym sklepieniu nieba pojawiła się od wschodu biaława smuga światła: westchnął i zmęczony tak bolesną walką z samym sobą, rzucił się na łóżko. We śnie czekała go kara jeszcze srozsza. Śniła mu się jego czarna podolska ziemia: bujne kłosa falowały dokoła, kędy wzrok dosięgnie; tu i owdzie z parowu błyszczał potok i ginął w zaroślach: na niebie żeglowały białe, nastrzępione chmurki.....

Na tem tle cudownem widział swój biały dworek. Przed dworkiem był gazon seledynowy, a na nim porozrzucane bukiety róż, tulipanów i hiacyntów.... Wszędzie był porządek i ład przyjemny. Ścieżki wyglądały jak szare wstęgi starannie rozwożone. Na starej gruszy zbudował sobie bocian swoją forteczkę, i tam zakładał: swój dom rodzinny, w którym według odwiecznych tradycji miał dla świata wychować młode pokolenie.... Wszystko to we śnie widział Wiktor i smutno mu było, że tego wszystkiego z ukochaną osobą nie może podzielić!... Na to usłyszał śmiech wesoły, śmiech srebrny; a gdy za tym śmiechem się obejrzał, zobaczył za sobą sympatyczną twarz Łucyi, która mu figlarnie różowym paluszkiem groziła.... — Niewdzięczny—mówiła do niego—czy tu byłby we wszystkim taki ład i porządek, czy to wszystko byłoby tak miłe i rozkoszne, gdyby mnie tutaj nie było?.... Serce Wiktora zadrżało z rozkoszy, wyciągnął rękę, aby wesołego swego aniołka do serca przygarnąć.... gdy nagle poczuł w dłoni jakieś zimno przesywające.... Otworzył oczy.... i zobaczył przed sobą poważne oblicze zacnego pedagoga, który rękę na jego ramieniu trzymał. — Tam do kata! Ósma godzina!—zawołał zacny pedagog—robotnicy na polu już do śniadania siedli! Wiktor zerwał się i przetarł oczy. Do pokoju świeciło przez szyby jasne, jarkie słońce; niebo było błękitne, ani chmurki żadnej nie widać w przezroczu: cisza i pogoda, że aż miło! Wiktor przetarł jeszcze raz oczy. Jakieś czarne, niemiłe widma nie chciały się jeszcze od nich oderwać. A na świecie tak pięknie słońce świeciło, tak rozkosznie było w powietrzu!... Nigdzie ani śladu wczorajszej burzy! Nawet błoto gdzieś znikło, jakby go nigdy nie było! — Czy to był sen straszny?—pytał siebie Wiktor. Nie, to nie był sen! Dowodem tego, niestety, była poważna twarz zacnego pedagoga, która teraz składała się do znanego mu dobrze uśmiechu.... Wiktor znał ten uśmiech: widział go wczoraj przy czerwonym świetle latarki.... Spuścił oczy jak winowajca.

— Jakże tara, panie Wiktorze, z tą miłością wyjątkową? — zapytał zacny pedagog z nieokreślonym uśmiechem. Wiktor machnął ręką, ale nic nie odpowiedział.

— Niewygodna taka miłość! — mówił dalej pedagog, wpatrując się z uwagą w twarz Wiktora. Wiktor milczał.

— Lepsza taka, która prostą drogą do ołtarza prowadzi! — dodał po chwili zacny pedagog! Wiktor westchnął.

— Co tam o tem już mówie! — odparł — szkoda kilku marzeń przyjemnych!

— Dlaczego szkoda?

— Bo... bo jest pozycya bez wyjścia.

— A gdyby Łucya była... córką pana Marka?

Wiktor spojrział na pedagoga z jakimś radosnem przeczuciem.

— Córką?—powtórzył, a serce zadrżało mu w piersi. Przypomniał sobie sen dzisiejszy.

— Tak, córką najprawdziwszą, co słowem honoru pocziwego człowieka zaręczam!—mówił dalej pedagog. Wiktor wyskoczył z łóżka równemi nogami. Po chwili posmutniał i spuścił głowę.

— Stałem się śmieszny!—odrzekł—nie ma dla mnie ratunku!

— A gdyby ona o liście pana nic nie wiedziała? — rzekł po chwili pedagog.

— Ona nic nie wiedziała?

Zacny pedagog rozwinął tutaj papier i podał go Wiktorowi: był to jego list.

— Ten list—mówił przytem—znalazłem w koszyku pod włóczką, gdzie go jakiś niezręczny posłaniec ulokował. Domyśliłem się wszystkiego i wziąłem go!

Wiktor rzucił się na zanego pedagoga.

— O! mój zacny przyjacielu! — zawołał, lecz nagle urwał i posmutniał.

— Cóż tam znowu?—zapytał pedagog.

— Jeżeli Łucya jest córką pana Marka — mówił powoli Wiktor —to w takim razie mam w Lucyanie szczęśliwszego rywala!

Chmura smutku osłoniła poważne oblicze pedagoga, zrobił ręką jakiś ruch tragiczny i odrzekł:

— Nie wierz pan temp! Ten szparag gołobrody chciał romansować... z mężatką!

— Z mężatką!

— Tak.... to był wpływ owych pięknych rzeczy, czerpanych z literatury francuzkiej, która obfituje w sytuacje podobnego rodzaju!....

— To być nie może!

— Zaraz się przekonasz!

Pedagog zadzwonił i kazał służącemu zawołać Lucyana. Za chwilę zjawił się Lucyan.

— Mam dla ciebie dobrą nowinę — rzekł do niego z powagą zacny pedagog,—Łucya... nie jest mężatką, ale... panną i córką rodowitą pana Marka!

Lucyan poczerwieniał na twarzy.

— Jakże?—odparł—przecież list jej....

— List ten ja pisałem — a tu... masz swój świstek, który przed Łucyą wpadł w moje ręce.

Lucyan stał cały w płomieniach.

— No i cóż chcesz robie? — pytał dalej nieublagany pedagog — ojciec mówił, abym nie brał ci tego za złe, jeżeli serce twoje w czemś sobie upodobało....

Lucyan zbladł i znowu zarumienił się. Kręcąc kapelusz w ręku, odrzekł półgłosem:

— Przez noc namyśliłem się już inaczej... teraz zapóźno! Chcę ztąd wyjechać!....

Smutek i zmartwienie wybiły się na poważnej twarzy zacnego pedagoga. Mrugnął do Wiktora lewym okiem, jakby mu chciał powiedzieć;

— A widzisz? Nie mówiłem?....

Uśmiech zadowolenia był na to odpowiedzią ze strony Wiktora. W tej chwili rumiana, pyzata twarz pojawiła się na szybie w oknie.

Była to poczciwa uśmiechnięta twarz pana Marka.

— Dzień dobry, panie Wiktorze! — wołał przez szybę, aż szkło zabrzgkło— a cóż tam znowu spać tak długo! Słonko boże świeci, pogoda aż miło, powietrze pachnie jak ambra.... Proszę wstawać!....

Wiktor rzucił na siebie burkę i zbliżył się rozpromieniony do okna, aby wczorajszemu wrogowi jak najserdeczniej dzień dobry powiedzieć i przecie serdeczniej go uściskać.

On ścisnął w tej chwili ojca Łucyi....

— Ułożyliśmy z Łucyą wycieczkę w góry — mówił dalej poczciwy pan Marek — wzięliśmy z sobą prowizyą.... może panowie z nami pójdziecie?....

Wiktor głośnym aplauzem przyjął tak rozkoszną dla siebie propozycyą; zacny pedagog oświadczył z należytą powagą, że od tak przyjemnego towarzystwa wymówie się nie może... tylko jeden Lucyan oświadczył, że ma dzisiaj migrenę!

Na tem kończy się filozofia bezprawia, a co poza nią teraz nastąpie może, to będzie rzeczą prawie powszednią, ale bodaj czy nie najlepszą!

Można już teraz z całą słusznością wnosie, że ta wycieczka w góry przy takiej pogodzie, nie pozostanie bez wpływu na dalsze losy Łucyi i Wiktora, i że sen jego dzisiejszy stanie się wkrótce rzeczywistością!

* *

Jedno jeszcze pytanie: czy pan Marek wydawszy zamąż tak szczęśliwie jedne z pięciu córek, wynajdzie jeszcze jaki sposób, aby to samo z innymi uczynie?

Jeżeli się autor o tem dowie, nie zaniedba podzielić się tem z ła skawym czytelnikiem.

Do widzenia!

Warszawa, czerwiec, .

Koniec

POSAG

Powieść

Przez
Jana Zacharjasiewicza.

I.

Domom Warszawy nakazano przywdziać nowe sukienki. Jakkolwiek rozkaz ten miał na celu upiększenie miasta, nie wszystkim jednak właścicielom przypadł do smaku. Jednym żal było naruszyć uskładanego, grosza, inni nie mieli z czego naruszać. Mimo to wszystko domy zaczęły się stroić jak kobiety w szaty godowe, jedne z nietajoną kokieterią marząc o gościach i lokatorach dostojnych, drugie ubierały się ze łzami w oczach, jak na ślub ubiera się panna młoda, której serce marzy o innym.

W jaskrawe szaty przybrał się jeden dom przy ulicy Mostowej. Właściciel domu niski, szpakowaty, kwadratowej postaci mężczyzna, stał właśnie na ulicy, patrząc na ukończone dzieło malarza.

I w rzeczy samej było na co patrzeć. Dom dwupiętrowy o czterech oknach frontowych, był wymalowany na czerwonożółtawy kolor, miał prócz tego popielate gzemsy i dolny szlak jasnoszafirowy.

Właściciel domu z dumą przyglądał się dziełu swego pomysłu, a był jeszcze dumniejszy gdy sobie przy

pomniął, że pomysł ten przyprowadził do skutku mimo wojny domowej, jaką z tego powodu przeżyć musiał.

— I niechże mi kto powie, mówił do siebie, że to cudownie nie wygląda. Ściany jak żółtko na twardo ugotowane, gzemsy jak perły zamorskie, a szlak dolny jak pas słucki u kontusza! Spadł tylko na dół, bo też dzisiaj i brzuchów dawnych niema!

— A co panie Izajaszu, zauważył sąsiad rybak z zawodu, z krótką fajeczką w zębach — kamienica wasza wiścej bryluje, niżeli zamek królewski!

— Ba — odparł pan Izajasz.

— Farba droga! Żółtoczerwona!

— Nieszczędziło się pieniędzy! Ale zato niech mi się zjawi lokator do tych dwóch pokojów! Musi zapłacić za farbę, za malarza i za moje kłopoty, które miałem z żoną i córką.

— Z żoną i córką ?

— Tak jest z żoną i córką! Wyobraźcie sobie, Tomaszu, córka moja powiada, że to kolor obrzydły, że w takim domu niegustownie pomalowanym nawet wstyd jest mieszkać. I matka była zrazu tego zdania. Ale człowiek w ciemność nie bity, wziął się na sposób. Poróżniłem matkę z córką i matce obiecałem z podwyższenia najmu za dwa pokoiki

sprawić nowy szlafrok. Tym sposobem przeszła do mego obozu, a córka została sama. A teraz trzeba nowego lokatora dobrze pociągnąć, aby i szlafroczek był i koszt się wrócił za farbę! Niżej tysiąca złotych nie dam, choćby był rodzonym bratem!

— Tysiąc złotych! To zawiele!

— Klnę się na świętego Izajasza, że ani tymfa nie spuszcze!

— Żartujecie!

— Daję wam słowo, że psem mnie nazwiecie, jeżeli ustąpię!

— Przecież u was o grosz nie trudno.

— Gdzie tam! Gdzie tam! Człowiek biedny, wiąże dwa końce jak może! Dawniej to można było zarobić, dzisiaj handel nie idzie, Gdańsk drzewa nie potrzebuje.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi!

— Żarty, żarty, panie Tomaszu! Zarobiliście na stawach, to wam dobrze żartować!... Ale któż to przed nas zajeżdża?

Przed nowo wymalowaną kamienicą stanęła w tej chwili dorożka z jakąś sędziwą, czarno ubraną matroną. Obok niej siedział młody, dwadzieścia kilka lat mający mężczyzna.

— Czy tu jest mieszkanie do najęcia? zapytała sędziwa kobieta.

Pan Izajasz wytrzeszczył szeroko duże cebulaste oczy, jakby nagle przytomność umysłu stracił.

— Czy jest mieszkanie do najęcia? powtórzyła nieznajoma.

— Pomieszkanie?... Pomieszkanie?... bełkotał pan Izajasz i szeroką dłonią muskał po czole, jakby ztamtąd chciał coś zetrzeć. — Aha, pomieszkanie!

Nieznajoma zmarszczyła brwi.

— Cóż to! Czy nie wyraźnie mówię? rzekła gniewnie — chcę mieszkanie nająć!

Pan Izajasz patrzył ciągle tym samym wzrokiem. Zdawało się, że nieznajoma sprawiła na nim jakieś niezwykle wrażenie.

— Moja matka pyta się o mieszkanie, ozwał się młody mężczyzna, który w dorożce siedział.

— Tak, tak... o mieszkanie, wiem, wiem! bełkotał pan Izajasz i otworzył szeroko gębę.

— Sąsiedzie, przyszedł mu w pomoc rybak, ci państwo chcą pomieszkania!

— Cicho bądźcie! Do kroćstotysięcy! ofuknął sąsiada pan Izajasz, co wam do mego domu?

— Tam do kata! Czy oszalał? mruknął sąsiad. Tymczasem nieznajoma wysiadła z dorożki i wraz z młodym mężczyzną zwróciła się ku sieni domu. Widząc to, pan Izajasz pośpieszył za nią.

— Jest pomieszkanie, zawołał w sieni, ale to będzie zaszczipłe dla wielmożnej pani...

— Potrzebuję małego pomieszkania.

— To jest ubogie, bardzo ubogie mieszkanko.

— Nie jestem bogatą.

Pan Izajasz zatrzymał się w sieni, jakby nieznajomej dalej puścić nie chciał. Rozrzewnienie malowało się na jego twarzy.

— Z wielu izdebek składa się to mieszkanie, zapytała nieznajoma, nie patrząc wcale na pana Izajasza.

— Zaledwie z dwóch i jednej kuchenki! odpowiedział pan Izajasz, a głos jego drżał widocznie.

— W sam raz dla nas!

— Ale... przepraszam... ale...

— Co za ale? Można przecież obejrzeć!

— Tak... tak... można, ale... te izdebki są zadrogie!

— Są drogie? Będę się targowała! A gdzie właściciel?

— Właściciel nic nie ustąpi..., ręczę wielmożnej...

— A gdzie mieszka właściciel.

— Właściciel... mieszka na drugim piętrze!

— Chodźmy do niego!

Pan Izajasz nie miał innego wyboru, jak tylko razem z nieznajomą udać się na drugie piętro. In

nego sposobu w trudnym swoim położeniu nie mógł wymyślić.

Gdy wszyscy na korytarz drugiego piętra weszli, spoczęła chwilę nieznajoma, aby odetchnąć.

Zdaje się, że posłyszała pani Izajaszowa kroki idących, bo otworzywszy drzwi, wyjrzała na korytarz.

— Chcę obejrzeć mieszkanie do najęcia, rzekła do niej nieznajoma.

— Izajasz! Czy słyszałeś? odpowiedziała małżonka.

— Chciałabym widzieć samego właściciela!

— Mój mąż jest właścicielem! Izajasz! Izajasz stał ciągle oszołomiony. Otworzył gębę, wyrzeszczył oczy i patrzył ciągle w twarz nieznajomej.

Nieznajoma zaś powzięła dziwne wyobrażenie o panu Izajaszu. Zdawało się jej, że widzi idyotę przed sobą.

Uśmiechnęła się do niego.

— Więc to pan jesteś właścicielem tego domu? Czemuż pan tak nieoględnie obchodzi się z lokatorami i ganisz im własny dom swój?

Pani Izajaszowa zmarszczyła brwi na męża. Pan Izajasz oprzytomniał nagle, widząc na czole małżonki tę dobrze mu znaną chmurkę gradową.

— Proszę państwa z sobą, zawołał nagle i wyjął klucz z kieszeni granatowej kapotki.

Współwłaścicielka domu przeczuła jakieś nieszczęście. Nigdy jeszcze nie widziała małżonka tak dziwnie zafrasowanego przybyciem nowych lokatorów.

Zarzuciwszy lekkie okrycie na ramiona, zbiegła szybko po wschodach, aby być świadkiem i pomocą

przy najmie mieszkania, z którego miał się jej dostać, jako poręczawicze — nowy szlafrok.

Na pierwszym piętrze zastała wszystkich, oglądających dwa pokoiki i kuchenkę.

— Ja zaraz powiedziałem, że zaszczupłe dla wielm...

Pani Izajaszowa trąciła męża energicznie łokciem i rzekła, przerywając mu:

— Przecież każdy widzi co bierze! Co tobie do tego!

— Izdebki wprawdzie małe, ale dla nas wystarczą, zauważyła nieznajoma.

— Jabym jednak nie radził... zawołał pan Izajasz i błagalnie spojrzął na żonę.

— Co ty tam pleciesz! ofuknęła pani Izajaszowa.

— Chciałem powiedzieć, że izdebki za... drogie!

— Dzisiaj wszystko drogie!

— Chciałabym jednak wiedzieć, wiele za te pokoiki?

— Nie radzę nawet pani pytać wielm...

— Izajaszu! Co tobie dzisiaj?

— Musiałbym wziąć od wielmożnej pani... tysiąc złotych!

Pan Izajasz odetchnął głęboko, jak człowiek, który już zdobył się na krok stanowczy. Spojrzął z pewną dumą na żonę, jakby żądał od niej nagrody za czyn heroiczny.

— Tysiąc złotych! powtórzyła nieznajoma — to zawiele!

— Ja sam powiadam że zawiele!

— To nie warto!

— Sam powiadam że nie warto! Dlatego naprzd mówilem, że nie radzę, że odradzam...

Pani Izajaszowa nie wiedziała teraz co się z me

żem zrobiło. Czy rozum stracił, czy zgłupiał nagle?

Trąciwszy go jeszcze energiczniej łokciem pod żebra, rzekła ze słodkim uśmiechem:

— Niech państwo nie zważają na to co mój mąż mówi. On lubi czasem kpić sobie z ludzi!... Pokoje są czyste i widne, tysiąc złotych każdy da za nie!

— Wierź mi pani, że i osiemset nie warte! repugnował z widoczną energią pan Izajasz. — Na Krakowskim dostanie za te pieniądze, a tu na Mostówce...

— Widać, że pan nas niechętnie przyjmujesz! rzekła nieznajoma i spojrziała z uśmiechem na syna.

— O, jak najchętniej, wielmożna pani, odparł pan Izajasz i chciał nawet nieznajomą w rękę pocałować, — o jak najchętniej, tylko... tylko... te izdebki zadrogie!

— To niech pan opuści.

— Opuścić?... Nie mogę, dalibóg nie mogę! Farba, malarz, wapno... dalibóg nie mogę! Gdzieindziej może pani daleko taniej znaleźć.

Pani Izajaszowa załamała ręce i smutno spojrziała na męża.

— Siedemset złotych! rzekła nieznajoma.

— Więcej ani szeląga nie warte te izdebki! skwapliwie dodał pan Izajasz.

— On tylko tak żartuje! przerwała pani Izajaszowa, nadeptując małżonka na nogę.

— Nie, kochanie, nie żartuję! Jak mi Bóg miły, nie żartuję! A gdzież jabym śmiał żartować z wielmożnej pani...

— Więc zgoda za siedemset! zawołała z uśmiechem nieznajoma, patrząc na syna.

— Jeśli wielmożna pani koniecznie chce w tych

ubogich izdebkach mieszkać, to... to zgoda! westchnął pan Izajasz, a łzy stanęły mu w oczach.

Pani Izajaszowej stanęły także łzy w oczach, ale trudno odgadnąć, czy z tego samego powodu co mężowi. Czy utrata obiecanego szlafroka wycisnęła te łzy z oczu pocziwych małżonków?

Pani Izajaszowa nie chciała dłużej być świadkiem sceny której nie pojmowała. Odwróciła się szybko, wybiegła na drugie piętro i zatrzasnęła głośno drzwi za sobą.

Trzask drzwi rozległ się głucho po pustych murach. Dwa razy powtórzyło go echo, a potem nastąpiła cisza ponura, grobowa, zwiastująca panu Izajaszowi złowrogie następstwa.

Otarł zimny pot z czoła, patrzył czas niejaki to na nieznajomą, — to na młodego przy niej stojącego mężczyznę, a potem rzekł:

— Niech się wielmożna pani nie dziwi mojej żonie. Pocziwa to i dobra kobieta, ale o świecie tyle tylko wie, co z okien domu na Mo stówce obaczył Człowiek zna... całą Wisłę i kawała morza nawet za Gdańskiem!

— Więc mogę dać zadatek? przerwała nieznajoma.

— Nietrzeba! Wcale nietrzeba! Przecież ja...

— Ale dla mojej pewności... zaraz muszę się sprowadzić!

— A... tak, prawda! Wielmożna pani mnie... nie zna! A ludzie, to różni bywają! W samej rzeczy, trzeba zadatku.

Nieznajoma wyjęła sto złotych. Pan Izajasz wziął pieniądze z ręki podanej, wziął i rękę przyłożył do ust i dziesięć razy serdecznie pocałował.

Nieznajoma cofnęła szybko rękę i otarła ją z łez pana Izajasza, które tenże mimo jej wiedzy tamże zostawił.

— Podochocił sobie biedak, rzekła w powrocie do syna, i oślinił mi całą rękę.

— Jeszcze o zadatku gotów zapomnieć, odpowiedział młody mężczyzna i rzucił okiem na dom jaskrawo pomalowany, z którego górnych okien wyjrzała teraz główka młodej dziewczyny.

A sąsiad Tomasz, zamożny rybak, stał na ulicy z małą fajeczką w ustach i z dziwnym uśmiechem patrzył na wracającą dorożkę, która nowych lokatorów wiozła ku kościołowi Paulinów.

Ponieważ jednak z tej dorożki nic wyczytać nie mógł, co by mu tak dziwne zachowanie się pana Izajasza wytłumaczyć mogło, odchrząknął więc kilka razy, otarł wąsy i powoli wszedł do domu sąsiada, aby w gronie rodziny szukać klucza do tej ciekawej zagadki.

II.

Drugie pięterko, do którego właśnie sąsiad Tomasz dążył w tej chwili, składało się z kilku małych izdebek i jednego dość obszernego pokoju. Ten pokój miał urządzenie dosyć wykwiłtne. Sute firanki wisiały u okien, podtrzymywane grubymi sznurami z wełny czerwonej. Przestarzałego fasonu kanapa, ale grubą jedwabną materią pokryta, rozpięta się z puchą dorobkowicza między dwoma oknami. Przed nią stał w nieustannej służbie wyprostowany jak najemny lokaj, lub jak mąż posagiem żony kupiony — stół mahoniowy, bogato w rzeźbę opatrzonej. W koło niego ugrupowały

się różnego pochodzenia krzesła, fotele i karły, jako przyjaciele domu. Jedne podziwiały rzeźbę służącego stołu i to, co u tym stole czasem podawano, inne adorowały bogaty adamaszek kanapy i wypukłe świeczki z kości słoniowej. Prócz dużych zwierciadeł wisiały na ścianach obrazy olejne w złożonych ramach, a niektóre z nich były nawet lepszego pochodzenia.

W kącie opierał się o ścianę fortepian, a otworzona klawiatura i rozłożone na pulpicie nuty okazywały, że nie jest tutaj tylko meblem zwyczajnym.

Młode paluszki, które przed chwilą wydobywały z niego jakieś zagraniczne melodie, jak zwykł mawiać sąsiad Tomasz, spoczywały teraz na kolanach młodej kobiety, która najwięcej mogła liczyć lat dwadzieścia.

Była to córka pana Izajasza. Twarz jej nie odznaczała się ani szlachetniejszym wyrazem, który oczy porywa, ani spokojną regularnością rysów, jakie w posągach marmurowych uwielbiamy. Była tam tylko młodość a nic więcej. Tak przynajmniej wydawała się na pierwszy rzut oka jedynaczka pana Izajasza.

W tej chwili nawet twarz jej była wcale niepełną. Dwa grube zmarszczki przecięły jej czoło, któremu niemożna było odmówić rozsądku. Nos spuszczonej na dół przedłużył się jeszcze więcej, a zaszeroko rozkrajane usta wygięły się do góry końcami i wyglądały jak księżyc w ostatniej kwadrze. W czarnych tylko oczach błyskało milutkie światełko, a nawet od czasu do czasu strzelało tak pięknym połyskiem, że najwprawniejsza zalotnica mogłaby go pozazdrościć.

Ubiór zato jedynaczki pana Izajasza był nadzwyczaj gustowny, chociaż w rzeczywistości był bardzo prosty. Lekka tiunika z jasnej wełnianej materyi, na pół opięta, na pół fałdzista uwydatniała zgrabną kibić. Z pod długiej sukni wychylał się mały bucik oparty o pedał fortepianu.

Po pokoju szybkim krokiem chodziła niskiego wzrostu a dobrej tuszy kobieta. Miała twarz gładką, wypełnioną, ale bez żadnego wyrazu. Usta szerokie, pospolite, okazywały instynkta więcej realne. Ubiór jej był pretensjonalny, ale bez wyższego smaku. Stare, brudne rękawiczki z poodcinanymi palcami, miały chronić rękę od szkodliwego wpływu powietrza i słońca.

W tej chwili przybrała jej twarz kolor karmazynowy, okrągłe bezmyślne oczy błyszczały ogniem nieprzyjemnym.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że to jest matka siedzącej przy fortepianie jedynaczki. Rysy matki powtarzały się w córce, były jednak wykształceniem i wychowaniem więcej uszlachetnione. Dla wprawniejszego oka uwydatniał się nawet pewien kontrast jaki był między nimi. Widocznie odbiegła córka matkę wyższym wykształceniem, a ta nie mogąc za nią zdążyć, zajmowała często względem swojej jedynaczki stanowisko nieprzyjacielskie.

— Tobie tylko granie w głowie, wołała w gniewie roztrącając krzesła i fotele; abyś tylko mogła brzdąkać na klawikordzie, to już ci nic więcej nie trzeba. A ja mam domowe kłopoty, mam umartwienia, o które nawet nie zapytasz! Czy słyszysz Elżusiu?

— Słyszę, mateńko, odpowiedziała Elżusia cofając z klawiatury paluszki na kolana.

— Ja muszę się trapić, muszę we wszystko Wglądać, prawda dalej pani Izajaszowa. Wczoraj nlusiałam sama żyda z piwnicy wyrzucać, który już za trzy kwartały nie zapłacił, a ty nawet nie zapytałaś się o to!

Elżusia westchnęła. Wyraz cierpienia przebiegł po jej twarzy.,

— Cóż ja tym kłopotom poradzę, mateczko?— odpowiedziała i spuściła smutno głowę.

— Właśnie dlatego mówię, że nic radzić nie chcesz. Gra swoją drogą! Można coś zagrać, gdy są goście, aby pokazać żeśmy na twoje edukacja pieniędzy nie żalowali, można czasem jaką historyjkę z książki poczytać— ale zasiąść na cały dzień do fortepianu, otoczyć się nutami i książkami, to tylko wielkie panie tak robią! Nam dzięki Bogu jeść nie brakuje, mamy dwoiste mięso na obiad, ale przecięć do tych pańskich fanaberyj to nam daleko jeszcze.

— Wszak zawsze się pytam, czy mateczka ma dla mnie co do roboty.

— Prawda że pytasz. Ale cóż z tego! Gdy tylko spojrzę na ciebie, jak się wystroisz i minkę pańską przybierzesz, to wolę już sama zrobić a tobie dać pokój!

Elżusia znowu westchnęła.

— Czy myślisz, że będziesz piękniejszą, gdy się wystroisz? Czy sądzisz, że te głupie fatalaszki przysporzą ci urody?

Mylisz się. Jesteś podobna do ojca na twoje nieszczęście!

W oczach Elżusi błysnęły łzy.

— Piękną nie jestem, mateczko — odpowiedziała cichym głosem, ale jest inna, wyższa piękność, piękność duszy. O tę piękność staram się, kochana mateczko, i na nią pracuję!

— Terefero! Śmiej się z tego! Gdybyś nie była jedynaczką, a rodzice nie mieli dwóch domów, jednego na Mostowej a drugiego na Podwalu, toby i pień o ciebie się nie zapytał, choćbyś miała duszę tak piękną jak najpiękniejszy karmazyn! Elżusia machinalnie wróciła palcami do klawiatury. Wzięła kilka cichych, posępnych akordów.

— Proszę cię nie brzdąkaj, kiedy i tak nikt cię nie słyszy! Niech przecież się wygadam, chociażby sama przed sobą!

W tej chwili wszedł do pokoju sąsiad p. Tomasz.

— Słyszysz Elżusiu? Daj pokój nutom. Pan Tomasz wolałby kielbasę z sosem, niżeli te sztuczne trele twoje!

— I muzyka dobra, jeśli jest w domu wesoło! — rzekł pan Tomasz, całując w rękę panią Izajaszową.

— Tak, to prawda, kochany sąsiadzie— odpowiedziała pani Izajaszową, ale wprzód, aby to wesele było w domu.

— Nie obrażać Pana Boga, sąsiadko.

— Czy to obraza, jeśli się człowiek z umartwień swoich skarży?... Ot przed chwilą zmartwiłam się, aż mnie czkawka porwała! Wyobraźcie sobie, panie Tomaszu że Izajasz z każdym dniem głupszym się staje! Co to jest? Co to być może?

Sąsiad posunął ręką po czole, spojrział zyzem na Elżusię przed fortepianem i odparł:

— Sąsiadko, ja wam powiem prawdę. Każdy mąż, gdy ma lat dwadzieścia kilka, to jest i mądry i dobry. Gdy zaś na sześćdziesiąty krzyżyk zachodzi, to głupieje, jest niezdolny, i Bóg wie jakie ma jeszcze przywary!

— Żarty na bok, ale wyobraźcie sobie, panie To

maszu, przychodzą, jacyś państwo i chcą nająć izdebki.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Wszedł pan Izajasz mocno zarumieniony. W ręce trzymał pomięte banknoty, a drugą ocierał pot z czoła.

Wejście pana Izajasza sprawiło przerwę w rozmowie. Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością, oczekując rozwiązania tej dziwnej zagadki.

Snać przeczuł to pan Izajasz i jak się zdaje, chciał szczerze zaspokoić ciekawość małżonki i sąsiada, ale przeznaczeniem było dla nich, że dzisiaj od niego nic się dowiedzieć nie mogli.

Pan Izajasz bowiem zaczął wprawdzie wiele mówić, ale połowę swoich myśli zostawił w izbach na pierwszym piętrze i na korytarzu. Do tych myśli nawiązał teraz słowa swoje.

— Tak, tak to się dzieje na tym świecie! zaczął zaraz od progę, a przecież lepiej gdyby tego wszystkiego człowiek nie wiedział! Ludzie płyną Wisłą i cieszą się, że woda pięknie wygląda, że płynie po niej piana jak srebrne kwasty, że całe niebo z chmurami w niej się odbija! Ale to wszystko dobre jest dla tych, co to nigdy na dnie tej wody nie byli i nie widzieli co tam leżeć może.

— Tam do kata! ozwał się sąsiad. Czasem dobrze i pożytecznie wiedzieć, że na dnie leży jesiotr lub szczupak trzyłokciowy!

— Ba, gdyby to tylko jesiotry i szczupaki tam leżały!... Raz pamiętam, płynąc z drzewem do Gdańska, zauważyliśmy że pod brzegiem woda się kręci i coś ustawicznie w niej plaska. Pewnie jakaś bestya trzyłokciowa tam się ukrywa, zawołał sternik, dalej chłopcy, będzie obiad wyśmienity! Trzech orylów skoczyło zaraz z wieńcierzami do wody i nuz

podrygiwać!... I cóż tam było? Było wprawdzie kilka leszczów i dwa okonie, ale był także i trup utopionego człowieka, około którego uwijały się te ryby!... A mówię wam, woda Wisły była w tem w miejscu tak piękna i czysta, tak pięknie odbijały się w niej i niebo i chmurki białe, jakby tam na dnie wcale trupa nie było.

— Zkądże wam dzisiaj taki apetyt do trupa przyszedł! Na całej Mostówce niema ani jednego nieboszczyka!

— Niema nieboszczyka?... Hm, różne są nieboszczyki! Jedni leżą na dnie wody, innych zamykają do trumny i z muzyką chowają do ziemi, a są i tacy, którzy jedzą i piją i po świecie chodzą.

— Izajaszu, co ty bredzisz! rzekła zadziwiona małżonka.

— Cicho bądź, bo jestem w złym humorze! Dzisiaj mógłbym nawet kogoś wybić.... Gdyby mi pod ręką był Janek, który przed tygodniem kilka kłoców samopas do Gdańska puścił, zbiłbym go na kwaśne jabłko!

Pani Izajaszową uznała za rzecz stosowną hamować swój gniew z powodu tanio wypuszczonych izdebek. Cofnęła się nawet o dwa kroki.

— Ojczulko dobrze powiedział, ozwała się Elżusia, że nie wszyscy żyją, którzy chodzą i jedzą!

— Tak, tak, dziecko moje, zawołał z rozrzewnieniem pan Izajasz. Ty to lepiej rozumiesz od matki, bo czytasz książki. Ja choć ich nie czytam, ale za to widziałem wiele w świecie i wiele doświadczałem!

Sąsiad Tomasz kręcił wąsy, marszczył czoło, jak to zwykli czynić ludzie uczeni, ale mowy dzisiejszej pana Izajasza nie mógł zrozumieć.

Koniec końców, ozwał się po chwili, wracając do tych nieboszczyków.

— Et, co wam do nieboszczyków, przerwał mu pan Izajasz i machnął ręką.

— Tyle co i wam, kochany sąsiadzie!

— A, prawda! Macie słuszość! Wam więcej o nieboszczyków chodzi, niżeli mnie. Mój towar to same nieboszczyki! Że tam ongi żyły w górach Karpackich, że pstrokate ptaszki śpiewały i gnieździły się na ich gałęziach, że miały zielone liście i biały kwiat na wiosnę.... cóż mnie to obchodzi? Dopiero gdy je siekiera na wiosnę powali, gdy soki w ich żyłach skrzepną, gdy im odejmą koronę zieloną, a same tułowcy w tratwę zbiją—wtedy dopiero są dla mnie coś warte!.. U was inaczej! U was tylko żywa ryba popłaca. Gdy zdechnie, to już strata!... Wam nieboszczyk wcale nie pachnie.

— Zkądże wam przyszło do głowy takie kazanie o nieboszczykach?

— Ot, tak sobie!... Czasami jest człowiek podobny do drzewa, a czasami do ryby. Pierwsze dopiero po śmierci jest coś warte dla kupców, drugie gdy żyć przestaje traci na wartości.

— Do czegoż to wszystko stosujecie?

— Przecież powiedziałem do ludzi!... Ot naprzykład ja. Napracowałem się całe życie i cóż znaczy. Nic! dopiero po mojej śmierci będzie coś znaczyć ten, który majątek po mnie zabierze!

— Nikt inny, jak tylko zięć!

— Być może.... A są znowu ludzie, którzy za życia bardzo wiele znaczą, których trumnę na barkach niosą do grobu i kwiatami ją zasypują, a potem... potem zostaje się nic, straszne, bolesne nic!... Czy wy to rozumiecie!

— Jak mnie Bóg miły, nic was nie rozumiem!

— A jeżeli znowu znajdzie się człowiek, który sobie przypomni coś o tych ludziach i innym chce to powiedzieć, to go ci także nie zrozumie! Lepiej więc nic nie mówić!

I jakby się obawiał, aby się z czemś nie wygadał, wsunął pan Izajasz pieniądze do szufladki, a sam wziął czapkę i szybko wyszedł z pokoju.

Sąsiad Tomasz i pani Izajaszową stali w milczeniu i patrzyli na siebie. Nie mogli sobie w żaden sposób wytłumaczyć tych dziwnych słów pana Izajasza.

Elżusia machinalnie położyła palec na klawiszach i tam szukała odpowiedzi dla siebie.

Mowa jednak klawiszów była szeroka i ogólna. Elżusia mogła w nią włożyć własne myśli swoje i marzenia, ale odpowiedzi z niej wyczytać nie mogła.

III.

Sąsiad stał jeszcze niejakiś czas w pokoju i kiwał głową. Nie mogąc nic wykiwać, wziął czapkę i wyszedł. Pani Izajaszową wyszła także do najbliższej sąsiadki, aby się przed nią z domowych umartwień poskarżyć i na męża wydać wyrok zaoczny.

Elżusia została sama z fortepianem. I zajęta grą, nie zważała wcale, że do pokoju weszła młoda kobieta z dużą teką pod pachą.

Młoda kobieta była słusznego wzrostu, miała twarz bladą o pięknych, regularnych rysach. Duże, głęboko osadzone oczy wyrażały rozsądek, na czole wypukłym malowały się myśli poważne. Włosy ciemne spadały w bezwładnych splotach na ramio

na. Piękne, żywej barwy usta obiegał jakiś uśmiech cierpki.
Kilka chwil patrzyła od progu na Elżusię, potem postąpiła na palcach kilka kroków naprzód i rzuciła na fotel dużą tekę, którą pod pachą trzymała.
Zaczesawszy włosy za uszy, usiadła przy stoliku i drobną, nader zgrabną ręką podparła blade czoło.
Siedziała tak czas niejaki.
Elżusia kończyła jakąś improwizacją. Chciała właśnie powstać, aby leżące na fortepianie nuty do siebie przysunąć, gdy nagle zobaczyła siedzącą przy stoliku.
— Ab! Brońcia, zawołała żywo, i ty tak cicho przychodzisz i mnie podsłuchujesz!
— Nie obawiaj się—odpowiedziała Bronisława, podając jej rękę, nic obawiaj się podsłuchu. Muzyka lepsza od ludzi.
Ona nikogo nie zdradza.
— Tegobym nie powiedziała. Z gry można się zawsze czegoś domyśleć.
— Przynajmniej nie dostarczy sędziemu śledczemu żadnego materiału.
— Czy wracasz z lekcji?
— Moje całe życie składa się tylko z lekcji! Jestem zmęczona nie do opisania.
— I przyszedł do mnie na lekcję?
— Nie, dzisiaj chcę tylko odpocząć u ciebie. Odbyłam pięć godzin muzyki i trzy języka francuzkiego.
Przecież jednej rzeczy zazdroszczę ci! Bywasz po różnych domach i widzisz rozmaitych ludzi. — A ja tobie zazdroszczę, że ich nie widzisz.
— Ach, samotność jest bardzo nudna!
— Lepsza jednak od tysiąca rozczarowań, jakie nam sprawiają ludzie.

— Zmęczenie mówi z ciebie! Podobną jesteś do człowieka, który przez cały dzień karmi się samymi frykasami. Nic dziwnego, że o jedzeniu z pogardą mówi. Głodny jego zdań nie podzielił.
— O! moje frykasy są gorzkie i zatrute.
— Zawsze jedno i to samo powtarzasz.
— Bo jedno i to samo zawsze mi dolega.
Milczenie zapanowało przez chwil kilka. Nauczycielka i uczennica puściły wodze myślom swoim, które gdzieś biegły niejednemi torami.
Po niejakiem czasie odetchnęła głęboko Bronisława.
— Ty nie pojmujesz, rzekła z bolesnym wyrazem, co to jest pracować na chleb kobiecie i to kobiecie, która urodziła się w innych warunkach!
— Mówią, że każda praca osładza życie!
— Tak być powinno, gdyby na świecie nie było głupich, strasznie głupich przesądów!.... I oto więc czy i ja nic podzielałabym tych przesądów, gdyby nieszczęścia nie rzuciły mnie na drogę, na której obecnie jestem! Całe nasze wychowanie jest zwichnione.
Elżusia zamyśliła się.
— Niedawno, mówiła dalej rozrzuwiona Bronisia, będzie temu zaledwie lat kilka, byłam tak jak ty jedynaczką, mieszkałam we dworze na wsi, otoczona liczną służbą. Sąsiedzi zjeżdżali się do nas, kawalerowie z całego powiatu uganiali się o moje serce i posag... i cóż z tego wszystkiego mi zostało.
— Jesteś tak piękną! z westchnieniem szepnęła Elżusia.
— Gdyby tak było w istocie jak mówisz, cóż to dzisiaj znaczy? tyle co piękne niebo, piękny widok, od którego odchodzimy, gdy na obiad zadzwonią!....

Był czas, gdy rzeczywiście wierzyłam, że moje osobiste przymioty przywiązują ludzi do mnie. Aio gdy ojciec mój umarł; gdy matka moja z bólu za nim i z niedostatku umarła; a ja zostałam bez posagu: wtedy sąsiedzi dawni zapomnieli o mnie, a kawalerowie całego powiatu pochowali się, aby się zemną nigdy nie spotkać. A przecież mam taką twarz jak dawniej, te same oczy i brwi, o których dawniej tyle pięknych rzeczy mi mówiono. Ale nie mam posagu!

— Ach to smutno! Bardzo smutno!

— Ale nie myśl żebym była zupełnie bez posagu.

— A dlaczego tak mówisz?

— Bo z tym posagiem przed nikim się jeszcze nie zwierzyłam, nikomu nie powiedziałam! Tobie jednak okażę go! Patrz!

Bronisława wyjęła mały pugilaresik, otworzyła go ostrożnie i wydobyla z niego mały, zwinięty papier.

— Patrz! Oto mój posag! Jedyny warunek mego szczęścia.

Rzekłszy to, przyłożyła papier do ust i ucałowała.

— Czy to wielkie pieniądze?

— To jest zapis mojej matki. Łzy zaszkliły się w jej oczach.

Ostrożnie rozwinęła papier i zaczęła czytać:

— „Zostawiam cię sierotą, drogie dziecko, zostawiam cię bez pieniędzy, ale nie myśl, żebyś nie miała posagu.

Posagiem twoim są nieszczęścia nasze, które nam pieniądze odebrały, i ucziwe imię które jako jedyny spadek po rodzicach odzie

dziczysz. Z tym posagiem między ludźmi nie powinno ci być źle, a gdy do niego dodasz pracę swoją, to dobry Bóg zesśle ci szczęście, którego zapragniesz!".....

Dalej Bronisława od łez czytać nie mogła.

Elżusia zafrasowała się łzami przyjaciółki i nauczycielki. Wzięła ją za rękę, ucałowała i przycisnęła do siebie.

— Bądź przekonana, rzekła do niej, że to posag nie gorszy od domów i kroców. Niedawno czytałam w książce że cierpienia, bóleści i łzy kobiety stanowią nieraz wyższą cyfrę posagową od niejednej milionerki! Cierpienia wzbogacają duszę!

Bronisława schowała tymczasem zapis matki do pugilaresika i smutno złożyła rękę na kolana.

— Świat ma bardzo piękne teorie, ozwała się po chwili milczenia, ale teorie te nigdy w życie nie wchodzi. Gdybym do łez i cierpień mego ojca, do kurczowych bóleści matki dodała owe niezliczone bezsenne nocy mego życia, w których się łzami zalewałam, byłabym jedną z najbogatszych panien całej ziemi! Tak jednak nie jest.

— Gdybym była mężczyzną, kochałabym cię do szaleństwa!

— Tak sądzi tylko kobieta—mężczyźni inaczej myślą. Mam przykład na samej sobie. Gdy jestem w domu jakim większym na obiedzie lub herbacie, to przychodzący goście prawie nie widzą mnie, a gospodyni nie uważa nawet za stosowne przedstawić mnie. Jestem sprzętem tylko, niczem więcej, przed którym goście nawet w rozmowach nie wystrzegają się, jakby ten sprzęt nie miał uszów i oczów! Słowem jestem niczem! Praca moja poniża mnie w obec nich, podczas gdy każde

niebożatko i głupia gąska, byle miała posag, jest dla nich słońcem, jest dla nich bóstwem!

Elżuscia zamyśliła się. W zwierciadle, które na przeciwnej ścianie wisiało, obaczyła swoje twarz, która w porównaniu z Bronisławą wcale ładną nie była. Zasmuciła się i westchnęła. Po chwili rzekła:

— Czyżby tylko dla posagu mężczyźni nas kochać mieli?

— Tylko dla pos.ngu, żywo odparła malkontentka. A najczęściej jesteśmy nawet niebardzo upragnionym dodatkiem do tego posagu!

Elżuscia westchnęła po raz drugi.

— To w takim razie może lepiej nie mieć żadnego posagu, szepnęła zcicha.

_ Kto pragnie prawdziwego szczęścia, a nie złudy i pozoru, odpowiedziała Bronisława namiętnie, to lepiej mu być bez posagu.

Słowom tym jednak, Iak bardzo ożywionym, towarzyszyły łzy, które zaraz pojawiły się w jej oczach. Co one oznaczały, trudno odgadnąć. Czy były poświęcone wspomnieniom byłego majątku, czy rozkoszom panny bezposażnej? Które z tych przypuszczeń było prawdziwe?

I jakby dalszą rozmowę urwać chciała usiadła Bronisława do fortepianu i zaczęła grać jedne fantazyą.

Grała z uczuciem, a nawet z pewną namiętnością. Elżuscia długo przysłuchiwała się jej grze.

— Gdybym z twojej gry coś wnosić miała, tobym powiedziała, że dzisiaj więcej cierpisz, niżeli kiedykolwiek.

— Ja zawsze wiele cierpię, odpowiedziała sród gry Bronisława, bo między ludźmi jestem anomalią.

— Zdaje mi się, że ja również we własnym domu tem samem jestem, zcicha szepnęła Elżuscia.

— Prawda, wykształcenie twoje stawia cię wyżej, ale rodzice twoi kochają cię, a to jest wszystko, czego potrzebuje kobieta!.... Ale a propos, czy u was będzie mieszkać senatorowa X***?

— Senatorowa? z zadziwieniem powtórzyła Elżuscia.

— Senatorowa z Krakowa.

— Tu żadna senatorowa mieszkać nie będzie. Najęła wprawdzie jakaś pani dwie izdebki z kuchenką.

Senatorowa nie jest bogata.... Czy był z nią jaki młody mężczyzna?

Przy tych słowach błada twarz Bronisławy zafarbowała się nieznacznie. Elżuscia nie zważała na to, bo była w myśli jeszcze senatorowa zajęta.

— Był jakiś szatyn, słusznego wzrostu, odpowiedziała.

— To on.... to Floryan!

— Kto jest ten pan Floryan?

— Syn senatorowej.

— Czy znasz ich?

— W Krakowie świadczyła mi senatorowa swemi stosunkami bardzo wiele.

— Stosunki często wiele znaczą.

Po tych słowach nastąpiła dłuższa pauza milczenia. Zmrok wieczorny, który po pokoju już począł się rozpościerać, zakrył teraz twarze obydwóch przyjaciółek.

— O czym tak myślisz? zapytała po chwili Bronisława.

— O senatorowej, odpowiedziała zamyślona Elżusia.

— O senatorowej?... Cóż cię ona tak wielce obchodzi? Nie znasz jej przecież.

— Mówiłaś że ona ma liczne stosunki.

— Cóż ci z jej stosunków przyjdzie?

— Czasami mogą się przydać.

— Czy masz jakie plany?

— Żadnych planów nie mam. Znasz moje położenie i łatwo możesz mnie pojąć. Rodzice mają znajomości, które mnie wcale nie bawią. To coby mnie bawić mogło, leży po za sferą rodziców. Otoż chodzi o to, aby mieć kogoś, ktoby mi po za tą sferą mógł towarzyszyć. Muszę zaraz zaznajomić się z senatorową.

Bronisława nie dała na to długo żadnej odpowiedzi. Elżusia mówiła dalej:

— A w świecie wiele na tem zależy, kto nas w świat wprowadza. Pamiętam zeszłego roku u wód galicyjskich miałam nawet z tego powodu znaczną nieprzyjemność.

— U wód galicyjskich łatwo o nieprzyjemność.

— Było zebranie i tańczyć miiano kontredansa. Mój tancerz w braku innego, zaprosił do visavis niejakiego pana Ludwika ***, którego wielkie damy kąpielowe pieszczotliwie „Lulu” nazywały.

— Och, znam to głupiutkie stworzonko!

— Otoż ten pan „Lulu,” dowiedziawszy się kto ja jestem, odmówił usługi, utrzymując że do koła w którym on tańczy, nie można podobnych jak ja wprowadzać. Mój towarzysz zrobił nawet jakąś awanturę z tego powodu.

— Więc urodzenie twoje stanęło Lulowi przeszkodą w kontredansie?

— Napisał nawet jakieś wiersze francuzkie, wyśmiewając mnie

Bóg przebacza tym, którzy „nie wiedzą, co czynią.”

— A gdybym naprzykład była z senatorowa,?...

— Ach, już się zmierzchno!.. Bądź zdrowa, całuję cię!

Mimo wszelkich protestów Elżusi, wzięła Bronisława tekę pod pachę i wymknęła się za drzwi, życząc jej jeszcze ze schodów dobrej nocy.

Elżusia tymczasem zapaliła świecę, aby czytaniem jakiej książki skrócić sobie czas, zanim matka od sąsiadów powróci. Książka jakoś tymczasem nie była dla niej skutecznem lekarstwem. Oczy jej wychodziły często po za brzegi książki i zawieszały się w powietrzu, jakby tam były jakieś złote czarujące obrazy.

IV.

Kilka dni upłynęło wśród jakiegoś zagadkowego niezadowolonia wszystkich mieszkańców drugiego piąterka.

Najbardziej niezadowoloną była pani Izajaszową. Pan Izajasz bowiem od czasu zjawienia się nowej lokatorki tak się dziwnie zmienił, jakby mu co do głowy strzeliło. W domu przesiadywał bardzo mało, jakby się lękał wypytywać żony.

Wynalazł sobie różne zajęcia, o których dawniej nawet nie myślał, a na czem najlepiej wyszła nowa lokatorka.

Pan Izajasz był nieprzyjacielem wszelkiej poprawki i restauracji domu. Konserwatysta z nałogu, zatrzymywał wszystko w tym samym stanie, w jakim to było, gdy dom ten przed dwudziestu laty kupił.

Teraz ogarnęła go dziwna gorączka restauratorska. Nietylko że dziesięcioletnie śmiecie z dziedzińca wywieść kazał, nietylko że w sieni dał próg nowy i tradycyjną pod progiem kałużę kazał ziemią zasypać, ale nawet szczególniejszą uwagę poświęcił izdebkom na pierwszym piętrze, do których miała się sprowadzić nowa lokatorka.

Dwie ściany pierwszej izby, od słońca wypłowiałe; kazał na nowo żydkowi pomalować. Również i kominek dostał nowe ramy z czerwonej farby, przy której to operacji pan Izajasz sam był obecny in, a nawet własną ręką żydkowi do zakreslenia prostych linii dopomagał.

Wszystkie te względy dla przyszłych lokatorów gniewały tem więcej panią Izajaszową, że sobie ich w żaden sposób wytłumaczyć nie mogła.

Pan Izajasz był nader oszczędnym, a nawet skąpym. Zkądże więc wzięła się tak nagle niewytłumaczona rozrzutność? Cóż go skłaniało do tego?

Były to pytania, na które w domu nikt odpowiedzieć nie mógł. Widziano tylko rosnący z każdym dniem niepokój pana Izajasza, z jakim był względem nowych lokatorów.

Wiadomość przyniesiona przez Bronisławę, że jprzyszła lokatorka jest senatorową, pomieszała jeszcze bardziej wszelkie domysły, jakie o niej powziąć mogła pani Izajaszowa. Teraz dopiero była prawdziwie jak w lesie. I tu drzewo, i tam drzewo, wszędzie drzewa i nic więcej. Zawezwana do pomocy Elżusia nie umiała matce niczem dopomódz. Skończyło się znowu na wystrofowaniu córki, że o niczem w domu nie myśli, że tylko umie ubrać się, grać i czytać, podczas gdy Zosia sąsiada mięso w jatkach sprzedaje.

Elżusia nawet parę razy do ojca po wyjaśnienie udawała się, ale żadnych ztamtąd wieści nie otrzymała. Pan Izajasz z taką zawiścią bronił przystępu do swojej tajemnicy, tak dziwnie oczy zawracał, gdy go o to pytano, że mieszkańcy drugiego pięterka postanowili zaniechać dalszych poszukiwań i puścić się na łaskę Bożą. Podobało się nawet to panu Izajaszowi, bo widocznie był weselszy, a nawet mógł żarty stroić, jak to było jego zwyczajem. Z całego jego zachowania się widać było, że za uszanowanie swojej tajemnicy poczuwał się do obowiązku być w domu uprzejmym

i uprzedzającym. Nawet o nowym szlafroku dla żony wspominał kilka razy, przeznaczając na to inne fundusze. Jakkolwiek pan Izajasz był teraz dla wszystkich, domowych tak dobry, że w kolo palca można go było owinąć, jakkolwiek przyobiecanie powtórne nowego szlafrocka było dla pani Izajaszowej niemalą rozkoszą — wszystko to jednak w wolniejszych od zatrudnień chwilach wznagało tylko jej ciekawość, jaki stosunek może wiązać jej męża do nowej lokatorki, która tak z nim rozmawiała, jakby go w życiu nigdy nie widziała.

Ciasny horyzont jej myśli tworzył zbyt małe pole domysłów, a i te nie mogły się jakoś z sobą dobrze wiązać.

Postanowiła więc spokojnie wyczekiwać chwili, w której rozjaśni się to, co dotąd było dla niej zagadką.

Tymczasem ułożyła sobie badać dokładnie wszystkie drobne domowe szczegóły nowej lokatorki, aby z nich przyjąć do jakich prawdopodobnych wniosków.

Elżusia również myślała o nowej lokatorce, ale myśli jej różniły się wielce od myśli matki.

Jak już przed swoją przyjaciółką wyznała, pragnęła ona szerszego świata od tego, jaki mogły jej dać stosunki rodziców. Pan Izajasz osobistą pracą dorobił się mająteczku, który składał się z dwóch domów. Nie były one wprawdzie wielkich rozmiarów, ale stanowiły zawsze pewny kapitalik, który jedynaczce nadawał stanowisko panny posażniejszej od wielu jej rówieśniczek.

Pan Izajasz prowadził handel drzewem do Gdańska. Praca ta pochłaniała cały czas jego i siły, z których dla stosunków towarzyskich bardzo mało się zostało. Po pracy był kontent, jeżeli z jakim sąsiadem w narożnej bawaryi mógł kufel piwa wypić, lub czasem w ówika zagrać. Do innego towarzystwa nie miał ani czasu, ani stosownego wykształcenia, bo prócz wrodzonego sprytu do handlu nie miał żadnych wyższych nauk.

Pani Izajaszowa, rodem z Nowego miasta, należała do rzędu tych kobiet miejskich, które patrząc z dala na prąd cywilizacji stołecznej, przyswajają sobie pozorne jej formy, których jednak niczem wypełnić nie mogą.

Ubierała się z przesadą, drobne foremki ludzi wykształconych brała za rzecz sarnę i gwałtownie je sobie przyswajała. Gdy dzień był piękny, a przechadzka piesza nawet dla jej tuszy bardzo byłaby przydatną, ona najmowała powóz i wśród duszącego kurzu jechała do Łazienek, bo tak robią ludzie mający jaki taki majątek. W teatrze nie siedziała nigdy na krzesłach, tylko pan Izajasz musiał kupić łożę na drugim piętrze przynajmniej,

bo tak robi jubiler mający magazyn na Krakowskim Przedmieściu. Była bowiem przekonaną że obowiązkiem jej jest okazywać się publicznie zawsze z pewną ostentacją, chociażby ta ostentacja poza granicę Mostowej ulicy nie wychodziła.

A ponieważ każdy, choćby najpocziwszy człowiek, musi sobie jakieś umartwienie stworzyć, toż i pani Izajaszową stworzyła sobie takie umartwienie, które ją ustawicznie podrażniało.

Umartwieniem tem była emulacja z żoną budowniczego niedaleką jej sąsiadką. Zona budowniczego była wychowanką Saskiego ogrodu, w którym wzrosła od dziecięcia. Skakała po nim zgrabnie za obręczą czerwoną do lat dziesięciu, potem w krótkich sukienkach studyowała maniery elegantek, a w końcu póty w jasnych bucikach o wysokich korkach po środkowej alei deptała, póki nie wydeptała sobie potulnego małżonka, który miał kamieniczkę niedaleko pana Izajasza.

Odtąd zaczynają się umartwienia pani Izajaszowej. Zona budowniczego, czyli inaczej majstra mularskiego, zadawała „szyk” całej Mostowej ulicy. W każdej porze roku nosiła nowe kostiumy, parasolki i kapelusik?

Pani Izajaszową wydała wojnę rywalce i postanowiła wyprzeć ją z pola. Nie mogąc jej w zgrabności sprostać, chciała ją przewyższyć w kosztowniejszym ubiorze. Przesadzała w drogich materyach, nosiła atłasy i aksamity, ale elegantka z Saskiego ogrodu wychodziła najczęściej zwyciężko w opinii całej ulicy wraz z Rybakami, a nawet z Podwalem. Przy takich zajęciach rodziców zbyt szczupłe

pole było dla Elżusi, która wykształceniem przewyższała całe swoje otoczenie.

Elżusia nie była ładną. W takim razie już sam instynkt każe kobiecie szukać równowagi na polu umysłowym.

Poczuła ten instynkt jedynaczka i rzuciła się z całą duszą do nauk, aby przyswoić sobie wyższe wykształcenie. Nie chciała bowiem być mało znaczącym dodatkiem do swoich dwóch domów, i jeźliby kiedy za mąż wyjść miała.

Pan Izajasz chętnie ponosił wydatki na nauki, bo córkę swą kochał i miał przekonanie że nauka także coś warta, jeżeli ludzie o nią się ubiegają. Pani Izajaszowa nie sprzeciwiała się także temu, ale widziała w nauce Elżusi tylko nowe tryumfy dla siebie. Kiedy bowiem Elżusia publicznie po francuzku się odezwała, lub u sąsiada na fortepianie Liszta zagrała, to pani Izajaszowej było tak miło koło serca, jakby nową jedwabną suknię miała na sobie.

Wykształcenie to oddalało Elżusią coraz więcej od sfery rodziców i ich stosunków. Czuli się, w domu jćóraz więcej samotną, bo ani matka, ani ojciec nie mogli jej rozumieć.

Przy każdym, choćby najdrobniejszych różnicach zdań, występowała domowa niezgoda między córką a rodzicami. A że rodzice już z prawa swego zawsze słuszność mieć chcieli, posłuszna Elżusia, ulegając im, czuła tem więcej wyjątkowe swoje położenie.

Towarzyskie stosunki rodziców nie rozszerzały bynajmniej tej ciasnej sfery domowej. Kilku rybaków, ludzi ze wszech miar godnych, ale ubogich co do zasobów umysłowych, dwóch rzeźników dosyć

majątnych, ale wyłącznie zawodem swoim zajętych, nie mogło wcale stworzyć dla niej świata, którego jej wyższe wykształcenie pragnęło.

W takim położeniu stworzyła dla siebie jakiś świat idealny, do którego się wyobraźnią przenosiła i tam żyła.

Wierzyła, że ten świat istnieje gdzieś po za granicami ulicy Mostowej, widziała go nawet z dala, gdy po Krakowskim Przedmieściu się przesuwiał, lub na koncertach obszerną salę zapępiał, widziała go w teatrze w lożach pierwszopiętrowych lub na wyścigach konnych.

Czem jednak ten świat jest i jak on wewnątrz domów swoich żyje, o tem wiedziała tylko ze słuchu a serce jej było zawsze żywiej, gdy o tym świecie zamarzyła.

Dotąd jednak ten świat był dla niej owocem zakazanym. Rodzice nie mogli jej tam wprowadzić, bo żadnych z nim stosunków nie mieli. Krewnych z tego świata nie miała. Nauczycielka i przyjaciółka znosiła jej wprawdzie czasem wiadomości z tego świata, ale te były taką jakąś goryczą zaprawione, że nie mogły dać jej o nim dostatecznego wyobrażenia.

Z tej przyczyny wiadomość o lokatorce, która miała być, według zeznania Bronisławy, senatorowa, przyjęła z wielką radością i zaczęła do niej nawiązywać różne skryte marzenia.

Senatorowa była od tego czasu nieodstępną towarzyszką jej myśli i marzeń. Dowiadywała się ustawicznie u Janka, stróża i pełnomocnika ojca, kiedy się nowa lokatorka sprowadzi i czy już izdebki oczyszczone.

Częściej nawet, niżeli to było jej zwyczajem, wy

glądała przez okno na ulicę, czy lokatorka nie przyjechała z meblami. Postanowiła sobie zaprzyjaźnić się z nią przy najpierwszej sposobności i za jej pomocą rozszerzyć ciasny horyzont dotychczasowego życia swego.

Na tem więc polu, choć z różnych powodów, stanął sojusz między matką a córką i oboje postanowiły bliżej poznać ową mytyczną lokatorkę.

Po kilku dniach niecierpliwego wyglądania oknem, spostrzeżono wreszcie forpocztę zbliżającej się lokatorki. Nie były one zbyt zachęcające.

Najprzód jechał prosty wózek i wioził starą kanapkę wełnianą materyą obitą! Mebel ten widocznie pochodził z jakiejś tandety, bo dwóch żydków konwojowało go.

Za tym wózkiem jechał drugi z łózkami, komodą i szafką. Wszystko to było bardzo skromne, a nawet ubogie. Nie było na tem ani śladu stosunków senatorskich.

Elżuscia zadumała się, a matka machnęła ręką i wyrzekła jakieś słowo, na które skrzywiła się córka.

— Przecież ludzi tak się nie mierzy, szepnęła Elżuscia jak mogła najciszej.

— Jakie pierze, taki ptak! odpowiedziała pani Izajaszowa i zaszeleściła suknią jedwabną.

— Szlachetne ptaki właśnie nie odznaczają się bogatym pierzem, kochana mateczko.

— Co ty tam wiesz! Zaręczam ci, żeby ta senatorowa miała co w kabzie, toby najprzód na Mostowej nie mieszkała, a powtóre żydowskich gratów nie sprowadzała. W tem może być jakaś inna rzecz.

Teraz nadjechała dorożka. W dorożce siedziała

przyszła lokatorka z synem. Dorożkarz miał pod nogami dwa spore kufry, za dorożką, był także tłumok, a w samej dorożce leżały stosy książek.

— Ma książki! zawołała Elżuscia z radością, która koniecznie chciała coś dobrego przy senatorowej obaczyć, ma książki! To bardzo dobrze!

Pani Izajaszową znowu machnęła ręką, ale tym razem nic nie odpowiedziała.

— Pan Floryan ma nawet w ręku kwiatki! mówiła dalej z rozjaśnioną twarzą Elżuscia, dwa wazoniki z hijacentami! Co za piękne hijacenty.

— Jaki pan Floryan? zapytała matka.

— Syn pani senatorowej.

— Zkądże znasz go?

— Bronisława mówiła mi o nim.

— Bronisława niech cię lepiej uczy grać i po francuzku gadać, a miejskie ploteczki niech schowa dla siebie.

Na tem skończył się pierwszy rekognoskunek, bo właśnie w tej chwili zamknęła się brama za panią senatorową wraz z panem Floryanem i hijacentami.

V.

Minęło dni kilka, a o zajętych izdebkach nic się nie dowiedziano na drugim piąterku.

Słyszano tylko jak tam pukano, suwano i drzwi zamykano. Słyszano nawet niewyraźnie jak dwa głosy z sobą mówiły, ale słów nie można było zrozumieć. Wysłany na zwiady Janek nic ciekawego nie przyniósł. Powiedział tylko że pan Floryan sam gwoździe w ściany nabija, ja matka podaje mu obrazki i zwierciadła do wieszania.

Niemniejszy niepokój okazywał pan Izajasz. Gdy

usłyszał stuk młotka, zaczął pilnie nasłuchiwać, a potem głową pokręcił i ręką machnął, jakby jakiejś niemiłej myśli chciał się pozbyć.

Wreszcie nadeszła upragniona dla mieszkańców drugiego pięterka pora, w której mogli o nowych lokatorach coś zachwycić.

Po tygodniu powszechnego niepokoju, kiedy właśnie pan Izajasz z niesporów niedzielnych powrócił, a matka z Elżusia z przechadzki wróciły, otworzyły się drzwi bawialnego pokoju i młody mężczyzna stanął w progu.

Elżusia rzuciła na niego okiem i poznała pana Floryana.

Pan Floryan, jak go w domu nazywano, był to mężczyzna dosyć słusznego wzrostu, twarzy ujmującej, miał duże niebieskie oczy i lekki zarost. Ubiór jego był skromny, ale przyzwoity i czysty. Na Wysokiem czole szły w podłuż dwie zmarszczki równoległe, które świadczyły o pracy umysłowej. Mógł liczyć lat dwadzieścia sześć lub osiem.

Widok syna tajemniczej senatorowej sprawił na wszystkich widoczne wrażenie.

Pani Izajaszowa wzdęła z ciekawości wierzchnią wargę i w milczeniu czekała pierwszego słowa przybyłego gościa.

Wyraz jej twarzy okazywał jasno, że z wielką niecierpliwością czeka tego słowa, aby z niego coś dla swoich wniosków ułoić.

Elżusia zarumieniła się lekko, chociaż do tego nie miała najmniejszego powodu. Nie myślała w tej chwili bynajmniej o tem, aby ten młody człowiek mógł dla niej być kiedyś czem więcej niżeli zwykłym lokatorem dwóch izdebek na pierwszym piętrze. Mimo to, był on już dla niej czemś więcej, chociaż o tem sama nie wiedziała. Myślała bowiem już

o nim tyle razy, tyle razy wprowadzała w wyobraźni do przyszłych ról swoich, w nieznanym jej jeszcze towarzystwach, serce więc jej uderzyło teraz nieco żywiej, gdy ten człowiek, dotąd tylko w wyobraźni znany, stanął teraz w rzeczywistości przed nią.

Najdziwniejsze wrażenie sprawił dzisiejszy gość na panu Izajaszu.

Gdy go ujrzał wchodzącego do pokoju, porwał się z krzesła, na którym wygodnie siedział, i z takim zamachem ku drzwiom się puścił, jakby gościowi chciał oddać pokłon wiernopoddańczy.

W drodze jednak ku drzwiom oprzytomniał, wyprostował się jak przystało na właściciela domu, do którego ubogi lokator przychodzi i czekał na pierwsze słowo.

Rola jednak jego była zbyt trudna. Nie mógł natury swojej nagiąć do wymagań sztuki. Malowało się to widocznie na jego twarzy, której jedna połowa oznaczała dumę właściciela domu, a druga drżała ze wzruszenia jakby przed majestatem monarchy.

Przerwał tę niemiłą dla wszystkich sytuacją pan Floryan. Skłonił się wszystkim z uprzejmym uśmiechem.

— Przychodzę z należytością za lokal—ózwął się do pana Izajasza—a przytem raiło mi zabrać znajomość najbliższego sąsiedztwa.

Pani Izajaszową wstała, a wyszedłszy na środek pokoju, i obejrzawszy czy gdzie niema jakiej przeszkody, dygnęła z wielką uroczystością, jak to zwykła czynić żona budowniczego.

Elżusia zamiast odpowiedzi i ukłonu, zarumieniła się po raz drugi, i po raz drugi nie wiedziała dla

czego, bo Floryan jednak bynajmniej na nią nie zważał.

Śród takiego bezkrólewia, uznał pan Izajasz za stosowne wziąć berło gospodarza do ręki.

— Z należytością nie było się co śpieszyć—rzekł prostując się—przecież tak bardzo potrzebni nie jesteśmy. Lepsza od tego jest dla nas znajomość pana, bo widzisz pan.... jak to zazwyczaj mówią, że góra z górą się nie zejdzie, a ludzie — urwał nagie j z otworzoną gębą stanął jak wryty.

Pani Izajaszowa obawiała się teraz, aby pan Floryan z tej pauzy nie skorzystał i za drzwi się nie wyniósł.

— Jak się państwu miasto nasze podoba?—zapytała, chcąc tym sposobem gościa przytrzymać—proszę siadać.

Floryan dopiero teraz spostrzegł Elżusię. Zmieszał się trochę że ją pominął przy witaniu się, i osobno teraz jej się uklonił.

Elżusia zarumieniła się po raz drugi.

— Czy pan znał nasze miasto już dawniej? — pytała dalej pani Izajaszowa, chcąc jak najprędzej Floryana przykuć do krzesła, aby jej nie uciekł.

Floryan usiadł.

— Miasto znam, bo kilka razy w niem po parę tygodni przebywałem. Po Krakowie może się podobać.

— Więc państwo dotąd mieszkali w Krakowie?—ciągnęła dalej inkwizycją pani Izajaszowa.

— Urodziłem się i urosłem w Krakowie.

— O tak.... pamiętam.... Kraków to takie piękne miasto!—rzekł pań Izajasz.

— Czy pan znasz Kraków?

— Tak.... znam, znam trochę. Z powodu handlu

mego czasami tam bywałem. Piękne, pobożne miasto! Co krok to grób lub mogiła dawnych ludzi! Chmurka smutku przemknęła po czole Floryana.

— Zapewne i ojciec pana tam umarł!—badała dalej pani Izajaszową, z ukrytem zadowoleniem.

— Umarł, umarł!—krzyknął pan Izajasz aż szyby zabrzęczały, ale jak umarł!

Floryan ciekawie spojrzął na pana Izajasza. Uląkł się tego spojrzenia pan Izajasz.

— Bo to widzisz pan—dodał prędko—ludzie różnie umierają. Jedni na suchoty, drudzy na puchlinę, a inni jeszcze innym sposobem. Otoż chciałem się zapytać, na co rodzic umarł?

— Mój ojciec umarł na.... pęknięcie serca, powoli i ze wzruszeniem odpowiedział Floryan.

— Na pęknięcie serca! powtórzyła pani Izajaszową, i szeroko otworzyła gębę, jakby dotąd nie wiedziała że serce pęknąć może.

— Na pęknięcie serca! szepnęła z cicha Elżusia i zadumała się.

. — Pęknięcie serca! ozwała się pani Izajaszową, proszę pana dlaczego serce pękło? Czy je co przepelniło? Może woda?

— Ot daj pokój, zawołał gniewnie pan Izajasz, co ty tam wiesz z tych rzeczy! Tobie się zdaje, że serce tak pęka jak rękawiczka za liche pieniądze! Nieprawda! Im lepsze i droższe serce, tem prędzej pęknie! Liche będzie się kołatać lat sto!

Floryan spojrział ze wzruszeniem na pana Izajasza. Widział w nim prostaczka, ale prostacek ten mówił zanie i pocziwie.

— Ojczulku, poruszyłeś przedmiot bolesny dla pana.... zauważyła nieśmiało Elżusia.

— Nie obawiaj się pani, odparł Floryan, do tego

przedmiotu wracam codziennie kilka razy, bo jest on dla mnie wielkiej wagi, daleko większej, niżeli na pozór się zdaje.
— Śmierć rodzica jest zawsze ważnym dniem w życiu każdego człowieka, uspokojony nieco odpowiedział pan Izajasz, a kto do tego dnia wraca pamięcią, ten dowodzi że jest zycznym i pocziwym.

Elżusia spojrziała powoli na Floryana, którego oczy na ziemi spoczywały. Smutek upiększył twarz jego.

— I pan po śmierci ojca ciągle w Krakowie byłeś? badała dalej pani Izajaszowa.

— Byłem tam aż do ukończenia uniwersytetu.

— Zapewne uczyłeś się pan na urzędnika.

— Zdałem tutaj egzamin sądowy, gdyż życzeniem mojej matki było, aby do Warszawy się przenieść. W Krakowie teraz wszystko po niemiecku.

— A tak, tak! mrucał pan Izajasz i ruszał głową, i machał ręką, jakby coś chciał tym giestem okazać.

— Czy macie państwo znajomości tutaj ? zapytała Elżusia i spuściła oczy, bo zapytanie jej wydało się jej teraz nie bardzo stosowne.

— Dawniej wiele osób ztąd bywało u nas w Krakowie.

— Dziś do małych izdebek nikt nie zajrzy! zawołał pan Izajasz i ręką w kolano uderzył.

— Czyżby wszyscy ludzie byli tak źli, jak ojczulko sądzi? rzekła Elżusia, i z widocznym współczuciem spojrziała na Floryana, który. teraz lekko westchnął, j

— Wszystkich ludzi w czambuł potępić nie można, odpowiedział po chwili Floryan, ale zdaje mi

się, że z dawnych znajomych .nie wielu nam pozostało.

Tutaj podniósł oczy i spojrział na pana Izajasza. Czy to spojrzenie było umyślne, czy przypadkowe, trudno wiedzieć. Wywarło jednak ono na panu Izajaszu niepospolite wrażenie. Rzucił się na krzesło, obrócił niem dwa razy, krząknął i kalsnął i zaczął palcami bębnić po kolanach.

— To prawda, rzekł po chwili, ludzie to szaleńcy i lotry, zapominają o drugich, jeśli tym źle się powodzi.

I jakby chciał kogoś z tych niewdzięczników ukarać, podniósł zaciśniętą pięść do góry i z całą siłą spuścił ją na własne kolano, aż kość się ozwała.

— Mniejsza o znajomych, mówił dalej Floryan, ale są ludzie, którzy dawniej nam służyli, o łaskę naszą ubiegali się.

— Mówię panu że lotry i szelmy! przerwał z ferworem pan Izajasz, i po raz drugi spuścił pięść na własne kolano.

— Takim ludziom niepowinien Bóg dać żyć na świecie, dorzuciła Elżusia wzruszonym głosem.

— Rozbić ich w puch, rozgnieść na miazgę powinien Pan Bóg.... tak.... tak! wołał ze złością pan Izajasz, uderzając raz po raz pięścią w kolano.

— Co robisz! ozwała się pani Izajaszową, nogi połamiesz!

- Chciałbym, aby tak wszyscy ci mieli kości poalanane!
- Dobrze, ale za cóż siebie bijesz?
- Bo jestem zły na tamtych!
- Złość twoja nic nie pomoże—świat jak był zły, tak będzie! To już stara piosnka!

- Nie mów tego, bo jak wszyscy tak mówić beda, to nikt się nie poprawi.
 - My przecież, ani ja ani ty, nie mamy tak bardzo czego się poprawiać. Alboż my zabijali i mordowali?
 - Mówisz jak faryzeusz w świątyni.
- Floryan widząc, że między małżeństwem zaczyna różnica zdań objawiać się w sposób coraz gwałtowniejszy, powstał z krzesła i wziął kapelusz do ręki.
- Niech pan nie sądzi źle o nas, rzekł pan Izajasz, podając rękę Floryanowi; gdy się bliżej poznamy, może wydamy się lepszymi. Niektórzy ludzie są podobni do drzewa, które tylko za pomocą siekiery poznać można, co zasz jest. :
 - Proszę mamie klaniać się od nas, dorzuciła pani Izajaszowa.
- Elżusia nic nie powiedziała, tylko ukloniła się z żywszym afektem.
- Więc ojcu jego serce pękło! rzekła pani Izajaszowa, i spójrzała z uwagą na męża.
 - Serce pękło! powtórzyła z cicha Elżusia i zbliżyła się do fortepianu, bo w tej chwili zapragnęła smutnych, posępnych akordów.
- Pan Izajasz szybko powstał z krzesła i jakby się lękał, aby go o to nie pytano, wziął czapkę i wyszedł z pokoju. V.
- Po kilku próbach, które rzeczy wcale nie wyjaśniły, tylko wiele kwasu domowego narobiły, postanowiła pani Izajaszowa swemi drogami dojść do celu.

Najprościej szła droga była przez sługi. Janek stróż, zawiadowca i alterego w niektórych sprawach pana Izajasza, otrzymał rozkaz zbliżyć się do służącej pani senatorowej, jak ją teraz powszechnie w domu nazywano, i w tym celu nawet otrzymał do swojej normalnej pensji mały dodatek, podobny do tych dodatków, jakie zazwyczaj ministerstwo spraw zagranicznych tytułem funduszu informacyjnego w państwach parlamentarnych pobiera.

Janek użył skrupulatnie tego funduszu, kilkakrotnie zaprowadził służącą na wieczorek tańczący do narożnego szyneczku, zapłacił muzykę i wieszczę, a nawet w pocie czoła tańczył z nią przez dwie godziny.

Ale i tutaj, pani Izajaszową była nieszczęśliwą. Janek bowiem nietylko że od służącej, która była Warszawianką, nic się nie dowiedział, ale popadł nawet u żony swojej w podejrzenie, że sakrament małżeństwa na szwank naraża. A chociaż biedny agent dyplomatyczny najuroczyściej przeciw temu zarzutowi protestował, skończyło się jednak na podbiciu lewego oka i na pewnym dodatku pana Izajasza, który to dodatek różnił się wielce od datku pani Izajaszowej.

Pani Izajaszową po małej sprzeczce z mężem postanowiła porzucić obraną drogę polityki informacyjnej przez płatnych agentów i sama wzięła tę rolę na siebie.

Koniecznym warunkiem takiej polityki była potrzeba bezpośredniego zbliżenia się do pani senatorowej.

Nie było to jednak wcale tak łatwym. Senatorowa, urządziwszy swoje izdebki, zamknę

ła je dla wszystkich sąsiadów. Tylko przez nad

zwyczajne zdarzenia mogła pani Izajaszowa dowiedzieć się, że te izdebki choć skromne i małe, były jednak przyzwoicie umeblowane. Była kanapka, kilka stolików, był dywan duży, zwierciadła i kilka dosyć ładnych obrazów, które później z Krakowa nadeszły. Naczynie kuchenne było także przyzwoite i świadczyło o lepszej niegdyś zamożności senatorowej. Nawet i o rozmaitej odzieży otrzymała informacje, że była z drogiej materii, chociaż nie zupełnie modnej.

Drugi pokój zajmował Floryan syn senatorowej. Pokój ten był także wygodnie urządzone. Miał wszystko co dla młodego człowieka potrzebnym być może. Było biurko, szafka i kanapka i sofka do spania. Najciekawszą przestrzeń zajmowały książki, które w kilku pakach z Krakowa nadeszły.

Matka i syn prowadzili żywot cichy, prawie zakonny. Floryan rano wychodził do urzędu, który miał przy sądownictwie, a matka tymczasem przy pomocy sługi zajmowała się porządkiem i przyrządzaniem obiadu.

Po zjedzonym wspólnie obiadku wychodzili oboje, gdy była pora potemu, na przechadzkę. Wieczory przepędzali w domu, czytając książki. Czasami Floryan coś pisał, a matka wtedy zatrudniała się robótką kobiecą. Wyjątkowo tylko spędzali wieczorek po za domem, a wtedy najczęściej byli w teatrze na jakiej nowej sztuce lub koncercie. Zdawało się że w mieście żadnych znajomych nie mieli.

Tyle dowiedziała się pani Izajaszowa. Dalej miała ją zaprowadzić Bronisława, nauczycielka i przyjaciółka Elżusi, jak to sobie ułożyła pani Izajaszowa.

Bronisława przychodziła teraz częściej, niżeli da

wniej do Elżusi. Grywała z nią wiele i rozmawiała po francuzku całymi godzinami, które bynajmniej do płatnych nie należały.

Pani Izajaszową widziała w tem nietylko korzyść oczywistą, ale postanowiła nawet dla siebie z tych częstych odwiedzin Bronisławy skorzystać.

Bronisława odwiedziła kilka razy senatorową, którą znała z czasu pobytu swego w Krakowie. Wprawdzie to, co o niej pani Izajaszowej opowiedzieć mogła, bynajmniej nie było dla tejez wystarczającym, mogła jednak być przewodnikiem do bliższych z nią stosunków.

Plan taki pani Izajaszowej miał wielkie prawdopodobieństwo powodzenia, gdyż Bronisława bardzo temu planowi sprzyjała, a nawet sama do stosunków z senatorową panią Izajaszową zachęcała.

Zaraz po pierwszej rozmowie podjęła się swojej misji Bronisława z jak największą skrupulatnością nawet widocznie z pewną gorączką przystąpiła do pierwszych kroków. Odwiedziła senatorową i tyle dobrych rzeczy nagadała jej o pani Izajaszowej, ile tylko w rozmowę dwugodzinną zmieścić się mogło.

Senatorowa zrazu słuchała Bronisławy z pewnym lekceważącym uśmiechem. Jej twarz podłużna i ponura, przeciągała się jeszcze więcej, gdy Bronisława wyносиła pod niebiosy życie dawne prostych a uczciwych ludzi.

Z większym nieco udziałem słuchał tych słów Floryan. Widział tych ludzi już zbliżka i wyrobił sobie o nich to przekonanie, że jakkolwiek nieposiadają światowego połysku, są jednak w gruncie zacni i poczciwi, i że znajomość bliższa z nimi mogłaby dla matki być niejaką rozrywką.
W tej chwili nawet, jakby zmowa jaka między

Bronisławą a drugim piąterkiem była, ozwał się fortepian.

— Kto gra na fortepianie? zapytała senatorowa, posłuchawszy chwilę z uwagą.

— To Elżbieta, córka domu, odpowiedziała Bronisława.

Senatorowa słuchała jeszcze muzyki chwil kilka. Elżusia grała jakiś kawałek wyborowy. Surowa twara senatorowej zaczęła rozjaśniać się powoli. Z dumnego jej czoła schodziły zmarszczki.

— Nie spodziewałam się, rzekła, że u ludzi tej sfery może być wyższe zamiłowanie do muzyki. Panna Elżbieta gra wcale dobrze, chociaż na ojcu podobnych talentów nie widać.

Wymieniwszy te słowa, wydeła z dumą dolną wargę, jakby w tej chwili o swojej .godności senatorskiej marzyła.

— Zapewne tobie tylko, ten talent zawdzięcza panna Elżbieta, dodała po chwili zwrócona do Bronisławy.

Bronisława zarumieniła się i spojrzała na Floryana. .

Floryan patrzył w tej chwili na ziemię, pogrążony w myślach. Zdawało się że ani ostatnich słów matki nie słyszał, ani zarumienienia Bronisławy nie widział.

— Ja tylko dla innych pracować mogę! szepnęła zcicha Bronisława i gorące czoło spuściła ku ziemi.

Senatorowa westchnęła.

— Na innych ludzi przysła dziś kolej! odpowiedziała i z dumą wyprostowała się na kanapie, chociaż wiek i cierpienia napowrót przygięły ją na dół.

Misya jednak Bronisławy odniosła pożądany sku

tek. Po kilku dniach walki utajonej, weszła senatorowa pewnego dzystego dnia na drugie piąterko i odwiedziła panią Izajaszową motywując zaraz na początku swoją wizytę zamiłowaniem muzyki, którą często słyszy w ułamkach w swoich izdebkach.

Pani Izajaszową była prawie u szczytu szczęścia. Posadziła senatorowa na samym środku adamaszkowej kanapy, a zamiast rozmowy towarzyskiej, rozkazała Elżusi grać na fortepianie, jakie tylko zna najtrudniejsze utwory muzyczne. Niebawem nadszedł także i pan Izajasz.

Zrazu groziła chmura gradowa pani Izajaszowej. Pan Izajasz, obaczywszy senatorowa na kanapie u siebie, zacisnął pięści i prosto je ku żonie kierował, gdy nagle zagadniony przez senatorowa, stopniał odrazu jak lód w ogniu i złagodniał jak baranek.

Jakby jakiś wiatr odmienny na niego zawiął, zmienił się nagle nie dopoznania. Nietylko że ku senatorowej z miną najspokojniejszą się rzucił i jej obie ręce ze łzami prawie ucałował, ale miał nawet wielką ochota do nóg upaść i ją uściskać, gdy sobie w sam czas przypomniał że jest właścicielem dwóch domów, a senatorowa tylko najbiedniejszą

jego lokatorką. Zmienił więc objaw swego afektu i zamiast ucałowania nóg, pobiegł do piwnicy i własnoręcznie przyniósł butelkę, której treść na dukaty liczył.

Dumne czoło senatorowej rozjaśniało się coraj więcej. Tak serdeczne przyjęcie uważała wprawdzie za inny hold oddany swemu wysokiemu stanowisku, ale sposób tego przyjęcia tak ją ujął, że prawdopodobnie nawet o swoim senatorstwie zapomniała.

— A gdzie jest pan Floryan, złoty, kochany pan

Floryan! wołał w ekstazie szczęścia pan Izajasz— pamiętam....

— Co ty możesz pamiętać, kiedy pani senatorowej nigdy nie znaleźć pochwyliła szybko pani Izajaszowa.

Spostrzegł to pan Izajasz i jak piskorz wyslizgnął się z ręki małżonki:

— Pamiętam mówił dalej, jak przed kilkoma ty, godniami był u nas, to nam tyle ładnych rzeczy nagadał!... y

— Floryan innym razem przyjdzie do państwa, mówiła pani senatorowa, dzisiaj zajęty jest pracą.

— Panna Bronisława nadzwyczaj go chwali, dodał dobrodusznie pan Izajasz.

Senatorowa spojrzała z uwagą na pana Izajasza. Nic tam jednak prócz szczęścia i jakiegoś dziwnego szczęścia nie obaczyła.

— Panna Bronisława jest zacna i dobrego rodu, odpowiedziała senatorowa z powagą.

Pan Izajasz nagle posmutniał. Potarł kilka razy po czole, potem zaczął palcami bębnić po kolanach.

— Hm hm, mrucał cicho pod nosem. Dobry ród.... dobry ród, jest ród zacny pocziwy!

— Zapewne, cedziła z wolna senatorowa, chciałam tylko powiedzieć że panna Bronisława tem więcej na szacunek zasługuje, że pochodzi z dobrego rodu, nie gardzi dzisiaj pracą i sama na kawałek chleba zarabia.

— Któż kiedy pracą gardzi, jeśli nie ma co jeść? zapytał z jakimś rozdrażnieniem pan Izajasz.

— To prawda, odparła senatorowa, ale pierwej

trzeba tych ludzi zrozumieć, którzy urodzili się aby niepracować, a potem przez zbieg okoliczności pracować muszą.

— Zapewne, zapewne, podjął szybko z nagłym rozczerwieniem pan Izajasz, a przypadłszy do senatorowej, zaczął jej ręce całować, a nawet pła

kać—Prawdę wielmożna pani mówisz, a ja prosty człowiek tego odrazu nie zrozumiałem. Człowiek

który się pod płotem rodził, już od dziecka musi pracować i tak się wciągnie do pracy jak wół do jarzma, który nie myśli o tem, że tam gdzieś w stepach żyją woły bez jarzma i pług za sobą! Inaczej z koniem cugowym, gdy orać musi....

Rozmowa szła tym trybem jeszcze czas niejaki. Zdawało się pani Izajaszowej, że mąż jej jest u zenitu szczęścia, rozmawiając z senatorową. Jakże wielkie jednak było jej zdziwienie, gdy po wyjściu senatorowej zacisnął pan Izajasz pięść szeroką i sromotnie żonie nią pogroził.

— Czegoście ją tutaj sprowadzili? zawołał gniewnie, czy chcecie, żebym z domu uciekł?... Czy nie dość że mieszka ze mną pod jednym dachem? Wołałbym przez ten czas być w piwnicy siedzieć!

Pani Izajaszową rozpoczęła "długą litanią skarg i interpelacji do dziwaczącego od niejakiego czasu małżonka, ale pan Izajasz, uchylając się od możliwej klęski, wyniósł się prędko za drzwi i nie obejrzał się aż na ulicy.

VI.

Czy to jest już takie fatum na świecie, że niezawsze zbierają ci, którzy posiali, czy to właściwiej jest dowodem opatrności Boskiej, że z ego

istycznych robót ludzkich zupełnie inni korzyść odnoszą—dosyć że z robót dyplomatycznych pani Izajaszowej i z wyświadczonej przysługi Bronisławy wywiązało się zupełnie co innego, od tego, do czego dążono.

Tajemnica, jaka okrywała stosunek pani senatorowej do pana Izajasza, pozostała nadal tajemnicą, mimo wszelkiego kobiecego sprytu, na jaki tylko pani Izajaszowa zdobyć się mogła.

Pani Izajaszowa dowiedziała się o całej prawie przeszłości senatorowej, a w niej nie było nic takiego, coby Izajaszowi mogło dać powód do szczególnych alteracji na widok tej kobiety. Senatorowa знаła pana Izajasza od czasu, jak poraz pierwszy o mieszkanie go zapytała.

Mimo więc wszelkiego zbliżenia się do senatorowej, nie postąpiła pani Izajaszowa ani kroku naprzód. Mimo to jednak nie opuszczała ją ciekawości każda rozmowa z lokatorką lub jej synem była dla niej nadzwyczaj upragniona.

Z tego powodu nie zaniedbywała żadnej sposobności, aby senatorowej nie odwiedzić, lub jej do siebie nie zaprosić.

Senatorowa była często sama. Floryan wychodził do miasta lub miał jakie prywatne interesy. Korzystając więc z sentymentu państwa Izajaszów, brała często robótkę do ręki i wychodziła na drugie pięterko.

Rozumie się że w takim razie Floryan przychodził po nią, gdy wrócił do domu. A gdy przyszedł, proszono go usiąść i albo wziąć udział w rozmowie, lub słuchać muzyki.

Floryan robił jedno i drugie i powoli przyzwy

czał się do tych konwetsacyjnomyzykalnych wieczorków.

Bywało nawet że wracając po całodziennej pracy do domu, już z najwyższego punktu Mostowej ulicy patrzył w okna kamienicy żółtoczerwonej, gdzie się światło znajduje. I widocznie twój jego rozjaśniała się, gdy na pierwszym piętrze obaczył ciemne okna....

Było to tylko przyzwyczajenie, ale nie więcej, jak to często sam do siebie zwykł był mawiać.

Przyzwyczał się więc powoli do herbatki podawanej rączką Elzusi, do jej nieładnej twarzy, która jednak czasem wcale ładną była—przyzwyczał się do muzyki wcale niezłej i do komicznych dziwactw pana Izajasza, który wprawdzie wynalazkiem prochu nie groził, był jednak rzadkiej zacności i poczciwości człowiekiem.

Wprawdzie .bywała czasem na tych wieczorkach i Bronisława, ale nie bywała tak często, aby się do niej miał tak samo, jak do innych, przyzwycząić.

Bronisława przesuwiała się rzadko po cichein niebie tych wieczorków domowych, ale przesuwiała się zawsze z powagą, niepokojem, jak kometa jaki.

Należało to wprawdzie do rozmaitości wieczorków, ale zostawiało zawsze jakieś wspomnienie drażniące.

Jeżeli bowiem Elżusia zachowaniem swoim nigdy po za sferę kobiecą nie wyszła. Bronisława wchodziła na wieczorek jak młoda wilczyca, na chwilę z łańcucha menażeryi spuszczonej.
Słowa jej były niezwykle. Okazywały jakieś bolesne rozdrażnienie duszy i rzucały przykre oskarżenia na cały świat i na ludzi. Miała do nich

żał jakiś, którego bliżej nie określała. Zarzucała im egoizm, lamentowała nad brakiem wyższych uczuć i oskarżała ich o zabójstwo najpiękniejszego z uczuć ludzkich, jakim jest miłość.

Przeciwko pięknej instygatorce występował najczęściej Floryan i brał w obronę biednych, zaocznie skazanych ludzi. Pomagała mu w tem Elżunia z cichym westchnieniem w piersiach na widok swojej twarzyczki w zwierciadle.

Mniemała bowiem, że powszechnie tylko ładna kobieta może być kochaną. Floryan jednak prowadził obronę w ten sposób, że Elżusia czasem nawet jej twarz nieładna nie sprawiała bardzo przykrego wrażenia.

Gdy obrona przy wspólnych siłach tak daleko postąpiła, że Bronisława już więcej argumentów w pogotowiu nie miała, wtedy najczęściej łzami kończyła dysputę, albo zasiadłszy do fortepianu, z taką dziką namiętnością grała, jakby w jej piersi ukryty był wulkan pełen lawy palącej.

Pani Izajaszowa w takim razie lękała się o fortepian, senatorowa ganiła zbyt głośne uderzenia klawiszów, a Floryan nazywał ją żartobliwie żeńskim Wagnerem, mistrzem muzyki przyszłości.

Bronisława odpowiadała na to połyskiem łez w oczach, którym jednak nie pozwalała wypływać na twarz, aby je ludzie obaczyli.

Gdy Bronisława po takim wzruszeniu wyszła, wtedy najczęściej rozmawiano o nieobecnej.

— Nie wiem co się stało od niejakiego czasu Bronisławie, mówiła raz Elżusia; dawniej była wcale inną. Choć zawsze miała jakiś żal do ludzi, dzisiaj nie może już mówić o nich bez rozdrażnienia.

— Niech to was bynajmniej nie dziwi, odpowie

działa senatorowa, biedna sierota gorzko na chleb pracuje. A może też i inna jaka ukryta przyczyna....

— Jakażby mogła być ta przyczyna? zapytała Elżusia z pewnym niepokojem.

— Być może że gdzie serduszko zraniła!

— Ona jest tak piękna i miła! któżby ją mógł zranić, nie odwdzięczywszy się wzajemnością?

— Na szerokim świecie bywają różne sytuacje.... Ona me ma posagu, a posąg u panny jest dzisiaj prawie wszystkim. Elżusia westchnęła i zamyśliła się. Pani Izajaszową przyznała bez ogródki słusność Senatorowej, a pan Izajasz kiwał głową, jakby się także z tem zgadzał zupełnie.

Floryan patrzył przed siebie zamyślony i prawdopodobnie całej tej rozmowy wcale nie słyszał.

Tym trybem mijały tygodnie i miesiące.

Ciekawość pani Izajaszowej nie została wprawdzie zaspokojoną, ale zato była poniekąd wynagrodzoną.

Z prostej bowiem ciekawości zaszła w bliższe stosunki z senatorową, aby z tego zbliżenia się dowiedzieć się o tajemnych powodach irytacji swego męża. Tych powodów dotąd wynaleźć nie mogła, ale znalazła przyjemność

obcowania z kobietą, która mając wykształcenie niepospolite, umiała się do niej zastosować i jej domowi już samą osobą swoją dodawała pewnego blasku. To więc co dawniej było u niej środkiem, stało się teraz celem. Z czasem przyzwyczała się do dziwactw męża i brała je za skutek niepowodzeń jego handlowych, który w ten sposób objawił się w najbliższych domowych stosunkach.

Senatorowa zaś, jak się zdaje, z innego wychodziła stanowiska, utrzymując ten rodzaj stosunków przyjaznych z domem pana Izajasza.

Była to kobieta niepośledniej dumy. Na jej czole malowała się jej dawna przeszłość. Nie zapomniała tego, że niegdyś była żoną męża, zajmującego w hierarchi społecznej tak wysokie stanowisko.

Dzisiaj przez zmianę stosunków i widoczne ubóstwo, nie mogła godnie między ludźmi nosić swego nazwiska. Uciekła więc od nich i otoczyła się samotnością. Dom zaś pana Izajasza uważała niejako za przypadkowe sąsiedztwo, które sprawiało jej potrzebną rozrywkę, tak jak czasem za granicą przypadkowy sąsiad w restauracji, z którym rozmawiając, nie pytany kto on jest i jak się nazywa.

Słowem senatorowej zdawało się, że żyjąc z ludźmi nie swojej sfery, żyje prawie incognito, nie udzie łąjąc się swemu towarzystwu. Że tak było, a nie inaczej, dowodzi ten fakt, że senatorowa nigdy do państwa Izajaszów nie przysła, gdy mieli większe towarzystwo sąsiadów u siebie. Martwiło to wprawdzie panią Izajaszową, ale senatorowa umiała zawsze tak zręcznie wytłumaczyć się ze swojej nieobecności, że pani Izajaszowa nigdy prawdziwego powodu nie spostrzegła. Za to spostrzegła coś z tego bystrzejsza Elzusia ale spostrzeżenia swoje trzymała w ukryciu, aby przy diwactwach ojca nie dolewać oleju do ognia.

Taką była sytuacja mieszkańców pierwszego i drugiego piąterka, gdy pan Izajasz w konsekwencji ukrywanej tajemnicy wyprawił wszystkim nieprzewidzianą niespodziankę.

Już dawniej były spory między małżeństwem o przeniesieniu mieszkania swego na Podwał.

Pan Izajasz miał drugi dom przy ulicy Podwał, która w hierarchii ulic stołecznych zajmowała wyższe stanowisko od Mostowej. Dom ten, jakkolwiek niewielki rozmiarem, miał jednak balkonik, a nie miał żadnej kałuży przed progiem. Pani Izajaszową dawno marzyła o tym balkoniku, ale pan Izajasz był nieubłagany. Piąterko z balkonem przynosiło dosyć spory czynsz, a na Mostowej trudno nawet było o jakiego lepszego lokatora.

Na tym argumentie rozbijały się wszelkie marzenia pani Izajaszowej, chociaż ją nawet dosyć walecznie Elzusia popierała. Pan Izajasz nie chciał o tem słyszeć.

Pewnego jednak poranku, gdy pani Izajaszową przy ustawicznym rozdrażnieniu i dziwactwach małżonka, nawet wcale o tych zachciankach swoich nie marzyła—wpadł pan Izajasz w dziwnym usposobieniu do pokoju i zaraz na wstępie rzekł do żony:

— Postanowiłem przeprowadzić się na Podwał!

Prędzej mogła się pani Izajaszową Bóg wie czego spodziewać, ale nie tego postanowienia.

Spojrzała więc z uwagą na męża i nic mu na to nie odpowiedziała.

Milczenie pani Izajaszowej rozdrażniło jeszcze więcej pana Izajasza. Przy ustawicznej o to przeniesienie wojnie domowej, spodziewał się pan Izajasz, że objawieniem swej woli sprawi wszystkim niewypowiedzianą radość. Tak jednak się nie stało. Pani Izajaszową nie tylko nie krzyknęła z radości,

ale nawet czoło jakby z nieukontentowania zmarszczyła.

Była to na twarzy pani Izajaszowej taktyka nader zręczna. Sprytem kobiecym odgadła, że to nagłe postanowienie męża ma jakiś powód ukryty, który on przed nią chowa z zawiścią. Przeczowała również że tym powodem nie mógł być nikt inny, jak tylko senatorowa. Postanowiła więc przyprzeć męża do muru, aby ostatecznie wydobyć z niego ukrywaną tajemnicę.

Spokojnie więc patrzyła dalej na męża, jakby słowa jego nie miały dla niej żadnego znaczenia.

— Cóż ty na to, Anusiu? ozwał się po chwili pan Izajasz.

— Co ja na to? cedziła powoli przez zęby pani Izajaszowa, ja na to tyle tylko mogę ci odpowiedzieć, że o przeniesieniu na Podwał dzisiaj ani myślę!

— Jakto? Wszak niedawno nie dawałyście mi z Elżusią spokoju, tylko terkotałyście ciągle jak dwie terkotki.

— Przecież ludzie zmieniają z czasem swoje zachcianki, jeśli więcej doświadczenia nabierają.

— Cóż to jest? Dalibóg nie rozumiem cię!

— Zamiast się cieszyć z tego, że jesteśmy rozsądniejsze, ty się gniewasz i unosisz!

— Cóż to jest za rozsądek mieszkać na Mostowej, jeśli można na Podwalu?

— Czyż dotąd nie było to rozsądkiem? Któż się dotąd opierał naszym nierozsądnym zachciankom?

— Ależ Anusiu.... dalibóg.... nam trzeba koniecznie przenieść się na Podwał. Już lokatorom wypowiedziałem mieszkanie, a nawet wynagrodziłem ich!

— To bardzo nierozsądnie z twojej strony. Lokatorowie płacili czynsz wysoki, a za te izdebki trzeciej części nie będzie.

— Przecież dla Elżusii trzeba jakąś ofiarę zrobić.

— Większą ofiarą będzie dla niej posag, a nie marnotrawienie pieniędzy dla głupiej ostentacji. Kto ją zechce znaleźć, ten znajdzie ją i na końcu Mostowej ulicy.

— Co też za głupstwa mówisz, Anusiu!

— Słowo w słowo, tak samo mówiłeś dawniej do mnie, gdy chciała przenieść się na Podwał.

Pan Izajasz spostrzegł że się sam złapał. Wydarł sobie garść włosów, a odfuknął z gniewu i rzekł:

— Z kobietami nigdy człowiek do ładu nie dojdzie. Myślałem że wam zrobię Bóg wie jaką radość.

— Być może że dawniej byłoby to dla nas radością. Ale dzisiaj, gdy mamy tutaj tak miłe sąsiedztwo, gdy Elżusią z towarzystwa senatorowej i jej biblioteczki wiele skorzystać może, dzisiaj byłoby wielkim nierozsądkiem ruszać się z miejsca na to, aby się więcej doróżek turkotało przed naszymi oknami.

Pan Izajasz zatrząsł się z gniewu. Spostrzegła to żona i uśmiechnęła się nieznacznie z zadowolenia.

— Droga Anusiu, zawołał rozpaczliwie pan Izajasz, my musimy koniecznie ztąd się wyprowadzić.

— Mówiłam ci, że tracąc sąsiedztwo senatorowej, tracimy bardzo wiele.

- Ależ, na Boga, ja właśnie dla tego sąsiedztwa chcę się wyprowadzić.
- Dla sąsiedztwa senatorowej?... Nie, tego nie rozumiem! Nic nie rozumiem!
- Wiem że nie rozumiesz, ale tak być musi!

- Mówisz od rzeczy!
 - Anusiu, zlituj się, nie pociągaj mnie za język.
 - Zresztą, jeśli senatorowa tak ci zawadza, to lepiej jej wymówić mieszkanie, nizeli ruszać się z miejsca.
 - O nie, nie, nie! Broń Boże! Niech mieszka jak najdłużej! Niech mieszka, choćby nic nie płaciła.
 - Tego już nie rozumiem!... Izajasz, dwadzieścia lat żyjemy z sobą!... Cóż tobie jest?... Masz czoło gorące, ręce ci drżą, czy się iskrzą jak u obłąkanego?
- Słowa pani Izajaszowej podziały na miękkie serce męża. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.
- Anusiu, jeśli mi dobrze życzysz, jeśli chcesz abym na prawdę nie stał się obłąkany, to nie pytaj mnie o nic więcej, tylko powiedz, że przeprowadzisz się na Podwał. Mnie tutaj strasznie duszno!
- Pani Izajaszowa naprawdę zaczęła przeczuwać jakieś wielkie nieszczęście. Rozpłakała się i rzuciła mężowi na szyję. Pan Izajasz już dawno takiej tkliwości z jej strony nie doświadczał. Rozpłakał się także, uściskał i ucałował wierną towarzyszkę życia i ostrożnie, jakby była istotą najsłabszych nerwów, posadził na krześle.
- Pani Izajaszowa płakała ciągle, a nawet dały się spostrzegać początki spazmów.
- Przestraszył się tego pan Izajasz, schwycił ją za rękę, aż rękaw w kilku miejscach się rozpruł, i na pół z płaczem zawołał:
- Jeśli koniecznie tego żądasz, to ci powiem! Ale zlituj się, to będzie źle!
 - Nie gorzej jak jest! Łkała pani Izajaszowa.

- Więc słuchaj!... Czy Elżusi niema w alkierzu?
 - Poszła do senatorowej.
 - A służąca?
 - Jest w piwnicy.
- Pan Izajasz sprawdził jeszcze to wszystko i ostrożnie drzwi za sobą zamknął.
- Powróciwszy, usiadł przy żonie, a smutek oblał twarz jego.
- Są rzeczy, ozwał się po chwili z westchnieniem, o których i najlepszej żonie nic się nie mówi. Zmuszasz mnie jednak do tego i spodziewam się, że to, o czym ci powiem, zostanie tajemnicą przed całym światem, przynajmniej co się mnie tyczy!
- Pani Izajaszową przyrzekła święcie dotrzymać tajemnicy, a serce jej drżało z radości, że raz położy koniec ciekawości.
- Poznałaś mnie, serce, zaczął pan Izajasz, gdy w porządnej kapocie z czerwoną podszewką i z trzosem ładownym holenderskim złotem wrócił z Gdańska. Nie znałaś mnie jednak, gdy miałem lat dziesięć lub dwanaście.
 - A gdzie wtedy byłeś?

— Wtedy byłem w Krakowie. Nie miałem rodziców i mieszkałem u krewnego, który był w domu nieboszczyka senatora, męża pani senatorowej....
Tu zaksztusił się pan Izajasz.
— Zapewne za rządcę, dopomogła pani Izajaszową.
— O nie, wcale nie! odparł smutno pan Izajasz.
— A czemu?
— Stróżem! cicho wyszepnął pan Izajasz i smutno zwiesił głowę.
— Stróżem? powtórzyła pani Izajaszową i obej

rzała się do koła, czy ściany przypadkiem tego słowa na ulicę nie podały.

Twarz jej poczerwieniała, oczy błysnęły złością.

— Nie gniewaj się, Anusiu, któż temu winien, jak się urodził? Mówiłem ci, że o takich rzeczach nigdy się nie mówi.

— Mów dalej, mów dalej! Jesteśmy sami, szepnęła zcicha pani Izajaszowa.

— Otoż będąc na losie swego krewnego, wyręczałem go czasem w jego robotach. Zamiatałem sień i nosiłem wodę. Głównym moim zatrudnieniem było wycierać posadzkę u państwa seuatorstwa.

Pani Izajaszowa westchnęła. Ciemny rumieniec oblekł jej twarz okrągłą i dobrze utoczoną.

— Byłem ubogim chłopkiem w czarnej konopnej koszuli. Pokoje senatora były dla mnie jakby kościół jaki. Ze strachem suwałem nogami po posadzce i bałem się oddychać całą piersią, aby tego pańskiego powietrza nie wiele spotrzebować. Robotę swoje uważałem za wielki honor....

— Piękny mi honor! zcicha szepnęła pani Izajaszowa.

— Gdybyś była na moim miejscu, nie myślałabyś inaczej!.. Tak trwało kilka lat. Potem stało się w domu senatora wielkie nieszczęście!

Umarł senator nagle—mówią że mu serce pękło.

— Każdy człowiek umierać musi.

— To prawda, ale to co potem nastąpiło, tego nigdy w życiu nie widziałem! Senator był człowiek zasłużony, więc kto żył poszedł na pogrzeb. Zaczawszy od rynku aż na Wesołą tak było pełno, żeby szpilka nie upadła na ziemię. Trumnę nieśli naj

więksi panowie miasta, a za trumną szła senatorowa z małym synkiem. Był to ten sam syn Floryan.

Pani Izajaszową milczała. Oczekiwała ona jakiejś innej, daleko drastyczniejszej tajemnicy.

— I cóż w tem wszystkim jest tak dziwnego? zapytała po chwili.

— Co jest dziwnego? Czy tego sama nie widzisz? Czy sądzisz że ja mogę zapomnieć o tem, że nigdy wycierałem posadzkę u tej kobiety, że byłem prostym posługaczem, podczas gdy ona była tak wielką panią, a przy pogrzebie męża wyglądała istnie jak królowa!... I ja... i ja... mizerak i posługacz od stróża, a dzisiaj właściciel dwóch domów w Warszawie, mam być panem tej kobiety, która dzisiaj jest najbiedniejszą moją lokatorką?... Nie, każde jej spojrzenie przypomina mi moje robotę w jej domu, obawiam się że mnie pozna i po dawnemu traktować będzie!... Ty nie wiesz

co to jest widok człowieka, który nam ustawicznie to przypomina, czegobyśmy radzi wyprzeć się na zawsze! Czy lichy ją tutaj do nas przyniosło?.. Gdyby sąsiad Tomasz o tem coś wiedział...

— Pst! ozwała się pani Izajaszową i położyła palec na ustach.

— Sza, nikomu ani słówka o tem!... Z drugiej strony nie zniósłbym tego, aby ona z mego domu wyprowadzić się miała! Łzy w oczach mi stają, gdy sobie przypomnę, co to za państwo byli. A ja, com u nich posadzkę wycierał, ja mam dzisiaj dwa domy i jeszcze coś w trzosie!... O co to na tym pogrzebie było! Złotą karetę posłali po nią panowie na cmentarz, aby ją do domu zawieść!... Nie, jabym jej nawet nie powiedział, gdyby mi komornego wcale nie płaciła! Nicbym jej nie wziął i wyprowadzić

nie dałbym jej się.... Tylko nie chcę, aby mi to wszystko przypominała! Dlatego wyprowadzimy się na Podwał.

— Dobrze, wyprowadzimy się na Podwał, odrzekła pani Izajaszowa nie wiedząc, czy z dzisiejszej rozmowy ma się cieszyć, czy smucić.

Przeprowadzenie się na Podwał sprawiło jej wprawdzie zadość, ale z drugiej strony drzewo rodowe pana Izajasza wprawiło ją w lekką zadumę. Teraz dopiero wytłumaczyła sobie niektóre chropowatości charakteru swego małżonka, a jako mieszczanka czystej krwi i córka właściciela domu, poczuła się nagle w sytuacji kobiety, która uczyniła mezalians.

Nie wiedział o tem pan Izajasz i zadumę małżonki wziął za objaw serdecznej zgody małżeńskiej. Uradowany tak szczęśliwym zakończeniem tajemnicy, objął ją tkliwie na około szyi i na oba policzki złożył dwa głośne pocałunki.

VIII.

Gdy pan Izajasz żonie swojej tajemnicę swego pochodzenia opowiedział, zastrzegł sobie wyraźnie, aby ta tajemnica między nimi została. Domowe jednak dzieje nie pozwoliły jednej stronie dotrzymać tych warunków.

Zaraz przy wyprowadzeniu się na Podwał, zdarzyła się sposobność do tego. Pani Izajaszowa głośno i przed wszystkimi nazwała męża prostym chłopem, który w piecu palił w kamienicach i był stróżem. Narzekała na swoje nieszczęście, że przypadek związał ją z takim człowiekiem, który jej pojąć

ani zrozumieć nie może, nie będąc równym jej w urodzeniu.

Elżusia słyszała to także i zmartwiła się. Wolałaby tego niewiedzieć. Stała się podejrzliwa i badała z uwagą zachowanie się swoich znajomych, czy czego nie obaczy.

Wprawdzie ta zła wiadomość miała i dobrą stronę. Dowiedziała się przytem szczegółów o senatorowej, a Floryan mianowicie przybierał w jej żywej wyobraźni coraz jaśniejsze barwy. Jakoś już innem okiem patrzyła na niego, i zdawało się jej nawet, że i on inaczej spogląda.

Wyprowadzenie się na Podwał nie sprawiło w stosunkach sąsiedzkich wielkiej zmiany, jakby na pozór sądzić można. Dawni sąsiedzi, jako też i senatorowa, przychodzili często do państwa Izajaszów, ale zawsze nie tak często jak dawniej.

W tym względzie ulżył sobie nieco pan Izajasz, ale z drugiej w ustawicznej był trwodze, że pani Izajaszową przy pierwszej lepszej burzy domowej wszystko pani senatorowej wyśpiewa. Złagodniał więc jak baranek i nie dziwaczył wcale, gdy senatorowa do jego domu na Podwał przyszła.

Jakkolwiek senatorowa dawne stosunki z Podwałem zatrzymała, podejrywał jednak pana Izajasza, że jako szczęśliwy dorobkiewicz, chce się piąć coraz więcej, i w tym celu opuścił ulicę Mostową, gdzie dla siebie odpowiedniej drabiny nie znalazł.

Podrażniło to trochę dumną a ubogą kobietę, której towarzystwo uważano za niewystarczające. Zamknęła to jednak w sobie, i nikomu nie dała do poznania. Bywała jednak rzadziej i to wtedy dopiero, gdy na nią mocno nalegano, albo gdy Floryan tego sobie życzył.

Floryan zaś był odmiennego od matki zdania. Przeniesienie się pana Izajasza u Podwał sprawiło mu pewną próżnię, której nie miał czym zapełnić. Pewnie i choć w swojej izdebce siedział, zdawało mu się że nie jest sam. Potrzebował tylko z izdebki klika, schodów wejść na górę, a mógł już być w towarzystwie Elżusi i Bronisławy. Nawet mógł w swojej izdebce słuchać ich gry, gdy razem u cztery ręce grały.

Teraz jakoś inaczej rzeczy się przedstawiały. Na Podwał nie było wprawdzie daleko z ulicy Mostowej, ale nie było to już w jednym domu i pod jednym dachem. Gry słyszeć nie można było, ani śmiechu wesoło rozmawiających przyjaciółek.

Nie można było również wchodzić do domu o każdej porze dnia i godzinie, jak to dawniej bywało. Przyjście na Podwał miało już niejako pozór wizyty, której często powtarzać nie było można. Wprawdzie znalazła się znowu sposobność powtórzenia takich wizyt, ale potrzeba było zawsze szukać i stwarzać taką sposobność, co niemało czasem myśli i sprytu kosztowało.

Najlepszą i najwygodniejszą sposobnością do tego były książki. Elżusia lubiła czytać, a czytała jakoś tak prędko, że najmniej co trzy dni trzeba było nowej książki, albo przynajmniej innego tomu.

Odwiedziny więc Podwała mogły się tylko co trzy dni odbywać. Floryanowi było to zamało, bo dawniej przyzwyczaił się był do codziennego prawie bywania w domu pana Izajasza.

Zostawało mu między jedną a drugą wizytą dwa dni wraz z długimi wieczorami. Ponieważ innych znajomości nie miał, a nawet ze względu na matkę nie pragnął, poświęcał więc te wieczory pracy, któ

ra kiedyś mogła go zaprowadzić na wyższe stanowisko.

Niewiedzieć jednak czy to z przyzwyczajenia, czy też z innych jakich powodów, wśród tej pracy przychodził mu często na myśl dom pana Izajasza, w którym wprawdzie nie było żadnej wyszukanej rozrywki, ale była prostota i swoboda, była cicha i spokojna atmosfera, bez piżma i paczuli, i innych odurzających narkotyków.

Elżusia albo grała, albo rozmawiała z rozsądkiem i z widoczną chęciowością rozszerzenia horyzontu swojej wiedzy.

Podobało się to Floryanowi, i powoli, sam nie wiedział jakim sposobem, został nauczycielem Elżusi tego o czym ona jeszcze nie wiedziała.

Dla Elżusi wybaczał nawet wiele pani Izajaszowej, która nieraz dziwne, zaściankowe objawiała zdanie, co do poglądu na świat i ludzi.

Pana Izajasza polubił serdecznie, jako człowieka prostego, ale w swojej prostocie szczerego i poczciwego. Pan Izajasz nie sięgał nigdy po nad skalę swego rozumu i nie potraçał nigdy o ten ton fałszywy, jaki często dał się słyszeć w rozmowie i zachowaniu się pani Izajaszowej.

Do tego dołączyło się jeszcze zachowanie się pana Izajasza względem niego.

Pan Izajasz widział w nim zawsze owego małego chłopczykę, którego podczas pogrzebu świętej pamięci senatora krakowskiego, obecni podawali sobie z rąk do rąk, składając w synu winny hołd pamięci zasłużonego dygnitarza, i czyniąc niejako folgę wezbranemu swemu uczuciu w owym dniu pamiętnym, a tak srodze bolesnym.

Jakkolwiek pan Izajasz nie pojmował w całości tego pamiętnego wydarzenia, jednak instynktowo wi

dział w synu św. pamięci senatora spadkobiercę tego, co się zacnemu ojcu należało.

Był więc dla niego z taką czcią i szacunkiem, tak wyraźnie przy każdej sposobności wyróżniał go od innych, tyle okazywał mu prawdziwego przywiązania, że Floryan był niejako zniewolony do odwdzięczenia się mu równą przyjaźnią i równym uczuciem. Niewiedząc jednak o powodach, które sentymentem pana Izajasza kierowały, szukał ich w ukrytych zamiarach ojca względem swojej jedyńaczki.

Myśli takie przychodziły mu często do głowy, i coraz więcej zaczęły go w pracy jego turbować.

IX.

Pewnego dżdżystego wieczora późnej jesieni przyszedł Floryan na Podwał z książkami dla Elzusi.

Rodziców niebyło w domu, tylko Bronisława siedziała przy fortepianie i rozmawiała z przyjaciółką.

Gdy Floryan wszedł do pokoju, Elzusia pośpieszyła do swego fortepianu, a Bronisława odstawiła szybko świecę od siebie, aby jej twarzy, która w tej chwili oblekła się ciemnym rumieńcem, nie widziano.

— Zapewne przerywam wzajemne zwierzenia się, zagadnął Floryan, z uśmiechem podając Bronisławie rękę.

— Mylisz się pan—odpowiedziała Bronisława, kobiety nigdy nie zwierają się sobie.

— Jakto? Nawet przy największej przyjaźni?

— Nawet przy największej przyjaźni.

— Cóż ty mówisz, Bronisławol—ozwała się Elzusia, i żartobliwie załamała ręce—jam myślała że ty z wszystkiego zwierzyłaś się mnie, a ty ukrywasz tajemnicę!

— Ukrywam tajemnicę? powoli wykrztusiła Bronisława, jakby ją co dławilo — ja żadnej tajemnicy nie ukrywam! Są rzeczy których ukrywać niepodobna, a jeśli mimo to nikt ich nie widzi, to przestają istnieć i giną.

— Nie zgadzam się z tobą.

— Bierz przykład sama z siebie. Ja cię nie posądzam o ukrywanie jakiej tajemnicy przedemną, choć mi o niej nigdy nie mówiłaś— a to z tej prostej przyczyny, że tę tajemnicę widzę i wyraźnie ją czytam.

Elzusia zarumieniła się i spuściła oczy w ziemię.

Floryan spojrział na nią. Twarz Elzusi, zwykle wcale nieładna, wypiękniała w tej chwili dziwnym sposobem.

Mianowicie usta złożyły się do tak pięknych linii, jakie tylko w obrazach Murilla i Kaiuela podziwiać możemy.

Floryan nie widział jeszcze Elzusi tak pięknej.

Szlachetne, piękne uczucie jest w stanie twarz każdej, choćby wcale nie ładnej kobiety, przeobrazić, jeżeli opanuje całą jej duszę.

Być może że Elżusia była w tej chwili życia, że właśnie to wejrzenie Floryana, zeszło ją, gdy długo żywione marzenia w całym blasku stanęły przed jej duszą!....

W takiej chwili każda kobieta musi być piękną.

Floryan przez kilka chwil patrzył na nią. Sprawiało mu to jakieś dziwne uczucie. Czuł się w tej chwili szczęśliwszym, niżeli kiedykolwiek w życiu.

I byłby jeszcze dłużej tak stał i patrzył, gdyby nagle nie ogarnęło go uczucie, że ktoś patrzy na niego.

Odwrócił oczy od Elżusi i spotkał się z dziwnym, gorejącym wejrzeniem Bronisławy.

Duże, wymowne oczy Bronisławy były szeroko otwarte i patrzyły na niego z głębokim wyrazem.

Był w nich żal i boleść, a wzrastający coraz więcej połysk kazał wnosić, że tam pod powieką zbierają się łzy, i lada chwila ztamtąd wypłyną....

Łzy jednak nie wypłynęły, ale zato rozległ się dziwny, metaliczny śmiech, któremu kilka silnych akordów fortepianu zawtórzyło.

— Ha, ha, ba! śmiała się Bronisława, Elżusia wzięła na prawdę moje żartobliwe słowa, i z uroczystością katechumenki załatwia pierwszy rachunek ze swoim sumieniem.... A jak też cudownie przy tem wygląda! Patrz pan, panie Fioryanie!

— Patrzyłem, odpowiedział Floryan z utajonym gniewem, patrzyłem, ale pani spłoszyłaś innie — dysonansem.

— Bo ja cała jestem dysonansem.

— Trzeba się nastroić do świata.

— Dzisiejszy.... deszcz mnie rozstroił.

— Wierzę — aby się z panią nie sprzeczać, na mnie bowiem wpłynął inaczej deszcz dzisiejszy.

— Widzę!

— W innym razie byłyby oczy pani niebezpieczne.

— W tym razie ponoszę sama karę za swoje oczy.

— Czyż dobrze widzieć jest źle?

— Ach! Niema większego nieszczęścia, jak — dobrze widzieć!

— Nie rozumiem pani.

Bronisława przesunęła ręką po czole, zamyśliła się na chwilę, a potem rzekła:

— Są naprzykład rzeczy, któremi pieścimy się w naszych marzeniach. Czasami są one nawet jedynym szczęściem naszym. Im dłużej zostajemy w tych złudzeniach, tem lepiej dla nas. A pomaga

nam do tych złudzeń, jeśli mamy wzrok krótki na rzeczywistość, która nas otacza. Ludzie z bystrym, dalej sięgającym wzrokiem muszą nieraz tracić to rozkoszne złudzenie.

— Czyż błąd lepszy od prawdy?

- Nur der Irrthum ist das Leben, und die Wahrheit ist der Tod! mówi poeta niemiecki.
- Pani znasz poetów niemiecki h?
- Panna bez posagu, (ostatnie słowo wymówiła Bronisława z dziwnym przyciskiem) pamui bez chleba powszedniego musi wiele umieć, aby pracować na ten chleb powszedni.
- Czyż tylko pieniądze są posagiem panny?
- Bronisława rozśmiała się na to głośnym, metalicznym śmiechem, w którym dźwięczały ukieś dziwne, jakby żelazne struny.
- Czyż tylko pieniądze są posagiem panny? pytasz pan bez śmiechu i ironii... O, zapytaj pan o to każdego z mężczyzn, zaczawszy od studenta w ciasnym mundurku, aż do radcy spraw iedliwości! Zapytaj pan ich, a otrzymasz pan odpowiedź, że podobnego frazesu niema nawet w encyklopedya przez młodzież i profesorów wydawanej.
- Obawiam się, abys pani tą ironią i tym sarkazmem nie natchnęła panny Elżbiety.
- Bądź pan o nią spokojny. Ona żyje w innych warunkach i z młodą wiarą przyjmuje to za prawdziwe szczęście, co w gruncie rzeczy może być tylko wyuczonym frazesem.
- Czemuż mnie tak zasmucasz? zapytała Elżusk
- Bo ci dzisiaj — zazdroszczę!
- Dlaczego tylko dzisiaj?
- Na to sobie pierwej sama odpowiedz. Floryan z pewnym niesmakiem słuchał tej rozmo

wy. Jakkolwiek do takich sarkastycznych wycieczek Bronisławy był przyzwyczajony, dzisiejsza jednak rozmowa sprawiała mu przykre wrażenie.

Pod tem wrażeniem cofając się w głąb swoich myśli nie spostrzegł wcale, że piękne usta Bronisławy drżały kurczowo, aby się do płaczu nie zło żyć, aby cisnące się do oczu łzy powstrzymać.

W ostatecznej chwili dopomógł jej fortepian. Uderzyła z całą siłą w klawisza i po kilku wzniosłych, na marsz pogrzebowy zakrawających akordach, rozpoczęła jakąś precudną improwizacyą, w której prawie bez jej wiedzy wiązała się smutna, rzewna melodya.

Elżusia usiadła z dala od fortepianu na małej kanapce.

Obok nit j zajął miejsce Floryan.

— Bronisława, ozwała się Elżusia, naprowadza mnie zawsze na smutne myśli. Na jej miejscu czułabym się bardzo nieszczęśliwą!... Co może czynić ją tak nieszczęśliwą?

— Sieroctwo jest wielkiem nieszczęściem, odpowiedział w zamyśleniu Floryan.

— Czasami może być ono szczęściem.

— Jak pani to rozumie?

— Jeżeli ją kto kochać będzie, to będzie to miłość prawdziwa!

— Czy sądzi pani, że są jakie miłości nieprawdziwe?

— Czasami może ktoś tylko posagu pragnąć.

— Wydarza się to bardzo często.

— A jeżeli do tego sama panna nic jest ładną.... Bronisława mówiła mi, że niedawno przyjechała do miasta jakaś milionerka arcybrzydka. Zaraz w pierwszych dniach otoczyło ją grono młodych

ludzi, a nawet z tego powodu były już pojedynki między nimi... Mój Boże, jak nieszczęśliwą jest ta milionerka!

— Zależy od niej aby nią nie była.

— Jakież jest sposób na to?

— Umieć rozróżnić szych od złota, wyuczony frazes od głosu prawdziwego uczucia. Nic uważać tego miliona za szczebel do podniesienia się w hierarchi towarzyskiej, czyli po prostu nie kupić sobie wyszarzałego człowieka z herbową koroną, która na drzwiczkach karety ma jakieś znaczenie, ale duszy kobiecej nie zapełni, jeśli ta dusza jest jeszcze jako tako zdrową.

Elżusia na to nic nie odpowiedziała. Przesunęła oczy po powietrzu, jakby tam zawieszane były jakie obrazy.

— Rozróżnić prawdę od pozorów jest tak trudno, zagadnęła po chwili.

— Zdaje mi się że łatwo, byle tylko nie patrzeć przez szkła próżności i źle zrozumianej dumy, odpowiedział Floryan. Kiedyż kobieta może dostrzedz, gdzie jest granica próżności i tej dumy źle zrozumianej ?

— Tam, gdzie się kończy prawdziwe uczucie!

— To są formułki tak ogólne, że ich nigdy zastosować nie można.

— Wtedy są tylko ogólne, jeśli kobieta sama sobie chce coś na korzyść swoje wytłumaczyć.

— Któż jest nieprzyjacielem siebie samego?

— Kobieta próżna.... A że takich kobiet bardzo wiele jest na świecie, ztąd też jest i wiele nieszczęść, na które później niesprawiedliwie narzekamy.

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie.

Bronisława grała dalej. Jej powieki były do połowy zamknięte, z pod których błyszcząły oczy jak dwa węgle niczem nie zgaszone.

— Jakie masz pani pojęcie o szczęściu ? zapytał po jakimś czasie Floryan.

— Szczęście, odpowiedziała Elżusia cichym głosem — szczęście wyobrażam sobie jak ptaka w klatce, byle tylko ten ptak nigdy nie próbował przejść pomiędzy szczeble.

— Chciej mi pani ten obraz bliżej wytłumaczyć.

— Wyobrażam sobie, że szczęście nie potrzebuje wielkich przestrzeni. Zajmuje ono mało miejsca, byle tylko nigdy nie zapragnąć wyjść z niego.

— Dobrze wyjaśniłaś pani myśl swoje... ponieważ jednak ptak w klatce nie kontent z tego, że z niej ma zawsze pomiędzy szczeble do większych przestrzeni zaglądać, więc szczęście nasze które on przedstawia, byłoby bardzo zagadkowe...

— Zależy od tego, czy widok na szersze przestrzenie przysłonić można.

— Masz pani słuszność, w takim razie byłoby szczęście możliwe.

— Chodzi tylko o to, czy ten rozleglejszy widok czem przysłonić można?

— Kobieta zasłania go — sercem kochającem, mężczyzna, poświęceniem się dla niej.

— Pierwsze jest łatwe, ale drugie.... z cicha wyszepnęła Elżusia, a ciemny rumieniec wystąpił jej na twarz.

Floryan spojrział na nią z pewnym niepokojem.

Była teraz jeszcze piękniejszą, niżeli przed godziną. Jej twarz zmieniła się zupełnie. Gdyby ktoś z obcych na nią spojrział w tej chwili, niebyłby jej nawet poznał

Gdyby kobiety wiedziały czem dla ich twarzy jest piękne, szlachetne uczucie, nie karmiłyby nigdy duszy swojej żadnym innym marzeniem, jak tylko takim, które rodzi to piękne, szlachetne uczucie. Uderzającym przykładem w tej chwili była Elżusia. Twarz jej nie była nigdy ładną, jednak w tej chwili tyle było w niej wdzięku i uroku, tyle wyższego powabu, że najwybredniejszy artysta mógłby z niej mieć model bardzo pięknej, a przynajmniej nader ujmującej kobiety. Kobiety w takich chwilach wywierają na sercach niezatarte wrażenia; jestto prawdziwy moment miłości. Pamięć tej chwili przechowuje się w sercu, do niej wraca dusza zawsze, a nawet wtedy, gdy przed sobą widzi twarz codzienną, zmarszczkami okrytą.... Do tej chwili wraca serce i pamięcią tej chwili kocha kobietę, która w oczach powszedniego, obojętnego świata może być czemciś bardzo powszedniem. Floryan w takiej chwili ujrzał teraz Elżusię. Dziwne wrażenie sprawiła na nim ta chwila. Serce uderzyło tau żywiej, przestrzeń pokoju rozjaśniła się przed nim, jakby światło jutrzeńki zajrzało przez okna. Bronisławy nie widział w tej chwili. Słyszał wprawdzie jakieś tony rzewne i przemawiające, ale te tony napelniły całą przestrzeń pokoju, falowały jako mgła wiosenna w koło niego i przemawiały nader rozkosznie do jego duszy... Po niejakiem czasie szepnęła z cicha do Elżusi. — Powiedziałaś pani, że kobieta może sercem swoim zasłonić komuś świat cały?...

— Czuję że powiedziałam prawdę, odszepnęła Elżusia, a głos jej zadrżał jakstruua gitary.

— Pozostaje teraz mnie odpowiedzieć, czy może mężczyzna poświęceniem się swoim dla kobiety zasłonić jej świat cały —

— Jakże pan nu to odpowiadasz ?

— Odpowiadam słowami pani: Czuję, że to być może.

Od kilku chwil przestała grać Bronisława. Ani Elżusia ani Floryan nie spozrzedli tego. Bronisława słyszała ostatnią rozmowę.

— Powiadasz Elżusiu, s ozwała się do nich, że kobieta sercem swoim może mężczyźnie cały świat zasłonić!... Takim mężczyzną wzgardziłabym na zawsze, gdybym ujrzała, że moja miłość zasłania mu wszystko inne na świecie! A gdzież w takim razie byłyby obowiązki dla społeczeństwa, dla bliźnich, dla potomności?... Kobieta zasłaniająca sobą wszystko, popełnia póprostu zbrodnię— a mężczyzna dający sobie jedyą kobietą wszystko zasł mie, jest niegodny, aby go serce wznioślejszej kobiety kochało!...

— Może pani temi sfowy uprzedzasz tylko moją odpowiedź, jaką chciałem właśnie dać pannie Elżbiecie? ozwał się z uśmiechem widocznego zadowolenia Floryan.

— To przepraszam, żem z dzisiejszego wieczoru, o którym prawdopodobnie nie wszyscy zapomną.... chciała wziąć eos dla siebie, odpowiedziała z namiętnym wyrazem na twarzy Bronisława.

— Czyśmy tak bogaci abyśmy komu coś dać mieli? zapytał Floryan z uśmiechem Elżusię.

Elżusia była ciągle jakby w ekstazie. Jej twarz rumieniła się, oczy błyszczały.

Zamiast odpowiedzi, rzuciła się Bronisławie na szyję i zaczęła ją namiętnie całować.

Bronisława jednak nie oddała jej pocałunków. Zbladła w jej gorących objęciach i uspokoiła się nagle, jakby z niej całe życie na raz uciekło. Była podobną do pięknego zimnego posągu z kararyjskiego marmuru.

— Cóż ci się tak nagle stało? pytała sród pieszczot Elżusia, przecież ożyj, dam ci połowę życia, którego mam w tej chwili zawiele. Słyszysz, Bronisławo?

Bronisława nic na to nie odpowiadała. Floryan widział tylko Elżusię.

— Nie kochasz mnie, szczebiotała dalej Elżusia, nie podzielasz nic ze mną... Czegoś tak nagle skamieniała?

— Bo obaczyłam twarz Meduzy, która broni wstępu do złotego runa szczęścia! odpowiedziała, zwolna Bronisława, a jej twarz smutna i blada poczęła ożywiać się cierpkim uśmiechem.

— Precz z tą twarzą, precz z twarzą Meduzy! wołała Elżusia, całując co raz goręcej przyjaciółkę, dzisiaj nie trzeba nam tej twarzy z węzowemi splotami!...

— Czy jej nie widzisz? z uśmiechem gorzkim przerwała Bronisława, patrz przez okno!... Widzisz jak te drobne wężyki wiją się z nieba ku ziemi. Czy niesłyszysz ich syku i plusku?...

— To deszcz!

— Tak jest, ten deszcz to moja Meduza — jutro mam lekcją! rzekła Bronisława i rozśmiała się tym dziwnym, metalicznym śmiechem w którym był zwięź jakis, ale śmiechu nie było.

Rzekłszy to, zaczęła, się ubierać i w tece układać nuty.

— Biednaś ty z temi lekcjami! westchnęła Elżusia, patrząc na krzątającą, się Bronisławę.

— Nie ubliżaj w tej chwili moim lekcjoim, odpowiedziała spokojnie Bronisława, są one teraz dla mnie jedynem dobrodziejstwem.

— Dobrodziejstwem ?

— Tak jest, najprzód dają mi chleb, a potem odbierają mi zbyt wielką czułość w mojem nieszczęściu!... Gdybym jutro nie miała ośmiu godzin nieustannej i nużącej pracy przed sobą — to bym mogła umrzeć, lub przynajmniej oszaleć.

— Zawsze masz dzikie myśli.

— Powiadam ci, gdy będziesz nieszczęśliwą, a gdy do tego nie będziesz miała pracy wyczerpującej siły, to twoje nieszczęście może cię zabić.

— Precz z takim prorocstwem!

— Dobranoc ci.

Po tych słowach nastąpiła cisza grobowa.

Na dworze pluskał deszcz i szumiał wicher, a bezludną ulicą Podwala sunęła się zwolna, pochylona naprzód postać kobieca, za którą postępował drugi cień, jakby towarzyszącej służącej.

X.

Całą dzisiajszą noc świeciło się światło w pokoiku Floryana przy ulicy Mostowej.

Księgi rozmaitego formatu, kodeks Napoleona i pandekty leżały w nieładzie na stole. Były one przeznaczone do dzisiejszej pracy.

Floryan nie zajrzał do nich ani razu. Chodził po pokoju zamyślony. Czasami stawał i jakby się

ze snu jakiego chciał obudzić, przesuwał ręką po czole i oczach.

Mimo to, nie mógł z przed oczu odpędzić obrazu, który uporczywie przesuwał się zwolna tam i napowrót. A obrazem tym była Elżusia.

Miała twarz dziwnie idealną, która zupełnie różniła się od jej zwykłej, codziennej twarzy.

Była to twarz z owej chwili, gdy z nim o szczęściu rozmawiała.

Floryan chodził po pokoju... twarz ta nie odstępowała go ani na krok.

Wreszcie uznał, że i on tej twarzy odstąpić nie może, a gdy ostatecznie to postanowienie powziął, zajrzała do okna jutrzienka i różowym światłem oblała różowe jego marzenia...

Nie rozbierając się wcale, rzucił się na sofę, aby siły swoje pokrzepić snem choćby chwilowym, a gdy u Paulinów na ranną mszę zadzwoniono, powstał szybko i udał się do pokoiku matki, aby z nią o marzeniach swoich pomówić.

Senatorowa siedziała już ubrana w swoim dużym krześle, koło niej leżała książka do nabożeństwa. Widać że już odmówiła modlitwę poranną.

— Dobrze że przychodzisz, rzekła zaraz na wstępie do niego, mam właśnie z tobą do pomówienia o ważnej rzeczy.

Floryan, który właśnie w takim samym celu do matki przyszedł, zdziwił się, że matka uprzedziła go jakąś sprawą również ważną.

— Czy ta ważna rzecz mnie się tyczy? zapytał z pewnym nieukontentowaniem — bo ja miałbym daleko ważniejszą...

— Tak jest, ciebie się tyczy, mój Floryanie, odpowiedziała senatorowa i wyprostowała się z pewną

powagą, jakiej w stosunku z synem nigdy nie zaniedbywała.

— Słucham matki, rzekł Floryan i usiadł na krześle.

Senatorowa poprawiła się na krześle, pomilczała chwilę, a potem zaczęła:

— Wiem dobrze, kochany Floryanie, że ludzie nie zawsze są tem, za co ich mieć chcemy. Spodziewam się, że i ty to zdanie ze mną podzielasz.

— Zdanie to jest prawdą, odpowiedział zdziwiony nieco Floryan, ale nie wiem do kogo matka to zdanie chce zastosować.

— A już ci do tych, którzy nas otaczają, a przeto najbliższej obchodzą.

— Czy myślisz matko o domu państwa Izajaszów ?

— O nikim innym.

— Słucham z wielką uwagą, bo takiej rozmowy wcale się nie spodziewałem.

— Wierzę, bo matka więcej widzi i lepiej uważa... Czy ci nie wpadło w oczy pewne oziębienie naszych stosunków z państwem Izajaszami?

— Oziębienie?... tego wcale nie spostrzegłem.

— A nie dziw! Tak jest w istocie.

— Nie mogę z tem się zgodzić. Przeciwnie, doznaję od pana Izajasza mianowicie takich względów przyjaźni i szacunku, że z nich zupełnie co innego wnosić mogę.

— Jesteś młody i nie znasz ludzi. Zdaje ci się, że kto rękę podaje, ten podaje i serce. Od ręki do serca daleko jeszcze, bardzo daleko.

— Z czegoż matko to wnosisz ?

— Z mnóstwa mniejszych i większych rzeczy. Najprzód trzeba świat i ludzi tak znać, jak ja ich znam. Długie, bolesne doświadczenia uczą tego.

Floryan zamyślił się.

— Gdy żył twój ojciec, mówiła dalej senatorowa z surowym wyrazem na twarzy, gdyśmy mieli dawne stanowisko nasze, wtedy kłaniali nam się ludzie i byli uszczęśliwieni, gdyśmy komu rękę podali.... A gdy ojciec twój zmarł, potrzeba się najprzód było rozstać z większymi wygodami życia, a potem nawet zejść prawie do ubóstwa... Wtedy dopiero poznałam, czym dla świata powszedniego, dla świata, który tylko w mamonę wierzy, jest jakaś tam idealniejsza zasługa pracy i poczciwości...

Senatorowa umilkła przy tych słowach.

— Najprzód, mówiła dalej z pewnym wzruszeniem, usunęli się od nas dawni nasi znajomi. Mała tylko garstka została przy nas. A ci nawet z pewnych względów swojej egzystencji, niezbyt często widywali nas. Jeżeli zaś u ludziach jednej kategorii to powiedzieć można, cóż można powiedzieć o tych, którzy bez wyższego umysłu zajęci są tylko robieniem miłego grosza i według tegoż grosza wszystko na świecie sądzą!... U takich ludzi jesteśmy niczem, jesteśmy mniej niżeli zerem! Nasza przeszłość, nasze dawne stanowisko, po którym złota nie zostało, śmierć ojca, słowem: my jesteśmy dla nich niczem.

— Przecież tego do pana Izajasza stosować nie można.

— Obaczymy!.... Czyś nie spostrzegł, że zrazu dosyć obojętnie nas przyjmowano, a przynajmniej nie tak, jakbyśmy na to zasłużyli. Tylko jakaś dziwna ciekawość zbliżyła panią Izajaszową do nas. Mąż jej zaś tak był zawsze naszym widokiem niepokojony, że postanowił wynieść się z najbliższego naszego sąsiedztwa.

— Z tego punktu nie zwracałem nigdy na to uwagi. ,

— Państwo Izajaszowie należą do rzędu tych ludzi, którzy niską a długą pracą dorobili się pewnego man zku. U takich ludzi tylko ten jest coś wart, który ma także realny majątek lub znaczną pensję. Innych, moralnych kapitałów tacy ludzie nie uznają. A my tylko takie mamy !

. — Może matka bierze pozory za prawdę.

— Każdy ci to przyzna, że ideałem u takich ludzi jest wkupić się zarobionym swoim majątkiem w wyższą sferę towarzystwa, do czego nieustannie wdychają.

— Tej choroby tam nie spostrzegłem. Pan Izajasz jest sobie prosty ale zacny człowiek, pani Izajaszowa czasem z zaścianka na świat pogląda, a panna Elżbieta...

— Już od czasu naszej znajomości jest znaczny postęp ku temu. Z Mostowej wyprowadzili się na Podwał, choć przeto tysiąc złotych tracą komornego. Urządzili się z pewnym luksusem i ton jakiś wyższy przybierają. Pani Izajaszowa nie umie się nawet bardzo ukrywać.

— Wszystko to jeszcze nie przykonywa mnie.

— Pomyśl tylko jak rzadko teraz odwiedzają nas w naszych ubogich izdebkach. I na mnie nawet nie bardzo nalegają, aby częściej przychodzić do nich.

— Sprawia to oddalenie Podwała od Mostowej. Ludzi wytrwałych w przyjaźni nic nie powinno oddalać, odpowiedziała cierpko senatorowa i zmarszczyła czoło.
Po chwili wydeły się duma jej usta, a cała postać wyprostowała się.

— Zresztą, mówiła dalej z uśmiechem ironicznym, między nami nie było tak gwałtownej przyjaźni. Zniżyliśmy się do nich, aby choć słowo mieć do kogo przemówić. Powinni byli to ocenić i za to objawić nam wdzięczność w sposób należyty.

— Widzę z ich strony wielki szacunek dla nas.

— Drobne rzeczy tworzą wielkie. Ja tylko mogę dojrzeć tych drobnych rzeczy, bo ty nie masz oczu obojętnych. Floryan zarumienił się i zamilkł. Senatorowa udała że tego rumieńca nie widzi.

— Zdaje się, mówiła dalej, że oni zrazu przyłgnęli do nas, bo spodziewali się że my przez nasze stosunki wyprowadzimy ich na szerszy świat. Elżusia nawet kilkakrotnie do tego zmierzała.

— Za Elżusią moge matce ręczyć! przerwał z widocznym zakłopotaniem Floryan.

— Człowiek i za siebie ręczyć nie może. Elżusia młoda dziewczyna, polata sobie trochę marzeniami, a w końcu zniży się do woli rodziców swoich, jak to wiele panien robi.

Floryan przybladł trochę. Senatorowa mówiła dalej:

Jestem tego zdania, abyśmy nieco oddalili się od tego domu. Lepiej abyśmy sami zaczęli, niżeli żeby nas zupełnie opuszczono. Jeżeli nas mieć pragną, jeżeli naszą moralną wyższość uznają, jeżeli objawią to przekonanie, że nie oii do uas, ale my do nich się zniżamy, to niech pierwsi starają się o nasze przyjaźń, niech to jawnie okażą i nas o tem przekonają....

— Droga matko!...

— Ubóstwo powinno mieć swoje dumę, a jeśli ubóstwo jest tylko epilogiem szlachetnego żywota

i wyższych uczuć, to wolno nawet nam w obec maluczkiego świata grzeszyć—pychą! Floryan niepokoił się widocznie.
_ Nam niewolno zapomnieć, mówiła dalej z dumą senatorowa, czem byliśmy i co naszemu stanowisku poświęciliśmy!

— Ależ, kochana matko....

— Są ludzie, którzy myślą że nam wielką łaskę czynią, jeśli nas zaproszą na kawałek mięsa, a to właśnie my wyświadczamy im łaskę, że ten kawałek mięsa u nich jemy.

— Pozwól, droga matko, teraz mnie jedno słowo.

— Słucham cię.

— Nie gniewaj się, że moje zdania sprzeciwiają się tobie.

— Byłam na to przygotowaną, zawiązawszy tę rozmowę.

— Inne zupełnie wyobrażenie powziętem o domu państwa Izajaszów. Mnie się zdaje że pan Izajasz wielką wagę przywiązuje do naszej przyjaźni a nawet jasno daje mi zawsze do poznania.

— Cóż ztąd wnosisz?

— Ztąd wnoszę, że byłby bardzo rad pewnym intencjom z mojej strony.

— Czy myślisz o Elżusi?

Floryan splonął cały. Senatorowa patrzyła czas niejaki na niego z widocznym upodobaniem. Potem przybrała wyraz surowy, wydeła dumnie usta i rzekła:

— Od niejakiego czasu spostrzegłam twoje intencje. Dlatego postanowiłam zatrzymać cię na tej pochyłej drodze!

— Ja widzę drogę prostą i otwartą!

— A gdybyś się zawiódł? Gdyby nagle zamknie

to ci drzwi przed nosem i stylem podobnych do nich ludzi powiedziano: nie dla psa kielbasa?...

Floryan zbladł, a potem cały stanął w płomieniach.

— Widzisz! Sama myśl przeraziła cię, a cóżby dopiero było, gdyby cała Mostowa ulica z wszystkimi kumoszkami, gdyby cały Podwał i część Krakowskiego przedmieścia opowiadały sobie, że córka prostego handlarza, osoba nawet wcale nieładna, dała odkosza Floryanowi którego ojciec był senatorem Rzeczypospolitej Krakowskiej i umarł śmiercią człowieka szlachetnego?...

— Nie, to być nie może! wyjąknął Floryan, matka masz uprzedzenia.... Elżusia bardzo mi sprzyja!

— Nie chcę cię bliżej badać w tym względzie.

— Wczoraj wieczór rozmawiałam z nią... widziałem ją... i jestem przekonany, że czeka tylko ostatniego słowa odemnie.

— Czybyś wyrzekł to słowo?

— Myślałem o tem całą noc ... i zdaje mi się że zwlekać nie powinienem.

Senatorowa zamyśliła się. Długi czas panowało milczenie. Floryan z niepokojem patrzył na matkę. Senatorowa ozwała się:

— Dawno o tem myślałam, abyś obejrzał się za jaką godną towarzyszką życia. Pora była ,y teraz po temu. Otrzymałeś urząd, który z czasem może cię wynieść wyżej. Dzisiaj jest to wprowadzić zamało, aby żonę utrzymać, któraby nic do domu nie wniosła. Nie chcę jednak sadzić, że dwa choć niewielkie domy pana Izajasza skłoniły cię do efektu dla panny Elżbiety.

Floryan znowu się zarumienił.

Niech mnie matka nie rani w ten sposób, od

powiedział z indygnacją — wiem com winien sobie i pamięci ojca mego!

Surowa twarz senatorowej rozjaśniła się. Patrzyła chwil kilka z macierzyńskim uczuciem na syna, potem zbliżyła jego głowę do siebie i pocałowała go w czoło.

— Bądź takim zawsze, Floryanie, rzekła z rozrzewnieniem, a ja spokojnie się patrzeć będę na zbliżający się grób....

Rozrzewnienie opanowało matkę i syna.

Po niejakej pauzie mówiła dalej senatorowa:

— Intencjom twoim w drodze stawać nie będę. Uważałam tylko, że mój obowiązek zrobić cię ważnym na niebezpieczeństwo, które ci grozić może, a którego ty nie widzisz. Dlatego chcę abyś z ostatnim słowem swoim wstrzymał się jeszcze czas niejaki. Być może że po tej rozmowie ze mną inaczej będziesz patrzył i co innego ujrzysz. Floryan ucałował rękę matki i przyrzekł wstrzymać się ze swoim ostatnim słowem czas niejaki, chociaż wyraźnie dodał, że czyni to tylko dla woli matki.

XI.

Elżusia, o której dzisiaj w małych pokoikach przy uliczce Mostowej tyle mówiono i myślano, nie pozostała dłużną tym, którzy o niej mówili i marzyli.

Zaraz po wyjściu Floryana pobiegła do swego pokoiku i tam rzuciła się na sofkę, aby ten słodki sen, jaki przed chwilą miała na jawie, dalej kontynuować.

Jej serce odzywało się głośno, pulsy były różnej. Czuła, że żyje życiem zdwojonem, że jakieś nowe siły

przybywają jej i rozszerzają nad nią horyzont życia, jakiego dotąd jeszcze nie widziała.

Floryan oddawna był bohaterem jej marzeń. Opowiadanie matki o śmierci ojca jego podniosło go w jej oczach jeszcze wyżej, bo umiała to uczuć i ocenić.

Rzeczy jednak nie postępowały tak szybko, jak tego sobie życzyć mogła Elżbieta. Floryan zbyt wolno zbliżał się do jej serca. Tak przynajmniej wyobrażała sobie Czasami wydało się jej, że jest bardzo blisko, a czasami znowu widziała go oddalającego się, w miarę tego w jakim usposobieniu na niego patrzyła.

Nieraz szła na spoczynek w tem przekonaniu, że Floryan rzeczywiście ją kocha i tylko z ostatnim słowem ociąga się z nieznaney przyczyny. Drugi raz ocierała łzy po wieczornej modlitwie i zasypiała z rezygnacją, że miłości u Floryana nie znalazła, że jest tylko grzeczny i bawi się w jej towarzystwie tak samo, jakby się w każdym innym bawił. A wtedy przychodziło jej na myśl, że nie jest ładną i że wcale dziwić jej to nie powinno, jeśli młody mężczyzna zatrzymuje się na granicy zwykłych towarzyskich stosunków.

Przy tej sposobności przychodziły także jej na myśl dwa domy, które prawdopodobnie kiedyś jej posag stanowiąc będą, ale wtedy bolesne uczucie ogarniało jej serce i byłaby w stanie pogardzać każdym mężczyzną, któryby tylko dla tych domów do niej się zbliżył, chociażby to był nawet sam Floryan.

Tego ostatniego jednak nie posądzała nigdy o fałszywy, brzydki egoizm. Po każdej z nim rozmowie poznawała w nim coraz więcej człowieka wyższego i starała się również wznieść się do niego.

Wyobraźnia jednak i zwykła fluktuacja duszy sprawiała jej często wiele zmartwienia. Co wczoraj widziała białem, dzisiaj tylko czarnem i na odwrót. Dreczyła się casami godzinami, aby tylko mieć jedną chwilkę jaśniejszą, a ta zazwyczaj wynagradzała jej wszystkie udręczenia.

— Czy Floryan rzeczywiście mnie kocha, pytała siebie każdego dnia, czy tylko ja tak sobie wyobrażam?

Czasami takie zapytanie wprawiało ją w złoty humor. Grała wiele, śpiewała, była dla gości serdeczną i cały świat serdecznie kochała.

A często znowu takie zapytanie pogrążało ją w jaką zadumę, uczyniło ją milczącą i surową. Wtedy ani goście, ani świat cały, nikt nie miał z niej pociechy. Zasepiała sobą całą atmosferę.

Przy takiej ustawicznej fluktuacji serca był wczorajszy wieczór dla niej prawdziwą epoką przeszłości.

Usłyszała od Floryana słowa, jakich nigdy dotąd nie powiedział, i powiedziała mu również niektóre słówka, które dotąd w głębi duszy starannie chowała.

Do tych słów należy się jeszcze dodać ich akcent, brzmienie głosu, spojrzenia, pauzy i tym podobne akcesorya, które często więcej znaczą i więcej mówią, niżeli same słowa.

Zebrawszy to wszystko razem, mogła Elżbieta być zadowoloną, mogła z wszelką pewnością marzyć o przyszłym szczęściu swoim, jeśli tem szczęściem był—Floryan.

Marzyła więc przez noc całą, marzyła jeszcze rano, gdy u Paulinów na mszę ranną dzwoniło, ma

rzyła nawet wtedy, gdy ojciec ją zawołał, aby z nią o niektórych rzeczach pomówić.

W dużym, niebieskim pokoju oczekiwali ją rodzice.

— Pan Floryan był wczoraj przez cały wieczór, zaczął ojciec, patrząc z uwagą na Elżbietę.

— Była z nim i Bronisława, dodała szybko Elżbieta i lekko zarumieniła się.

— Nie potrzebujesz się rumienić, mówił dalej ojciec, nie widzę w tem nic złego, byle tylko wszyscy sąsiedzi tak samo wiedzieli jak ja. Ale sąsiadom to jakoś inaczej wygląda. W domu jest panna na wydaniu, młody mężczyzna chodzi od roku prawie, chodzi co dwa i co trzeci dzień... pytają zaraz co to z tego będzie?

I pytają słusznie, dorzuciła pani Izajaszowa.

— Cóż ty na to, Elżusiu?

— Ja.... ja... jąkała zakłopotana Elżbieta—ja sędzę, że pan Floryan ma rzeczywiste zamiary i że lada dzień oświadczy to rodzicom.

— Czy tak przeczuwasz? Elżbieta zarumieniła się i rzuciła ojcu na szyję. Pan Izajasz odgarnął szeroką spracowaną dłonią włosy z czoła jedynaczki i ucałował ją z czułością.

— Wierzę ci, moje dziecko, rzekł po chwili, ale nie wiem czy ty się nie łudzisz.

— Nie wiem dlaczego by się ludzi miała, odpowiedziała za córkę matka. Przecież Elżusia byłaby dla pana Floryana gratką, jakiej na drodze się nie spotyka. Dwa domy, choć nie magnackie, także coś znaczą.

Pan Izajasz pokiwał głową.

— Anusiu, rzekł po chwili, ty nie znasz ludzi. Tobie się zdaje, że jeżeli stróż twój i Żyd lokator

przed tobą czapkują, i panją cię nazywają, jesteś rzeczywiście wielką panią. Wprawdzie każdy panem na swoim śmieciu, ale są ludzie, którzy i jednej cegły majątku niemają, a jednak zawsze na drugich z " góry. patrzeć lubią. Im się zdaje, że to co oni w głowie lub w sercu noszą, więcej warte jest aniżeli dziesięć kamienic na Krakowskim Przedmieściu.

— To są głupi! zauważyła pani Izajaszową.

— Głupi nie głupi! odparł pan Izajasz. Są między nimi tacy i tacy, zależy od tego, czy mają prawo, czy nie, patrząc z góry.

— Hołysz takiego prawa nie mają! zauważyła znowu pani Izajaszową.

— Hołysz hołyszowi nie równy. Jednych biorą z ulicy do cyrkułu, innych u pańskich stołów sadzają, chociaż ani jedni, ani drudzy nie mają szeląga w kieszeni.

Pani Izajaszowi na to nic nie odpowiedziała. Było to może nad jej rozum, aby o podobnych rzeczach z mężem rozprawiać, który jakoś więcej otarł się w świecie.

— Wracając do rzeczy, mówił pan Izajasz dalej, powiadam wam, że jakkolwiek pewni ludzie mogą być i bez majątku dumni i pyszni, to z drugiej strony nikt nie może mi równego prawa odmówić,

— Naturalnie, naturalnie! zawtórowała pani Izajaszową.

— Jeżeli wnuk wojewody lub senatora może być dumnym z sukcesy jaką po przodkach odziedziczył, chociaż na nią wcale nie pracował, to mi wolno być także dumnym z tego, co własną pracą moją sobie zdobyłem!... Patrzcie!

Wszystko to co mnie otacza, ?o ja stworzyłem. We wszystkim tem jest część mego życia, jest kropla potu z boleścią uronione

go! Ja dla tego ani sobą, ani domem moim nikomu pomiatać nie pozwolę. Jeżeli kto z góry na ludzi chce patrzeć, to niech to czyni gdzieindziej, ale nie w moim domu.

— Do czego ojczulko to, stosuje? zapytała zaniepokojona Elżbieta.

— Tego na razie nie stosuje do nikogo, ale robię cię uważną, abyś potem nie potrzebowała nażekać na siebie.

— Ojczulko zapewne myśli o panu Floryanie.

— Być może, że także nim i o jego matce myślałem. Mam dla nich wielki szacunek, bo wiem czem byli, ale pochyłem drzewem także nie będę!

— Moge rodziców uspokoić, że po wczorajszej rozmowie z panem Floryanem jestem prawie pewną, że dziś... jutro...

— Oświadczy się? uzupełnił pan Izajasz i rozśmiał się śmiechem niebardzo serdecznym.

— Obaczmy i wtedy pomówimy z sobą, dodała pani Izajaszowa, co więcej znaczy, czy senatorstwo krakowskie, czy dwa domy w Warszawie!

— Mateczka sprawia mi wielką przykrość!

— Żadnej przykrości, nie obawiaj się! Masz dwa domy, a jeśli ojcu jeszcze z tych domów zmażą długi małoletnich, które hypotekę brudzą, to ręczę ci że będziesz mogła wybierać z tysiąca konkurentów. Być może że nawet wtedy i pan Floryan pośpieszyłby się....

— Niech mateczka tak nie mówi!

— Duszko, wszyscy oni do siebie podobni! I pan Floryan nie z innej gliny, chociaż senatorowa różne rzeczy rozpowiada.

— Przekona się mateczka że panu Floryanowi wyświadczyłaś niesprawiedliwość.

— Obaczmy to... dziś, jutro! jak powiadasz.

— Dobrze, ja sam dopomogę mu.

Na tem skończyła się poufna rozmowa familijna.

XII.

Nazajutrz przyszedł Floryan na Podwał. Zastał całą rodzinę zgromadzoną w małym pokoju, który panu Izajaszowi służył za kancelaryjkę, czyli kantor do przyjmowania kupców drzewa.

Elżbieta spojrzała na rodziców wzrokiem tryumfującym i cofnęła się na małą sofkę w kącie pokoju które to miejsce, jak mniemała, miało być pamiętnem w jej życiu.

Floryan przywitał się z wszystkimi serdecznie. Mimo to jednak przyniósł z sobą pewną podejrzliwość, jaką wzbudziła w nim senatorowa. Postanowił dzisiaj być, uważnym na różne drobne rzeczy i z nich wnosić, czy senatorowa w twierdzeniach swoich ma słusność, czy nie.

Pan Izajasz i jego żona byli tak samo względem Floryana usposobieni i pilnie patrzyli na niego, czy ich przypuszczenia są prawdziwe.

Jedna tylko Elżbieta tym razem nie przybrała żadnej roli. Nic chciała podstępnie nikogo badać, bo serce jej mówiło, że w rzeczach miłości to jest niepotrzebne.

Twarz jej była jeszcze od wczoraj rozjaśnioną.

Przywitawszy się z Floryanem, zrobiła mu miejsce przy sobie na sofie. Ujrzał to pan Izajasz.

— Usiądź pan przy nas, bliżej kominka, rzekł do niego i duży fotel przysunął między siebie a małżonkę.

Floryan usiadł na fotelu.

Żaden z nich nie wiedział że dzisiaj są adwersarzami.

Spojrzeni na siebie w milczeniu.

— Przecież to nudno i smutno być musi, ozwał się pan Izajasz, mieszkać w tak małych i pustych pokoikach.

Elżusia uśmiechnęła się nieznacznie, bo aluzją ojca dobrze zrozumiała.

Floryan zrozumiał także, że to aluzya, ale uprzedzony przez matkę, zrozumiał ją inaczej. Podniósł z pewną dumą głowę do góry, założył swobodnie nogę na nogę i odparł

— W małych i pustych pokoikach można być szczęśliwym i lepiej żyć, niżeli w obszernych salonach, których prócz mebli, niczem innem zapelnąć nie można.

I znowu nie zrozumieli się obaj. Pan Izajasz ze znaczeniem spojrział na żonę, aby jej dać do zrozumienia, że się nie mylił.

— Ciekawa jestem, ozwała się pani Izajaszowa, czem salony prócz mebli mahoniowych zapelnąć można.

Floryan uśmiechnął się, ale nic na to nie odpowiedział. Podobne zapytania matki Elżusi puszczał często mimo uszu.

— Zapewne, rzekł pan Izajasz, magazyn zawsze powinien stosować się do towaru. Ale jeżeli rzeźnik ma fantazyę, aby jatkę swoje złotem obiciem wykleić, to może to i zrobić. Niech to samo zrobi człowiek najgodniejszy w świecie, jeśli prócz wiatru w swoich izdebkach nie ma w kieszeni i dydka.

Floryan zaczął wierzyć, że matka może mieć słusność. Przymówki pana Izajasza potwierdzały

to. Czemuż on tego pierwiej nie widział?... Rzekł po chwili:

— Ludzie zacni i czcigodni, którzy z wyższego stanowiska na swoje obowiązki się zapatrują, nie potrzebują żadnego tandetnego blichtru, aby czyjaś uwagę zwrócić na siebie.

— Przyznaję panu słusność, odpowiedział pan Izajasz, ale mimo to nie można lekceważyć tych, którzy godziwymi środkami przyszli do tego, że mogą sobie dla wygody kupić te błyszczące cacka niemi się otoczyć.

— Ale te błyszczące cacka nie zmienią ich natury.

— Jak to pan pojmujesz, zapytał pan Izajasz i strzelił do żony gniewnem spojrzeniem—jak to pan pojmujesz? Czy sądzisz pan że to plami kogo, że własną pracą....

— Uchowaj Boże, przerwał Floryan, biorąc pauza Izajasza za rękę—nigdy czegoś podobnego powiedzieć nie mogłem! I owszem, każdą pracę osobistą mocno poważam, tylko sędzę że zebrany taką pracą grosz nie upoważnia nikogo do patrzenia z góry na ludzi, którzy, jak mówi pismo święte „lepszą część wybrali," chociaż ta część nie da im ani złota, ani kamienic.

Pan Izajasz uznał za stosowne spocząć tutaj nieco adwersarzowi nic nie odpowiedzieć. Potrzeba było trochę pomyśleć, aby dalszą wojnę podjazdową prowadzić.

Floryan także zamilkł, bo ton takiej rozmowy wydał mu się wstrętny. Jego dusza pragnęła w tej chwili harmonii, chciała się poić pięknymi obrazami przyszłości, ale nie chciała walki zdań, które tylko rozjątrzają.

Zdawało mu się że z dalszą walką może nabyć także przekonania, że matka miała słusność ostrzegając go przed niebezpieczeństwem. A on tego niebezpieczeństwa jeszcze nie chciał wiedzieć, nie chciał uwierzyć, że matka słusznie mówiła.

Nieubłaganą była jednak pani Izajaszowa.

— Nie słyszałam jeszcze nigdy, ozwała się, podnosząc mały nosek do góry, aby kamienice i złoto komuś w życiu zaszkodziły!

— Tak samo, odpowiedział Floryan, nie można twierdzić, aby komuś zaszkodziło ubóstwo, jeśli to ubóstwo sam sobie obrał, wybierając pracę, która jest zacna i pocziwa, ale która do bogactw nie prowadzi.

Teraz nastąpiło powszechne milczenie. Nikt jakoś nie miał gotowego słowa. Jedna i druga strona spostrzegła, że zadaleko zaszła. Czuć było w powietrzu obopólne rozdrażnienie.

Najwięcej na tem cierpiała Elżbieta. Każde sporne słowo było dla niej ostrym nożem, który jej serce ranił. Jeden listek po drugim opadała powoli z obfitego kwiecica jej marzeń. Smutno, bardzo smutno było jej w ciemnym kącie pokoju.

— Znajomi nie powinni nigdy spierać się z sobą, zaczął po długim milczeniu pan Izajasz, bo gotowi przekonać się że zamiast przyjaciółmi, są sobie nieprzyjaciółami!

— Tak daleko nigdy nie chciałbym zajść, odpowiedział Floryan, ale czasem potrzeba jest oświecić się wzajem.

— Tak, to prawda, surowa prawda!

— Czasami budujemy coś na fałszywym gruncie, To najgorzej!

— A jednak wina często nie po naszej stronie.

— Zarozumiałość, pycha zaślepią nas!
— Czasami nazywa się to szlachetną, duma.
— Niechże ta duma i w innych dumę szanuje.
— Nikt drugiemu nie zabierze, co się jemu należy.
— Przecież nikt na świecie nie jest bez niczego, aby dopiero brać drugiemu.
— Nie rozumiemy się!
— Być może, nie mamy do tego ani nauki, ani sprytu. Elżusia może lepiej zrozumie.
Rzekłszy to, rozśmiał się pan Izajasz z własnego swego konceptu, a wstawszy z krzesła, wyszedł do drugiego pokoju, gdzie czekał na niego jakiś wspólnik handlowy.
Korzystając z tego zwrotu, Elżusia wstała z sofki i rzekła:
— Może przejdziemy do drugiego pokoju, bo ojciec ma do pomówienia z kimś w interesie handlowym.
— Zaraz wam służę, odpowiedziała pani Izajaszową, przyniosę tylko wody, aby kwiatki podlewać.
Zmiana położenia sprzyjała ukrytym zamiarom Elżusi. Mając sposobność pomówienia z Floryanem sam na sam, była pewną że przy pierwszych słowach upadną wszelkie złowrogie przywidzania rodziców i że za krótką chwilę wyjdzie z tryumfem z tej pierwszej sprawy serca swego.
Tak marzyć kazało jej serce, serce które przez całą noc po wczorajszej rozmowie było niespokojnie. Przez całą noc układała sobie najrozkoszniejsze obrazy najbliższego jutra, żyła już tem jutrem, a dzisiaj miałażby wyrzec się tego wszystkiego?
Nie, tego uczynić nie mogła. Miała przekonanie że się nie ludzi, że Floryan ją kocha, tylko dziwne

usposobienie ojca zachmurzyło jej na chwilę niebo szczęścia!

Z mocno bijącym sercem, z twarzą, zarumienioną poszła do drugiego pokoju. Za nią powoli, z głową ku ziemi spuszczoną, postępował Floryan.

Elżusia usiadła na krześle między oknami.

Była chwila, która rzeczywiście zagrażała wszystkim złowrogim podejrzeniom pana Izajasza.

Floryan zbliżył się do Elżusi i.... przemilczał tę chwilę.

Był on jeszcze pod wrażeniem ostatnich słów pana Izajasza. Do tego wrażenia przyłączyły się także wspomnienia z ostatniej z matką rozmowy. Wszystko to razem wzięwszy, dostarczyło Floryanowi materiału, aby nad położeniem swoim dobrze się zastanowić.

Miłość nie była u niego owym szalem bezwzględny, szalem bez jutra, który tempredzej gaśnie, im jawniej wybucha.

O rozkoszach takiej miłości mogą bardzo wiele pisać młodzi poeci, ale Floryan był człowiekiem przez wypadki życia poważnie nastrojonym, do czego także przyłączała się praca całodzienna.

Miłości, jako czegoś oderwanego od życia, nie pojmował, nie widział jej w chwilowych wibracjach serca. Była ona dla niego synonimem szczęścia na całe życie. Chciał więc, aby to szczęście miało potrzebne ku temu warunki.

Nie upadł zatem w tej chwili na kolana przed Elżusią, jakby tego sobie ktoś mógł życzyć, nie pochwycił nawet z gorączką jej rączek, aby na nich wypalić kilkaset namiętych pocałunków.... tylko wziął sobie krzeselko i dosyć z daleka usiadł od okna.

Być może, że niejednemu widzi się dziwnem takie

utrzymanie się na pochyłości. Chwile jednak życia nie są, to lizne, oderwane od siebie części. Wiążą się one nie tylko z przeszłością, ale są również ogniwem przyszłości.

Floryan nie widział przed sobą innych warunków szczęścia. Jakkolwiek bliski widok Elżusi sprawiał mu już niejakię szczęście, ale między nim a nią przemykał się w tej chwili jakiś cień złowrogi, rzucony przez podejrzenia matki i potwierdzony w połowie przez dziwne zachowanie się pana Izajasza.

Floryan był pewny, że ten cień zbladnie i zginie, ale uważał za stosowne przeczekać tę chwilę. Ponieważ zaś wyczekiwanie takie nie jest bez pewnych rozkoszy, Floryan mimo swej woli i wiedzy zaczął się upajać takimi rozkoszami, które były dla niego tem pońtniejsze, im jaśniej pozwalały mu widzieć i sprawdzić to wszystko, przed czem matka tak uroczyście go ostrzegała, a co pan Izajasz swemi zagadkowemi słowami poczęści stwierdzał.

Elżusia, jako kobieta, wcale inaczej myślała w tej chwili. Uczucie było jej ostatecznym celem, w którym widziała szczęście swoje. Ta chwila nadeszła, jak mniemała, i z tej należało korzystać. Ozwała się pierwsza:

— Lękam się zawsze mówić z ojcem, gdy ma interesa handlowe na głowie! Dlatego i pan za złe nie weźmie ojcu...

Ponieważ Floryan z ostatecznym słowem swoim postanowił przeczekać jeszcze czas niejaki i nawet matce wyraźnie to przyobiecał, musiał więc całą rozmowę z Elżusią w ten sposób prowadzić, aby uniknąć wszelkiej sposobności wymówienia tego słowa, jak również nie odebrania jej i sobie wszelkiej nadziei.

Droga jednak, którą ku temu celowi obrał, nie zaprowadziła go tam, gdzie tego sobie życzył.

— Najlepiej jest, przerwał Elżusi z udanym spokojem, takich drobnych rzeczy nierozbierać. Są to małe chmurki, z których nigdy deszcz nie pada. Przejdźmy do innego przedmiotu rozmowy!... Czy koncert onegdajszysy...

— O koncertach tyle piszą w kurj erach — przerwała z małą chmurką na czole Elżusia, że do rozmowy o tym temacie prawie nic nie pozostaje.... Wracam do ojca —

— Ojciec pani, rzekł z uśmiechem Floryan, potrzebuje w tej chwili spokoju w interesach swoich — niech mu pani tego spokoju nie zamącą.... Czy zwróciła pani na ostatniem przedstawieniu „Zbójców” uwagę na różnicę gry w rolach Karola i Franciszka?...

— Jeżeli pan dla mego ojca tak troskliwym jesteś, pocóż sprowadzasz do mnie rozbójników? zapytała Elżusia drżącym głosem, a w jej ożywionych oczach gotował się pocisk burzy.

— To chodźmy na balet! z wymuszonym uśmiechem odparł Floryan.... Owi nieśmiertelni Dwaj złodzieje...

— Nie poznaję dzisiaj pana!... Po raz pierwszy widzę pana w roli humorysty!

— Czasem jest to tylko maska, która łyż zasłania!

— Wolałabym pana widzieć — płaczącego!

— Tej zimnej rozkoszy nigdy pani nie doznasz! Elżusia podrzuciła z dumą głowę do góry.

— A jednak tyle pońty jest w tej rozkoszy! rzekła po chwili, wstrząsając głową.

— W czymże zależy ta pońta?

— Aby się śmiać, gdy inni płaczą!

Elżusia wymówiła te słowa z pewnem wysileniem

Przy ostatnim słowie drżały już lzy w jej głosie. Floryan patrzył przed siebie zamyślony.

— Pani nie pozwalasz mi być samym sobą,! rzekł po chwili.

— Uchowaj Boże, żywo odpowiedziała Elżusia, abym jakąkolwiek miała winę pańskiej apostazy!

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie. Floryan spostrzegł, że Elżusia używa względem niego jakiegoś tonu uszczypliwego. Cóżby on miał oznaczać? Czyżby to nie było potwierdzeniem tego, co matka mówiła?

Elżusia była w tem samym położeniu. I ona spostrzegła dziwny ton w rozmowie Floryana, jakiego dawniej nie zauważyła. Cóżby on miał oznaczać? pytała siebie.

W tej chwili nadeszła pani Izajaszową i zaczęła kwiatki podlewać. Rozmowa zwróciła się na inne pole, była jednak przy usposobieniu jednej i drugiej strony tak trudną, że przeplatana długimi pauzami, musiała się w końcu wyczerpać. W kwaśnym humorze podniósł się Floryan i pożegnał Elżusię i panią Izajaszową. Pożegnanie było grzeczne, ale zimne i sztywne z obu stron.

XIII.

Po tej małej, z dziwnych nieporozumień wynikłej utarczce, nastąpiła kilkodniowa przerwa. Obie strony miały czas do wejścia w siebie i rozjaśnienia tego, co tam było ciemnego.

Pan Izajasz zauważył, że Elżusia w tych kilku dniach pობladła znacznie. Trapił ją ten poczciwy ojciec i nie widział wcale, że właśnie ta zmiana wypadła na korzyść córki. Twarz bowiem Elżusi wyszła

chętniejszą jakoś. Powoli przybierała wdzięk i humor, którego dawniej nie miała,

— Czy nie był tutaj? pytał pan Izajasz każdym razem gdy z nad Wisły wrócił do domu.

Elżusia zaś każdym razem milczała, bo Floryan przez kilka dni wcale nie był.

Senatorowa prawie te same spostrzeżenia co i pan Izajasz robiła na swoim synie. Floryan wprawdzie nie zbladł tak znacznie, aby to widzieć było można, ale ogarnął go jakiś niepokój, który we wszystkich jego czynnościach się objawiał. Przytem był ciągle zamyślony i często dawał matce i innym odpowiedzi niestosowne.

W takim stanie rzeczy poczyniono z jednej i drugiej strony, bez uprzedniego porozumienia się, niektóre ustępstwa.

Pan Izajasz, widząc blednącą coraz więcej twarz swojej jedynaczki, zaczął potrosze wierzyć, że podejrzewanie jego względem senatorowej i Floryana było może nie ze wszystkiem prawdziwe. To samo uczyniła i senatorowa. Widząc że Floryan tylko z przymusu wypełnia jej życzenie i Elżusia jest widocznie zajęty, postanowiła nie powstrzymywać go dłużej opieką macierzyńską na drodze szczęścia.

I bardzo dobrze złożyły się okoliczności potemu. Elżusia wytłumaczyła ojcu, że długi czas nie było senatorowej. Pan Izajasz nietylko dał się córce przekonać, ale zaraz na drugi dzień wybrał się z żoną i Elżusią na Mostową ulicę, a chociaż wewnątrz nie sprawiło muto wielkiej przyjemności, nie okazał jednak tego nikomu. Był wesół, opowiadał różne dykteryjki i często nawet senatorowę w rękę całował.

Elżusia nie była tym razem gościem u senatoro

wej, ale kochającą córką. Dała jej tego dowody w każdym słowie, w każdej drobnej przysłudze. Pomagała przy herbacie, nalewała filiżanki, troszczyła się o cukier i łyżeczki.

Senatorowa i Floryan pozbyli się ostatnich mar, które ich dotąd niepokoiły. W skrytości duszy wyrzucali nawet sobie, że pocziwym ludziom wyrządzili krzywdę niesłuszną podejrzewaniem.

Całe to ich usposobienie odbiło się w przyjęciu gości, które tych ostatnich tak rozbroiło, że jeszcze przed rozejściem się powziął pan Izajasz postanowienie wydać walny wieczór u siebie, zaprosić kilku znakomitszych sąsiadów i senatorowę z synem, nie szczędząc węgryzna i bakaliów.

Miało to stworzyć pewną, wyjaśnioną sytuacją dla wszystkich. Floryanowi miała być podana sposobność wyrzeczenia ostatniego słowa, do czego, według zdania pana Izajasza, miał dopomóc stary węgryzn i strój nie zwykły Elżusi, praktykowany w takich okolicznościach. Stojem tym miała się zająć żona budowniczego, na co już w duchu przeznaczył pan Izajasz pięćset złotych.

Charakter uroczystego wieczoru miał niejako wpłynąć na przyspieszenie oświadczenia ze strony Floryana i niejako zobowiązanie matki i syna.

Wszystko to w jednej chwili ułożył i uporządkował w swojej głowie pan Izajasz i nim jeszcze od herbaty wstać zdołano, oświadczył to wszem obec i każdemu z osobna, że za trzy dni zaprasza do siebie wszystkich obecnych i nieobecnych na zraz pieczeni i kieliszek wina. Z herbatą pan Izajasz nie był jeszcze w zgodzie.

Z tajemnym zadowoleniem przyjęli to zaproszenie

senatorowa i Floryan, a oczka Elżusi zaiskrzyły się od jakiejś pięknej, przelotnej myśli.

I wszystko wróżyło jaknajlepsze rozwiązanie. Floryan ułożył sobie w dzień przed owym zapowiedzianym wieczorem wypowiadać się panu Izajaszowi w sposób uroczysty z dziejów swego serca i prosić go o rękę Elżusi. Następujący potem wieczór miał już niejako być radością w gronie familijnem, chociażby obojętniejsi goście o powodach tej radości wcale nie wiedzieli.

Pani Izajaszowa poraz pierwszy weszła w bliższe stosunki z żoną budowniczego, z którą przez lat kilkanaście nadaremnie walczyła, i powierzyła jej Elżusie, aby ją na ten wieczór ubrała według swego gustu.

I cudownych rzeczy obiecywał sobie pan Izajasz z tego ubioru swojej jedynaczki, na co drżącą ręką wylicył przeszło osiemset złotych!

— Senatorstwo, mrucał przytem, jest wprawdzie rzecz droga, ale osiemset złotych piechotą także nie chodzą!

Wreszcie nadszedł dzień gorąco oczekiwany. Floryan wiedział że ten dzień będzie pamiętnym w jego życiu.

Zebrał jeszcze raz wszystkie swoje myśli i w momencie zrobił dokładny rachunek sam z sobą i postanowił nie cofnąć się od zamierzonego kroku.

Porozmawiał jeszcze w tej mierze wiele z matką. Senatorowa pozbyła się prawie dawnych skrupułów i uznała zamiary Floryana za dobre i szlachetne.

Około południa, w nastroju dziwnie poważnym pożegnał Floryan matkę i wyszedł do rodziców Elżusi.

XIV. W domu pana Izajasz krzątano się już od rana. Pani Izajaszowa robiła przegląd kuchennych zasobów. Wydawała rozkazy gdzie i czego jeszcze kupić należy. Pan Izajasz obliczał mniej więcej konsumpcją wina, aby u Fukiera potrzebną ilość koszów zamówić.

Elzusia tymczasem zajmowała się więcej sobą. Marzyła trochę, trochę się śmiała, a czasem także w zwierciadle na siebie patrzyła. W jej pokoiku leżały różne stroje i stroiki, świeżo dopiero z magazynu przyniesione. Potrzeba było to i owo przymierzyć i znowu do zwierciadła się popatrzeć. A zwierciadło było dzisiaj dla niej bardzo przyjazne. Okazywało wdzięki i powaby, o jakich pierwej zupełnie milczało. Osobliwie uśmiech był dzisiaj w zwierciadle niezrównany. Był to uśmiech marzenia słodczy, szczęścia! Serce Elzusi przeczuwało szczęście, blizkie szczęście. Śród tych przygotowań na horyzoncie szczęśliwego domu zgromadziła się nagle chmurka, która wszystkim tym pięknym rzeczom sromotnie zagroziła. .

Kiedy właśnie pan Izajasz, jak wódz naczelny, już wszystko do szyku ustawił i przed walną bitwą nieco wypocząć zapragnął — otworzyły się drzwi z dziwnym skrzypem, a do pokoju wszedł listowy.

Pan Izajasz, jako handlujący drzewem, odbierał wiele listów z zagranicy. List jednak dzisiejszy coś go zatrwożył, a nawet zdawało mu się, że listowy podawał mu go z szczególnym wyrazem na twarzy.

Mogło to być tylko przywidzeniem, ale pan Izajasz wierzył że tak jest w istocie.

Z gorączką rozerwał pieczętkę i zaczął czytać.

Czytał kwadrans — drugi i trzeci, a twarz jego wyglądała przytem, jakby miał przed sobą jakieś niezrozumiałe hieroglify.

Wreszcie ocknął się, krzyknął na żonę i powiedział jej krótko, że z dzisiejszego wieczoru nic nie będzie, że znakomitszych gości odprawić trzeba.

A nim jeszcze pani Izajaszowa jedno z tysiąca pytań wymówić zdołała, pan Izajasz był już na ulicy.

Wyjrzała za nim oknem i widziała tylko, jak skurczony biegł ku Zygmuntowi, rozrzucając rękami jakby mówił, do siebie.

Pani Izajaszowa odeszła od okna, aby tą hiobową wiadomością o wieczorku Elzusi jak najprędzej podać i z nią razem o tem ważnem zdarzeniu pomówić. Elzusi jednak nie było już w domu. Wyszła z żoną "budowniczego na miasto, aby jeszcze jakiś sprawunek załatwić.

Teraz uwierzyła nagle pani Izajaszowa że jest najniezszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Uwierzyła że mąż cały świat jej zawiązał, że gdyby inaczej za mąż była wyszła, byłaby szczęśliwa i wesoła i tak zawsze uśmiechnięta jak żona budowniczego.

I rozsnuwając stopniowo co raz czarniejsze myśli, uwierzyła sumiennie w swoje nieszczęście, a nawet wzięła dużą kraciastą chustkę do ręki i zaczęła płakać.

— Nie, to istny tyran! lkała półgłosem, odebrał list jakiś i wyszedł, nic mi niepowiedziawszy. Jakąż opinią będą o mnie mieli sąsiedzi, jeżeli zapytają, dlaczego wieczór odłożony, a ja nic im nie

odpowiem? Cóż to za. żona, pomyślą sobie, która o interesach męża niewie wie?

Kiedy pani Izajaszową w domu tak wyrzekała

i dla męża gdy powróci pożądaną łaźnię gotowała — biegł pan Izajasz ciągle prostą drogą, jakby mu czo do głowy strzeliło.

Przebiegł całe Krakowskie Przedmieście, minął Kopernika i kilka ulic poprzecznych i zatrzymał się dopiero na samym końcu Nowego Świata.

Wszedłszy do kamienicy narożnej, wybiegł na drugie piętro i ostrożnie drzwi otworzył.

W przedpokoju siedział staruszek z siwą brodą i drzemał. Ocknął się na widok gościa.

— Czy jest pan naczelnik? zapytał z gorączką pan Izajasz,

— Pan naczelnik... powoli ciągnął staruszek — widzi pan — naczelnik czasem jest, a czasem go niema.

— Mam pilny, krótki interesik.

— Widzi pan, interes może być pilny i krótki.... ale gdyby naczelnika w domu nie było? to co?

— Czy jest, czy niema?

— Krótko mówiąc: niema. Ale widzi pan...

Tu otworzyły się drzwi i łysa głowa podstarzałego człowieka okazała się w progu.

— Ah! Pan Izajasz! Proszę, proszę!... Józefie, zamknij drzwi od sieni.

— Już ja tam długo tych drzwi zamykać nie będę, odpowiedział z indygnacją stary służący — niech inny zamyka, jeśli pan zemnie błazna robi!... Co to jest. Mie kazałeś pan żadnego wpuszczać. aty wystawiasz pan nos do obcych ludzi. Co to jest!

Naczelnik jednak nie zważał na mruk starego

służącego i pana Izajasa pociągnął za rękę do swego pokoju.

Pokój, w którym teraz pan Izajasz usiadł na krześle, był to dosyć wykwintny salonik, napełniony rozmaitemi błyszczącymi fraszkami. Na ścianach wisiały w złotych ramach nie nader starannie pozbierane obrazki, na szklanych etażerkach było pełno różnych cacek i zabytków starożytnych, na stole leżały olbrzymie albumy i luzem porozrzucone fotografie. Francuzki dywan rozcielał się po posadzce.

Z tego saloniku otworzone były drzwi do sypialnego pokoiku, który urządzeniem swoim przypominał buduar kobiety. Były tam małe i większe zwierciadła, różne flaszki i flaszeczki, tygle i flakony. Szereg grzebieni, od grzebyczka miniaturowych rozmiarów, aż do olbrzymia fryzyerskiego z wulkanizowanego kauczuku, leżał symetrycznie uporządkowany. Koło łóżka perską tkaniną nakrytego, leżały różnego rodzaju przyrządy do ściągania butów. Jedne miały mechanizm skomplikowany i wyobrażały lirę, inne prościejszej struktury przedstawiały chrząszcza z rozczapierzonymi wąsami, albo misterną podkowę.

Z wszystkich tych drobnych wygódek i gracików wnosić można, że to było mieszkanie starego kawalera.

Rzeczywiście tak zwany „naczelnik" był starym kawalerem, i sam sobie liczył lat pięćdziesiąt dwa.

Był on urzędnikiem przy banku, a że w biurze swoim miał dwóch podwładnych pisarzy dziennych, więc zwyczajem warszawskim nazywał się w świecie towarzyskim naczelnikiem.

Był to człowiek niskiego wzrostu, tuszy nieco większej nad potrzeb, twarzy czerwonej, oczu du

zych, wypukłych. Włosy pierzchły już z głowy wraz z młodocianymi marzeniami i zostawiły pole czyste, błyszczące, jakby wypalony grunt bujnej niegdyś łąki. Jedyne szczątki zostały jeszcze nad uszami, które naczelnik rozproszował jak mógł najoszczędniej po całej głowie.

Zato wąsy i brwi czerniły się, dzięki czarnemu woskowi, jak las gęsty bukowy. Okrągły podbródek okazywał, że naczelnik już dawno uspokoił się i żył regularnie jak chronometr angielski.

— Siadaj pan, panie Izajaszu, siadaj, wołał barytonowym głosem naczelnik, podsuwając gościowi krzesło.

Naczelnik nie zaprosił pana Izajasza na kanapę. Widać że kanapę miał dla innych gości. Pan Izajasz był u niego gościem tolerowanym.

Tak było w istocie. Pan naczelnik Bonawentura lubił tak zwane towarzystwo wyższe. Niżej od mecenasa nie schodził. Nienależnie jednak od tego miał także tak zwanych znajomych z handelków. Tylko w handlach znał takich znajomych i rozmawiał z nimi przy omszałych butelkach. Do tych należeli mieszczanie Starego Miasta, którzy radzi częstowali go u Fukiera, a którym w zamian pan Bonawentura dawał niektóre objaśnienia co do obrotu efektami, o czym mieszczanie nie mieli żadnego wyobrażenia.

Taki również stosunek był między nim a panem Izajaszem.

— Cóż, panie Izajaszu, mówił pan Bonawentura tonem protekcyjnym, zapewne nadeszła z Gdańska jakaś znaczna gotówka. Trzeba coś kupić — efekta nizko, bardzo nizko stoją!

Pan Izajasz poskrobał się w głowę.

— Daleko do efektów jeszcze, panie naczelniku., odpowiedział zakłopotany, ja tylko... ot tak... chciałbym na wypadek... gdyby...

Tu westchnął pan Izajasz i kułakiem otarł łzy.

— Tam do kata! zawołał zaciekawiony smutną postawą pana Izajasza naczelnik, tam do kata, cóż to jest! Czy nie jaka sromotna sukcesya?

— Tak... prawdopodobnie... widzisz panie naczelniku... długo, bardzo długo byłoby o tem mówić... jednak lepiej byłoby przy butelce u Fukiera.

Pan Bonawentura połknął i całą łysinę obszedł starannie ręką.

— Fukier Fukierem, ozwał się, on nam nie ucieknie, ale nie zaszkodziłoby kilka słów dla wyjaśnienia tutaj pogadać.

— Co tam słowa! Ja słów żadnych nie mam... mam tylko list... i to list może po raz ostatni ręką Sebastjana pisany!... Tak to życie człowieka.

— Ręką Sebastjana?... któż jest ten Sebastjan.

— Mój brat stryjeczny i wspólnik, który od lat pięćdziesięciu w Gdańsku mieszka.

— Hm, hm... w Gdańsku robią się pieniądze. Pan Izajasz westchnął.

— Pocóż wzdychać. Człowiek każdy musi umierać. I my pójdziemy na Powązki, panie Izajaszu!... Jakiz to list, o którym pan wspomina. Może są zawile cyfry?

— List... list... w liście cyfer niema, ale na wypadek gdyby koniecznie jakie cyfry się okazały... chciałbym więc rady pana naczelnika, bo to za granicą mogą człowieka oszukać ci Niemcy i jeszcze wyśmiać.

— Możesz mi pan ten list pokazać?

— Może u Fukiera?...

— Lepiej tutaj, do Fukiera pójdziemy potem.

Pan Izajasz wyjął list z zanadru i powoli rozwinął. Naczelnik wziął okulary na nos i zaczął czytać:

„Wielce kochany Izajaszu i panie bracie!

Lat pięćdziesiąt minęło, gdym opuścił nasz domek rodzinny, przez ten czas jak wiesz krwawo pracowałem, ale nie pracowałem, jak wielu naszych, tylko dla miłości grosza. Miałem dla mojej pracy inne pobudki.

Oto nieraz przychodziło mi na myśl, jak to nasi panowie grosz z ojczyznościanego majątku wyduszony wiozą zagranicę i tam go marnotrawią. Widziałem to sam na własne oczy i mocno nad tem bolałem. Biorąc bowiem poprostu tylko kredkę do ręki i rachując, co my za granicą płaciemy, a co ona nam za to daje, to okazało się w końcu, że my koniecznie zbankrutować musimy. Otoż ta myśl trapiła mię nieustannie, póki nie postanowiłem sobie, aby wyjechać za granicę i tam pracą i oszczędnością choć część tych pieniędzy odebrać i napowrót krajowi je wrócić.

Bóg błogosławił myśli mojej i dzisiaj mogę już powiedzieć, że zamiar mego, o ile na to siły moje starczyły, dokonał. Okrągła cyfra jest... dzisiaj moim majątkiem."

— Tu coś przemazane, rzekł naczelnik, patrząc przez papier do okna.

— Coś przemazane, odparł pan Izajasz i westchnął.

— Jeżeli się nie mylę... to będzie — milion!

— Być może... pan Cebastyan miał znaczne z Anglią interesa drzewem.

Pan Bonawentura odetchnął ciężko. Żałował, że pana Izajasza na kanapie nie posadził.

Potał ręką po czole, plunął głośno z indygnacją, że jemu taki milion do gęby wpaść nie może i czytał dalej:

„Od kilku dni zaniemogłem. Mam lat górą siedemdziesiąt, kto wie, czy to Bóg nie ostrzega mnie, abym za życia rozporządził owocem pracy mojej...

Nie mam rodziny, tyś mi najbliższym, panie bracie. Otoż proszę cię, przyjeżdżaj, abym z tobą mógł się rozmówić.

Na piśmie nic robić nie chcę, bo tu Niemcy wielkie taksy od tegoby wzięli. Chcę ciepłą ręką złożyć u ciebie mój dorobek i żywym słowem powierzyć ci niektóre myśli moje. Tylko śpiesz się, bo czuję, że dusza moja tęskni do Pana Boga! Nie chciałbym, aby po mojej śmierci ludzie tylko pieniądze znaleźli, pieniądze bez myśli, która je gromadzić kazała...

Po odczytaniu tego listu, długie panowało milczenie. Pan Bonawentura przebiegał jeszcze lulka razy list oczyma i zastanawiał się nad każdym słowem. Pan Izajasz nie myślał o liście, ale o ręce, która ten list pisała. Była to ręka zacna i poczciwa i ręce tej zawdzięczał wiele, bardzo wiele. Smutek owładnął serce jego.

— Koniec końców, ozwał się wreszcie pan Bonawentura, smutek smutkiem... każdy człowiek umierać musi... a jeśli to przekreślone słowo w istocie milion oznacza... to jest nawet czym się pocieszyć po smutku! Zacni, poczciwi ludzie, którzy pieniądze zbierają! Żaden z moich krewnych pieniędzy

nie zbierał, chociaż jeden z nich miał być dygnitarzem za Stanisława Augusta!...

— I jakąż radę dajesz mi pan naczelnik?

— Tu wiele rzeczy trzeba jeszcze wyświecić.

— Chodźmy do Fukiera!

— Dobrzechodźmy.

I dziwnie wzruszony pan Bonawentura wziął kapelusz i obadwaj wyszli na ulicę.

x.

Na zamku bila godzina dwunasta, gdy Floryan z Mostowej wchodził na Podwał.

Nigdy jeszcze nie był w podobnym usposobieniu. Rozkosz i trwoga przechodziły koleją przez jego serce. Piękne obrazy przyszłości roztaczały się ponad nim, a za nim, zdawało mu się, sunęła się jakaś chmura złowieszcza, która tym pięknym obrazom groziła. Przyśpieszył kroku, wpatrzył się daleko, daleko w swoje przyszłość pogodną, a mimoto słyszał za sobą jakiś dziwny huk, podobny do huku gotującego się gromu.

Wytlumaczył to sobie jakoś; krok, jaki teraz uczynić zamysłał, był stanowczym krokiem, a takiej chwili życia towarzyszy zazwyczaj obok radości i pewna trwoga.

Z dobrą więc otuchą wszedł do domu pana Izajasza.

Zaraz jednak w progu uderzyły go dziwne głosy. Rozmawiano głośno. Głos mianowicie pani Izajaszowej był dziwny, nienaturalny. Dźwięczał on jak struna do powszechnego akordu niedostrojona. Pan Izajasz odzywał się rzadko, a w głosie jego było coś rzewnego. Czasami jak jasne perełki wydoby

wały się z tego chaosu słówka Elżusi, którym zazwyczaj wtórował metaliczny głosik Bronisławy. Cały ten chór różnogłośny prowadził silny baryton, którego dotąd nigdy w domu pana Izajasza nie słyszał.

Floryan zatrzymał się chwilę w przedpokoju. Sam nie wiedział czy ma iść dalej, czy się wrócić. Podobne towarzystwo nie sprzyjało jego zamiarom. On chciał właśnie uczynić krok tak ważny, chciał tej chwili nadać jak największą uroczystość, a tu zalatuje go gwar dziki, gwar ludzi, którzy przynajmniej po dobrem są śniadanku.

Chciał się właśnie cofnąć, gdy nagle drzwi się otworzyły.

— A co, nic zgadłem? zawołał podróżowany węgrynkami pan Bonawentura, otwierając drzwi coraz dalej — czy nie zgadłem?... Mówię, tuzinami będą przychodzić... cha, cha, cha! I pocóż tu się smucić!

Przywitany w ten sposób Floryan, zatrzymał się na progu. Rzucił okiem w głąb pokoju, aby to dziwne przywitanie sobie wytłumaczyć.

Główny stół przed kanapą był nakryty, a na nim leżał tort olbrzymi, prawdopodobnie na wieczór przeznaczony, otoczony butelkami ornszałami i kieliszkami. Pan Izajasz nalewał właśnie próżny kieliszek. Pani Izajaszowa siedziała na kanapie z twarzą dziwnie zmienioną. Oczy miała czerwone od płaczu, a grube usta podniosły się tak rozkosznym uczuciem, jak u niej nigdy jeszcze Floryan nie widział. Była z tego względu w niemałym kłopotcie. Nie wiedziała czy płakać, czy cieszyć się. Płakać nakazywał zwyczaj, cieszyć się chciało serce. Chciała więc jedno z drugim pogodzić.

W duszy

radowała się. widocznie, a do oczu przykładła chustkę, c ociąż tam w tej chwili ani jednej łzy nie było. Elzusia siedziała między oknami na krześle i odtrącała łagodnie drobną rączką żywe, wesołe gesta Bronisławy, której twarz wyrażała gryzącą ironia.

Taki obraz przedstawiał się teraz oczom Floryana. A obok niego stał człowiek którego nie znał, a który w tak zagadkowy sposób go przywitał.

— Dałbym sobie zęb trzonowy wyrwać, żeś pan kawalerem! Krzyknął podochocony pan Bonawentura.

— Zapytania pańskiego nie rozumiem, z chmurką na czole odpowiedział Floryan.

— Jestem Bonawentura .

— Floryan .

— Obiecałem właśnie strapionemu panu Izajaszowi, że po nabytym z Gdańska spadku dobijać się będą kawalerowie o rączkę jedynaczki.

— Bo to, widzi pan, wyjaśniała pani Izajaszową; mój mąż odebrał smutną wiadomość, że Sebastyan brat jego stryjeczny umiera w Gdańsku i nas robi uniwersalnymi sukcesorami...

— Milion! milion uciulał pan Sebastyan pracą i oszczędnością. Daj mu Panie... wtrącił pan Izajasz.

— A co panie, czy nio miałem słuszności zapytać czyś pan kawaler, czy nie? mówił pan Bonawentura, biorąc kieliszek ze stołu. — Wypijmy na to konto węgryzka. Zdrowie tych wszystkich kawalerów, którzy teraz dopiero zaczną kochać i wielbić piękne oczka panny Elżbiety...

Floryan stał sród pokoju jakby grom w niego uderzył. Nie mógł jeszcze dobrze wszystkiego zro

zumieć, sytuacja była jeszcze dla niego ciemna i zagmatwana, ale tyle tylko wiedział, że rola jego w takim położeniu będzie bardzo trudna.

Spojrzał na pana Izajasza. Pan Izajasz miał jedno oko zapłakane, a drugie śmiało się z rozkoszą. Zdawało się Floryanowi, że to oko patrzy na niego szydlerzo.

— Juź to pan naczelnik ma zawsze dobre koncepta, ozwał się do Floryana pan Izajasz, przymrużywszy zapłakane oko — zawsze coś dowcipnego znajdzie. Powiada .że konkurenci wysypią się teraz na mój dom, jak proso z dziurawego worka. Ha, ha, ha... Może kieliszeczek...

— Dziękuję... Cóż jest za powód łó tych dowcipnych konceptów pana naczelnika?

— Widzisz pan... smutna, bardzo smutna rzecz. Mój brat, stryjeczny mój brat Sebastyan umiera w Gdańsku. Uzbierał sobie cały milionik.

Pan Izajasz otworzył tutaj zapłakane oko, a drugie przymrużył. Miał on serce zacne, pocziwe, ale nadzieja otrzymania w spadku miliona była nad jego siły i popsła mu równowagę zmysłów.

— Milionik albo milion jest zawsze milionem, ozwał sie pan Bonawentura — a pan Izajasz myśli, że przez skromność zmniejszy go. Ha, ha, ha. Mówię państwu, że od dzisiaj zaczną się kawalerowie oświadczać na różne tony i mutacye. Milion... to warto oświadczyć się pannie, choćby była jak noc brzydka....

— Panie naczelniku! napomniała mówiącego pani

Izajaszowa.

— Broń Boże, mościa dobrodziejko, szybko poderwał naczelnik, o pannie Elżbiecie wcale w tej chwili nie myślałem...

A nawet myślić nie mogłem,

bo panna... panna Elżbieta... jakkolwiek... jakkolwiek nie ma rysów greckich, ale ma dźwięk... wdzięk chciałem powiedzieć... tam do kata język się płacze. Przeklęty Fukier, z kąd on wziął takiego węgrzynka?... Ogień i płomień, mówie państwu.

Floryan zaczynał widzieć coraz jaśniej, ale to co widział było dla niego smutne, bardzo smutne.

Zwrócił się do Elżusi. Koło Elżusi stała tam Bronisława i w koło szyi zawiązywała jej chustkę koronkową.

— Co robisz? mówiła Elżusia, broniąc się od Bronisławy.

— Co robię? odpowiedziała z ironicznym uśmiechem Bronisława, czy nie widzisz co robię? Zawiązuje worek pieniędzy—przestajesz być kobietą, jesteś workiem pieniędzy! Przed tym workiem będą teraz klękać mężczyźni, będą czule słówka gadać, prosić o rękę i serce... ale właściwem nazwiskiem nikt cię nie nazwie! Nikt nie powie: worka pieniędzy!...

Floryan zgryzł usta i spojrzał na Elżusię.

— Czy i pan we moje nic innego nie widzi? wyszepnęła Elżusia i zarumieniła się lekko.

— Dla mnie pani jesteś tem, czem dotąd byłaś, odpowiedział Floryan i nieznacznie zarumienił się także. ,

— To zawsze mało! odparła z lekkim westchnieniem.

— Nie lękaj się, zauważyła Bronisława, kurs twój wkrótce podwyższy się! Nawet u pana Floryana będziesz od dzisiaj czemś więcej.

— Gdyby pan Floryan to mi okazał, tobym w oczach własnych spadła nisko, bardzo nisko!

— Masz pani słuszność, odpowiedział z głębokim oddechem Floryan. Jeśli kto chce zarobić na pod

wyższenie kursu, to musi pierwiej nabyć papier po kursie niskim.

Masz pan szlachetne instynkta, dorzuciła Bronisława, a te instynkta chronią pana przed rozczarowaniem.

— Czy i pani tak sądzisz? zapytał Elżusi Floryan.

— Bronisława ma więcej rozumu odemnie, odpowiedziała w roztargnieniu Elżusia, skubiąc koniec wstążki.

W tej chwili weszła senatorowa do pokoju.

Służąca, którą wysłała pani Izajaszową przed trzema godzinami, aby znajomych odprosić, zdążyła dopiero teraz na ulicę Mostową. Zapytana o właściwy powód tego odproszenia przez senatorowę, tyle zagadkowych rzeczy jej odpowiedziała, że senatorowa, obawiając się jakiego smutnego wypadku, postanowiła udać się do państwa Izajaszów. Osobliwie płacz pani Izajaszowej i wyrzekanie na męża, że ją uczynił najniezszczęśliwszą z kobiet na świecie, dodało bodźca senatorowej, aby osobiście przekonać się, a wrzecie potrzeby dać pomoc niezszczęśliwej. ,

Wszedłszy do pokoju, niemniej od Floryana była zdziwioną tem, co tam ujrzała i usłyszała.

Zaraz w pierwszej chwili dowiedziała się o wszystkim. Pan Bonawentura nie trzymał długo języka za zębami i wyjechał przy pierwszej sposobności z jakimś conceptem, podobnym do tego, który był Floryan usłyszał.

Senatorowa przejrzała natychmiast sytuacją i spostrzegła, że dla Floryana nader trudne jest z niej wyjście. Postanowiła rozjaśnić ją czem prędzej, aby wiedzieć czego się nadal trzymać trzeba. Mia

ła bowiem wielkie uprzedzenie o ludziach czysto materyalnych, którzy bez żadnej szlachetniejszej myśli grosz swój nagromadzili.

— Jeśli dobrze słyszę i pojmuję, ozwała się po niejkiej chwili, to państwo macie najprzód smutną wiadomość że krewny wasz w Gdańsku niebezpiecznie chory, a powtórę jest speranda po nim spadku.

— Milion! wtrąciła pani Izajaszowa.

— Milion nie milion, poprawił pan Izajasz, ale tak mały... mały milionik!

— Jeżeli tak jest w istocie, mówiła dalej senatorowa, to co do pierwszego wynurzam państwu szczerą kondolencją, a co do drugiego, to winszuję tak niespodziewanego szczęścia!

— To nic, mościa dobrodziejko, ozwał się pan Bonawentura, to nic jeszcze, ale jak się wiadomość o tym milionie po mieście, po kraju rozprysnie, to będzie istna procesya konkurentów i epuzerów, począwszy od aplikanta sądowego, aż do senatora!... Nie jeden smolidrag, który dotąd chodził do pana Izajasza na kawał pieczeni, a przytem niby w oczęta panny Elżbiety wglądał, przyjdzie teraz jako czuły, oddawna kochający kochanek i przed panną i rodzicami uklęknie, prosząc o posag!....

— Co też pan naczelnik mówi, przerwała pani Izajaszowa ze znaczącem spojrzeniem na Floryana, jak można tak głośno myśli swoje wypowiadać, gdy jest niebezpieczeństwo, że ktoś usłyszeć może. Senatorowa zrozumiała aluzją i zachmurzyła czoło.

— Zdaje mi się że tego niebezpieczeństwa nie ma, odpowiedziała z widocznym wzruszeniem, niech, pan naczelnik dalej głośno myśli.

—V I

— Jako? Przecież państwo wiecie najlepiej, kto często bywał tutaj i pod pozorem panny spijał herbatki? Ten niezawodnie będzie teraz najpierwszy ofiar;! Ha ha ha, ofiarą! Dobrze mi się powiedziało! Tak, ofiarą, bo panna Elżbieta powinna teraz być nielitościwą.

Tu zrobił pan Bonawentura gest ręką, jakby Floryanowi chciał coś powiedzieć. Floryan usunął się, senatorowa zacięła usta.

— Nie wiem. zaczęła po chwili, jakie bohaterstwo widzisz pan w tem, jeśli na kogo spadnie niespodziewana fortuna. Jest to rzecz, której się nie odpycha, ale ztąd jeszcze bynajmniej nie wypływa, aby brać szczudła i po drugich ludziach chodzić! Bogactwo nie jest jeszcze bohaterstwem.

— Największem bohaterstwem dziewiętnastego wieku, mości dobrodziejko! replikował pan Bonawentura. Ja sam nawet, gdybym był tak sromotnie bogatym.... (tu zrobił znowu jakiś gest do floryana, jak się senatorowej wydawało)... gdybym był tak sromotnie bogaty, tobym tych wszystkich, którzy dawniej uważali mniema hetkę pętelkę, wziął przed siebie i zgniół na miazgę.

— My tam dlatego z ludzi nie chcemy się natrzasać! wtrąciła pani Izajaszową. Już: jest karą dla nich. że uas widzą u góry i do nas głowę podnosić muszą.

Podejrzliwa i dumna senatorowa widziała w tem aluzją do siebie i Floryana. Podejrzliwość podobną u ludzi, którzy przez zbieg okoliczności do poziomu ubóstwa zeszedli, chociaż z moralnej wartości swojej nic nie uronili, jest bardzo naturalną.

— Nie spodziewałam się, rzekła, podnosząc głowę do góry, że przychodząc do dobrych znajomych w odwiedzinę, przyszedłam na rozprawy o pewnych dok

trynach, o których już dawno wydano wyrok. „Złoty cielec” był tylko na chwilę bożyszczem Izraelitów, jak nas pismo naucza—wnet musiał ustąpić miejsca „Przykazaniom koga,” które Mojżesz z góry przyniósł. ;

Pan, Izajasz był już dobrze winkiem podchocony. Częścią smutek, częścią potrzeba rozmowy z panem Bonawenturą, który z mieszczaninem nigdy na sucho nie rozmawiał, były tego powodem. Słowa senatorowej o „złotym cielcu” wziął wprost do siebie. Już zdawna podejrzliwy o lekceważenie siebie przez senatorowa, trawiony w obec niej nieprzyjemnym wspomnieniem, że był kiedyś prawie sługą u niej, wspomnieniem, które dla ludzi jego rodzaju, jest istną złą złą srod życia dostatniego, wybuchnął teraz całą tłumioną dotąd namiętnością, właściwą dorobkiewiczom.

— Wielmożna pani senatorowa, mówił z przyciskiem, nie raz raczy mówić do nas w sposób podobny. My ludzie prości lecz uczciwi zostawiamy każdemu, co się jemu należy. Przed dygnitarzem zdejmujemy czapkę, choć go nie znamy, hrabiemu mówimy: jasnie panie hrabio—ale nie chętnie słuchamy słów, jakimi nas kto „ekceważy. Zaszczytów w rodzie naszym niema, antenatów nie znamy, bo nie byli żadnymi dygnitarzami, ale posiadamy grosz uczciwie zapracowany. Że zaś do tego naszego grosza dołącza się tytułem spadku milionik, to przecież tem bynajmniej nie zgrzeszyliśmy!... Widziałem ja hrabiów i dygnitarzy, którzy bardzo nisko kłaniali się milionom, chociaż nie w uczciwy sposób zebranych.

— Tacy to też hrabiowie i dygnitarze! wtrąciła z przekąsem senatorowa.

— Człowiek jest zawsze człowiekiem i lgnie do złotka! Wiem o tym, że i nas niejednego zaszczyt spotka. . . ,

— Takich zaszczytów nikomu się nie zazdrości!

— Powiadają:

Gdy kieszeń pusta Wygodne usta Choć głód tam łechce Mówią: Jeść nie chcę.

Senatorowa poczerwieniała na twarzy. Powstrzymując jednak wybuch, rzekła z udanym pokojem:

— Jak widzę, państwo zaczynacie się pozbywać dawnych znajomych.

Pan Izajasz był już w ferworze mówienia. Dla dobrego konceptu mógł teraz wszystko poświęcić.

— Pozbywać jak pozbywać, odpowiedział z dumniejszym uśmiechem, ale czasem mętną wodę odlać trzeba z miski, jeśli rybki ziewać zaczynają.

— Ale z wodą można i rybkę, wyrzucić.

— Nic nie szkodzi! Nałapę się świeżych! Same przyjdą do matni, bo czują kawał makucha.

— Cha, cha, cha! Milion to makuch nieszpetyny! wtrącił pan Bonawentura.

— Przecież w ten sposób wszystkich ludzi mierzyć nie trzeba, zauważyła smutno senatorowa. Są jeszcze inne kapitały w życiu człowieka i społeczeństwa, a takie kapitały w ostatecznym rachunku więcej zaważają, niżeli prosty kruszec, który może być środkiem, ale nigdy celem.

— Tak proboszcz na kazalnicy mówi co niedziela, a przecież ugania się za intratnym probostwem, wtrąciła pani Izajaszowa i mały nosek podniosła do góry.

Walka dwóch odrębnych światów, jakie w tej chwili reprezentowały senatorowa i pani Izajaszowa, była daremna. Nikt tam zwyciężyć, nikt przegnić nie mógł.

Spostrzegł to Floryan i chciał urwać niepotrzebną szermierkę, która walczących tylko rozjątrzała.

Wysłuchawszy tego wszystkiego co się tutaj powiedziało, był przekonany, że wszelkie jego marzenia ustać muszą.

Występując z nimi, naraziłby się na śmieszność i ściągnąłby na siebie niezasłużony zarzut, że dowiedziawszy się o milionie, zdecydował się prosić o rękę Elżusi.

Być może że obawa tego zarzutu była niepotrzebną. Być może, że po niejakich wyjaśnieniach dałoby się to wszystko z jego marzeniami pogodzić. Ale na przeszkodzie do tego stanął on sam.

Floryan był synem senatorowej, pracował z wyższą myślą.

Przekonanie to wpoilo weń dumę człowieka szlachetnego, który wie że na swojej drodze nie spotka się ze złotem.

Duma taka sprawia nadzwyczajną drażliwość w stosunkach ze światem zwyczajnym.

Dziwna sytuacja dzisiejsza zaatakowała przedewszystkiem tę drażliwość. Floryan był w stanie poświęcić teraz wiele, wszystko, aby tylko ani pyłkiem podejrzania nie splamić swego przekonania o sobie.

Wszystko zprzysięgło się w tej chwili przeciw niemu. Opinia publiczna tonem pana Bonawentury potępiłaby go bez apelacji. Nawet najbliżsi jego znajomi nie mogliby inaczej sądzić. Prócz tego Elżusia w oczach zwykłego świata uchodziła za nieładną. Któżby tam uwierzył, że ta napozór wcale

J

nieładna twarz miała dla niego kilka chwil wspomnienia, w których ją widział prawie idealną, i że do tej chwili odnosił swoje uczucia? O tem prawie nikt nie wiedział, ale wiedział o milionie — milion stanął teraz na pierwszym planie, a kobieta znikła.

Takie myśli przesuwały się przez głowę Floryana. Nie widział żadnego wyjścia dla siebie. Jedyne jeszcze ratunkiem była sama Elżusia.

Zbliżył się do niej.

Elżusia była już sama zmianą sytuacji podrażniona. Do tego przyczyniła się jeszcze Bronisława, która z gorzką ironią, po za którą wrzało serce namiętne, dogadywała jej ustawicznie. Mówiła o nieszczęściu, które ją teraz spotkało, mówiła o powabach miliona, przed którym czołem bić będą, a co ona przez nieporozumienie może wziąć za hołd dla siebie.

Takie i tym podobne rzeczy wyskakiwały jak szumiące perełki z głębi wody, z pięknych zaciśniętych ust Bronisławy i godziły w samo serce nieszczęśliwej milionerki.

Dołączyły się jeszcze do tego wspomnienia z ubiegłych dni, w których tyle marzyła i cierpiała. Przypomniła sobie jak próżne były jej wyczekiwania od Floryana owego słowa jasno wypowiedzianego, które przed ślubem wiąże w sposób nierozzerwany dwa serca, dwie dusze. Tem słowem nie udarował jej dotąd Floryan, a czemu byłoby ono dla niej w tej chwili? Cóż mogło wpłynąć na wypowiedzenie tego słowa? Może to, o czem Bronisława i pan Bonawentura w śp sób tak dosadny mówili?...

Elżusia była w labiryncie uczuć, domysłów i podejrzeń. Zbudziły się nagle wszystkie skrupuły młodego serca.

— Nie, pomyślała sobie w końcu, teraz trzeba się podrożyć. Trzeba od wetować sobie coś z ukrytych cierpień. Trzeba się dobrze przekonać, co ludzi pociąg" do mnie.

W tej chwili zbliżył się do niej Floryan.

— Nie spodziewałem się, zagadnął, że w tak odmiennej sytuacji obaczę dzisiaj panią!

— Czy i panu wydają się dzisiaj inaczej? zapytała z pożyczanym od Bronisławy uśmiechem ironicznym .

— Już w tem zapytaniu jesteś pani—niestety — inną.

— Nie poradzę temu—są rzeczy, które odmieniają nas.

— Przed godziną tym słowom nie dałbym wiary.

— A teraz przystępujesz pan do wiary powszechnej, która jedynie zbawić może! Wygodna to wiara!

— Coż robić, jeśli między ludźmi tak trudno o wyjątki.

— Kto sam nie chce być wyjątkiem, oskarża zazwyczaj wszystkich o brak takiej woli.

— Czy dałem kiedy tego dowody?

— Zdaje mi się że pan dałeś! Piękne teorie nie są jeszcze czynem.

— Pani oskarżasz mnie o coś, o czym nie mam nawet wyobrażenia.

— Nie oskarżam pana, jeżeli i w tej chwili nie jesteś innym jak dawniej. Oskarżyłabym jednak, gdybyś stosownie do zmienionego położenia chciał i siebie odmienić.

— A gdyby to nie było żadną odmianą, ale prostą konsekwencją tego, czym dotąd dla pani byłem?

— Cha, cha, cha! To wychodzi na to, co Bronisława i naczelnik przed chwilą powiedzieli.

Śmiech Elzusi był czysty, serdeczny. Nie było w nim żadnego fałszu, jakto zazwyczaj bywa w śmiechu udanym.

Śmiech ten dosięgnął najgłębszych tajni duszy Floryana. Zadrżał cały, poczerwieniał nieznacznie i odparł:

— Na samym śmiechu mogłaś pani skończyć, nie dodając do niego żadnych słów. Był on wystarczającą odpowiedzią.

— Widzę, że pan jesteś sentymentalnym!

— A ja widzę, że tutaj cała atmosfera jest dzisiaj zarażona—milionem! Czy milion odbierze wszystko ludziom, po czym dawniej ich znaliśmy?

— Milion nic nie odbiera! Przeciwnie, daje on nam urodę, rozum, szacunek, a czasem nawet i antetonatów.

— Czy pani i mnie masz za służalca milionów?

— Przynajmniej ostrzegam, abyś pan pozorów nie brał na siebie.

Floryan był cały czerwony. Usta drżały mu jakby miał febrę. Nie czuł nawet w tej chwili na sobie dużych, szeroko otworzonych oczu Bronisławy, których nie czuć było niepodobna. Były one gorące i błyszczały niezrównanym blaskiem. Z pod ciemnych brwi wybiegały naprzód jak baterya obserwującego nieprzyjaciela.

Bronisława siedziała obok Elzusi. Oparła głowę o jej ramię i tak patrzyła na Floryana. Usta jej piękne, poruszały się za każdym słówkiem Elzusi jakimś krokiem wewnętrznym, pod powiekami zbierały się łzy i groziły z każdą chwilą ztamtąd wytrysnąć. Jej twarz była blada, jak twarz z białego marmuru.

Przy ostatniej słowie Elzusi odetchnęła głęboko. Uśmiech na pół słodki okolił jej usta.

Floryan spostrzegł teraz, że Bronisława jest świadkiem tej dziwacznej jego rozmowy z Elżusią. Zaczerwienił się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Ostrzeżenia pani zdadzą się dla innych. Ja ich nie potrzebuję.

— W takim razie będę dla pana miała, jeśli nie co innego, to przynajmniej szacunek.

Floryan zagryzł usta. W rozdrażnieniu swoim ważył to za ostatnie słowo świeżej milionerki. Ukłonił się w milczeniu i postąpił ku matce, która właśnie w tej chwili wstała z krzesła.

Pożegnania było zimne i sztywne. Widocznie żegnał się milion z zasługą i pracą w ubóstwie.

XVI.

Gdy pan Izajasz z naczelnikiem w ciemnym kącie u Fukiera piciorublową butelkę wypróżniał, wszedł do gościnnej izby zwykły żyd, z pejsami i w łapserdaku, potrząsł jarmułką i zaczął się na wszystkie strony oglądać. Służący sklepowy wziął go za kołnierz i dosyć dosadnie za drzwi wysunął. Twarz żyda ani się nie skrzywiła. Przeciwnie, łagodny uśmiech rozlał się po jego bladej, czarnej brodą ocienionej twarzy.

— Ny, rzekł z sieni do służącego, wam zawsze żarty w głowie, a człowiek ma tyle interesów na głowie!

Rzekłszy to, wcisnął się znowu do izby.

— Wynoś się, bo cię wypędzę! krzyknął gniewnie służący.

Żyd uśmiechnął się słodko, położył rękę na brudnym ramieniu służącego i odrzekł:

— Wy szajnpurec, ile razy gębę otworzycie, to zawsze powiecie coś dowcipnego! Ja już znam to. Bywało jak tu chodził pan Godziemba — a groiser purecl....

— Nie szwargocz, tylko się wynoś! przerwał służący — i żyd wdzięcznie uśmiechnięty był znowu za progiem.

W tej chwili wchodził regent Bartosz do winiarni, jak to zawsze zwykł czynić przed spisaniem jakiego aktu.

— Ah! Goldberg! zawołał do żydka, dlaczegoż to wychodzisz z izby w sposób tak niefortunny!

— Przepraszam wielmożnego pana—odparł Goldberg, poprawiając kołnierz, kto jest nieprzyzwoity, czy ten co wypycha, czy ten, którego wypychają. Gdybym ja naprzykład wielmożnemu panu regentowi nad ulicą na grzbiet kij dał, kto byłby nieprzyzwoity, czy regent Bartosz, czy Goldberg?....

Regent rozśmiał się.

— Niech wielmożny pan regent jemu co powie! mówił dalej Goldberg, ja tam szukam kogoś, mam interesa.

— Cóż mu powiem?

— Przecież panowie, jak tego trzeba, to mówicie, że my bracia mojżeszowego wyznania! A gdy nie trzeba, to brata mojżeszowego wyznania i za psa nie mają! i

— Skarga twoja jest słuszną panie Goldberg, ale cóż ci pomogę? Nazywasz się Goldberg, to jest złota góra! I na cóżuci tej złotej góry, jeśli stróż kamienicy może cię za kołnierz wziąć?

— Ny, o tem potem! Teraz niech tylko ja tam wejdę! Mam ważne interesa!

— Widzisz, panie Goldberg, aby wejść między Judzi i o swój kołnierz być spokojnym, trzeba mieć pewne prawa do tego. Tego prawa trzeba się dorobić.... Tymczasem stworzę ci legalny tytuł do wejścia do winiarni. Będiesz tam gościem, kupię ci lampkę wina.

Gruby regent zaśmiał się ze swego konceptu, aż piwnica Fukiera zawtórzyla, i wprowadził Goldberga, jako równouprawnionego gościa do winiarni.

Za kilka chwil siedział Goldberg przy małym stoliku, a przed nim stała flaszka wina. Głaskał brodę i co chwila wołał na służącego, aby mu to i owo podał. Służący, który przed chwilą za kołnierz go brał, był teraz jako dla gościa bardzo grzeczny, przyniósł mu ognia i papierosów, zapalił i grzecznie uśmiechnął się.

Goldberg cmokał głośno językiem i dziwił się jak dwa złote mogą ludzi odmienić. Postanowił sobie w skrytości serca, że gdy będzie bogatym, wydawać będzie wiele pieniędzy, a wtedy będą mu panowie tak nadskakiwać, jak dzisiaj ten służący.

Tak rozmyślając, kręcił się Goldberg na wszystkie strony, szukając, jak się wyraził, swoich interesów.

I ujrzał tam kilku swoich „interesów.” Jeden siedział niedaleko za nim, z nosem czerwonym i grubymi obrzękłymi wargami. Niegdyś był to ładny młodzieniec. Miał mająteczek po rodzicach nieszpety. Goldberg przeniósł ten mająteczek do kieszeni jednego z bogatych lichwiarzy, i sam przytem mały procencik zarobił. Drugi „interes” był chudy i szpakowaty. Dobrze znali się z Goldbergiem. Teraz jednak nie przyznawali się do siebie. Było między

nimi pewne napięcie, o czym kołnierz i broda Goldberga mogłaby wiele opowiadać. Trzeci „interes” był najokazalszy. Miał twarz okrągłą, rozjaśnioną i oczy błyszczące. Interes ten nazywał Goldberg „curantes Geschdft” z którego obecnie miał dochód. Była to zielona, kwitnąca brzoza, z której wywierconego otworu lał się dla niego sok obfity. Kiedy ona uschnie, i stanie się prostym drzewem sągowem, o tem nikt w tej chwili nie myślał.

Goldberg popijał winko, cmokał językiem i kręcił się na stołku. Zdawało się, że jest sybarytą w tej chwili, wyłącznie winkiem swoim zajęty. Tymczasem nie wiele zważał on na winko, ale zato wiele patrzył na pijących, i pilnie łowił uchem różne słówka i półsłówka.

Osobliwie pilną uwagę zwracał na pana Izajasza, który zrazu coś potajemnie panu Bonawenturze do ucha szeptał, a po każdym kieliszku głos crescendo podnosił, i doszedł był teraz do fortissimo.

Po godzinie, gdy pan Izajasz z panem Bonawenturą powstali, powstał i Goldberg, a podziękowawszy regentowi za podstawę legalnej egzystencji w winiarni, wyszedł na rynek Starego Miasta i tam chwilę zatrzymał się, jakby się namyślał. Potem, podśpiewując, puścił się dalej.

Poszedł ulicą Śto Jańską, minął Zygmunta, zawrócił na KrakowskiePrzedmieście i tam wszedł do sieni jednego z narożnych domów.

— Czy jest jasny pan hrabia? zapytał służącego w przedpokoju

Służący był zaspany i wybladły. Ziewnął i otarł oczy.

— A gdzieżby pan hrabia był, jeżeli nie w domu o tym czasie! odpowiedział z pewną indygnacją.

— Ny, mógł wyjść z domu, a wt dyby go nie było.
— Przecież dopiero południe, a któż widział, żeby przed południem hrabia wstawał i wychodził?
— To prawda! Hrabia feiner purec, a u panów południe, czem u innych rano! Czy można słówko z hrabią pomówić?
— Czy przychodzisz z pieniędzmi, czy po pie niądze?
— Ani z jednym, ani drugim; mam interes. Służący myślał chwilę. Potem na znak przyjaźni i sojuszu wziął GoJd berga za brodę, po trząśł łagodnie, to samo zrobił z nosem.
— Ja wiem, zawołał wzruszonym głosem Goldberg, że my z sobą w przyjaźni—dosyc tego—idźcie do pana! Służący ziewnął, przetań oczy i wszedł do pokoju. Za chwilę stał Goldberg przy progu w salonie. Salonik, po którym Goldberg teraz pilnie się rozglądał, przedstawiał widok niezwykle. Urządzenie jego było wykwinne a nawet luksusowe. Obrazy wiszące na ścianach kazały wnosić, że tak zwany „hrabia" był kawalerem. Już sam zmysł estetyczny kobiety nie byłby zniósł takich widoków. Całe to jednak zbytkowne urządzenie przedstawiało w tej chwili widok pobojuwiska. Na dużym palisandrowym stole leżały szczątki cygar i munsztuki wypalonych papierosów. Pomiędzy nimi były porzrucane kupki popiołu, którego tu i owdzie użyto do rysunku różnych figur i arabesków. Dla urozmaicenia widoku, świeciły małe kałuże i jeziorka z rozlanego wina. Nad tem wszystkim górowały trzy bukiety kwiatów wyszukanych, które przed kilkoma godzinami trzymały piękne rączki, a teraz zmoczone winem, powalane popiołem

leżały pogniecione bezładnie i przypominały losy niejednej piękności, która zawrze sojusz z winem i cygarami!.... Kwiaty te mogłyby wiele, bardzo wiele opowiedzieć, ale Goldberg nie był zbyt ciekawy szczegółów, .kontentował się tem co widział, i co z tego uważał. Przed stołem leżały dwa krzesła na ziemi przewrócone. Jedno z nich straciło nawet kawał poręczy — widać że do przewrócenia użyto większej siły. Butelek próżnych widać było po różnych kątach kilka tuzinów, a korkami była ziemia literalnie zasiana. Dwa stoliki z zielonem suknem stały w rogach saloniku. Na nich leżały karty pogięte, podarte, a niektóre jakby na umyślnie gwoździem przedziurawione. Atmosfera była duszna i dziwnej woni. Był w niej kwas winny, dym tytoniu i zapachy pachnideł toaletowych, które tutaj po gościach wieczornych czy raczej nocnych pozostały i obrzydliwie z sobą walczyły. Goldberg chlipnął kilka razy powietrza, zanim mógł przyjsć do słowa, i dojrzeć gospodarza domu. Zaiste, trudno go było dojrzeć. Leżał on na szeszlongu a nogi wystawił na stół. Przy nim był towarzysz. Bosy, w tej samej pozycji co i gospodarz leżał, z tą tylk różnicą, że plecy opierał o fotel. Na stoliku między czterma parami kamaszków, stały dwie filiżanki z herbatą. Obaj towarzysze palili cygara.
— Przyznasz, mówił jeden z nich, że wieczorek

był niezrównany! W kolach naszych" kilka tygodni beda o tem mówić..... Jak ci się Klim eia podobała?
— Klimcia już podstarzała! odpowiedział towarzysz fotelowy, ale.... Frycek zgrał się wczoraj niemiłosiernie.
— Ej co tam Frycek! Żeni się bogato, będzie miał co przegrywać!.... Czy uważałeś że wczoraj „błyskotka" do Jerzego zęby suszyła? Czy Flambery już ją opuścił?....
—Hm.... Bouquerel widocznie siępsuje.
— Czy masz niestrawność?.... Może absyntu.
— Pozwoli jaśnie pan, ozwał się w tej chwili Goldberg od progu, i chlipnął znowu powietrza.
— A któż tam? Czy ty Goldberg? zawołał gospodarz, podnosząc głowę z za stołu.
Był to człowiek młody. Mógł zaledwie sięgać lat trzydziestu. Twarz jednak oznaczała zupełną starość. Była blada, pomarszczona i pożółkła. Oczy wygasłe świeciły jak próchno w nocy. Usta sine, zakąszone, okazywały przebyte namiętności, po których tylko wspomnienie zostało.
— I czegoż chcesz, panie Goldberg? zapytał, kładąc się znowu na szesłagu.
— Miałbym do jaśnie pana słówko... jedno słówko.
— Mów ile chcesz.
— Ale ja chciałbym tak..... tak na osobności.....
w cztery oczy....
— Możesz mówić bez ogródki wszystko.
— Dobrze.... ale gdy interes jest delikatny....
— Mów, nic nie szkodzi.
— To przecież być nie może.
— Powiadam ci jeszcze raz, że o wszystkim możesz mówić, co tylko chcesz.

— Względem interesu, cośmy przed tygodniem....
— O posażnej paninie?....
— Tak.... widzi pan—to tylko sam na sam można mówić, bo to zawsze rzecz delikatna.
— Czy ci obiecał wyszukać pannę z posagiem za żonę? zapytał towarzysz, zaciągając się dymem z cygara. i
— Mówiłem mu by gdzie wyszukał, odparł gospodarz spokojnie i poprawił się na szesłagu.
— Czy mam czekać, jaśnie panie? ozwał się żydek od progu i musnął po brodzie.
— Mów o wszystkim. Nie mam żadnych sekretów.
— Jeśli jaśnie pan koniecznie każe, to ja będę mówił. Ale zawsze zdaje mi się, że to interes zbyt delikatny.
— Nie nudź mnie.
— Jaśnie pan, mówił, żeby miała ze trzy lub cztery kroć. Nu, jaki ja procent dostanę, jeśli taką znajdę?
— Obiecałem ci—dziesięć.
— Dziesięć to zamało. To wiele trudu i wydatku. Trzeba chodzić, myszkować, pytać się regentów, wyciągać z hypoteki, rachować w książkach kupieckich.... a to wszystko kosztuje.
— Na kosztu moje jeszcze coś dorzucić.
— A jeśli więcej będzie, niżeli trzy lub cztery kroć?
— Co nadto—to dwadzieścia procent.
— To jakoś to będzie — muszą tylko wziąć do spółki regenta i dobrze go opłacić.
— Regent to gdzieś przecież wymyszkuje. Jakaś małoletnia pod dozorem opiekuna, niby wychowanica bogatych ludzi, osoba którą się opiekują wysokie sfery—jeżeli nie tu, to gdzieindziej....

— Rozumiem wielmożnego pana.... Czy nie mógłby wielmożny pan dać mi to na piśmie?

— Każdego czasu kiedy chcesz.

— Mogę przyjść jutro o tym czasie?

— Będę w domu.

Na tem skończyła się wizyta Goldberga, który wyszedł z niskim ukłonem z pokoju, a na schodach pogwizdywał już sobie wesoło i językiem cmokał, jakby zrobił dobry interes.

Po wyjściu Goldberga, panowało w saloniku czas niejaki długi milczeuie. Tylko dwa strumienie sinego dymu wytryskiwały do góry, jeden od szesłaga, drugi z fotelu.

— Więc „Lulu,” chcesz cię naprawdę ożenić? zapytał gospodarza gość fotelowy.

— Potrzeba mi pieniędzy! odpowiedział tenże.

— A Kajcio?

— Kajcio ograny już do ostatniego szeląga. Zrobiliśmy składkę i wysłaliśmy go na prowincya, do wuja.

— A „kuzynka?”

— Z „kuzynki” nie wiele pociechy. A Karolka przytem kosztuje mnie niemało. Ona właśnie zmusza mnie do ożenienia się, bo bez posagu żony będę musiał ją porzucić.

— Nieoceniona dziewczyna!.... I ona sama namawia cię do żeniaczki?

— Codziennie o tem mi mówi. To praktyczna i bardzo poczciwa dziewczyna. Ona wie, że wtedy byłoby i jej lepiej....

Mówię ci, żylibyśmy po królewsku.

— Że to ludzie szczęście mają na świecie.

— Byle być rozsądnym i poczciwym.

— Mówią, że Bolka utrzymuje teraz magazynierka, z którą dawniej jako szwaczkę był w przyjaźni.

— Pieniądz zawsze wraca do swego źródła.... Lecz ty o tem nigdy nie myślałeś? To rzecz bardzo logiczna.

— Jakto? Nierozumiem.

— Pieniądz, jak każda rzecz na świecie, ma swój „circulus vitiosus.” Znałeś Henryka Zarębę? Szlachcic chciał zostać przemysłowcem. Założył ogromną szwalnię i mordował biedne szwaczki dwunastogodzinną robotą, odciągając im za różne przewinienia po dziesięć groszy od dziennej płacy. W przeciągu lat dwudziestu zrobił wielką fortunę, kupił dwa domy i kolonią pod miastem. I coż powiesz? Syn jego Baltazar puścił to wszystko znowu — między szwaczki. Czyż pieniądz nie wrócił do swego źródła?

— Masz czasem genialne koncepta.

— Co mi z tego, jeśli nikt za nie nie płaci.

— Opowiedz to „kuzynce....” i zapytaj przytem, czy jej fortuna przypadkiem nie wyszła z baletu, bo tam teraz widocznie dąży.

— Indemnizacją płacą często piąte, dziesiąte pokolenia.

— Więc jest circulus mniejszy i większy!... Ciekawy jestem zkąd i kiedy wrócą do ciebie owe tysiączki, które tak często migały nam przed oczami.

- Jeśli wrócą... to nic wrócą drobną monetą — ale zmienione np... na pół milionik.
- Doskonały byłby to interes wekslowy.
- Do tego przecież dążyć trzeba. Wydaje się pomału, aby kiedyś na raz odebrać.
- Przypomina mi to rybak, który ze stawu swego wybierał małe rybki i do rzeki je puszczał, aby tam urosły.

— Niech cię nie znam. I ty zaczynasz mieć koncepty.
I obaj przyjaciele roześmieli się serdecznie.

XVII.

Tak zwany „hrabia Lulu,” dla którego żyd faktor miał wynaleźć pannę posażną na żonę, należał do rzędu tych, o których współcześni bardzo mało mówią, ale o których zupełnie zamilczą historya.

Nie od rzeczy będzie skreślić bliżej jego wizerunek, chociaż w gruncie będzie to wizerunek bardzo pospolity.

Najprzód trzeba sprostować fałszywe mniemanie Goldberga, jakoby Lulu rzeczywiście był hrabią. Nie należy to wcale do rzeczy, ale gotajski Almanach mógłby przez żydka być wbląd wprowadzony i listę hrabiów powiększyć o jednego samozwańca więcej.

Pan Alfons Ludwik urodził się zwykłym szlachcicem, a byli nawet i tacy, którzy i tego mu odmawiali. Ojciec Ludwika Alfonsa zebrał znaczny majątek, jako człowiek oszczędny i zapobiegliwy. Głównem źródłem jego dochodów były — buty i to jeszcze proste, chłopskie buty.

Nie robił on wprawdzie sam butów, ani nie miał warsztatów szewckich, skupywał je tylko na przednówku w całej okolicy u wszystkich szewców, a w jesieni sprzedawał, biorąc często od chłopów ekwiwalent w naturze.

Jakkolwiek sąsiedzi, którzy nie zapomnieli zakazu zarabiania wagą i łokciem, sarkali na nowego przemysłowca, mimoto śp. Dyonizy Ostroga nie uląkł się tego sarkania, i dalej prowadził handel zyskowy.

W handlu tym nie było przecież nic niemoralnego. Przeciwnie, nie potrzebując za obrotowy kapitał płacić lichwy, mógł Dyonizy Ostroga daleko taniej zbywać swój towar sąsiednim chłopkom, niżeli każdy inny przemysłowiec.

Szewcy w okręgu dziesięciu mil przychodzili do niego, osobliwie na przednówku, gdy chłop butów nie potrzebował, lub nie miał jeszcze zaco kupić, i brali znaczne sumy do odrobienia. Dyonizy Ostroga poszedł jeszcze dalej w spekacji.

Z fabryk sprowadzał hurtownie skóry i dawał je szewcom za dostawione buty, odciągając pewien procent.

Słowem było to przedsiębiorstwo bardzo pożyteczne, rugowało z rubryki producentów wielu przekupniów, którzy towar podrażali, i dostarczał ludności wiejskiej artykułu dobrego po cenach umiarkowanych.

Gdyby pan Dyonizy Ostroga z wyższego stanowiska na pracę i produkcją się zapatrywał, gdyby w takich samych zasadach i w tym samym kierunku syna swego wychował, byłby zostawił po sobie pracowitego człowieka, który byłby pożytkiem dla kraju.

Pan Dyonizy Ostroga miał jedną z urodzenia chorobę w sobie, która powoli i nieznacznie, ale z tym większym skutkiem nas zabija.

Wziął się do pracy i przemysłu, ale nie z zasady, że każdy człowiek w społeczeństwie pracować musi, tylko z tą myślą ukrytą, że dorobiwszy się znacznego majątku, utworze tym majątkiem synowi swemu drogę do sfery arystokratycznej.

To było alfa i omega całego jego życia—a w tem nie odrodził się wcale od tak zwanych obywateli ziemskich.

Dążąc do tego, czuł ciężar opinii sąsiedzkiej, którą handel butami uważała za splamienie sumienia i klejnotu. Na ten wyrok poświęcił już siebie, będąc pewnym, że synowi przysporzy środków nie tylko oczyszczenia napowrót klejnotu, ale ukoronowania go koroną, a może nawet i mitrą książęcą.

W tym celu chował syna swego po pańsku. Skąpy i oszczędny dla siebie, był rozrzutnym, jeżeli chodziło o nadanie poluru jedynakowi. Alfons Ludwik, od wszystkich „Lulu” nazwany, był owym szczęśliwym spadkobiercą majątku i idei śp. Dyonizego Ostrogi i wypełnił misję swoją w sposób nader skrupulatny.

Otoczony od dziecka Szwajcarką, Francuzem i Anglikiem, uczył się od nich poglądów na świat i życie. Mówił dobrym akcentem po francuzku, przeczytał umyślnie wypracowaną dla siebie „historią powszechną” w trzech arkuszach i miał odróżniać potomków od słynnych ogierów „Lord Palmestron” i D'Israeli.

Z takim fundamentem nauki wyjechał do Paryża. Paryż jest rzeczywiście miastem nauk i umiejętności. Ale takiego Paryża żaden prawie z naszych wojażerów nie zna. Paryż dla nich, to bulwary włoskie, opera, Eldorado, Alkazar, gabinet zepsucia u Vachettea, Casino i caffè chantant na polach elizejskich.

Lulu pilnie uczęszczał na ten uniwersytet i po kilku latach doszedł do tego stopnia doskonałości, że umiał reprodukować śpiewki Teresy, stroić miny Gilberta, przedrzeźniać sentymentalność pani Kaiser i kopiować dwuznaczne ruchy panny Sznajder.

Gdy z tym zapasem nauki wrócił do kraju, był prawdziwym bohaterem na niektórych salonach, któ

re stoją w pośrodku zwykłych grup społecznych.

Ponieważ Lulu do tej pośredniej sfery teraz należał, wypada i o niej coś powiedzieć.

Taktycznie istniejące grupy społeczeństwa, czasami stanami nazwane, mają pewne krańce, które stykają się z sobą. Krańce te są niejako przejściami z jednej sfery do drugiej.

Gromadzą się zazwyczaj tutaj żywioty najmętniejsze.

Ulubionem ich zbiorowiskiem są przestrzenie, gdzie chłop przechodzi na mieszczanina, mieszczanin na obywatela ziemskiego, czyli szlachcica, a szlachcic zwykły na członka arystokracji.

Podług ostatniej woli śp. Dyonizego Ostrogi miał Lulu stać się członkiem arystokracji. Z tego powodu zajął on to miejsce przejściowe, które z czasem miało go złączyć z arystokracją.

Miejsce to przejściowe, czy raczej przedpokój arystokracji miał w sobie, jak wszystkie inne przejścia, wiele trudów i lichoty.

Jeżeli hipotezy Darwina miałyby być istną prawdą, to najsmutniejszym dziwotworem byłaby istota, która już wyparła się małpy, a nie została jeszcze człowiekiem.

Takie mniej więcej stanowisko zajmował Lulu w stolicy kraju, gdy na karnawał z Paryża zjechał.

Rozpatrzywszy się na tem stanowisku, spostrzegł że jeszcze tam niejest, gdzie mu być potrzeba.

Znajomość z członkami arystokracji była wprawdzie łatwa. Po jednym ogniwie doszła do całego łańcucha.

Znajomość ta jednak ograniczała się na miejsca publiczne i prywatne, kawalerskie schadзки. Jadł

w hotelach z nimi drogie obiady, grywał na prywatnych wieczorkach w karty, ale do domów rodzinnych trudno było o codzienny przystęp. Raucik jeden i drugi i następująca po nim wizyta, która najczęściej kończyła się na rzuceniu karty, nie prowadziły jeszcze do celu.

Potrzeba może było czems uwagę arystokratycznych salonów zwrócić na siebie, czyli, mówiąc stylem właściwym, potrzeba było czems się tam wkupić.

Gdzie jest mowa o kupnie, tam zaraz na myśl przychodzą pieniądze, bez których żadne kupno jest niemożliwe.

Lulu postanowił więc wkupić się do tego wybranego orszaku, wkupić się życiem kosztownem i na efekt obrachowanem, do czego śp. Dyonizy Ostroga zostawił mu sporo funduszów.

I zaraz dowiedziała się stolica kraju o egzystencji człowieka, który się „Lulu” nazywa, jest dosyć majątny, przystojny i salonowo ogladzony, a przede wszystkim wybornie śpiewa piosenki Teresy z jej akcentem i gestami i robi miny komiczne, jak sławny pantomimik z pól Elizejskich.

Niestety, z nieśmiałością wyznać trzeba, że były salony, w których taki „Lulu” był pierwszym bohaterem.

Zachwycono się jego piosnkami, a osobliwie śpiewka Teresy, przy której co zwrotka kichać trzeba, z różnymi grymasami na twarzy, wywoływała entuzjazm tak wielki, jaki mógł tylko być przy wejściu Prusaków do Berlina po zwycięztwach nad Francją!...

— Ach, cóż to za miły człowiek ce monsieur Lulu! wołały damy kanapowe i z pewną ostentacją zatykały uszy przy śpiewkach zbyt wesołych.

— Jaki on dowcipny! szeptały panienki i rumieniły się pod wachlarzami.

— Co to za talent artystowski! wołali mężczyźni ze złotymi brylokami.

— Gdyby tak potrzebował... mógłby zostać europejskiej sławy artystą, mówili ludzie stateczni.

Tym sposobem coraz większe uznanie zjednywał sobie w stolicy „Lulua i coraz szybciej zmierzał w kierunku arystokratycznego Edenu.

Coż z tego, kiedy ta praca kosztowała wiele pieniędzy.

Trzeba było iść dalej owym zaczętym torem i coraz więcej zwiększać wydatki.

A wydatki były nieraz bajeczne! Jeden wieczorek w wesołym towarzystwie kosztował czasem kilkanaście tysięcy.

Czasem, tak dla wybruku fantazyi, która zawsze musi charakteryzować prawdziwą arystokrację, potrzeba było wyrzucić sumkę nielada.

Mozolnie za produkcją butów zebrane pieniądze ojcowskie rozchodziły się z szybkością błyskawicy, a zato pozostawała po nich pewna świetna aureola arystokratyczna, jaką zazwyczaj mieli pierwsi wyznawcy wiary po utopieniu lub zabiciu.

Otoż po długiej pracy obkoliła wreszcie Lula ta świetlana aureola arystokratycznej atmosfery, ale pod względem majątkowym był on już wtedy w żargonie żydków „toiter mannieboszczykiem.

Wprawdzie nie dopłynął on do wyżyn arystokracji, ale coś się zawsze zrobiło. Pobratał się tylko z mniej szlachetnym konarem tej wysokiej drzewiny, który stanowisko swoje nieco odmiennie od arystokracji europejskiej pojmował. Członkowie tego konaru nie mieli żadnych szlachetniejszych na

miętności. Nie bawili się w protektorów sztuki i literatury, nie stawiali na czele żadnych przedsiębiorstw przemysłowych, nie uganiali się za pierwszymi w kraju urzędami. Nawet ani biskupem, ani prałatem nikt z nich być nie począł. Zato zajadali najwyszukańsze, zagraniczne kąski i przysmaki, spijali kosztowne wina i likiery, grali w karty dla podrażnienia i wydawali bardzo wesołe wieczorki.

Z tej linii arystokracja pobratał się Lulu najzupełniej; hrabiego Jerzego nazywał Jurciem, Kazimierza Kaziem, Tadeusza Tadkiem. Słowem był między nimi równouprawnionym, chociaż mimo to był zawsze na ich usługach i pełnił służbę lokaja.

Był to jednak zawsze już pewien grunt, po którym mógł dalej iść piechotą. Cóż z tego, kiedy właśnie dostał się do tego gruntu gdy już majątek ojcowski z dymem poszedł i w kieszeni, zamieszkały okropne złowrocie pustki.

Wprawdzie uzyskana aureola pańska dawała możliwość robienia długów. Korzystał z tej możliwości Lulu sownie i przyszedł nawet w końcu do tej doskonałości, że wierzyciele przestali się naprzykrzać, ale przestali i dawać.

Niejaki czas były karty jedynym jego dochodem. Ale gdy i te zużywać się zaczynały, potrzeba było pomyśleć o jakim kroku stanowczym, któryby choć najbliższą przyszłość mógł jako tako zabezpieczyć.

Atmosfera pańska już była, potrzeba było ją teraz sprzedać. Potrzeba było wyszukać jakiejś tłuszcuchnej gąski i za jej posag udarować ją przywłaszczonym tytułem hrabiny i przenieść na nią swoje pańskie stosunki.

Nabycie takiej gąski nie jest bardzo trudne. Można ją znaleźć w starym dworcu dorobkiewicza, gdzie pod brudną strzechą słomianą stoi skrzynia żelazna, a w niej pieniądze na kupno zięcia, któryby do nowego domu wniósł jakie takie pańskie koligacje. Można ją znaleźć w wytwornych salonach przemysłowców miejskich, którym do pieniędzy brak stosunków z arystokracją, do czego mocno wzdychają... Można je również znaleźć w domu garbarza lub mydlarza, któremu się zdaje że pocziwie brudy swojej fabryki tylko klejnotem arystokracji wykadzić może.

Z takich to najczęściej miejsc poławiają się biedne ofiary, które, przebywszy mnogie rozczarowania, w końcu żyć muszą, chociaż warunków do życia nie mają...

Otoż w takim właśnie okresie życia był Lulu, gdy Goldberg z dobrą nowiną do niego zawitał.

XVIII,

Tymczasem wiadomość o milionie, mimo sekretnej wyjazdu pana Izajasza do Gdańska, zaczęła się coraz więcej rozchodzić po mieście i różne na znajomych i nieznanym sprawiała wrażenie.

Nawet pan naczelnik Bonawentura nie pozostał obcym temu wrażeniu, chociaż wrażenie to objawiało się na nim w sposób nieco dziwny, rozumiały tylko dla starego służącego Józefa.

Aby to wszystko także choć w części zrozumieć, potrzeba nam nieco cofnąć się do młodości tego doradcy mieszczań staromiejskich.

Pan Bonawentura był kiedyś ładnym młodzień

cem i ładnie śpiewał barytonem. Prócz tego grał na bassetli i czekanie. Te talenta wrzuciły go wcześniej w wir życia wiel komiastowego. Nie było dnia, aby na wieczór nie był proszony.

Były to czasy, w których Warszawa była sromotnie, rozmuzykalniona, zacząwszy od stróża w piwnicy, aż do kominiarza na dachu, jak to wtedy dowcipnie w szkicu swoim uwidoczniał niezrównany Kostrzewski.

Było więc pole dla pana Bonawentury bardzo wygodne i w plon obfite. Śpiewał i grał codziennie to w duecie, to w kwartecie. Miejskie salony przepadały za nim. Poszło wreszcie w przysłowie: herbata z panem Bonawenturą.

I któż był szczęśliwszy od pana Bonawentury?

Wszystkie piękne panie przepadały za nim, panny rumieniły się gdy tylko o nim pomyślały, a bawiące się matki widziały w nim ideał—zięcia.

Pan Bonawentura był aplikantem wtedy i przez wysokie protekcje mógł dojść wysoko.

Ale zbytek szczęścia gorszy jest często od niedostatku.

Gdyby pan Bonawentura był człowiekiem nieznanym i w towarzystwach nieposzukiwanym, byłby uśmiech pierwszej panny wziął za zadatek miłości i przyzwolicie, jak obyczaj każe, połączył się z nią na stopniach ołtarza.

Ale pan Bonawentura był mniej niżeli szczęśliwym.

Na wieczorku u państwa Maciejów śpiewał duet z panną Eufrozyną. Podczas duetu patrzyła Eufrozyna czule na niego i on na nią. Przy pożegnaniu

ścisnęli się za ręce, pan Bonawentura wyraźnie czuł uśmiech Eufrozyny.

Przemarzył noc całą i postanowił kochać Eufrozinę, a nawet może z nią się ożenić, jeśli pensyjka się powiększy.

Trwało to przez cały dzień, aż do wieczora. Wieczorem potrzeba było coś śpiewać u państwa Wojciechów. Państwo Wojciechowie mieli jedynaczkę blondynkę, która w całej Warszawie uchodziła za piękność.

I stało się znowu u państwa Wojciechów to, co wczoraj u państwa Maciejów. Irena śpiewała sentymentalnie, a pan Bonawentura z takim czuciem jej wtórował, że wszyscy oklaskami go obsypali.

Kobiety zazwyczaj lgną do bohaterów, czy to na polu walki, czy w salonie.

Pan Bonawentura był bohaterem, cóż więc dziwnego że panna Irena dziwnie oczka spuszczała, gdy w nie chciał zaglądać?..

W domu powiedział do siebie pan Bonawentura:

— Frania jest ładna i miła, ale Irena jest blondynka, a ja powinienem w blondynkach się kochać. Zresztą rodzice Ireny mają.....

Pan Bonawentura już marzył o Irenie.

I tak przed oczyma pana Bonawentury przechodziły koleją blondynki, szatynki i brunetki. Było pięć o ryżych włosach, a kilka takich, których włosy nie miały koloru zdecydowanego.

Nie można jednak powiedzieć, aby z wszystkimi pan Bonawentura rozmawiał. Były to najczęściej tylko marzenia, nic więcej.

Pan Bonawentura marzył po całych dniach i nocach, marzył w biurze i restauracji, marzył gdy się golił, lub czuprynę pomadą smarował. Zmieniał tylko przedmioty marzenia. W marzeniach kochał

się w Irenie, Andzi i Teklusi, a gdy z marzeń chciał wejść do rzeczywistości i samej pannie lub rodzicom coś o swoich marzeniach powiedzieć, już nadpłynął mu wraz z nowym wieczorkiem nowy ideał, sopran lub mezzosopran, z którym ostatnią arją odśpiewał

Wszyscy zazdrościli panu Bonawenturze, a on tymczasem był najszczęśliwszym człowiekiem.

Przypominał mimowoli onego nieszczęśliwego z mitologii, który uprosił sobie u bogów, że wszystko, czego się dotknie, złotem się stanie. Z początku był zachwycony tym darem bogów. Odłamał gałąź z drzewa, a ta w jego ręku przemieniła się w złoto. Wziął bryłę skały, a skała stała się złotem.....

Ale gdy spragniony chciał się wody napić i owoców skosztować — woda i owoce na jego wargach stały się — złotem!...

Szczęście pana Bonawentury miało jednak pewne rozkosze, a temi był postęp jego w marzeniach.

Zrazu zajmowały go wielce córki kolegi urzędnika, po córce małego urzędnika, postąpił do córki bogatego aptekarza, po aptekarzu nadszedł mecenas i t. d.

Słowem stosownie do rozgłosu sławy swojej barytonowej i basetłowej, szedł coraz wyżej po szczeblach hierarchii społecznej i z ostatniego szczebla wybierał sobie królowę marzeń swoich.

Po kilkunastu latach takiego życia doszedł wreszcie do zenitu swego szczęścia, z którego to czasu datuje się najsmutniejsza dla niego katastrofa. Od tej bowiem katastrofy zaczyna pan Bonawentura gwałtownie na dół spadać.

Przy ulicy Marszałkowskiej w nowym domu na pierwszym piętrze mieszkała pewna rodzina arystokratyczna.

Na wieczorku u jednego z byłych plenipotentów urzędników ordynackich zaznajomił się pan Bonawentura z tą, rodziną i w krótkim czasie stał się u niej gościem bardzo częstym.

W domu była panna osiemnastoletnia, hrabianka Idalia, istota poetyczna i muzykalna.

Pan Bonawentura miewał częste egzercycje z panną Idalią, wybierał dla niej nuty, a dla ojca był chodzącym kursem giełdowym.

Uprzejmość rodziców Idalii wziął za prawdziwą przyjaźń, a powłóczyście spojrzenia córki za oznakę uczucia, które jej sercem poruszało.

Zresztą być może, że panna Idalia miała rzeczywistą przyjemność w towarzystwie pana Bonawentury, że piękny głos jego barytonowy zadrasnął trochę poetyczne serduszko, które tak nadarmo przecież bić nie chciało — dosyć że pan Bonawentura miał wyborny materyał do marzeń kilkumiesięcznych i do tego jeszcze do marzeń o hrabiance.

Hrabianka! to jedno słowo było poezją, sztuką, szczęściem i wszystkim na świecie.

Wierzył że kochał prawdziwie—i wierzył, że był również rzetelnie kochany.

Otoż stało się pewnego wieczoru, że grając na czekanie ulubioną przez hrabiankę aryą z Tancreda „di tanti palpiti,” z taką namiętnością w czekan dmuchał, a przy tem na Idalią tak oczy zawracał, że rodzice spostrzedz musieli, co się w ich domu święci.

Nazajutrz, zamiast zwykłego zaproszenia na wieczór, otrzymał pan Bonawentura list bardzo grzeczny i wyperfumowany, w którym jednak wśród różanego olejku sterczały dla niego straszliwe kolce.

W liście tym pisała matka Idalii, że z bólem ser

ca zauważyła pewną słabość ze strony jego, z której go wcześniej wykurować postanowiła. Zwróciła jego uwagę na różnicę towarzyskiego pochodzenia, jaka zachodzi między nim, a jej domem. Między innymi stało w tym liście:

.....Talent i wykształcenie mogą człowiekowi

pańskiej sytuacji otworzyć drzwi niejednego salonu, ale niedorzecznością byłoby i brakiem rzeczywistego wykształcenia, gdyby taki człowiek chciał w sercu swoim rozbudzić pewne uczucie, które dla niego bolesnem, a w oczach innych śmiesznem być może. I to tem śmieszniejsze, gdy jest tylko jednostronne!..."

Gdy ten długi, pełen głogów i cierni list pan Bonawentura przeczytał, padł jak nieżywy na krzesło i długo, bardzo długo tak siedział.

Siedział całą noc, siedział dzień cały, aż stary Józef wziął go jak kloot drzewa i do łóżka położył.

W łóżku leżał pan Bonawentura kilka miesięcy, a gdy pierwszy raz po pokoju mógł się przejść, poszedł do szafki i ulubiony swój czekan hebanowy w stalowej oprawie na wieczne czasy w futerał zamknął i opieczętował. To samo zrobił z basetlą.

Pozostał mu jeszcze baryton, ale tego ani zamknąć, ani opieczętować nie mógł.

Me potrzebował jednak o to się martwić. Gdy bowiem za chwil kilka, więcej z przyzwyczajenia niżeli z umysłu, jakąś aryą zaintonował, okazało się, że już—barytonu nie było.... Był jakiś fałszywy bas, były falsety, ale piękny i pełny głos jego już przepadł...

Pan Bonawentura machnął ręką i zamilkł.

— Stało się! wyszepnął z cicha i spuścił głowę.

Za barytonem w ślad poszły włosy. Zaczęły one

teraz tłumnie opuszczać czaszkę, pod którą niegdyś świeciły się tak rozkoszne marzenia....

Dziwna rzecz. Gdy pan Bonawentura przestał marzyć i roić sobie, stał się odrazu — starym kawalerem.

Wyłysiał, zgarbił się, poczerniał na twarzy i przytył nieco. Po jakimś czasie zaczął znowu chodzić po wieczorkach, ale nie śpiewał, nie grał, nie marzył, tylko grał w preferansa a potem w bezika. Jedynem szczęściem dla niego było winko, stare winko z piwnicy Fukiera.

I czegoż to nie zrobi miłość zawiedziona.

Wtajemniczeni w sekretne marzenia pana Bonawentury przyjaciele, widząc go teraz starym i łysym, zwykli byli mawiać do siebie na ucho: „Nosił wilk owce, a za dni kilka Ponieśli i wilka..

Takim był pan Bonawentura, gdy mu pan Izajasz odczytał list z Gdańska, napisany ręką stryjecznego swego brata pana Sebastjana.

XIX.

Pierwszy dzień po tym liście gdańskim przeminął dosyć normalnie. Pan Bonawentura miał wprawdzie trochę szmeru w głowie, ale nie było w tem nic nadzwyczajnego. Powtarzało się to często, gdy z winiarni Fukiera wychodził. Jedyną anormalnością było, że zamiast z winiarni do biura, poszedł do pana Izajasza, w domu którego nigdy nie bywał. Pan Bonawentura lubił ludzi przy butelce lub przy stoliku zielonym, osobliwie od ostatniej gry na czekanie — ale nie lubił wchodzić w grono rodziny, gdzie potrzeba było o tem i owem mówić. Do tego

jeszcze dom mianowicie Starego Miasta był dla niego zbyt maluczką areną życia towarzyskiego. Jakim jednak sposobem to się stało, że do pana Izajasza zaszedł, tego sam sobie wytłumaczyć nie mógł. Zdaje się, że zbyt stare wino mimo jego woli i chęci tam go zawiodło.

Ztamtąd poszedł prosto i przywoicie do biura, a dwaj podwładni jego pisarze nie spotrzegli w nim, prócz więcej zarumienionego nosa, nic nadzwyczajnego. Urzędowanie jego poszło trybem zwyczajnym.

Nawet stary Józef nic nie spostrzegł, gdy pan Bonawentura do domu wrócił i wcześniej spać się położył.

W nocy jednak słyszał stary Józef, że naczelnik miał sen bardzo niespokojny. Najprzód mówił coś niewyraźnie, gniewał się i rzucał, a potem usiłował coś śpiewać.

Śpiew jednak, jak zwykle we śnie, nie szedł mu gładko. Męczył się i żalił widocznie, zgrzytał zębami i bił nogą w przyczółek łóżka.

Stary Józef zaśwycił świecę i poszedł do pokoju naczelnika.

Naczelnik był cały czerwony, miał oczy na wierzchu i zaciśniętą pięścią machał w powietrzu, jakby takt dawał.

Przytem ruszał ustami i stękał, jakby chciał śpiewać, a twarz jego marszczyła się, jakby go co bolało.

— Panie naczelnikul wrzasnął mu Józef nad uchem w tej wierze, że przestrach jest jedynym lekarstwem na grożącą apopleksją.

Pan Bonawentura przestraszył się rzeczywiście. Duże jak groch krople potu oblały mu czoło. Podskoczył do góry, chwycił za łep starego Józefa i za

wolał głosem, od którego trzydzieści szyb zabrzęczało:

— Zabij... ale odrazu... zabij na śmierć, bo kaleką żyć okropnie.

Józef uwolnił głowę ze szponów naczelnika, odskoczył kilka kroków od łóżka i z trwogą spojrzął na swego pana.

— Czy to ty, Józefie zawołał spokojniej naczelnik, przecierając ręką oczy i czoło—czy to ty?

— A któż mógłby być inny? odpowiedział Józef.

— Ah!... Prawda. Nie może być nikt inny! z westchnieniem odrzekł stary kawaler i spuścił głowę na piersi..... Więc nikt tu nie był? zapytał po chwili smutnym głosem.

— A któżby mógł być?

- Zdawało mi się że ona była! cicho, jakby do własnych myśli wyszepnął pan Bonawentura.
- Co za ona? zapytał dwudziestoletni pomocnik starego kawalera.
- Wiesz, ta panna hrabianka, gdzieś to dawniej basetkę i czekan nosił... panna Idalia.
- Panna Idalia! Przecież lat kilkanaście jak za mąż poszła! Cóż pan znowu plecie?
- Wiem o tem, wiem!
- A dzisiaj może nawet już umarła.
- Umarła?.. Co mówisz! Czyś zwaryował?
- Wczoraj mówił mi lokaj, że już się spowiadała.
- Kłamiesz stary, śniło ci się!
- Śniło nie śniło! Przecież lokaj Franciszek opowiadał mi całą historią. Biedna kobieta.
- Jaką historią?
- A jakże, czyż nie jest to historia, że mąż jej wszystko stracił, w karty przegrał i z innymi frajer

kami hulał, podczas gdy biedna kobieta w domu siedziała i płakała!.. Płakała, płakała i zagryzła się.

Pan Bonawentura zwiesił głowę i długo tak zamyślony siedział. Potem nagle powstał; wziął szlafrok na siebie.

— Jozefie! Wyjmij z futerała basetkę, zawołał głosem pełnym i czystym.

— O święty Antoni! Co też panu do głowy przychodzi. Czy chcesz pan, aby tak było jak przed laty piętnastu....

— IdaJia umarła!

— Umarła, albo nie umarła! Ludzie po spowiedzi zazwyczaj do zdrowia przychodzą.

— Mówię ci że nie umarła! Przed chwilą była tu... tu u mnie, miała białą ze srebra utkaną szatę, na głowie wieniec z białych róż, a w ręku czarny krzyżyk z hebanu....

— W imię Ojca, i Syna i Ducha!....

— Tak, tak... widziałem ją... tak patrzyłem na nią, jak teraz na ciebie patrzę.

— Co też pan mówi! Strach mnie bierze.

— Czego się bać?.. Tylko diabła ludzie się boją, a ona... ona przysła do mnie aniołem! Wiesz, takim samym aniołem, jak tam masz na obrazie. Patrz!

Józef spojrział na obraz. I w samej rzeczy ujrzał tam anioła, prowadzącego małe dziecię w takiej samej białej szacie, jak przed chwilą opisywał pan Bonawentura.

— Wyjmij basetkę z futerała! zawołał po chwili.

— Zlituj się pan!.. Będzie nieszczęście!

— Wyjmij prędzej!

— Wolałbym pierwiej umrzeć!

— Nie lękaj się, jam nie dzisiejszy.

— Nieszczęście nie chodzi po lasach.

— Dla mnie już niema żadnego nieszczęścia!

— Jak Bóg dopuści!...

— Prędzej... śpiesz się!

Z westchnieniem, jakby przeczuwał wielkie nieszczęście, poszedł stary Józef do drugiego pokoju i z poza szafy wydobyl futerał, w którym od lat kilkunastu spokojnie spoczywała basetla.

Pył i pajęczyna pokryły obficie całą powierzchnię futerała. Nie widać nawet było gdzie zamek, a gdzie zawiasy. Cały futerał wyglądał jak jednolita bryła jakiego czarnego kamienia.

— Patrz pan, ozwał się Józef, pokazując naczelnikowi futerał—patrz pan! Tak, jakby zarosło, lub w kamień przeszło! Czyżby nie było lepiej nie tykać tego?

— Otwieraj!

— Gdybym nawet chciał — nie moge, dalibóg nie moge.

— Spiesz się!... Idalia umarła!

Wreszcie namacał Józef sprężynę, otworzył zamek.

Był pewny że z basetli obaczy tylko kupkę prochu.

Tak przynajmniej życzyłby sobie w tej chwili. Ale ku wielkiemu jego zmartwieniu nie tylko była basetla cała, ale nawet wszystkie struny błyszczały szychem, jak za młodszych czasów.

— Tam do kata! mruknął Józef, i to jeszcze kupy się trzyma.

— Widzisz, Józefie, zawołał pan Bonawentura, otoż to samo dzieje się czasem z człowiekiem!... byle tylko strun duszy nie poniewierać, a potem przyj

dzie czas, że i w późnym wiekii te struny odezwać się mogą.

Józef pokręcił głową, a pan Bonawentura, podstroiwszy struny, wziął smyk i zaczął grać coś wzniosłego i rzewnego. Była to Elegia Ernsta.

Noc głucha zaległa cień Warszawy. Po niebie przesuwaly się małe białe chmurki, a jedna z nich dziwaczniejszego kształtu zatrzymała się nad horyzontem Nowego Świata i wpatrzyła się w okna, z których właśnie wychodził rzewny, skarżący się

głos basetli.....

Coż to była za chmurka? Miała jasne, roztrzone włosy, białą szatę i lśniącą gwiazdę na czole... Czy pan Bonawentura widział tę chmurę? Czy spojrział choć raz na jej srebrne szaty? Czy widział tę jasną gwiazdkę u jej czoła?..

Właśnie w tej chwili wiatr z północy rzucił na nią ciemny obłok, który wyglądał jak poszarpana bryła skały. Srebrna chmurka napróżno walczyła z twardym granitem... gubiła coraz więcej włosów, bladła i bladła... a za chwil kilka pozostała tylko na miejscu gdzie była jasna, przezroczysta smuga....

Pan Bonawentura grał coraz rzewniej, coraz zrozumialsze były słowa Elegii, coraz wyraźniejszy majestat śmierci, jakim boleść swoją oblekł znakomity kompozytor...

Wreszcie pobladło niebo szafirowe, stolica zaczęła się budzić, najrozmaitsze tony zaczęły powoli splatać się w dzienny, wielkomiastowy akord—a pan Bonawentura siedział oparty o stół jedną ręką, a drugą ujął łabędzią szyję basetli.

— A co? zapytał Józefa, który właśnie z miasta wracał.

XIX.

Na drugi dzień po pogrzebie spostrzegł Józef znaczną zmianę na swoim panu. Wyglądał jak człowiek po przebytej katastrofie.

Pan Bonawentura był widocznie w lepszym humorze, niżeli zazwyczaj. Uśmiechał się do siebie, jakby coś rozkosznego roił sobie w głowie. Często stawał przed zwierciadłem i długo w siebie się wpatrywał. Podnosił wąsy do góry, wystawiał zęby, mróżył jedno oko i drugie. Obracał się do

— Umarła!.. O godzinie drugiej z północy! odpowiedział Józef. Pan Bonawentura kiwnął głową, jakby o tem już wiedział.

Dwa dni siedział pan Bonawentura w domu. Trzeciego dnia ubrał się starannie, podczał czuprynę i wyszedł na ulicę. Tam, w głębi ulicy, stał liczny orszak pogrzebowy przed kościołem świętego Krzyża...

Wkrótce ruszył orszak — mała, cienka trumienka zabłysła na karawanie, a w oczach pana Bonawentury zabłysły dwie łzy jasne jak kryształ...

I cały obrzęd pogrzebowy odbył się wspaniale. Sto karet z herbami jechało za nieboszczką, mąż i dwoje dzieci szli w grubej żałobie za karawanem, muzyka grała marsza żałobnego, baby i .dziady płakały jak zwykle każe — a w tym całym tłumie żałobnym nikt nawet nie spojrział na idącego ze spuszczoną głową, mocno szpakowatego mężczyznę, który od czasu do czasu ramiona do góry podnosił, jakby skrycie wewnątrz piersi płakał...

zwierciadła profilem i frontem, z wszelkimi pośrednimi przejściami.

Po takiej operacji często był zły i coś mruczał do siebie. Marszczył czoło i szerokimi krokami chodził po pokoju. Czasami nawet mówił do siebie i machał rękami.

Stary Józef patrzył z boku na to wszystko i głową, kiwał. Przeczuwał jakieś nieszczęście, które tej nieszczęsnej basetli przypisywał. Byłby chętnie nią w piecu zapalił, gdyby tylko nie obawiał się apopleksyi, która w takim razie mogłaby tknąć pana Bonawenturę, a tem samem byłaby już największem nieszczęściem.

Dał więc pokój basetli, zato tembaczniej patrzył na naczelnika, który widocznie zmieniał się w jego oczach. Pan miał wąsy czarniejsze niżeli zwykle, tu znowu czupryny coś przybyło, bo powoli i łysina zaczęła porastać, a za trzy dni widział naczelnika, jak stał przed zwierciadłem z włosami kruczemi, czarnym wąsem i świejącemi jak perły zębami. Zasmucił się Józef i westchnął do bolesnych myśli swoich.

Pan Bonawentura jednak tego smutku nie widział. Stał przed zwierciadłem i z upodobaniem wpatrywał się w swoje oblicze.

Rzeczywiście zmienił się nie dopoznania. Czarną peruką nakrył łysinę, wąsy wyczerzył i do góry zamecił.

"Wyprostował się nawet, czego od lat piętnastu nigdy nie czynił.

— Dotrzymałem słowa, mówił półgłosem do siebie, kręcąc wąsy przed zwierciadłem — dotrzymałem słowa, a teraz mam ręce rozwiązane!... Sprzedaż i śmierć rozwiązują wszelkie kontrakty!...

— Czy to nie będzie już zapóźno... ozwał się Józef z drugiego pokoju.
— Co zapóźno, dlaczego zapóźno! Kto ci o tem mówił że zapóźno, stary głuptasiu!.. odpowiedział z marszem pan Bonawentura podkręcając wąsy.
— Jakto nie? To niech pan spojrzysz na zegarek.
— A o czym myślałeś?
— O obiedzie.
Pan Bonawentura dalej kręcił wąsy.
— Słowa dotrzymałem, mrucał dalej, tak jak sobie powiedziałem. Lat piętnaście!.. Ale to nic, nic... czemże jest ta odrobina lat piętnastu względnie do wieczności?... Piętnaście pyłków i nic więcej.
— Niech pan tylko dobrze rachuje, ozwał się znowu Józef z drugiego pokoju.
— Cóż to! Będziesz mnie uczył rachować? odfuknął pan Bonawentura — myślisz, że nie umiem rachować? Rachować!... Dla jednych jest dziesięć tyle co dla drugich sto! Jeden ma lal dwadzieścia, a drugi w pięćdziesiątym...
— Niech pan tylko spojrzysz przed siebie!
— Głupi jesteś! Widzę i wiem co widzę... jeszczebym dziesięciu zakasował.
— Przecież już kwadrans na piątą!
— A o czemże myślisz?
— O czembym myślał?... O obiedzie! Masz pan przecież zegar przed sobą i można godziny porachować!...
Pan Bonawentura umilkł i zaczął dalej kręcić wąsy i końce do góry zaginać. Po chwili rozpoczął znowu monolog.
— A gdyby ludziom to się śmiesznem wydało ?... Cóż mi do ludzi? Niech sobie mówią co chcą!...

Jedni jedzą, obiad o dwunastej, inni o trzeciej, a są tacy, którzy o szóstej dopiero do stołu siadają.

Teraz Józef już nic nie powiedział. Przyniósł tylko panu Bonawenturze laskę, i kapelusz.

— Niech pan już na obiad idzie, rzekł do niego, bo później będziesz pan całą noc krzyczał i płakał, jak onegdaj.

Pan Bonawentura nie odpowiedział, tylko wziął kapelusz i laskę i wyszedł. Na obiad jednak nie poszedł.

— Trzeba się dowiedzieć, co pan Izajasz z Gdańska pisze. Czy wraca prędko i kiedy, mruknął do siebie, obaczywszy przed sobą Zygmunta.

Pani Izajaszowa zdziwiła się, gdy wyświeżony i odmłodzony wszedł pan Bonawentura do pokoju.

Pan Bonawentura nigdy pierwej u nich nie bywał. Znali go w domu z opowiadania pana Izajasza, któremu w interesach pieniężnych często doradzał. Dzisiejsza jego wizyta uderzyła panią Izajaszową, ale wnet wytłumaczyła sobie tę szczególną laskę pana naczelnika, który przy ich milionie zapewne coś zarobić myśli.

Przyjęto go bardzo grzecznie, posadzono na kanapie, bo zawsze był to gość na Podwału znakomity.

Listu od pana Izajasza nie było, ale była zato Elżusia, trochę blada i rozmarzona.

— Czegóż to panna Elżbieta tak przybladła ? zapytał naczelnik i skubnął chusteczkę Elżusi.

— Nerwy, nerwy! odpowiedziała pani Izajaszowa w tem przekonaniu, że każdy milion przynosi ze sobą arystokratyczne cierpienia nerwowe. — Na drugi rok, da Bóg doczekać, trzeba jechać do Os... Was... Bos...

— Ostendy, prędko dokończyła Elżusia i zarumieniła się.

Pan Bonawentura ujrzał rumieniec i z zadowoleniem obgłaskał lepkie włosy peruki.

Od tej wizyty minęło jeszcze dni kilka. Pan Bonawentura co drugi dzień chodził na Podwał i dowiadywał się o listy z Gdańska.

Koledzy biurowi nie mogli pojąć, co się z naczelnikiem stało. Jakoś młodniał widocznie w ich oczach. Nietylko głowa nakrywała się coraz czarniejszymi włosami, ale nawet i dawne zmarszczki z czoła i twarzy gdzieś znikły. Pytali jedni drugich, jaka może być tego przyczyna, ale nikt nie umiał odpowiedzieć.

A odpowiedź była łatwa: Pan Bonawentura zaczął znowu marzyć.

Zdawało się, że te piętnaście lat, które od ostatniej jego katastrofy ubiegły, zdjął z siebie jak zeszlą skórę i odrzucił. Za dwa tygodnie wrócił wreszcie pan Izajasz i zaraz zjawił się w biurze u pana Bonawentury.

Pan Bonawentura zamknął na klucz swój pokój, posadził gościa u safianowej sofie i dał mu dwu złotych cygaro, które naumyślnie w tym celu kupił.

Pan Izajasz wyglądał smutno. Twarz miał znękaną, kilka zmarszczków przybyło mu na czole.

— Więc wola Najwyższego spełniła się, ozwał się, jak mógł najsmętniej, pan Bonawentura.

— Tak jest, odparł z westchnieniem pan Izajasz — pochowaliśmy Sebastjana przyzwoicie jak należy.

Nastąpiła długa pauza,

— No... a cóż... cóż zresztą nowego? zapytał pan Bonawentura, spuszczać oczy w ziemię.

— A cóżby było nowego? Nic nowego! Jeszcze

w uszach brzmi mi paradna muzyka, którą na pogrzeb najęłem.

— Tak, tak... Ale interesa.

Pan Izajasz machnął ręką. Na jego twarzy widać było silną walkę. Usta jego zaruszały się, ale do słowa jakoś przyjść nie mógł.

— Sądzę że interesa w porządku, powtórzył pan Bonawentura, zapalając cygaro.

— Tak... o tyle o ile...

— Cóż zrobimy z pieniędzmi? Moja rada byłaby...

— Widzisz pan... pieniądze są... ale te pieniądze—

— Jeżeli są, to już dobrze.

Pan Izajasz zacisnął usta i milczał chwilę.

— Te pieniądze... widzisz pan... to tak... niby nie moje!

Pan Bonawentura spojrzął z uwagą na ojca Elżusi.

— Jeżeli te pieniądze nie są własnością pana, mówił po chwili. — to w takim razie żadnej rady dać nie mogę

— Nie, widzi pan... ja tak mówię, bo to ludzie...

— Ach! rozumiem! O, ludzie, to zarazby z tego korzystać chcieli. Zaraz pełno byłoby przyjaciół, krewnych i sąsiadów.

Panie Izajaszu, pożycz mi na to, na owo. O znam ja, znam to dobrze.

— Cóż ja w takim razie odpowiem?... Nie mogę i basta,

— Tak, tak! Będzie to nawet bardzo dobrze. Nie będziesz pan miał kłopotów z tałajstwem, któreby zwabione milionem na dom napadło...

— A teraz przystąpmy do interesu... pieniądze mam w takich papierach...

Tu rozpoczęła się specyfikacja papierów. Pan

Bonawentura liczył i liczył, twarz jego rumieniła się co raz więcej i stanął już niedaleko miliona.

Długo, bardzo długo siedział zamknięty w swoim pokoiku z panem Izajaszem.

Wreszcie wyszedł pan Izajasz. Wyszedł zgarbiony i znękany jak człowiek, którego ogromny ciężar ugniata. Twarz miał gorączką spaloną, na policzkach sine plamy.

— Co to za szczywany lis, mruknął do siebie pan Bonawentura, patrząc za nim przez okno. Gdyby go kto widział niosącego milion w zanadrzu, myślałby, że go ten milion diabelnie przygniata do ziemi!

I długo, bardzo długo chodził pan Bonawentura po pokoiku. Uśmiechał się — wąsy podkręcał i perukę poprawiał.

Wreszcie wziął kapelusz i wyszedł.

Na ulicy ŚwiętoKrzyżkiej spotkał katarynkarza, który właśnie kończył grać „di tanti palpiti”. Pan Bonawentura pędem poskoczył ku niemu.

— Graj!... graj jeszcze raz z góry, krzyknął do wystraszonego Włocha i rzucił mu złotówkę.

Włoch schował złotówkę i zaczął grać... Pan Bonawentura słuchał z pochyloną głową.

— Graj! Jeszcze raz graj! zawołał przy końcu ary i drugą złotówkę rzucił na katarynkę.

Ludzie zaczęli gromadzić się koło pana Bonawentury, który nikogo w tej chwili nie widział.

— Jeszcze raz z góry! krzyknął po raz trzeci i w braku złotówki rzucił rubla.

Przy trzecim powtórzeniu tej ary spostrzegł, że tłum ludzi patrzy na niego. Zawinął się w płaszcz i poszedł dalej ku domowi.

W domu zatrzasnęła drzwi za sobą, ku wielkiemu zdziwieniu starego Józefa.

Za kilka chwil mocno strapiiony Józef zeszedł na dół do kucharza, swego przyjaciela i zaraz na progu kuchni zawołał:

— Czy słyszycie Walenty?... Naczelnik gra na czekanie!.. Oj, będzie nieszczęście, wielkie nieszczęście! Pamiętam... będzie temu lat piętnaście, grał tak samo i zaraz potem...

Westchnął i nie dokończył.

Pan Bonawentura grał rzeczywiście na czekanie, a grał arya: „di tanti palpiti”.

Ezewny, donośny głos czekana rozchodził się szeroko po Nowymświecie.

XX.

Po Nowymświecie snuł się właśnie tłum nieprzejrzany. Była to godzina poobiednia. Dzień późnej jesieni był jeszcze ciepły i pogodny. Tysiące mieszkańców stolicy wyległo na to corso warszawskie, aby użyć przechadzki i świeżego powietrza.

Tłum różnobarwny sunął się nieustannie. Turkot dorożek mieszał się z gwarem rozmawiających i tworzył dziwny, wielkomiejski akord, przygłuszany czasami donośnym dźwiękiem szlifierza, który okolicznym domom ogłaszał egzystencja swoje na ulicy.

Nad całą tą wrzawą panował głos czekana, który w tym chórze wielkomiejskim górował jak sopran nad wszystkie inne głosy.

Niektórzy z tłumu usłyszawszy czekana, przystawali na chwilę. Jedni z ciekawości, Irudzy z zamilowania muzyki. Głos czekana był rzewny i czysty.

Pomiędzy tymi którzy się zatrzymali, był znany nam Goldberg, za którym krok w krok postępował i również zatrzymywał się młody elegant wielkomiejski, z czarną laseczką, z fiszbinu.

— Niech wielmożny pan hrabia tutaj idzie, rzekł Goldberg do eleganta — drugie piętro, pierwsze drzwi na prawo, mijając kuchnię.

Rzekłszy to, cofnął się w tłum i znikł z horyzontu.

Młody elegant stał chwilę przed domem, jakby słuchał gry na czekanie. Nawet półgłosem pogwizdywał sobie arya, jakby chciał czekanowi wtórować.

Jo niejakim czasie, machnąwszy laseczką kilka razy w powietrzu, uśmiechnął się do siebie i wszedł do ciemnej sieni domu, z którego właśnie słychać było grę na czekanie.

— Czy jest pan naczelnik w domu? zapytał się zaturbowanego Józefa w przedpokoju.

— Czy pan nie słyszysz? oflfuknął stary sługa i wskazał na drzwi, z których wychodził głos czekana.

— To pan naczelnik gra tak ładnie? Józef kiwnął głową.

. — Może mu przeszkodzę ?

— Tem lepiej pan robi.

— Dlaczego lepiej ?

—, Bo to, widzi pan, czasami, gdy człowiek długo gra, to zajączki przychodzą do głowy!... Znałem jedne panny, która po całych dniach i nocach grała i śpiewała — aż jednej wiosennej nocy z kochankiem uciekła.

— Więc sądzisz, przyjacielu, że muzyka jest niebezpieczną?

Józef kiwnął głową i machnął ręką.

— Możnaż iść ? zapytał po chwili elegant.

— Idź pan — może grać przestanie.

Elegant spuścił szkiełko z oka i ostrożnie drzwi otworzył do drugiego pokoju. s

Zatrzymał się jednak na progu. Zdawało mu się że niebezpiecznie jest postąpić dalej. Pan Bonawentura był twarzą do niego obrócony. Dmuchał w czekan całą siłą, aż oczy mu na wierzch powyłaziły i szyja zgrubiała.

— Przepraszam... ozwał się nieśmiało elegant. Pan Bonawentura przestał dmuchać.

— Jestem Ludwik Ostroga, mówił dalej elegant.

— Ludwik Ostroga... czego pan sobie życzy? Tak zwany hrabia Lulu zaksztusił się, przełknął i z wolna wycedził przez zęby:

— Jestem tak wielkim amatorem muzki, a mianowicie Rossiniego, że słysząc pana grającego tak po mistrzowsku „di tanti palpiti", nie mogę nawet zaraz na wstępie zacząć od interesu, jaki mnie do pana dobrodzieja sprowadza.

— Pan jesteś amatorem Rossiniego? zawołał pan Bonawentura, ach ten geniusz robi z wszystkich ludzi swoich niewolników!.. Mówię panu, że grając od godziny, widzę przez okno, jakie to wrażenie sprawia na przechodzących. Osobliwie chłopcy od szewców, którzy z ulicznej publiki najwrażliwsi są na efekta muzyki, chwytają natychmiast melodią i roznoszą ją potem w swoje nie bardzo muzykalne zaułki. Tak to panie, człowiek panie sam nie wie, kiedy jest apostołem sztuki i cywilizacji.

— W samej rzeczy, odpowiedział z ukrytym uśmiechem Lulu, ja sam byłbym stał się adeptem pana, gdyby nawet żaden interes tutaj mnie nie zaprowadził.

— Czy grasz pan na basetli?
— Nie, ale coś trochę na melodikonie.
— Więc dobrze! Siadaj pan — ot jest melodikon. Lulu odłożył kapelusz i laseczkę.
— Zagramy coś z Tancreda Tu są nuty,
— Dobrze. Niech pan uaczelnik zaczyna.
Gra poszła dosyć dobrze. Lulu grał wprawnie. Pan Bonawentura był w siódmym niebie.
— Wiesz pan, że zrobiłeś in! prawdziwą przyjemność. Cieszę się bardzo, że pana poznałem, możemy częściej grywać z sobą. Muzyka, panie dobrodzieju, muzyka, to tak jako owa woda rozmarynowa, którą odmładzała się sześćdziesiątletnia Jagiellonka, żona króla Batorego.
— Muzyka, to życie w nadziemskich sferach.
— Mówię panu, panie dobrodzieju, gdybym mógł w grobie w mój czekan zadmuchać, to takbym ożył, jak ożyła Julia do pocałunku Romea.
— Jaby odżył także i do pocałunku Julii.
— Ba! odparł rozjaśniony pan Bonawentura i szeroką dłonią obtarł wyczerzone wąsy, jakby kawał miodu połknął.
— Muzyka to harmonia... a człowiekowi często tak trudno być w harmonii z światem, mówił Lulu.
— Prawda, święta prawda, odparł pan Bonawentura, w świecie są szkopyły, są Scylle i Charybdy, są kanty i rogi, brru!
— Niewymownie cieszę się z tego, że pana poznałem.
— Dwie dusze, dwa serca znajdują się, znajdują.
— A dzisiaj tak trudno o serce, o dusze.
— Prawda że trudno, ale mówię panu, że są, są, tylko je znaleźć, umieć znaleźć!...

— Żałuję bardzo, że tak przyjemną rozmowę muszę przerwać światowym interesem.
— i to czasem dobre... to intermezzo.
— Mam polecenie od mojego krewnego... aby mu wystarać się na znaczną, bardzo znaczną kwotę papierów zagranicznych. Pan naczelnik jako biegły w tej rzeczy...
— Papierów zagranicznych?
— Naprzykład: pruskich, frankfurtskich i t p.
— Praskich, frankfurtskich!... tam do kata! mam właśnie poleconą sprzedaż takich papierów.
— Wybornie, jak to się dobrze ułożyło.,
— Muzyka, widzi pan, muzyka była przewodniczką.
Tak, muzyka!.. Najprzód chciałbym wiedzieć, na jaką sumę mógłbym liczyć, aby krewnemu napisać.
— O na znaczną, dosyć znaczną... na milion nawet. , .
— Milion! powtórzył Lulu, a oczy zabłyły mu.
— Tak panie, u nas to są interesa znaczne.
— Czy niemożna by wiedzieć na jakich warunkach ?
— Widzisz pan, trzebaby mi jeszcze znieść się z właścicielem tych papierów.

— Czyby to dużo czasu zabrało?
— Trzeba iść aż na Podwał.
— Podwał! powtórzył Lulu z rozjaśnioną twarzą.
— Tak, Podwał, odparł pan Bonawentura, a twarz jego rozjaśniła się także jakąś myślą tajemną.
Zdaje się, że pan Lulu był już u mety swoich życzeń na dzisiaj. Dalej iść prawdopodobnie nie chciał i myślał już o odwrocie.

— Ale to niema nic tak pilnego, zauważył.
— Nie, nie, wołał pan Bonawentura, dla dobrych znajomych robią się interesa duszkiem. Natychmiast biorekapełusz i idę.
— Ale, widzisz pan... tu, jeszcze niema nic tak pewnego.
— Nic nie szkodzi." Idę natychmiast, idę... Gdzie i kiedy moge pana dobrodzieja zastać?
— Tak... ale na seryo mówie, że to nic pewnego. Qtstaruszek, mój krewny, chciał tylko wiedzieć... nic więcej jk wiedzieć... gdyby więc przy sposobności —
— A czemżeby była przyjaźń na świecie? A mówię, za odegranie Rossiniego wart jesteś pan tego żebym się przeszedł na Podwał.
Lulu nie mógł już dalej dać rady panu Bonawen turze i wypuścił go na ulicę.
Pan Bonawentura tak lekko biegł na Podwał, jakby u nóg miał skrzydła.
XXI.
Powolniejszym krokiem, z głową do ziemi spuszczoną, szedł Lulu w przeciwną od Podwala stronę. Czoło miał zmarszczone, jakby tam w głowie pracowały jakieś myśli ważne.
Przeszedł Chmielną i Zgodę i wyszedł na Marszałkowską ulicę, gdzie przy pierwszej kamienicy się zatrzymał. Spojrzał w okna pierwszopiętrowe, pomyślał trochę i wszedł do sieni.
— Czy jest pani hrabina? zapytał w przedpokoju.
— Proszę, odpowiedział lokaj i otworzył drzwi salonu. Lulu wszedł do salonu.

W salonie panowała jakaś stęchła atmosfera. Również i światło było przyćmione, bo przez zapyłone szyby nie mogły się dobrze przebić promienie słoneczne.
Całe urządzenie salonowe odnosiło się do zeszłego wieku. Wysokie, złoconą skórą objane kanapy stały przy ścianach, koło nich grupy krzeseł i niskich foteli. Na ścianach wisiały stare obrazy, zapyłone i zadymione. Portiery były z adamaszku, który jednak już dawno rozstał się ze swoją barwą. Zegarek z kukułką misternej roboty stał nad kominkiem naśladowującym marmur.
Salon ten i całe urządzenie sprawiało wrażenie bardzo starożytnego domu.
Widać że ten dom miał w końcu zeszłego wieku świetne powodzenie, bo wszystkie kosztowniejsze graty i graciki pochodziły z tego czasu.

Dzisiejszy wiek prawie nic tu nie dodał. Przeciwnie, z kilku medalionów, na słoniowej kości malowanych, zdjęto jak widać złotą oprawę. Zapewnie zapotrzebował syn czy wnuk tego szlachetnego kruszcu i konterfekt dziada lub ojca zawiesił bez ram na ścianie.

Zato na posadzce, wypłowiałym dywanem nakrytej, roila się gromada kotów. Było ich pół tuzina, różnej maści i różnych gatunków. Były szare i bure, białe i nakrapiane, z płatkami i bez płatków.

Przed okrągłym stołem siedziała poważna matrona, z twarzą niegdyś ładną, a dzisiaj żółtą i pomarszczoną.

Na jej wyniosłym czole był spokój, była pewna duma i powaga, jaką starszej kobiecie nadaje przeświadczenie zacnie spędzonego żywota.

Koło jej nóg przykucnęła służąca i na małych talerzykach karmiła właśnie koty śmietanką.

Przed nią stała piękna, młoda kobieta, z teką nut pod pachą i z nią rozmawiała.

Była to nasza znajoma, Bronisława.

— Anetko! mówiła dama do służącej — zdaje mi się że Filuś nic nie chlipnął śmietanki... Pomacaj go za mordkę, czy ma nos gorący.

_ Zadrapał mnie! szepnęła służąca.

— Powinnaś cieszyć się z tego! On taki miły!...

— Jakże hrabina sądzi? zapytała Bronisława.

— Już ciż nic inaczej jak powiedziałam! Patrz ani, jaki on śliczny! Tu dwie łapki a tam jedna.

— Ale ja myślę o tej wdowie z córeczką.

— A o wdowie! Prawda! Jakaż to sprawa?...

W tej chwili spostrzegła, szanowna matrona, że Lulu stoi tuż za Bronisławą i pilnie w jej piękny profil się wpatruje.

— Ah! eber cousin! zawołała dama, dobrze że przyszedłeś! Chciałam posłać po ciebie. Prenez place.

Lulu usiadł tak, że mógł Bronisławie w oczy patrzeć, ale jej wcale nie przywitał.

Bronisława zarumieniła się lekko i zacisnęła zęby.

— Annetko Trezorek coś smutny. Umaczaj biszkopcik w śmietance i daj mu do pyszczka, ozwała się dama.

— Cóż ta wdowa z córeczką... mówiła Bronisława.

— Aha! Prawda, o wdowie mówią głosy....

— Mąż tej wdowy był razem z moim ojcem i obaj razem prawie umarli. Dotąd pracowała ona za kawałek chleba dla siebie i dziecka. Od kilku tygo

dui jednak leży obłożnie chora. Czy wiatr ją zawiał, czy skutkiem zmartwień wielkich—odjęło jej prawą rękę i nogę.

— Ach! jakież to smutne! Mój Boże! Czemu człowiek jest na świecie! Listkiem, którym wiat t jesienny pomiata na wszystkie strony, który lada chwila może spocząć na kwiatku, albo wpaść do wody... Czy słyszałaś pani wczorajsze kazanie ojca Eliasza? Mówił o zmienności losów ludzkich... Płakałam... rzewnymi łzami płakałam... Anetko, czy Sułtan pił śmietankę?

— Nie chciał. Zdaje się że nie głodny.

— Ach! gdyby Sultana coś spotkało, jabym była nieutulona! Jestem nerwowa.
— Wracając do tej biednej wdowy z małą sierotą, zaczęła znowu Bronisława.
— A do! wdowy! Dobrze, dobrze, ma chere, mów dalej, może się znajdzie jaka myśl dobra....
— Otoż ta wdowa jest teraz bez najmniejszego sposobu do życia. A przecież zasłużyła przynajmniej na litość. Straciła męża, straciła majątek, który wydarli wdowie nieprawi nabywcy.....
— Smutno, bardzo smutno! O. Eliasz bardzo pięknie przedstawił to w obrazie. Powiedział, że czasem człowiek wśród nieszczęścia podobny jest do zablakanej owey, którą wilki otoczyły. Gdziekolwiek spojrzy, kłapie wilk zębami i biedna owca, aby nie wpaść w paszczę tyрана, zwija się w kłębek i skacze w przepaść... Okropnie! Okropnie.
— Gdyby można coś dla biednej wdowy wynaleźć?
— Annetkol Trezor chce Sultana kąsać... Tak, trzeba pomyśleć nad tem! Ale teraz trudno, bardzo trudno! Tyle jest biednych.

— Przecież dla jednej matki z dzieckiem może znalazłoby się jakie miejsce....
— Trudno, bardzo trudno! Moje wpływy są już wyczerpane i zużyte — a sama.... sama, jak pani widzisz, żyję jaknajskromniej i najoszczędniej.
— Ale Neptuś, proszę pani od wczoraj nic nie chce jeść! ozwała się służąca.
— Każ mu zrobić bifszyk tylko uważaj, aby świeże masło było... On leguminy nie znosi.
— Możeby się dało wziąć z funduszów „opieki dla kalek,” ozwała się znowu Bronisława.
— O! Broń Boże! Właśnie wczoraj byłam na sesyi. Uradzono z tych funduszów ku chwale Bożej wybudować kościółek przy tym zakładzie.
— Kościółek? Wszak w parafii tej jest kilka kościołów, a fundusz byłby stosowniejszy dla biednych kalek.
— Widać że pani tego nie pojmujesz! Ludzie są ludźmi, a Bóg Bogiem. Chwała Boga idzie zawsze przed ludźmi. Cegielka jałmużny w domu Bożym, to więcej niżeli garnuszek zupy rumfordzkiej w ręku biedaka.
— Ja bym sądziła inaczej.
— Wierzę, bardzo wierzę. Jesteś pani zbyt światową. A świat dzisiejszy to świat pychy, fałszu i obłudy. Myśli że ma rozum, a czemże jest rozum wobec Boga?... O Boga, o Boga starać się trzeba, aby mieszkał w duszach naszych, a jutro ludzkie samo o sobie starać się będzie...
Bronisława zamilkła i spuściła oczy w ziemig. Lulu bawił się czarną laseczką i przez szkiełko wpatrywał się w piękną twarz biednej sieroty.
— Ale, dziecko moje, ozwała się po jakimś cza

sie dama, jak jest, tak jest, ale trzeba przecież coś wymyślić.

— Ja już nie mam żadnej myśli, odpowiedziała smutno Bronisława i zacisnęła usta, aby łez nie puścić. .

Lulu poprawił szkiełko w oku.

— Przychodzi mi właśnie dobra myśl do głowy, mówiła dalej miłosierna dama.

— Słucham pani.

- Tę wdowę z dzieckiem możesz pani wziąć do siebie i ją utrzymywać.
— Wziąć do siebie i ją utrzymywać?...
— A ja zato wystaram się pani o dwie godziny lekcyj codziennie.
— Dwie godziny lekcyj codziennie?... powtórzyła Bronisława i szkliste oczy zawiesiła gdzieś w powietrzu.
Po chwili twarz jej zapłonęła, oczy zabłysły pięknym blaskiem, a cała postać wyprostowała się.
— Dobrze. Przyjmuję te warunki, zawołała głosem, w którym drżało wielkie wzruszenie.
Lulu wyrzucił szkiełko z oka, wstał z fotelu i zaczął niespokojnie przechadzać się po salonie.
Widząc to, gospodyni wyciągnęła rękę do Bronisławy i rzekła:
— Więc przecież coś się uradziło. Jak Bóg łaskaw, to wszystko się znajdzie... Więc rzecz skończona. Czy pójdziesz pani po nią?
— Muszę jeszcze wstąpić do pani senatorowej, mojej znajomej z Krakowa, aby już ją uwolnić od wszelkich kłopotów, gdyż mocno była tą biedną zajęta.
— Idź, idź z Bogiem, moje dziecko, Bóg za to błogosławić ci będzie.

Bronisława ukloniła się i wyszła.

- Ludziłem się przez pół godziny, ozwał się Lulu do kuzynki, bo coś wcale ładnego... aż w końcu dowiaduje się że nauczycielka.
— Nie wszyscy ludzie mogą być równi sobie.
— To prawda, bo ta równość byłaby istnem głupstwem.
— Czy masz, cher cousin, jakie bliższe informacje?
— Mam doskonale... To o czym wczoraj mówiliśmy, jest prawdą rzeczywistą. Jest milion!
— Zlituj się!... Milion na ulicy Podwala!. A panna?
— Panna?... Któż pyta o pannę, gdy jest milion. Może być sobie koczodon jaki chce!... Chodzi mi więcej o papę i mamę.
— Mówią, że to rybak czy prosty szyper, który ani czytać, ani pisać nie umie!... Ale panna Bronisława przeczyła temu...
— Ha, to mamę i papę schowamy do sutereny. Panna ma być nawet tres bien!
Szanowna kuzyna pana Lulu milczała chwilę. Potem westchnęła i rzekła:
— Nasze majątki zabierają nam lichwiarze i dorobkiewiczze. Coż robić? Trzeba je kosztem honoru naszego napowrót odbierać. Nie jeden z naszej sfery ożenił się z rzeźniczką lub mydlarką, która wniosła mu milionik.
— Ba! Będzie to zawsze mesalians.
— Mesalians będzie, ale tylko dla jednej generacji W drugiej generacji już ten błąd zapomną. A mówią nawet, że dzieci z takiego mesaliansu mają nadzwyczajne talenta i wychodzą wysoko. Między ministrami...

— Mnie chodzi przede wszystkim o moje własne jutro!

— Wszystko będzie, tylko z pewnością trzeba się wziąć do rzeczy. Najprzód potrzeba parę tysięcy rubli, aby je w tym celu wyrzucić.

— Ba, ale z kąd ich wziąć?

— Mam na to radę. Pojedziesz do pana Wita Ostrogi. Stary to skąpiec i daleki krewny, ale coś może wydusisz! Lulu uznał tę myśl za dobrą i przyrzekł natychmiast ją skutecznie.

XXII.

Kiedy Lulu nad wyprawą do pana Wita Ostrogi przemyślał, biegła Bronisława szybkim krokiem ku ulicy Mostowej. Twarz jej była zarumieniona, ruchy gorączkowe. Oczy miała długą rzęsą nakryte i ku ziemi spuszczone. Nic przed sobą prawie nie widziała, zdawało się że jakaś myśl piękna i szlachetna zajmowała ją całą.

Na Mostowej ulicy panowała dzisiaj szczególna atmosfera. Senatorowa siedziała w dużym krześle i przez drzwi napół otwarte patrzyła z pewną troską na syna, który w drugim pokoiku siedział nad książkami.

Floryan siedział wprawdzie nad książkami, ale wzrok jego sięgał gdzieś po nad książki. Podparł ręką głowę i zamyślony patrzył przed siebie. Twarz jego przybladła znacznie, usta pobielaly.

Dwa tygodnie minęło od tego czasu, jak pierwsza wiadomość nadeszła z Gdańska do pana Izajasza o spodziewanym znacznym spadku. Dwa tygodnie

upłynęło od ostatniej w domu państwa Izajaszów wizyty, która się tak niefortunnie zakończyła

Po tej wizycie uznała senatorowa, i syna swego przekonała, że dalsze stosunki z Podwalem są niemożliwe. Ich dawne stanowisko i cała przeszłość nie pozwalały, aby bić czołem przed złotym cielcem, jak się senatorowa wyrażała. Duma ich przez pychę ludzi małuczkich, choć bogatych, była srodze urażona i nie pozwalała im zbliżyć się do ludzi, którzy ich szlachetniejszego kapitału nie widzieli i nieuznawali.

Tak rozumowała senatorowa.

Floryan zgadzał się z matką na pozór. W głębi jednak duszy był tego zdania, że naci, przez tak długi czas nawiązywanych, nie można odrazu przeciąć. Wprawdzie i on sam był srodze zraniony. Jego duma szlachetna poniosła znaczną klęskę. Ludzie do których on chciał się zbliżyć, dali mu poznać swoje wyższość czysto materialną i w szale tej wyższości nawet mu ubliżyli.

O zbliżeniu się teraz do Elżusi i mowy być nie mogło. Cóżby cały świat na to powiedział, gdyby dopiero na wieść o milionie zaczął pałać dla niej miłością i to jej wypowiedział?...

Zresztą sama Elżusia ostatniem postępowaniem zamknęła mu drogę. Podrażniła jego dumę koląciami jak szpilki słówkami, jakich pierwej przed milionem nigdy nie używała...

Tyle tylko wyprosił od matki swojej, że tej sprawy nie uważano jeszcze za zamkniętą i że drugiej stronie zostawiono inicjatywę do nowych zawiązków.

Senatorowa i Floryan cofnęli się na swoje stanowisko szlachetnego ubóstwa, a miliouowym ludziom

pozostawili drogę otwartą zbliżeniu się do nich napowrót.

Floryan miał nawet nadzieję tego zbliżenia się. Spodziewał się tego po panu Izajaszu, gdy go gorączka nagłego spadku opuści, a najmniej spodziewał się po Elżusi, która zanadto wiele miała rozsądku, aoy sytuacji jego dzisiejszej należycie nie ocenie.

Olśniona milionem, jeżeli Floryana prawdziwie kochała, powinna pierwszą rękę do niego wyciągnąć i dać mu poznać, że milion serca i duszy wcale nie zmienia.

Tak myślał Floryan i senatorowa pod tym względem z nim się zgadzała.

Aby jednak ten czas wyczekiwania czemś sobie skrócić i potrzebnego hartu na wypadek nowych rozczarowań nabyć, postanowił zająć się pracą literacką, odpowiadającą jego zawodowi.

Praca umysłowa to najdzielniejszy środek do utrzymania zmysłów w równowadze, gdy ciosy nieszczęścia z całą siłą uderzają w człowieka.

Floryan wybrał sobie przedmiot do opracowania z prawodawstwa angielskiego.

Jest to obok najwyższej sytuacji sprawiedliwości, tak zwana najwyższa instytucja słuszności, np. w sprawach sierot i małoletnich, gdzie niezmiennie słowo ustawy staje się częstokroć najwyższą niesprawiedliwością.

Nowy ten w naszym ustawodawstwie przedmiot chciał on należycie rozwinąć, wyświecić i stosownie do miejscowych potrzeb zalecić.

Tą pracą zajął się teraz, a zajął się tem bardziej, im więcej dokuczały mu niektóre myśli i marzenia z wczorajszej jego przeszłości.

Praca ta zabierała mu wprawdzie wiele czasu, ale nie zabrała mu wszystkich sił, z jakich składa się życie człowieka. W głębi duszy odzywały się ciągle jakieś wspomnienia jasne i piękne, teraz przyśmione i miejscami podarte. Po całych dniach i nocach pracował i pomimo to w każdej chwili wypoczynku nachodziły go obrazy, które mu część duszy zabierały....

Senatorowa spostrzegła to i posmutniała.

Patrząc w tej chwili na syna, który od godziny w jedno miejsce patrzył, wstała z krzesła i weszła do jego pokoiku.

— Floryanie, rzekła do niego, kładąc mu rękę na ramieniu—ty niepotrzebnie sprawiasz sobie umartwienia.

Floryan ocknął się z zamyślenia.

— Umartwienia? odpowiedział — myślałem w tej chwili nad moją pracą!

— Nie mówisz prawdy. Floryan zarumienił się.

— Wiem dobrze, mówiła senatorowa z powagą, czem każde uczucie jest dla serca szlachetnego i wiem, że ty takie serce posiadasz. Ale właśnie dlatego powinieneś tem mężniej znieść ten cios, który cię spotkał.

Floryan nic nie odpowiedział, tylko wziął rękę matki i ucałował.

— Szlachetne serce, mówiła dalej matka, ma pewną dumę, która je chroni od każdego małodusznego cierpienia. Czyż nie mówiłam ci, że ludzie prości, ludzie bez wyższych pobudek życia, ubrani w złoto, nic innego u drugich nie cenią? A jeżeli za czem się uganiają, to pewnie nie za tem, co my mamy. My nie mamy ani herbów dzisiejszych, ani złotych

kluczy, ani żadnych walor dzisiaj mających zaszczytów! A u nich to tylko może mieć wartość jaką, jeżeli za swoje pieniądze coś chcą kupić.

— Nigdy przed czasem nie chcę wyrokować o ludziach, odpowiedział Floryan, chociaż być może, że kiedyś podobny wyrok o nich wydam. Dzisiaj wolę myśleć o nich lepiej.

— Dwa tygodnie minęło od owej nieszczęsnej rozmowy naszej na Podwalu. Naszym obowiązkiem było czekać zbliżenia od nich. Takie zbliżenie dotąd nie nastąpiło. Czyż to już nie mówi jasno, czem oni są, a czem my jesteśmy dla nich? Wszak ty le
za jak na dłoni.

— Prawda, nie przeczę temu, ale mogą być powody do tego, których my nie znamy.

— Ha! to czekajmy na wyjaśnienie tych powodów. Tymczasem radzę ci przyzwyczajać się do tej myśli, że to wszystko już dziś do historii może należeć.

— Mam przecucie lepsze. Być może, że więcej świat i ludzi kocham, niżeli na to zasłużyli.

— Inaczej nie byłbyś synem twego ojca! odrzekła z dumą senatorowa i chciała właśnie odejść do swego pokoiku, gdy w kuchence usłyszała dzwonek.

Weszła Bronisława.

Bronisława miała twarz już z drogi zarumienioną, zobaczywszy jednak Floryana, zarumieniła się jeszcze więcej.

Błyszczące oczy nakryła prędko długimi rzęsami.

Po zwykłych przywitaniach, które ze strony senatorowej były rzewne i serdeczne, ozwała się:

— Przychodzę uwolnić panią senatorową od wszelkich trosk względem tej biednej, chorej wdowy.

— Od obowiązku nikt nie ma prawa nas uwal

niać, przerwała z małą chmurką u czoła senatorowa.

Bronisława zarumieniła się jeszcze więcej. Pochyliła głowę do ziemi, aby jej oczu nie widziano.

— Ah! przepraszam za niestosowne wyrażenie, odpowiedziała z niepokojem, jestem tak roztargniona!...

— Cóż się przyczyniło dzisiaj do twego roztargnienia, moje dziecko?

— Dzisiaj... dzisiaj jest dla mnie, czy raczej zaczyna być dziś szczęśliwszy od innych!

— Cóżżeś w tych dniach dobrego zrobiła?

— Znalazłam sposób do życia dla biednej wdowy.

— Czy ją bierze w opiekę pani Nałęcz-Ostroga?

— Pani Nałęcz-Ostroga?... Nie... Nie bezpośrednio.

— Jakże się rzecz załatwiła?

— Wdowę z córeczką biorę do siebie na mieszkanie.

Rzekłszy te słowa, zarumieniła się jeszcze mocniej Bronisława i oczu od ziemi oderwać nie mogła.

Floryan spojrział na nią. Była w tej chwili tak piękną, tak uroczą.

— Zkądże masz fundusz na jej utrzymanie? pytała dalej senatorowa.

— Fundusz... fundusz... jąkała Bronisława—fundusz obmyśliła już pani Nałęcz-Ostroga.

— To zacna i świętobliwa pani! Ja przy tym zyskam najwięcej.

— Zyskasz najwięcej?... Cóż możesz przy biednej wdowie zyskać, która żyje z jałmużny?

— Moge zyskać bardzo wiele.... zyskam bowiem czyjeś przywiązanie i miłość.

— Przywiązanie i miłość znaczą bardzo wiele!

— Osobliwie dla kobiety, która jest sama jedna na świecie, sama wśród ludzi.

Tu nie mogła już powstrzymać łez. Wytrysły one obficie z jej pięknych, ciemnych oczu.

Senatorowa rozczuliła się. Pocałowała biedną sierotę w czoło i rzekła:

— Pozwolisz, moje dziecię, że i my oto z naszej strony choć w części zarobimy sobie na przywiązanie tej biednej wdowy, która jest tak nieszczęśliwa!...

Floryan patrzył w milczeniu na tę scenę. Po wyjściu Bronisławy panowało w izdebkach czas niejaki głucho milczenie.

— Biedne to jest stworzenie ta Bronisława! ozwała się pierwsza senatorowa. Wychowana w zbytkach i pieśczołach, musi teraz u obcych żebrać przywiązania i na nie gorzko zarabiać.

— Jest to bardzo zacna i szlachetna dziewczyna! odpowiedział Floryan i wrócił do rozłożonych na stole książek.

Dawna, posępna cisza wróciła do biednych izdebek. Senatorowa wzięła robótkę do ręki, a Floryan niby przewracał kartki, ale nic nie czytał i żadnych liter przed sobą nie widział.

Prawdopodobnie był myślą na Podwalu.

XXIII.

Zdaje się że z taką samą myślą, zacementowaną o kominy Podwala, jechał Lulu koleją żelazną do rezydencji swego krewnego jw. pana Wita Ostrogi.

Rezydencja pana Wita była niedaleko Warszawy, w bardzo ładnym położeniu. Na wschód wybiegało z równiny kilka falistych pagórków, na południu

i zachodzie wiała się srebrna, spokojna rzeka, a horyzont północy był niczem nie przecięty, żadnym wzgórzem, żadnym lasem, ani drzewkiem. Powoli i nieznacznie mieszały się tam prochy ziemi z farbą mi nieba w ten sposób, że nie można było wiedzieć gdzie się ziemia kończy a niebo zaczyna, lub odwrotnie.

Pan Wit Ostroga wiedział dobrze gdzie się jego ziemia kończy, a o resztę nie turbował pana Boga. Chociaż i tutaj zarzucano mu mylną wiedzę, a nawet były wypadki, w których prześwietny trybunał musiał wyrzec, gdzie właściwie kończą się zagony p. Wita Ostrogi, a zaczynają się sąsiada.

A były to zagony piękne i bujne, jakby gdzieś nad brzegiem Nilu leżały. Złota pszeniczka i białe żytko mieniały się rokrocznie na tych zagonach i były zawsze tak obfite, że nawet sam pan Witold Ostroga lepszych sobie nie życzył.

Majątek pana Wita należał do najpiękniejszych i największych w całej okolicy. Prócz tego miał jeszcze „coś” na Ukrainie.

Mimo tak korzystnej opinii, jaką pana Wit Ostroga miał w całym powiecie, rezydencja jego nie przedstawiała się tak korzystnie.

Była to stara buda, pod omszonym dachem, wlaźła już do ziemi prawie po same okna. Tu i owdzie na dacji u były dziury, które tymczasem zatkało snopkami. Ściany tej budy były obdarte, jak ciało żebraka, i w ten sam sposób połatane. Okna pokrzywiły się, a wyfluczone szyby zaklejono jakąś starą gazetą.

Dwór Złotej Woli miał także stosowne otoczenie. Dwie oficynki pochyliły się ze starości, jedna na prawo, druga na lewo. Były i one w ten sposób obdar

te i połatane, jak dwór. Prócz tego miały jeszcze podpórki z drzewa sosnowego. W jednej z tych oficyn mieszkał ekonom, drugą, przeznaczono na kuchnię i piekarnię. Przed jedną i przed drugą leżało mnóstwo suchych gałęzi. Pan Wit bowiem zamknął lasy swoje i pozwolił tylko zbierać suche odpadki. Na środku była studnia z długim, przełamanym żórawiem. Aby złamany żóraw miał większą wagę na dół, uwiązano mu na końcu brudną, czarną płachtę, napełnioną wypalonymi ceglami ze starego pieca. Tak zewnątrz wyglądała rezydencja pana Wita Ostrogi. Wewnątrz nie było także lepiej. Cały dwór miał cztery izdebki. Dwie izdebki brudne z dołami w podłodze zamieszkał sam pan dziedzic, a w drugich dwóch mieściły się różne sprzęty gospodarskie, a między innymi młynek ręczny do mielenia zbiorów, który dla kontroli wtedy znajdował się tuż obok sypialni p. Wita. Otoż i p. Wit. Wychodzi z lamusu, do którego po kwaterkę wódki się spuszczał, i macha przed sobą grubymi kluczami. Pan Wit Ostroga jest dzisiaj czegoś zły, bo twarz całą ma pokrytą trądami, które w takim razie zawsze z kryjówek zaskórnych na wierzch wylażą. I rzeczywiście pan Wit Ostroga miał dzisiaj zmartwienie. Pan Wit jest starym kawalerem, i liczy sobie pięćdziesiąt lat i coś. Zamłodu był to hulaka co się zowie. Mieszkał w Paryżu, Londynie i Petersburgu, z kąd sprowadził sobie za kontraktem w obec regenta tak

zwaną „czarną perelką,” której po upływie pewnych lat obiecał dać kilkakrocie sto tysięcy. Tymczasem piękna „perelka” nie spostrzegła, że w kontrakcie była klauzula mała „jeśli mu wierną będzie.” Otoż mała ta klauzula, jako też i treść, była dla „perelki” czemś tak obojętnym, że nawet na to uwagi nie zwracała. Pan Wit jednak myślał o tem jak mówią, namówił sam pewnego Donzuana powiatowego, który postarał mu się o dowód, że „perelka” kontraktu nie dotrzymała. Zaczni jednak sąsiedzi pana Wita uważali w jego postępowaniu brak honoru i zerwali z nim dla nieszczęśliwej „perelki” sąsiedzkie stosunki. Pan Wit przyjął wyrok sąsiadów i odosobnił się od całego świata. I nie wiedzieć, czy to było naturalnym wpływem wczesnego pozbycia się lepszych namiętności, czy wyrok sąsiadów tak działał na niego, pan Wit osiadł w starym dworku swoim, i lat dwadzieścia nikomu z sąsiedztwa się nie pokazał. Sąsiedzi opowiadali o nim różne rzeczy. Mówili że z jakąś służącą potajemnie się ożenił, i przy niej tak, jak się wyrażali, schłopiał, że dawni znajomi nie byliby go nigdy poznali. I było prawdą, że pan Wit tak upadł nisko z wysokości paryzkiej dawnej cywilizacji. Jak dawniej był rozrzutnym i marnotrawnym, tak dzisiaj stał się skąpym. Skąpstwo jego dochodziło granic bajecznych. Już sama twarz jego dzisiejsza była najpyszniejszym kontrefektem Molierowskiego skąpca. Zapadła po obu policzkach, przegrodzona ostrym, cien

kim nosem, opatrzona małemi, przymrużonymi oczami, odgraniczona od rzadkich włosów niskim czołem, z dużymi, odstającymi uszami— wyglądała jak istne straszysdło.

Rzecz dziwna. Pan Wit był kiedyś dosyć przystojnym człowiekiem. Wreszcie jednak wyżycie się, brak wszelkich szlachetniejszych namiętności zrobiły z niego dzisiejszego starca. Do tego jeszcze opanowało go skąpstwo i dziwna nienawiść dla ludzi, jak rak złowrogi, poraziła twarz jego i wykoszlawiła członki.

Żółć ta jaką miał dla ludzi, pochodziła w większej części z niemocy używania rozkoszy życia, jak się dawniej używało.

Przy niezmiernych dostatkach jakie posiadał, opanowała go niesłychana obawa śmierci i smutna perspektywa, że te dostatki trzeba będzie dać komuś innemu, na które krwawo pracował, dla których skąpił sobie stawy i napojów.

Takim był dzisiaj p. WitOstroga.

Zgarbiony, brudny, z podartym kołnierzem, w zatłuszczonym kubraczku, w butach połatanych i z głową szpakowatą i rozczochraną, tłukł się po całym obejściu gospodarskim od rana do nocy, krzyczał i wymyślał na sługi.

Mieszkanie jego składało się z dwóch brudnych izdebek, z pogniętymi od wilgoci meblami.

Żywił się tylko kwaśnym mlekiem i ziemniakami, lub słodkim i kaszą. Czasami dla urozmaicenia jadł polewkę z mąki tatarskiej, lub kluski z serem, co najczęściej miało miejsce w święta.

Ustawicznie dopiekała mu myśl spadkobierstwa po sobie i z tej przyczyn nie tylko nienawidził z całego serca prawnych swoich spadkobierców, których

było wielu, ale nawet przemyślał nad tem, jakby im urządzić w takim razie bolesną niespodziankę.

Czasami wchodził z nimi w kompromis i za małą sumkę kupował sobie od nich dokumenta zrzeczenia się spadku—nie myślał o tem, że jeź li nie jeden, to drugi po nim spadek weźmie...

Otoż dzisiaj p. WitOstroga był wielce zmartwiony. Zaraz bowiem po śniadaniu przyjechali dwaj jego krewni, aby go odwiedzić.

Krewni, jak utrzymywali, nie mieli prócz afektu żadnego innego zamiaru. Pan Wit jednak podejrzewał ich, że przyjechali mu się przypatrzeć, czy długo jeszcze żyć będzie.

— Czy myślicie że stary już dochodzi? krzyknął zaraz na wstępie; czy chcecie skórę zanieść do garbarza, podczas gdy niedźwież jeszcze w lesie?

— Uchowaj Boże, Kochany stryju! odrzekł jeden.

— Wiem, wiem że wytrzeszczyliście oczy na moje pracę i przyjeżdżacie macać czym jeszcze ciepły!

— Ani nam w głowie to nie powstało! mówił drugi.

— Myślicie że wam uwierzę, żeście z miłości dla mnie tu przyjechali! Dzisiaj żaden człowiek drugiego nie kocha!

Jeden dybie na drugiego i radby go w łyżce wody utopić. Arendarz spiskuje przeciw mnie., ekonom czeka, kiedy trumnę mi przyniosą, rządcą patrzy czy jeszcze chodzić potrafię, a lokaj Szymek co rano dziwi się, że się jeszcze przebudził! Taki świat dzisiaj i tacy ludzie, a wy chcecie mnie oszukać i powiadacie że z miłości przyjechaliście tutaj.

— Uspokój się, kochany stryjaszku!

— Czy myślicie że jestem chory, że jestem słaby? Patrzcie,

jak zdrów jeszcze jestem! Jakie mam ciepłe ręce, nogi i piersi!... Piersi jak dzwon! Słuchajcie!... Mógłbym się jeszcze nawet ożenić!

Przy słowie „ożenić się” zatrzymał się chwilę i zamyślił.

— Cha cha cha! wybuchnął potem śmiechem serdecznym, co za myśl genialna! Wiecie że to zrobię....

— Gdzież w tym wieku chciałbyś się stryjasek żenić! zauważyli obaj krewni z pewnym niepokojem.

— Dlaczegoż nie? Ożenię się —z Małanką! Małanka była dziewczka, która parobkom jeść gotowała.

Panu Witowi tak się ta myśl podobała, że obu krewnych swoich obcałował. i

— Wiecie, to myśl genialna! mówił z radością, wszystkie wasze nadzieje spadkobierstwa pójdą do kata! Cha ycha cha!

Chciałbym w grobie słyszeć wasz płacz i zgrzytanie zębów. Byłaby to najmil

za dla mnie muzyka. ,

Stryjasek zdrów sobie żartuje.

— Jak Boga kocham nie żartuję! Albożto ja jeden ze służącą się ożenię? Czyż to się nie praktykuje? Żenią się jeszcze z gorszymi!... Cha cha cha! to myśl genialna! Zaraz oznajmię to ekonomowi, aby Małankę przygotował do tego szczęścia, które ją ma spotkać.

W tej chwili konie pocztowe przywiozły Lulu.

— Wybornie traficieś! zawołał z serdecznym śmiechem p. Wit Ostroga, przyjeżdżasz na moje wesele! Cha cha cha! na moje wesele!

Pan Witold mniemał, że tą wiadomością zabije jednego ze spadkobierców.

Lulu jednak był dobrym aktorem i znał dobrze pana Wita.

— I owszem, odpowiedział z uśmiechem, będziemy mieli w rodzinie dwa wesela.

— Dwa wesela?... Jakie dwa wesela?

— Chcę się ożenić!

— Ożenić?... Ożenić... a z czymże się ożenisz?

— Dzisiaj wystarczy być mężczyzną.

— A, a któraż bierze gołca?

— Wezmę w posagu milion.

— Milion? krzyknął p. Wit i skurczył wyciągnięty palec jakby chciał się modlić do miliona.

— Tak jest, milion! Chodzi tylko o to, aby mi stryjasek pomógł do tego miliona.

— Jak to pomógł?

— Trzeba ten milion czemś złapać. Nazwisko jest, ale trzeba modnego ekwipaża, libery i... nerus rerum choćby na okaz tylko.

— Czyż to wystarczy, aby ułoić taką pannę?

— Najpewniej w świecie. Kobiety są jak dzieci, które się łapcie cackami.

— Więc sądzisz, że i ja... gdybym sprawił czwórkę tarantów, ubrał czterech drabów w kamasze....

— Nie jedna, ale dziesięć stanie do wyboru.

— Ba... a łysina, szpakowacizna i inne jeszcze defekta?

— Wszystko nic nie znaczy! Dobijając się będą o stryja.

Lulu śmiał się wewnątrz ze starego dziwaka. Pan Wit jednak mocno nad tem się zamyślił. Nagle odezwał się do Lulu:

— A gdybyś ten milion rzeczywiście posiadał, czy przy nim zrzekłbyś się prawa do spadkobierstwa na wypadek, gdybym się nie ożenił, lub...

— Któżby w takim razie o tem myślał, z uśmiechem odpowiedział Lulu i mrugnął do innych krewnych. Pan Wit wypogodził nagle czoło i nad wszelkie spodziewanie zaprosił krewnych na obiadek, który dzisiaj wyjątkowo miał się składać z jednej pieczonej kaczki i polewki ze śliwek.

XXIV.

Na Podwału zaszły tymczasem znaczne zmiany pod każdym względem. Przyczyną tych zmian był najprzód milion (jak powszechnie spadek po ś. p. Sebastyanie nazywano) a potem ostatnie rozmowy w owym dniu pamiętnym, w którym wiadomość o tym spadku uderzyła w spokojnych mieszkańców Podwała.

Elżusia po tej rozmowie z Floryanem na pozór nie zmieniła się wcale. Baczniejsze jednak oko dostrzegło w niej coś, czego dawniej nie było.

Najprzód podzielała w zupełności podejrzliwość rodziców, że senatorowa wraz z Floryanem nie uważali ich za równych sobie i dosyć boleśnie dali im do poznania, że ozłocony wół pozostanie zawsze wołem. Widocznie zapisali się do mieszczan Starego Miasta i wyraźnie dali im to uczuć.

Ta niczem w ich mniemaniu nieugruntowana wyższość, ta dziwna pycha jakiegoś tam in partibus infidelium dygnitarstwa, dotknęła boleśnie pychę dorobkiewiczów, którym się zdawało, że pieniądz jest wszystkim na świecie. Jakkolwiek Elżusia w tej mierze zdania matki swojej w zupełności nie podzielała, słysząc jednak codzienne jej wyrzekania na pychę gołej arysto

kracyi miejskiej, musiała w końcu coś z tych wyrzekań uznać za słuszne.

Ostatnia rozmowa z Floryanem utwierdziła ją nieco w tym względzie. Przypominała sobie każde słowo jego, rozbierała je z jednostronnego swego stanowiska, zapominając o tem, że sama dała powód do niektórych ostrzejszych słów jego i przyszła w końcu do tego przekonania, że Floryan uważa ją za coś niższego od siebie, a w nieugruntowanej pysze swojej głowę wyżej podnosi.

Przypominała sobie wprawdzie chwile, w których wyraźnie odbijała się skłonność Floryana dla niej, ale pamięć tych chwil zatarł sam Floryan następnem swoim postępowaniem.

Nie pojęła wcale stanowiska swego, jako panny posażnej w obec biednego konkurenta. O zbliżeniu się do niego w sposób godziwy, jakich tysiące posiada kobieta, nie myślała wcale. Uważała bowiem siebie za upokorzoną i zajęła stanowisko wyczekujące.

Przyczynił się do tego niemało milion.

Pieniądze są podobne do wagi powietrza, o którym mówią, że kilkoma centnarami ciąży na człowieku, chociaż się tego wcale nie czuje.

Zdaje się że i ten milion, mimo wiedzy Elżusi, zaciążył także na jej przekonaniach dzisiejszych chociaż do tego nigdyby się nie przyznała.

W najlepszym razie podrażnił on jej dumę kobietą, i kazał jej spokojnie wyczekiwać pierwszych zbliżeń do jej serca czyli posagu.

Przy milionie ogarnęła ją również obawa, że mężczyźni tylko dla tego miliona do niej zbliżyć się będą. Obawa ta była jeszcze na tem ugruntowaną, że nie miała siebie za piękną.

W obec tej obawy wyrobiła w sobie przekonanie że mężczyzna, któryby się do niej zbliżył, musiałby fi woje prawdziwe uczucie czemś udowodnić, musiałby dla niej coś poświęcić, coś jej za milion dać wzamian, coby ten milion zrównażyło.

Floryan mógł jej dać, tylko miłość gorącą. Być może, że taki dar przyjęłaby od niego, a może tego daru od niego niecierpliwie wyczekiwała, ale zapomniała o tem, że ludzie szlachetni mają pewną granicę godności własnej, po za którą wyjść im nie wolno.

Floryan mniemał, że zbliżając się po ostatniej rozmowie do Elżusi, wychodziłby po za tę granicę Wolał raczej wszystko poświęcić, niżeli ściągnąć na siebie pozór, że stara się tylko—o milion.

Elżusia zaś ze swojej strony o żadnem zbliżeniu nie myślała, wychodząc z tego nieprawdziwego ogólnika, że prawdziwa miłość ze strony mężczyzny wszystko zrobić może i powinna bez oglądania się na sąd ludzi i własnego sumienia.

Gdyby w dawnych warunkach tak wyczekiwać chciała, możeby to wyczekiwanie było dla niej wielkiem cierpieniem, jak każda niepewność. Ale Elżusia żyła teraz w zmienionej atmosferze. Wyczekiwać więc nie było tak trudno.

Zona architekta z Mostowej ulicy, kobieta światowa, młoda i bawiąca się, wzięła teraz dom państwa Izajaszów w rzeczywiste, moralne i fizyczne posiadanie. Antagonistki kilkunastoletnie stały się teraz nierozzerwanemi przyjaciółkami. Pani Izajaszową dziwiła się nawet, jakim sposobem dotąd bez pani Sydonii exystować mogła.

Pani Sydonia urządziła dom państwa Izajaszów na sposób odpowiedni milionowi. Mąż jej architekt

według własnego planu, nad którym trzy dni pracował, kazał przebić podłogę drugiego piętra i połączyć je z pierwszym krętami schodami. Meble sprowadzono z Wrocławia a zwierciadła z Czech. Mąż pani Sydonii chciał nawet gazowe rury i wodociągi wprowadzić do salonów, ale pan Izajasz gwałtownie oparł się temu, i dzięki rozwiniętej energii na swoim postawił. Skończyło się tylko na przyklepieniu do starej kamieniczki nowego balkoniku z markizą.

Pani Sydonia poszła jeszcze w swojej przyjaźni dalej. Stworzywszy za pomocą męża salony pyszne państwu Izajaszom, odstąpiła im część najznakomitszych gości swoich, których dotąd w czwartek przy Mostowej ulicy gościnnie podejmowała, czyli, jak się sama wyraziła, przeniosła swe czwartki z Mostowej na Podwał.

Przy takich nowacyach, wśród nieustannego rozgardyaszu niezbyt uciążliwe było wyczekiwanie Elżusi.

Każdy dzień przynosił jej tyle nowości. Urządzenie domu, nowe meble, świeże pokoje, pokoiki, buduary, gotowalnie, portyery, wszystko to zajmowało jej wiele czasu i było dla niej niejaką rozrywką

Patrząc na to wszystko, co ją tam otaczało, zdawało się jej, że się zmieniała, że na tle tego zbytku wygląda jakoś inaczej, a nawet jest ładniejszą!...

W buduarze fantastycznie ubranym roiła sobie Bóg wie jakie rzeczy....

I tak dzień za dniem schodził, jakoś dosyć znośnie.

Przy tem wszystkim jednak w głębi jej duszy

była zawsze myśl, że Flaryan się zbliży, że się ukorzy i wyrządzoną jej krzywdę wynagrodzi. To zbliżenie czy raczej ukorzenie się Floryana uważała dotąd za jedyne szczęście swoje. Wszystko inne było tylko chwilową rozrywką, jak to sobie tłumaczyła. A rozrywek tych było wiele, bardzo wiele. Wiadomość o milionie rozeszła się po całym mieście. Pani Sydonia była dzisiaj bardzo w modzie, jako kobieta rozporządzająca tym milionem. Cisnęli się więc do niej dawni i nowi znajomi, aby ich wprowadziła do szczęśliwego domu na Podwale. Pani Sydonia nie była przywykła do odmowy. Za małą grzeczność, za pobieżne pochwalenie jej oczu błękitnych lub małej rączki, za dłuższy uścisk tej rączki wprowadzała wszystkich rycerzy wielkomiejskich, którzy na arenie Podwala o śmierć lub milion walczyć chcieli bojem wstępnym. Pierwszopiętrowe salony p. Izajasz napęłniły się pstrokatą zbieraniną publiki wielkomiejskiej. Pan Izajasz stracił głowę i pływał po spokojnych niegdyś swoich pokojach, jak między bałwanami Scyli i Charybdy i nigdy na wierzchu wypłynąć nie "fyógł, aby choć jeden toast świeżego powietrza zaczerpnąć..... Elżusia wystrojona własną ręką pani Sydonii, w sukni jedwabnej mocno wyciętej, z długim ogonem przesuwająca po tych bogatych salonach jak słońce ruchome, w koło którego krążyły liczne planety. Pierwszym planetą był tak zwany „literat," którego sława zamykała się, jak się sam wyraził, niefortunnym zbiegiem politycznych konstelacyj, w obrębie rogatek warszawskich. Aby jednak mieszkań

cy tego ciasnego terytorjum" o jego nazwisku nie zapomnieli, pisywał co kilka dni do dzienników codziennych krótkie artykułki o rzeczach gdzieindziej już dawno zapomnianych, ale dla niego jeszcze nowych, i roboty swoje podpisywał całym nazwiskiem, do tego dołączał jeszcze dwa imiona chrzestne i jedno z bierzmowania. Literat ten brukowy był dla towarzystwa straszną plagą. Wtrącił się wszędzie, a gdzie widział dla siebie jakąś nieprzychylność, tam groził „wydrukowaniem" każdy więc tolerował go, a byli nawet i tacy, którzy częścią zawsze, a częścią z udaną przyjemnością za rękę go ściskali i o jego przyjaźń się dobijali. Literat miał włosy długie, w sztucznych puklach spadające na ramiona. Miał pod temi włosami mnóstwo arcydzieł: dramata, powieści, epeje i historią filozofii, ale nie miał nigdy czasu usiąść i napisać. Mimo to jednak miał się literat za pewną znakomitość. Od ludzi żądał pewnego uznania, żądał aby mu się kłaniano i na herbatki zapraszano. Na wieczorkach prywatnych starał się znowu objąć jakąś komendę, aby w tłumie nie zginąć. Przy tańcach komenderował, przy grach towarzyskich wybierał przysłowia i dwuznaczniki, przy koncercie prze, wracał kartki. A jeśli jaka dama z gorąca zasłała, on pierwszy wołał o wodę i ocet. Tym sposobem był zawsze na pierwszym planie. Otoż w domu na Podwale zajęł tymczasem pierwsze miejsce i starał się na niem dłużej utrzymać. Z Elżusią wszedł od razu w tak blizki stosunek, jakby Bóg wie od kiedy ją znał i z nią rozmawiał.

Elżusia sama nie wiedziała, jakim sposobem to się stało. Z każdym krokiem, za każdym obejrzeniem spotkała się z przyszłym geniuszem. Czy to potrzeba jej było wody, czy krzesła, literat już był na usługach i z taką poufalością oddawał jej te usługi, jakby już między nimi coś było. Pan DyzmaSymeon robił to nawet z pewną ostentacją. Zdaje się, że „literat” poczuł także woń miliona i za nim ciągnął. Był on tego przekonania, że Elżusia powinna się w nim zakochać, jeżeli jest dziewczyną prawą i szlachetną. Dlaczego zaś tego nie myślał o córce swego najbliższego sąsiada urzędnika z izby obrachunkowej, która była ładna i dla niego nieobojętna, o tem trudno coś stanowczego powiedzieć... Zaraz zanim zajął miejsce poeta liryczny. Byłto młodzieniec o wielkich nadziejach, który dla tej przyczyny szkół nie skończył i zupełnie się rozpróżniaczył. Nic nie robił, nic nie czytał, tylko kontemplacją na górcie li Lursa się zabawiał.

Otoż z tej górci wyniósł bajroński pogląd na świat, narzekał na ludzi że pokarleli, na kobiety że serca swoje za lada cacko sprzedają.

Gardził przy tem wszelką zasługą, gardził pracą i złotem, które nazwał cuchnącą atmosferą bankierów w jednym z swoich wierszy.

Mimo tej woni nieprzyjemnej zbliżył się do istoty wyobrażającej milion, i magnetyzował ją swoim wzrokiem, o którym miał wyobrażenie że żadna kobieta mu się nie oprze.

Elżusia stała się nawet powodem, nie wiedząc sama o tem, jednej elegii, trzech sonetów i pięciu satyr na nikczemność serc kobiecych, które poezyi nie pojmują i w kale złota się tarzają.

Poeta był jednak pewny że Elżusia z czasem zrozumie go, że się w nim zakocha, a on potem wykradnie ją sród nocy ciemnej i wietrznej. Podejrywał bowiem pana Izajasza, że inaczej nie dałby mu swojej milionerki.

Dlaczego zaś mniemany poeta Ludwisi nie chciał wykradać, chociaż ta mu się lepiej od Elżusi podo bała? Ludwisia nie miała miliona.

Do uzupełnienia owej „trójki” na salonach pani Izajaszowej należał jeszcze długowłosy artysta.

Geniusz ten muzykalny krytykował po kawiarniach i cukierniach wszystkich artystów i kompozytorów i bez ogródki zapowiedział, że on dopiero okaże co jest i czem być powinna muzyka.

Tymczasem chodził po herbatkach, zjadał obiady, i tak sobie cały boży dzień tem zapełniał, że rzeczywiście nie miał czasu pokazać swego olbrzymiego talentu.

On jednak sam wierzył w siebie że jest wielkim i znakomitym i żądał od wszystkich, aby go za takiego miano.

Na wieść o milionie pośpieszył do pani Sydonii a ta wprowadziła go na Podwał.

Elżusi obiecywał że skomponuje sonatę, która Beethoena zakasuje, że ma już kilka mazurków, przy których Chopin w, kąć pójdzie—i że właśnie siedzi teraz nad wielką historyczną operą.

Mówiąc o tem zawracał oazy do. Elżusi i różnemi sposobami dawał jej do poznania, że ją kochać może, kochać uczuciem artysty, jeśli, tylko ona na to przystanie i swój milionik do jego kieszeni poniesie.

— Artysta, mówił długowłosy, artysta proszę pani, to coś innego od człowieka. Wszystkie objawy

powszedniego życia łamią się u niego przez pryzmaty i tworzą tęczone, siedmiobarwne wstęgi.... W takich kolorach widzi kobietę, widzi świat cały!.. Ach, pani, czyż to nie rozkosz być tak widzianą....

Dlaczego zaś długowłosa nie mówił tego do Rózi, córki dobrego swego przyjaciela, a urzędnika średniego z Towarzystwa Kredytowego?..

Po za tą „trójką," która z salonów pani Sydonii przeniosła się na Podwał, były dalsze szeregi najrozmaitszych próżniaków wielkomiejskich, którzy piękne, szlachetne zawody wyzyskują zazwyczaj w celach wielkich i egoistycznych.

Do domu mieszczańskiego pchało się teraz to wszystko, co gdzieindziej przystępu nie miało.

Dla pana Izajaszka było takie życie zupełną nowością. On nie wiedział, że tak samo można drzwi zamknąć przed człowiekiem ubranym we frak i białe rękawiczki, jak się zamyka przed znanym oszustem i złodziejem.

Pani Izajaszowa nie była w swoim żywiole. Wielu ludzi—znaczyło u niej wiele zaszczytu. Im większa była na wieczorku konsumpcja ciast, wina, herbaty i indyków, tem bardziej była zadowolona, tem więcej nos podnosiła do góry.

— Wczoraj zjedzono piętnaście indyków, za pięćdziesiąt rubli ciast i cukrów, a o winie to już Izajasz wie tylko, mówiła do swojej sąsiadki, która miała kolonią za Warszawą.

Zdawało się jej, że konsumpcja taka rozszerza sławę jej domu na całe miasto. I nie omyliła się. Sława rzeczywiście rozeszła się—między głodnych. I z wszystkich stron rzucano się na salon Pani Izajaszowej, jakby na bezpłatną restauracją.

Elżuska, która zamiast Bronisławy, miała teraz

przyjaciółkę panią Sydonia, wdroyła się powoli w to życie gwarne i tłumne. Pochlebiało jej, że tyle ludzi w domu rodziców bywa. Wiedziała, że to ona jest właściwym magnesem dla tych gości. Niektórzy nawet wyraźnie jej to oświadczyli. Elżuska przyjmowała z uśmiechem te oświadczenia, bo nierozstała się jeszcze ze swoją myślą, która przy tak gwarnem życiu wsiąkała w coraz głębszą kryjówkę serca.

Bawiło ją to jednak, że tylu ludzi koło niej się uwija. Była pewną, że pomiędzy nimi pojawi się także i Floryan, a wtedy będzie miała sposobność podrożyć się, jak na to zasłużył, upokarzając go. Serce jej wprawdzie nie zgadzało się z takim planem, ale milion i powszechna adoracja podszeptowały jej to do ucha.

Najszcześniejszą w domu była pani Izajaszowa. Twarz jej promieniła się ustawicznie. Ubierała się w same jedwabie, dostała nawet pańskich grymasów i czasem skarżyła się na newralgię.

Ludzie, którzy ją teraz otaczali, śmieli się w duchu z prostej kobiety, która chciała udawać damę wielkiego świata, a nie miała do tego potrzebnych talentów. Mimo to jednak kadzono jej zawsze obficie, i za jej tłuste indyki podtrzymywano ją w wierze, że dom jej nadaje ton w stolicy. „Literat" postarał się zawsze o to, że każde okazalsze przyjęcie gości ogłoszone było drukiem w Kurjerze, co pani Izajaszowej sprawiało rozkoszne spazmy.

„Znany z gościnności dom państwa I przy ulicy Podwał podejmował wczoraj znaczne grono przyjaciół i znajomych z staropolską serdecznością, a zabawa przedłużyła się aż do rana. Córka państwa

I. panna EL... odgrała sonatę jako skończona artystka."

Taki mniej więcej był cały artykuł w Kurjerze, a „literat” za to, zjadał każdym razem smaczny objadek po wydrukowaniu.

Czasami okazywały się w części inseratowej trzynastozgłoskowe wiersze wychwalające wdzięki panny El. Poeta był tak skromny, że się nie podpisywał, ale na Podwalu wiedzano dobrze jego nazwisko i karmiono go.

Słowem przy nagle zmienionych warunkach życia było się czem oszołomieć, osobliwie przy prostocie i ubóstwie umysłowych zasobów.

Pan Izajasz jednak nie tylko, że tem się nie oszołomił, ale nawet widocznie nachylił się, jakby wielki ciężar dźwigał na barkach.

Od czasu jak powrócił z Gdańska, widocznie się postarzał. Twarz jego dostała zmarszczko w jakich pierwej nie miała. Często był zamyślony i jakby nieprzytomny. Na zapytania dawał inne odpowiedzi.

Czyż ten milion ciążył tak na prostym człowieku? Kilka razy próbował pan Izajasz przywrócić sobie dawną ciszę domową, z którą mu niegdyś było tak dobrze! Pani Izajaszową jednak w sojuszu z panią Sydonią tak energicznie temu się oparły, że biedny dorobkiewicz musiał uleść, aby jeszcze większej burzy w domu nie wywołać.

— Pocóż mamy w zaciszu kryć się z majątkiem naszym, wołała pani Izajaszową, podparłszy się pod boki, albośmy to skradli gdzie pieniądze, czy kogo zrabowali?...

Pan Izajasz wtedy prędko uciekał z pokoju, a nawet razu jednego bez czapki uciekł do sąsiada To

maszą, aby tylko podobnych słów od żony nie słyszeć.

Jedynym jego sprzymierzeńcem w takim razie był p. naczelnik Bonawentura.

Pan Bonawentura bywał teraz bardzo często w domu pana Izajasza, ale każdym razem był niepospolicie alterowany to przez „literata,” to przez artystę lub poetę.

Wprawdzie basetłę i czekan przeniósł na Podwał i tym antidotem starał się pobić swoich przeciwników, ale nie zawsze to mu się udawało.

Literat komponował na starego kawalera różne dowcipy, a artysta rysował jego karykatury.

Z tego powodu namawiał pan Bonawentura pana Izajasza, aby odpędził tę niepotrzebną hałasę ze swego domu i otoczył się ludźmi przyzwoitymi i poważnymi. Za takie rady ścisnął i całował pan Izajasz pocziwego naczelnika, ale wyznawał z płaczem, że do tak upragnionej reformy brak mu sił i energii.

Niemogąc nic wskórać, zwrócił pan Bonawentura cały swój afekt do pani Izajaszowej, chcąc tym sposobem zaskarbić sobie jej łaskę dla swoich celów dotąd ukrytych.

Afekt jego został jednak nieszczęśliwie wytłumaczony. Pani Sydonia, kobieta światowa i doświadczona, szepnęła pani Izajaszowej do ucha, że pan Bonawentura w niej się kocha! Śmiała się zrazu z tego pani Izajaszowa, lecz po jakimś czasie zauważono, że dla naczelnika była nadzwyczaj wylana i z indyka najlepsze kaski mu na talerz kładła.

Pan Bonawentura cieszył się, że tym razem niebo mu sprzyja.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego południa wszedł do pokoju pani Izajaszowej galonowany lokaj z herbami na guzikach i nadzwyczaj grzecznie zapytał, czy pani marszałkowa hrabina Oliwia może złożyć swoje uszanowanie.

Pani Izajaszową przestraszyła się takiego splendoru. Zarzuciła na ramiona aksamitny kaftan, krzyknęła na Elżusię, aby czempredziej na pomoc przysłała, a męża wypchnęła do czwartego pokoju pod zagrożeniem rozwodu, jeśli się hrabinie w takim kubraku pokaże. Za chwilę weszła kuzynka Lula do salonu. Pani marszałkowa była cała czarno ubrana, z czarnym krzyżem na piersiach. Rzuciwszy okiem na zbytckowne urządzenie salonu, uśmiechnęła się i rzekła:

— Przychodzę do pani imieniem ubogich. Ale nie sądzę pani, aby tylko ten jedyny był powód dzisiejszej mojej Wizyty. Słyszałam tyle dobrego i szlachetnego o pani, tak piękne pochwały czytałam w Kuryerze o córce i jej grze artystowskiej, że obok charakteru oficjalnego jako opiekunka ubogich, poczytuję to sobie za prawdziwą przyjemność zrobienia tak miłej i zaszczytnej znajomości.

Tu podała pani Izajaszowej drobną rączkę i z tą samą rączką zwróciła się potem do Elżusi.

— A to zapewne tyle razy wychwalana panna Elżbieta... Jakże mi miło uścisnąć tę prawdziwie artystowską rączkę... Pani Izajaszowej zabrakło tchu z wielkiej radości, a Elżusi uderzyła krew do głowy całą siłą.

— Stosownie do oficjalnego charakteru pani hrabiny, rzekła po chwili pani Izajaszowa, wyjmując z biurka pugilares — przyjmij to pani na rzecz ubogich.

I złożyła do ręki pani marszałkowej banknot sturublowy, licząc na efekt. Marszałkowa podziękowała uśmiechem ubogich.

— A teraz jako prywatna kobieta, mówiła dalej, pozwolisz pani, że ją poproszę o bliższą znajomość, która tem się rozpocznie, że jutro zechcesz pani uprzyjemnić wraz z córką wieczorek familijny " mnie.

Pani Izajaszowej znowu zabrakło tchu z wielkiej radości, a Elżusia znowu poczerwieniała na twarzy.

I było to wcale naturalnie.

Ludzie ze sfery pani Izajaszowej uganiają się za takimi stosunkami towarzyskiem!, jakie właśnie zaproponowała im pani marszałkowa. Gotowi są nawet przy największym skąpstwie swoim, wiele, bardzo wiele dla takich stosunków poświęcić.

Elżusia zaś miała w tem inne wyrachowanie.

Tak zwany „wielki świat," dotąd gaza przed nią zasłoniony, miał dla niej, jak zwykle dla każdej kobiety, urok niemały. Uwijające się za tą na pół przezroczystą gaza postacie, wyglądały z oddalenia tak jakoś uroczo, jak żywe obrazy przy oświetleniu bengalskiem. Chciała więc je zblizka obaczyć i ich się dotknąć. Nie miała jednak dla nich tej bezwzględnej adoracyi, która matkę wolnegooddechu nagle pozbawiła.

Powstała w jej duszy myśl ukryta, że zbliżenie się jej do wielkiego świata byłoby już samo przez się upokorzeniem Floryana. On na nią tak zgóry patrzył!... Jakażby rozkosz

była dla niej, gdyby ją ujrzał na parkietach wielkiego świata, pomiędzy ludźmi, którzy w hierarchii towarzyskiej tak wysoko stoją...

Taka myśl przebiegła jej przez głowę. Serce uderzyło żywiej, bo na dnie tego serca była jeszcze zawsze ta mile brzmiąca struna szlachetna, której tak żal pozbywać się...

Ta struna drżała dotąd cichą, rozkoszną melodią, poczętą w owej chwili, gdy nie było jeszcze miliona, tylko skromny pokoik, sąsiad Floryan i przyjaciółka Bronisława...

Propozycja hrabiny Oliwii ucieszyła ją. Cały dzień i całą noc marzyła o tem. Marzyła o sukni, jaką weźmie na ten wieczór wielko światowy, marzyła o ludziach, których tam zastanie, marzyła nawet o tem, o czem z nimi rozmawiać będzie.

Nazajutrz cały dzień czynną była na Podwalu pani Sydonia. Ubierała matkę i córkę i dawała im potrzebne rady.

Wieczorem zajechała najęta w tym celu wspaniała angielska karetka, a pani Izajaszowa siadła do pudła, szeroka jak samo pudło i czerwona jak burak ze wzruszenia, za co Elżusia mocno na nią się gniewała.

— Cóż ja temu poradzę, jeżeli mi serce z radości pęka, mówiła do córki — hej, któżby to kiedy o tem był pomyślał.

Moja nieboszczka matka (tu rozplakała się pani Izajaszowa) moja nieboszczka matka ożyłaby, gdyby mogła wiedzieć, gdzie ja dzisiaj będę!...

Wieczorek u pani marszałkowej był wyłącznie familijny. Tem więcej zaszczytu spadało na panią Izajaszową.

Była przyjaciółka i daleka krewna marszałkowej

stara księżna, był pan Wit Ostroga wyświeżony i odmłodzony, który, jak twierdził, przyjechał do Warszawy, aby Lulowi do żeniaczki dopomóc. Był Lulu wyelegantowany i świecący i o. Eljasz, który częstym gościem był wdowy marszałkowej.

Pani Izajaszową była oszołomiona. Tytuły: księżna, hrabina, hrabia, padały jak grad gęściej niżeli słowa. Było to coś tak rozkosznie drażniącego, że napadała ją ochota zamknąć oczy i zdrzemnąć, aby to wszystko w krainę snów przenieść.

Czy marszałkowa tę ochotę spostrzegła, czy też dłużej z panią Izajaszową rozmawiać nie była w stanie, trudno odgadnąć. Powstała z fotelu i poprosiła Elżusią, aby co zagrała.

— Graj, graj, Elżusiu! wołała uszczęśliwiona matka, zagraj dla pani hrabiny, bo hrabina sobie przecież na to zasłużyła. Elżusia usiadła dosyć śmiało do fortepianu i zagrała Liszta. Lulu pośpieszył, aby kartki przewracać.

— Pani grasz cudownie! szepnął z za krzesła i pochylił się nad jej biustem — szczęśliwy, trzykroć szczęśliwy, kto tę drobną rączkę posiedzie.

Był to komplement zbyt prosto wymierzony, bo Lulowi zdawało się, że z córką mieszczanina długich ceregieli robić nie trzeba. Elżusia nie chciała słyszyć tego.

— Gra pani jest tak zachwycająca, mówił dalej z za pleców, że można przy niej stracić równowagę zmysłów. Dobrze pani robisz, że słów moich nie słuchasz.

— Wątpię, abyś pan mógł być niegrzecznym, rzekła Elżusia z takim wyrazem, z którego nie można było wnosić, czy się gniewa, czy ją to bawi.

— Są sytuacje, w których granicę zwykłej, towarzyskiej grzeczności znikają, a rozpoczyna się namiętność... x

— Namiętność?... Zdaje mi się że to słowo tutaj jest kwiatkiem egzotycznym.

— Tak zazwyczaj mówią. Nie wierz jednak pani temu. W naszym świecie jest wiele form i formulek. Zawinięci w te formułki wydajemy się patrzącym zdala jak mumie kilkowieczne. Tymczasem w tych ciasnych formach tem żywiej bije serce, tem większe wrą namiętności...

Elżusia umilkła, bo dalej takiej rozmowy prowa dzić nie chciała. Spojrzała tylko z ukosa na Lula, który wyświeżony i wyfrakowany wyglądał w tej chwili na wcale przystojnego mężczyznę.

Skorzystał z tej pauzy pan Wit Ostroga.

Pan Wit Ostroga, dzięki zdolnemu fryzyerowi, ujął sobie dzisiaj z jakie dziesięć lat. Sztwywny, biały kołnierz sterczał mu pod same ucho, chustka opadała z węzła w sposób markizowski, a wyzółkła twarz skąpca przybrała teraz wyraz skończonego dyplomaty.

— Dajże aśčko ucałować te drobne, ładne paluszki, rzekł do Elżusi z manierami kawalera z czasów Ludwika XIV, te paluszki, któremi budzisz w strunach żelaznych tak porywające tony, że nawet ja... ja... już człowiek nie młody... człowiek można powiedzieć... stary...

— Stary ale jary! podsunęła mu w prostocie mieszczańskiej pani Izajaszowa.

Voilà le mot... Stary ale jary, odrzekł uradowany pan Wit Ostroga, jak to pięknie asyńdzka dobrodziejka powiedziała!

Niema to jak przysłowia

ludowe. Tam wszystko prawda, choć ta prawda idzie tam na obie strony...

I zaśmiał się serdecznie pan Wit z swego konceptu. Śmiała się marszałkowa wraz z księżną i śmiał się także o. Elias, stosownie do reguły: płakać z płaczącymi, a śmiać się z śmiejącymi.

Wszyscy się śmieli i byli radzi sobie, bo pani marszałkowa naprzód to ułożyła, aby dzisiaj dla pani Izajaszowej mieć twarz uśmiechniętą i po francuzku nie mówić.

Pan Wit iskrzącym wzrokiem wpatrywał się w Elżusię, która nietylko tak jak Małanka żoną być może, ale do tego przyniesie mężowi w posagu — milion!

Zdaje się, że ta myśl cieszyła go, bo wyżeniony przez Lula milion, zostawiał mu przynajmniej miły pokój na czas niejaki. W tym celu, jak utrzymywał, przybył do miasta i równie w tym celu dom znaczny w stolicy otworzył.

Czy takie tylko były zamiary pana Wita, czy też miał co innego przy tem w zanadrzu, o tem nikt nie wiedział.

Wieczorek wielkoświatowy skończył się, a pani Izajaszową wróciła na Podwał uszczęśliwiona i spłakana z radości, że takie szczęście ją spotkało, które dla Elżusi jeżeli nie księcia, to niezawodnie hrabiego na męża przyniesie.

Gdy jednak pana Izajasza ujrzała w szarym kubraku, który ze świecą na wschody wyszedł, tak się tem zmartwiła, że spazmów dostała, utrzymując, że nietylko jej świat zawiązał, ale nawet i rodzonemu dziecku drogę do szczęścia zagradza.

Elżusia na lament inatki nie zważała, tylko z za

dowoleniem uśmiechała się do siebie, widząc w dzisiejszym wieczorze znaczny postęp w swoich stosunkach towarzyskich, przyczem zawsze jej stawał Floryan przed oczyma.

Po tym wieczorku zaraz rozpoczął się karnawał.

Pani Izajaszowa była teraz w niemałym kłopotcie. Chcąc panią marszałkowa z wszystkimi krewnymi "siebie przyjąć, musiała pierw jej salon swój znacznie spuryfikować. Tyle naleciało tam śmiecia i szlifibruków warszawskich, że sama pani Izajaszowa poznała że to śmiecie i że dłużej tak pozostać nie może.

Twarda jednak była przeprawa z tem śmieciem. Byli to ludzie zazwyczaj bezczelni, bez wstydu i charakteru. Najprzód nie chcieli ustąpić, potem rzucili chmarę obelg na dom, który ich karmił i tworzyli na jego karb najrozmaitsze anegdotki.

Ale jakoś w końcu to się udało. Zmieniono czwartki na wtorki, a potem zaniechano zupełnie takich zebrań tygodniowych i zamieniono je na prozono.

Po wieczorku danym dla wysokich gości w domu pani Izajaszowej, nastąpił wieczór tańczący u pani marszałkowej, na którym młodzież wyższego świata, lub chcąca za takową uchodzić, w komplecie była zgromadzona. Młodzież ta wyczekiwała tylko sposobności, aby rzucić się na dom milionowego mieszczanina.

Zaraz na drugi dzień s po tym baliku zarzucono pana Izajasza i żonę kartami wizytowymi, z rozmaitemi herbami i koronami.

Od tej chwili zapełnił się dom pana Izajasza zupełnie nową populacją, która tylko po francuzku mówiła, zacząwszy od wyrostków o piętnastu włosach pod nosem, aż do podtatusiałych epuzerów z szkiełkiem w oku a reumatyzmem w nogach.

Sąsiedzi tłumnie puciekali z domu pana Izajasza. I pan Izajasz byłby także sam za góry gdzie uciekł, gdyby tylko nie obowiązki względem dziecka, od których faktycznie odsądziła go pani Izajaszowa.

Dom na Podwalu stał się teraz istną kawiarnią i restauracją. Bawiono się, rozmawiano po francuzku, chociaż wszyscy wiedzieli o tem, że ani pan Izajasz, ani żona jego tego języka nie umieli.

Pani marszałkowa miała tyle taktu, że panią Izajaszową ratowała zawsze w niebezpieczeństwie francuzkiej konwersacyi, zaco pani Izajaszową była jej niewymownie wdzięczną.

O pana Izajasza nikt nie dbał. Byli nawet tacy, którzy go mieli za sługę. Niektórzy nawet wcale go nie znali i nie widzieli tego potrzeby, aby mu się przedstawić.

Pierwsza kategoria gości przynajmniej ścisłała go za rękę — druga ignorowała go.

Zdaje się, że pan Izajasz mocno wziął to sobie do serca. Pobladł, posmutniał i, wtedy tylko był weselszy, , gdy wymknąwszy się chyłkiem z domu, dostał się do sąsiada Tomasza z ulicy Mostowej i z nim kilka słów zamienił.

Elżusia była teraz w dziwnem usposobieniu. Wykształcenie jej usposobiło ją więcej od matki do towarzystwa wielkoświatowego. Mówiła dobrze po francuzku, grała pięknie i miała naukę niepospolitą. Stan jednak umysłowy rodziców zaczął

ją w tem towarzystwie niepokoić. Spostrzegła to pani marszałkowa i przysła jej w pomoc Urzędziła tak rzeczy, że często matkowała jej na rautach i wieczorkach, brała ją do swojej loży do teatru i wyłącznie nią się opiekowała. Pani Izajaszowa, którą towarzystwo podobne często w kłopot niemały wprawiało, zgodziła się na to zastępstwo i kontentowała się relacją, jaką sąsiadkom swoim dawała o powodzeniu córki na salonach wielkoświatowych. Z drugiej strony pan Wit Ostroga tak się zajął planem ożenienia Lula z Elżusią, iż często wyprawiał w swoim domu kosztowne zabawy i wieczorki, woził Elżusię z matką swoim pysznym angielskim ekwipażem po alei belwederskiej i tysiączne świadczył im grzeczności.

Jakim sposobem taki wydatek mógł ze swoim skąpstwem połączyć, trudno było odgadnąć. Niektórzy mniemali, że czynił to dla uratowania sukcesy po sobie, która w części mogła się dostać Lulowi. Był to dziwaczny sposób ratunku, ale pan Wit był dziwakiem.

W nowem tem towarzystwie miała Elżusia wielkie powodzenie. Tak się jej przynajmniej zdawało. Hrabina Oliwia wiązała ją coraz więcej do tego obcego jej świata. Zaznajamiała ją i zaprzyjaźniała i wszędzie z sobą prowadziła. Najbliższym jej w tem towarzystwie był zawsze Lulu. Czy to potrzeba było jej w czem dopomódz, czy szal podać, czy nuty przewracać, czy wreszcie w jakiejś dowcipnej rozmowie po jej stronie stanąć — wszystko to robił Lulu z nadzwyczajną zręcznością, z całą swobodą człowieka obytego z taką służbą.

Elżusia spostrzegła tę nadzwyczajną uwagę, jaką jej Lulu poświęcał. Powzięła nawet pewny planik, którego jednak nie mogła do końca przeprowadzić.

Przypomniała sobie, że tenże sam pan Lulu uchybił jej kiedyś u wód krajowych. Ułożyła sobie mały plan zemsty. Chciała go trochę przyciągnąć do siebie, a potem dać mu nauczkę.

Pierwszą połowę tego planu wykonała sumiennie. Na drugą nie stało jej odwagi.

Patrząc się na jego nieustanną służbę, będąc zarzuconą grzecznościami ze strony jego najbliższej krewnej pani Oliwii i mając tyle dla niej teraz wdzięczności, zapomniała o epilogu swego planu i darowała Lulowi jego dawniejsze błędy. Na tej drodze mógł już dla niej Lulu być bardzo niebezpiecznym. Był to człowiek przystojny, zręczny i przemyślny. Grał pięknie na fortepianie, a nawet śpiewał wcale przyjemnym barytonem. Przedewszystkiem otaczała go aureola wielkoświatowa, która na nią teraz tak ważny wpływ wywierała. Elżusia była teraz tą atmosferą oszołomiona i sama już zapominała czasem, w jakim celu w tę atmosferę weszła.

Wprawdzie miała jeszcze czasem przytomność umysłu. Wtedy myślała na seryo o Floryanie i rachowała dotychczasowe zdobycze. Zdawało się, że zdobyła wiele, że tem samem był już Floryan upokorzony i powinien teraz do niej zbliżyć się.

Floryan zaś przeciwnie tłumaczył sobie to z bogacenie. Był prawie pewny, że kobieta po takich zdobyczach nie cofnie się do skromnej swojej dawniejszej sfery, a gdyby się nawet cofnęła, nie

widział w tem żadnego warunku stałego jej na przyszłość szczęścia.

Trzymał się więc na uboczu, chociaż nie gardził żadną sposobnością zbliżenia się do Elżusi, gdyby to zbliżenie nie odbyło się z ujmą jego godności osobistej.

Takiej zaś sposobności dotąd nie było. Elżusia zaś mnożyła coraz więcej swoje zdobycze i sama nie spostrzegła, że to, co z razu było "niej środkiem tylko, stawało się powoli — celem.

Powoli gasło w jej sercu wspomnienie o Floryanie a natomiast wchodziła weń żądza życia wielkoświatowego z wszystkimi temi rozkoszami, jakie jej okazywano.

W tym to czasie zaszło zdarzenie, które całym domem na Podwału silnie wstrząsnęło.

Pod koniec karnawału był już pan Izajasz wszystkimi temi uciechami tak serdecznie znudzony, że zaczął na seryo przemyśliwać o ucieczce z domu.

Dawni znajomi nie poznawali go, tak się zmienił. Wyłysiał cały, skulił się i poźółkł. Jakaś czarna melancholia prześladowała go nieustannie. Szukał samotności, podczas gdy rój gości bawił się w jego pokojach. Uciekał wtedy często aż na strych i tam oddawał się jakimś nadto smutnym kontemplacyom. Zarządca domów, Janek, obawiał się na seryo, aby pan Izajasz kiedy nie powiesił się.

Otoż z wielką radością tegoż Janka nie powiesił się pan Izajasz, choć do tego na strychu miał wszelką sposobność — tylko zszedł na dół i w łóżko się położył. Był to znak oczywisty, że nie chciał zostać samobójcą, ale chciał umrzeć przykładnie, jak umiera każdy prawy chrześciance.

Zaraz w pierwszych dniach zażądał księdza i oleju świętego. Żona jednak sprzeciwiła się temu i zamiast księdza, zawołała trzech lekarzy, którzy przy chorym długi czas po łacinie rozmawiali, a przytem mocno głowami kiwali. W kilka dni po tej łacińskiej rozmowie przywołano księdza, ale pan Izajasz popadł już był w tak dziwny stan odrętwienia, że kapłan Boży tylko w przypuszczeniu pocziwego jego żywota i prawdopodobnego miłosierdzia Boga, dał mu na drogę wieczności olej święty.

Od tego czasu miał pan Izajasz kilka razy jaśniejsze chwile przytomności, ale w tych chwilach zaleawie zdołał wyrzec kilka słów do obecnych.

Między obecnymi był także pan Bonawentura. Nie odstępował on łóżka chorego, bo był przekonany że w panu Izajaszu traci swego sprzymierzeńca.

Pan Bonawentura miał wszystkie papiery wartościowe pana Izajasza u siebie. Obawiano się, że pan Izajasz, również jak i św. p. Sebastyan z obawy taks rządowych, nie zrobił żadnego testamentu.

Zdaje się, że ta myśl ciążyła także na bezprzytomnym chorym. Ile razy pan Bonawentura o pieniądzech wspomniał, chory podnosił zaciśniętą pięść do góry, jakby się chciał od czegoś bronić.

Gesta te powtarzały się często i wszyscy obecni widzieli to.

Raz nawet otworzył pan Izajasz oczy, sięgnął po rękę pana Bonawentury i konwuisyjnie wyrzekł:

— Pieniądze... pieniądze... nie moje pieniądze!...

Potem wskazał na biurko, w którym znaleziono dokładny spis tych pieniędzy.

Ostatnich słów pana Izajasza nie wzięto na seryo.

Często bowiem zwykł się być z tem odzywać, że pieniądze nie są jego. A mówił tak do tych, którzy od niego pożyczyć chcieli. Brano więc to za rodzaj obawy, aby go nie zmuszano do pożyczki.

Na wieść o zbliżającej się śmierci pana Izajasza zbiegli się wszyscy dawni jego sąsiedzi. Jednych przypuszczono, drugim wstępu wzbroniono.

Pani Oliwia, jako dama opieki i miłosierdzia, była także i cucila zapadającą w mdłości panią Izajaszową.

Lulu w salonie pocieszał płaczącą Elżusię, trzymając ją za drobną rączkę, która była w tej chwili bezwładną i pozwoliła z sobą robić, co się mu podobało.

Lulu ścisnął więc tę rączkę, aby przez to nie dać zemdlec bolejącej srogo Elżusi.

Przyszła także senatorowa i Floryan, ale pani Izajaszowa kazała przeprosić.

Elżusia słyszała to, ale nic na to nie odpowiedziała.

XXVII.

Pan Izasz miał pogrzeb wspaniały. W angielskiej karecie pana Wita, wiozła pani marszałkowa panią Izajaszową i Elżusię, które z wielkiej boleści piechotą za trumną iść nie mogły. Zato w niejakiem oddaleniu szedł Lulu z panem Witem i miał głowę ku ziemi spuszczoną, jakby go gniótł smutek nieutulony.

Pan Bonawentura z rybakim Tomaszem szli zaraz za trumną i widać było na ich twarzach żal szczery za nieboszczykiem.

Przesunęli się także na chwilę z ukrytymi papie

rosikami dawni znajomi a dzisiaj abszytowani: literat, artysta i poeta dworu niegdyś podwalskiego. Śmieli się i coś dowcipnego sobie do ucha mówili.

Nazajutrz kuryer wydrukował długi nekrolog, sławiąc gościnność św. p. Izajasza, a utyskując między wierszami na tych, co pozostali i innemi od nieboszczyka poszli drogami.

Po pogrzebie wzięła pani Oliwia Elżusię do siebie, aby się trochę rozerwała. Pani Sydonia zaś zakwaterowała się na Podwał i aby pani Izajaszową czarnej melancholii nie dostała, obiecywała jej, że za mąż wyjdzie.

b I po dwóch tygodniach wszystko jakoś ułożyło się po tej katastrofie do dawnego trybu życia z wyjątkiem, że głośnych zebrań nie było i nie tańczono.

Zato były ciche, familijne wieczorki u pani Oliwii a pani Izajaszową z płaczem opowiadała sąsiadkom swoim, że tylko jedno ma przyjaciółkę na świecie a nią jest hrabina Oliwia.

Elżusia po śmierci ojca spoważniała trochę. Lulu także wyglądał poważniej, tylko pan Wit zatrzymał dawny swój humor i z galanterią kawalera z czasów Ludwika XIV bawił Elżusię różnemi sposobami.

Pan Bonawentura zrazu był srodze strapiony. Po kilku dniach jednak przekonał się, że właściwie jego sytuacja teraz poprawiła się.

Za życia pana Izajasza stały jego interesa jak najgorzej. Miał do walczenia z literatem, poetą i artystą, a była to walka gigantyczna. Potrzeba było ich młodość, dowcip i odwagę czemś innem zastąpić. Grał więc z Elżusią na basetli i czekanie, opowiadał jej o operacjach bankowych i o sposobach podwojenia wkrótce miliona.

Zaledwo jako tako zdołał zbliżyć się do Elżusi,

już nowy zastęp wystąpił przeciw niemu. Pan Bonawentura podnawiał w tym celu dawne swoje stosunki i na salonach wielkiego świata był znowu obok Elzusi.

Tu mu szło bardzo trudno. Lulu i inna młodzież wielkoświatowa miała nad nim widoczną przewagę. Wziął się i tutaj do basetli i czekanu, ale już nie sprawiał takiego efektu jak na Podwalu.

Były chwile, w których w tak fatalny wpadał humor, że stary Józef po dwudziestoletniej służbie już kilka razy zabierał się do ucieczki. Teraz jednak zabłysła mu nowa nadzieja. Miał u siebie cały ruchomy majątek po św. p. Izajasz; pani Izajaszowa widząc w nim przyjaciela domu, powierzyła mu nadal te pieniądze i z tego powodu związał się między nim a domem na Podwalu bardzo ścisły, rodzinny prawie stosunek.

Pan Bonawentura był w tym domu alfą i omegą. We wszystkim odnoszono się do pana Bonawentury. On był faktycznym opiekunem pozostałych. Elżusia nawet raz powiedziała mu ze łzami, że ją bardzo zmartwił, nie przyszedłszy wczoraj, bo po śmierci ojca widzi w nim jedyne z pozostałych dawnych przyjaciół domu.

Pan Bonawentura postanowił więc skorzystać z dzisiejszego swego stanowiska. Zdawało mu się że rozsądną rozmową pozyska najprzód przyzwolenie matki, a potem za jej pomocą uda mu się odwrócić Elzusię od niebezpiecznych błyskotek wielkiego świata, które jej nieszczęściem zagrażały i powoli jej serce przychylić ku sobie.

Do tego ważnego kroku przygotował się należycie. Do północy grał w domu na czekanie, a od północy do drugiej wybierał najrzewniejsze tony z basetli.

Wstał rano, ubrał się z całą systematycznością starego kawalera i wyszedł na ulicę Smolną, aby świeżego powietrza zaczerpnąć.

Po śniadaniu wypalił cygaro jakie miał najlepsze i koło południa udał się na Podwal.

Elżusia nie była jeszcze ubrana, przyjęła go sama pani Izajaszową.

Pani Izajaszową wyglądała dzisiaj lepiej aniżeli kiedyindziej. Zmartwienia ostatnich tygodni odjęły jej nieco tuszy.

Twarz jej przybladła, a kolor żalobny podwyższył białość jej lic.

W ostatnich dniach dużo nagadała jej pani Sydonia o powtórnem zamążpójściu, jeżeli nie z miłości to z potrzeby jakiej takiej męskiej opieki nad domem i majątkiem. Wspomniała także kilka razy o panu Bonawenturze, który jakby stworzony był na jej męża.

Pani Izajaszową brała za żart te słowa przyjaciółki, twierdziła że kobieta po czterdziestu latach za mąż iść nie powinna, mimo to rzucona myśl jak upor czywy komar brzęczała jej czasem koło ucha, chociaż ją od siebie odpędzała.

Pan Bonawentura natrafił właśnie na taką chwilę brzęczenia. Jego niezwykła wizyta, strój uroczysty i twarz niecodzienna poruszyły dziwne myśli w głowie pani Izajaszowej.

— Jakże się masz, panie naczelniku, powitała go zaraz przed progiem, jakże wdzięczną jestem, że nie zapominasz o domu, w którym pozostała biedna sierota!... Ach, Elżusia to istna sierota, dodała po chwili, wyprowadzając córkę na pierwszy plan.

Pan Bonawentura wróżył sobie wiele dobrego z tego dobrego początku.

— Sierota, odpowiedział z namaszczeniem, siero

ta miała zawsze dla mnie urok nieodparty! Sierota to niby anioł a niby człowiek, którego sam Bóg prowadzi za rękę, aby po cierniach ziemskiej pielgrzymki nie rozranił sobie nóg swoich! Pani Izajaszowa westchnęła. Po chwili rzekła: — Już to grzesznie znowu tylko na Boga się spuszczać! Opatrzność Boska prowadzi nas wszystkich, ale dla sieroty dobrze jest, jeśli i człowiek jaki dobry weźmie ją za rękę! Widzialny towarzysz życia... — Otoż kubek w kubek moje zdanie, pani dobrodziejko, przerwał uradowany pan Bonawentura, podgarniając czuprynę — właśnie to samo powiedzieć chciałem! Dla sieroty potrzebny jest towarzysz rozsądny, wytrawny, nie młodzik ani wiercipięta, słowem człowiek z doświadczeniem i należyłą nauką. Wtedy bowiem tylko jest małżeństwo szczęśliwe, jeśli w domu jest ktoś, który na pewnych, niewzruszonych zasadach stoi! — To prawda co pan naczelnik mówisz. Gdyby Elżusia miała... — Gdyby panna Elżbieta miała tyle rozsądku, o czym bynajmniej nie wątpię, i zamiast chwycić jakiego łapigrosza, zwróciła złote serduszko swoje tam, gdzie pewien rozum, statek i powaga... — Elżusia ma rozumek swój własny! Ona wie dobrze, że te wszystkie czułości młodych fircyków... — Tak, tak, młodych fircyków... to do niczego! — Bywał tu ich legion cały i cóż z tąd? — Prawda, prawda, legiony były i nic z tąd! — Ja, z mojej strony, byłabym zawsze za człowiekiem poważnym, chociażby niebardzo młodym... — Ach, pani dobrodziejka moje myśli odgaduje!

— Chociażby był nie bardzo młody, ale zato żeby pewne stanowisko miał między ludźmi. Tak, tak, stanowisko! powtórzył pan Bonawentura i podniósł się z duma na palcach do góry. — Bo widzisz pan, niczem majątek, jeśli niema s stanowiska odpowiedniego! — Prawda, stanowisko, dobrodziejko! — Wtedy przecież jest i powaga w domu i opieka. — Powaga i opieka! — A nawet w interesach pieniężnych, których lekceważyć nie można. — O broń Boże! Tych interesów nigdy lekceważyć nie można! — Ale z drugiej strony myślę sobie, czy mógłby się znaleźć taki człowiek, któryby dla nas mógł się poświęcić? — O mógłby się znaleźć... ja sam nawet znam takiego!., — Czy pan żartujesz, panie naczelniku... czy prawdę mówisz? — Prawdę mówię, prawdę, szczerą prawdę, jak mi Bóg miły! Pani Izajaszową spuściła oczy i milczała chwilę. — Już to prawda, czasami dziwne przychodzą mi myśli do głowy, rzekła po chwili zamyślenia. — Czy o takim człowieku?.. — O takim człowieku?... może tak, a może i nie! — A ja pani dobrodziejce powiadam, że myśli o takim człowieku są wyborne, bardzo dobre... a nawet i panna Elżbieta, gdy się dobrze nad tem zastanowi... — Ach Elżusia kocha mnie i co jabyim zrobić mogła, uważałaby za dobre i stosowne.

- W słowach pani widzę tyle nadziei, że mógłbym się nawet odważyć...
- Nie trzeba tego teraz domawiać.
- Czy sądzi pani, że czas...
- Ja nic nie sądzę, panie naczelniku! Pan charytasz mnie za słowa... a ja... ja jestem, sama nie wiem dlaczego, tak roztargnioną...
- Jest to zawsze dowód nieobojętny nazwany.
- Pan jesteś dzisiaj nie miłosierny!
- Pozwoli pani, że będę jeszcze niemilosierniejszy. Ja nie mogę dłużej ukrywać w sobie...
- Zlituj się pan, coby na to ludzie powiedzieli?
- Czyżby to było tak dziwne?
- Przecież jeszcze cały rok żałoby....
- To nic... możnaby coś zaczekać...
- Nie, to być w żaden sposób nie może!., a przynajmniej nie tak prędko, nie tak zaraz.
- Pani dobrodziejko! Zlituj się, ja w tej niepewności dłużej nie wytrzymam.
- Panie Bonawenturo!

Dwa te słowa były wymówione z taką słodyczą, takie spojrzenie im towarzyszyło, że pan Bonawentura chwycił za rękę panią Izajaszową i z należytym łoskotem ukląkł przed nią, wybuchając głośnym płaczem.

Pani Izajaszowa uczuła w tej chwili że jest słabą kobietą, że na łzy cudze patrzeć obojętnie nie może.

Położyła jedną rękę na peruce pana Bonawentury, a drugą wzięła go za ramię, aby go podnieść.

— Przysięgam ci, matko, zawołał w tej chwili patetycznie pan Bonawentura, że Elżusi do śmierci kochać nie przestanę!...

Ręka pani Izajaszowej zsunęła się po peruce kłęczącego kawalera, zbakierowawszy ją nieco.

— Elżusiu kochać do śmierci, powtórzyła głosem, w którym odbiło się najwyższe zdziwienie.

— Tak jest, szlochął pan Bonawentura, będę mężem dla niej, jakiego drugiego w całym świecie nie będzie! Będę ją na rękach nosił.

Pani Izajaszową odetchnęła ciężko, jakby powietrza jej brakowało. Oczy jej zaiskrzyły się blaskiem złowrogim.

— Mężem Elżusi?... Czyś pan oszalał? Co pan bredzisz!

— Tak jest, mężem Elżusi! Od pół roku prawie noszę się z moją miłością dla niej! Bywały chwile, w których bywałem blizkim rozpaczki! Osobliwie ten poeta i artysta wleli mi dobrze sadła za skórę. Potem szubrawiec ten, tak zwany Lulu....

— Co pan pleciesz. Gadasz pan od rzeczy!.. Czyś pan zwaryował!... Z Elżusia się żenić!

— Wszak sama pani ośmieliłaś mnie dobrocią swoją! Myślałem.....

Pani Izajaszową zacisnęła zęby. Zbladła nagle i postarzała się.

— Pan zapominasz, krzyknęła przeraźliwie, że mógłbyś być dziadkiem Elżusi.

Pan Bonawentura zerwał się na nogi. Nazwać go starym przy młodej jego wyobraźni, było shańbić go.

— Zkądże pani tak nagle ton zmienia do mnie? zapytał z butną postawą.

— Mówię jak do człowieka, który nagle ogłupiał.

— Jak możesz pani w ten sposób mnie hańbić!

— Pan shańbiłeś swemi zamysłami dom mój!

- Czy dlatego że się zniżyłem do was?
— Radzę panu wyjść jak najprędzej!
— Może żywiłaś pani nadzieję, że się z panią ożenie? cha cha cha!
— Precz ztąd, stary grzybie!

Słowa te wymówione były z takim akcentem, że pan Bonawentura uznał za stosowne wyjść jak najprędzej na schody. Za nim wyszło jeszcze kilkanaście dosadnych słów zranionej w najdrażliwszych uczuciach swoich kobiety.

Gdy pana Bonawentury już w pokojach nie było, wybuchnęła pani Izajaszową głośnym płaczem, rzuciwszy się na fotel.

Zkąd ten płacz pochodzi i jakie były jego powody—trudno dociec. Ludzie płaczą czasami z wielkiego gniewu, z wielkiej złości lub z niezmiernej niedoli. Co znaczyły łzy pani Izajaszowej? Dlaczego właśnie w tej chwili dopiero płynęły?

Być może że w tej chwili przedstawił jej się przed oczy smutny obraz osierocenia? Myślała że jednego człowieka zostawił jej nieodżałowany nieboszczyk, któremu we wszystkim zaufać będzie mogła, a tym czasem człowiek ten żywił w swoim sercu tak niegodziwe zamiary względem jej córki!...

Być może że takie myśli, a może i inne rozrzewniły ją w tej chwili i wycisnęły z serca obfite łez zdroje....

Elżusia słyszała głośniejsze słowa matki i czempredzey z drugiego piętra zeszła na pierwsze.

- Cóż to się stało, mameczko? zapytała zadziwiona, widząc matkę płacząc
— Wyobraź sobie, łkała matka, ten stary grzyb, ten Bonawentura śmiał... śmiał oświadczyć się....

— O rękę mameczki?

— Gdzie tam! O twoje rękę!

Elżusi uderzyła krew do głowy. Poczzerwieniała i pobladła nagle.

— Zwaryował! wyszeptwała zcicha, bo łzy cisnęły się jej do oczu.

Uważała to przy skrytych marzeniach dzisiejszych i powodzeniach swoich za coś bardzo bolesnego.

Było to dzisiaj dla niej coś tak rażącego, że miała nawet wielką ochotę zemdleć.

W tej chwili otworzyły się drzwi i w sutej liberyi lokaj z prześlicznym bukietem wszedł do pokoju.

— Pan hrabia Ludwik Ostroga, ozwał się, zasyła dzień dobry i prosi o przyjęcie tego bukietu pannę Elżbietę.

Pani Izajaszowa przestała nagle płakać, Elżusia z twarzą uśmiechniętą wzięła bukiet.

— Proszę hrabiemu podziękować, rzekła do służącego i powiedzieć, że sama ten bukiet odebrałam.

Gdy służący odszedł, rzuciła się na fotel i rzekła do matki:

— Mameczko, stało się wielkie nieszczęście! Pan Bonawentura rzucił na mnie cień złowieszczy. Gdy

się dowiedzą że o moją rękę się starał, stracę bardzo wiele. Może się drugi i trzeci podobny jemu oświadczyć, a wtedy przepadłam!

— Cóż ci to tak bardzo szkodzić może?

— Bardzo wiele. Gdyby mi się jaki hrabia lub książę zaraz oświadczył i ja im odkosza dała, byłoby to nawet dla mnie zaszczytem. Ale taki pan Bonawentura, taki Walenty lub Michałek, to przez

oświadczenie swoje nadają pannie pewien kurs niżony.

— Prawda!

— Dlatego obawiam się ponowienia czegoś podobnego.

— Uchowaj Boże! Senatorowej wczoraj nie przyjął.

Elżusia zamilkła. Patrzyła zamyślona przed siebie.

— Gdyby p. Floryan, ozwała się po chwili, gdyby pan Floryan dowiedział się o oświadczeniu pana Bonawentury, toby tryumfował.

Tu westchnęła i oczy w ziemię spuściła. Pod oknami zaturkotała karetka. Do pokoju weszła pani Oliwia.

— Odwiedzić sieroty obowiązkiem chrześcijański, rzekła po pierwszych słowach przywitania.

— To prawda, że sierotami jesteśmy! odpowiedziała p. Izajaszowa z płaczem.

— Bóg zasmucił, Bóg pocieszy!

— Byle tylko ludzie byli lepszymi.

— Są dobrzy ludzie, ale trzeba ich umieć znaleźć, a znalazłszy ocenić.

— Dzisiaj z każdym dniem świat gorszy.

— Boleść sieroctwa mówi z pani.

— Prawda! być sierotą to okropnie!

— Dom bez opieki mężkiej ostać się nie może.

— To prawda... ale coż robić!

— Jeżeli pani pozwoli, to w obec córki zaproponuję pani taką opiekę i rękę, że będzie dobra.

— Hrabina jesteś zawsze łaskawą dla nas.

— Zdaje mi się, że pannie Elżbiecie nie tajne jest uczucie szlachetne mego kuzyna Ludwika...

Elżbieta stanęła w płomieniach.

— Znam go dobrze, sama wychowałam go, człowiek zacny, pracowity, a przede wszystkim tak Elżusia zajęty, że w tej chwili obawiam się o jego życie.

— O jego życie! krzyknęła Elżusia.

Ma właśnie odbyć pojedynek z jakimś poetą, który dawniej " państwa bywał.

— Pojedynek! młoteczko, pojedynek! wołała Elżusia, łamiąc ręce i padając w fotel.

W tej chwili otworzyły się drzwi z łoskotem. Wszedł pan Wit z małą szkatułką pod pachą.

— Już po pojedynku! zawołał. Obaj żywi i cali. Czy mogę?.....

Tu zwrócił się pan Wit do pani Oliwii.

— Nie mam jeszcze odpowiedzi, odpowiedziała marszałkowa.

— Więc zdrow i żyje! krzyknęła Elżusia i rzuciła się na szyję panu Witowi.

— Otoż jest odpowiedź! odpowiedział tenże i otworzył szkatułkę, w której błyszczwały pyszne brylanty.

I jakby już żadnej odpowiedzi nie oczekiwał, zaczął z pudełka wyjmować brylanty.

Był to prześliczny, bajecznej ceny garnitur. Naszyjnik wysadzony był dużymi brylantami z bardzo piękną, artystycznie wykończoną złotą robotą. Brożka wyobrażała amerykańskiego motyla z świecącymi skrzydłami, w których tkwiło mnóstwo brylantów. Stosowne były kolczyki i bransolety.

Pani Izajaszową przypomniawszy sobie pana Bonawenturę i oblała się rumieńcem wstydu. Elżusia zarumieniła się także i zbladła. Zdaje się, że również sobie coś przypomniawszy.

— Niech to pani przyjmie od kuzyna, ozwał się pan Wit, który od dzisiaj jest kuzynem pani....

— Co pan mówi? przestraszona zapytała Elżusia.

— Przecież słyszałaś, Elżusiu, rzekła matka, pani hrabina imieniem hrabiego Ludwika oświadcza się i prosi o twoje rękę....

— O moją rękę? powtórzyła Elżusia i nagle ścisnęło ją coś za gardło.

— O rękę i serce! dodała pani Oliwia.

— O... serce... wykrztusiła Elżusia.

W tej chwili zagrały brylanty najjaśniejszym blaskiem, a blask ich oświecił najcudowniejszy cały szereg słonecznych obrazów, który w tej chwili przemknął przed jej oczami.....

Pani Izajaszowa o mało co nie umarła z radości...

Za kilka chwil całował pan Wit drobną rączkę Elżusi, która dawszy Lulowi milion, oswobodzi go od natręctwa marnotrawnego kuzynka!...

XXVIII.

Noc, która po tym dniu nasąpiła, była dla wielu osób nocą pamiętną.

Elżusia tej nocy prawie oczu nie zmróżyła. Po gratulacjach najbliższych sąsiadek, między którymi szczególnie odznaczała się pani Sydonia, która oświadczenie hrabiego Ludwika porównywała z wielkim losem wygranej, wprawiły ją w rodzaj obłąkania tak, że w końcu sama nie wiedziała co się z nią dzieje.

Widząc około siebie tyle twarzy gorączką jakąś rozognionych, uwierzyła, że to w istocie jest los

wielki. Matka całowała ją co chwila i płakała z radości.

Po północy, gdy do swego pokoiku na spoczynek przyszła, uczuła potrzebę płaczu i płakała długo i rzewnie.

Co jej płacz oznaczał, nie wiedziała sama. Czy to była radość, czy żal za cześć, co się już traci nieodzownie, czy wreszcie obawa przed zakrytą przyszłością, której zasłona już niebawem podnieść się miała—trudno wiedzieć. " Rano wstała blada i smutna. Koło południa jednak ożywił ją ruch nadzwyczajny przed domem.

Co tylko z panią Oliwią w niejakiem pokrewieństwie, lub w dobrej zażyłości było, wszystko to pośpieszyło z wielką ostentacją na Podwał.

Cała ulica zatarasowana była powozami i karetami; Lokaje w herbowej liberyi schodzili i wychodzili po ciemnych schodach, zapowiadając wizyty gratulacyjne.

Salon pani Izajaszowej zapełniony był samymi dostojnymi gośćmi. Lulu z twarzą rozpromienioną, z olbrzymim bukietem w ręku z kwiatów egzotycznych, był jeden z pierwszych, który ucałował drobną rączkę Elżusi i mamy dobrodziejki, nie zważając na to, że ta druga rączka nie była ani mała, ani ładna.

Zdaje się, że wszystkie te wizyty były wyrachowane na efekt sceniczny. I rzeczywiście sprawiły efekt należyty na prostych ludziach nie tylko wewnątrz domu, ale nawet i w sąsiedztwie. Tu i owdzie wychylały się z łufcików głowy sąsiadów i sąsiadek mimo chłodnego powietrza i widać było po oczach patrzących, że patrzyli z pewną zazdrością tak wielkiego szczęścia.

Lulu tę noc po oświadczeniu swoim spędził także w sposób dosyć pamiętny.

U swojej przyjaciółki „Karolci” dał dla kilku najbliższych swoich znajomych wesołą herbatkę, na którą także dla urozmaicenia przyszły dwie kapłanki choreografii niższego rzędu.

„Karolcia która obok wdzięków swoich była dziewczyną praktyczną, cieszyła się niewymownie z powodzenia Lulu, który z posagu przyszłej żony obiecał jej nająć okazalsze pomieszkanie i większe dla niej ponosić wydatki. Radość jej po kilku kieliszkach szampana doszła do pewnego stopnia ekstazy, wśród której opierając piękną główkę swoje o ramię Lulu, zapytała go z figlarnym uśmieszkiem:

— Czy bardzo brzydka ta twoja narzeczona?... Lulu mrugnął niezrozumiale oczyma i uśmiechnął się.

Ale czym ta noc była dla pana Bonawentury?

Była ona dla niego pamiętną, bardzo pamiętną.

Pan Bonawentura miał teraz minę najszczęśliwszego człowieka pod słońcem.

Zaraz po niefortunnej oświadczeniu wybiegł za miasto i biegł jak tur dziki roztrącając ludzi na wszystkie strony.

Po kilku godzinach takiego biegu, przeszedłszy dwa razy przestrzeń między rogatkami Wolską i Czerniakowską, wpadł do cukierni Loursa i zjadł pięć porcyj lodów, wypiłszy do tego dziesięć szklanek wody.

Śród tego chłodzenia się zasłyszał rozmowę przy drugim stole, że Lulu oświadczył się i jest przyjęty.

To zelektryzowało znowu jego nogi, wziął kape

lusz i w drugim kierunku od Mokotowa do Pragi przeszedł znowu dwa razy całą Warszawę.

Już był dobry wieczór gdy zdążył do domu.

Józef, jak zwykle, chciał mu kilka anegdotek wśród smutnej katastrofy wymyślonych opowieści, ale pan Bonawentura ofuknął go i wszedł do swego pokoju. Józef zasmucił się.

Za chwilę zaczął grać pan Bonawentura na bassetli.

Grał najprzód Elegię Ernsta, a potem marsz żałobny Chopina i zakończył arją z Trubadura.

Grał nader smutno i rzewnie.

Ludzie przechodzący stawali przed oknami i słuchali długo, długo czystej, rzewnej gry, gry prawdziwie mistrzowskiej.

Był to śpiew łabędzi pana Bonawentury....

Po niejakiem czasie ustała bassetla, a cicho i płacząco ozwały się tony czekana.

Na czekanie grał Szuberta: „pieśń bez słów” i Szumana: „Płakał we śnie”...

Długo i długo rozchodziły się wśród turkotu powozów płaczące tony czekanu... Wreszcie zaczęła głucho głucho ulica, jedna latarnia po drugiej gasła jak gwiazda spadająca a strop nieba stał się coraz jaśniejszym w miarę, jak światła ziemskie przygasaly....

A na tym stroju ciemnoszafirowym wypływały białe chmurki, takich samych kształtów jak ongi gdy Idalia konała.... Pan Bonawentura przestał grać i wyjrzał na niebo.

Jedna z tych chmurki białych, tak samo jak ongi, oderwała się od swojej gromadki i chciała chyżej od niej po szafirowem polu przebiec.. Pochwycił ją sarny wiatr północny, powydzierał z jej głowy srebr

ne włosy, podał całą na sztuki i na kraniec widnokregu rzucił...

Pan Bonawentura patrzył na ten obłoczek i wzdychał.

Cóż on widział w nim dzisiaj?...

Potem odszedł od okna i zawołał na Józefa.

— Rozpal ogień w kominku! rzekł do niego głosem ochrzypłym.

Józef przestraszył się teraz swego pana.

Miał on głowę łysą, świecąca. Peruka czarna leżała na podłodze zgnieciona i potargana. Pasemka siwych włosów sterczyły po za oczyma jak kolce u jeża. Twarz pana Bonawentury była starą, mocno starą.

— Na co ognia na kominku? zapytał zadziwiony Józef, już dawno po północy, a w pokoju przecież nie zimno.

— Rozpal ogień, wołał pan Bonawentura, wyprawimy pogrzeb, wspaniały pogrzeb!

— Pogrzeb?... A gdzie nieboszczyk?

— Czy go nie widzisz?... Człowiek żyje dotąd póki marzyć, póki do jakiego celu dążyć może. Potem umiera, choćby był czerwony jak rydz, gruby jak beczka.

— Zlituj się pan, co panu do głowy przychodzi!... Idalia już dawno umarła.

— Dzisiaj umarła druga Idalia!... Widzisz te rozpierzchłą chmurkę na niebie?... To druga Idalia!

Józef przeżegnał się.

— Rozpal ogień... rozpal.... bo mi zimno.

— Jeżeli pan tylko chcesz się rozgrzać....

Józef przyniósł drzewa i zaczął rozpalać. Pan Bonawentura patrzył rozgorączkowanym okiem na pryskające iskry i błękitny płomyk siarki....

Za kilka chwil czerwony płomień buchał w kominku.

— A teraz będzie pogrzeb! zawołał pan Bonawentura.

— Pogrzeb?

— Pogrzeb tego wszystkiego, co było we mnie lepszego, czem żyłem lat kilkadziesiąt, czem do serc ludzkich przemawiałem i czem skarżyłem się z cier pień moich, nikomu niewiadomych!....

— Zlituj się pan, co pan mówisz!

— Wszystko to pogrzebię teraz i kamień kamieniem przywalę, aby nie zmartwychwstało!... Jestem już starym, bardzo starym człowiekiem!...

— Przecież ja o dwadzieścia lat starszy...

— Co ty tam pleciesz! Tyś jeszcze młody jak dziecko! Gdy masz smaczne kluski lub kapustę z wieprzowiną, to jesteś szczęśliwy!... Dla mnie już nic niema!... Ja już jestem stary!... Precz z tem, co nam młodość przypomina i co nas czyni młodym! Pogrzebać, pogrzebać trzeba to na zawsze!...

— Cóż pan chcesz pogrzebać?

— Podaj.... basetłę!

— Basetłę?

— Rozłup ją pierwiej na kilka kawałków!

Józef już kilka razy nosił się z tą myślą. Usłyszawszy to, stary nie namyślał się długo, chwycił za łabędzią szyję instrumentu, któremu wszystkie dziwactwa swego pana przypisywał, i jednym zamachem rozłamał na kilka części. Dzieło włoskiego mistrza jęko w rękach prostego człowieka, który jak wandal cieszył się, że może zniszczyć to, na co wysiliła się sztuka i umiejętność.

— A teraz rzuć w ogień! wyksztusił pan Bonawentura, bo skrzyp drzewa ścisnął go za gardło. Szczątki basetfi leżały w ogniu....

Pan Bonawentura siadł na krześle i przypatrywał się dzikim wzrokiem, płomieniom.

Najpierw zajęły się struny.

Struny pierwsze, struny, po których tyle tajemnych marzeń przesunęło się, skórczyły się i zwinęły w kłębek, jakby od bólu wielkiego....

— Patrz! zawołał pan Bonawentura, to rezultat naszego całego życia. Ból i kara, śmierć!...

Struny zwęgliły i rozsypały się. — Prochem jesteś i w proch się obrócisz! szepnął z cicha.

Teraz zajęło się; drzewo.

— Ciało już rozpadło się, teraz próchnieją kości! mówił znowu do siebie ponurym głosem.

Suche stuletnie drzewo spopielalo.

— Teraz podaj.... czekan! zawołał ponuro pan Bonawentura.

— Czekan?..... Czekana szkoda! odpowiedział Józef.

— Podaj czekan!

Józef podał nieszczęśliwą ofiarę.

Pan Bonawentura wziął go do ręki i jak kawał prostego drzewa rzucił do kominka.

Twardy heban nie tak prędko się zajął. Wprzód zaczął pękać i łupać się.

— Patrz, mówił pan Bonawentura, jak to drzewo pęka i łupie się. To tak jak człowiek twardego charakteru.....

Wreszcie bez widocznego płomienia spalił się i spopielal ukochany niegdyś instrument, który przyspieszył bicie tylu młodych serc!..

Gdy ostatnia iskra uleciała do góry, wstał pan Bonawentura i rzewnym głosem zaśpiewał: Requiem aeternam!..

Był to ostatni śpiew jego.

Potem rzucił się w całym ubraniu na łóżko i jak człowiek nagle pozbawiony zmysłów, zaczął głośno chrapać.

Józef stał nad nim czas niejaki. Widząc jednak że normalnie oddycha i że to są prawdziwe symptomata snu głębokiego, zagaszył świecę i wyszedł.

Pan Bonawentura tymczasem, jak Napoleon po wielkiej bitwie, spał dwanaście godzin, to jest do czwartej po południu!

O tej godzinie przebudził się, alerzebudził jakoś zupełnie innym człowiekiem. Perukę kopnął, aż pod komodę poleciała, ubrał się w stary, wyszarzały surdut, którego już oddawna nie nosił. Wyglądał starym, bardzo starym.

— Wszystko co było szlachetnym i harmonijnym, już za mną! rzekł do siebie chodząc po pokoju. Jestem starym skrzypiącym kołem. Radbym zaskrzypieć przeraźliwie i przestraszyć kogoś!.. Chciałbym się zemścić!

Tu zaczął znowu chodzić po pokoju.

— Tak, zemścić się! Mówią, że zemsta jest słodka. Dla mnie niema już żadnej słodyczy chyba ta!..

Znowu przeszedł się kilka razy.

— Ależ nie. Zemsta, to zawsze rzecz brzydka!.. Nie, ja nie chcę zemsty... ja chcę ratować drugich... tak, tak, ratować drugich. To prawdziwe słowo i szlachetne!..

Po niejakiem pauzie mówił znowu do siebie:

— Przecież nawet mam obowiązki do tego.. A zresztą przecież nieboszczyk Izajasz, wyraźnie...

wyraźnie z tem się odezwał, że to... to... nie jego pieniądze!..

Tu zatrzymał się pan Bonawentura a twarz jego rozpromieniła się.

— Tak, to... nie jego pieniądze!.. Powiedział wyraźnie, a reszta, reszta się znajdzie!.. Przy śmierci nawet słyszeli świadkowie... a pan Izajasz od czasu tych pieniędzy był smutny i przybity... tak, to nie jego pieniądze!..

Zaśmiał się przy tych słowach i poszedł do biurka, w którym leżały pieniądze św. p. Izajasza.

— Pieniądze te po wczorajszej katastrofie zapewne trzeba będzie komuś innemu oddać...

Pan Bonawentura zaczął je przeglądać.

Były między niemi listy św. p. Sebastjana i różne notatki pana Izajasza.

Bonawentura czytał i przewracał, przewracał i czytał.

Wreszcie wziął do ręki jakiś świstek.... czytał go długo.... długo.... Potem wstał i rzekł do Józefa:

— Józefie! Chcę się trochę rozerwać i przewietrzyć. Wyjadę na kilka dni. Jeśli kto do mnie przyjdzie, to powiedz żem chory.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór wziął pan Bonawentura torbę podróżną do ręki i wyszedł z domu.

Gdzie pojechał—nawet Józef nie wiedział.

XXIX.

Ta sama noc, w której Elżusia śmiała się i płakała, w której pan Bonawentura spalił basetkę i czekan, była także i na Mostowej ulicy pamiętną.

Nad wieczorem bowiem nadeszła tam wieść przez Janka, że panna Elżbieta już po słowie z hrabią. Senatorowa spojrzała z niepokojem na Floryana, który co tylko wstał od pracy.

— Słyszałeś, Floryanie? rzekła matka.

— To co Anusia mówiła? zapytał tenże.

— Że panna Elżbieta za mąż idzie.

— Słyszałem.

— A wiesz za kogo?

— Wiem!... Dawno o tem wiedziałem.

— Jakto wiedziałeś?

— Wnosiłem, że na tem skończyć się musi.

— Ja przynajmniej tego nie przypuszczałam. Floryan zamyślił się.

— Stało się! rzekła dalej, przynajmniej mamy fakt dokonany, a to czasem lepsze, niż krucha nadzieja, która nam pokoju nie daje!

— Zkądże matka wie o tem, że miałem pewną nadzieję?

— Jestem od tego matką. Twarz Floryana zarumieniła się.

— Nic na tem nie straciłeś.

— Co nie było mojem, tego tracić nie mogę.

— Masz słuszność! Elżusia nie mogła nigdy być twoją. Warunki jej życia zupełnie inne od naszych! Mybyśmy wzajem się nie rozumieli!

Floryan na to nic nie odpowiedział.

— Zważ tylko, mój Floryanie, czy jej miłość mogłaby się wznieść do tej wysokości, żeby tobie nigdy tego uczuć nie dała, że ci wniosła znaczny posag?..

Floryan patrzył w ziemię zamyślony.

— Wierzę, mówiła dalej senatorowa, że bolałeś przytem nieco.

Floryan westchnął.

— Ale ból ten chwilowy nie był bez korzyści dla ciebie. Widziałam jak z nim walczyłeś. Zajęteś się pracą, umysłową, jednym z najskuteczniejszych lekarstw, jakimi taki ból się leczy!... Wypracowałeś dziełko o opiece małoletnich, które zwróciło uwagę nie tylko twoich przełożonych, ale nawet i literackiej przysporzyło ci sławy!... Niech ci będzie nagrodą za utracone marzenia! W tej chwili zastukał ktoś do drzwi. Do pokoju weszła Bronisława. Ozwała się zaraz od progu:

— Śpieszyłam się, aby za widna do pani wpaść z nowiną, ale na Podwalu już mnie zmrok schwytał.

Upadła jak nieżywa na krzesło i zaczęła pełną piersią oddychać.

Twarz miała zarumienioną, oczy błyszczące. Pulsa jej były gwałtownie, tak że każde uderzenie prawie słychać było.

— Dlaczegoż, moje dziecko, tak prędko biegasz? rzekła senatorowa i przesunęła rękę po jej czole.

Bronisława pocałowała tę rękę i zostawiła na niej kilka kropli łez.

— Ja muszę przecież prędko chodzić, rzekła, powstrzymując łzy, bo jedna godzina lekcji łączy się z drugą.

Floryan patrzył na jej twarz piękną, pełną wyższego wyrazu.

— Ci zresztą ludzie są tak niegodziwi! mówiła dalej Bronisława, zasłaniając twarz rękami.

— Czy ci kto co złego wyrządził?

— Gdym przechodziła przez Podwał, właśnie kilku mężczyzn wyszło z domu państwa Izajaszów. Między nimi z głosu poznałam pana Ludwika, czyli

jak go nazywają Lula, który wychodził... Czy wiesz pani, że już jest po słowie z Elżusią?

— Wiemy!

Bronisława nieznacznie spojrzała na Floryana. Floryan był zamyślony i patrzył w tej chwili w ziemię.

— Otoż przed samym domem narzeczonej swojej, mówiła dalej Bronisława, ozwał się do mnie pan Lulu, nie poznawszy mnie, w sposób tak nieprzyzwoity, że od tego domu aż do pani przez całą drogę płakałam!

— Biednaś pani! ozwał się Floryan. Bronisława czuła w tej chwili obfity źródł łez pod powieką, ale zacisnęła zęby i nie puściła ich.

— Sierocie zawsze źle na świecie, mówiła senatorowa, ale z tego com słyszała, to ręcę ci że jesteś szczęśliwszą w tej chwili od Elżusi. To ma być człowiek pozbawiony wszelkich szlachetniejszych uczuć, który już przeżył wszystkie fale życia i zatrzymał tylko jedną namiętność—dla pieniędzy, jako środka wszelkiej wyuzdanej rozpusty.

— Elżusia może go na dobrą drogę naprowadzić, ozwał się Floryan.

— Czyni ci to zaszczyt że w ten sposób mówisz. Widać, że nie umiesz odplacać się światu zółcią. Ale ja, jako kobieta, powiem ci że Elżusia nietylko go nie naprawi, ale nawet pomoże mu do coraz większego upadku. Niema bowiem nic gorszego w świecie, jak fałszywy apetyt. Elżusi w głowie się przewróciło. Urodzona pod ciasnym horyzontem, straciła teraz równowagę zmysłów, gdy ją przypadek na większą arenę życia rzucił. Ona teraz będzie go popychać do coraz większego zbytku, bo nie mając starożytnych tradycji w rodzie, ani szlachetniej

szego stanowiska pracy, tylko w zbytku będzie widziała blask arystokracji.

— Już to od czasu wejścia w nową sferę życia, ozwała się Bronisława, zmieniła się Elżusia do niepoznania. Zdaje się, że zrazu nie miała tego na celu. Był to może kaprys, lub ile obliczony manewr... Czy pan nie jesteś tego zdania, panie Floryanie?

Floryan spotkał się z wejrzeniem Bronisławy i lekko zarumienił się.

— Być może, odparł, że miała w tem jakie wyrachowanie tylko z początku, ale żywiol, któremu na chwilę się oddała, pochwyił ją i uniósł na pełne morze.

— Zkąd niema powrotu, myślisz pan.

— Tak, zdaje mi się, zkąd nie ma powrotu! Oczy Bronisławy zaszklily się. Floryan spojrzal na nią i zamyślił się.

— Są ludzie, ozwał się po chwili, którzy żyją samymi sobą. Jest to prawdziwe szczęście. Wypełniają oni swoje obowiązki, jak daleko, nie wychodząc ze swego stanowiska, osiągnąć mogą. Piątego to mówi chińskie i przysłowie, że ten jest szczęśliwy, kto najmniej miejsc, na świecie najmuje. Inni zaś ludzie żyją tylko tem; co ich szeroko roztoczyć może. Do tego szerokiego, że tak powiem, roztoczenia się potrzeba pieniędzy. Za pieniądze sprawiają sobie szeroką atmosferę. Budują pałace, mają wielkie domy, liczną służbę, okazałe ekipaże i drogo opłaconą sławę istnienia swego. Oni sami, jako ludzie, są niczem, żyją tylko tą szeroką atmosferą, oddychają piersiami sług zapłaconych, angielskich i arabskich koni i całym tuzinem magazynów, które im towarów dostarczają.

— Jak to pięknie pan powiedziałeś! zawołała Bronisława z rozjaśnioną twarzą.
— Zdaje mi się, że Elżusia weszła na tę drogę. Zasmakowała w szerokiej atmosferze, która imponuje prostaczkom z sąsiedztwa i czyni z niej przedmiot zazdrości dla gminu ulicznego. Pokazać się, zwrócić oczy na siebie kosztem wyrzuconych pieniędzy, to sprawia jej przyjemność. Z takiej drogi ludzie zazwyczaj nie wracają do ciaśniejszego horyzontu.
— Bardzo słusznie powiedziałeś, rzekła matka, a wyraz zadowolenia przebiegł po jej twarzy.
Długo jeszcze o tem rozmawiano w małych pokoikach ulicy Mostowej.
Bronisława zapomniała że już późna godzina, a Floryan tak był dzisiaj ożywiony rozmową, jak go dawno matka; nie widziała.
Wreszcie przypomniała sobie Bronisława biedną kalekę, którą ma w domu. Powstała szybko i chciała pożegnać senatorowę, prosząc ją o służącą.
— Już tak późno, ozwał się Floryan, sama ze służącą pani iść nie możesz. Jeśli pani pozwoli, to ja...
— Nie śmiem panatrudzić, odpowiedziała i oblała się szkarłatem.
— Idź, Floryanie, idź, ozwała się matka — sama tak daleko iść nie możesz!
Bronisława szybko ucałowała ramię senatorowej i długo trzymała twarz przy jej piersi. Nie chciała pokazać łez, które w tej chwili z oczu jej spływały.
Wnet oboje wyszli na ulicę. Służąca szła tuż za nimi. Floryan podał ramię Bronisławie. Długi czas szli oboje w Milczeniu. Przechodząc

poprzed domem na Podwalu, spojrzeli oboje mimowoli w okna rzęśisto oświetlone.
Floryan uczuł, że ręka Bronisławy jakby konwnlsyjnie zadrżała.
— Czy pani lęka się czego? zapytał Floryan.
— Nie, odpowiedziała Bronisława, ale zdawało mi się że pan się potknęłeś. Tu taki bruk niewygodny!..
Przypomniałam sobie, że na tem samem miejscu spotkałam przed trzema godzinami pana Lula.
I znowu przebiegł ją dreszcz zimny.
— Czy towarzyszka pani jest ciągle chorą?
— Ciągle.
— Sprawia to pani wielką przykrość.
— Przeciwnie, jej choroba i sieroctwo jest dla mnie źródłem mego szczęścia.
— ?ródłem szczęścia? Jak to pani rozumie?
— Każdy człowiek goni za szczęściem. Nie wszyscy jednak mogą je uchwycić, stwarzają więc sobie szczęście sztuczne.
— Nie mogę pani pojąć.
— Największym nieszczęściem dla człowieka jest, jeśli go nikt nie kocha.
— To prawda, wielka prawda.
— Jestem sierotą, nie mam ani ojca, ani matki, nikt mnie nie kocha... otoż chciałam sobie zarobić czemś na tę miłość.
— Rozumiem panią. Biedna wdowa otoczona opieką pani i wygodami życia...
— Kocha mnie jak córkę. Otoż jest cały sekret mego sztucznego szczęścia!
— I to szczęście wystarcza pani?
Bronisława potknęła się tutaj i miała dobrą sposobność nic na to pytanie nie odpowiedzieć.

Floryan nie powtórzył drugi raz tego zapytania. W milczeniu doszli do domu i pożegnali się.

W dniach następnych o niczym innym nie mówiono w mieście, jak tylko o zamążpójściu Elżusi i o ożenieniu się tak zwanego hrabiego Lulo.

Jedni mówili o tem z prostej ciekawości, inni z widoczną radością. Do tych ostatnich należeli kupcy i rzemieślnicy, którzy od pięciu lat różnych rzeczy Lulowi dostarczali na kredyt. Nietylko wieszowali mu tak wielkiego szczęścia, ale oraz ofiarowali mu nanowo zamknięty w ostatnich czasach kredyt do cyfry nieograniczonej, z czego Lulo nie zaniedbał korzystać.

Do tych którzy z tego cieszyli się, należała także i przyjaciółka „Karolciau, która już za pomocą nowo otworzonego kredytu rozszerzyła o dwa pokoje swoje dawne mieszkanie, przybrawszy do niego za parę tysięcy mebli zagranicznych. I tak, wiele, bardzo wiele ludzi było szczęśliwych.

Najszczęśliwszą z nich była pani Izajaszową, a po niej zaraz Elżusia.

Elżusia żyła teraz w ustawicznym oszołomieniu. Pani Oliwia wydawała dla niej codziennie prawie małe, wielkopostne, na pół żałobne uczyty. Na tych ucztach było wiele szumu słów francuzkich i światła ze świec stearynowych. Oczy Elżusi i uszy były w ustawicznym rozgorączkowaniu. Sama nie wiedziała kiedy czuwała, a kiedy śniła. Jak sen, jak złoty, rozkoszny sen, przebiegały chwile jej życia.

Pan Wit sadził się na różne grzeczności, o jakie dawniej go posądzić nio można było. Zdawało się

że nagle odmłodził, że wrócił do swego dawnego hulaszczego życia, że stał się napowrót rozrzutnikiem, jak to dawniej za młodych lat praktykował.

Znajomi tłumaczyli sobie to dziwne postępowanie pana Wita w sposób różny.

Jedni, którzy go bliżej znali, utrzymywali, że pan Wit chce cały swój majątek przetracić, aby sukcesorowie po nim nic nie dostali. Była w tem tajemna rozkosz skąpca, który tym sposobem chciał czyhającym na swoje śmierć spadkobiercom wyprawić niemałą niespodziankę.

Drudzy mniemali że pan Wit chciał dopomódz Lulowi do bogatego ożenienia się, aby tym sposobem uwolnić się od pewności że ten człowiek nie będzie już niepokoić go.

A byli jeszcze i tacy, którzy poprostu w dzisiejszem życiu pana Wita, na ostentacyą wyrachowanem, widzieli ponętę założoną na jakąś pannę, któraby z nim chciała przystąpić do stopni ołtarza. Jednem słowem, że pan Wit chciał się ożenić, a nie mając młodości, chciał jaką pannę olśnić bogactwem.

W tym też celu, gdzie tylko była sposobność, występował z wielką okazałością, dawał uczyty, baliki i partyjki, które bardzo wiele pieniędzy kosztowały i wiele hałasu między publiką robiły.

Dał więc i dla narzeczonej swego kuzynka kilka wieczorków cichych, które jednak kosztowniejsze były od najgłośniejszych zabaw z muzyką i tańcami.

Postarano się, że Elżusia na tych wieczorkach była królową, mimo żałoby po ojcu, która, jak się wyrażała, tylko z wierzchu do serca się cofnęła.

Piękna Niobe wcale ładnie wyglądała na tych "cztach, w ciasnej sukni z długim ogonem. Pan Wit zazwyczaj obsypywał ją na każdym ta

kim wieczorku drogiemi prezentami, a Elżusia zato, w przepelnieniu serca, pozwalała mu pieszczot stryjowskich, które czasem po za granicę statecznego stryjostwa wychodziły.

Chyżo więc i rozkosznie, pełnemi żaglami dążyła Elżusia do swego szczęścia, którego jej wiele, bardzo wiele rówieśnic zazdrościło i była już blisko, bardzo blisko portu — gdy pan Bonawentura nagle ze swojej tajemniczej wycieczki powrócił.

Pan Bonawentura miał jakiś dziwny uśmiech na twarzy, jak człowiek zupełnie z siebie zadowolony. Nawet odmłodził trochę, chociaż już nie miał na głowie czarnej peruki.

Józef ucieszył się z powrotu swego pana. Chciał z nim wesoło trochę pogawędzić, chciał mu opowiedzieć co przez te kilka tygodni widział z okna i co mu przyjaciel jego Kentara opowiadał, ale pan Bonawentura odprawił go prędko, a zamknąwszy drzwi na klucz, siadł przy biurku, na którym porozkładał różne papiery i notatki, wyjęte z torby podróżnej.

I od czasu do czasu prowadził z sobą taki monolog:

— Nie ulega żadnej wątpliwości, że te pieniądze nie były własnością pana Izajasza. Pan Izajasz za życia sam to często wypowiadał, chociaż niebardzo zrozumiale. Dowodem także tego jest, że pan Izajasz od powrotu z Gdańska zupełnie się zmienił. Był zamknięty, smutny, ponury. Walczył widocznie z czemś wewnątrz swego sumienia. Wpadł w końcu w melancholię, a nawet przy śmierci ostatniem wysileniem sił zawołał: to nie moje pieniądze! Słyszeli świadkowie i mogą przysięgnąć!.. Nawet w liście św. p. Sebastjana stoi wyraźnie: chcę powierzyć tobie

pieniądze i pewną myśl swoją. Czyż to nie dowodzi, że Izajasz miał być tylko wykonawcą pewnej myśli swego krewnego, który dalej pisze: że po to wyjechał pracować za granicę, aby ztamtąd część tych pieniędzy odebrać i krajowi powrócić, które panowie nasi tam marnotrawią!.. Nie... św. p. Sebastjan zebrał te pieniądze w jakimś celu szlachetniejszym, niżeli by je dać krewnemu, który i tak miał dla siebie wystarczający majątek. Ale jaka mogła być ta myśl? Gdzie są prawne dowody?

Pan Bonawentura wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Po chwili ozwał się znowu do siebie:

— Ależ pan Izajasz był poczciwym człowiekiem!.. Ba! poczciwość " prostych ludzi ma pewne granice. Gdyby pan Izajasz dostał do rąk sto tysięcy złotych, to możeby ich ani tknął, tylko oddał komu należało. Ale milion... milion!.. milion sprawia dreszcze, palce się kurczą i trzymają go konwulsyjnie, choćby tam sumienie Bóg wie jak krzyczało!.. Ztąd ten nagły rozstrój " Izajasza, walka wewnętrzna i śmierć. Tak, tak, pieniądze nie były jego... były własnością dobra powszechnego, ale w jaki sposób?W tem sęk!

Pan Bonawentura chodził znowu po pokoju.

— Przekonanie mam święte, ale prawnych dowodów nie mam. Pieniądze mogą przepaść w spragnionem gardle tego marnotrawcy, który Elżusie obalamucił. A więc trzeba dowodów... trzeba dowodów prawnych!

Tu zatrzymał się. Pomyślał chwilę, potem mówił znowu:

— Każdy środek, który do dobrego celu prowadzi, jest dobry. Ba, ale to niemoralnie! Pochodził trochę po pokoju.

— Inaczej nic z tego nie będzie. Pieniądze przepadną! Pochłonie je marnotrawca, a ludzkość... bo św. p. Sebastyan miał nieomylnie ludzkość na względzie, a ludzkość straciłaby na fem milion i więcej niż milion dobrych, szlachetnych owoców.

Znowu przeszedł się kilka razy.

— Czyż nie posądzonoby mnie o zemstę prywatną? mówił dalej do siebie... Nie, tej już teraz nie mam, jestem poprostu prokuratorem ludzkości, prokuratorem ludzi biednych, którym ten milion chciano wydrzeć!.... Chociaż nie małą będzie dla mnie

rozkoszą ten nagły przestрах narzeczonego!.....Nie,

prawa ludzkości wymagają tego odemnie... Kto wie, może to jedyna misya mego życia!.....

Pan Bonawentura usiadł i zadumał się.

Potem wyjął z podróźnej torby starannie zwinęty papier, rozwinął go i zaczął zwolna pisać.

Przy każdym słowie, przy każdej dużej literze zaglądał do różnych notatek i listów, które częścią z podróży przywiózł, a częścią między papierami pana Izajasza znalazł.

Gdy już pisanie skończył, posypał papier jakimś proszkiem żółtawym—potem pisał znowu dalej.

Skończywszy to wszystko, wyjął z biurka wszystkie papiery i pieniądze pana Izajasza, schował w zanadrze i wyszedł.

Za dwie godziny wrócił wesoły i rozpromieniony. Mówił wiele z Józefem, opowiadał mu że był daleko, że nawet kawałek morza widział.

Śród tego opowiadania ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł pan Wit z kuzynkiem. Z nimi wszedł także znany panu Bonawenturze regent.

— Mości naczelniku, ozwał się pan Wit, przychodzimy tutaj z pełnomocnictwem od wdowy ś. p. Iza

jasza, aby odebrać od pana "złożone " niego kapitały według znalezionych spisów....

— Kapitały? odpowiedział z dziwnym uśmiechem na twarzy pan Bonawentura. — Kapitały?... Sw. p. pan Izajasz zostawił wprawdzie " mnie milion, ale w papierach tych mieścił się także testament ś. p. Sebastjana, że te kapitały przeznaczone są na cele publiczne...

— Na cele publiczne! krzyknął pan Wit. Lulu zbladł jak trup.

Pan Bonawentura milczał chwil kilka. Z wewnętrzną rozkoszą patrzył w zbladła twarz bohatera.

— Potrzeba przecież do tego pewnych prawnych kroków, zauważył regent.

— Już poczyniłem, spokojnie odparł pan Bonawentura. Kapitały dałem w depozyt do banku, a testament znaleziony i kwity bankowe wręczyłem prokuratorowi.

— Czyby nie można wiedzieć treści tego mniemanego testamentu? zapytał po chwili powszechnej konsternacji— regent.

— I owszem, tu jest odpis tego testamentu. Regent chwycił za papier, a pan Wit i Lulu nachylili się do niego.

Testament był wprawdzie prywatnie zrobiony, ale przez dwóch świadków w Gdańsku podpisany.

Ś. p. Sebastyan, po długim wstępie o generalnym majątku społeczeństwa, postanowił kapitały swoje dać na założenie instytucji dobroczynnej, któraby zajmowała się przemiesłowem wykształceniem dzieci rodziców niegdyś bogatych, którzy rozrzutnem życiem za granicą majątki potracili....

Pan Wit rozśmiał się z ironią. Lulu nie mógł jeszcze przyjść do siebie.

— Cóż pan sądzisz o tem? zapytał po chwili regenta.

— W każdym razie sprawa bardzo zawiłana.

— Więcej nie masz pan nam nic do powiedzenia? zapytał pan Wit.

— Nic, odparł pan Bonawentura.

Wszyscy trzej wyszli, zapomniawszy nawet pożegnać się z gospodarzem.

Takiego zwrotu rzeczy żaden z nich nie spodziewał się.

Przez trzy dni mówiono w stolicy o tem wydarzeniu. Prawnicy podzielili się na dwa obozy. Jedni widzieli sprawę biednych wygraną, inni potrzebowali jeszcze różnych wyjaśnień, których tylko sam pan Bonawentura mógł udzielić. O niego opierało się teraz wiele...

Pani Izajaszową mdlała ustawicznie przez te trzy dni. Elżusia z wielkiego zmartwienia—zbrzydła.

Pod koniec trzeciego dnia otrzymała list od hrabiego Ludwika, w którym tenże odsyłał jej pierścionek i przeproszał za zawód, który również i dla niego jest niemniej bolesnym.

Po napisaniu tego listu wyjechał za granicę przed długami.

Dowiedziawszy się o tem wszystkim pan Bonawentura, uznał że teraz rzeczywiście misya jego skończona. Dalszą nawet swoje egzystencya uznał za szkodliwą. Poszedł więc do Fukiera, wypił butelkę starego węgryna i wcześniej do domu powrócił.

W domu aż do wieczora był zdrów i wesół. Opo

wiadał Józefowi różne przygody ze swego życia. Mówił mu jak pewna generałowa za nim szalała i spokoju mu nie dawała. Potem opowiadał jak razu jednego na maskaradzie intrygował go mały diablik z czerwonymi różkami i zbyt pieszczotliwie do Ucha szepnął mu: kocham, cię drogi Bonusiu, nad życie, ale ty nigdy o tem nie dowiesz się.... Tak go to oszołomiło, że przez kilka tygodni chodził jak struty i ciągle nad tajemniczym diablikiem przemyślał. w końcu był już na tropie i okazało się, że to nikt inny nie mógł być, jak tylko księżniczka Otylia, ale księżniczka już wtedy wyjechała do Włoch i od tego czasu nigdy w życiu jej nie widział...

Wiele jeszcze podobnych historij opowiadał Józefowi i zawsze dodawał: „gdy byłem młody,” czego dawniej nigdy nie robił.

Późnym wieczorem położył się do łóżka zupełnie normalnie, to jest: wypalił fajkę, wypłukał sobie usta, głowę chustką zawiązał i na prawy bok się położył.

Józef zagasiał świecę i odszedł.

Rano, gdy przyszedł, pan Bonawentura już nie żył. Tknęła go apopleksya.

XXXI.

Dom pani Izajaszowej był teraz domem prawdziwej żałoby i rozpaczy.

Zrazu nie chciano jeszcze wierzyć w ogrom nieszczęścia. Zwołano prawników i zapytano ich o radę. Sprawa była mocno powikłana. Dołączała się jeszcze i ta okoliczność, że spadek po ś. p. Sebastyanie traktowany być miał podług pruskiego prawa,

bo Sebastyan był zamieszkał w państwie pruskiem. Jakby na domiar nieszczęścia, wyniósł się pan Bonawentura milczkiem na drugi świat, nie odpowiedział na żadne z tych pytań, które senat dla niego gotował.

Potrzeba było badać, zbierać dowody i informacye—słowem z tej sprawy stał się proces długi i niefortunny.

Jakkolwiek prawnicy to i owo przyrzekali, nie wierzono im, jak przyrzeczeniom dobrze płatnego lekarza, który do ostatniej chwili utrzymuje że chory może być zdrowym.

Teraz dopiero mogła się przekonać pani Izajaszową czem dla świata była—bez miliona.

Wszystkie nowe stosunki domu, tak misternie przez hrabinę Oliwią, pozawijywane, zerwały się nagle, jak się zrywa sztuczna pajęczka tkanka, gdy wiatr przeciwny w nią dmuchnie...

Dom pani Izajaszowej osamotniał nagle. Wszyscy nowi znajomi unikali go, jak uciekają szczury ze starych komor, które grożą upadkiem....

Niepokoiony przez karety i powozy, Podwał ucichł nagle i spoważniał. Czasami tylko numerowana dorożka przetłukła się po nierównym bruku, postraszywszy trochę żerujące szczury w kanałach.

Wdowa na Podwalu wyobrażała sobie nieszczęście daleko większem, niżeli było w istocie. Stracono wprawdzie fałszywy szyk, ale pozostały jeszcze zawsze pewne warunki życia. Można się było cofnąć napowrót w dawniejszą sferę i być tem, czem się było przed milionem.

Na to potrzeba było tylko trochę hartu duszy i odwagi. Tego zaś nie miały mieszkanki domu na

Podwalu. One dla siebie widziały tylko wstyd i hańbę. A odwrót ich równałby się śmierci....

Do tego jeszcze, jakby przez wyłom ruiny, zaczęło do nich wpełzać jakieś brzydkie robactwo.

Najprzód zapukał do drzwi młody, modną perfumą obłany człowieczek, w białej kamizelce i czarnym tużurku.

— Jestem patron, rzekł do kobiet płaczących, i znany jestem z obrony śmiałych spraw kryminalnych. Zbadałem sprawę pani i widzę, że można ją wygiąć. Otoż zajmę się tą sprawą, ale zarazem proszę o rękę panny Elżbiety, którą już dawno....

Młody patron, niedokończywszy, dostał odprawę. Za nim przyszedł człowiek już niemłody z nosem czerwonym i różnemi polipami narosłym.

— Asani dobrodziejka pozwoli, że się przedstawię, rzekł przy progu zgięty we dwoje — jestem palestrant, którego boi się trybunał i senat. Sprawa

ak bursztyn czysta i upewniam panią, że za lat dwa... ale przedtem radbym mój afekt pannie Elżbiecie..

I ten, nie dokończywszy, dostał odkosza.

Nazajutrz przyszedł pewien znany w całym mieście lichwiarz. Obejrzał się po salonach, oszacował sprzęty, cmoknął językiem i rzekł:

— Gdybyś pani dobrodziejka chciała pieniędzy, to ja dam... ja dam, co pani chce... tylko zato chcę być przyjacielem w domu, chcę tu często przychodzić, a może panna Elżbieta....

Odpędził go znany żydek Goldberg, który zadyszany wpadł do pokoju.

— Mam dla pani dototy interes! Jeden już niebardzo młody generał w dymisji chciałby oglądać pannę Elżbietę...

Odpędzono i tego, a po nim wsunął się chudy drukarz, który wszystkie swoje trzcionki, walce i maszyny chciał złożyć "nóg Elżusi, byle tylko sprzedać jedne z kamienic i dług jego wekslowy zapłacić,.

Elżusia była w rozpacz.

Płakała rzewnie, gorzkiemi łzami płakała!

Spać nagle spać z tak wysoka!

Podejrzewał nawet dawnych znajomych, że naumyślnie dla jej umartwienia nasyłali jej podobnych ludzi, o których nigdy nie marzyła....

Z lepszych dawnych znajomych nikt nie przyszedł. Wiadomość o zatajeniu testamentu i przywłaszczeniu sobie pieniędzy cudzych, pieniędzy do ubogich należących, odebrała im w oczach świata wszelką cześć i szacunek.

Dawniej wzgardzili oni dawnymi znajomymi, dzisiaj ci odpłacili się jeszcze większą pogardą.

Położenie biednych kobiet było bkropne, rozpaczliwe.

Pojęła to położenie senatorowa i razu jednego rzekła do Floryana, który zamyślony chodził po pokoju:

— Możeby wypadło odwiedzić kiedy Izajaszową i nieszczęśliwą Elżusię.

— Właśnie o tem myślałem! odpowiedział Floryan.

Matka pomilczała chwilę i z uwagą spojrzała na syna.

— Czy do tej myśli nic nie dołączasz ukrytego? zapytała po chwili z badającym wejrzeniem.

Floryan rozśmiał się.

— Nic i jeszcze raz nic, kochana matko! odpowie

dział stanowczo. W pewnym względzie nie wierzę w poprawę kobiet.

— Jak to rozumiesz?

— Jeżeli kobieta jaką drogę w życiu wybiera, to wie dlaczego to robi. Bez myśli, bez żądy na tę drogę nie wchodzi.

Los niefortunny może ją z tej drogi zepchnąć—wtedy wpadnie w przepaść, ale nie wróci się.

Senatorowa zamyśliła się.

— Elżusia, mówił dalej Floryan, zbyt długo żyła wrażeniami tej sfery, z której teraz przez niefortunny przypadek jest wyrzuconą. Powrót jej do dawniejszych warunków życia jest niemożliwy, a przynajmniej wymaga wielkiego hartu duszy i wyższego wykształcenia, jakiego nie ma. W najlepszym zaś razie, taki zawrót kobiety pod skromniejszy horyzont życia nie daje gwarancji przyszłego jej szczęścia tak dla niej samej, jako też i dla jej towarzysza....

Nie wszystkie rośliny tropikowe dadzą się przenieść i aklimatyzować w strefie zimniejszej, a kobieta należy do tych, które nigdy tutaj żyć nie mogą. Zależy od tego, jak i jak długo żywiła duszę skwarem i barwami nieba równikowego, zamiast posilać ją łagodnymi, ciepłymi promieniami strefy nie tak jaskrawej, ale za to zdrowej, we wszystko bogatej....

Senatorowa myślała nad tem, co Floryan powiedział, jeszcze czas niejaki.

— Jeżeli tak myślisz, rzekła potem, to niezawadzi, abyśmy biedne kobiety odwiedzili. Nieszczęście jest zawsze nieszczęściem, chociażbyśmy i sami do tego nieszczęścia się przyczynili.

Floryan przystał na propozycją matki i oboje wyszli na ulicę.

— Przed kilkoma dniami, rzekł na ulicy Floryan do matki, nie odważyłbym się iść do nich. Były one wtedy tak wysoko, że obawiałem się ublżenia jakiego Dzisiaj przecież nie mogą już mieć tej pychy, i przyjmą nas tak, jak sobie na to zasługujemy.

— Masz słuszność, odpowiedziała senatorowa i oboje weszli teraz do sieni.

Przypadkiem stała pani Izajaszowa w oknie i widziała idących gości.

— Elżusiu, zawołała skwapliwie, senatorowa i Floryan idą tutaj!

Elżusia, chwilkę pomyślała.

— Nie, mateczko! ozwała się, ja tego nie zniosę! Prędzej umrzeć, niżeli dać innym tryumfować nad sobą! Oni tu idą, aby pastwić się nad naszym upadkiem... Nie, mateczko—ja ich widoku nie zniosę!... Gdybym była panią Ludwikową... przyjąłabym ich z całą okazałością... atak... tak... ja ich widzieć nie chcę!

Służąca otrzymała rozkaz przeproszenia gości.

XXXII.

Po pierwszej katastrofie, po następnych bolesnych drganiach, sytuacja na Podwalu poczęła się zwolna uspokajać. Nie był to jednak powrót do zdrowia, ale była martwota i bezwładność, jaka zazwyczaj po wielkich ciosach następuje.

Chmura pioruna, burza hałaśliwa i wichur złowrogi, który tumany kurzu, liści i gałęzi niósł po przestworzu, przeminęły zwolna, ale niebo nie okazało błękitnych oczu, zasunęło się całe szarą, grobową mgłą jednostajnej niepogody.

Taki stan rzeczy panował teraz na Podwalu. Pani Izajaszową opuchła z płaczu, a Elżusia zbladła i pożółkła. Żółciowe plamy wystąpiły na jej czoło i odebrały mu wdzięk spokojnej myśli. W oczach gorzał jakiś dziki płomień, który nie przyciągał, ale odpychał patrzącego.

Matka i córka siedziały teraz jak zakonnice w domu. Zdawało się im, że cały świat patrzy na nie, że cały świat o niczem innym, tylko o nich myśli.

Nie odważyły się wyjść piechotą na chodnik Podwala, po którym niegdyś w pysznych ekwipażach, jak zakłete księżniczki, przesuwały się. Nie odważyły się wyjść piechotą do kościoła św. Jana, aby się Bogu pomodlić, bo wyobrażały sobie że na idące piechotą cały ten świat palcem pokaże i zawoła: Oto idą te, co dawniej jeździły karetą!... Tak dziwne i przesądne miały o swoim nieszczęściu wyobrażenia, które było dla nich istną torturą.

Śród tej jednostajnej katuszy życia, którą sobie dobrowolnie zadawały, był przecież jeden łagodniejszy promień nieba, który czasami ich niedolę dobroczynnie oświecał.

Co drugi lub co trzeci dzień zajeżdżał przed dom na Podwalu pyszny, angielski powóz pana Wita z dwoma lokajami w galonowanej liberyi.

Wyświeżony i wyperfumowany p. Wit wchodził ze słodkim uśmiechem do salonu i bardzo czule witał się z płaczącymi kobietami.

Potem widzieli sąsiedzi, jak obydwie kobiety schodziły na chodnik, siadały do powozu i razem z panem Witem na Krakowskieprzedmieście jechały.

Były to dla nich jedyne chwile szczęścia. Z całego blasku ich nowych stosunków pozostał tylko

ten jeden promień, jakby ostatni promień zachodzącego słońca. Był on tem droższy, że był jedyny, tem piękniejszy, że był ostatni! Wszystko inne już uleciało!...

Pani Izajaszowa nie miała słów wdzięczności dla wiernego towarzysza w szczęściu i nieszczęściu, a Elżusia przyjmowała jego pieśczoły jak prawdziwie kochająca córka.

I stało się, że w sąsiedztwie o czemś nowem mówić zaczęto....

Pani Sydonia, kobieta praktyczna i światowa, przyszła raz o zmroku na Podwał, o którym to czasie zazwyczaj kobiety płakały, lub smutno w milczeniu siedziały.

Zdawało się, że pani Sydonia nie bez celu i pewnej skrytej myśli tę porę wybrała.

— Jak tu " państwa smutno teraz, jak w grobie! rzekła zaraz po przywitaniu.

— Jak w grobie! powtórzyły kamienne ściany.

— Przecież tak nadal pozostać nie może, mówiła dalej, bo to byłoby dobrowolne męczeństwo.

— Cóż robić! ozwała się pani Izajaszowa—proces o pieniądze może się lata pociągnąć, a nawet mówią wszyscy że nic z nich nie dostaniemy.

— Co to, to prawda, odrzekła pani Sydonia—mąż mój mówił z pewnym mecenasem, który twierdzi że ani nadziei niema, by wygrać.

Matka i córka westchnęły.

— Ale przecież tak pozostać nie może! mówiła dalej pani Sydonia, trzeba coś zrobić!

— Cóż chcesz, abyśmy zrobiły? zapytała obojętnie pani Izajaszowa.

— Elżusia przecież może jeszcze zrobić dobrą partya.

— Cóż ty nazywasz dobrą partya?

— Rozumie się, że na raz zdobytej wysokości trzeba się trzymać, a na dół nie schodzić.

— Czy chcesz, żeby Elżusia poszła za jakiego kupca, rzemieślnika lub aplikanta?

— Ach, broń Boże! Taby była kapitulacya bez honoru! To być w żaden sposób nie może.

— Jakież są inne widoki?

— Widoki..... widoki..... byłyby widoki, gdyby rozsądnie na rzeczy się zapatrywać.

— Nie rozumiem cię!

— Sąsiedzi już nawet mówią o tem... Ci, co się z waszego nieszczęścia cieszyli, zaczynają się znowu smućić i głową kiwać.

— Czy to prawda? zawołała Elżusia w gorączce, czy pani co wiesz takiego?... O, wierzej mi pani, że wiele, bardzo wiele poświęciłabym, gdybym tylko nad niektórymi ludźmi jeszcze tryumfować mogła....

— Mówią że pan Wit....

— Pan Wit! zawołała z zadziwieniem Elżusia.

— Pan Wit! powtórzyła tak samo pani Izajaszowa.

— Co też pani mówi!

— Co też ty mówisz!

— Mówię to, co sąsiedzi mówią, którzy się z tego bardzo martwią.

— Ależ zlituj się, on taki stary!...

— Prawda, że trochę zastary!...

— Stary, nie stary. Dzisiaj w tym wieku mężczyźni więcej są jeszcze warci, niżeli młodzież, którą cechuje albo sceptycyzm, albo cynizm...

— Nie, to być nie może, moja Sydonio!..

— To dziwna kombinacja, moja pani!

— Za pozwoleniem. Proszę tylko o rozsądne

słówko. Czemże jest dzisiaj życie nasze? Czy sądzisz, Elżusiu, że życie kobiety składa się z tych wszystkich pięknych rzeczy, o których w romansach czytasz? Nieprawda! Miłość jest to frazes, który traci walor zaraz po ślubie. Życie nasze jest męczarnią, jednostajną katuszą. Mężczyźni wszystko lepsze wzięli dla siebie, a dla nas zostawiają obowiązki rodzinne i tym podobne służebności. Jeżeli się tym prawom poddamy, jesteśmy sługami, jesteśmy niewolnicami....

— To prawda! westchnęła pani Izajaszową.

— Inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeśli kobieta jest w tem położeniu, że przez całe życie bawić się może.

— Bawić się, bawić się! Ale na to trzeba pieniędzy.

— Otoż zdaje mi się, że tutaj tylko o pieniądze chodzi! A najlepszym dostarczycielem takich pieniędzy jest—mąż stary.

Elżusia wzdrygnęła się. Pani Sydonia mówiła dalej.

— Mąż stary wie dobrze o tem, że młodą żonę tylko za pieniądze ubawić może. Żaden mąż nie chodzi tak na palcach koło żony, jak stary. Żaden tak prędko nie uprzedza ich marzeń i życzeń, żaden nie jest zdolny tyle dla niej poświęcić!....

Elżusia uśmiechała się z goryczą.

— Będziecie podróżować oboje po całym świecie! Paryż, Wenecja, Londyn, Drezno, Rzym, Neapol będą dla was stacyami! Opery, koncerty, wycieczki na góry szwajcarskie zapełnią ci wszystkie chwile życia. Otoczona będziesz zawsze szeroką atmosferą bogactwa i dostatków. Cały świat wyższy będzie waszym światem, rozrywki i różnaitości życia

nie dopuszczają ani jednej takiej chwili smutnej, w jakiej was dzisiaj zastałam. Elżusia zaczęła się bawić wstążką.

— Nie, to być nie może! szepnęła zcicha—to zawsze tak jakoś dziwnie!...

— A ja ci mówię że to lepiej, niż żebyś poszła za Lulu. Pan Lulu po jakimś czasie byłby fruwał od ciebie do baletu, a ty martwiłabyś się tem odstępstwem... Stary mąż nigdy tego nie robi. On tylko do ciebie modlić się będzie. Ty będziesz jego obrazkiem...

— Nie... nie... to być nie może, powtarzała prawie machinalnie Elżusia.

— A zresztą co za tryumf nad tymi, którzy myśleli, że już spadłaś do poziomu aplikantów... Tytuł szumny wyróżniać cię będzie w każdym towarzystwie, a na męża nawet patrzeć nie będą... Kobieta nie lubi ginąć w tłumie! Ona lubi, aby ją wszędzie widziano....

Tu umilkła pani Sydonia. Milczenia nikt nie przerwał. Było ono długie i wymowne.

I tak cicho zrobiło się w pokoju, że tam gdzieś z drugiego kąta słyhać było brzęk muszki, którą pajak we śnie w swoje szpony ułowił...

Brzęk stawał się słabszym, coraz słabszym, wreszcie ustał zupełnie....

XXXIII.

Kilka tygodni minęło od tego czasu. „Kuryer” doniósł mieszkańcom Warszawy, że jakiś korespondent jego z nad Nidy słyszał na własne uszy skowronka i widział wracające z cieplejszych krajów bociany.

I zapewne była to prawda, bo trawa w ogrodzie Saskim zaczęła się zielenić, a sędziwi emeryci poobsiadali szeregiem ławki, wygrzewając się na kwietniowym słońcu, co nawet lepszą byłp wróżbą nadchodzącej wiosny, niż bociany i skowronki.

W samej rzeczy wiosna rozpoczęła się na piękne. Jedni cieszyli się tą wiosną, która obiecywała tak ulubione dla miejskich mieszkańców majówki, inni znowu z pewną obawą wciągali w siebie aromat rozwijającej się wegetacyi przepelnione powietrze, które ich słabe płuca do niebezpiecznego kaszlu pobudzało....

W jednym z tych dni dla jednych pięknych i orzeźwiających, dla drugich zaś złowrogich i zabijających, wróciła z miasta senatorowa i zaraz na progu rzekła do Floryana:

— Przynoszę ci dwie wiadomości — jedna z nich, że Elżusia idzie za pana Wita...

— A druga? zapytał Floryan.

— Czy ci pierwsza jest tak obojętną, że nawet dłużej nad nią zastanowić się nie chcesz?

— Od czasu jak Elżusia na tę dr jgę poszła, na której nęciły ją zewnętrzne blichtry, dziecinna próżność i ta wygodna maksyma, że życie jest zabawą a nie spełnieniem obowiązków—od tego czasu nic już dla mnie nie może być niespodzianką.... Alboż to po raz pierwszy sprzedaje się kobieta za dostatki i zabawy?...

Senatorowa pomyślała chwilę, a potem rzekła:

— Druga wiadomość jest tego rodzaju, że trzeba ją przyjąć z wielkim współudziałem.

— Cóż to za wiadomość?

— Wdowa, którą u siebie ma Bronisława i nią

się opiekuje, jest niebezpiecznie chora, a nawet prawie konająca. Floryan szybko postąpił naprzód.

- Trzeba w czymś dopomódz! zawołał i lekko zarumienił się.
- Bronisława, mówiła dalej spokojnie senatorowa, od dwóch tygodni po całych nocach przy niej siedzi. Jej zdrowie jest także w niebezpieczeństwie. Słyszałam to od lekarza, który tam chodzi.
- Trzeba żeby matka tam poszła... poszła niezwłocznie.....
- Co to za pismo leży na stole?
- To... to.... trzeba żeby matka nie odwlekała!
- Ale o pismo pytam.
- To... uwiadomienie od przełożonego, że za wypracowaną rzecz o opiece małoletnich... żeby tylko zapóźno nie było...
- Uwiadomienie....
- Uwiadomienie że mam otrzymać wyższą posadę.
- Więc to praca, którą podjąłeś dla rozerwania smutku, jaki z powodu Elżusi....
- To już należy do przeszłości, ja teraz myślę... o wdowie!
- O wdowie?... Ja przeciwnie myślę o biednej Bronisławie. Nieszczęśliwe, dobre dziecko!
- Zostawmy rozmowę na potem... teraz.
- Czy chcesz abym zaraz tam poszła?
- Sądzę, że takby dobrze było.
- Więc idę... do zobaczenia!
- Do zobaczenia, matko!... Ale czy matka sama tam pójdziesz?
- A kogóżbym mogła wziąć z sobą? Służąca zatrudniona.... Do zobaczenia!

— Jeszcze słowo! Czy.... czy niebyłoby to niestosownem.... abym.... abym ja....

— Dłaczegóż niestosownem? Tam gdzie śmierć puka, tam ustają wszelkie względy. Zresztą przy prawdopodobnej śmierci i wdowy możebyś nawet był potrzebnym.

— Jeżeli tak matka sądzisz.... to zabiorę się! Za chwilę byli już w drodze na ŚtoKrzyzką.

Na samym rogu ŚtoKrzyckiej było mieszkanie Bronisławy. Składało się ono z dwóch małych pokoików. Pokoiki były skromne, ale co można było z nich zrobić małym kosztem, to było zrobione.

Posadzka była czysta i lśniąca. Skromna, wełnianą materyą pokryta kanapka, stała między oknami. Z tejże samej materyi sofka, nakryta gustownym dywanikiem, służyła właśnie sparaliżowanej wdowie za łóżko. Mały stoliczek z książkami i lampką stał przed sofką. Dwa. zwierciadła i kilka sztychów Towarzystwa sztuk pięknych uzupełniały urządzenie pierwszego pokoiku.

Drugi pokoik był pokoikiem Bronisławy. Drzwi miał przymknięte, a to co z niego widać było, kazało wnosić, że był również czysty i gustownie urządzony.

Gdy senatorowa z Floryanem do pokoju weszli, zastali właśnie Bronisławę siedzącą przy łóżku i czytającą chorej psalmy konających.

Biedna wdowa leżała na poduszkach z rękami na piersiach w krzyż złożonemi. Twarz jej była tak biała, jak karta papieru, Nie było na niej bólu, ani przestachu śmierci, tylko spokój głęboki i oczekiwanie końca pielgrzymki ziemskiej. Na małym stołeczku koło łóżka siedziała mała dziewczynka

z błękitnymi oczami i przez łzy patrzyła w oblicze umierającej matki.

W nogach chorej z twarzą nadzwyczaj bladą, oczami zapadniętymi siedziała Bronisława i pięknym harmonijnym swym głosem czytała z książki.

Gdy senatorowa i Floryana spostrzegła, zarumieniła się lekko, a głos jej zadrżał, jak struna silniej trącona.

Chora otworzyła oczy. Uśmiech łagodny przemknął po jej twarzy. Chciała podnieść rękę, ale ta bezwładnie upadła na piersi.

Senatorowa pośpieszyła do chorej, ścisnęła ją za rękę i powiedziała kilka słów pociechy.

Bronisława tymczasem uprzątnęła dwa miejsca dla niespodziewanych gości. Sama zaś usiadła plecyma do okna, aby światło z niego nie dozwalało zbyt wyraźnie widzieć jej twarzy, na której w tej chwili wiele było można czytać.

Po zwykłych przywitaniach, po kilku zapytaniach i odpowiedziach tyczących się choroby wdowy, rzekła nieśmiało Bronisława do Floryana:

— Wprawiasz mnie pan w niemały kłopot. Należę do tych osób, które nie lubią, aby kto na nie wtedy patrzył, gdy wypełniają obowiązki.

— Ręczę pani, odpowiedział Floryan, że kobieta w takim razie ma więcej uroku, niżeli w stroju balowym, wśród wyszukanej muzyki i tysiąca świateł.

— W obec biednej chorej naszej—zostawmy taką rozmowę na później...

— Nie, nie! wyszepnęła zcicha chora, mówcie tak dalej, bo pan Floryan bardzo dobrze i bardzo pięknie powiedział.... I ja... i ja jestem kobietą i wiem czem strój balowy dla kobiety być może. Ale wierzaj mi pan, gdy patrzę na Bronisławę siedzącą

przy mnie, gdy jej oczy suche od bezsenności na mnie się zwracają, to zdaje mi się że widzę przed sobą anioła, anioła w całym majestacie niebieskim...

— Mówienie szkodzi pani! przerwała Bronisława, nakrywając jej ręce.

Chora uśmiechała się boleśnie i spoczęła chwilę.

Po chwili szepnęła znowu zcicha:

Jestem szczęśliwa, że umieram! Dłużej w ten sposób żyć nie mogłam! Każda chwila przeżyta pod opieką Bronisławy była dla mnie ciężarem, wielkim ciężarem!

— Ciężarem, powtórzyła senatorowa i z zadziwieniem na Bronisławę.

Bronisława zarumieniła się i spuściła oczy.

— Nie spodziewał?, się, ozwał się Floryan, abyś pani mogła te słowa zostawić bez odpowiedzi.

— A jednak muszę to uczynić, odpowiedziała Bronisława i zarumienioną twarz pochyliła ku ziemi.

Głębokie milczenie trwało czas niejaki; Floryan nie chciał dalej pytać, a senatorowa uznała również za rzecz słuszną, aby chorej w ostatnich jej chwilach rozmowa nie trudzić.

Chora tymczasem odpoczęła sobie.

Błagałam Boga o śmierć, mówiła zcicha, bo życie moje nieudolne na nic się już nikomu nie przyda. Marynia moja nie ma i tak ze mnie matki—lepiej więc żeby już była sierotą. Sierotą zajmie się Bóg i ludzie jej nie odepchną. A życie moje... życie na opiece Bronisławy było dla mnie torturą, prawdziwą torturą....

— Przyznaję się, odpowiedziała Bronisława podnosząc z lekka głowę do góry — przyznaję, że byłam winną, ale okoliczności zmienić nie mogłam.

— Okoliczności zmienić nie mogłaś? zapytała z rosnącym zadziwieniem senatorowa,—cóżby to mogła być za okoliczności?

— Okoliczności... nad moje siły!

— Nie wierz jej pani, odpowiedziała wdowa, — ona nie mówi prawdy! Można było poprostu nie przyjąć żadnych zobowiązań, a ja byłabym spokojniejsza w jakiej sali szpitalnej i nie potrzebowałabym błagać Boga codziennie o śmierć, którą uważam dzisiaj za wielką łaskę.

— Nie rozumiem tej sprawy, zauważyła senatorowa i smutno spojrzała na Floryana.

Floryan nie podzielił wcale tego smutnego spojrzenia matki. Zdawało się że nic nie myślał, coby mogło być niekorzyścią dla Bronisławy.

Bronisława powoli posunęła oczy swoje aż do twarzy Floryana. Widocznieucieszyło ją, że na tej twarzy nie spostrzegła nic takiego, coby ją zasmucić mogło.

— Zapewne chora majaczy! szepnęła Floryan do ucha matki i spojrział szybko na Bronisławę, jak jego obronę przyjmie.

Bronisława zmarszczyła brwi. Chora, przy swej piersiowej słabości, miała słuch nadzwyczajny. Usłyszała słowa i odparła:

— Niech pan nie nazywa tego majaczeniem, jeśli kto dobrze o bliźnim mówi. Dzisiaj i tak trafia to się bardzo rzadko!

— Sądziłem że pani masz co pannie Bronisławie do zarzucenia? odpowiedział Floryan.

— Tak jest, mam jej do zarzucenia wielką winę. Są pewne stosunki między ludźmi, które o ile jednych wysoko stawiają, drugich nader boleśnie "gniatają, o toż ja jestem tą biedną ofiarą!

— Ofiarą! powtórzył Floryan z rosnącą ciekawością.

— Ofiarą jej bezprzykładnej szlachetności! Bronisława wzięła chustkę i szybko wybiegła z nią do drugiego pokoju. Chora tymczasem mówiła dalej cichym głosem:

— Bronisława, aby mnie wyżywić z sierotą, wzięła dwie lekcye więcej dziennie.

— Dwie lekcye dziennie! powtórzyła matka z synem.

— Gdy była " pewnej opiekunki biednych i moje niedolę jej przedstawiła, ta wymyśliła plan taki, że wystara się jej o dwie godziny dziennie, byle za to mnie wzięła do domu.

— Wygodna dobroczynność! zawołał Floryan i poruszył się niecierpliwie na krześle.

— I biedna Bronisława przystała na to? zapytała senatorowa a lzy stanęły jej w oczach..

— Jak widzisz pani. To jej poświęcenie zatruwało mi życie!

Głuche milczenie panowało chwil kilka. Wreszcie wyszła Bronisława z drugiego pokoju. Miała oczy czerwone od płaczu.

— Czy to prawda, moje dziecię, że ci taki warunek zaproponowano?

— Prawda! odpowiedziała nieśmiało Bronisława.

— Dlaczegoś mnie okłamała? Powiedziałaś że dano ci na to potrzebny fundusz.

— Alboż to dwie godziny dziennej pracy nie są funduszem?

— Ty jednak mogłaś siebie tą pracą zamęczyć.

— Widzisz pani że to nie nastąpiło.

— Dziwiłam się, że z każdym dniem gorzej wyglądasz.

— To nie z praey... to... tak... z różnych zmartwień.

— Nie byłaś szczerą przedemną!

— Nie miałam ani z czem pochwalić się, ani poskarżyć. Robiłam to w swoim interesie.

— Jakież interes mogłaś mieć w tem? Bronisława odetchnęła głęboko, połknęła łzy które cisnęły się jej do oczu i odpowiedziała:

— Każdy człowiek potrzebuje przywiązania drugich a najbardziej kobieta. Chciałam sobie zarobić miłość matki — i na to pracowałam dwie godziny dziennie. Czyż to tak wiele? A miłość mojej przybranej matki czyż mi hojnie tej pracy nie wynagrodziła?.. Czyż nie jest to najdroższym szczęściem naszym, jeśli nas kto kocha i my to widzimy? A moja przybrana matka kochała mnie jak rodzona i teraz dopiero czuję, jak nieszczęśliwą jestem!..

Tu zakryła twarz i chwilę milczała.

Senatorowa miała łzy w oczach.

Floryan ożywionem okiem patrzył na Bronisławę.

Chora wdowa dobytej ostatnich sił swoich, oparła się na poduszkach, a wyciągając ręce nad głową Bronisławy, mówiła coraz słabszym głosem:

— Dzięki ci, córko moja, za to słowo pociechy, które mi dajesz na ostatnią drogę!... Tam będę Boga błagała za szczęście twoje, które ci się należy... Jesteś sierotą i często wypowiadasz to gorzko, że nie masz posagu! Wszystkie twoje nieszczęścia upatrujesz w tem jednym słowie, że jesteś bez posagu! Świat obwiniasz o brak miłości, który dlatego jest zimnym dla ciebie, że jesteś bez posagu!.. „Bez posagu" są to wprawdzie straszne słowa dla tylu tysięcy kobiet, które posaznym pierwszego miejsca i szczęścia ustąpić muszą. Ale nie myśl, aby to była

prawda bezwzględna, aby to była zasada społeczeństwa!.. Działają, w niem jesze i inne niż złota potęgi... A te potęgi są dla każdego do nabycia, byle tylko chciał i pragnął. Są to potęgi cnot, które często stanowią tak ogromny kapitał, że nawet dzieci i wnuki nim się obdzielają. Zaiste żywot dobry i pocziwy rodziców, którzy prócz cierpień przebytych przez ten żywot, nic innego dzieciom zostawić nie mogli, jest dla dzieci kapitałem, który równać się może milionom!.. A mianowicie my, w naszym społeczeństwie, potrzebujemy uznania tego kapitału, potrzebujemy jego kursu—bo gdy takowy ze zwykłym złotem, czy też pocziwą pracą się połączy, wtedy nabiera społeczeństwo sił i zdrowia. Dlatego mówię ci nie płacz i nie narzekaj na ubóstwo twoje—niezasłużona niedola rodziców twoich, gdy do niej pracę dorzucisz, jest dla ciebie posagiem, którym szczęście swoje okupić możesz. Żegnam cię... oby Bóg był tak samo sprawiedliwym sędzią dla sprawiedliwych, jak jest nim dla niesprawiedliwych!..

Tu głos jej ustał, a głowa upadła na poduszki.

Stan chorej nie pozwolił obecnym dalej rozmawiać, lub jakie uwagi sobie podawać.

Każdy w głębi duszy miał słowa chorej, ale w tej chwili byli wszyscy jej życiem zaniepokojeni.

Chora położyła jeszcze rękę na głowę swej małej sierotki, ale już nic mówić nie mogła.

Prosiła tylko znakami, aby Bronisława dalej czytała psalmy konających.

Bronisława zaczęła czytać. Wszyscy z uwagą i poważnym nastrojem umysłu słuchali tych psalmów.

Jedna godzina biegła za drugą—nikt nie czuł i nie liczył ich—aż wybiła godzina dwunasta. Floryan zbliżył się do lektorki.

— Daj mi pani książkę, rzekł do niej, ja dalej czytać będę, a pani tymczasem udaj się na spoczynek, bo z sił upadasz. Bronisława dała książkę Floryanowi. Sama pochyliła głowę na poręcz fotelu i tak siedziała. Floryan czytał wzruszonym głosem, w którym drżał smutek głęboki, ale oraz i rezygnacja mężka. Twarz chorej, blada jak marmur biały, zaczęła się uśmiechać. Powoli, nieznacznie zastygał ten uśmiech... i w końcu zastygł jak marmur kararyjski pod dłutem rzeźbiarza.

— Skończyła! rzekła senatorowa i wszyscy troje uklękli do modlitwy.

XXXIV.

"We dwa tygodnie po tem zdarzeniu, bawiło się miasto ważną i ciekawą nowiną.

Nowiną tą, były zapowiedzie pana Wita Ostrogi z panną Elżbietą.

Mówiono o tem jeszcze przed zapowiedziami, ale nie miano pewności, czy to w rzeczy samej nastąpi.

Jedni utrzymywali że już było po słowie i zaręczynach, inni znowu przeczyli temu, uważając poprostu całą tę historiją za niemożliwą i przez próżniaków wymyśloną.

Dzisiaj miano to jako fakt przed oczami, a każdy starał się wynaleźć powody, które mogły przyprowadzić do skutku podobne małżeństwo.

Jedni utrzymywali że pan Wit zręczną intrygą wplątał na chwilę w amory z Elżusią swego kuzynka a potem, gdy ta innego wyjścia po odstąpieniu Lula nie miała, również zręcznie obmotał ją swemi nadzwyczajnymi względami i do słowa przymusił.

Ci co bliżej pana Wita znali, byli tego zdania, że znany ze swej skłonności skąpiec dowiedział się od ludzi wpływowych, że zatrzymany na chwilę milion zwrócony będzie spadkobiercom św. p. Izajasza. Postarał się więc o wręcz przeciwne przedstawienie tej sprawy spadkobiercom, a korzystając z ich łatwości i przestachu, ofiarował im za utracony milion swoje zasoby, swój ekwipaż i tytuł.

O Elżusii rozprawiano z wielkim rozdrażnieniem. Uważano to za rzecz bardzo zwyczajną, że uboga dziewczyna sprzedaje się staremu człowiekowi za majątek albo tytuł. Wypadki takie, jakkolwiek w gruncie niemoralne, powtarzają się w życiu tak często, że już nawet wcale uwagi na siebie nie zwracają. Ale Elżusia miała ojczysty majątek, były dwa domy, chociaż nieokazałe, ale zawsze z pewną intratą. Nic jej nie zmuszało do takiego kroku, a dalsi znajomi lub nieznajomi nie widzieli tych drobnych ogniwek, z których dopiero sam fakt się wywiązał. Potępiali więc ją głośno i bez ogródki.

Niemniej jednak znaleźli się także prostaczkowie którym w prawdzie przyobiecane jest królestwo Bo, że wniebie, ale którzy tutaj na ziemi nie odznaczają się nigdy zbyt dużym rozumem.

Ci prostaczkowie zazdrościli losu Elżusii, które wychodzi za tak bogatego magnata!...

Pan Wit występował rzeczywiście teraz jako bogaty magnat.

Zdaje się że usiłowaniem jego było utrzymać Elżusią do" przysięgi ślubnej niejako w nieustającym delirium.

Wydawał rauty, organizował nader kosztowne wyprawy majówkowe, obsypywał narzeczoną pre

zentami bajecznej wartości — słowem żaden dzień nie przeminął, aby o nim w stolicy nie rozprawiano. Wszystko to dochodziło do uszu Elżusi i wprawiało ją w ekstazę szczęścia. Wyobrażała sobie że całe jej życie ubiegać będzie wśród takich laurów, że nie przestanie być nigdy przedmiotem podziwu i uwielbienia próżniaczej gawiedzi wielkomiejskiej, czy to nad Wisłą, czy nad Sekwaną lub Gangesem.

O zapowiedziach więc Elżusi z panem Witem mówiono głośno i szeroko. Były tu i inne zapowiedzie, ale o te nikt się nie troszczył, bo nie miały ani szyku, ani nie były skandalem, który również jak blask każdy pociąga wszystkich oczy na siebie....

W małym tylko kółku ludzi pracy i szlachetnych dążeń gratulowano młodemu pracownikowi przyszłego szczęścia, które wkrótce miało go spotkać.

Kółko to nie było wielkie, ale w robotach społecznych niemniej ważne od małego punkciku wypukłego szkła, które skupiwszy w sobie słoneczne promienie, zapala wszystko czego się dotknie.

W punkcie tym zaiste więcej jest światła i ciepła, niżeli na szerokiej przestrzeni misternie szlifowanej szyby rozmiarów olbrzymich.

Ponieważ zaś szybko okazała każdy widzi, a na drobne choć zapalające punkta nikt nie patrzy, więc i okazały pochód ślubny pana Wita z Elżusią podziwiany był przez całą stolicę, która znaczny kontyngens ciekawych wysłała do archikatedry ś. Jana.

Równocześnie odbywał się ślub "oo. Paulinów, o którym pisma codzienne zaledwie głośno wspomniały, podczas gdy okazałość obrzędu ślubnego w kościele św. Jana wychwalano nader doborowymi frazesami z dołączeniem całej genealogii pana

młodego, nie wspominając wcale o genealogii panny młodej....

O drugim ślubie zaledwie dziesiąty wiedział, kto jest pan młody.

— Czy to ten san Floryan X***, który napisał tak piękną książkę o opiece nad małoletnimi?... pytał jeden z przypadkowych widzów drugiego.

— Zdaje się że ten sam. Twarz piękna i inteligentna! panna śliczna jak Wenus... Co za szlachetny wyraz twarzy, jakie piękne oko!...

— Wierzę, że będą szczęśliwi!

— Daj im Boże.... Ludzi pożytecznej pracy co raz mniej na świecie.

Po wspaniałej wieczerzy, na której lał się potokami szampan, mieli państwo Witowie natychmiast rannym pociągiem wyjechać za granicę.

Cały plan był już gotowy. Radzono nad nim na Podwalu kilka tygodni.

Najprzód miano się zatrzymać w Dreźnie. Żadne miasto bliżej leżące nie było godne tak znakomitych gości.

Po Dreźnie i wycieczce do saskiej Szwajcarii miano się udać nad brzegi Renu i tam miała Elżusia w kostiumie fantastycznym wśród gapiących się turystów odmalować kilka drzew nadbrzeżnych, jako pamiątkę do swego albumu z podróży. W tym celu uczyła się nawet od jednego z warszawskich artystów.

Po brzegach Renu następował Paryż — stolica świata.

Tam miano dłuższy czas przesiedzieć. Co tylko ta stolica miała do użycia, miano używać, a zarys kosztów do tego był olbrzymi!

Z Paryża postanowiono spuścić się na południe,

przejechać całą południową Francję, przebyć Pyreneje, i środkiem Hiszpanii, wśród lasów cytryn i pomarańcz, spuścić się na sam cypel Europy, a z Przylądka dobrej nadziei popłynąć morzem do kraju muzyki i makaronu, obaczyć Neapol, ale nie umrzeć, obaczyć Rzym i z odpustem dla wszystkich domowników wrócić na chwilę do kraju, aby trochę wypocząć po podróży na północ, po której znowu podróż na wschód miała nastąpić.

Wszystko to było naprzód ułożone, drobną rączką Elżusi stwierdzone i rozkosznym śmiechem pani Izajaszowej zapieczętowane.

Wybierając się w tak długą i daleką podróż, trzeba było pozbyć się wszystkich ciężarów niepotrzebnych.

Przepyszne urządzenie domu odprzedał, czy jak inni twierdzili, oddał pan Wit kupcom, od których te drogie sprzęty były tylko na pół roku wypożyczone. Również i angielska karetka wraz z lokajami galonowymi wróciła gdzieś do .szopy przemysłowca, od którego była wdzierżawiona.

Został się tylko sam pan Wit, w szarym surducie, z podróżną torebką.

Czekającej na ranny pociąg małżonce oświadczył, że z powodu wilgotnego powietrza przypomniawszy mu się pedogra, dla której podróż za granicę odłożyć trzeba.

Małżonka skrzywiła się.

— Cóż będziemy robić? zapytała smutno—pomieszkanie wynajęte, służba odprawiona....

— Pojedziemy ma chere do dóbr! odpowiedział z ironicznym uśmiechem pan Wit.

— Do dóbr?

— Tak jest, na wieś—do mojej rezydencji.

— Och, to strasznie nudno!

— Nie koniecznie, ma chere! Będziesz miała trawki zielone, chrząszcze wąsate, chmurki białe na niebie i ćwierkanie wróbli.... Wy, kobiety, które macie tak poetyczne natury, wy to lubicie....

— A podróż nasza?

— Podróż.... podróż można sobie wyobrazić. Gdy byłem młody, czytałem sławnego niemieckiego poety, który powiada że podróż jest to jazda z góry na dół i z dołu do góry i t. d....

Elżusia uderzyła go rękawiczką po ramieniu.

— Ty mon cher lubisz zawsze żarty stroić! rzekła z przymileniem.

— Tak... tak... madame, proszę to wszystko wziąć za żart... ot tak sobie za żart dziecka.

I rozśmiał się pan Wit śmiechem pełnym i serdecznym, który Elżusi boleśnie do duszy wniknął.

Z dobrą jednak i wesołą miną zgodziła się na tymczasowy wyjazd na wieś do pałacu, jak się wyrażał p. Wit, w nadziei że to potrwa tylko dni kilka.

Zajeżdżał prosty wózek pocztowy.

Elżusi stanęły łzy w oczach. Niechcąc jednak w pierwszym dniu robić mężowi wymówki i mając to na względzie, że było jeszcze prawie ciemno, a zatem nikt ze znajomych widzieć jej de mógł, siadła na wózek i zacisnęła drobne rączki ze złości.

Podróż do pałacu letniego trwała dziesięć godzin.

Czas ten skracała sobie Elżusia marzeniem tryumfalnego swego wjazdu do pałacu. Wyobrażała sobie, jak to ongi bywało, gdy nową dziedziczkę witali oficjaliści i poddani.

Widziała cały szereg biało ubranych dziewczec z kwiatami... słyszała jakąś cudowną kantatę przez te dzieci natury czystym głosem odśpiewaną... wi

działa nawet humorystycznie rysującego się bakałarza, który szeroką gębą swoją ten śpiew prowadził... Dalej widziała całą gromadę w strojach odświętnych... Starzy o siwych włosach gospodarze zginali się do ziemi przed jaśnie panią, ofiarując jej chleb i sól... nie chleb, i cukier.... Potem wyroiła się służba w herbowej liberyi, w granatowych frakach i czerwonych kamizelkach.... Kamerdyner Francuz, mówił do niej niezrozumiałym dla gawiedzi językiem.... Dalej ganek pałacu oszklony, oświetlony, kwiatami ubrany.... Salony wykwintne, perskie dywany, buduar, galerya obrazów, trebhauzy etc. etc. Pałac otoczony angielskim parkiem, figarnia i bażantarnia....

Wszystko to w uroczych obrazach przesuwawało się po przed oczy młodej mężatki, która teraz tylko o tem marzyła, aby sobie niewygodną jazdę czem bądź skrócić.

Wreszcie nad samym wieczorem spojrział pan Wit, który dotąd drzemał, przed siebie i rzekł: Otoż jesteścieśmy " celu!

Elżusia spojrziała także i ujrzała—wioskę biedną z chatami mchem poroślemi....

Wioska była w nizinie położona nad brzegiem małej błotnistej rzeczki.

Jakkolwiek ziemia czarna mogła niejednego gospodarza zachwycić, jednak Elżusia zamknęła oczy, aby tak prędko nie rozczarować się....

Po chwili obaczyła kościółek mały, dosyć zaniedbany. Za kościółkiem czernił się przysiadły do ziemi budynek z poszarpaną od wiatru strzechą.

— Czy to uboga plebania? zapytała smutno.

— Nie, ma chere, to mój pałac.

— Pałac?

— Tak jest, pałac... w całym znaczeniu tego słowa.

I rozśmieł się na całe gardło pan Wit, aż się zakasłał i cały jak koral poczerwieniał.

Elżusia osłupiałym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Zamiast spodziewanych owacyj gromady, było wszędzie smutno i pusto. Czasami z okna wyjrzała blada twarz włościanina, ale na niej był jakiś dziwny gniew że pan już wraca....

Pan Wit nie był lubiany.

Przed chatami tu i owdzie stały dzieci w koszulach, brudne i rozczochrane. Zamiast kantaty, wznosiły przeraźliwy krzyk i uciekały do sieni, jakby obaczyły wilka...

Wreszcie wtoczył się wózek, przebywszy kilka kałuż, na dziedziniec obszarpanym płótem ogrodzony. Na dziedzińcu nie było ani oficjalistów, ani służby wyfrakowanej, ani kamerdynera Francuza. Zawalana Małanka w brudnym fartuchu wybiegła na ganek i z uśmiechem ironicznym wpatrzyła się w panią dziedziczkę...

Chłopiec od trzody, który pełnił także czasem służbę służącego i lejblokaja, przyłączył się do niej w czarnej jak noc koszuli i bure oczy wytrzeszczył na nową panią z jakimś dziwnym nieokreślonym wyrazem na głupiej twarzy swojej... Elżusia była bliska omdlenia. Zamknęła oczy i wysiadła z wózka.

W sieni uderzyła ją stęchlizna jakby z piwnicy. Pełno w niej błota, brudów i śmieci...

W pierwszej izbie, ubogiej i dusznej, zastała kilku ludzi, których wcale nie знаła. Siedzieli na płóciennych krzesłach, z których lepsze obicie już dawno zniknęło i palili cuchnące cygara i fajki.

Był to najparadniejszy salon pałacu.

Elżusia zakasłała się zdymu, potrafiła jakieś stare buty leżące na ziemi i prawie bez zmysłów upadła na jakąś ławkę.

— Ah, jesteście! Dobrze, dobrze! ozwał się pan Wit do palących cygara, jestem wam wdzięczny żeście stawili się na moje zaproszenie.... Mam bowiem zaszczyt przedstawić wam swoje żonę... cha, cha, cha... moją żonę.... moją żonę!

Elżusia dgnęła konwulsyjnie.

Zaproszeni goście powstali z wylupionymi oczyma.

— Cha, cha, cha! Czy mi wierzycie? prawil dalej pan Wit.... Elisabethte, ma chere—powiedz im sama, że jesteś moją żoną! Cha, cha, cha! moją żoną....

— Czyż to jest co tak dziwnego? zapytała z indygnacją Elżusia.

— A!... trochę dziwne jest zawsze! Cha, cha, cha!... Powiedźże ma chere... bo to wszyscy... z wyjątkiem głupiego Lulu, który przed długami drapnął za granicę... bo to wszyscy są moi spadkobiercy... cha, cha, cha! spadkobiercy... Patrz jak skamienieli... Cha, cha, cha! Wypłatałem im kapitalnego figla...

Wszystkim jakoś wraz z Elżusią zabrakło głosu. W milczeniu, osłupiałym wzrokiem patrzyli przed siebie.

— A co? Prawda że koncept wyborny? prawil dalej pan Wit, djabelnie zalazłem wam za skórę, że ani trzech zliczyć nie możecie.. Ożeniłem się, cha, cha, cha! ożeniłem się aby wam niespodziankę zrobić... Cha, cha, cha! I oto stoicie jak mężowie Galilei...

Zwołani krewni jeszcze do słowa przyjść nie mogli..

— Widzicie, mówił dalej wesoły dzisiaj pan Wit,

zakroilem zrazu na Małankętylko, a ot widzicie, dostałem nawet coś lepszego... Cha, cha, cha! to wszystko na wasze umartwienie... Teraz nie macie już po co jeździć do mnie, nie potrzebujecie macać mnie czym już ostygł, czy jeszcze serce kołacze w piersi... Tego już wam nie potrzeba.... Tego już wam nie potrzeba.... Mam żonę... cha, cha, cha! mam żonę na wasze nieszczęście... Stary dziad, który, według waszej nadziei, miał lada dzień nogi zadrzeć, stary dziad ożenił się i ma prawowitą żoną, a wyjdźcie sobie z witkiem... Skończyłem. "

Rzekłszy to, obrócił się plecyma do krewnych, a twarz jego gorzała taką radością; jakby to była najpiękniejsza chwila jego życia....

Elżusia w tej chwili .zemdląca.

Pan Wit był teraz w zenicie szczęścia. Podczas gdy Małanka z brudnego garnka wodę na Elżusie lała, aby ją ocucić, chodził pan Wit jak tryumfator po izbie, patrząc z radością na skamieniałych krewnych.

Stary dziwak, pozbywszy się w młodych latach wszelkich szlachetniejszych uczuć człowieka, rozkoszował się dzisiaj na widok liczną rodziną obarczonych krewnych, którzy z osłupienia jeszcze do siebie przyjść nie mogli.

Chwila ta była dla niego najpiękniejszą chwilą życia.

Skąpiec, skeptyk, odarty z wszystkiego co lepszą stroną życia stanowi, trawił się po całych nocach bezsennych tą straszną zmurą, że pieniądze przez niego zebrane wezmą po jego śmierci krewni, którzy nate śmierć jego tylko czyhają...

I długo, długo myślał nad tem, aby tym krewnym wyprawic jaką szatańską biesiadę... I wreszcie wymyślił—ożenił się. Zdawało mu się, że nie mógł boleśniejzego ciosu zadać spadkobiercom swoim, nie mógł z większą rozkoszą pastwić się nad ich męką przez ten czas niespodziewanej zadumy....

I cios ten dla biednych krewnych był rzeczywiście straszny. Osobliwie jeden z nich, ojciec ośmiorga dzieci i podupadły dzierzawca, który całą nadzieję w spadku po panu Wicie pokładał, przyprowadzony został tem do rozpaczcy.

I rozpacz swoje, stosownie do stopnia swego wykształcenia, objawił w sposób bardzo naturalny.

Posiwiął ze złości i krzyknął aż szyby zabrzęczały.

— Ty stary psie, ty łotrze, który za młodu brodziłeś w najohydniejszych kałużach życia—ty wydarłeś nam to, co nam się należało!...

I zaciwnąwszy pięć ogorzała, rzucił się na pana Wita z wściekłością.

— Ratujcie! Zabijają mnie! krzyknął przeraźliwie pan Wit przyparty do ściany.

Z pięciu krewnych, trzech przyłączyło się na jedno, dwóch na drugą stronę. Krzesła, stołki trzeszczały, szyby wylatywały z okna, obrazy spadały na podłogę.

Małanka dużym garnkiem bronila pana swego, ale z garnka tylko ucho zostało jej w ręku. Przyszedł jej na pomoc lejblokaj i pastuch z ogromnym kołem, a nie wybierając gdzie uderzy, machał na prawo i lewo bez względu, czy to była głowa pana Wita, czy kułak jednego z krewnych.

Elżusia była podczas tej sceny bezprzytomna....

Zbiegła się wreszcie cała służba. Ekonom, gumieny, parobek — wszystko co żyło wtłoczyło się do izby, jedni drzwiami, drudzy przez okna.

Bitwie pomiędzy krewnymi położono koniec, ale tak jakoś niezręcznie broniono pana Wita, że tenże przy tej obronie więcej guzów oberwał, niżeli był powinien. Podejrzrywano ekonoma i lejblokaja, że stało się to z ich wiedzą i wolą....

Tak rozpoczął się pierwszy dzień małżeńskiego pożycia państwa Witów!....

Dalsze dni nie były o wiele lepsze.

EPILOG.

Zemsta nad czyhającymi na jego śmierć krewnymi, była głównym powodem ożenienia się p. Wita.

Gdy tej zemsty pan Wit dokonał i z szatańskiej radości swojej nieco się uspokoił, okazało się że w rachubie swojej pomylił się.

Pozbył się wprawdzie przez ożenienie się swoich krewnych jako najbliższych spadkobierców, ale zato nabył nowego spadkobiercę, którym była jego żona.

Powoli więc zaczął nienawiść, jaką miał dla dawnych spadkobierców, przenosić na żonę, a nienawiść ta postępowała tem chyżej, im bliżej niego był przedmiot tej nienawiści.

Rozczarowana, oszukana we wszystkich swoich marzeniach, Elżusia cierpiała teraz okropnie, cierpiała jak tylko kobieta cierpieć umie i potrafi.

Od rana do nocy kąpana we łzach, musiała jeszcze do Warszawy pisywać listy, w których wiele o swoim szczęściu mówiła....

Duma czy raczej pycha nie pozwalała jej przyznać się w obec tych, którzy jej losu zazdrościli, do swego nieszczęścia. Połykała łzy, zaciskała z bólu wargi, a pisała że jest szczęśliwą, że bawi się sie lankowemi rozkoszami.....

Podobne listy piszą się często do przyjaciółek i krewnych od młodych mężatek. Na listach tych często można odkryć ślady łez.....

Ludzie nie lubią przyznawać się do nieszczęścia, jeżeli sami stali się do tegoż powodem.... i im więcej dolega im to nieszczęście, tam więcej jest w listach szczęścia i radości!....

Elżusia nawet do matki pisała o swoim szczęściu, bo wiedziała że matka te listy sąsiadkom czytać będzie....

Litość tylko od przyjaciela jest słodką jałmużną— litość świata jest gorzkim, trapiącym chlebem!..

Elżusia nie chciała od nikogo litości — pisała do wszystkich że jest szczęśliwą, że mąż koniecznie napiera na nią, aby podróżowali, ale ona tak wieś polubiła, tyle w niej odkryła czystych rozkoszy, że się wszelkiej podróży sprzeciwiła i na wsi siedzieć woli.... ,

Tak pisywała Elżusia.

Świata jednak tem nie oszukała. Ludzie wiedzieli o jej nieszczęściu, i to bardzo wielkiem nieszczęściu.

A nieszczęście to było bardzo naturalne.

Stary mąż, nasyciwszy się zemstą swoją nad krewnymi, przeniósł teraz wszelką nienawiść na żonę.

Najpierwszym i bardzo naturalnym powodem tego był kontrast ich wieku.

Elżusia była młoda, cierpienia doznane wyszlachetniły jej twarz—była prawie piękną!

Pan Wit był stary, skurczony, wyżyty. Ostatnia

jego gorączka zemsty, którą żył przez pół roku w stolicy, wyczerpała do reszty jego siły. Gdy ta gorączka sztuczna ustąpiła, zostawiła na jego twarzy liczne zmarszczki, jakie na śliwkach zostawia pierwszy wiatr zimowy.

Na pana Wita wionął teraz ten wiatr zimowy. Był on teraz starym, starszym nawet nad wiek swój.

Elżbieta odbijała od niego młodością i krasą.

Zgrzybiały mąż patrzył ze złością na jej twarz młodą i ładną, która tak wielkim kontrastem była jego starej pomarańczowej twarzy.....

I wyrodził się pomiędzy nim a żoną bardzo naturalny, z różnicy wieku pochodzący antagonizm, który przechodził w najdrobniejsze szczegóły życia. Była między nimi wojna, ustawiczna wojna. Ale nie ta wojna wielka, bohaterska, która po jednej wielkiej bitwie z nieprzyjaciół robi sprzymierzeńców, ale tylko wojna podjazdowa, w której napada się zniemacka na nieprzyjaciela lub z za płota do niego się strzela, a przytem zawsze go się niepokoi....

Pan Wit zrobił teraz z żony swojej drugą Małankę. Skąpiec aż do ostateczności, kazał jej wszystkim się trudnić w domu, co tylko jaką drobną oszczędność przynieść mogło, a zakazywał surowo tego wszystkiego coby, ład przyzwoity, czystość lub lepszą wygodę w życiu zaprowadziło.

Dom pana Wita, była to fabryka drobnych dochodów. Chleb pieczono z pośladu, pito kawę z mlekiem, jedzono mięso z dobitych cieląt, które zdechnąć miały... a wszystko inne spieniężano i pieniądze pod własnym swym kluczem chował pan Wit.

Elżusia była najnieszczęśliwszą służebnicą w domu. Wszystko złe o nią się opierało, wszystko musiała odpokutować....

Za to wszystko miała teraz te same wymówki, jakich pierw jej krewni słuchali.

Codziennie wymawiał jej z złością starego, niedołężnego męża, że czyha na jego śmierć, że dlatego niezdrowe potrawy gotować każe, aby go otruć i czemp prędzej pójść zamąż....

Elżusia zalewała się łzami, ale łzy te podrażniały jeszcze żółć starego męża....

Kłuł ją ustawicznie jak szpilkami, każdy jej krok, każde spojrzenie natrafiało na te szpilki....

Była to dla niej śmierć powolna, było konanie nieustanne....

I tak przecierpiała nieszczęśliwa kobieta długie dwa lata.

Dłużej już wytrzymać nie mogła. Upokorzyła się, przyznała do nieszczęścia i wróciła do matki na Podwał.

Ale była to już kobieta zupełnie złamana.

Ze wszystkich dawniejszych namiętności, pozostała jej tylko jedna, że się tak wyrażę, religijna namiętność.

Wszystko, co tylko życie kobiety stanowi, skupiło się, jak rozbitek światowy, w tem jednym namiętym uczuciu.

Z całym ogniem młodej duszy oddała się różnym zewnętrznym praktykom religijnym i stała się jedną z najgorliwszych penitentek.

Po całych dniach siadywała w kościołach. Wpisała się do rozmaitych bractw i pełniła wzorowo obowiązki na nią włożone. Spowiadała się co trzy dni, a całe długie wieczory poświęcała rozmyślaniom tajemnic religijnych.

Nigdy jej inaczej nie widziano jak w czarnej su

kni. Chodziła piechotą, z głową spuszczoną ku ziemi, nie patrząc wcale na przechodniów.

W tym czasie przeniosła się pani Izajaszową z Podwala do wieczności.

Elżusia po śmierci matki stała się jeszcze nabożniejszą. Teraz już jej nic nie wstrzymywało od praktyk różnych bractw religijnych. Cały czas poświęcała im i jeszcze więcej łaknęła!

Sumienie jej było nienasycone. Kiedy nie miała ani chwili spokoju, zawsze pragnęła i łaknęła dobrych uczynków i pokuty.

Religijność ta podniesiona prawie aż do fanatyzmu, zastępywała jej wszelkie inne uczucia, któremi karmi się serce kobiece. Wszystko było dla niej stracone prócz gorącej adoracji Boga i literalnego wypełnienia Jego zakonu.

W tem usposobieniu zaszło ją nowe zdarzenie. Zdaje się, że do tego zdarzenia była dostatecznie przygotowaną.

Oznajmiono jej wyrok senatu, że złożony w depozycie milion do niej należy.

Roztrząsanie tej sprawy trwało trzy lata. Sprawa była bardzo zawiła. Przesłuchiowano świadków z Gdańska, badano cały żywot ś. p. Sebastjana.

Okazało się w końcu że jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż ś. p. Sebastjan milion ten przeznaczył na jakieś cele dobroczynne, co pan Izajasz z chciwości zataił, ale z drugiej strony wyświecono, że ś. p. Bonawentura działał jako strona interesowana, jeździł do Gdańska, i z nabytych listów podrobił rękę ś. p. Sebastjana.

W takim razie nie było prawnych dowodów do zatrzymania pieniędzy na rzecz ubogich, chociaż

z drugiej strony było moralne przekonanie, że te pieniądze im się należą.

Według litery więc prawa oddano pieniądze sukcesorom, chociaż na tych pieniądzech ciążyło zawsze podejrzenie nieprawego posiadania....

Gdy się Lulu o tem dowiedział, o mało co reszty rozumu nie stracił, a pan Wit przyjechał znowu do Warszawy ładnym koczkiem, aby z żoną traktować o powrót.

Tym razem jednak była Elżusia nieubłagana. Chciała zostać samą i być panią swojej woli i swego miliona.

Stosownie do swego dzisiejszego usposobienia rozrządzała majątkiem swoim. Zakłady dobroczynne, kościoły i rozmaite instytucje mające na celu dobro publiczne, miały w niej gorliwą opiekunkę, która nie szczędziła pieniędzy.

I tak pieniądze owe, na których ciążyło podejrzenie że są własnością ubogich, przechodziły z wolna na rzecz tych ostatnich, ale już nie drogą prawa, ale drogą, jaką Bóg wybiera do wielkich niecofnionych celów swoich.... ,

Elżusia była przekonaną że ten milion prawem jej się należy, ale czuła oraz w duszy swojej potrzebę jałmużny, potrzebę dobrych uczynków, przez co ten milion na rzecz ubogich przechodził.

Jałmużną i dobrami uczynkami karmiła teraz biedne serce swoje, które za drogę raz źle obraną musiało pokutować i wyrzec się tego wszystkiego, co szczęście kobiety stanowi....

Gmin zwykły, który w tajniki psychologiczne nigdy nie wnika, tylko sam fakt widzi — powiedział krótko i węzłowato, że niesłusznie nabyte piędziewracają zawsze tam, gdzie były przeznaczone,

jeżeli nie zaraz to przez, drugą albo trzecią generacją.... Być może że gmin ma słusność....

Biedna pokutnica, oplakując złamane życie swoje, miała jeszcze tę pociechę, że po każdym dobrym uczynku, po każdej jałmużnie, po każdym datku na wyższe społeczne cele, doznawała złagodzenia cierpień swoich i dziękowała tylko Bogu, że jej dał czem ten ból koić....

I jakoś lżej i znośniej było jej na świecie.

A pan Wit, jakby na utrapienie swoich spadkobierców, jest zdrow i żyje, jakby chciał żyć lata matuzalowe....

Możeby jeszcze chciał ktoś wiedzieć coś o Floryanie i Bronisławie? Należą oni do grona tych cichych pracowników, o których świat najmniej mówi, choć im najwięcej zawdzięcza.

Również niemożna powiedzieć, aby ta cicha

i rzetelna praca była wynagrodzoną jakimi wysokimi honorami i zaszczytami...

Społeczeństwo nasze nie ma nagrody materialnej dla takich pracowników, ale zato daje im wewnątrz duszy spokój i pogodę, która stanowi najwyższe szczęście, jeśli jest rezultatem sumiennie spełnianych obowiązków.

Należy się spodziewać że Floryan i Bronisława są szczęśliwi.

Do szczęścia swogo wnieśli oni pokrewne sobie kapitały—cierpień niedoli przebytej i pracy, co często nie jeden posąg przenosi...

Koniec.